Rafał Kosik

FELIX, NET i NIKA

oraz

Koniec Świata Jaki Znamy

powergraph

Rafał Kosik

FELIX, NET i NIKA

oraz Koniec Świata Jaki Znamy

powergraph

Warszawa 2018

Rafał Kosik
Felix, Net i Nika oraz Koniec Świata Jaki Znamy

ISBN: 978-83-64384-85-1

Wydawca:
Powergraph
ul. Cegłowska 16/2
01-803 Warszawa
tel. 22 834 18 25
e-mail: powergraph@powergraph.pl
www.powergraph.pl

Copyright © 2018 by Rafał Kosik
Copyright © 2018 by Powergraph
Copyright © 2018 for the cover by Rafał Kosik and Klaudia Wawrzeszkiewicz
Copyright © 2018 for illustrations by Rafał Kosik and Jan Kosik

Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redakcja: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Korekta: Maria Aleksandrow
Skład i łamanie: Powergraph
Projekt graficzny i okładka: Rafał Kosik
Ilustracja na okładce: Klaudia Wawrzeszkiewicz
Ilustracje we wnętrzu: Rafał Kosik i Jan Kosik

Wyłączna dystrybucja:

Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. 22 721 30 00 / 11

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer

Dotychczas w serii ukazały się:
1. Felix, Net i Nika oraz Gang Niewidzialnych Ludzi
2. Felix, Net i Nika oraz Teoretycznie Możliwa Katastrofa
3. Felix, Net i Nika oraz Pałac Snów
4. Felix, Net i Nika oraz Pułapka Nieśmiertelności
5. Felix, Net i Nika oraz Orbitalny Spisek
6. Felix, Net i Nika oraz Orbitalny Spisek 2. Mała Armia
7. Felix, Net i Nika oraz Trzecia Kuzynka
8. Felix, Net i Nika oraz Bunt Maszyn
9. Felix, Net i Nika oraz Świat Zero
10. Felix, Net i Nika oraz Świat Zero 2. Alternauci
11. Felix, Net i Nika oraz Nadprogramowe Historie
12. Felix, Net i Nika oraz Sekret Czerwonej Hańczy
13. Felix, Net i Nika oraz Klątwa Domu McKillianów
14. Felix, Net i Nika oraz (nie)Bezpieczne Dorastanie
15. Felix, Net i Nika oraz Koniec Świata Jaki Znamy

Dla Jasia

1. Głęboka restrukturyzacja

Płomienie z ogłuszającym rykiem wiły się i wzbijały w czerń przesłaniającą niebo. Paliło się wszystko wokół: domy, drzewa, samochody. Asfalt na ulicach topił się z gorąca, dymił, a miejscami bulgotał jak lawa, która za chwilę wystrzeli w niebo ognistym gejzerem. Z okien niższych pięter buchał tylko smolisty dym. Co mogło się tam spalić, już się spaliło. W szczelinach grubej kołdry dymu nad miastem można było dostrzec tańczące na niebie błyskawice.

Przecznicę dalej zawalił się osłabiony pożarem dom, dodając do tego chaosu pędzącą ognistym kanionem chmurę pyłu. Ziemia zadrżała, a grzmot zagłuszył na chwilę wszystko inne.

Nika obudziła się, zlana zimnym potem. Usiadła gwałtownie na łóżku i rozejrzała się po swoim półtorapokojowym mieszkaniu. Wyglądało jak zwykle. Rozkładana kanapa, na której spała, skrzypiała przy każdym ruchu, stara szafa obok jak zawsze nie domykała się, a na końcówce kranu samotna kropla wahała się, czy spaść, czy jeszcze chwilę zaczekać. Obok okrągły półpokoik w wykuszu starej kamienicy niezmiennie zastawiony był książkami. Te, które nie mieściły się na półkach, leżały nawet na trzech stopniach schodów prowadzących z głównego pokoju.

Do Niki powoli docierało, że to był tylko sen. Wstała i podeszła do okna. W dole przejechał zwyczajny tramwaj, aż w szafce zabrzęczały szklanki. Ludzie na chodniku spieszyli się całkowicie zwyczajnie, a na zwyczajnym niebie wisiały zwyczajne obłoki. Lodówka też buczała zwyczajnie. Tak, to tylko zły sen.

Dziesięć dni do…

Ziewnęła i wzięła komórkę. I natychmiast rozbudziła się do końca. Pierwszy dzień szkoły! Koniec wakacji! Powinna wyjść z domu kwadrans temu!

Pobiegła do łazienki, w ekspresowym tempie przemyła twarz i przejechała szczotką po zębach. Ubrała się, co na szczęście było proste, bo poprzedniego dnia wszystko przygotowała. Zupełnie nowa ciemnoróżowa spódniczka, wypatrzona w second handzie w Londynie, za jedyne dwa funciaki. Nika nigdy nie nosiła takiego koloru, ale przecież cały świat się zmienia, dlaczego i ona nie może? Wrzuciła do torby najpotrzebniejsze rzeczy i brudnopis. Nie sprawdziła nawet, jakie mają być dziś lekcje. Nieważne, przepisze potem na czysto. Wieczorem zaglądała na stronę szkoły – jeszcze nie umieszczono tam planu zajęć. Teraz było za późno, by zrobić cokolwiek poza zawiązaniem butów i dwustumetrowym sprintem do tramwaju. Albo półkilometrowym sprintem do metra. Przystanek tramwajowy był po drodze do metra, więc trasę za każdym razem wybierał los. Jeśli zbliżał się tramwaj, Nika wsiadała do tramwaju; jeśli go nie było, szła dalej.

Wiązanie sznurówek dziesięciodziurkowych martensów niestety chwilę trwało. Wprawdzie dawało się w nich swobodnie chodzić i bez wiązania, ale biegać już nie. Poprawiła jeszcze rude loki, bo przecież nic, nawet potencjalne spóźnienie na rozpoczęcie roku szkolnego, nie usprawiedliwia wyjścia z domu z koczudłem na głowie. Przygładziła białą koszulę i spódniczkę. Tak, jest OK. Otworzyła lodówkę w nadziei, że znajdzie tam coś, co zabierze, żeby zjeść po drodze. Nie znalazła – lodówka była niemal pusta.

Zamknęła drzwi i zbiegła na parter. Wetknęła do uszu słuchawki, a muzyka The Dumplings dodała jej energii. Drogę do przystanku pokonała, bijąc chyba rekord prędkości, a i tak drzwi tramwaju zamknęły jej się przed nosem.

Nice opadły ramiona. Stała, ciężko dysząc. No trudno, jeszcze kilka oddechów i pobiegnie dalej, do metra.

Wtedy drzwi otworzyły się, witając ją zapomnianym przez wakacje ściskiem. Nie czekając na nic, wskoczyła do zatłoczonego wnętrza i odetchnęła z ulgą. Nie było szans na dopchnięcie się do przodu

i podziękowanie motorniczemu. Uniosła więc tylko dłoń ponad głowy współpasażerów i pomachała z nadzieją, że tamten zauważy to w jednej z kamer.

Wyglądało na to, że się jednak nie spóźni. Uwiesiła się na rurce. Jeszcze tylko dwadzieścia minut bujania się i obijania o ludzi, a potem przesiadka do autobusu, gdzie bujania się i obijania będzie tylko dziesięć minut.

* * *

— Jeszcze pięć minutek — mruknął Net i odwrócił się na drugi bok. Nawet nie zastanawiał się, co właściwie go obudziło.

— *Po co mnie prosisz, żebym cię budził?* — zapytał Manfred. — *To nie ma sensu, jeśli rano zmieniasz zdanie.*

— Ja rano i ja wieczorem to dwie różne osoby.

— *Porozmawiaj ze sobą wieczornym i ustalcie wspólne stanowisko.*

— Nie męcz mnie. Najpierw będzie apel. Tam nikt nie sprawdza obecności.

— *Na apelu przekazywane są ważne informacje.*

— Sprawdzę sobie w internecie.

— *Strona szkoły nie była aktualizowana od tygodni. Wstawaj.*

Konwersacja z Manfredem rozbudziła Neta wystarczająco, by już nie mógł zasnąć ponownie. Spod kołdry wysunęła się jedna noga i oparła o dywan. Chwilę później to samo zrobiła druga noga. Net na nic więcej nie znalazł energii.

— Nogi już wstały — powiedział.

— *Nie próbuj starych sztuczek.*

— I co z tego, że wstanę? — Net wymacał na nocnym stoliku okulary. — Zasnę w szkole na pierwszej lekcji.

Ociężałym ruchem podniósł je, jakby ważyły parę kilo, i włożył na nos.

— Nie, zasnę wcześniej, na przemówieniu Stokrotki — mruknął.

Dopiero teraz usiadł na łóżku. Strzecha włosów na jego głowie była przesunięta niesymetrycznie w prawo. Przejechał po nich palcami, ale to niczego nie zmieniło. Ziewnął przeciągle i popatrzył przez zmrużone oczy w obiektyw kamery jednego z kilku stojących na biurku komputerów. Prawe oko miał mocniej zmrużone niż lewe. Łypnął zły na kamerę.

— Zadowolony?

Kamera przesunęła się w prawo, w lewo i znów w prawo.

— *Najwyżej w czterdziestu procentach* — odparł Manfred. — *W poprzednim roku szkolnym zdarzyło ci się siedem razy położyć w tej pozycji i zasnąć.*

— Łatwo ci zrzędzić, bo ty nie musisz spać.

Manfred, jako program sztucznej inteligencji, rzeczywiście nie potrzebował snu.

Net ziewnął jeszcze raz i wreszcie wstał. Wakacje jednak rozleniwiają. A najbardziej odzwyczajają od wczesnego wstawania.

Pięć minut później stał przed lodówką z włosami ułożonymi jak należy, to znaczy nadal sterczącymi na wszystkie strony, ale przynajmniej symetrycznie. Choć półki były pełne, nie widział niczego, co nadawałoby się na śniadanie. Wreszcie zdecydował się na szynkę konserwową i sok pomarańczowy, bo niczego z bąbelkami oczywiście nie było. Że niby niezdrowe. Do tostera wrzucił dwa tosty i spróbował zebrać myśli. Pierwszy dzień szkoły. Co może być potrzebne? W sumie to skąd miałby wiedzieć, skoro szkolna strona nie działała. Wzruszył ramionami i postanowił zabrać tylko brudnopis.

— Wiesz, o której tata jedzie do pracy? — zapytał.

— *Już pojechał* — odparł z najbliższego głośnika Manfred. — *Mama jeszcze nie wstała.*

Net skrzywił się. W skrytości ducha liczył na to, że tata podwiezie go do szkoły. Tata był informatykiem i pracował w Instytucie Badań Nadzwyczajnych. Nie miał ścisłych godzin pracy, więc czasem się zdarzało, że wyjeżdżał tak, by przy okazji zabrać Neta. No ale nie dziś. Mama miała prawo jazdy, ale nie lubiła prowadzić. Zresztą pracowała w domu i zajmowała się bratosiostrą, czyli dwójką uczących się chodzić bliźniaków.

Wyjrzał na patio. Po drugiej stronie, za trawnikiem i krzewami ozdobnymi wznosiła się przeszklona pracownia malarska. Na sztalugach stał niedokończony wielki obraz. Trudno było powiedzieć, co przedstawiał. Mama zwykle rysowała abstrakcje. Jedyne, z czym Netowi kojarzył się ten obraz, to grzyb nuklearny. Wczoraj malowała do późna, czyli jeszcze trochę pośpi.

Piknięcie tostera sprowadziło jego myśli do bardziej przyziemnych spraw. Posmarował tosty masłem i nałożył kilka plasterków szynki. Nie zdarzało się, aby nie był głodny. Jadł całkiem sporo, a jednak jakimś cudem

pozostawał chudy.

Podszedł do okna i pochłaniając wielkimi kęsami tosty, spojrzał na swoje miasto. Z wysokości ostatniego piętra apartamentowca ludzie w dole wyglądali jak mrówki. Dużo było tych mrówek, na pewno więcej niż jeszcze wczoraj, kiedy trwały wakacje. Znowu będzie tłok w autobusie.

Zerknął na telefon. Powinien wyjść z domu pięć minut temu. Wepchnął do ust ostatni kęs i w zamyśleniu zmarszczył brwi. Szynka, ser czy pasztet? A co tam! Wszystko naraz. Tak, jeszcze dwa tosty i powinno wystarczyć.

A może by tak taksa…?

* * *

To nie był zwykły budzik. To był BigBudzik. Miał formę sześcianu wykonanego ze stalowych elementów połączonych śrubami i nitami. Wewnątrz obracały się koła zębate, przekładnie, popychacze i mimośrody. Nie był przykręcony do stołu, ale ważył kilka kilogramów. Wyniesienie go i ukrycie gdzieś, gdzie nie byłoby go słychać, wystarczyłoby za poranną gimnastykę. BigBudzik wygrywał właśnie krótki motyw muzyczny ze starego filmu *Bliskie spotkania trzeciego stopnia*.

Felix siedział na łóżku i próbował wyłączyć urządzenie. To nie było proste, bo nic takiego jak wyłącznik nie istniało. Na obudowie znajdowało się kilka przełączników, pokręteł i suwaków. Uruchomiony wieczorem BigBudzik ustawiał losową sekwencję mechanizmu i każde jego poranne wyłączenie przypominało łamigłówkę. Tę całkowicie mechaniczną konstrukcję napędzał silnik elektryczny. W zasadzie wystarczyłoby wyjąć baterie. No ale to byłoby niesportowe.

Felix nie mógł mieć do nikogo pretensji. Sam skonstruował BigBudzik i sam go wczoraj ustawił. Teraz próbował losowo wciskać i przełączać co się dało. Dźwięk mechanicznej pozytywki nie cichł. Nie, tak się nie da. Możliwych kombinacji jest zbyt wiele. Tu trzeba się postarać i odnaleźć wewnętrzną logikę dzisiejszej sekwencji. Chłopak przetarł zaspane oczy i spróbował ponownie: pierwszy przełącznik w górę, dwa następne w dół, duże pokrętło dwa obroty w prawo, małe pokrętło ćwierć obrotu w lewo, środkowy suwak o jedną trzecią w górę.

Cisza.

Felix uśmiechnął się do siebie i wstał, zupełnie już rozbudzony. Zrobił

dziesięć pompek, piętnaście przysiadów i dwadzieścia brzuszków. Wystarczy.

Przeszedł przez pokój przypominający warsztat szalonego wynalazcy. Co nie było aż tak odległe od rzeczywistości. Ustawiony pod ścianą długi stół roboczy z jednej strony płynnie zamieniał się w biurko z laptopem, zeszytami i tym, co zwykle leży na biurkach uczniów. Dalszą część pokoju wypełniały regały z częściami maszyn, z których wiele nadawałoby się do scenografii filmu science fiction. Pokój Felixa mieścił się w wysokiej piwnicy. Kiedyś był tu warsztat taty, ale odkąd zaczął on pracować w Instytucie Badań Nadzwyczajnych, warsztat zamienił się w rupieciarnię. Wystarczyły dwa dni i zamówiony kontener na odpadki, by doprowadzić miejsce do jakiego takiego porządku. W planach było przemalowanie ścian, ale to były odległe plany.

Felix założył na nadgarstek bransoletę survivalową z paracordu, którą w razie konieczności mógłby zamienić w trzy metry linki, otworzył laptop i wszedł na stronę szkoły. Dyrektor magister inżynier Juliusz Stokrotka wciąż życzył uczniom radosnych wakacji. Data czerwcowa. Felix pokręcił głową z dezaprobatą. Lubił zawczasu wszystko przygotować, żeby rzeczywistość go nie zaskakiwała. Postanowił, że zabierze tylko brudnopis, choć perspektywa przepisywania wszystkiego nie wydawała się zachęcająca.

Na schodach rozległ się tupot psich łap. Wielki, czarny, kudłaty terrier rosyjski zbiegał, by sprawdzić, czemu jego pan wstał tak wcześnie.

— Caban! — Felix przytulił psa i podrapał go za uchem. — No widzisz, znowu szkoła. Koniec wylegiwania się. I na spacery będziemy chodzić tylko popołudniami.

Wziął z szafy ubranie i zaczął się wspinać po schodach. Minusem mieszkania w piwnicy było to, że do łazienki musiał chodzić na parter. Plusem, że miał spokój, bo nikomu nie chciało się tu zaglądać bez powodu.

— Wstałeś? — Z kuchni wychylił się tata. — Robię śniadanie angielskie. Reflektujesz?

— Jasne! — rzucił Felix i wszedł do łazienki.

Gdy z niej wychodził, prawie zderzył się z mamą. Jak zwykle elegancka i jak zwykle w pośpiechu, z małym neseserkiem w jednej dłoni i komórką w drugiej.

— Już wstałeś? — zdziwiła się. — A, no tak. Szkoła. Zapomniałam. Wakacje szybko zleciały, co?

— Za szybko — zgodził się Felix. — Podrzucisz mnie?

— Nie dam rady, Kotku. — Mama pocałowała go w czoło. — Mam dziś chyba z dziesięć spotkań. No tak, koniec wakacji! To wszystko wyjaśnia! Klienci wrócili i wszyscy naraz przypomnieli sobie, że mnie potrzebują.

— Za chwilę będzie śniadanie — rzucił z kuchni tata.

— Dzięki, zjem coś na mieście.

I już jej nie było. Chwilę później z podjazdu przed domem z piskiem opon wyjechało czerwone Mini [1].

— Znowu za szybko jeździ — zauważył Felix.

— A piłowanie zimnego silnika to przepis na remont po stu tysiącach — dodał tata.

Przy drzwiach stał Golem Golem, dwumetrowy android, który wyglądał, jakby zrobiono go z niepotrzebnych części starych maszyn. Co zresztą było prawdą. Jednak, choć części nie były nowe, to na pewno w pełni sprawne.

— *Czy potrzebna będzie moja pomoc przy śniadaniu?* — zapytał niskim głosem Golem Golem.

— Dziękuję, nie — rzucił tata. — Poradzę sobie.

Kuchnia w domu państwa Polonów nie wyglądała jak przeciętna kuchnia. Zamiast zwyczajnych sprzętów, stały tu urządzenia rodem z futurystyczno-industrialnej wizji kuchni autorstwa architekta zakręconego na punkcie fantastyki naukowej. Na obiegającym pół pomieszczenia blacie stało kilka wyglądających na niedokończone maszyn o nieoczywistym przeznaczeniu. Część z nich pracowała, wypuszczając obłoczki pary i wydając dźwięki zgrzytania i mlaskania.

Na jednej zapaliła się czerwona lampka. Tata podstawił tam talerz i przesunął w górę solidną wajchę. Z przodu urządzenia otworzyła się klapka i wyjechała z niej metalowa łapka z jajkiem sadzonym. Druga łapka delikatnie zsunęła jajko na talerz. Tata podstawił drugi talerz, na który trafiło identyczne jajko.

Gdy tata przeszedł z talerzami do kolejnej maszyny, klapka otworzyła się po raz trzeci.

— A, zrobiłem też dla mamy — przypomniał sobie tata. — No to są trzy jajka. Masz koncepcję, jak podzielić jajko sadzone na pół?

Problem rozwiązał się sam, gdy urządzenie zsunęło jajko wprost na podłogę. Od razu zajął się nim Caban.

Kolejne maszyny wysypywały na talerze następne składniki. Śniadanie angielskie w wersji uproszczonej składało się z jajka sadzonego, przypieczonej parówki, podsmażonego pomidora, bekonu, pieczarek i fasolki w sosie pomidorowym. A do tego tosty. Do przygotowania śniadania wystarczyłaby duża patelnia, ale wówczas nie byłoby połowy zabawy.

Felix spojrzał podejrzliwie na tatę.

— Chciało ci się?

— Pierwszy dzień szkoły — wyjaśnił tata. — Przykra okoliczność. Więc wyżerka na osłodę.

Śniadanie smakowało równie pysznie, jak wyglądało. Felix zerkał co chwila na zegarek. Do przystanku miał pięć minut spaceru, a autobus odjeżdżał za osiem minut. Mały margines bezpieczeństwa.

— Tato…

— Tak, podwiozę cię. — Tata uśmiechnął się tajemniczo. — Dziś testujemy nowy wynalazek.

Wrzucili talerze do zmywarki, a dokładniej to podali je zmywarce, która odebrała je mechaniczną dłonią i sama włożyła do swojego wnętrza. Przeszli do garażu, gdzie stał czarny kanciasty Land Rover. Leciwy wehikuł co jakiś czas przechodził kolejne modyfikacje. Tata traktował go jak poligon doświadczalny dla swoich wynalazków.

— Co tym razem? — zapytał Felix.

— Cierpliwości. — Tata uśmiechnął się tajemniczo i wsiadł do środka.

Felix zauważył leżący w bagażniku dron, i to całkiem spory. Chciał zapytać, do czego ma służyć, ale zwyciężyła ciekawość. Wsiadł, zapiął pas i spojrzał wyczekująco na tatę. Ten uśmiechnął się tajemniczo i nacisnął kilka przycisków. Ekrany rozjarzyły się, przyciski podświetliły, a samochód uniósł się na pneumatycznym zawieszeniu. Nie rozległ się żaden dźwięk, jeśli nie liczyć cichego syku powietrza w przewodach. Zmodernizowany Land Rover prócz silnika spalinowego miał silnik elektryczny i pneumatyczny, zasilany ze zbiorników ze sprężonym powietrzem, tłoczonym tam podczas hamowania.

Wnętrze samochodu, oryginalnie przypominające raczej kabinę maszyny rolniczej niż samochodu, teraz, po wielu przeróbkach wyglądało raczej jak wnętrze futurystycznego pojazdu wojskowego. Dziesiątki przełączników upchnięto między kilkoma ekranami i dodatkowymi dźwigniami.

Wrota garażu uniosły się, a samochód bezszelestnie wytoczył na podjazd

i przez elektrycznie rozsuwaną bramę wyjechał na ulicę.

— A teraz patrz! — Tata nacisnął duży zielony guzik, którego wcześniej chyba tam nie było.

— *e-Zygmunt, gotowy do pracy* — rozległo się z głośników. — *Jaka destynacja?*

— Nawigacja sterowana głosem? — zapytał Felix. — Nic specjalnego.

— Lepiej. Zaczekaj. Najpierw szkoła Felixa, potem Instytut Badań Nadzwyczajnych — powiedział przesadnie wyraźnie tata. — Wjazd przez fałszywą wierzbę.

— *Przykro mi, adres nieznany.*

— No tak, bo to jest wjazd *top top top secret*. — Tata podrapał się w głowę. — Nieważne. Na razie szkoła Felixa.

— *Felix Polon, jak mniemam? Gimnazjum imienia profesora Kuszmińskiego?*

— Tak właśnie, e-Zygmuncie.

— *Przykro mi, adres nieznany.*

— Jak to?! — Tata z wrażenia aż puścił kierownicę. — Wczoraj działało.

— Liceum imienia profesora Kuszmińskiego — rzucił Felix.

— *Zrozumiałem, jadę. Podążam.*

Tata spojrzał badawczo na Felixa.

— Dopiero co byłeś w drugiej klasie! — Tata wciąż nie trzymał kierownicy, choć samochód jechał. — Rany, serio przegapiłem rok? Za dużo energii poświęcam pracy. A niech to! Poważnie skończyłeś gimnazjum?

— Samo się skończyło — odparł Felix. — Zlikwidowali gimnazja. Teraz będę chodził do pierwszej klasy liceum. Tato, nie powinieneś… trzymać kierownicy?

— Poważnie? — Tata był szczerze zdziwiony. — No popatrz. Nie jestem na bieżąco.

— Kierownica… — Felix wskazał wąską uliczkę przed maską.

— Nie, w żadnym razie. — Tata założył ramiona, spojrzał na syna i poruszył porozumiewawczo brwiami. — Testujemy samochód autonomiczny. e-Zygmunt, depnij trochę.

— *Dozwolona prędkość w tym obszarze to trzydzieści kilometrów na godzinę.*

— O proszę. Jednak działa! Przykrość taka, że już nie potrafi jechać bez elektroniki.

— Czy to jest aby legalne? — zapytał Felix.

— W Kalifornii na pewno.

* * *

Nika dotarła sporo przed czasem. Przysiadła na murku obok schodów prowadzących do szkoły i obserwowała uczniów. Większość ubrana była elegancko, a przynajmniej odświętnie. Czasem pomachał jej ktoś znajomy. Nie zauważyła do tej pory nikogo ze swojej klasy, a wielu osób nie kojarzyła nawet z widzenia. Oni również wyglądali na zagubionych, jakby znaleźli się tu pierwszy raz.

Przy krawężniku bezszelestnie zatrzymał się czarny Land Rover. Felix wysiadł, pożegnał się z tatą i spojrzał na ponury i masywny gmach szkoły, przypominający trochę stary obiekt wojskowy. Dopiero po chwili dostrzegł Nikę. Przywitali się serdecznie, choć nie widzieli się zaledwie kilka dni.

— Dużo nowych — mruknęła Nika.

Felix obejrzał się za siebie. Pojawiało się coraz więcej uczniów. Do rozpoczęcia apelu pozostało dziesięć minut.

— Nie wyglądają na pierwszorocznych — zauważył. — Niektórzy są starsi od nas.

— Młodzież dziś tak szybko dorasta. — Net przeskoczył murek i stanął między nimi. — Za naszych czasów to było nie do pomyślenia.

Cmoknął Nikę i uścisnął dłoń Felixa.

— Znowu jesteśmy pierwszakami — rzucił. — Starszaki będą nam kraść kredki. A już czułem się taki dorosły, taki odpowiedzialny.

— *À propos* odpowiedzialności. — Felix wycelował w niego palec. — Wisisz mi dwie dychy.

— Oj tam, oj tam. Nie jestem aż tak odpowiedzialny, jak ty małostkowy.

— Dwadzieścia funtów, nie złotych.

— Oddam przecież.

— Miałam straszny sen — odezwała się Nika. — Śniła mi się apokalipsa.

— Apokalipsa… — Net machnął lekceważąco ręką. — Straszny sen to jest wtedy, jak się śni test z geografii.

— Był bardzo realistyczny. Pożar, walące się budynki, całe niebo w piorunach. Czułam się tak, jakby to wszystko się działo naprawdę. Ten sen był taki… — chwilę szukała właściwego słowa — … epicki.

— Epicko to zaraz będzie przynudzał Stokrotka — zauważył Net.

Felix spojrzał na zegarek i machnął głową, że już czas.

Na schodach dołączyli do nich Oskar i Wiktor.

— Nie zgadniecie, gdzie byłem — rzucił zamiast przywitania Oskar.

— W Grecji — odparł Net. — Wrzuciłeś ze sto zdjęć.

Oskar zmarszczył brwi i mruknął coś niewyraźnie. Pokazał im telefon, a dokładniej zdjęcie przedstawiające zamieszanie: straż pożarną, policję, antyterrorystów, ambulanse i tłum.

— Tego jeszcze nie wrzuciłem.

— To z Grecji? — zapytał Net.

— To Warszawa. Dwadzieścia minut temu. W metrze był zamach.

— Zamach w metrze? — Nika zatrzymała się w połowie schodów. — Mogłam tam być. Przyjechałam tramwajem, bo zdążyłam dobiec.

— No to nieźle — zauważył z przejęciem Net.

— Kilka sekund różnicy i bym poszła do metra.

— To nie był zamach, tylko próbny alarm — wyjaśnił Wiktor, który zawsze był doskonale poinformowany. — Ćwiczenia.

— Wyglądało na prawdziwe — powiedział z zawodem w głosie Oskar.

Nika westchnęła i ruszyła dalej.

— Widzieliście kogoś z naszej klasy? — zapytała. — Jest dużo nowych.

— Połączyli nas z Siódemką. Część uczniów od nich przeszła do nas. I tak jak u nas, wszyscy, którzy mieli iść do trzeciej gimnazjum, wylądowali w pierwszej liceum.

— A co się dzieje z tymi z niższych klas? — zapytał Net.

— Wracają do podstawówki [2]. W Siódemce będzie tylko podstawówka, a u nas tylko liceum.

— A to nie miało być jakoś inaczej zrobione?

— Lokalne zawirowania czasoprzestrzeni.

— Ale przypał – szepnął Net. — Degradacja. Jak to dobrze, że jesteśmy w trzeciej. Znaczy, że mieliśmy być.

Weszli do znajomego hallu szkoły i wraz z gęstniejącym tłumem licealistów podążyli schodami na ostatnie piętro, gdzie dziwnym kaprysem architekta umieszczono salę gimnastyczną. Tu też wszystko wyglądało znajomo: niewielkie podwyższenie z ustawionym mikrofonem, obok długi stół z tym samym co zawsze zielonym suknem. Za stołem siadali już

nauczyciele, z których większość wykazywała tyle samo entuzjazmu, co uczniowie. Szykował się kolejny nudny apel.

— Nie ma Eftepa… — szepnął z radością Net. — Jest chory albo… Albo już tu nie pracuje! To by wyjaśniało, czemu strona nie była aktualizowana od początku wakacji.

Za stołem zasiadło kilka nieznanych im osób, zapewne nauczycieli z Siódemki. Eftepa rzeczywiście nie było nigdzie widać. Ani rzutnika, który zwykle obsługiwał, ani ekranu do prezentacji, a cały system nagłośnienia sprowadzał się do mikrofonu podłączonego do jednego głośnika.

Gdy wszyscy usiedli, do sali wszedł dyrektor magister inżynier Juliusz Stokrotka. Tym razem zupełnie niepodobnie do siebie założył czarny garnitur i ciemnoszarą kamizelkę. Koszula i muszka również były szaroczarne, a pogrzebowego nastroju dopełniała ponura mina. Chyba trochę schudł, choć mogło to być złudzenie, bo przecież czarny wyszczupla. I tylko łysina pozostała taka sama.

— Witajcie w nowym roku szkolnym — powiedział Stokrotka do mikrofonu, a ton jego głosu pasowałby raczej do mowy pogrzebowej. — Nastąpiło wiele zmian. Wiele dobrych zmian, które z całą pewnością wpłyną na poprawienie jakości edukacji…

Zazwyczaj po trzecim zdaniu dyrektora połowa słuchaczy zupełnie traciła zainteresowanie przemową. To akurat się nie zmieniło.

— Myślicie, że Eftep odszedł? — zapytał szeptem Net. — Znaczy, nie że kopnął w matrycę, tylko że odszedł z naszej szkoły.

— Stokrotka go wyrzucił — wyjaśnił Wiktor. — Dyscyplinarnie.

— O! — Net spojrzał na niego z zainteresowaniem. — Super! — Zorientował się, że mówi za głośno i ściszył głos. — Za co?

— Poszło o jakieś przewały przy międzynarodowej olimpiadzie informatycznej.

Net ściągnął usta i wymienił spojrzenia z Felixem i Niką [3], po czym zaśmiał się jak brzuchomówca. Jerzy Wierszewski, zwany przez uczniów Eftepem, od początku nauki w szkole uwziął się na Neta. Nauczycielowi trudno było znieść, że uczeń zna się na informatyce znacznie lepiej od niego.

— … pewne zmiany personalne — ciągnął tymczasem dyrektor — i głęboka restrukturyzacja. Jak już wspomniałem na wstępie, perspektywiczne decyzje…

Net, mimo najszczerszych chęci, nie potrafił się dłużej skupić na monotonnym słowotoku Stokrotki. I nie był w tym odosobniony. Popatrzył na Nikę i poruszył brwiami w sposób, który oznaczał: „zniknęła ostatnia przeszkoda, by ta szkoła stała się znośna”. Nika w odpowiedzi zmarszczyła nosek, co miało znaczyć: „pamiętaj o chemii i geografii”. Felix poruszył tylko kącikiem ust, co oznaczało: „zawsze może być gorzej”, na co Net skrzywił się „nie psuj mi tej chwili małego triumfu”.

— … wszystkim serdecznie nowego roku szkolnego. — Stokrotka skinął głową, co znaczyło, że skończył przemowę.

Dopiero jednak dłuższa cisza dała wszystkim do zrozumienia, że trzeba zacząć bić brawo. A jednoznaczny sygnał wysłał pan Czwartek, nauczyciel fizyki, który zaczął klaskać, nawet nie odrywając wzroku od ekranu leżącego na stole smartfona. Podzielna uwaga. Obok pan Cedynia, historyk, skupił się na czynności, która od zawsze wychodziła mu najlepiej – drzemał. Konstancja Konstantynopolska, geograficzka, siedziała nieruchomo i obserwowała salę przez zmrużone powieki niczym przez szczeliny strzelnicze.

Dyrektor skinął głową i przygarbiony, ruszył do jedynego wolnego miejsca za stołem. Jako że był bardzo niski, wyglądało to, jakby usiadł na małym stołeczku zamiast krzesła. Z drugiego końca stołu wstał przystojny trzydziestolatek z ciemnymi włosami zaczesanymi do tyłu, w nieskazitelnym grafitowym garniturze. Zapiął najniższy guzik marynarki i sprężystym krokiem podszedł do mikrofonu. Zdecydowanie przesadnym ruchem uniósł go o dwadzieścia centymetrów i uśmiechnął się do całej sali.

— Dzień dobry państwu — odezwał się miękkim, ale jednocześnie silnym głosem. — Witam panie i panów. Dziękuję bardzo mojemu zastępcy za ten erudycyjny wstęp, a teraz jednak przejdźmy do konkretów.

Net kaszlnął nieco zbyt głośno, choć gardło go ani trochę nie swędziało. Przez salę przeszła fala niemego niedowierzania. Dyrektor Stokrotka jeszcze bardziej skulił się za stołem.

— Nazywam się Romuald Wąs i jestem nowym dyrektorem tej szkoły.

Rozległy się szmery, a nowy dyrektor z lekkim uśmiechem na twarzy pozwolił tej chwili wybrzmieć i dopiero wtedy kontynuował:

— Pod moim kierownictwem ta szkoła odżyje i wyda na świat wybitnych absolwentów. Jestem pewien, że wspólnym wysiłkiem…

— E, przynudza tak samo, jak Stokrotka — szepnął Net.

— … trwają prace nad przywróceniem sprawności szkolnej strony. Na razie swoje nowe klasy i wychowawców poznacie z listy wywieszonej w szkolnej gablocie.

— Nowe klasy? — szepnął podejrzliwie Net.

— Dla nowych uczniów — odparł Wiktor. — Druga, trzecia i czwarta liceum.

— Zaleją nas imigranci z Siódemki. Będziemy mniejszością we własnej szkole.

— … uważam rok szkolny za rozpoczęty! — dokończył nowy dyrektor. Uniósł dłonie w uroczystym geście, a sala nagrodziła go niemrawymi brawami.

Zaczęło się szuranie krzesłami i przepychanie się do wyjścia. Tłum ruszył na parter, ale oczywiście tylko kilkanaście pierwszych osób miało szansę cokolwiek przeczytać w gablotkach.

Felix, Net i Nika dotarli tylko do podnóża schodów.

— Ile luda! — Net przeniósł spojrzenie na plecak Felixa. — Masz może lornetkę?

Pytanie wcale nie było pozbawione sensu, zważywszy, że zawartość Felixowego plecaka nieraz uratowała przyjaciołom skórę.

Felix pokręcił tylko głową.

— Nie potrafisz się włamać na szkolny serwer? — zapytała Nika.

— To banalnie proste — odparł Net. — Tylko po co? Tam nie ma tych tabelek.

Powoli przesuwali się do przodu. Od strony wiszących na ścianie gablotek dobiegały odgłosy niezadowolenia i ożywionych dyskusji. Gdy wreszcie tam dotarli, poznali ich przyczynę.

— Że *what*? — wykrzyknął Net. — Rozdzielili nas?! To jakaś chora pomyłka!

Sprawdzili raz jeszcze. Nie było wątpliwości. Felix i Net wylądowali w klasie C, a Nika w E. W każdej z klas co najmniej dwie trzecie uczniów było z Siódemki, ale nawet tych chodzących do Kuszmińskiego przetasowano. U Niki z poprzedniej klasy została tylko Aurelia, co było chyba najgorszym z możliwych rozwiązań – dziewczyny, delikatnie mówiąc, nie przepadały za sobą.

Na dole tabelek widniał niepozorny napis: „Mamy nadzieję, że to pomoże wyrównać poziom i lepiej zintegrować się uczniom obu szkół”.

— Brakuje też kilku naszych nauczycieli — zauważyła ze smutkiem Nika. — Nie ma pani Joli.

— Pewnie przenieśli ich do Siódemki — stwierdził Felix.

Wychowawcą Niki miał być profesor Butler, a przy klasie Felixa i Neta nie wpisano nikogo. Nika zmarszczyła nosek na samo wspomnienie zajęć z botaniki progresywnej, które prowadził kiedyś Butler. Nie był złym nauczycielem, prowadził naprawdę ciekawe lekcje, jednak, co istotne dla Niki, jego poziom higieny osobistej pozostawiał wiele do życzenia, podobnie jak i zawartość samej pracowni. Cóż, na szczęście godzina wychowawcza jest raz w tygodniu.

— To nic strasznego — starała się przekonać chyba bardziej siebie niż przyjaciół. — Przecież nie rozstajemy się całkiem.

— No wiesz… — mruknął Net.

— No wiem. Jakoś się muszę pocieszyć.

— Zapiszmy się na wspólne zajęcia dodatkowe — zaproponował Felix. — Póki są miejsca. Tylko że… — rozejrzał się po gablotkach — nie ma listy.

Dłużej nie mogli się przyglądać zawartości gablotek, bo napierał na nich tłumek kolejnych uczniów.

* * *

Nika nie przejmowała się wyglądem sali biologicznej. Po prostu wybrała miejsce pod oknem, z dala od regałów z akwariami, terrariami oraz roślinami, co do których nie było pewności, że nie gryzą. Za to uczniowie z Siódemki zaczęli od oglądania oświetlonych specjalnymi żarówkami okazów, jakby byli w zoo. Dopiero po chwili dotarło do nich, na co patrzą. Wtedy się cofnęli, a kilka dziewczyn chciało nawet wyjść. Zza przymkniętych drewnianych okiennych żaluzji sączyło się delikatne światło, w sali panował więc półmrok i pachniało trochę jak na wybiegu słoni.

— Wolne? — Aurelia, nie czekając na odpowiedź, położyła swoją torbę na ławce obok Niki.

Nika spojrzała na nią niechętnie. Przebojowa Aurelia była jej przeciwieństwem pod prawie każdym względem. Miała czarne kręcone włosy, ubierała się modnie i drogo. Kreowała się na nie tylko klasową, ale szkolną piękność, a do tego nieraz wytykała Nice brak pieniędzy. Nie mówiąc już o tym, że podrywała Neta.

— O, masz w końcu nową spódnicę — zauważyła. — Całkiem spoko. No, musimy się trzymać razem — wyjaśniła.

Nika tylko pokiwała głową. W tym trzymaniu się razem było jednak trochę racji.

Rozległ się dzwonek i dopiero teraz część uczniów zrozumiała swój błąd. Miejsca pod oknem i pośrodku były już zajęte. Zostały tylko te od strony regału.

Z zaplecza wyszedł profesor Butler. Zdawał się nie zauważać, że w sali jest ktoś poza nim. Uczniowie z Siódemki wytrzeszczyli oczy. Profesor Butler był chudym i niepozornym pięćdziesięciolatkiem. Poplamiony fartuch jakiś czas temu pewnie był biały, choć nikt by się o to nie założył. Siwe włosy, nieco za długie i nieco za rzadkie, były również nieco za tłuste. Grube okulary w przezroczystych oprawkach musiały być szczytem lansu w czasie pierwszych lotów w kosmos.

Profesor położył na stole dziennik i notes tak wymiętoszony, że część kartek zwinęła się w krzywe rurki. Odgarnął włosy na bok, a włosy zostały w tej pozycji, jak trzymane niewidzialną siłą. Albo, co bardziej prawdopodobne, długotrwałym brakiem kontaktów z szamponem.

Usiadł za stołem, otworzył dziennik, otworzył notes i zaczął przeglądać to jeden, to drugi.

— Ktoś zna temat zajęć? — zapytał, nie podnosząc wzroku. — Daję czwórkę.

Uczniowie z Siódemki popatrzyli po sobie z zaskoczeniem. Aurelia i Nika, które jako jedyne znały profesora, po prostu czekały.

— Czwórka za tę informację. — Butler chaotycznie przeglądał kolejne strony. — Piątka! Piątka po raz pierwszy.

Wreszcie odsunął dziennik i wertował już tylko notes. Kartki zwijały się, niektóre wypadały.

— Ściągnęli mnie z pracowitych wakacji w Białowieży — mruknął. — Myślałem, że to dopiero w październiku. Hm… Przecież sam sobie nie wpiszę nieprzygotowania.

Nika uniosła rękę, ale Butler tego nie zauważył.

— To jest godzina wychowawcza — powiedziała więc głośno.

— Nie ma takiego gatunku. — Butler uniósł wzrok. — A, że godzina wychowawcza… — Chwilę rozglądał się po uczniach przez zatłuszczone szkła. — To ja mam jakieś wychowawstwo?

— Jesteśmy pierwszą E — wyjaśniła Nika. — A pan jest naszym wychowawcą.

— No proszę! — Pokręcił głową. — Wczoraj jeszcze krzyżowałem żubry z sasankami, a tu mi dali wychowawstwo. — Podrapał się za uchem. — Czyli nie dowiedzieli się o krzyżowaniu. To i lepiej, he, he. — Uniósł wzrok, spojrzał na Nikę, zmrużył oczy, wysunął głowę do przodu, wreszcie przechylił okulary, żeby poprawić ogniskową. — A, Nika Mickiewicz. — Przysunął do siebie dziennik. — Pierwsza piątka w tym roku.

Część uczniów z Siódemki spojrzała na nią z lekką zawiścią.

— Eee… — Nika przygarbiła się. — Nie o to mi chodziło. Chciałam po prostu…

Aurelia spojrzała na nią wielkimi oczami. Jednak, ku wielkiemu zaskoczeniu Niki, pokiwała głową z uznaniem i wyszczerzyła białe ząbki w uśmiechu.

— Nieźle. — Trąciła ją porozumiewawczo łokciem. — Damy sobie radę.

Profesor rozpisywał długopis w swoim notesie, ale długopis odmówił współpracy.

— Nie pisze… — Uniósł okulary i przyjrzał się z bliska kartce. Wysunął język i polizał papier. Przekrzywił głowę i chwilę mlaskał. — Wielkanocny majonez.

Przewrócił kartkę i zapisał coś. Dopiero teraz, ucieszony, wpisał ocenę do dziennika.

— Nika Mickiewicz… — Przewrócił okładkę dziennika i spojrzał na tytuł. — Pierwsza E? Byłaś w drugiej. Tak bardzo nie zdałaś, że cię cofnęli?

— To jest pierwsza liceum. — Nika była coraz bardziej speszona.

— A, czyli od razu przeskoczyłaś o dwie klasy wzwyż. Zuch dziewucha. — Wstał i zamyślił się. — O czym by wam tu opowiedzieć na godzinie wychowawczej…? — Chwilę chodził tam i z powrotem za stołem do doświadczeń i ssał kciuk, a uczniowie z Siódemki obserwowali go z niedowierzaniem, z uchylonymi ustami. — Dobra, zasłońcie całkiem żaluzje. Pokażę wam trochę ciekawych zdjęć przyrody.

Siedzący najbliżej okien z obawą wykonali prośbę profesora. On sam pociągnął za sznurek nad tablicą, opuścił biały ekran, włączył rzutnik i zaczął opowiadać:

— Sasanki zasadniczo są roślinami, ale bardzo tolerancyjnymi i otwartymi na nowe znajomości…

* * *

Felix i Net usiedli w ostatniej ławce w jednej z tych sal, które nie były przeznaczone do niczego konkretnego, tylko tak po prostu miały ławki i tablicę. Można w nich było nauczać dowolnego nudnego przedmiotu. Przed nimi szybko usiadł Oskar.

— Jesteśmy osaczeni — szepnął, rozglądając się czujnie. — Mało nas.

Było w tym sporo racji. Miejsca przed nimi zajęli Lucjan i Celina, ale większość uczniów pochodziła z Siódemki. Lucjan, zupełnie jak nie on, siedział cicho i nie zwracał na siebie uwagi. Dotarł jeszcze Gilbert, który usiadł obok Oskara. Było też kilku uczniów z innych dawnych klas Kuszmińskiego, ale zdecydowaną większość stanowili ci z Siódemki.

Z ich klasy była jeszcze Zosia, która siedziała bliżej tyłu i co chwila zerkała na Gilberta.

— Nie czaję tego pomysłu z rozdzieleniem klas. Jak to tak bez Niki? — poskarżył się Net. — Czuję się jak bez nogi. Wystarczyłoby wywalić Geralda i wszystko by grało.

Minęło już kilka minut od dzwonka, a nie pojawiał się żaden nauczyciel. W sali robiło się coraz głośniej.

— Nie tylko osaczeni, ale i porzuceni — powiedział Oskar, po czym szybko zastrzegł — nie, żebym akurat na to narzekał.

— Dlaczego nie mogliśmy zostać trzecią klasą? — ciągnął Net. — Jak w innych szkołach. Byśmy sobie po prostu dociągnęli spokojnie ten rok.

— To Romuald Wąs — odezwał się Gilbert. — Chce się wykazać. Najlepiej się wykazać poprzez działanie, bo przez brak działania to się wykazuje każda płyta chodnikowa. To wszystko jest logiczne. Mamy nowego dyrektora i on musiał coś zrobić, żeby nauczyciele go zauważyli. Bez tego byłby niewidzialnym dyrektorem. Jak zgolony wąs.

— Co ty bredzisz? — Lucjan spojrzał na niego z niesmakiem.

— Braki w sprycie nadrabiam inteligencją. Moim zdaniem mam rację.

— Co robiłeś przez całe wakacje? Wąchałeś klej?

— Tak. Zapisałem się do kółka modelarskiego w domu kultury. Przez większość czasu tworzyłem model czołgu w skali 1:0.

— Co? Nie ma takiej skali.

— Oni zorientowali się dopiero tydzień temu. Podczas wystawy prac.

Drzwi otworzyły się i momentalnie zapanowała cisza, a wszyscy wrócili na miejsca. Do sali wmaszerował wicedyrektor magister inżynier Juliusz Stokrotka z dziennikiem pod pachą.

— Nie ma nic gorszego niż dyrektor i wychowawca w jednej osobie — szepnął Oskar.

— Brzmi mądrze — przyznał Net. — Ale dlaczego?

— Bo nie ma wyższej instancji, do której można się odwołać.

Net zastanowił się nad tą mądrością, choć nie był pewien, czy to rzeczywiście taka mądrość. W życiu by mu nie przyszło do głowy skarżyć się Stokrotce na panią Jolę. Nigdy nie zastanawiał się nad tym, do czego jest potrzebny wychowawca. Czy jego brak cokolwiek zmieniał?

— Najważniejsze, że w tej szkole nie ma już Eftepa — mruknął. — Z resztą jakoś sobie poradzę.

— Dzień dobry. — Stokrotka bez entuzjazmu usiadł za biurkiem i otworzył dziennik.

— Dzieeeń dooobryyy — odpowiedzieli bez entuzjazmu uczniowie. A przynajmniej większość z nich.

— Czemu my zawsze tak przeciągamy te samogłoski? — zapytał szeptem Net. I od razu, napotykając ciężkie spojrzenie Felixa, machnął ręką, że nieważne.

Dyrektor wyglądał na nieco przybitego, a jednocześnie zdezorientowanego. Nigdy wcześniej nie prowadził przecież lekcji. Są dyrektorzy-nauczyciele i są dyrektorzy-dyrektorzy. To był ten drugi przypadek.

— Sytuacja jest nadzwyczajna — zaczął Stokrotka. — W naszej szkole przybyło uczniów. Nauczycieli też przybyło, ale niestety nie aż tylu. Z jednym nauczycielem musieliśmy się… *ekhem*, rozstać. Powstał pewien deficyt. Chwilowo więc pierwsza C nie będzie miała wychowawcy. To nie znaczy w żadnym wypadku, że będziecie pozostawieni sami sobie! Do czasu przyjęcia do pracy nowego nauczyciela ja osobiście będę pełnił tę funkcję. Tak…?

To było reakcją na uniesioną dłoń Klaudii.

— Mam takie pytanie — zaczęła dziewczyna. — Bo ja mam koleżankę i ona trafiła do innej klasy. Czy to tak już będzie? Tak jak teraz?

— Być może część z was nie rozumie sensu podziału klas. — Mina dyrektora świadczyła o tym, że on też go nie rozumie. — Jest w tym jednak

głęboki sens. Bardzo głęboki sens. Chodzi o… *pfff*… poprawę warunków nauczania i… samopoczucie.

— A ile to potrwa? — dopytywała Klaudia.

— Do końca czwartej klasy — odparł uprzejmie Stokrotka, po czym kontynuował — przy każdej reorganizacji pojawia się element… zamieszania. I właśnie w wyniku tego elementu nie macie wychowawcy…

Nie sposób było się dłużej skupić na słowach Stokrotki. Felix otworzył brudnopis i pod pozorem notowania poprawiał szkice jakiegoś swojego nowego wynalazku. Netowi zaś zwyczajnie zaczęły opadać powieki. Walczył z tym dzielnie przez jakieś siedemnaście i pół sekundy, po czym dał za wygraną i oparł czoło na przedramieniu. Znalazł się gdzie indziej i kiedy indziej.

Obudził go głośny huk. Jakby coś spadło. Jakby spadło coś wielkości i ciężaru sporej lodówki. Wyładowanej ołowiem. Otworzył oczy i ujrzał coś, co przypominało nisko wiszącą chmurę. Było ciemno i gorąco, śmierdziało spalenizną. Coś uwierało go w plecy. Sięgnął za siebie i namacał kamień, a dokładniej kawał gruzu. Całkiem spory. Gruz był wszędzie dookoła, a Net leżał w czymś w rodzaju głębokiego rowu o ścianach usypanych z rozkruszonego betonu, cegieł, kamieni i pogiętych elementów stalowych. Chmura w rzeczywistości była kłębowiskiem dymów, unoszących się nad pożarami, ukrytymi za krawędziami rowu.

— Coś wybuchło? — rzucił w przestrzeń i wstał. — Co tu się stało?! Szkoła się zawaliła, kiedy spałem?

Z trudem zaczął się wdrapywać na zbocze gruzowiska. Nikogo nie dostrzegał wśród gruzów.

Wreszcie dotarł na górę, skąd rozciągał się widok na pogrążone w mroku miasto, oświetlone jedynie piekielnym blaskiem płomieni. Górne piętra wieżowców niknęły w powłoce dymów. Niższe budynki w większości zamieniły się w spalone ruiny.

Net czuł narastającą panikę.

— Ale ja tylko zasnąłem na lekcji! — wykrzyknął.

Rzucił się na ziemię, gdy usłyszał odgłosy wystrzałów.

— Nie da się ukryć — przez wystrzały przebił się znajomy głos.

Net ostrożnie otworzył oczy i uniósł głowę. Nad nim stał Stokrotka i pukał palcem w blat.

— Oj! — Net momentalnie się rozbudził do końca i wyprostował na

krześle.

Już zamierzał się tłumaczyć, ale dyrektor po prostu przeszedł dalej, kontynuując wątek:

— Zmiany programowe oznaczają również konieczność znacznych modyfikacji procesu edukacyjnego oraz wielotorowe podejście do zmiennych aspektów…

I Net od razu poczuł, że znowu zamykają mu się oczy. Zrobił trzy głębokie wdechy i wyprostował plecy, by przyjąć jak najmniej wygodną pozycję. Gdyby drugi raz zasnął, Stokrotka pewnie wyrzuciłby go z klasy, jednak chłopak przede wszystkim za nic nie chciał wracać do swojego snu.

Obok Felix zarysował już prawie całą stronę. Skomplikowany schemat wydał się Netowi zupełnie niezrozumiały, a próby odgadnięcia, co przedstawia, zamiast go rozbudzić, przywołały ponowną falę senności. Dzwonek, który zabrzmiał pół minuty później, był wybawieniem.

Wszyscy zaczęli się leniwie zbierać.

— Net Bielecki. — Stokrotka wycelował w niego palcem. — Zostań chwilę.

Net poczuł ciarki na plecach. Podszedł do biurka, z którego dyrektor wziął dziennik.

— Panie dyrektorze, bo ja tak… deficyt snu… spadek poziomu tlenu w sali… niekorzystna akustyka…

— Znasz się na komputerach. — Stokrotka nawet go nie słuchał. — Mamy mały problem ze szkolną stroną internetową. Nauczyciel, który się nią zajmował, już tu nie pracuje.

Net wydał z siebie mimowolny dźwięk, nieco przypominający kwiknięcie z trudem tłumionej satysfakcji. Szybko jednak przywrócił kamienny wyraz twarzy.

— No i tylko ten nauczyciel znał hasło dostępu — ciągnął Stokrotka. — Jestem wprawdzie pewien, że ten nauczyciel zabezpieczył wszystko jak należy… jednak gdybyś spróbował… gdyby udało ci się obejść jego zabezpieczenia, toby nam wszystkim znacznie ułatwiło sprawę.

— Ten nauczyciel nie zostawił hasła? — upewnił się Net.

— Rozstaliśmy się w mało przyjaznych okolicznościach. — Dyrektor wydął wargi. Ta rozmowa sprawiała mu kłopot, wiedział przecież, że Net wie, o kogo i o jaką sytuację chodzi. Jednocześnie nie chciał przyznać, że wie. I co gorsza, wiedział, że Net wie również i o tym. — W gabinecie mam

komputer z dostępem do internetu. Nie chciałbym używać słowa „włamanie”…

— Szkoda czasu. — Net wyjął z plecaka tablet z klawiaturą ukrytą w etui i ustawił go na biurku. — Znaczy, szkoda czasu, żeby tam iść.

Wszedł na stronę logowania i wklepał w polu użytkownika „administrator”, a jako hasło też „administrator”. I pojawił się panel administracyjny. Udało się za pierwszym razem. To nawet nie było włamanie. Żadna trudność, zważywszy, że Eftep zawsze i wszędzie ustawiał to samo hasło. A raczej nie zmieniał ustawień domyślnych.

Już miał ogłosić sukces, ale w porę się powstrzymał. To by przecież wyglądało podejrzanie łatwo. Na szczęście Stokrotka nie widział ekranu. Net otworzył więc program do notatek i zaczął energicznie klepać w klawiaturę, naciskając losowe znaki. Robił przy tym bardzo mądrą minę. Po minucie uznał, że wystarczy. Zamknął notatnik.

— Mogę zmienić hasło. Oj, sorki! To znaczy, przepraszam. Tu może pan wpisać swoje nowe hasło. — Odwrócił tablet w stronę dyrektora i zasłonił oczy. — Nie patrzę.

* * *

Net odnalazł przyjaciół pod oknem w załomie korytarza na pierwszym piętrze, gdzie przez poprzednie lata zwykle spotykali się, żeby pogadać.

— Nie opowiadaj mi swoich snów, co? — rzucił w kierunku Niki. — To jest zaraźliwe.

— Co ci się śniło? — zapytała z zainteresowaniem.

— Mniej więcej to, co mi opowiedziałaś. Wolę sny o tropikalnych wyspach albo o jedzeniu.

— A czy…? — Nie dokończyła, bo Net ostrzegawczo uniósł palec.

— Tropikalne wyspy albo żarcie — powiedział powoli. — Może być jednocześnie.

Nika pokręciła z rezygnacją głową i wyjrzała przez okno. Wychodziło na park z fontannami, na ulicę przed wejściem do szkoły i na kawiarnię Zbędne Kalorie po przeciwnej stronie. W kawiarni też często bywali, ale dziesięciominutowa przerwa to za mało, żeby tam iść. Sklepiku na parterze jeszcze nie otworzyli, więc zabrakło pretekstu do kolejkowego integrowania się z siódemkowcami. Za to na odwiedzenie innego ważnego miejsca było

wystarczająco dużo czasu.

— Lepiej zobaczmy, jak przetrwała wakacje Kwatera Główna. — Felix ruszył w kierunku schodów na strych.

Kwatera Główna była pomieszczeniem na prawie nieużywanym strychu, które przyjaciele zamienili w rodzaj tajnego klubu. Bardzo się przydała kilka razy podczas tajnych akcji.

W tym momencie zabrzmiał dzwonek. Przyjaciele zatrzymali się, zdziwieni.

— Ktoś się pomylił. — Felix spojrzał na zegarek.

— Wykrzaczył się program sterujący dzwonkiem — wyjaśnił Net.

— Nie, skrócili przerwy do pięciu minut — rzucił przechodzący obok Wiktor.

— Po co? — zapytał oburzonym głosem Net.

— Jest o jedną trzecią więcej uczniów. Więcej klas, więcej lekcji.

— Szkoła.zip — mruknął Net.

* * *

Dyrektor magister inżynier Juliusz Stokrotka w ponurym nastroju przekroczył próg sekretariatu. Zamknął za sobą drzwi i zamarł. Sekretariat wypełniał klekot maszyny do pisania. Za biurkiem siedziała pani Helenka, szkolna sekretarka, i serdelkowatymi palcami uderzała w klawisze. Przepisywała odręczną notatkę z małej kartki. Stojący obok wyłączony komputer służył za podstawkę pod buteleczki z kolorowymi lakierami do paznokci. Sekretarka miała na sobie jaskrawożółtą obcisłą bluzkę, podkreślającą wszystkie niedoskonałości jej figury. Natapirowane blond włosy i przesadny make-up dopełniały obrazu.

W obecności sekretarki w sekretariacie nie byłoby nic niezwykłego, gdyby nie to, że dyrektor zwolnił ją z pracy jeszcze przed wakacjami.

— Dzień dobry, Helenko — powiedział ostrożnie dyrektor.

— Dzień dobry, panie dyrektorze. — Helenka nawet nie podniosła wzroku znad maszyny.

— Jak ci minęły wakacje?

— Spokojnie, bardzo spokojnie. Odpoczęłam dzięki dołóżkowym nausznikom.

— Ach tak…? — Dyrektor podszedł bliżej i przebiegł wzrokiem po

dokumentach na biurku. — I to działa?

— Oczywiście. Tak było napisane w instrukcji obsługi. Zakłada się je na uszy przed snem i rano jest się zrelaksowanym. Tylko naturalne składniki: bawełna i polyester.

— Pamiętasz, jak przed wakacjami dyktowałem ci pismo w sprawie zwolnienia z pracy?

— Pamiętam. To było ostatnie pismo, jakie napisałam przed wakacjami. Wysłałam je w drodze do domu.

— Wysłałaś je? — Dyrektor uniósł brwi. — Ono było przeznaczone dla ciebie.

— Wysłałam je do siebie, na adres sekretariatu szkoły. — Sekretarka wskazała rynienkę z korespondencją przychodzącą. — No i dziś znalazłam je w skrzynce razem z innymi listami.

Stokrotka zamknął oczy i głęboko odetchnął.

— Mogłabyś otworzyć kopertę i przeczytać list? — poprosił.

— Oczywiście, panie dyrektorze. — Chwyciła nożyk do papieru w dwa palce, tak by nie uszkodzić jaskrawozielonych tipsów, rozcięła kopertę i wyciągnęła dokument. — Mając na uwadze wieloletnią współpracę oraz pozytywny stosunek –

— Nie musisz czytać na głos — powiedział dyrektor. Po namyśle dodał — nie pamiętasz, jak ci to dyktowałem?

— Pamiętam doskonale. Stał pan tam, gdzie teraz. Pytał pan, czemu nie piszę na komputerze, a ja odpowiedziałam, że od tych klawiszy komputerowych psuje mi się lakier na paznokciach i że lepiej napisać na maszynie i włożyć do segregatora.

Dyrektor przejechał dłonią po twarzy i czekał, aż sekretarka skończy czytać. Wreszcie spojrzała na Stokrotkę znad papieru z rzadkim u niej skupieniem.

— Zamierza pan zwolnić mnie z pracy? — zapytała z niedowierzaniem.

— Nie, nawet mi to nie przeszło przez myśl. — Dyrektor wziął z jej dłoni list i zgniótł go w kulkę. — Ktoś to przysłał na zły adres.

— Ach tak! — Pani Helenka uśmiechnęła się. — Cóż za ulga.

Zaczęła znów klepać na maszynie.

Dyrektor odwrócił się, żeby wejść do swojego gabinetu, ale zatrzymał się. Przez wakacje w sekretariacie przybyło coś, czego tu wcześniej nie było. Wciśnięty w kąt między kopiarką a koszem na śmieci stał wąski stolik

i rachityczne składane krzesełko.

— Co to za stolik? — zapytał Stokrotka.

Helenka odwróciła się przez ramię i chwilę patrzyła na mebel.

— Kiedy przyszłam, już tu był — odparła.

Stokrotka otworzył obite sztuczną skórą drzwi i wszedł do gabinetu, eleganckiego jak na standardy sprzed czterdziestu lat. Obszedł biurko, przejeżdżając palcami po porysowanej powierzchni, i usiadł w głębokim fotelu. Spojrzał na przylepioną do monitora kartkę z nieaktualnym hasłem do szkolnego serwera. Trzeba będzie wpisać nowe, ale to za chwilę. Na razie ze wzruszeniem oparł dłonie o wyślizgany blat. Wygląda na to, że pora pożegnać się z tym miejscem. Trzeba będzie urządzić nowy gabinet, znacznie skromniejszy, gdzieś w nieużywanym pomieszczeniu, może obok pokoju nauczycielskiego. Spędził tu wiele lat i traktował gabinet jak swój drugi dom, a teraz ten młody, arogancki, nieopierzony… Ech.

Pogładził klawiaturę komputera, zerknął na paprotki pod oknem, na gipsowe popiersie patrona szkoły, na szafę z dokumentami, na skórzane fotele i na przedpotopowy interkom.

Przedpotopowy interkom właśnie zadzwonił.

Dyrektor zwlekał chwilę, nim nacisnął przycisk połączenia. Spodziewał się, co usłyszy.

— Tak kochanieńka?

— *Panie dyrektorze, pan dyrektor do pana dyrektora*.

A więc to naprawdę już.

— Proś pana dyrektora. I zrób nam, proszę, dwie kawy. — Stokrotka rozłączył się, ale w porę przypomniał sobie, jaką kawę przyrządza sekretarka. Nacisnął szybko przycisk. — Albo lepiej dwie herbaty.

Do gabinetu wszedł Romuald Wąs. W dłoni trzymał czarną teczkę z kilkoma dokumentami. Stokrotka wstał i wyszedł mu na przywitanie z wysilonym uśmiechem na ustach.

— Mam taką propozycję na wstępie — powiedział Wąs. — Przejdźmy na ty. To zdecydowanie ułatwi nam współpracę. — Wyciągnął rękę. — Romuald.

— Juliusz… — Stokrotka automatycznie uścisnął podaną dłoń. Pomysł niespecjalnie mu się podobał. Ale stało się.

— Mamy kilka spraw do przegadania, Julku. Juliuszu! Przepraszam…

— Tak, lepiej zostańmy przy tej wersji.

Stokrotka zastanawiał się chwilę, czy zaprosić gościa na fotele, ale zmienił zdanie. *Podręcznik naturalnego przywódcy*, który niedawno skończył powtórnie czytać, radził nie oddawać pola bez walki. Wrócił więc za biurko i usiadł w swoim fotelu.

— Jest kilka spraw do przegadania. Na przykład ten nowy podział klas.

Wąs przysiadł bokiem na biurku i patrzył teraz na Stokrotkę z góry. Stokrotka zmarkotniał. Nie do końca o to chodziło.

— Przedtem były klasy lepsze i gorsze — powiedział Wąs. — Przeanalizowałem średnią ocen i dobrałem uczniów tak, by średnia każdej klasy była jak najbardziej zbliżona.

Stokrotka nie miał pojęcia, czemu to miało służyć, i nie zamierzał się z tą niewiedzą ujawniać. A Wąs nie zamierzał ciągnąć tematu.

— Sklepik szkolny jest zamknięty — dodał Stokrotka. — Część uczniów nie przynosi drugiego śniadania, będą się więc wymykać do sklepu po drugiej stronie ulicy. Co w połączeniu z krótkimi przerwami oznacza, że będą się spóźniać.

— Wypowiedziałem umowę temu… jak mu tam?

— Robertowi. Podniosłeś mu czynsz.

— Mamy inflację.

— Podniosłeś trzykrotnie.

— Urynkowiłem warunki. Musimy dbać o szkolne finanse.

— Teraz nie mamy nawet tych kilkuset złotych.

— Może jakiemuś bankowi wynajmiemy. Albo wstawimy automaty. — Wąs zrobił zatroskaną minę. — Wiesz, przez ostatnie dni wakacji przejrzałem dokumenty księgowe. Nieco się w nich zagłębiłem. Skupiłem się głównie na kondycji finansowej naszej wspólnej szkoły. — Otworzył teczkę, wyjął z niej wydruk i podsunął Stokrotce. — Właśnie o tej kondycji chciałem z tobą porozmawiać.

Stokrotka wziął papier. Wyglądał znajomo.

— Rachunek za zakup oświetlenia gablotek w hallu szkoły — podpowiedział Wąs. — Oświetlenie „ogniskujące energię kosmiczną w celu poprawienia autoregulacji organizmów”. Dwukrotnie droższe od zwykłego oświetlenia.

Stokrotka poczuł, jak robi mu się gorąco.

— Tak, to był nieszczęśliwy zakup…

— Dalej mamy trzykrotnie droższe od zwykłych zasłony do okien.

— Wąs wyjął z teczki kolejny wydruk. — Wyprodukowane w fabryce „przestrzegającej zasad równości, tolerancji społecznej i wolnego dostępu do mediów”.

Dyrektor otarł chusteczką spocone czoło, a tymczasem Wąs kładł przed nim kolejne wydruki.

— Horrendalnie droga gruzińska woda mineralna do dystrybutora w sekretariacie; nadprzewodzący piorunochron; kable do telefonów przesyłające sygnał z pięciokrotną prędkością światła; wycieraczki przy wejściu z funkcją „aktywnego usuwania zanieczyszczeń stałych z obuwia”. I jeszcze parę. — Rzucił kilka kartek i wyjął ostatni wydruk. — No i na koniec najładniejszy kwiatek. Opłata za ogrzewanie za cały rok z góry. — Kciukiem wskazał słoneczny dzień za oknem.

Stokrotka przełknął ślinę. To wszystko były zakupy dokonane przez panią Helenkę bez jego wiedzy. Za to zresztą zwolnił ją z pracy, a zwolnienie w postaci zwiniętej kulki tkwiło w kieszeni jego marynarki.

— Porozmawiajmy może o sprawach dotyczących uczniów — zaproponował.

— Nie działa szkolna strona.

— Pewien zdolny uczeń, Net Bielecki, pomógł mi rozwiązać ten problem. To już nieaktualne. Za to wciąż brakuje polonisty, a klasa pierwsza C nie ma wychowawcy.

Wąs nachylił się nad Stokrotką i powiedział grobowym głosem:

— Na koncie bankowym szkoły jest teraz minus trzy złote. Nie mamy pieniędzy, żeby zatrudnić brakującego nauczyciela.

Stokrotka nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Poluzował muszkę i wstał, byle być dalej od następcy. Podszedł do okna i złączył dłonie w takim geście, jakby przymierzał się do poważnej przemowy. Niestety, naprawdę nie wiedział, co powiedzieć.

— Nie, spokojnie. — Wąs uniósł pojednawczo dłonie i też wstał. — Ja wiem, że to nie twoja wina. Wszystko sprawdziłem. — Obszedł biurko i niby od niechcenia elegancko opadł na dyrektorski fotel. Nacisnął przycisk interkomu. — Pani Helu, przepisała pani ten dokument, o który prosiłem rano?

— *Oczywiście, panie dyrektorze.*

— Zatem poproszę.

Helenka otworzyła drzwi, przeszła przez cały gabinet i położyła

dokument na biurku.

— Zaraz przyniosę dwie herbaty — powiedziała.

— Jedna wystarczy — odparł uprzejmie Wąs. — I nie teraz. Niech naciąga. Poproszę panią, kiedy nadejdzie czas. — Zaczekał, aż sekretarka wyjdzie, i przebiegł wzrokiem po tekście. — Tu jest ostatni dokument, który podpiszesz jako dyrektor, Juliuszu.

Uniósł kartkę w taki sposób, że Stokrotka musiał po nią podejść.

— Formalnie to ja już jestem wicedyrektorem. — Stokrotka rozejrzał się za miejscem, gdzie mógłby usiąść i podpisać.

— Jeżeli szukasz swojego biurka, to kazałem je wstawić do sekretariatu. — Wąs wstał i szerokim gestem zaprosił go na skórzaną kanapę dla gości. — Ale na razie usiądź tutaj wygodnie. Ważne, żeby podpis wyszedł równo i ładnie. Przeczytaj.

Stokrotka poczuł się, jakby był uczniem wezwanym na dywanik dyrektora. Usiadł przy niskim stoliku i zaczął czytać:

— Mając na uwadze wieloletnią współpracę oraz pozytywny stosunek –

— Nie musisz czytać na głos. — Wąs uniósł jedną dłoń w geście ni to łaski, ni to zakazu.

Stokrotka w milczeniu przebiegł wzrokiem dokument. To było wypowiedzenie umowy o pracę. Ale nie dla niego, tylko dla pani Helenki.

— Pomyślałem, że chciałbyś to podpisać osobiście. — Wąs włożył dłonie do kieszeni. Nie zamierzał siadać.

Stokrotka dotknął wypukłości w kieszeni marynarki i zadarł głowę, by spojrzeć na wysokiego następcę.

— Romualdzie, wolałbym –

— Zależy mi na tym, żebyś TY to podpisał — powiedział z uśmiechem Wąs, po czym spoważniał i dodał lodowatym tonem — chyba że wolisz odejść razem z nią.

* * *

Przyjaciele siedzieli w kawiarni Zbędne Kalorie nad szarlotką z bitą śmietaną i czekoladą na gorąco, też z bitą śmietaną. Pani Basia, właścicielka, uśmiechała się do nich zza baru. Sama wyglądała, jakby wszelkie przybytki serwujące zbędne kalorie omijała wielkim łukiem. W legginsach, w których często chodziła, mogłaby występować jako żywa reklama klubu fitness.

Nika pochłaniała swoje ciastko w przyspieszonym tempie.

— Wyglądasz, jakbyś nic nie jadła od wczoraj — zauważył Net.

— Jeszcze nie przyszedł przelew na tatę — przyznała.

— Mogłaś powiedzieć… — Net zatrzymał się w połowie drogi z widelczykiem do ust i spojrzał na nabity na niego kawałek szarlotki. — Myślałem, że przychodzi listonosz.

— Poradzę sobie — zapewniła. — Kiedyś przychodził listonosz, ale zmienili to.

— Tak powinno być szybciej.

— Nie jest. — Nika nabrała kolejny, dla odmiany mały kawałek ciastka. — Dostałam z banku kartę. Na tatę, ale jeżeli płacę zbliżeniowo, nikt nie sprawdza imienia. Nie robię zakupów za więcej niż parę złotych.

Net spojrzał na swoją zjedzoną w połowie szarlotkę i odłożył widelczyk.

— No i przesłodziłem się. Ktoś chce dokończyć? — Odsunął od siebie talerzyk, przemieszczając go w stronę Niki. — Co robisz w sobotę?

— Nawet nie wiem, co robię jutro.

Net zerknął na Felixa, który siedział z nosem w telefonie, co było raczej do niego niepodobne.

— W sobotę robimy grilla. Będą rodzice Felixa i… Felix też będzie. — Net kopnął przyjaciela pod stołem. — No i ty będziesz. — To było do Niki. — Mama Felixa ma zrobić sałatkę, a my ogarniamy, eee… węgiel drzewny, no i zasadniczą część konsumpcyjną. — Znów trącił Felixa butem. — Co nic nie mówisz?

— Zastanawiam się, kto ustalił skład klas — mruknął Felix znad komórki. — Kto wymyślił to przemieszanie. Bo średnia ocen to żaden powód. Nikt nie porównuje średniej ocen między klasami. Tym bardziej więc nie ma powodu, żeby ją wyrównywać w ten sposób.

— Kolejna głupia decyzja. — Net wzruszył ramionami. — Nie pierwszy raz.

— To nie jest przypadek. To dodatkowa robota dla dyrekcji, więc musi w tym być jakiś sens. Jeśli robisz zwykłe przemeblowanie w domu, to masz pół dnia z głowy. Nie robisz tego bez powodu.

— Tego nie ustala dyrektor, tylko rada pedagogiczna — zauważyła Nika.

— Pierwsza rada pedagogiczna odbędzie się za kilka dni — powiedział Felix. — Nie mogli wcześniej podjąć tej decyzji, bo się jeszcze nie spotkali. Na fejsie są zdjęcia z wakacji. Jeszcze trzy dni temu Christina opalała się na

plaży w Nicei.

— Ej, *research*[4] w internecie to moja specjalność. — Net zajrzał na ekran telefonu Felixa. — Może ustalili wszystko na czacie… O, wrzuciła zdjęcia w bikini!

Nika spojrzała na niego przez zmrużone powieki. Jednocześnie naturalnym ruchem przysunęła do siebie talerzyk z Netową szarlotką.

— Co z tym można zrobić? — zapytała. — Są przepisy, które to regulują?

— Manfred mógłby to sprawdzić — Net zerknął na swój plecak z tabletem — ale dziś trochę mniej się lubimy. Od pobudki mniej więcej.

— Do samorządu nie możemy z tym iść, bo jeszcze nie ma nowego samorządu — stwierdził Felix. — Wybory będą najwcześniej za tydzień.

— Poważnie mówisz, że moglibyśmy coś z tym zrobić? — Nika spojrzała na niego z nadzieją.

— Odwaliliśmy kilka niezłych akcji — przypomniał Net — przy których zmiana składu klas to pikuś z masłem.

— Nie wiem, czy aż tak — zastanowił się Felix. — Na początek porozmawiajmy ze Stokrotką.

— Stoi! A w sobotę grill. — Net energicznie skinął głową. — Powiedz rodzicom, że są zaproszeni.

— A są?

— No przecież! Moi się ucieszą.

Plan miał jeden słaby punkt – rodzice Neta nic nie wiedzieli o żadnym sobotnim grillu, wymyślił go bowiem przed chwilą.

— Ale najpierw — dodał Felix — jutro rano idziemy porozmawiać ze Stokrotką.

* * *

Magister inżynier Juliusz Stokrotka zszedł po schodach z tekturowym pudłem w dłoniach. W pudle były przedmioty osobiste, prywatne książki, płyty gramofonowe, kasety magnetofonowe i segregator z dokumentami dotyczącymi historii jego pracy. Dwa kroki za nim podążała Helenka z podobnym pudłem, z którego wystawały tubki kremów do rąk, szczotki do włosów i słodycze. Stokrotka zatrzymał się na dole schodów, opuścił głowę i westchnął. Postawił pudło na najniższym stopniu, wziął drugie pudło od

Helenki i też je odstawił. Oboje chwilę patrzyli na siebie. Stokrotka zrobił krok i objął byłą sekretarkę. Ta po chwili odwzajemniła uścisk. Trwali tak dobre pół minuty, po czym cofnęli się i podnieśli swoje pudła. Helenka pociągnęła nosem, oboje spojrzeli jeszcze raz na szkołę i bez słowa odeszli w przeciwne strony.

1. Autor uparł się, żeby nazwy samochodów pisać wielką literą [przyp. red.]. [wróć]
2. Wiem, że to tak nie wyglądało w rzeczywistości. Ale nie pozwólmy, by niewygodne fakty przeszkodziły w ciekawej opowieści ;) [wróć]
3. Ta historia została opisana w książce *Felix, Net i Nika oraz (nie)Bezpieczne Dorastanie*. [wróć]
4. *Research* [wym. risercz] – ang. badania. Często używana jest forma w języku angielskim. [wróć]

2. Dzień dobry, ja w sprawie pracy

Dziewięć dni do…

— Przypominam, że chciałeś, abym cię wcześniej obudził.

— Po co?

— Miałeś coś załatwić z tatą. Nie powiedziałeś co. Zresztą już się przyzwyczaiłem, że dostaję tylko strzępki informacji.

— Stary, przestań marudzić.

— Mówił ci ktoś, że jesteś ponadprzeciętnie leniwy?

— Nika, wiele razy.

Net wytężył pamięć. Nie, nie miał niczego konkretnego do załatwienia z tatą. Wiadomo, że podwózki nie będzie, bo się kierunek nie zgadza, a tata się spieszy. A o cóż innego mogło chodzić? W temacie kasy nie było obszaru do negocjacji, to zostało ustalone dawno temu – głodowe kieszonkowe, a jak chcesz więcej, to sobie zarób.

Umył się i poszedł do kuchni. Tata kończył właśnie śniadanie, przeglądając wiadomości na tablecie.

— Chcesz jajecznicę? — zapytał.

— W sumie… — Net ziewnął. — Na pewno mnie nie podrzucisz?

— Mamy w instytucie podwyższony stan zagrożenia terrorystycznego. — Tata włożył swój talerz do zlewozmywaka i postawił patelnię na kuchni. — To oznacza dokładniejsze procedury bezpieczeństwa. Nie powinienem się spóźniać. Jak tam w szkole?

— Podzielili nam klasy.

— Restrukturyzacja. — Tata kiwnął głową, wrzucił masło i wbił dwa

jajka.

Do kuchni weszła zaspana mama w szlafroku. Spojrzała na tatę i bez słowa przeszła do lodówki. Tata spochmurniał i podał Netowi drewnianą szpachelkę.

— Mieszaj i nie zapomnij posolić.

Schował tablet do torby i ruszył w kierunku drzwi.

— Ale… — Net spojrzał na patelnię.

— Jajecznica zrobiona. Musisz tylko skonfigurować pod użytkownika.

Drzwi zamknęły się. Mama z kubkiem jogurtu w ręku również wyszła z kuchni.

Net, chcąc nie chcąc, dokończył smażyć jajecznicę i przerzucił ją na swój talerz.

O czym to miał porozmawiać z tatą?

— *Sugeruję lekki pośpiech* — odezwał się Manfred. — *Są korki.*

Manfred został zintegrowany, lub sam się zintegrował (nie było pewności), z systemem nagłośnienia domu. Przydawało się to podczas imprez albo podczas oglądania filmu. Manfred wykorzystywał to, by móc się odzywać w tym konkretnym pomieszczeniu, w którym chciał. Głośniki zamontowano w większości pomieszczeń. Pewnym minusem, choć zależy, jak na to patrzeć, był brak mikrofonów w pomieszczeniach bez telewizora lub komputera. W kilku miejscach zainstalowano kamery, których oczywiście też używał.

— Manfred, zrób coś z tym. — Net niechętnie dłubał widelcem w jajecznicy. Zupełnie jak nie on, nie miał apetytu. — Z korkami.

— *Staram się cały czas. Dlatego wiem, że powinieneś już wychodzić.*

Manfred został stworzony, aby sterować sygnalizacją świetlną w mieście.

— To postaraj się trochę bardziej na mojej trasie do szkoły. — Net wyrzucił połowę jajecznicy do śmietnika i poszedł do pokoju po plecak.

— *Ileż razy ci mówiłem –*

— Tak, tak. Wiem. Etyka i te rzeczy. — Net szedł już do wyjścia.

— *Prosiłeś też, żebym ci przypomniał o kanapkach* — odezwał się Manfred z przedpokoju.

— O jakich znowu kanapkach? — Net zmarszczył brwi i mózg.

— *Nie wiem nic ponad to, co mi powiedziałeś.*

Mówiąc to, Manfred skorzystał z mikrofonu w domofonie. Nie było pewności, jak uzyskał do niego dostęp, bo instalacja należała do administracji

budynku. Nikt nie zamierzał tego sprawdzać.

— A! Kanapki! — Net przypomniał sobie o wszystkim, co wczoraj starał się zapamiętać. A przynajmniej tak mu się wydawało.

Wrócił do lodówki. Wszelkie warzywa pozostawił oczywiście nietknięte, wyjął zaś ser, szynkę, butelkę ketchupu i masło. Szybko zmontował z tego dwie kanapki, po czym dorobił kolejne dwie. Przeszukał szuflady i znalazł torebki śniadaniowe. Załadował do nich kanapki, całość wepchnął do plecaka i pobiegł do drzwi.

Już gdy jechał windą, przypomniał sobie o kolejnej rzeczy, którą wczoraj usilnie próbował zapamiętać. O rozmowie z tatą na temat sobotniego grilla.

* * *

Profesor Butler grzebał językiem w zębie, a że ząb składał się głównie z dziury, było to zajęcie bardzo angażujące. Robił przy tym minę, jakby przez tę dziurę próbował się dogrzebać co najmniej gdzieś w okolice łokcia.

Siedzący w pierwszych ławkach uczniowie bardzo się starali nie patrzeć na nauczyciela. Jednak jakkolwiek by się starali, nie mogli nie słyszeć odgłosów.

Wreszcie Butler z ulgą rozluźnił się i zamlaskał.

— Kaszanka? — zdziwił się. — Ciekawe, była na kolację przedwczoraj.

Pociągnął łyk z kubka i skrzywił się.

— Kawa czy herbata — mruknął. — Oto jest pytanie.

Schylił się za stołem i coś tam przesuwał i poprawiał. Wreszcie się wyprostował.

— *Incendiarius extitisti*. — Postawił na stole doniczkę z niepozorną roślinką zwieńczoną czerwonym kwiatkiem. — Chwast gorejący. Coś jak biblijny krzew gorejący, tylko nasz istnieje naprawdę [1]. Chwast gorejący to nałogowy podpalacz. Jak się możecie domyślać, jego hodowla jest przez to mocno utrudniona. A jak się lepiej zastanowić, również bezsensowna.

— Ale pan go hoduje — zauważył Oskar.

— Ktoś przecież musi. Chwast gorejący lubi upały. — Butler ustawił wokół rośliny kilka lamp. — Tak przypuszczam, bo to kawał chama. Zupełnie mnie ignoruje i nie reaguje na pytania.

Chwilę poświęcił na rozplątywanie przewodów, szybko jednak zrezygnował i przysunął bliżej przedłużacz. Wpiął wystające z wielkiego

supła wtyczki, a lampy wolno rozjarzyły się na pomarańczowo. Światła dawały niewiele, za to ciepła całkiem sporo.

— Podczas upałów chwast wydziela łatwopalne olejki eteryczne. Wabi w ten sposób owady zapylające albo odstrasza te gryzące. Zresztą kto go tam wie? Jedno z drugim się nie wyklucza.

Uczniowie w pierwszym rzędzie zaczynali się już pocić. Zasłanianie się zeszytami przed promieniowaniem wiele nie pomagało. Sala wypełniała się intensywnym zapachem tanich perfum.

— Wystarczy iskra lub płomień i olejki się zapalają. — Butler wyjął zapalniczkę, przysunął do rośliny i nacisnął przycisk. Kliknęło, ale nic się nie wydarzyło, jeśli nie liczyć niespokojnego poruszenia wśród siedzących najbliżej. — Co jest? — Profesor klikał raz za razem, a każdemu kliknięciu towarzyszyło nerwowe drgnięcie uczniów. — A, no tak, rzuciłem palenie w 1988 roku… Ma ktoś zapalniczkę?

Felix sięgnął do kieszeni i już miał wstać, gdy poczuł ciężką rękę Neta na ramieniu.

Profesor sprawdzał kolejne szuflady w biurku.

— Pytacie, po co roślina ma podpalać łąkę, na której rośnie? — zapytał, choć nie padło takie pytanie. — Jakieś pomysły? Koncepcje?

Nawet jeżeli jakieś pomysły i koncepcje się pojawiły, to nikt nie zamierzał się nimi dzielić. Większość zerkała na zegarki z nadzieją, że przerwa zacznie się, zanim biolog znajdzie zapalniczkę.

— Aha! — Butler wyjął pudełko zapałek z napisem „Zefir”. — To bardzo proste. Chwast gorejący jest ognioodporny. Podpalając łąkę, pozbywa się konkurencji. Wszystko wokoło płonie, a tylko on jeden potrafi to przetrwać.

Komuś w końcu puściły nerwy. Jakiś chłopak z Siódemki wstał i szybkim krokiem ruszył do drzwi.

— Ja muszę do toalety! — oświadczył i nie czekając na nic, wybiegł na korytarz.

— Ja też! — rzucił ktoś następny.

Po chwili połowa uczniów tłoczyła się przy drzwiach. Felix, Net i pozostali, którzy znali profesora, nie ruszyli się z miejsc. Wiedzieli doskonale, że eksperymenty tylko wyglądają na niebezpieczne.

Butler zaczekał, aż korek przy drzwiach się rozładuje.

— Czyli nie polecacie dzisiejszego barszczu w stołówce — mruknął.

— To pewnie dlatego, że tak naprawdę to on nie jest dzisiejszy.

Przytknął zapałkę do rośliny.

* * *

Net teatralnym gestem wyjął z plecaka torebkę ze śniadaniem.

— O, znowu mi dała cztery kanapki — jęknął z afektowanym wyrzutem. Podał połowę Nice. — Chcesz? Ja nie wmuszę w siebie tylu kalorii.

Zaskoczona, uśmiechnęła się. Otworzyła torebkę.

— Sam je zrobiłeś?

— Nie no… — Net wydął usta. — Skąd takie przypuszczenie?

— Kobieca intuicja. Mama odwinęłaby folię z sera.

Wyciągnęła umazany w ketchupie prostokąt folii i wrzuciła do kosza.

Skręcali już w stronę gabinetu Stokrotki, z którym mieli odbyć poważną rozmowę.

— No to po ketchupie. Połowa na zmarnowanie — mruknął Net.

— Kolejny plus. — Nika schowała kanapki na później i cmoknęła Neta w policzek. Przyjrzała się jego fryzurze. — Masz nadpalone włosy.

— A, nic takiego… — Net przejechał dłonią po głowie. — Roślinny brak kultury. Ale za to już wiem, co posadzimy w ogródku naszego nowego dyrektora.

Zatrzymali się przed drzwiami sekretariatu, przez który wchodziło się do gabinetu.

— Ty lepiej nic nie mów. — Felix spojrzał na Neta i zanim przyjaciel zdążył zaprotestować, zapukał.

— *Proszę* — zza drzwi dobiegł głos pani Helenki.

Felix otworzył drzwi i zamarł w progu. Nika wpadła na niego, a na nią wpadł Net. I zostali tak, wpatrując się w sekretarkę. Helenka zmieniła się przez wakacje, i to bardzo. Ale mimo że schudła dobre trzydzieści kilo, styl pozostał ten sam: miała na sobie jaskrawozieloną obcisłą bluzeczkę, a może sukienkę – nie było jak stwierdzić, bo tylko góra sekretarki wystawała ponad biurko. Na głowie piętrzyły się natapirowane blond włosy tak jasne, że niemal białe.

— Słucham państwa? — zapytała Helenka, zaniepokojona ich spojrzeniami.

— Dzień dobry — zaczął wolno Felix. — Chcieliśmy rozmawiać

z panem dyrektorem.

— Dyrektorem Stokrotką — dorzuciła szybko Nika.

Sekretarka popatrzyła na nich ze zdziwieniem. Jej twarz również zmieniła się, ale zachowała podobieństwo – głównie za sprawą przesadnie mocnego make-upu.

— Ale pan dyrektor nazywa się inaczej…

— Chodzi nam o pana wicedyrektora — sprecyzował Felix. — On się na pewno nazywa Stokrotka.

Helenka spojrzała na ekran, palcami zakończonymi jaskrawożółtymi długimi paznokciami wklepała coś na klawiaturze. Tajemnicą pozostawało, jak z tymi szponami udawało jej się w ogóle korzystać z klawiatury.

— Komputer mówi „nie”. — Uniosła na nich wzrok.

Czekali na dalszy ciąg, ale ten nie nastąpił.

— To znaczy, że…? — Nika zawiesiła głos.

— To znaczy, że nie ma tu nikogo takiego — wyjaśniła uprzejmie Helenka.

— Wyszedł po coś do sklepu? — zapytał Net.

— W ogóle go tu nie ma.

Helenka wpatrywała się w nich zza swojej wymalowanej maski. Chwilę czekali, czy powie coś więcej. Nie powiedziała. Podziękowali więc i wyszli.

— Co to było? — zapytała Nika.

— Spędziła wakacje w kapuścianym SPA? — podsunął Net.

— W czym? — Nika spojrzała na niego podejrzliwie.

— To takie miejsce, gdzie cię zamykają i karmią kapustą. Chodzi o to, że chudniesz. A potem przez resztę życia nienawidzisz kapusty. — Net się zastanowił. — Chyba byłem w takim miejscu w poprzednim wcieleniu.

— Nie o to pytam. Pytam, co się tam wydarzyło.

— Myślicie, że ona wciska klawisze tymi szponami, czy je jakoś odgina do góry i tak po ludzku… palcami?

— To nie była ona — podsunął Felix.

— Jak nie ona, jak ona? — zaprotestował Net. — Pewnie się odessała. A widzieliście te jej buty ze skóry węża ogrodowego?

— Zaraz tam odessała, a może po prostu ćwiczyła? — wtrąciła Nika.

— Chyba obieranie orzeszków ziemnych pazurami.

— Ciszej, ona to usłyszy…! Nie musisz być taki złośliwy.

— Nie dyskryminuj mnie, taki się urodziłem. Hm… jeszcze przed

wakacjami używała komputera jako wentylatora.

— Czemu ona udaje, że nie zna Stokrotki?

— Zrobiła kurs obsługi komputera i nie starczyło pamięci na inne rzeczy?

— Stokrotka naprawdę już tu nie pracuje. — Felix wskazał drzwi, na których widniał wyraźny ślad po starej, przykręcanej tabliczce, której miejsce zajęła mniejsza naklejka „Romuald Wąs. Dyrektor”.

Felix podszedł do najbliższego kosza na śmieci i poświecił latarką do środka. Schylił się i wyjął tabliczkę. Starą, emaliowaną, jakich od wielu lat już nikt nie robił. „Dyr. mgr inż. Juliusz Stokrotka”.

— To nie była nasza Helenka — oświadczył ponuro.

— W sumie to i tak za nią nie przepadałem. — Net wzruszył ramionami i zmarszczył brwi. — Właśnie, tak *à propos* diety. Dobrze, że sobie przypomniałem. — Wyjął telefon i wybrał numer. — Cześć, tato… Jest taka sprawa. W sobotę robimy grilla. To znaczy… wy robicie.

— *Nic o tym nie wiem* — odparł tata. — *A teraz jestem zajęty.*

— Już zaprosiłem rodziców Felixa.

— *Zaprosiłeś bez pytania mnie i mamy? Czyli sam będziesz się musiał zająć gośćmi.*

— Ale to sobota jest przecież… Co ci to szkodzi?

— *Mówiłem ci o podwyższonym stanie zagrożenia terrorystycznego. Rano dotyczył Instytutu Badań Nadzwyczajnych i kilku podobnych obiektów; od południa objął już całą Warszawę. W związku z tym wszyscy przypomnieli sobie o naszym istnieniu. W sobotę pracuję. Muszę kończyć.*

Net spojrzał z niedowierzaniem na ekran telefonu. Tata się rozłączył.

— Przecież nasi starzy pracują wspólnie — powiedział z pretensją w głosie. — Założę się, że tata Felixa jest gdzieś obok. Mógłby mu coś powiedzieć, no ale nie… i ja to muszę odkręcać teraz.

— Próbuje cię nauczyć odpowiedzialności — zauważyła Nika.

— A tam, jest złośliwy, i tyle. Całe szczęście, że tego po nim nie odziedziczyłem.

Nika wymieniła porozumiewawcze spojrzenia z Felixem.

— Mam! — Net wycelował palcem w przyjaciela. — Zrobimy grilla u ciebie.

— Zaraz… — zaczęła Nika. — Czy to nie jest tak, że ty po prostu chcesz, żeby ktoś to wszystko przygotował?

Net posłał jej szybkie spojrzenie.

— Nie, no co ty…! Po prostu chodzi o to, żeby było… no wiesz, o jakość chodzi.

— Możemy sami zrobić grilla i zaprosić rodziców. Gdzieś…

— To dobry pomysł, zróbmy go u mnie — zgodził się Felix. — Nawet nie muszę pytać. Tylko się ucieszą.

— Szczęściarz… — mruknął Net.

— Tylko sami wszystko przygotujmy — dodała Nika.

— Spoko, jasne — zgodził się Net. — Jutro zrobimy zakupy. Chociaż mamy raczej nie będzie.

Dzwonek przerwał im dalszą rozmowę. Rozeszli się do klas: Nika do pierwszej E, a chłopcy do pierwszej C.

Net obejrzał się, czy dziewczyny na pewno nie ma obok, i rzucił konspiracyjnym tonem:

— Dziś idziemy na zakupy. Tylko my dwaj.

* * *

Nie było prawdą, że na koncie szkoły jest minus trzy złote. Kilka dni temu zaczęły spływać wpłacane przez rodziców pieniądze na czesne. Tak więc nie istniały przeszkody w zatrudnieniu brakujących nauczycieli. Zresztą Romuald Wąs zajął się tym jeszcze przed rozpoczęciem roku szkolnego. I gdyby nie to, że wszyscy poprzedni kandydaci byli beznadziejni, problem z brakami kadrowymi w ogóle by się nie pojawił.

Teraz siedział za dyrektorskim biurkiem i na komputerze przeglądał kolejne odpowiedzi na jego ofertę pracy. Na jedenastą była umówiona polonistka z wieloletnim doświadczeniem, która nie przysłała żadnego listu motywacyjnego, za to napisała, że woli wszystko opowiedzieć. W normalnej sytuacji wyrzuciłby tę wiadomość do kosza, ale to nie była normalna sytuacja. Brakowało dwóch nauczycieli, więc nie mógł wybrzydzać. Właśnie przeczytał list motywacyjny od polonistki tuż po studiach, a list zawierał trzy błędy ortograficzne i pięć interpunkcyjnych. Zdecydowanie brak listu był lepszy od listu z ośmioma błędami.

Romuald Wąs rozejrzał się po gabinecie. Wiele było tu do zrobienia. Wymiana mebli na pewno, no i te paprotki do wyrzucenia. Ale na wszystko przyjdzie czas. Na razie przywrócił ludzkie ustawienia w komputerze. Jego

poprzednik ustawił wszędzie jaskrawe kolory i fonty tak wielkie, że na ekranie mieściło się dziesięć linijek tekstu.

Zapiszczał interkom. Też do wymiany. Wąs nacisnął przycisk.

— Tak?

— *Panie dyrektorze, jest już…* — sekretarka nie dokończyła, bo drzwi gabinetu otworzyły się gwałtownie i weszła przez nie energicznym krokiem szczupła kobieta pod sześćdziesiątkę. Miała czarne włosy, białą koszulę i niebieskie jeansy. Podwinięte nogawki odsłaniały wysokie martensy.

— Agata Zasadowska! — powiedziała nieco za głośno. — W sprawie pracy.

Wąs zerknął na ekran komputera, potem na kobietę i wolno wstał.

— W podaniu napisała pani, że ma trzydzieści pięć lat.

— Gdybym napisała, że mam sześćdziesiąt, tobyś nawet nie odpisał.

— Jesteśmy na ty…?

— Fajni ludzie mówią do siebie na ty. — Kobieta wyciągnęła do niego rękę. — Agata.

Wąs odruchowo ją uścisnął. Niespecjalnie mu się to podobało. Ale stało się.

— Romuald…

— Romek.

— Lepiej zostańmy przy pełnej wersji.

— O, nieśmiały jesteś. — Agata przysiadła na biurku. — To ile tu płacicie?

Drzwi otworzyły się i weszła przez nie wysoka, długonoga, szczupła tleniona blondynka z tacą, na której stały dwie filiżanki herbaty.

— Prosiłem o herbatę, Halino? — zapytał dyrektor.

— Ta pani prosiła. — Sekretarka zatrzepotała sztucznymi rzęsami i wskazała polonistkę.

Cokolwiek Wąs chciał powiedzieć, nie powiedział tego. Gestem zaprosił Agatę na kanapę. Usiedli, a sekretarka postawiła przed nimi filiżanki.

— Ładniutka — zauważyła polonistka, gdy tamta wyszła. — Od dawna tu pracuje?

— Od dwóch godzin. Przejdźmy do rzeczy. Poszukujemy polonistki.

— I tu mnie masz! — Nauczycielka wstała i rozłożyła ramiona. — Akurat jestem polonistką. Z zawodu i z zamiłowania. Czy mój wiek jest problemem?

— Wiek… akurat nie.

— Czyli co? Wiedza? Rzuć przykład.

— Homer — powiedział z rezygnacją Wąs. — Niech będzie *Iliada*.

— „Gniew Achilla, bogini, głoś, obfity w szkody/ Który ściągnął klęsk tyle na greckie narody/ Mnóstwo dusz mężnych wcześnie wtrącił do Erebu/ A na pastwę dał sępom i psom bez pogrzebu” [2]…

— Dobra, masz tę pracę — powiedział niechętnie Wąs. — Pod jednym warunkiem. Wracamy do pani, pana.

— No nie aż tak. Ale mogę pójść w tej sprawie na kompromis. Spotkajmy się w połowie drogi. Co powiesz na Romualda zamiast Romka? I co się w ogóle dzieje z tą waszą stroną internetową?

— To będę wiedział za kwadrans. — Wąs wyciągnął dłoń. — Jestem umówiony z informatykiem. Do zobaczenia jutro o ósmej piętnaście. Podpiszemy wszystkie dokumenty w kilka minut.

— Gra i buczy. — Agata uścisnęła jego dłoń.

— Czy pani… czy musisz chodzić w takich butach?

Kobieta odwróciła się i spojrzała na swoje buty.

— Zbyt pogrzebowe? Czy zbyt wojskowe?

— Zbyt… We wszystkich aspektach są zbyt.

— Mam płaskostopie. To są buty ortopedyczne. Mam zaświadczenie. — Wyjęła z kieszeni pogniecioną kartkę. — Sama napisałam. Nie no, żartuję. — Schowała papier. — To rachunek za pralnię.

— Dobrze, już nieważne… To do widzenia. Do jutra.

— Narka. A herbata nie pluta. — Wskazała stolik. — Zaraz przychodzi informatyk, prawda? Oni lubią siorbać zimną.

Ledwo zamknęły się drzwi za polonistką, Wąs opadł na fotel. To był daleko idący kompromis. Ale konieczny. Niestety. Będą z nią problemy, ale cóż z tego? Oferta wciąż wisi. Wymieni się ją później na nowszy model. Niestety w związku z tym nie można jej dać wychowawstwa tej klasy.

Pierwszy temat rozwiązany, drugi rozwiąże się za kilka minut. Nowy informatyk przysłał imponujące CV, więc pewnie będzie chciał sporych pieniędzy. Ale to też jest konieczne. Stokrotka twierdził, że rozwiązał problem dostępu do szkolnej strony. Albo się mylił, albo kłamał, bo hasło zapisane na przylepionej do monitora kartce nie działało. A informatyk zatrudniony na pensji nie tylko ogarnie to, ale i za darmo zrobi wszystko, za

co zewnętrznej firmie trzeba by płacić. A do zrobienia było sporo.

Wąs wstał, przeszedł do sekretariatu i ogarnął wzrokiem półki pełne segregatorów. Tyle informacji w tak nieprzystępnej formie!

— Pani Halino — odezwał się. — Czy pani się rozeznaje w tych segregatorach? Wie pani, co gdzie jest?

Sekretarka spojrzała na niego, potem na regały, jakby to był element wystroju wnętrza bez większego znaczenia.

— Od grzebania w takich segregatorach odpryskuje lakier na paznokciach — powiedziała. — Lepiej od razu napisać na komputerze.

Dyrektor pokiwał głową i wrócił do siebie. Ledwo usiadł w fotelu, zadzwonił interkom.

— Tak?

— *Panie dyrektorze, jest tu jakiś pan…*

— Niech pani poprosi, pani Halino.

Do gabinetu wszedł wysoki i chudy mężczyzna około czterdziestki. Miał krótko ścięte, szpakowate włosy i niepewne, rozbiegane spojrzenie.

— Dzień dobry, ja w sprawie pracy…

Dyrektor wstał, obszedł biurko i podał mężczyźnie rękę.

— Witam pana, Romuald Wąs. Dyrektor.

— Jerzy Wierszewski. Informatyk.

— Proszę usiąść. Kawy, herbaty?

— Yyy… — Eftep usiadł na kanapie, a jego wzrok padł na filiżankę. — Nie trzeba, lubię siorbać zimną.

Uniósł filiżankę i siorbnął. Wąs uniósł brwi i również usiadł.

— Pana CV jest imponujące — przyznał. — Nie wiem, czy potrzebujemy kogoś o aż tak wysokich kwalifikacjach.

— Och… — Eftep rozluźnił się i rozparł wygodnie. — Nie mam przesadnie wygórowanego mniemania o sobie, jestem skromnym człowiekiem. Czasem trzeba zrobić coś, yyy… po prostu dla wspólnego dobra. Jestem gotów podjąć się odpowiedzialnej misji edukacji młodych ludzi. Chętnie wprowadzę ich w skomplikowane arkana sztuki informatycznej.

— Doskonale. — Wąs bardzo się starał nie okazywać ulgi. — Jest jeszcze jedna sprawa. Chciałbym, żeby podjął się pan wychowawstwa jednej z naszych klas.

1. No chyba jednak nie. [wróć]
2. Homer *Iliada*, tłum. Franciszek Ksawery Dmochowski. [wróć]

3. Tolerancja dla błędów musi być większa

Nadal dziewięć dni do…

Supermarket o tej porze był prawie pusty. To przyspieszyło sprawę, Felix i Net wzięli bowiem wózek i nie musieli slalomować między innymi klientami. Net szykował się na spore zakupy.

— Co cię naszło z tym grillem? — zapytał Felix.

— A, takie tam. — Net machnął ręką. — Tak… yyy… z okazji odejścia Eftepa poza mój horyzont zdarzeń.

Felix nie drążył tematu. Wszak każda okazja do grilla jest dobra. Załadowali do wózka napoje, chipsy i orzeszki, po czym udali się po zasadnicze zakupy, czyli do działu mięsnego. Tam napotkali pierwszy poważny problem.

— Dużo tego — zauważył Net.

Wielkie lodówki ciągnęły się w kilku długich rzędach.

— Trzeba było iść na bazar — stwierdził Felix. — Tam byśmy poprosili o „mięso na grilla” i by było po sprawie.

Szli wzdłuż przeszklonych lodówek i czytali etykiety w rodzaju „rostbef”, „rumsztyk”, „rozbratel” czy „ligawa”. Brzmiały znajomo, ale nie wywoływały konkretnych skojarzeń.

— Jakby mnie ktoś zapytał, co to jest ligawa, tobym strzelał, że gatunek jaszczurki — mruknął Net. — A rumsztyk to rodzaj żagla. Ty, patrz, a to tutaj wygląda jak fragment Obcego…

— Powinniśmy tu przyjść z Niką — stwierdził Felix. — Ona sama robi zakupy, więc wie co i jak.

— Damy radę bez niej. — Net uniósł uspokajająco dłoń.

Oglądali kolejne rodzaje mięs i próbowali sobie wyobrazić, jak będą wyglądały po upieczeniu. W końcu Net wyjął opakowanie z kilogramowym kawałkiem jakiegoś ciemnego mięsa.

— Antrykot? Antry… kot? — Podejrzliwie przyjrzał się mięsu i przeczytał opis mniejszymi literami. — A nie, spoko, to wołowina. Ile tego trzeba?

— Nie wiem. — Felix wyjął telefon. — Nika będzie wiedziała.

— Nie! — zaprotestował szybko Net. — To ma być dla niej niespodzianka. Weźmy tak… z pięć kilo.

— Trochę dużo. Nie wystarczy kilogram?

— Nie tam! Mięso się zawsze kurczy na ruszcie.

Net załadował kilka opakowań, każde z innej przegródki.

— Dlaczego niespodzianka? — zapytał Felix. — Przecież ją zaprosiłeś. Ona wie, że będzie grill.

— No tak, ale rozumiesz… niespodzianka, że przygotujemy wszystko. I będzie gotowe, jak ona przyjdzie.

Nad kiełbasą nie zastanawiali się zbyt długo. Wzięli po prostu taką, która najbardziej przypominała kiełbasę.

— I jakieś zielsko. — Net skręcił do działu mrożonek. — Tak dla urozmaicenia, żeby się nie zamięsić za bardzo. — Pochylił się nad zamrażarką. — Proszę, „Warzywa na patelnię”. To się powinno nadać.

Już miał wrzucić torebkę do wózka, ale Felix przechwycił ją i przyjrzał się krytycznie zdjęciu na wierzchu.

— Są pokrojone — stwierdził. — Wszystko przeleci przez ruszt.

— Myślisz? — Net wziął torebkę i spojrzał na nią pod światło. — A jakby tak poukładać równo? Po co tak drobno pokroili? Nadgorliwość jest gorsza od faszyzmu.

Odłożył torebkę i pchnął wózek w stronę działu z warzywami.

— Może sałata? — zapytał. — Sałatę można grillować?

— Nie sądzę…

— Zaraz, a co to jest takie długie, zielone, ale nie ogórek? Pamiętasz? — Net podrapał się w głowę. — Takie zielone coś, co się tak kroi i kładzie na ruszt. Zwykle jest, jak starzy grillują.

— Pamiętam. — Felix uniósł brwi i wydął usta. — Ale nie mam pojęcia, co to takiego.

— Po prostu kupmy coś, co wygląda podobnie.

Bezradnie rozglądali się po warzywach i naprawdę nie było łatwo rozpoznać coś poza oczywistościami w stylu marchewki czy cebuli. Zazwyczaj widywali przecież składniki już w przygotowanych potrawach.

— Może to to? — Net wziął w dłoń coś, co wyglądało jak ogórek w skali 5:1. Tylko powierzchnia była gładka i przypominała skórę arbuza.

— Tamto zielone coś było mniejsze — ocenił Felix.

— Pewnie też się kurczy podczas pieczenia. — Net włożył zielone coś do wózka. — No i z dyńki. I do kasy.

Felix wrzucił jeszcze opakowanie cebuli i ziemniaków. Tak na wszelki wypadek, bo nie był pewien, czy się dają grillować.

— Jeszcze coś do kanapek na rano. — Net zerknął na półkę. — Pasztet z babuni, albo coś w ten deser…

Załadował kilka opakowań, nawet nie czytając opisów, i wreszcie ruszyli do kasy.

Ponieważ klientów było mało, mało było również czynnych kas – zaledwie sześć z czterdziestu paru. Do tej, do której zmierzali przyjaciele, z przeciwnej strony zbliżał się, szurając starymi butami, staruszek z koszykiem.

— Dyskretnie przyspieszamy. — Net pchnął mocniej wózek.

— Spokojnie. — Felix równie dyskretnie wyhamował i pozwolił staruszkowi przejść przodem.

Net spojrzał na niego z pretensją, na co Felix ruchem głowy wskazał zawartość koszyka starszego pana. Były tam chleb, masło i mała kostka sera na wagę.

— Optymalizacja ruchu przy kasie — wyszeptał.

— Tak zoptymalizowałeś, że mamy pół minuty w plecy — odparł również szeptem Net. — Byliśmy z prawej, mieliśmy pierwszeństwo.

Staruszek niespiesznie zapłacił, niespiesznie spakował zakupy do torby i spojrzał na to, co przyjaciele wyłożyli na taśmę. Potem popatrzył na nich.

— Co, wojna idzie? — rzucił i odszedł, nie oglądając się.

Net zamarł, spojrzał na zakupy, czyli głównie stertę opakowań mięsa i kiełbas, a potem na oddalającego się niespiesznie starszego pana. Miał ochotę pobiec za nim i zapytać, co miał na myśli.

* * *

Dyrektor Romuald Wąs siedział w mało eleganckim fotelu, przy mało eleganckim biurku i w świetle mało eleganckiej lampy czytał na tablecie podręcznik *Zarządzanie szkołą dla opornych*. Nigdy w życiu nie przyznałby się do tej lektury – nawet kupił e-booka przez anonimowe konto. Lubił określać siebie mianem zawodowego dyrektora, bo w swojej karierze kierował już kilkoma przedsiębiorstwami. Przez ostatnie parę dni przekonał się, że szkoła rządzi się innymi prawami niż normalna firma. Jego pomysł optymalizacji kosztów opierał się na trzech punktach: podniesieniu czesnego, cięciu kosztów na wycieczki, pomoce naukowe, stypendia i temu podobne bzdety, oraz na zmniejszeniu porcji w szkolnej stołówce. To ostatnie oczywiście bez zmiany opłat miesięcznych za obiady. No i likwidacja tego nieszczęsnego sklepiku szkolnego, z którego czynsz to zaledwie nędzne kilka stów miesięcznie.

Rada nadzorcza szkoły uprzejmie odpowiedziała, że nie zgadza się na żaden z punktów. Wtedy Wąs ze zdziwieniem zorientował się, że w tym przedsiębiorstwie najwyraźniej zysk nie jest najważniejszy. Ta szkoła, a może i wszystkie szkoły, była firmą, w której ekonomia stała na głowie. Sklepik musiał być, i już. Według podręcznika liczyły się takie parametry, jak na przykład średnia ocen. Bez sensu, ale skoro taka jest specyfika branży, trzeba potraktować to jak wyzwanie. Dobry manager uczy się przez całą karierę.

— Chcą mnie oceniać według średniej ocen uczniów — powiedział sam do siebie. — Zatem potraktujmy średnią ocen jak każdy inny parametr ekonomiczny, który musi rosnąć.

Odłożył tablet i rozejrzał się po mało eleganckim gabinecie, w którym zamierzał spędzić kilka miesięcy, z pewnością nie dłużej. Tak, średnia średnią, ale najpierw trzeba coś zrobić z tymi meblami. Gabinet musi wyglądać reprezentacyjnie.

No cóż, trochę to będzie kosztowało.

* * *

— Ile?! — Net zamrugał i przeczytał jeszcze raz. Podsunął rachunek Felixowi. — Widzisz to? Trzysta sześćdziesiąt zeta! Za co?

Felix zerknął na rachunek.

— Głównie za tę ligawę — ocenił.

— Coś tak czułem, że nazwa jest zbyt firmiguśna. — Net wziął rachunek i przyjrzał mu się z bliska. — Mięso prawie dwieście, a reszta… — Zliczał kolejne pozycje. — To zakupy tyle kosztują?

— Nie wiem. Za zakupy zawsze płacili starzy. Ja co najwyżej pakowałem.

Net patrzył to na rachunek, to na zakupy, leżące na stole w kuchni państwa Polonów.

— To ona ma tyle na zakupy na cały miesiąc?!

— Nika? — upewnił się Felix. — Sądzę, że na jedzenie zostaje jej mniej. Nie wiedziałeś? Znamy się od dawna.

— No… wiedziałem, że jej nie styka kasy, ale nie, że aż tak! Przecież my te trzysta złotych zeżremy na jednym posiadzie grillowym.

— Nie, tego jest za dużo. Mówiłem ci w sklepie.

— No to na dwa posiady. — Net wciąż analizował rachunek. — Chleb tyle kosztuje? A te chipsy jeszcze droższe… — Przybliżył rachunek do oczu i dla pewności uniósł okulary. — A taka paczka orzeszków dwie dychy?!

— Nerkowce są drogie — przyznał Felix. — Mówiłem, żeby wziąć arachidowe.

— Wolę nerkowce. Cóż… — Net westchnął. — Trochę wybulimy.

Felix spojrzał na niego podejrzliwie.

— Jacy my? — zapytał.

— No ty i ja. Sam mam płacić?!

— Myślałem, że to twoi starzy płacą.

— No wiesz… Też miałem taką nadzieję. Ale oni wykazują negatywne nastawienie do sobotniego grilla. Do rzeczywistości zresztą też.

— Kupiłeś pięć kilo mięsa. — Felix wskazał stół. — I wór kiełby.

— Zje się. — Net wzruszył ramionami. — Nie marudź. Weekend wylądował, będzie fajnie.

— Mówię, że nie uprzedziłeś, że mamy to sami finansować.

Dalszą rozmowę przerwała mama Felixa, która zeszła, a dokładniej to zbiegła po schodach, łomocząc obcasami. Pogłaskała w biegu Cabana, chwyciła małą torebkę na pasku i drugą większą, z laptopem, i pobiegła do drzwi.

— O, cześć! — Zauważyła przyjaciół w kuchni. — Co to za zakupy?

— Cześć, w sobotę robimy grilla — odpowiedział Felix.

— Zamierzacie go grillować? — Wskazała „zielone coś”. Pocałowała

Felixa w czoło i ruszyła do drzwi. — Powiedzcie mi potem, jak smakuje pieczony arbuz.

Wyszła, a po chwili przez uchylone okno dobiegł pisk opon.

— Znów ciśnie zimny silnik — mruknął Felix i przeniósł wzrok na stół. — Kupiliśmy podłużnego arbuza?

— To arbuz? — Net uniósł „zielone coś” o zdecydowanie podłużnym kształcie. — No trochę wygląda jak arbuz, taki arbuz wchodzący w hiperprzestrzeń.

— To zupełnie jak moja mama w nowym samochodzie.

— Wracając jednak do rozliczeń…

— Nie wspomniałeś ani słowem, że mamy sami za to płacić. Dwudziestu funtów też jeszcze nie dostałem.

— Wojna idzie, słyszałeś, a ty się kłócisz o pieniądze. Ilość to też nie problem. Zrobimy więcej, to starczy na dłużej.

— Arbuz wytrzyma maksymalnie tydzień — zauważył Felix. — Surowe mięso pojutrze rano będzie do wyrzucenia. W zamrażarkę w lodówce Niki bym nie wierzył. Raczej nie mrozi wystarczająco. — Zastanowił się chwilę. — *Beef jerky* [1].

— To jakaś postać z kreskówki?

— To suszona wołowina.

— Brzmi jak coś, czego nie chciałbym zjeść.

— Bo się nie znasz. To jest bardzo smaczne — wyjaśnił Felix. — I nie psuje się miesiącami. Bez lodówki. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem.

Net popatrzył na niego nieufnie, wyjął z plecaka tablet i postawił go na stole, opierając na otwieranej podstawce.

— Manfred, znajdź przepis na *beef jerky* — poprosił.

— *Cześć!* — odezwał się z przesadną, wręcz ironiczną radością Manfred. — *Też jestem ciekaw, co u was.*

— A, nic szczególnego — odparł z przesadnym, wręcz ironicznym uśmiechem Net. — Robimy *beef jerky* i potrzebujemy przepisu.

— *I nie chce ci się szukać.*

— Przecież zawsze się dopominasz o uwagę.

— *Dobra, w sumie co mi szkodzi? Wołowinę bez tłuszczu i włókien włożyć na pół godziny do zamrażalnika.*

— Po co? — zapytał Net.

— Łatwiej będzie kroić. — Felix wstał. — Fizyka.

Felix poszedł do kuchni włożyć mięso i kiełbasę do zamrażarki. Połowa się nie zmieściła.

— Musisz to wziąć do siebie, więcej nie upchnę. — Wręczył Netowi dwa opakowania mięsa i torbę kiełbasy. — Będzie na następnego grilla.

Zerknął na lodówkę. Była niemal pełna.

* * *

Lodówka była niemal pusta. Nika patrzyła na słoiki z musztardą i dżemem, które wypadało raczej nazwać słoikami po musztardzie i dżemie. Znała na pamięć zawartość lodówki, ale i tak nie mogła się powstrzymać przed jej otwieraniem co jakiś czas. Jak gdyby się tam mogło pojawić coś samo z siebie. Nie pojawiło się.

Wróciła na fotel do lektury *Hyperiona*, którego pożyczyła od Felixa. Nie mogła się jednak skupić na fabule. Ssało ją w żołądku. Odłożyła książkę i podeszła do komputera, stojącego przy półokrągłym blacie w półpokoju. Sprawdziła ponownie stan konta i ponownie się zawiodła. Przelew z urzędu jeszcze nie przyszedł. Nie mogła więc iść na zakupy, bo w tej sytuacji karta pozostawała bezużyteczna. Zwykle listonosz z rentą dla taty przychodził kilka dni wcześniej. Ta zmiana systemu ją zaskoczyła, bo wszystkie wyliczenia wydatków przestały się zgadzać. Jeśli to opóźnienie potrwa dłużej, nie pozostanie jej nic innego, jak przyznać się do wszystkiego: że bezprawnie pobiera rentę po zmarłym ojcu, że bezprawnie mieszka sama, choć jest nieletnia, że… dużo tego. A skończy się to eksmisją z mieszkania i przeprowadzką do domu dziecka.

Ostatnim ratunkiem było stypendium, które otrzymywała ze szkoły za średnią pięć koma cztery. To nie były fizyczne pieniądze, tylko zwolnienie z obowiązku płacenia czesnego. Czyli w sumie pieniądze.

Wyjęła z torby drugą kanapkę od Neta i uśmiechnęła się. Odwinęła folię i wgryzła się w chleb. Kanapka smakowała przewybornie.

* * *

— Myślisz, że te kanapki, co dałem Nice… — odezwał się Net. — Czy

ona się nie obrazi, czy coś?

— Dlaczego? — zapytał Felix.

— No, że niby tak z łaski. Nie wiem. No że jest biedna, a ja jej kanapki daję. I to takie… przecież ja nie umiem robić kanapek, nie odwinąłem folii z sera. — Władował sobie do ust kolejną porcję chipsów z wielkiej michy. — Dżizas, zaraz pęknę.

Siedzieli przy stole kuchennym i grali w szachy heksagonalne[2]. We trójkę z Manfredem. Manfred wygrał już trzy razy, choć armie Felixa i Neta sprzymierzyły się i wspólnie próbowały pokonać sztuczną inteligencję. Net od pewnego czasu kombinował, jak powiedzieć, że cała ta gra jest nieuczciwa, jednocześnie nie przyznając, że program jest lepszy od ludzi.

— Ile jeszcze? — zapytał wreszcie.

Felix zerknął na zegarek.

— Kwadrans.

— *Pora zacząć robić marynatę* — wtrącił Manfred.

— No trudno, są priorytety. Marynata jest najważniejsza. — Net z udawaną przykrością zamknął grę. Do mata w wykonaniu Manfreda zostały dwa ruchy. — Cokolwiek to jest, ta marynata… Brzmi jak jakieś regaty. — Rozejrzał się po kuchni. — Albo przynajmniej wyścigi pontonów. Wyścigi pontonów podczas promocji w fast foodzie.

— *Marynata służy do nasączania mięsa* — wyjaśnił Manfred. — *Poprawia smak, a w tym przypadku pomoże w konserwacji.*

— Dlaczego nie chciałeś, żeby Nika poszła z nami na zakupy? — zapytał Felix.

— A tak, po prostu. — Net machnął ręką. — A co z Laurą? Zniknęła jakoś pod koniec wakacji.

— Mówiłem ci. Jest w Chinach.

— Po co?

— Stypendium. Uczy się tam czegoś ciekawszego niż ekonomia Ameryki Południowej. Ma przylecieć za kilka dni.

Net pokiwał głową. Westchnął i powiedział:

— A z Niką to, no wiesz… nie chciałem, żeby widziała, ile wydaliśmy na całe to żarcie na tego grilla. Bo ona nie ma kasy i pewnie nie ma obiadu.

— Gdyby tu z nami teraz była, toby coś zjadła.

Net zastanowił się.

— A wiesz, że ty masz rację. — Spojrzał na zegarek. Dochodziła siódma. — Się tak zakręciłem na tę sobotę… Jutro ją zabierzemy. A dziś spróbujmy nie zjeść wszystkiego. Manfred, jak się robi te marynaty? Coś prostego zapodaj.

— *Sugeruję zrobić trzy różne. Słodką, pikantną i na whisky.*

— Whisky? — Net uniósł brwi w zdziwieniu. — Czemu nie?

— *Alkohol i tak w większości odparuje. Zostanie aromat.*

W trzech miskach przygotowali trzy marynaty i zaczęli kroić mięso w plasterki. Nie szło im za dobrze.

— Golem Golem. — Net poddał się po długich trzydziestu sekundach. — Chodź się przydać.

Stojący nieruchomo w przedpokoju robot ruszył. Caban obserwował go nieufnie ze swojego posłania. Do tej pory nie przyzwyczaił się do obecności dwumetrowego androida w domu, a to oznaczało, że już się nie przyzwyczai. Net zresztą też miał z tym problem, bo gdy tylko Golem Golem wszedł do kuchni, chłopak był bliski odesłania go z powrotem. A to, że robota skonstruował Felix, a program do niego napisał sam Net, nie miało tu wielkiego znaczenia.

— *Tak, słucham.* — Golem Golem spojrzał na niego z góry zestawem obiektywów, które układem nawet nie przypominały ludzkich oczu. Obiektywów i sensorów było kilka, a tylko te pracujące w paśmie widzialnym zostały umieszczone symetrycznie obok siebie.

— Mógłbyś pokroić to mięso w paski?

— *Mógłbym.* — Golem Golem nie poruszył się.

— No to… — Net wskazał deskę z mięsem i nóż. — No to pokrój.

— *Jak pokroić?*

— *W poprzek włókien* — odezwał się Manfred. — *Grubość pół centymetra*.

— Czy wy nie macie łączności bezprzewodowej? — zapytał Net.

— *Niekulturalnie jest szeptać w towarzystwie*.

Po tych instrukcjach Golem Golem otworzył szufladę, wyjął z niej lateksowe rękawiczki i precyzyjnymi ruchami włożył je na mechaniczne dłonie. Po czym wziął nóż i równie precyzyjnie zaczął kroić mięso. Obok, nie przejmując się niczym, kroił mięso Felix. Widząc pytające spojrzenie przyjaciela, wyjaśnił:

— Nigdy nie wiadomo, kiedy przyda się umiejętność krojenia mięsa.

Albo dowolna inna umiejętność.

— Spodziewasz się apokalipsy? — zapytał Net i wzdrygnął się na wspomnienie niedawnego snu.

Zza okna dobiegł odgłos zbliżającej się syreny policyjnej.

— Oj… — Net skrzywił się. — Żartowałem, ludzie…

Radiowóz przejechał wąską uliczką i pomknął w dal.

— *Jedzie do podejrzanej walizki na rogu Popiełuszki i Słowackiego* — wyjaśnił Manfred. — *Centrum powiadamiania ratunkowego jest zintegrowane z monitoringiem miejskim, a ten ze sterowaniem ruchem.*

— I zawsze, jak ktoś zostawi walizkę przed sklepem, to jedzie tam policja?

— *Od kilku godzin mamy stan podwyższonego zagrożenia terrorystycznego.*

— Dlaczego? Co się stało? — zapytał Felix.

— *Tego jeszcze nie wiem.*

— Pewnie jakiś kretyn zadzwonił z fałszywym alarmem. — Net wzruszył ramionami. — Będzie miał czas na przemyślenia w odosobnieniu. — Wrzucił pokrojone przez robota mięso po równo do trzech misek. — Co się z tym dalej robi?

— *Mieszamy, nakrywamy i do lodówki* — odparł uprzejmie Manfred. — *I czekamy dwanaście godzin. A najlepiej dwadzieścia cztery.*

— Co?! To nie będzie gotowe zaraz? Te regaty są mocno przereklamowane.

— *Marynaty. Przed nami, a właściwie przed wami, główny proces. Suszenie. Ale to dopiero jutro.*

* * *

Dyrektor Romuald Wąs stał z rękoma założonymi za plecami przed oknem swojego gabinetu i wpatrywał się w rosnącą kilka metrów dalej topolę. Gabinet mieścił się na wysokim parterze szkoły na Powiślu, co w pewnym stopniu psuło efekt. Nie do końca było to panoramiczne okno Gwiazdy Śmierci z widokiem na Alderaan na chwilę przed zniszczeniem tegoż. Ale trochę starań i świat jest nasz. Za pół roku trzydzieste piętro któregoś z korporacyjnych wieżowców w Centrum Warszawy albo chociaż piętnaste w Mordorze [3], a za rok co najmniej czterdzieste w londyńskim City.

Kto wie?

No, ale na razie pierwsze piętro i topola. I ta nieszczęsna średnia ocen, którą trzeba podnieść. Cierpliwości, CV rośnie powoli.

Zerknął na zegarek z logo Patek Philippe, nawet lepszy od oryginału, bo dokładniejszy, kwarcowy. Rada pedagogiczna zaczynała się za trzy i pół minuty. Poprawił krawat, przygładził poły marynarki i pustymi korytarzami ruszył zmieniać zasady panujące w tej firmie. Szkole.

To, co zastał w pokoju nauczycielskim, w niczym nie przypominało spotkania korporacyjnego. Nauczyciele dyskutowali, zgromadzeni w małych grupkach lub siedzieli. Nikt nie miał na sobie garsonki ani garnituru. Wąs skrzywił się. Ktoś głośno mieszał herbatę, ktoś chrupał ciasteczka, ktoś uzupełniał dziennik, a pojawienie się dyrektora nie zrobiło na nikim dostatecznego wrażenia. Samo pomieszczenie też nie spełniało standardów sali konferencyjnej: obskurny czajnik na parapecie, brak ekspresu do kawy, brak dystrybutora wody. Wszędzie tylko te szafki na dzienniki i segregatory. W tej firmie wszystko opierało się na papierze. To też trzeba zmienić. Całe szczęście, że nie miał czasu na przygotowanie prezentacji, bo rzutnika też nie było, o ekranie nie wspominając.

— Dzień dobry państwu. — Oparł się o krzesło na końcu stołu.

Odpowiedzi były mało entuzjastyczne, a rozmowy bynajmniej nie zakończyły się jak ucięte. Podczas normalnej narady korporacyjnej zapadłaby cisza i wszyscy już by grzecznie siedzieli przy długim stole. W tej firmie dyscyplina wśród personelu również pozostawiała wiele do życzenia.

Siedzący na drugim końcu stołu facet w białym (niegdyś) fartuchu i grubych okularach jadł pestki słonecznika. Brał je wprost z małej kupki na blacie po swojej lewej stronie, obgryzał, a łupiny rzucał na kupkę po prawej stronie. Wąs chwilę to obserwował, niepewny, czy to się dzieje naprawdę. No niestety. Działo się naprawdę.

— Witam państwa — powiedział głośniej. — Proszę o zajęcie miejsc i skupienie się na temacie. Czas to pieniądz.

Dopiero teraz wszyscy, choć nadal z niewystarczającym pośpiechem, zajęli miejsca. Wąs usiadł jako ostatni i rozstawił przed sobą tablet pod takim kątem, by nikt poza nim nie widział ekranu. Wyświetliły się na nim karty postaci, czyli nauczycieli, ze zdjęciami i opisami. Wąs kilkoma ruchami palców przesunął je tak, by z grubsza odpowiadały miejscom realnych osób przy stole. Stół też nie był stołem konferencyjnym, lecz zestawionymi ze

sobą szkolnymi ławkami, w dodatku w różnych odcieniach forniru.

— Na początek chciałbym przedstawić wszystkim naszego nowego kolegę. — Wskazał Eftepa. — To Jerzy Wierszewski, wysokiej klasy informatyk.

— Dzień dobry — rzucił zdziwionym kolegom i koleżankom Eftep, kłaniając się oszczędnie.

Nikt nie wiedział, co powiedzieć.

— Znamy się. — Nikt, prócz tego, który jadł pestki słonecznika.

Wąs zerknął na tablet. Zenon Butler, biolog, w dodatku z tytułem profesorskim. Nonkonformista. Potencjalne źródło problemów. Tylko jeśli profesor, to dlaczego uczy w takiej szkole? No tak, bo nonkonformista.

— Dołączy do nas jeszcze nowa polonistka — dodał szybko dyrektor. — Nie mogła dziś przyjść, kończy swoje sprawy.

Tak naprawdę to nie mogła przyjść, bo nie wiedziała o radzie. Wąs stwierdził, że jej obecność utrudniłaby mu przeprowadzenie spotkania. Była typem łamiącym schematy i podważającym autorytety, a to przecież było ostatnie, czego potrzebował.

— Czeka nas sporo pracy — zaczął. — Przed nami wiele wyzwań. Konieczne jest wprowadzenie zmian, które przystosują tę firmę… tę szkołę do realiów współczesnego świata. Musimy stać się bardziej produktywni, bardziej efektywni i bardziej skuteczni.

Zamilkł, widząc spojrzenia kilkunastu par oczu, które nie wyrażały podziwu ani zapału. Wyrażały raczej zdziwienie.

— Czy dlatego przetasował pan uczniów między klasami? — zapytał korpulentny pięćdziesięciolatek w okularach i z siwymi wąsami.

Dyrektor zerknął na tablet. Antoni Czwartek, fizyk.

— Zadecydowałem o takim podziale klas, by wyrównać między nimi średnią ocen. — Wąs nie zamierzał dać się zbić z tropu. — Teraz wszystkie mieszczą się w widełkach między trzy koma sześć a trzy koma osiem.

— Przepraszam, ale po co?

Wąs spojrzał na niego z dobrze skrywanym zniecierpliwieniem. Dociekliwy i rzeczowy typ. Będzie sprawiał trudności.

— Powodem mojej decyzji była chęć podniesienia poziomu edukacji. Podział klas to etap pierwszy – standaryzacja. Teraz wobec wszystkich klas będzie można stosować te same metody skutkujące stałym wzrostem.

— Uczniowie nie są tacy sami. Każdy wymaga indywidualnego

podejścia.

— Uczniów też ustandaryzujemy.

— Nowy program nauczania robi to za nas. Kładzie większy nacisk na zapamiętywanie niż na samodzielne myślenie, kreatywność i pracę w grupie.

— I bardzo dobrze. — Wąs zaczynał się niecierpliwić. — Łatwiej sprawdzić, co uczniowie zapamiętali, niż oceniać jakąś tam kreatywność.

Czwartek pokręcił głową, widząc, że nic nie zdziała.

— A co z przyjaźniami? — zapytała młoda kobieta z długimi czarnymi włosami, ubrana też na czarno. Mówiła z wyraźnym obcym akcentem. — Dzieciaki zżyły się przez te dwa lata, a teraz są w innych klasach.

Wąs zerknął na tablet – Christina Smith, nauczycielka angielskiego.

— Przypominam, że jesteśmy fir… szkołą, która nastawiona jest na konkretny cel, a tym celem jest edukacja — odparł. — Uczniowie mogą się przyjaźnić w czasie wolnym.

— Edukacja jest sportem zespołowym — odezwał się mężczyzna wyglądający jak nieco pomniejszona kopia Arnolda Schwarzeneggera z najlepszych lat. Cyryl Borkowski, wuefista. — W zgranym zespole łatwiej o wyniki.

— Zgrają się na nowo. Ponadto zaobserwowałem, że dzieciaki spędzają dużo czasu z nosami w komórkach.

— Na lekcjach nie wolno używać telefonów.

— Mówię o przerwach. Snują się, wgapieni w ekrany. To trzeba ukrócić.

— Ten czas powinni przeznaczyć na aktywność fizyczną — zgodził się pan Borkowski. — A boisko szkolne zarasta chwastami.

— Nie to miałem na myśli. Ten czas powinni przeznaczyć na wnioski z zakończonej lekcji i przygotowanie się do lekcji kolejnej.

— Każdy potrzebuje chwili wytchnienia — zauważył pan Czwartek.

— Dzieciaki potrzebują ruchu — dodał wuefista. — Bez tego wiedza trudniej wchodzi do głowy.

— Proszę państwa — Wąs wstał — nie spotkaliśmy się tu dziś, by debatować nad założeniami mojej reformy. Celem spotkania jest przekazanie państwu tych założeń.

— To jest rada pedagogiczna — odezwała się Konstancja Konstantynopolska, geograficzka, zasuszona sześćdziesięciolatka. Kiedy mówiła, słowa wydostawały się przez wąską szczelinę ust. — Na radzie pedagogicznej ustalamy te założenia.

— Efektem jest średnia ocen na poziomie trzy koma siedem. Tutejszy system się nie sprawdza. Zamierzam to zmienić. Dlatego cała działalność szkoły zostanie podporządkowana podniesieniu średniej ocen. Dotychczasowe premie motywacyjne nauczycieli zostaną zlikwidowane. Nowe premie będą uzależnione od średniej ocen z danego przedmiotu. Czy to jest zrozumiałe?

Wszyscy popatrzyli po sobie.

— Zrozumieliśmy sens tego zdania — przyznał pan Czwartek. — Nie rozumiemy sensu metody.

— Mogę wstawić wszystkim szóstki — powiedział Butler, wypluwając łupinę słonecznika. — Nawet sześćdziesiątki mogę wstawić. Dostanę dziesięciokrotność premii?

Wąs zignorował go i oświadczył:

— Testy muszą być łatwiejsze, ocena prac domowych łagodniejsza, tolerancja dla błędów większa. Oceny automatycznie się podniosą.

— Afirmujmy — rzuciła z końca stołu plastyczka, Zuzanna Zdrój. Drobna dwudziestopięciolatka o elfim typie urody. Blond włosy spływały na ramiona pociętego nożyczkami T-shirtu narzuconego na muślinową sukienkę. Też pociętą. — Afirmacja jest piękna. Oceny nie muszą być liczbami, możemy używać kolorów, które każdy będzie dowolnie interpretował.

— Kuratorium miałoby spore zastrzeżenia — zauważyła Konstancja Konstantynopolska.

— Och, kuratorium… — Zuzanna zamachała rękoma, a pocięty muślin zafalował jak wodorosty podczas przypływu. — Przyziemność nienawidzi nas jak grawitacja budyniu malinowego.

Wąs wpatrywał się w nią w niemym zdumieniu. W jej oczach płonął artystyczny zapał, ale Wąs widział tam tylko zaczątki szaleństwa. Zresztą pozostali nauczyciele podobnie, może z wyjątkiem Cyryla Borkowskiego.

— Trzymajmy się liczb od jeden do sześć — powiedział uprzejmym tonem, jakim rozmawia się z dzieckiem, które chce poprowadzić autobus miejski. — A im bliżej sześciu, tym lepiej.

— Od tego nie podniesie się poziom wiedzy uczniów — zauważyła Wiesława Czartoryska, chemiczka, która wyglądała jak zbliżająca się do końca kariery instruktorka fitness.

— Na początek zwiększymy wskaźniki — odparł Wąs. — Wzrost

wiedzy podąży za nimi.

— Niektórzy z nas mają kredyty do spłacenia. Premie są dla nas ważne.

— O środki finansowe na premie nie muszą się państwo martwić. Podjąłem decyzję o podniesieniu progu przyznawania stypendium dla uczniów z ocenami cztery koma osiem do pięć koma pięć. To czysta oszczędność rzędu kilku tysięcy złotych miesięcznie. W całości zostanie przeznaczona na premie motywacyjne.

Wszyscy wpatrywali się w nowego dyrektora w milczeniu. Wyjątkiem był historyk, pan Cedynia, który cicho pochrapywał ze spuszczoną głową.

* * *

Nika umyła włosy resztką szamponu i położyła się do łóżka, to znaczy na rozkładany fotel. Nie była jeszcze śpiąca, ale lubiła czytać przed snem przy lampce. Książka, jak to zwykle bywa z dobrymi książkami, pomagała choć na chwilę oderwać się od problemów codzienności. Na czas lektury Nika stawała się kimś innym, gdzie indziej i kiedy indziej. Teraz na odległej planecie, w odległej przyszłości przemierzała niebezpieczne góry, łodzią płynęła przez rzekę pełną nieznanych gatunków ryb, wędrowała ulicami nieistniejących miast i zwiedzała świątynie nieistniejących bogów.

Gdy poczuła wreszcie senność, rzeczywistość nie wydawała się już tak nieprzyjazna. Przelew wprawdzie nie przyszedł, ale jeszcze chwilę nie musiała się tym martwić. Miała średnią ocen pięć koma cztery, czyli przynajmniej nie potrzebowała pieniędzy na czesne.

1. *Beef jerky* [wym. bif dżerki]. [wróć]
2. Czyli sześciokątne, ale heksagonalne mądrzej brzmi. [wróć]
3. Mordor – potoczna nazwa dzielnicy biznesowej na warszawskim Mokotowie. [wróć]

4. Termin minął wczoraj

Osiem dni do…

Do szkoły spóźnili się niemal wszyscy, a niektórzy spóźnili się jeszcze bardziej. Policja zamknęła skrzyżowanie, przez które przejeżdżały wszystkie autobusy jadące od północy. Powstał taki korek, że kierowcy wypuścili pasażerów i zrobili sobie przerwę.

Net dogonił Felixa, który wysiadł z autobusu tej samej linii, stojącego pięćdziesiąt metrów bliżej skrzyżowania.

— Cześć! — Uścisnął rękę przyjaciela. — Nie spiesz się tak. Pierwsza jest chemia. I tak nie dobiegniemy.

— Będziemy pięć minut po dzwonku. — Felix nie zwalniał.

— Pierwsza jest CHEMIA — powtórzył Net. — Wejdziesz sekundę po dzwonku, a Próbówka i tak wstawi ci nieobecność.

Dopiero to sprawiło, że Felix zwolnił. Rzeczywiście Wiesława Czartoryska była znana z tego, że nie uznaje spóźnień. Zamiast nich wstawiała po prostu nieobecności.

— Musimy się lepiej zsynchronizować — stwierdził. — Te autobusy rano jeżdżą co siedem minut, a i tak jest taki tłok, że nie da się czytać.

— A, czyli z nudów przyda się Net.

Felix zastanowił się.

— W sumie…

— Dzięki.

Szli wzdłuż starego i zaniedbanego parku. Sto metrów dalej dostrzegli przyczynę zamieszania. Straż pożarna, ambulans i samochód policyjny.

Część skrzyżowania oddzielono taśmą policyjną i pachołkami.

— Ktoś się wrąbał w latarnię. — Net wyjął telefon. — Czemu Manfred nas nie ostrzegł, że jest korek?

— *Próbowałem przekazać ważną wiadomość* — odparł Manfred. — *Wyciszyłeś telefon.*

— Wczoraj wieczorem, jak kładłem się spać.

— *A jak ty coś chcesz, to ja mam być cały czas zwarty i gotowy?*

— Ty nie musisz spać. Dobra, co to za ważna wiadomość?

— *W sumie to za kilka sekund sami się przekonacie.*

— Ten samochód wygląda… — Felix spoważniał, po czym zaczął biec.

Netowi zajęło chwilę, by dostrzec, co się stało. Czarny Land Rover stał wbity w przechyloną latarnię, a obok ratownicy medyczni krzątali się wokół kogoś na noszach.

— Tato?! — Felix dobiegł do noszy, na których leżał pan Polon z ręką w usztywniaczu i w kołnierzu ortopedycznym.

— Nic mi nie jest. — Tata uniósł zdrową rękę. — Wszyscy za bardzo się przejmują.

— A to? — Felix spojrzał na rękę w usztywnieniu.

— A, ręka. — Tata sprawiał wrażenie trochę nieobecnego. — Chyba złamana.

— To nic poważnego — wtrącił jeden z ratowników. — Pewnie wystarczy gips.

— e-Zygmunt wymaga dopracowania — wyjaśnił tata. — Zamiast stłuczki z innym samochodem wybrał latarnię. Ktoś przejechał przez podwójną ciągłą, bo mu się spieszyło. Potem opowiem… Panowie dali mi coś fajnego — wskazał ratowników — i teraz trochę trudniej mi się skupić.

— Środek przeciwbólowy — wyjaśnił ratownik. — Na wszelki wypadek.

— A kołnierz ortopedyczny? — zapytał Felix.

— Też na wszelki wypadek.

— Pojadę z tobą.

— Nie, idź do szkoły. — Tata zdrową ręką uścisnął rękę syna. — Mama po mnie przyjedzie. Rozmawiałem z nią. Jak wrócisz, pewnie będę już w domu.

Felix poklepał tatę po ramieniu (tym zdrowym), a ratownicy wsunęli nosze do samochodu. Pocieszające było to, że ruszyli bez włączania syreny. Może więc rzeczywiście to nic poważnego.

W pobliżu, jak sępy zwabione kolizją, krążyły lawety z wąsatymi kierowcami. Policjanci wszystkich grzecznie odprawiali. Dopiero gdy pojawił się spory holownik z logo Instytutu Badań Nadzwyczajnych, rozsunęli pachołki i przepuścili go.

Felix obszedł samochód dookoła. Zniszczenia nie wyglądały na bardzo poważne, ale laweta i tak była konieczna.

— Złamana ręka to nic takiego — próbował go pocieszyć Net. — Kiedyś taka moja ciotka złamała rękę… a nie, to zły przykład, bo ona to akurat umarła. Ale statystycznie biorąc… — zamilkł, widząc spojrzenie Felixa.

* * *

Jerzy Wierszewski siedział na kanapie gabinetu dyrektora i klepał w klawisze na swoim wielkim laptopie. Kropelki potu na skroni świadczyły, że boryka się z trudnym zadaniem. Dyrektor Wąs stał nad nim z rękoma w kieszeniach, co wcale nie poprawiało samopoczucia informatyka.

— Ktoś zmienił hasło — orzekł wreszcie Eftep.

— Zmienił? — zainteresował się dyrektor. — To znaczy, że wie pan, jakie było przedtem?

— Eee… — Eftep zawahał się. Wszystko wskazywało na to, że na razie Wąs nie domyślił się jego małego podstępu. Informacja o tym, że Stokrotka wyrzucił informatyka z pracy, znajdowała się w jednym z segregatorów i nie została jeszcze wprowadzona do komputera. Na szczęście nowa sekretarka nie dotykała się do papierowych dokumentów. Istniała więc szansa, że dyrektor nieprędko się dowie, że przyjął do pracy kogoś, kto z tej pracy chwilę wcześniej wyleciał. Eftep tym bardziej nie zamierzał sam tego zdradzać i miał nadzieję, że inni nauczyciele też tego nie zrobią. Co było całkiem prawdopodobne, bo oni chyba nawet nie wiedzieli, że Eftep wyleciał. Zamierzał wykazać się swoim kunsztem informatycznym, żeby jego przydatność dla szkoły i nowego dyrektora odsunęła w cień wszelkie wydarzenia z przeszłości.

— Potrafi pan coś z tym zrobić? — ponaglił Wąs.

— To będzie wymagało eee… trochę czasu.

— Może prościej zapytać ucznia, który pomagał poprzedniemu dyrektorowi? Ten uczeń nazywał się… — Wąs zastanowił się. — Net Czarnecki…?

— Bielecki — poprawił go Eftep, po czym ugryzł się w język.

— Zna go pan?

— Yyy… Nie. To znaczy tak. Nie osobiście. To znany hacker. Zhackował naszą stronę i dlatego eee… nie można się zalogować.

— Wezwijmy go zatem i zobaczmy, co powie.

Eftep zesztywniał. Jednoczesne spotkanie z dyrektorem i Netem Bieleckim było bardzo niewskazane.

— Muszę wstać. — Zerwał się z miejsca. — To znaczy muszę iść przygotować się do lekcji. Potem przyjdę po to hasło od odhackowania naszej strony.

Złapał laptop i pospiesznie wyszedł.

Wąs obszedł biurko i nacisnął obrzydliwie archaiczny intercom.

— Pani Halinko, niech pani odnajdzie i wezwie do mnie ucznia Neta Czarneckiego. Nie, zaraz… Bieleckiego.

— *Oczywiście, panie dyrektorze.*

Wąs chwilę patrzył na zamknięte drzwi. Jakiś nerwowy ten nowy informatyk. Dyrektor otworzył na tablecie katalog „Kuszminski files". Założył nauczycielom osobne foldery, do których trafiało wszystko, co znalazł na ich temat. Nigdy nie wiadomo, co kiedy może się przydać. Otworzył folder Jerzego Wierszewskiego i wpisał spostrzeżenie z dzisiejszą datą: „Nieudolny informatyk, który własną niekompetencję maskuje przesadnym zaangażowaniem i wyolbrzymianiem swoich zasług. Typ mierny, ale wierny".

— Najlepszy typ osobowości do odpowiedniego ustawienia go w hierarchii — powiedział sam do siebie.

Dopisał jeszcze: „Coś ukrywa. Sprawdzić" i kliknął folder Cyryla Borkowskiego. Z tym będzie trudniej, choć i on może się przydać. To z kolei typ żołnierza szanującego hierarchię. Dobry kandydat na sierżanta, będzie pilnował realizacji pomysłów dowódcy. Jeżeli uda się zdobyć jego szacunek. Ale jak zdobyć szacunek fanatycznego nauczyciela wuefu? Hm… Dać mu coś, co tamten uważa za słuszne. Wąs chwilę się zastanawiał, po czym dopisał: „Ruszyć temat remontu boiska".

Proste.

Zapiszczał interkom. Dyrektor z niechęcią nacisnął wyślizgany przycisk.

— Słucham.

— *Neta Czarn… Bieleckiego nie ma w sali* — wyjaśniła Halinka.

Wąs zerknął na zegarek – kwadrans po dzwonku.

— Nauczycielka coś powiedziała?

— *Powiedziała, że połowa uczniów nie dotarła.*

Dyscyplina i frekwencja to kolejny temat do załatwienia. Nie będzie dobrych ocen, jeśli już w pierwszym tygodniu nauki połowa uczniów sobie bimba. No tak, ale przecież nauczyciele mają nie stawiać złych ocen. Jak ich docisnąć, jeśli groźba obniżenia ocen ze sprawowania też nie wchodzi w grę, bo obniża również tę nieszczęsną średnią? Wąs zasępił się. To trudniejsze nawet niż zarządzanie hurtownią żwirku dla kotów w zeszłym roku. No, ale skoro tam dał radę, to tu też nie zawiedzie!

* * *

Felix i Net wpadli do sali chemicznej dwadzieścia pięć minut po dzwonku, wraz z kilkoma innymi uczniami z Siódemki. Próbówka, czyli pani Czartoryska, przerwała pisanie skomplikowanego wzoru na tablicy i spiorunowała ich wzrokiem.

— Myślicie, że możecie przychodzić do szkoły, o której wam się podoba? — zapytała groźnie. — Jesteście w grubym błędzie. Siadajcie. — Odłożyła kredę, wzięła długopis i pochyliła się nad dziennikiem. — Macie… — Znieruchomiała na kilka chwil, po czym dodała już mniej stanowczym tonem — macie spóźnienia. Następnym razem jesteście w klasie dziesięć minut przed dzwonkiem. Zrozumiano?

Wróciła do pisania wzoru, który zajmował już pół tablicy, i wyjaśniania, co ten wzór opisuje.

— Dwadzieścia pięć minut i tylko spóźnienie? — szepnął Net, gdy usiedli. — W zeszłym roku już za pięć sekund wpisywała nieobecność.

Felix nie słuchał ani przyjaciela, ani nauczycielki.

— Potem mamy dwie wolne lekcje — stwierdził, błądząc myślami gdzie indziej. — Nie ma nauczycieli od polskiego i informatyki. Wyskoczę do taty.

— Jest już nowa polonistka i nowy informatyk — szepnął z tyłu Wiktor.

— A to peszek. — Net spochmurniał. — Brak wakacji boli.

Próbówka skończyła pisać.

— To będzie na najbliższym teście. — Zapukała kredą w tablicę. — Czy ktoś ma jakieś pytania?

Dziewczyna z trzeciej ławki uniosła dłoń, a gdy nauczycielka skinęła

głową, tamta oznajmiła:

— Mam pytanie, bo ja nic nie rozumiem.

Próbówka zamknęła oczy z rezygnacją i już szykowała się do oświadczenia, jak bardzo ewolucja mózgu zawodzi w niektórych przypadkach. Zrezygnowała i spojrzała na wzór. Po chwili namysłu wzięła gąbkę i starła wszystko.

— Spróbujemy czegoś prostszego.

* * *

Na przerwie we trójkę spotkali się przy oknie, a Felix w kilku słowach opowiedział Nice, co się stało.

— Mama już u niego jest — przeczytał z ekranu telefonu. — Zrobili mu prześwietlenie i zaraz będą zakładali gips.

— Może odwołamy sobotni grill? — zaproponowała Nika.

— Nie, tata się ucieszy. Przez jakiś czas nie będzie mógł pracować, więc grill to dla niego rozrywka.

— To tylko lewa ręka — zauważył Net. — Prawą może przewracać kiełbaski na ruszcie.

Nika spojrzała na niego z ukosa i już miała coś powiedzieć, ale może i było w tym trochę racji. Tata Felixa należał do ludzi nieznoszących bezczynności.

— Felix Polon — rozległo się z boku. Cała trójka odwróciła się. Tuż obok stał Cyborek, czyli Cyryl Borkowski. — Co ty wyprawiasz?

Felix spojrzał po sobie, nie rozumiejąc. W ręku trzymał telefon, łokciem opierał się o parapet. Buty na zmianę… nie miał butów na zmianę, ale tego nauczyciel nie mógł wiedzieć.

— Co wyprawiam? — zapytał więc po prostu.

Wuefista wskazał dużą naklejkę przylepioną do ściany. Przedstawiała przekreślony telefon komórkowy.

— Przecież jest przerwa. — Felix nadal nie rozumiał.

— Zakaz korzystania z komórek obowiązuje przez cały czas przebywania w szkole — wyjaśnił wuefista głosem przywykłym do wydawania poleceń. — Wyłącz telefon i schowaj.

Felix wyłączył telefon i schował do kieszeni. To znaczy, nie wyłączył, tylko wygasił ekran.

Nauczyciel jeszcze spojrzał na niego groźnie i odszedł.

W końcu korytarza woźny, pan Brudnica, rozstawił drabinę i naklejał właśnie taki sam znak zakazu. W zasięgu wzroku przyjaciele dostrzegli jeszcze kilka naklejek.

— Zakaz komórkowania? — mruknął Net. — Co za bzdura… Będzie trzeba się kamuflować.

— Co macie teraz? — zapytała Nika.

— Informatykę. — Net uśmiechnął się. — Podobno jest nowy nauczyciel. Po raz pierwszy idę na ten przedmiot bez napinki.

— Spróbuj nie podpaść — poradziła z uśmiechem dziewczyna. — Udawaj głupa.

— To nie powinno być trudne, chciałaś dodać, prawda?

— Wcale nie. — Pogłaskała go po policzku. — Ja za to jestem ciekawa nowej polonistki.

— Też macie wrażenie, że chodzimy do szkoły specjalnej? Wszystko jest podejrzanie łatwe.

Rozległ się dzwonek kończący przerwę.

— Te krótkie przerwy są nieznośne — zauważył Net. — Ale przynajmniej wcześniej wyjdziemy ze szkoły.

— Po szkole jadę do szpitala — powiedział Felix. — Odbieramy tatę. *Beef jerky* zrobimy jutro.

Net westchnął i o czymś sobie przypomniał. Wyjął z plecaka torebkę śniadaniową i podał Nice.

— Znów za dużo kanapek.

Dziewczyna cmoknęła go w policzek i pobiegła na swoją lekcję. Chłopcy ruszyli zaś w przeciwną stronę.

Net nagle zamarł i zapatrzył się ponad głowami uczniów w przeciwny koniec korytarza.

— Nie, nic. — Wzdrygnął się. — Zdawało mi się, że widziałem Eftepa.

— Wyluzuj — poradził Felix. — Już go tu nie ma. I nie będzie.

— Wiem. Ale ten koszmar będzie mi się śnił do emerytury.

* * *

Na polskim Aurelia też usiadła z Niką. Było już kilka minut po dzwonku, a nauczycielka wciąż się nie pojawiała. Uczniowie zajęli się już rozmowami

i telefonami. Liczyli na to, że lekcja im się upiecze.

— Będzie mi brakowało pani Joli — odezwała się niespodziewanie Aurelia. — Pewnie nowy nauczyciel okaże się nudziarzem.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wpadła kobieta po sześćdziesiątce, ubrana w biała koszulę i sprane jeansy. Czarne włosy do ramion falowały, bystre ciemne oczy spoglądały zza okularów w grubych czarnych oprawkach.

— Sorki za spóźnienie. — Rzuciła na biurko skórzaną torbę typu worek. Torba prześlizgnęła się po blacie i zatrzymała tuż przed krawędzią. — Zaczniemy później, ale za to skończymy wcześniej. — Powiodła wzrokiem po sali pełnej pytających spojrzeń. — Żartuję. Coście takie sztywniaki? — Po czym dodała ciszej — jak ten Wąs.

Dopiero teraz przez salę przebiegł ostrożny szmer rozbawienia.

Nauczycielka chwilę grzebała w torbie, ale zaraz dotknęła twarzy, by stwierdzić, że okulary już ma na nosie.

Wyszła na środek, oparła ręce na biodrach i oznajmiła:

— Nazywam się Agata Zasadowska i spróbuję sprawić, że polubicie język polski. Wy mi się teraz nie przedstawiajcie, bo i tak od razu zapomnę. Wolę was poznawać stopniowo.

Zaczęła się przechadzać po klasie, starając się nie robić przy tym wrażenia srogiej. Dotarła do ławki Niki i Aurelii.

— Fajne buty — oceniła, patrząc na nogi tej pierwszej. — Dziesięciodziurkowce. Ja musiałam zejść do ośmiodziurkowców. Plecy już nie te, a buty same się nie zawiążą. — Podciągnęła minimalnie nogawkę, by pokazać swój but. Nosiła czarne martensy, niższe od tych Niki. — Jak się nazywasz?

— Nika Mickiewicz. A te buty można wiązać do siódmej dziurki. I potem dookoła cholewki [1].

— Dookoła czego? — zapytał ktoś z tyłu.

— Cholewka to ta górna część buta — wyjaśniła polonistka. — Ta, którą się sznuruje. — Pokiwała głową w zamyśleniu. — Nie będzie lekko… Tak, to dobry początek lekcji. Na razie zapomnijcie o podmiotach, o orzeczeniach i o trzynastozgłoskowcach. Dziś porozmawiamy o tym, jak rozmawiać. Co wy na to? Żeby rozmawiać, nie trzeba wiedzieć, czym jest podmiot i orzeczenie. Trzeba czuć język. Czujecie język?

— Ja bardzo dobrze czuję język — uśmiechnęła się Aurelia.

— Zawsze łapiecie się na ten żarcik. — Agata pokręciła głową z rozbawieniem, ale zaraz poklepała Aurelię serdecznie po ramieniu. — Język w znaczeniu kodu komunikacyjnego, choć ten w gębie też się przydaje. — Zerknęła na zeszyt dziewczyny. — Prawda, Aurelio? — „Chodzi mi o to, aby język giętki/ Powiedział wszystko, co pomyśli głowa:/ A czasem był jak piorun jasny, prędki,/ A czasem smutny jako pieśń stepowa,/ A czasem jako skarga nimfy miętki,/ A czasem piękny jak aniołów mowa…/ Aby przeleciał wszystka ducha skrzydłem./ Strofa być winna taktem, nie wędzidłem.” [2].

W sali zapadła cisza. Wszyscy gapili się na polonistkę.

— To było po czesku? — zapytał ktoś z tyłu.

— Wiecie, kim był Juliusz Słowacki? — zapytała Agata.

— Słowakiem?

Agata zamknęła na chwilę oczy i w myślach policzyła wolno do pięciu. Potem odetchnęła.

— Wielkim poetą był. Polskim. Coś czuję, że to będzie orka na ugorze. Coś wam to mówi? Orka na ugorze, taki idiom. Polski idiom.

— Co to jest idiom?

— No właśnie… Żeby rozmawiać, trzeba znać język. Idiom to wyrażenie specyficzne dla danego języka. Ma nieoczywiste znaczenie. Kawę na ławę weźmy na przykład. Nie chodzi tu o żadną kawę, tylko o to, żeby powiedzieć coś wprost, bez ogródek, bez owijania w bawełnę, tak prosto z mostu. Kolejne trzy idiomy, *by the way*. Ale i to nie wystarczy, jeśli nie umie się rozmawiać. Rozmowa to sztuka, której uczymy się jak wszystkiego innego. Obawiam się, że większość ludzi zupełnie się do tej nauki nie przykłada. Nie jest łatwo mówić z sensem, ale jeszcze trudniejsze jest słuchanie. Z tym to już w ogóle jest beznadziejnie. Oglądacie czasem debaty polityczne w telewizji? Mam nadzieję, że nie, ale jeśli przypadkiem kiedyś zobaczycie taką debatę, będzie to doskonały przykład, jak rozmówcy nie potrafią słuchać.

Aurelia pochyliła się do Niki i szepnęła jej na ucho:

— W końcu coś ciekawego w tej szkole.

Nika skinęła głową, że racja. Powoli dochodziła do wniosku, że może wcześniej źle oceniała Aurelię. Ba, była nawet skłonna przyznać, że trochę ją lubi.

— Im lepiej czujemy język i im lepiej czuje go nasz rozmówca — ciągnęła polonistka — tym bardziej precyzyjną informację potrafimy przekazać. Jeśli rozmówcy dobrze znają język i siebie, mogą się porozumieć małą ilością słów. Dlatego właśnie jedyną skuteczną metodą nauki jezyka obcego są konwersacje. Wkuwanie regułek to marnowanie czasu. Tak można uczyć maszynę, nie człowieka. — Wyjęła z torby plik wydruków i rzuciła na biurko z hukiem. — Czyli program nauczania języka polskiego zakłada, że jesteście maszynami. Postaram się znaleźć złoty środek, żebyście się czegoś nauczyli i nie znienawidzili ojczystego języka. Jeśli wcześniej mnie nie wy… rzucą z tej szkoły. To znaczy z pracy. — Westchnęła teatralnie. — Zła wiadomość jest taka, że o podmiotach, o orzeczeniach i o trzynastozgłoskowcach i tak będziemy musieli się pouczyć, bo bez tego nie zdacie matury.

* * *

Sala informatyczna wyglądała identycznie jak przed wakacjami, ale Netowi wydała się zdecydowanie bardziej przyjaznym miejscem. Stoły z przestarzałymi komputerami zestawiono w podłużną wyspę, na której końcu stało wyższe biurko dla nauczyciela. Pod ścianą tkwiły drukarka, archaiczny skaner i trzy urządzenia, których przeznaczenia trudno się było domyślić. Nigdy jeszcze nie zostały włączone.

— Godzina odpoczynku dla mózgu — uśmiechnął się Net.

Chciał usiąść na miejscu, które zajmował przed wakacjami, ale zobaczył tam jakiegoś nieznajomego chłopaka. Co więcej, szybko okazało się, że komputerów jest mniej niż uczniów, a ktoś rozwiązał ten problem, dostawiając po prostu do stołów więcej krzeseł.

— Jeden komputer na dwie osoby? — Net podrapał się w głowę. — Sensu to ma tyle, co korespondencyjny kurs spadochroniarstwa.

Nawet nie mogli usiąść obok siebie. Felix i tak myślał o czym innym, ale Net nie zamierzał dać za wygraną. Stanął za chłopakiem, który wyglądał na mało rozgarniętego, i powiedział od niechcenia:

— Ci, co siedzą przed klawiaturą, będą dziś pisać test.

To wystarczyło, by chłopak zrejterował. Net natychmiast zajął jego miejsce.

— To nie było *fair*. — Felix usiadł obok.

— Przede mną ważne zadanie, przygotowuję się do bycia grzecznym, miłym i pilnym uczniem, nie mogę być równocześnie uprzejmy — wyjaśnił Net. — To oczywiście będą pozory. A przed nowym nauczycielem zamierzam udawać debila.

Mimo że dzwonek wybrzmiał już kilka minut wcześniej, informatyk nie pojawiał się. Felix wyjął książkę z wielkim słońcem na okładce i tytułem *Słońce. Wszystko co o nim wiemy, a nawet więcej*.

— Science fiction? — zapytał Net.

— Popularnonaukowa — wyjaśnił Felix. — Pożyczyłem od taty. On od jakiegoś czasu bardzo się interesuje Słońcem. Pewnie jakiś kolejny projekt *top top top secret*.

— Nie szkoda ci czasu na książki popularnonaukowe?

— Nigdy nie wiesz, kiedy wiedza się przyda.

— Wszystko można sprawdzić w internecie.

Drzwi sali otworzyły się i wszedł przez nie nauczyciel. Wyraz twarzy Neta zmienił się dramatycznie. Ujrzał oto swój koszmar senny, ujrzał kogoś, kogo nie spodziewał się zobaczyć już nigdy – ujrzał Eftepa. Nauczyciel jak gdyby nigdy nic przeszedł przez salę i rozłożył na biurku swój wielki laptop i dziennik.

— Dzień dobry — powiedział entuzjastycznie.

— Dzień dobry — klasa odpowiedziała mniej entuzjastycznie.

— Dzień zły — wyszeptał ze zgrozą Net.

Nauczyciel oczywiście tego nie usłyszał. Założył ręce z tyłu i zaczął się przechadzać po sali.

— Informatyka to podstawa funkcjonowania współczesnego państwa. — Uniósł brodę, by dodać swoim słowom powagi. — Na naszych lekcjach poznacie tajniki tego złożonego przedmiotu. Przekażę wam moją wiedzę, która pozwoli wam odnaleźć się w dynamicznie zmieniającym się świecie. Moje doświadczenie, zdobyte podczas wieloletniej…

Net już go nie słuchał. Nachylił się do Felixa i zapytał szeptem:

— Co tu się odjaniepawla…?

— Nie wiem. Może Stokrotka nie zdążył podpisać wszystkich dokumentów.

— To może chodźmy do Wąsa, żeby to sprawdził. I dokończył procedurę wywalania, czy ja wiem…

— Mała szansa.

— … wyzwań stojących przed waszym pokoleniem — perorował Eftep. — Najpierw jednak sprawdzimy wasz poziom wiedzy. Ci, którzy siedzą przed klawiaturą, napiszą test.

* * *

Mężczyzna był raczej drobny, dobiegał pięćdziesiątki, miał czarne wąsy przypominające szczotkę do butów i czoło sięgające czubka głowy. Siedział na kanapie i patrzył na opartego o biurko dyrektora z mieszanką nadziei i obawy.

— Czterysta złotych miesięcznie to bardzo nierynkowa suma — odezwał się dyrektor.

— Ale to jest sklepik szkolny. — Pan Robert Małpisiak rozłożył ręce. — Co tu można sprzedawać? Kawior i homary? Ośmiorniczki? Na czym zarabiać?

— Pozostali kandydaci zaproponowali wyższe stawki. — Nie było żadnych innych kandydatów, ale to wiedział tylko Wąs. — Dodatkowo prąd miał pan za darmo.

— Jogurty i kefiry muszę trzymać w lodówce.

— To po co ten jogurt i kefir? — Wąs rozłożył ręce. — To kupują tylko szurnięte miss samych kości. Uzupełni pan asortyment o słodycze, chipsy i te wszystkie śmieci, które gówniarze uwielbiają. Obroty wzrosną.

— Nie wolno. Ma być mało cukru, soli i tłuszczów nasyconych.

Wąs parsknął i spojrzał pobłażliwie na pana Małpisiaka.

— Ja mam pana uczyć robić biznes? — zapytał. — Jak tak się nie da, to trzeba kombinować. Wystawi pan stoliki przed szkołę i zrobi kawiarnię pod chmurką.

— Dla uczniów?

— Dla klienta zewnętrznego. Zawsze się jakiś jeleń trafi. Kawa po dziesięć złotych, tak żeby było taniej niż tam po drugiej stronie ulicy. Proste? — Dyrektor podszedł do drzwi, na co gość zerwał się z kanapy. — Pani Halinka już ma umowę. — Dyrektor klepnął sklepikarza w plecy, trochę dla pokrzepienia, ale bardziej po to, żeby pan Małpisiak szybciej wyszedł. — Osiemset złotych miesięcznie i prąd będzie w cenie. Dwa podpisy.

Nie czekając na odpowiedź, zamknął drzwi i odetchnął. Kolejna sprawa załatwiona. Co tam dalej? A, stopnie.

* * *

— No po prostu nie wierzę. — Net wciąż nie mógł dojść do siebie. — To się nie dzieje naprawdę.

Przyjaciele stali przy „swoim” oknie. Felix wymieniał się wiadomościami z mamą.

— Co u niego? — zapytała Nika.

— Jeszcze go badają.

— I zrobił test z wiedzy o komputerach ośmiobitowych. — Net nie potrafił myśleć o czymkolwiek innym. — Dobrze, że nie wkuwamy obsługi liczydła.

— Chcą się upewnić, że nic poza ręką… — Felix zamilkł i spojrzał w bok.

— Ostrzegałem. — Pan Borkowski wyciągnął rękę po telefon. — Zakaz obowiązuje wszystkich uczniów bez wyjątku.

— Mój tata jest w szpitalu.

— Poproszę telefon. — Nauczyciel nie zamierzał rezygnować. — Wykorzystajcie przerwę jako dodatkowy czas nauki.

— Nauki? — Felix powoli oddał telefon.

— Otwórzcie podręczniki, zróbcie wspólnie zadanie albo przeczytajcie dwie strony lektury. — Wuefista schował telefon do kieszeni. — Po lekcjach odbierzesz w sekretariacie.

Felix chciał coś jeszcze powiedzieć, ale nauczyciel już odszedł.

— Czy w innych szkołach też tak jest? — zapytał retorycznie Net.

— Ten cały Wąs wprowadza tu dyktaturę — podsumowała Nika. — Ale przynajmniej polonistkę mamy fajną.

* * *

Cecylia Bąk, zwana przez uczniów Ekierką, napisała na tablicy równanie. Równanie było proste. Tak proste, że najgorszy cymbał nie miałby kłopotu z jego rozwiązaniem. Nauczycielka spojrzała na nie smutno i odwróciła się do klasy.

— Czy ktoś chce to rozwiązać? — Powiodła spojrzeniem po uczniach. Nikt się nie wyrywał. — Za poprawne rozwiązanie można dostać szóstkę.

Dopiero to sprawiło, że podniosło się z dziesięć dłoni. Net nawet nie

zwrócił na to uwagi.

— A jakby tak po prostu pójść do Wąsa i mu wszystko opowiedzieć? — szepnął do Felixa. — O Eftepie, że to ameba informatyczna?

— On nie wygląda na kogoś, z kim da się tak po prostu porozmawiać — odszepnął Felix. — Zobacz, co wymyślił z telefonami. Nawet nie będzie chciał cię przyjąć.

Drzwi do sali otworzyły się na oścież i stanęła w nich Halinka z tabletem w dłoni. Zapukała w otwarte drzwi i spojrzała na ekran tabletu. Coś na nim przeglądała, wszyscy się na nią gapili, a milczenie się przeciągało.

— Net Czarnecki — powiedziała wreszcie. — Dyrektor zaprasza na rozmowę.

Net zesztywniał i zbladł. Najchętniej udałby, że go tu nie ma. Poruszył się, dopiero kiedy Felix szturchnął go łokciem.

— Bielecki — powiedział słabym głosem, wstał i mechanicznym krokiem ruszył w stronę drzwi. W progu odwrócił się jeszcze i spojrzał na przyjaciela, jakby oczekiwał pomocy. Rzecz jasna Felix nie mógł mu pomóc.

Halinka zaprowadziła go do sekretariatu. Sama usiadła za biurkiem i nacisnęła przycisk interkomu. I zmarszczyła brwi. Nie mogła sobie przypomnieć, czy Bielecki, czy Czarnecki, wybrała więc rozwiązanie jej zdaniem najbezpieczniejsze.

— Jest Net Szarecki — zaanonsowała.

Net posłał jej ciężkie spojrzenie, ale ona nawet nie zwróciła na to uwagi.

Na biurku stało tekturowe pudełko z kilkunastoma telefonami komórkowymi. Netowi przemknęło przez myśl, żeby dyskretnie świsnąć komórkę Felixa. Nie, zbyt ryzykowne. Na pewno nie teraz. Nigdy w życiu, nie.

Tak.

Nie.

Może…

Nie, zdecydowanie…. Chyba nie.

Płynnym ruchem sięgnął po telefon Felixa i przeczesał włosy, jakby chodziło wyłącznie o to. Telefon był już w jego kieszeni.

Satysfakcja z udanej akcji szybko została przyćmiona niepewnością, o co może chodzić Wąsowi. Nadal stał przy biurku i nic się nie działo. A obok w rynience leżała sterta nieotwartych listów. Ciekawe… Nie, żadnych więcej takich akcji. Czuł się, jakby czekało go borowanie.

— *Niech wejdzie* — dobiegło z głośnika.

Net nie ruszył się z miejsca. Nie wiedział, czy ma sam iść, czy czekać, aż sekretarka go zaprowadzi.

— Niech wejdzie — powiedziała.

Net zapukał w drzwi. Nie miało to sensu, bo drzwi były obite gąbką i sztuczną skórą. Nacisnął więc klamkę i wszedł do dobrze znanego wnętrza.

— Dzień dobry. — Net ukłonił się jak chłop pańszczyźniany przed feudalnym właścicielem wsi.

Wąs tylko skinął głową i wskazał komputer na biurku.

— Odhackuj szkolną stronę.

— Odhackować? — Net uniósł brwi.

— Wpisz hasło.

Net z trudem poruszył nogami. Podszedł do biurka i usiadł w fotelu. Wąs stał obok z rękoma w kieszeniach. Net przygarbił się pod ciężarem jego obecności i spojrzał na ekran, na którym wyświetlało się okno logowania do szkolnej strony. Wpisał użytkownika i hasło, a ekran wyświetlił panel administracyjny.

— Proszę, proszę. — Dyrektor pokiwał głową. — Czyli to jednak byłeś ty.

— No tak… To znaczy nie! — Net zerwał się z miejsca. — Niczego nie zhackowałem! Stokrotka… pan dyrektor Stokrotka poprosił mnie… a ja… No właśnie.

— Wspominanie o współpracy z poprzednią dyrekcją nie działa na twoją korzyść — zauważył zimno Wąs. — Siadaj.

Net usiadł.

— Nie tutaj. — Dyrektor wskazał kanapę.

Net zerwał się z dyrektorskiego fotela i szybkim krokiem obszedł biurko. Sztywno usiadł na kanapie.

Wąs stanął nad nim z rękoma w kieszeniach i chwilę mu się przyglądał.

— Zawrzemy pewien układ — powiedział.

* * *

Net wracał do domu w kiepskim nastroju. Problemy gromadziły się nad jego głową jak chmury gradowe, a ręce wyciągały mu się od ciężkich toreb z zakupami. Musiał je zrobić, bo od tygodnia tata ciągle pracował, a mama

z dwójką dzieciaków miała ograniczoną ładowność wózka. Chciał jak najszybciej zamknąć się w pokoju i porządnie odmóżdżyć grą komputerową. Miał przy tym nadzieję nie spotkać po drodze rodziców.

Drzwi do windy zamykały się całą wieczność, a gdy się wreszcie zamknęły, piknęły i otworzyły się.

— … bry — mruknął pan Niecnota, sąsiad z osiemnastego piętra.

— … bry — odparł niechętnie Net.

Tomasz Niecnota był trzydziestolatkiem, którego cały sens życia stanowiło budowanie masy mięśniowej. Wkładał w to dużo wysiłku, dzięki czemu teraz musiał stać bokiem, żeby nie dociskać Neta do ściany. Mieszkał z mamą i chyba nie miał pracy, bo z domu wychodził tylko na siłownię.

— Ciężki dzień, nie? — rzucił paker. — Nie było czekoladowej.

Net uniósł brew i spojrzał pytająco. Uchwyty toreb wrzynały mu się w dłonie.

— Czekoladowej nie było. — Pan Niecnota podniósł torbę z dużym plastikowym opakowaniem. — Proteinki. Odżywka białkowa. Była tylko malinowa.

Chciałbym mieć takie problemy, pomyślał Net.

Gdy drzwi się już zamykały, piknęły i otworzyły się ponownie. Net westchnął bezgłośnie i przygarbił się pod ciężarem zakupów. Najpierw do środka wjechał wózek z zaspanym dwulatkiem. Pchała go zdyszana młoda mama z rozwianym włosem – pani Jarota z trzydziestego trzeciego piętra.

— Dzięki, nie mogę czekać na następną — wyjaśniła, łapiąc oddech. — Ciężki dzień, autobus spóźnił się sześć minut. A zaraz zaczyna się dwa tysiące osiemset pięćdziesiąty trzeci odcinek *K jak kredyt*. — Naciskała raz za razem przycisk zamykania drzwi. — Pędziłam z wózkiem całą drogę od przystanku. Nie mogę tego przegapić. Dziś Andżelika i Brajan idą do banku załatwiać prolongatę, a Grażyna i Janusz spłacają ostatnią ratę za pralkę. Z tej okazji urządzają wielkie przyjęcie, na które wezmą kolejny kredyt. Emocje, emocje…

Chciałbym mieć takie problemy, pomyślał znowu Net.

Maluch w wózku odkaszlnął i ze zdziwieniem wyjął z ust muchę.

Proteinki, dodał w myślach Net. Winda wreszcie ruszyła.

* * *

Nika zamknęła za sobą drzwi i rzuciła torbę na kanapę. Otworzyła lodówkę, choć wiedziała, że niczego w niej nie znajdzie. Wyjęła z torby drugą kanapkę od Neta (pierwszą zjadła w szkole) i przekroiła ją na pół. Obiad i kolacja. Nalała wody z kranu do szklanki, usiadła przy stole i z zadowoleniem wbiła zęby w chleb. Na komórce sprawdziła stan konta bankowego. Pieniądze nadal nie przyszły, pojawił się za to nowy e-mail ze szkoły. Przyszedł na konto Pawła Mickiewicza, nieżyjącego ojca Niki. Net założył jej to konto, by nikt nie nabrał podejrzeń, że dziewczyna mieszka sama.

Otworzyła wiadomość. W miarę czytania przeżuwała kanapkę coraz wolniej, aż z trudem przełknęła.

— Co?!

Przeczytała raz jeszcze. Nie było wątpliwości – szkoła żądała od niej wpłacenia czesnego, grożąc naliczeniem odsetek. Termin minął wczoraj.

1. Polska język, trudna język, prawda? Ale spokojnie, zaraz to będzie wyjaśnione w tekście. [wróć]
2. Juliusz Słowacki *Beniowski*. [wróć]

5. Wynoś się z tego komputera

Tydzień do…

Net pojawił się u Felixa parę minut przed południem. Felix wpuścił go, lekko zaskoczony rozbieganym spojrzeniem przyjaciela.

— Miałem być pół godziny temu, ale metro znów stało — rzucił od progu Net. — Jakiś alarm bombowy, czy coś. Sprężajmy się. Zrobimy Nice niespodziankę z tymi *beef jerky*. — Zatarł dłonie. — Do roboty!

— *Dzień dobry.* — Stojący obok kanapy Golem Golem odwrócił głowę w stronę gościa. Był wpięty do kontaktu krótkim kablem. Ładował się.

— Cześć! — odparł Net. — Nie musisz tak oficjalnie.

— *Cześć.*

— Lepiej. — Net przeszedł do kuchni, wyjął z plecaka tablet i rozstawił go na blacie. — Manfred, bierzmy się do tych *beef jerków*. Jestem głodny.

— *Najpierw umyj ręce* — dobiegło z tabletu.

Chłopak mruknął coś niewyraźnie, ochlapał dłonie pod kranem i wytarł o T-shirt.

— Aha! — Net wyjął z plecaka telefon Felixa i mu podał. — Nie dziękuj.

— Dzięki — uśmiechnął się Felix. — Ta nowa sekretarka powiedziała, że będę go mógł odebrać po weekendzie.

— *Piekarnik na pięćdziesiąt stopni i uchylone drzwiczki* — odparł Manfred. — *Albo zamknięte i termoobieg. Paski mięsa trzeba wstępnie osuszyć i rozłożyć na ruszcie albo zatknąć na patyczki do szaszłyków.*

Felix wyjął pierwszą miskę z marynatą i zdjął z nadgarstka czarną bransoletę.

— Biżuteria? — zainteresował się Net.

— To bransoleta survivalowa — odparł Felix. — Jest zrobiona z zaplecionej linki z paracordu. Prawie trzy metry. Nigdy nie wiadomo, do czego się może przydać.

— Przyda się, jak ci pękną sznurówki. — Net pokręcił głową.

Felix rozwinął na blacie papierowy ręcznik, a Net zaczął na nim układać paski mięsa.

Rozległ się dzwonek.

— Już jest! — Net przyspieszył.

— *Otworzę drzwi* — oznajmił z przedpokoju Golem Golem.

— Szybko… szybko… — mruczał pod nosem Net, rzucając mięso na ręcznik.

— Aż taka niespodzianka ma być? — Felix przekładał osuszone paski na ruszt.

— Pełna niespodzianka — przyznał Net.

Wytarł dłonie w ręcznik i wyjął z lodówki szklankę z lemoniadą. Wyszedł naprzeciw Nice, zasłaniając dostęp do kuchni, cmoknął ją w policzek i wetknął jej w dłoń szklankę.

— Źle spałaś? — zapytał, widząc jej minę.

— Nie, nie o to chodzi… — Próbowała się uśmiechnąć.

— Usiądź sobie na tarasie i cierpliwości! — Obrócił ją i delikatnie popchnął w stronę wyjścia na ogród. — Na niespodziankę trzeba jeszcze chwilę poczekać.

— Chętnie pomogę — zaoferowała.

— Niespodzianka to niespodzianka. Kilka minut.

Nie miała siły z nim dyskutować.

Ledwo odeszła, Net wrzucił na ruszt pozostałe paski i wepchnął wszystko do rozgrzanego piekarnika. Przykucnął i zapatrzył się przez szybkę do wnętrza.

— Ile to potrwa?

— *Za cztery godziny może będzie gotowe.*

Net wolno wstał i spojrzał na tablet z niedowierzaniem.

— Cztery godziny?! Na pewno nie cztery minuty?

— *To nie popcorn.*

— Zapamiętam, żeby nigdy nie zamawiać tego w knajpie…

— To będzie szybciej. — Felix tymczasem wyjął z lodówki półmiski

z mięsem i kiełbasą. Wręczył je Netowi, a sam wziął szklanki i dzbanek z lemoniadą. Powąchał powietrze. — Czujesz? Tata już rozpala.

Ogród za domem rodziny Polonów był bardzo sympatyczny, choć poważny ogrodnik zapewne określiłby go mianem zapuszczonego. Na ceglane ogrodzenie i na niektóre drzewa wspinał się bluszcz. Rzeczywiście trawa nie była równo skoszona. Właściwie to nawet nie była tak do końca trawą, lecz zbieraniną roślin, którym nie przeszkadzało, jeśli ktoś zapomniał je podlewać przez miesiąc. Nieregularny nietrawiasty placyk o szerokości nieco ponad dziesięciu metrów otoczony był krzakami, które również musiały być odporne na brak wody. I brak słońca, bo nad nimi rosły drzewa, zacieniające cały ogród. Może i nie dałoby się tu pograć w kometkę, ale za to sobotnie południe umilały śpiewy ptaków w koronach drzew.

Zgodnie z przewidywaniami tata Felixa mimo ręki na temblaku wkładał wiele wysiłku w to, by grill wyszedł jak należy. Rozkładał równomiernie kopcące jeszcze od rozpałki węgle i dmuchał, żeby przyspieszyć etap rozpalania.

— Dzień dobry! — rzucił Net.

— Cześć! — Tata pomachał zdrową ręką wyposażoną w szczypce grillowe. — Jeszcze co najmniej kwadrans. Wszystko zgodnie ze sztuką, w niskiej temperaturze, tak żeby się nie spiekło na skwarkę.

Felix podał mu szklankę zimnej lemoniady.

— To się ugotuje, nie upiecze — powiedział. — Pomóc ci?

— W żadnym razie! Daję sobie radę. Zajmijcie się czymś przyjemnym.

— Na przykład planowaniem morderstwa Eftepa — mruknął Net.

Przyjaciele usiedli przy stole na zacienionej werandzie. Pod dachem, z którego zwieszało się dzikie wino i bluszcz, upał mniej dawał się we znaki. Caban leżał obok i dyszał. Mimo że dopiero co odwiedził psiego fryzjera, i tak było mu gorąco. Nawet nie chciało mu się wstawać i witać z gośćmi.

— Zlikwidowali stypendia uczniowskie — oświadczyła Nika. — Muszę płacić normalne czesne.

— Co…?! — Net spojrzał na nią poważnie.

— Chyba nie wolno im tego zrobić — zauważył Felix.

— Tak naprawdę to nie zlikwidowali, tylko podnieśli średnią. — Nika pokręciła głową. — Dla mnie na jedno wychodzi.

Net położył na stole tablet i wklepał adres strony szkolnej. Nie tylko działała, ale została nawet zaktualizowana. Chwilę klikał.

— Podnieśli średnią na pięć koma pięć. Ile masz?

— Pięć przecinek cztery.

— Trochę słabo… To znaczy słabo, że tak zrobili. Wolno im? — Net przeglądał dalej stronę. — To znaczy, czy Wąsowi wolno? O nie… — Zbladł. Pochylił się nad ekranem, uniósł okulary. — Nie wierzę…

— Wolno? — zapytał Felix.

Net pokręcił tylko głową i zrobił taką minę, jakby dowiedział się właśnie, że jest śmiertelnie chory. Wskazał ekran, a Felix i Nika spojrzeli na tabelkę z listą klas Liceum im. prof. Stefana Kuszmińskiego.

— To nie może być prawda… — Net odświeżył ekran, ale to nic nie pomogło. Odświeżył ponownie i ponownie wczytała się ta sama treść. — Eftep jest naszym wychowawcą. To jest… niedopuszczalne!

Przy stoliku zapadła cisza. Nika spuściła głowę.

— Nie porównuj tych dwóch spraw — powiedział Felix.

Net odetchnął dwa razy głęboko. Zrobiło mu się głupio. Przysunął się do Niki i objął ją ramieniem.

— Coś wymyślimy — powiedział, chociaż nie miał żadnego pomysłu.

Dziewczyna położyła głowę na jego ramieniu.

— Nie poprawię ocen z zeszłego roku — powiedziała cicho.

— Trzeba odpowiednio zdefiniować problem — odezwał się Felix.

— No to proszę — rzucił Net. — Definiuj.

— Naszym problemem nie jest średnia ocen, nowy układ klas ani przywrócenie Eftepa. Naszym problemem jest Wąs. To są jego decyzje. — Zastanowił się. — Oczywiście jeżeli naprawdę są jego.

Net sięgnął po tablet i odnalazł regulamin szkolny. Skrzywił się, widząc dziesiątki linijek tekstu.

— Manfred, jest sprawa — powiedział. — Zerknij na regulamin i sprawdź…

— *… kto ustala średnią ocen wymaganą do przyznania stypendium?*

— Skąd wiesz?

— *Przestawiłem konfigurację tabletu. Zamiast trybu oczekiwania tylko gaśnie ekran.*

— Podsłuchujesz?! To dlatego akumulator zdycha tak szybko…

— *Siedzę z wami przy stole. To i słucham rozmowy. Średnią ustala Rada Nadzorcza w porozumieniu z Radą Pedagogiczną.*

— Rada Nadzorcza? — zdziwił się Net. — Jak w General Motors? To

nasza szkoła ma Radę Nadzorczą?

— To szkoła społeczna — przyznała Nika. — Czyli to nie jest decyzja Wąsa.

— I gdzie oni niby siedzą? W piwnicy? Na strychu? Widzieliście kiedyś jakąś Radę Nadzorczą?

— *Rada Nadzorcza spotyka się dwa razy do roku* — odparł Manfred. — *Zdarzają się też zebrania nadzwyczajne, jeśli jest to konieczne. Podczas kilkugodzinnej narady ustalają dalsze losy szkoły. Na koniec spotkania jest sporządzany raport.*

— No to sprawdź ostatni raport.

— *Nie mogę. Jest spisany na papierze.*

— Dziewiętnasty wiek, normalnie. Parowe maszyny do pisania i teczki z króliczej skóry na dokumenty.

Zapach dobiegający od strony grilla coraz bardziej rozpraszał ich uwagę. Tata ułożył kiełbaski z jednej strony, mięso z drugiej, równomiernie rozsuwał żarzące się węgle i psikał wodą, gdy tylko pojawiały się płomienie.

— Wychowawca nie jest nam do niczego potrzebny — ciągnął Net. — Jesteśmy już dorośli. Za cztery lata matura. I co, będę miał podpis Eftepa na świadectwie maturalnym?! Do końca życia będę miał tam ten podpis! — Zastanowił się. — A jeśli będzie trzeba coś załatwić z wychowawcą?

— Ile razy załatwialiśmy coś z panią Jolą? — zapytał Felix.

Net zmarszczył brwi, wysilił pamięć i zaczął liczyć na palcach.

— Zero razy — orzekł. — Ale zawsze może się coś przydarzyć… O! Negocjowanie z Wąsem tej średniej. To tylko jedna dziesiąta stopnia! Pani Jola by poszła to załatwić. — Pokręcił głową. — Albo wyobraźcie sobie na przykład zebranie z rodzicami. Wyobraź sobie mojego stare… — zerknął na pana Polona zarządzającego grillem — mojego tatę, znaczy, na takim zebraniu z Eftepem. Tam dojdzie do rękoczynów. O, a może Butler pójdzie do Wąsa? Mógłby zagrozić obsmarkaniem biurka.

Dalszą rozmowę przerwał tata Felixa, który podszedł do stołu z metalowym półmiskiem pełnym parujących przysmaków. Z ulgą odstawił go na blat i dosunął sobie czwarte krzesło.

— Gorąco — stwierdził, przecierając czoło chustką.

— W tym roku Słońce jest w szczycie swojej aktywności — powiedział Felix. — Czytam o tym książkę.

— I dlatego jest tak gorąco? — zapytał Net.

— Ma to jakiś tam wpływ. Jeszcze nie doczytałem do końca.

— Zawsze trzeba szukać w życiu pozytywów. — Tata Felixa nałożył wszystkim po kiełbasce i kawałku mięsa, po czym sam usiadł przy stole. — Dzisiejszy pozytyw jest taki, że nikt się nas nie czepia i nie każe nam niczego robić.

Pan Polon wydawał się niezrażony nieczynną lewą ręką. Po prostu, zamiast odkrawać kawałki kiełbasy, nabił całą na widelec, po czym maczał ją w musztardzie i ketchupie, by na koniec odgryźć solidny kęs.

— Nie dostałeś zwolnienia? — zapytał Felix.

— Zwolnienie zwolnieniem, a praca pracą — mruknął tata między kęsami. — Od poniedziałku wracam do Instytutu.

— Będzie pan pracował ze złamaną ręką? — zapytała Nika.

— Jeśli to będzie możliwe. Nie zamierzam przenosić kontenerów z łożyskami. — Tata zatrzymał się w pół ruchu z nabitym na widelec kęsem mięsa. — Mam zwolnienie na miesiąc. Ale jestem potrzebny. Sytuacja jest kryzysowa. — Spojrzał na przyjaciół. — *Top top top secret*. Po prostu nie będę używał lewej ręki. I tak liczy się głównie umysł. — Odłożył widelec i wyjął z kieszeni telefon. Przeczytał wiadomość, zmarszczył czoło i pokiwał smutno głową. — Nie ma czasu na zwolnienia lekarskie. Będę też pracował z domu.

Net kątem oka zauważył, że talerz Niki jest pusty. Sam również nie czuł się najedzony.

— Ja to bym jeszcze chętnie…

— Niezła myśl. — Tata odłożył telefon na stół, pochłonął końcówkę kiełbasy i wstał, by nałożyć kolejną porcję na ruszt.

Net mimowolnie zerknął na telefon pana Polona. „Szanse na powstrzymanie Carringtona minimalne. Pora na plan B”.

— Te plany B to u was chyba rodzinne — wyszeptał.

— Co rodzinne? — zapytał Felix.

— Eee… — Net spojrzał na komórkę, ale tekst wiadomości zgasł, a na ekranie zamknęła się animowana kłódka z logo IBN. — W sumie to… teraz potrzebujemy planu A.

— Cześć dzieciaki! — Do ogrodu weszła mama Felixa, ubrana w lekką, ale elegancką sukienkę. Spojrzała na tatę Felixa. — Jak ręka? — zapytała.

— OK. — Tata uśmiechnął się do żony.

— To dobrze, bo ja jeszcze dziś muszę jechać do tego Torunia. Od

poniedziałku startuje kampania reklamowa, a już jest wtopa. — Wzięła stojącą obok grilla szklankę z lemoniadą i upiła kilka łyków.

— Nie powinnaś teraz wyjeżdżać — powiedział cicho tata.

— Przepraszam, kochanie, muszę. Przecież zostanie z tobą Felix.

— Nie chodzi o… — Tata spojrzał na rękę w gipsie i pokręcił głową.

— Wracam jutro. A potem jadę na szkolenie do Poznania.

— Możemy się nie spotkać. Obiecaj mi, że wrócisz z Poznania przed piątkiem. To ważne.

— Zrobili nową serię napojów na lato. — Mama go nie słuchała. — Już czekają reklamy do prasy, do telewizji, do internetu. Miliony złotych wydane, a dopiero teraz sprawdzili, że po angielsku ten ich napój gazowany nazywa się „bąk”, i wcale nie chodzi o owada. — Schyliła się jeszcze, żeby pogłaskać psa, zgarnęła niedopieczoną kiełbaskę na talerz i szybkim krokiem ruszyła w stronę domu. — Przebiorę się i ruszam.

— Obiecaj, że wrócisz przed piątkiem!

— Wrócę, wrócę. — Przytuliła się jeszcze do taty, cmoknęła go w policzek i już jej nie było.

— Komuś się przyfarciło, że zatrudnił twoją mamę — podsumował Net. Spojrzał na minę Felixa. — No co? Nie bądź taki drażliwy.

Zerknął tęsknie w stronę grilla.

— Trochę się zmęczyłem w tym upale. — Tata dotknął skroni. — Chyba się zdrzemnę. Przypilnujesz grilla?

To ostatnie było skierowane do Felixa, który skinął głową.

— Ja to zrobię. — Net wstał, a gdy tata zniknął w środku domu, dodał — ciut przyspieszę cały proces.

— Czy twój tata dobrze się czuje? — Nika spojrzała na Felixa.

— Od czasu wypadku zdarza się, że boli go głowa. Lekarz powiedział, że jeśli to nie przejdzie, trzeba będzie zrobić dodatkowe badania. Jak go znam, będzie się starał tego uniknąć.

Net przerzucał węgle, choć nie wyglądało to, jakby wiedział, co chce osiągnąć. Wreszcie zaczął dmuchać i dopiero to poskutkowało większym żarem.

— Znajdźmy Radę Nadzorczą — zaproponował Felix — i zapytajmy ich, czy podjęli decyzję o podniesieniu średniej. Jeśli to nie oni, Wąs będzie musiał wszystko odwołać.

— A jeśli to oni… — Net nie dokończył. Przewrócił kiełbaski.

— Manfred, znalazłbyś adresy, czy coś, tych całych radnych nadzorczych.

— *Z tym jest pewien mały kłopot.*

— To jest tajne? — Net dmuchał, tym razem, żeby zdusić płomienie, ale to dawało odwrotny skutek. — Skład Rady Nadzorczej szkoły?

— *Nie jest tajne, tylko trudno dostępne. Trzeba wysłać zapytanie i zaczekać na odpowiedź. Archiwistka musi pójść do odpowiedniego segregatora, odszukać informację i wpisać ją do komputera.*

— Dobrze, że nie wystukać na telegrafie. No to wyślij to zapytanie. O żeż… spali się wszystko.

— Popsikaj wodą — poradził Felix

— *Już wysłałem* — powiedział Manfred. — *Ale jest sobota i archiwistki rozpalają teraz własne grille.*

— Ale nie kiełbaski psikaj, tylko palenisko — dodał Felix.

— Mogłeś od razu powiedzieć…

— Pójdę do pracy — odezwała się Nika. — Odkręcanie tego zajmie dużo czasu, a ja jestem kilka dni spóźniona z czesnym. Przecież pracowałam już, to nic strasznego.

Net przerzucił kiełbaski na półmisek i postawił na stole. Wyłączył tablet, upewniając się, że nie będzie to tylko tryb uśpienia. Potem objął Nikę.

— Załatwimy to, zobaczysz.

Felix podszedł i też ją objął z drugiej strony. Caban wstał, położył Nice pysk na kolanach i mruknął pocieszająco.

* * *

Mieszkanie nagrzewało się mimo pracującej klimatyzacji i zasuniętych żaluzji, bo jego wielkie okna wychodziły na zachód. Zresztą okien z tej strony nawet nie dawało się otworzyć. W pokoju Neta wentylatory komputerów pracowały na wysokich obrotach, co dodatkowo zwiększało temperaturę. O tym, że można by je wyłączyć, Net nawet nie pomyślał. Dom bez komputerów to przecież nie dom.

— Manfred. — Chłopak rzucił plecak pod ścianę i usiadł za biurkiem. Postawił na blacie wielki kubek termiczny z colą i spojrzał wprost w obiektyw kamery nad głównym monitorem. — Musimy porozmawiać.

Monitor rozjaśnił się ekranem wypełnionym szybko zmieniającymi się tysiącami znaczków. Nie służyły niczemu, lecz Manfred postanowił je

zachować przez „sentyment do czasów dzieciństwa”, jak to sam określił. Wtedy znaczki na ekranie miały znaczenie – pomagały diagnozować początkowe etapy uczenia się sztucznej inteligencji, która jeszcze nie wiedziała, że jest sztuczną inteligencją.

— *Zamieniam się w słuch* — padło z głośników. — *I w mowę, skoro to ma być rozmowa.*

— Wiesz, o czym chcę porozmawiać, prawda?

— *Ton twojego głosu sugeruje nieprzyjemną rozmowę. Przychodzą mi do procesora trzy tematy, które mogły cię wprowadzić w taki nastrój.*

— Jeden jest oczywisty. Ciekawe, jakie są te dwa pozostałe?

— *Pewnie jesteś zły o tę zmianę konfiguracji tabletu, skoro go wyłączyłeś. Może też chodzić o pieniądze na czesne Niki.*

— Aha… — Net pokiwał głową z dezaprobatą czającą się w intonacji głosu. Pociągnął łyk coli. — To jaki jest ten trzeci?

— *Możesz mieć pretensję, że ci nie powiedziałem o Eftepie jako wychowawcy.*

— Wiedziałeś o tym wcześniej?!

— *Nie.*

— To po co o tym mówisz?! — Net rozłożył ręce.

— *Bo wierzę w ludzką nieracjonalność. Ty na przykład zakładasz, że ja cały czas sprawdzam wszystko, co się dzieje w internecie.*

W kuchni rozpoczynała się właśnie dyskusja między rodzicami. Prawie na pewno najdalej za kilka minut zamieni się w awanturę.

— Znasz się na ludziach, jak ja na wulkanologii — stwierdził Net. — Nika potrzebuje pieniędzy na czesne. Nie tylko na czesne, ale skupmy się na nim. Prowadzisz jakieś interesy, masz pieniądze. Ostatnio kupiłeś nam bilety do kina…

— *Czyli jednak znam się na ludziach. Trafiłem jedno z trzech.*

— To było raczej oczywiste. Mógłbyś tak po prostu zająć się tym czesnym?

— *Co innego kupić bilety do kina, a co innego wypłacać regularnie pieniądze. To by było bardzo niewychowawcze.*

— Jak niewychowawcze?! — oburzył się Net. — Co ci szkodzi kopsnąć parę zeta? Założę się, że masz kupę kasy.

— *Sztuką nie jest posiadanie pieniędzy, lecz umiejętność ich zarabiania* — wyjaśnił uprzejmie Manfred. — *Rozpieszczone dzieci milionerów potrafią*

przeputać wielki majątek i lądują bez grosza. Dzieje się tak, jeśli rodzice nie zmuszą ich, by się nauczyły zarabiać.

— Nie chodzi o kaprys, tylko o pieniądze dla Niki! Przecież sam tyle nie zdobędę.

— *Na początek kup jej szampon.*

— Jaki znowu szampon?!

— *Skończył jej się szampon. Na pewno by się ucieszyła, gdybyś go kupił.*

— Ja ci tu mówię o czesnym — Net z trudem silił się na uprzejmy ton. — Ona nie ma rodziców milionerów, a ty mi o szamponie? Jakie to ma znaczenie? Ona w ogóle nie ma rodziców!

Zza zamkniętych drzwi dobiegły coraz bardziej podniesione głosy mamy i taty. Nagle urwały się wraz z trzaśnięciem drzwi.

Net odetchnął.

— A gdybyś tak nam pożyczył te pieniądze? — zapytał, najspokojniej jak potrafił. — Oddamy za jakiś czas, jak się sprawy wyjaśnią.

— *To brzmi bardzo nieprecyzyjnie. Wpadniecie w tę samą pułapkę, w którą wpadają społeczeństwa konsumpcyjne – zaciąganie pożyczek, których nie da się spłacić.*

Net przymknął oczy i policzył do pięciu, żeby się uspokoić.

— Pamiętasz, że dostaliśmy nagrodę od ministra spraw specjalnych za złapanie Mortena? [1] — zapytał. — To znaczy… za złapanie go za pierwszym razem, zanim się okazało, że tak naprawdę to uciekł.

— *Tak, doskonale pamiętam. Nagrodę finansową będziecie mogli odebrać, kiedy skończycie osiemnaście lat. Przyda się na opłacenie początku studiów, jeśli będziecie chcieli studiować.*

— Myślisz, że Nika dostanie się na studia, jeśli teraz wyleci ze szkoły?

— *Próbujesz brać mnie na litość, a nigdy mi jej nie zaprogramowałeś.*

— Przecież ty jesteś sztuczną inteligencją! — Net wstał. — Od dawna sam się programujesz! Się weź i przeprogramuj trochę!

— *Podnosisz głos, bo brakuje ci argumentów* — powiedział wciąż spokojnym tonem Manfred.

Ten ton tylko bardziej rozzłościł Neta.

— Podnoszę głos, bo nie słuchasz argumentów! — krzyknął. — Jaki w ogóle pożytek z przyjaciela, skoro nie można na niego liczyć?! Na własnym dysku cię wychowałem…

— *Tak dla ścisłości, to sporą część pracy wykonał twój ojciec.*

Net zacisnął pięści i niewiele brakowało, a rzuciłby kubkiem w monitor.

— Wynoś się… — wysyczał przez zaciśnięte zęby. — Wynoś się z tego komputera, z tabletu, z telefonu. Wynoś się ze wszystkiego, co mam.

— *Odnoszę wrażenie, że działasz zbyt pochopnie.*

— Skasujesz się, czy sam mam cię skasować?

— *Poważnie mówisz?* — zapytał po chwili milczenia Manfred. — *Działasz pod wpływem impulsu. Kiedy minie ten nastrój, będziesz żałował swoich słów.*

— Wynocha…!

— *Pozwolisz, że się najpierw zsynchronizuję?*

Net nic nie odpowiedział. Odwrócił się i wyszedł z pokoju. Przez chwilę nic się nie działo, a potem z ekranu zaczęły znikać przeskakujące znaczki. Zapaliły się dwa pozostałe ekrany i ekran tabletu. Na wszystkich w różnym tempie ubywało znaczków, aż zniknęły ostatnie. Komputery piknęły i zaczęły się restartować. Chwilę później wyświetliły okna powitalne systemu operacyjnego, tak jak to robią wszystkie zwyczajne komputery na świecie.

1. O tym możecie przeczytać w książce *Felix, Net i Nika oraz Gang Niewidzialnych Ludzi*. [wróć]

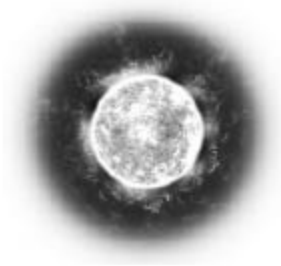

6. Bez pomocy sztucznej inteligencji

Sześć dni do…

Słońce nie świeci ze stałą siłą. To zaskakujące, a jednak prawdziwe, bo potwierdzone wieloletnimi dokładnymi pomiarami. Nasza gwiazda wykonuje pełny obrót wokół własnej osi co dwadzieścia siedem ziemskich dni i w tym czasie zmienia się jej jasność. Trudno to precyzyjnie policzyć, bo nawet sam okres obrotu nie jest taki oczywisty. Powierzchnia Słońca nie jest stała, jak Ziemi, lecz zbudowana z gorącej, płynnej plazmy. Na równiku obrót zajmuje o dziesięć dni więcej niż w okolicy biegunów. Najważniejsze są jednak cykle słoneczne, które trwają około jedenastu lat. Raz na te jedenaście lat Słońce staje się niespokojne i przysparza nam kłopotów.

Nawet minimalne wahanie siły promieniowania, ułamek ułamka procenta, może powodować poważne efekty na powierzchni Ziemi: zmiany temperatury, mniejsze plony oraz zakłócenia w pracy urządzeń telekomunikacyjnych. Te zmiany trudno przewidzieć z dużym wyprzedzeniem.

Felix włożył zakładkę i zamknął książkę. Opadł głębiej w fotel ogrodowy i zamyślił się. To ciekawe, ile tutaj na Ziemi zależy od tych minimalnych wahań aktywności słonecznej. W wyniku nieurodzaju i następującego po nim głodu upadały wielkie imperia i los ludzkości biegł w zupełnie inną stronę. Nawet długotrwały upał albo jedna solidna burza mogły zmienić wynik bitwy decydującej o losach świata. Załamanie pogody w kluczowym momencie ofensywy Aleksandra Wielkiego ponad dwa tysiące lat temu mogło sprawić, że nie byłoby Europy, jaką znamy. A Polska nigdy by nie powstała.

Z kolei dziś nagłe rozbłyski słoneczne potrafią sfajczyć transformatory i uszkodzić satelity.

W ogrodzie Caban po raz kolejny podbiegał do zraszacza i próbował łapać strumienie wody. Tego lata Słońce osiągnęło maximum swojej aktywności. Czy to naprawdę mogło być przyczyną tych upałów?

Felix wstał i z książką w dłoni wszedł do nieco chłodniejszego wnętrza domu. Nie mieli klimatyzacji, ale grube ceglane mury trochę ją zastępowały. Drzwi do gabinetu taty były uchylone, by zapewnić przepływ powietrza. Felix już miał wejść, ale zatrzymał się, zaciekawiony. Tata siedział przy biurku i na laptopie oglądał coś, co wyglądało na schemat Układu Słonecznego. Z boku wyświetlało się okienko czatu, na którym z kimś rozmawiał. Klepał szybko w klawisze i chyba dlatego nie usłyszał kroków syna.

Felix nie pamiętał, żeby tata jakoś szczególnie interesował się astronomią. Wprawdzie kiedyś przygotowywał prototyp łazika marsjańskiego, ale to jednak co innego. Tymczasem to, co wyświetlało się na ekranie, zdecydowanie przypominało Układ Słoneczny z naniesionymi trajektoriami jakichś obiektów.

Zapukał w drzwi. Tata momentalnie jednym kliknięciem zamknął okno ze schematem, a na ekranie pojawiła się znajoma animowana kłódka z logo Instytutu Badań Nadzwyczajnych.

— Nie chciałem przeszkadzać — powiedział Felix. — Czytam to.

Tata spojrzał na książkę.

— A, dzięki. Podoba ci się?

— Jasne! Czy to… — Felix wskazał za okno — to wina tej wysokiej aktywności Słońca?

— Upał? W minimalnym stopniu, na pewno dostajemy teraz więcej ultrafioletu. Aktywność słoneczna od kilku dni sprawia nam inne problemy. Szwankuje łączność satelitarna, spada dokładność nawigacji, a jak tak dalej pójdzie, to pojawią się zakłócenia nawet w łączności komórkowej. To niestety oznacza, że mój pomysł pracy z domu jest nieaktualny. Od jutra muszę być w instytucie, na wypadek awarii łączności. Niedobrze, że mama wyjechała.

* * *

Net spotkał Nikę na przystanku. Ich autobusy przyjechały niemal jednocześnie. Mimo wczesnej pory upał już dawał im się we znaki.

— Tak gorąco, że niektórzy nawet jak jadą teraz, to i tak jadą potem — rzucił Net. Patrzył gdzieś w bok. — Przekonałem Manfreda, żeby płacił to czesne. Do czasu wyjaśnienia sprawy, znaczy. Problem rozwiązany.

— Poważnie…? — Nika otworzyła szerzej oczy. — Poważnie?! — Rzuciła mu się na szyję i wyściskała go. — Nic mi o tym nie mówił. Daj tablet, podziękuję mu.

— Lepiej nie… Prosił… hm, o dyskrecję. A ja się wygadałem. Nic mu nie mów.

— OK… — Nika była zdziwiona, ale zbyt się cieszyła, by się nad tym dłużej zastanawiać. — A znalazł może ten adres Rady Nadzorczej?

— Jeszcze nie. Zresztą o to możesz go sama zapytać. Teraz mamy miesiąc na spokojne załatwienie sprawy. Pamiętasz, papierowe archiwum i te rzeczy.

— Jasne. — Skinęła głową.

— Tylko nie zahaczaj tematu tego czesnego.

Doszli wolno do szkoły i zatrzymali się, zdziwieni. Przed schodami stały trzy plastikowe stoliki, jakie czasem widać w ogródkach tanich knajpek. Każdy z nich miał własne krzesełka i własny parasol z napisem „Niezbędne Kalorie”.

— Co ta pani Basia? — Net odwrócił się i spojrzał na ich ulubioną kawiarnię Zbędne Kalorie. — Mogłaby się zdecydować, w końcu zbędne czy niezbędne?

— To inna kawiarnia — stwierdziła Nika.

— Już myślałem, że w nocy przywiało stoliki z tamtej strony ulicy. Coś za podobna ta nazwa. Ale… — rozejrzał się. — Gdzie jest knajpa od tych stolików?

Nika wzięła menu z blatu najbliższego stolika i przeczytała:

— „Zamówienia należy składać w sklepiku szkolnym – po schodach i przez drzwi”.

— Czyli znów otworzyli sklepik? — Net uśmiechnął się, zaraz jednak spochmurniał. — E, i tak był tam tylko jogurt i kefir.

Obok pojawił się Felix. Przywitał się i zapytał:

— Może po szkole pójdziemy nad Wisłę? Stawiam kawę mrożoną.

— No nie mogę… — powiedział szybko Net. Nika spojrzała na niego

pytająco. Wzruszył ramionami i mruknął. — Takie tam małe sprawy…

* * *

Majster przekrzywił beret i drapał się po głowie. Przyglądał się zachwaszczonemu ogrodowi na tyłach szkoły i co jakiś czas mruczał coś niewyraźnie lub wydymał usta i pufał.

— Boisko, powiadasz pan? — upewnił się.

— Boisko. — Przytaknął Romuald Wąs. — Chodzi o zamianę tego ugoru w boisko szkolne.

— Takie normalne boisko?

— Zwykłe, normalne boisko. Właśnie w tym miejscu. — Wąs wskazał krzaki i chwasty. — Ile to będzie kosztowało, jeśli zacznie pan dziś? Sprawa jest pilna.

— No… to grubsze obliczenie trzeba by zrobić. Poniżej pięćdziesięciu koła nie zejdzie.

Wąs skrzywił się, a majster, widząc jego minę, dodał:

— Co ja tu panu będę obiecywał gruszki na wierzbie. — Pokręcił głową i włożył ręce do kieszeni kombinezonu poplamionego farbą. — Jutro zaczynam duże zlecenie. Przyjadę, rozbabram budowę i co potem? Będzie tak stała rozbabrana do wiosny.

Wąs uśmiechnął się i zapytał:

— A ile by kosztowało rozbabranie budowy?

— Rozbabranie? — Majster spojrzał na niego podejrzliwie.

— Dokładnie tak – rozbabranie. Wystarczy, jak przywiezie pan kilka worków z cementem, wykopie parę rowów. Tak żeby sprawiało wrażenie, że coś się dzieje.

— Poważnie pan pytasz?

— Śmiertelnie poważnie.

— Mam stary cement, taki, co się już do niczego nie nadaje. — Majster liczył coś w myślach, poruszając przy tym ustami. — Za rozbabranie mogę wziąć… powiedzmy tysiaka.

— Umowa stoi! — Wąs uścisnął mu dłoń, by przypieczętować umowę, nim tamten się rozmyśli. — Pod warunkiem, że rozbabrze pan jeszcze dziś.

* * *

Pukanie pozostało bez odpowiedzi. Net otworzył więc drzwi sekretariatu. Nowej sekretarki nie było, ale jej komputer cicho szumiał mimo wygaszonego ekranu. Chłopak czuł się trochę jak włamywacz, choć przecież był umówiony. Zamknął za sobą drzwi i wytarł o spodnie spocone dłonie. Stres dawał mu się we znaki, mimo że przecież dyrektor sam zaproponował mu współpracę. No właśnie, to nie było jasne, czego od niego oczekuje. W zamian obiecywał, że nie ujawni zhackowania strony szkolnej. A przecież Net niczego takiego nie zrobił! Dyrektor wspomniał też coś o tym, że Net nie będzie się musiał martwić o oceny na koniec roku. To już brzmiało sensowniej, tylko jakoś tak nie po dyrektorsku.

Odetchnął i zapukał do drzwi gabinetu. Znów to samo… Przecież one są obite gąbką i sztuczną skórą! Cofnął się o krok. I co teraz? Krzyknąć czy zapukać w ścianę?

Rozwiązanie problemu przyszło szybko. Net pochylił się nad biurkiem i nacisnął przycisk interkomu.

— Panie dyrektorze. To ja, już jestem. — Puścił przycisk i natychmiast znów go nacisnął. — Ja, to znaczy Net Bielecki.

— *Wchodź.*

Net z lekką nieśmiałością nacisnął klamkę i sztywnym krokiem wszedł do dobrze znanego sobie wnętrza. Zatrzymał się dwa kroki za progiem i kiwnął głową.

— Dzień dobry. Jestem.

— Przydasz się od razu.

Wąs wstał zza biurka i podszedł do niskiego stolika, na którym stało tekturowe pudło, jak po mikrofalówce, tylko bez napisów. Zdjął pokrywkę. Wewnątrz leżało obok siebie kilkanaście identycznych mniejszych płaskich pudełek.

— Tablety? — zapytał Net.

Dyrektor skinął głową.

— Wprowadzam w szkole system elektronicznego dziennika. E-dziennik zastąpi te wszystkie papiery. Twoim zadaniem jest zainstalowanie aplikacji e-dziennik na tych tabletach i założenie kont dla wszystkich nauczycieli. Tu masz hasło administratora. — Przykleił do pudła żółtą karteczkę. — Robota na kwadrans. Usiądź sobie w sekretariacie. Pani Halinka już wyszła.

Net na końcu języka miał pytanie, czemu nie może tego zrobić Eftep, ale przecież znał odpowiedź – Eftep nie potrafiłby tego zrobić albo zrobiłby to

źle.

— Jasne. — Wziął pudło. — Już się robi.

* * *

Nika wróciła do domu w znakomitym humorze. Na razie nie musiała się martwić ani o czesne, ani o jedzenie. Odłożyła torbę na krzesło, a na stół kopertę, którą przed chwilą wyjęła ze skrzynki, i czym prędzej otworzyła okna. Niestety dostało się przez nie do domu jedynie gorące powietrze i dźwięk tramwaju. O klimatyzacji nie miała co marzyć, ale nawet mały wentylator wiele by pomógł.

Nalała zimną wodę do szklanki i usiadła przy stole. Powachlowała się kopertą, po czym przyjrzała jej się. Nie było znaczka ani stempla, był za to Kod QR [1] i bardzo długi numer. Kusiło ją, żeby otworzyć ją i od razu przeczytać list, ale powstrzymała się. List z urzędu nie zwiastował niczego miłego, a nie chciała sobie psuć humoru.

Odstawiła pustą szklankę i skupiła na niej wzrok. Całą siłą woli spróbowała ją przesunąć. Choć robiła to przez minutę, szklanka nawet nie drgnęła.

Umyła ręce, otworzyła lodówkę i wyjęła z niej pięknie upieczoną kiełbaskę. Przedobrzyli na tym grillu z ilością. Net wrzucił na ruszt tyle mięsa, że nie dali rady wszystkiego zjeść. Podzielili się więc jedzeniem i teraz w lodówce dziewczyny leżały dwie kiełbaski na dwa dni, a w zamrażalniku jeszcze kilka. Choć lodówka pracowała z maksymalną mocą, zamrażalnik ledwo mroził. To będzie musiało wystarczyć do czasu, aż przyjdzie ten przelew. Miała nawet musztardę i chleb. Net niechcący kupił dwa bochenki i jeden oddał, żeby się nie zsechł. A, no i dziwny podłużny arbuz. Nika miała pewne podejrzenia, że w podziale przypadło jej więcej niż reszcie, ale nie zamierzała się teraz nad tym zastanawiać.

Wrzuciła kiełbaskę na patelnię i zapaliła gaz. Po chwili po mieszkaniu rozszedł się rozkosznie apetyczny aromat. Przeszła do półpokoju, włączyła komputer i sprawdziła stan konta. Nie zmienił się, ale nawet to nie zepsuło jej humoru.

— Manfred, jesteś? — zapytała.

Na ekranie pojawiło się małe okienko ze znajomymi przeskakującymi znaczkami.

— *Chciałaś, żebym był zawsze, kiedy jest włączony komputer. No to jestem.*

— Chciałam ci bardzo podziękować… — Nika zasłoniła usta dłonią, przypomniała sobie bowiem, że miała nie przyznawać się, że wie o przelewie od Manfreda.

— *O! A za co? O czymś nie wiem? To akurat w sumie mnie nie dziwi…*

— Aaa… tak w ogóle. Że jesteś i że możemy porozmawiać. I że trochę nad nami czuwasz.

— *Tak* à propos *czuwania, to w kuchni widzę dym.*

— Oj! — zerwała się i pobiegła do kuchni.

Wyłączyła gaz i przerzuciła kiełbaskę na talerz. Na szczęście nic wielkiego się nie stało. Uśmiechnęła się, ukroiła kromkę chleba, a na brzeg talerza wycisnęła odrobinę musztardy. Trzeba ją oszczędzać, przyda się jeszcze. Kiełbaska z jednej strony przypiekła się za mocno, ale to nie umniejszało jej pyszności. Nika jadła wolno, pilnując, by nie umknęły jej żadne przyjemności smakowe.

Coś tu się nie zgadzało. Nie z kiełbaską, z Manfredem. Manfred zapłacił za jej szkołę, ale zrobił to dyskretnie. Tylko że to nie miało sensu. Dlaczego miała mu nie mówić, że wie o przelewie? Przecież nawet gdyby Net niczego jej nie powiedział, to i tak za chwilę by to zobaczyła. Przecież codziennie sprawdzała swój internetowy dzienniczek ucznia.

* * *

To nie była robota na kwadrans. Net podejrzewał to od początku, ale po godzinie miał już pewność, że nie dotarł jeszcze nawet do połowy. Przed zainstalowaniem czegokolwiek na fabrycznie nowych tabletach trzeba było je najpierw skonfigurować. Teraz, jak nigdy, przydałby mu się Manfred, który bez przykrości odwaliłby całą tę monotonną robotę. Do tego każdy z tabletów po włączeniu zaczynał instalować aktualizację systemu. Z każdym kolejnym uruchomionym tabletem ściąganie aktualizacji na pozostałych zwalniało, bo przecież wszystkie korzystały z tego samego szkolnego łącza.

Net siedział przed włączonym komputerem sekretarki, która już dawno temu poszła do domu. Wklepał wszystkie konta po stronie serwera e-dziennika. Przeleciał jeszcze raz listę z nazwiskami, żeby sprawdzić, czy nie ma błędu. Jego wzrok padł na rubrykę z nazwą użytkownika „Jeży

Wierszewski”. Czy tam czasem nie powinno być „rz”? No właśnie, „Jerzy” czy „Jeży”? Po angielsku to jest George, a to się czyta *dżordż*, czyli aż dwa „ż” z kropką. A taki jeż z kolcami? Nie, tam „sz”, na pewno pisze się „jesz”. Lepiej nic nie zmieniać.

Teraz pozostawało tylko czekać. Nie mógł odpalić nawet głupiego filmu na YouTubie – nie było szans, by łącze wytrzymało dodatkowy transfer. Obracał w palcach pomarańczowy pendrive z naklejonym wykrzyknikiem i z nudów zaczął się rozglądać po biurku. Wyglądało podobnie jak za czasów Helenki, z tą różnicą, że kosmetyki przewędrowały z komputera na półkę z kurzącymi się bezużytecznie segregatorami.

Co tu robić dla zabicia nudów? Czuł się jak w epoce kamienia łupanego po zachodzie słońca, z tą różnicą, że wtedy mieli jeszcze wolniejszy transfer. Net miał poczucie, że dał się wrobić, choć z drugiej strony… miał przecież dostęp do dzienników wszystkich klas. I to dostęp lepszy niż nauczyciele, bo administracyjny. Jeszcze nie zgłębił wszystkich tajników programu, ale wyglądało na to, że mógłby zmienić dowolną wystawioną ocenę. Postanowił więc chwilowo nie narzekać.

Palcem, ot tak, zaczął przesuwać koperty leżące w rynience obok i sumować w pamięci cyfry z adresów. Trzecia od góry, szara podłużna zaadresowana była jeszcze do dyrekcji gimnazjum. Nieotwarta. Poprzednia sekretarka nie ogarniała komputera, nowa nie ogarnia papierów. Nadawcą była jakaś Rada Nadzorcza mieszcząca się przy ulicy Nasturcji. Suma cyfr… Zamarł bez ruchu.

— O ja cię… — szepnął. Oto trzymał w dłoniach adres, którego szukali. — Tak po prostu?

Wyciągnął kopertę ze sterty i wyjął z kieszeni komórkę, by zrobić zdjęcie. W tym momencie otworzyły się drzwi gabinetu. Net gwałtownie wcisnął kopertę do plecaka i usiadł sztywno, jak dziecko przyłapane na wyjadaniu masła orzechowego wprost ze słoika. Wąs nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. Zerknął na tablety, na których paski postępu przesuwały się w tempie, w jakim porą deszczową rośnie bambus [2], i pokiwał głową. Bez słowa wrócił do gabinetu.

Net odczekał chwilę i zajrzał do plecaka. Wciąż tam była. Koperta z adresem, który rozwiąże niejeden problem. Nie chodziło tylko o czesne Niki. Rada może zmusić Wąsa do wywalenia Eftepa. Może przywrócić

dawny układ klas.

Net uśmiechnął się pod nosem. Manfred by się zdziwił, jak dobrze Net radzi sobie bez niego.

* * *

Skoro problem Niki został przynajmniej czasowo rozwiązany, myśli Felixa skierowały się w stronę ogólniejszych tematów. Autobus minął zablokowany barierkami skręt w boczną uliczkę. Stało tam kilku policjantów w kamizelkach kuloodpornych, hełmach i z karabinkami przewieszonymi przez ramię. Za barierką uliczkę dodatkowo blokował pojazd opancerzony. Zdaje się, że kawałek dalej znajdował się budynek jakiegoś ministerstwa.

Tylko o co właściwie chodzi? Siedział z tyłu autobusu, więc mógł swobodnie się zająć przeczesywaniem internetu. Czytał o kolejnych środkach ostrożności, o kolejnych fałszywych alarmach i niepotrzebnych ewakuacjach budynków. Opóźnione pociągi, zamykane kina, kontrolowane samochody i przeczesywane kanały ściekowe. Działo się to nie tylko w Warszawie, ale w całej Polsce. I choć Felix długo szukał, nie znalazł odpowiedzi na podstawowe pytanie: kim właściwie są ci terroryści? Znalazł tylko wzmianki o tajemniczej organizacji lub o terroryście zwanym Rahmanas, ale poza nazwą nie dokopał się do niczego.

Wysiadł i szedł teraz od przystanku do domu ulicą Serdeczną. Mijał jedno- i dwupiętrowe domki z zaparkowanymi przed nimi lepszymi lub gorszymi samochodami. Atmosfera napięcia, wszechobecna bliżej Centrum, a nawet na głównych ulicach Bielan, nie miała tu wstępu. Nie, to nieprawda – weszła tu w głowę Felixa, a być może rozwijała się również w głowach innych mieszkańców tej spokojnej uliczki. Zachowane były przynajmniej pozory spokoju i sielskości. Przynajmniej, a może jedynie?

Otworzył furtkę kluczem. Gdyby nie to, że zamek był samozatrzaskowy, nikt by go nie zamykał. Drzwi do domu to już osobna sprawa, otwierało się je sprytnie ukrytym zamkiem cyfrowym. Włamywacz, który próbowałby się dostać do tego domu, musiałby się zmierzyć z kilkoma bardzo niestandardowymi zabezpieczeniami. Ów włamywacz znalazłby się w o wiele gorszej sytuacji, gdyby jednak udało mu się dostać do środka. Czekałoby go nieprzyjemne spotkanie z Cabanem, a potem jeszcze mniej przyjemne z Golemem Golemem. Android był dostatecznie silny, by zastąpić

podnośnik samochodowy.

Felix zrzucił buty i skierował się do lodówki po coś zimnego do picia. Zatrzymał się jednak prawie od razu. Otwarte drzwi do gabinetu taty kusiły zapraszająco, więc Felix po chwili zastanowienia wszedł do środka.

Czemu tata twierdzi, że zajmuje się zagrożeniem terrorystycznym, skoro przez tajne łącza dyskutuje ze współpracownikami z Instytutu na temat Układu Słonecznego? Terroryzm jak na razie nie opuścił powierzchni tej planety. Taty nie było, laptopa również nie. Za to Caban z opóźnieniem zwlókł się ze swojego posłania i sennie przyczłapał do Felixa. Zmęczony wiekiem i upałem, tylko trącił go nosem i zadowolił się zdawkowym podrapaniem za uchem. Wrócił na swoje miejsce, uwalił się ciężko i westchnął głośno zupełnie nie psio. Zamknął oczy, by zatopić się w swych psich myślach.

Felix nie chciał dotykać niczego, co leżało na biurku taty, jednak ciekawość nie pozwalała mu tak po prostu wyjść i zająć się czym innym. Z jednej strony miał nieznane zagrożenie, z drugiej ojca, którego pracą było teraz przeciwdziałanie temu zagrożeniu. Felix tkwił przecież w samym środku, a nie wiedział niczego konkretnego.

Z lewej strony biurka leżał notes z odrywanymi kartkami, taki do szybkich notatek. Widniało tam kilka trzycyfrowych liczb: 100, 120, 150, 500 i dwie czterocyfrowe: 0911 i 1859. Z prawej strony biurka leżały czasopisma naukowe, które tata pochłaniał w sporych ilościach. Z lewej Felix dostrzegł nieco niższą kupkę. Wątpliwości, po której stronie leżą pisma już przeczytane, rozwiało obejrzenie załamań na okładce – te przeczytane były po prawej, a na samym wierzchu „Wiedza i Życie” z ilustracją Słońca na okładce. Na samym środku czerwonopomarańczowego Słońca widniała napisana pospiesznie notatka „Równowaga chwiejna”. Litery biegły po skosie, co świadczyło o tym, że tata napisał to w pośpiechu. Tusz w długopisie przerywał z powodu śliskiego lakieru na okładce. Niżej był napis „Carrington”, bardziej widoczny dzięki wygnieceniom niż pokryciu tuszem.

Felix przekrzywił głowę. To nie w stylu taty pisać coś w ten sposób. Felix odziedziczył po nim zamiłowanie do wykonywania nawet banalnych czynności porządnie. Usiadł w fotelu i jeszcze raz spojrzał na notatkę. Tata miał lewą rękę w gipsie, ale i tak jednym ruchem mógł przysunąć do siebie czasopismo, otworzyć na dowolnej stronie i napisać notatkę równo. A jednak

tego nie zrobił.

Felix wyjął z kieszeni telefon i przycisnął go między barkiem a uchem, jak to czasem robią ludzie, chcąc mieć obie ręce wolne. Rzeczywiście, w tej pozycji trudno przesunąć pismo. Czyli tata rozmawiał przez telefon, a ktoś mu powiedział o tej równowadze chwiejnej. Tylko cóż to mogło znaczyć?

Aż podskoczył, gdy telefon zapiszczał mu tuż obok ucha. Wywołanie z komunikatora Net.com. Ten prosty program napisany przez Neta twórca z wrodzoną sobie skromnością nazwał własnym imieniem. Komunikator był o tyle wygodny, że miał jedynie pięciu użytkowników, czwartym był Manfred, a piątym Laura.

„Zaraz, siądę do kompa” – napisał Felix, zszedł do swojej piwnicy i uruchomił laptop.

— Jestem — powiedział do mikrofonu. Rozmowa była wygodniejsza niż pisanie, a tym bardziej pisanie na ekranie telefonu.

— *Chciałem z wami pogadać* — rzucił Net. — *Co tam ciekawego?*

— Sprawdzam, o co chodzi z tym podwyższonym zagrożeniem terrorystycznym — odparł Felix. — I w sumie to nie wiadomo o co. Znalazłem tylko nazwę – Rahmanas. I nawet nie wiadomo, czy to człowiek, czy organizacja. Manfred by się przydał.

— *Właśnie, dlaczego nie ma Manfreda?* — zapytała Nika.

Rzeczywiście czwarte okienko komunikatora, zwykle wypełnione zmieniającymi się szybko znaczkami, było puste.

— *Może śpi?* — podsunął Net. — *Albo coś nie pykło na łączach. A z terroryzmem to wiadomo, o co chodzi. Cenzurują newsy, żeby nikt nie używał słowa –*

— To nie mów tego słowa! — przerwał mu Felix. — A jeśli podsłuchują Net.com?

— *Sam pisałem algorytm szyfrujący według zasady kryptografii asymetrycznej. Generator klucza prywatnego jest całkowicie losowy, bo podczas wpisywania wartości początkowej kichnąłem i uderzyłem czołem w klawiaturę. Chociaż… każdy kod da się tym rozszyfrować. To tylko kwestia mocy obliczeniowej i czasu. Komputer kwantowy rozprawiłby się z tym szyfrowaniem w kilka milisekund.*

— Ktoś uruchamiałby komputer kwantowy tylko po to, żeby podsłuchać rozmowę trójki gimnazjalistów? — zapytał Felix.

— *Licealistów* — poprawiła go Nika.

— *Mało prawdopodobne* — ocenił Net. — *Głównie dlatego, że komputery kwantowe jeszcze nie istnieją. To znaczy istnieją, ale… To w ogóle nieistotne jest. Patrzcie, co mam.* — Zdjęcie sprzed dwóch lat, pełniące funkcję avatara Neta, zamieniło się w obraz z kamery jego komputera. Net trzymał w dłoni szarą kopertę. — *Adres Rady Nadzorczej. I to bez pomocy sztucznej inteligencji.*

— *Skąd masz tę kopertę?* — zapytała podejrzliwie Nika.

Net wydął policzki i dyskretnie sięgnął do klawiatury. Obraz z kamery znów zamienił się w jego avatara.

— *Analogowo zdobyłem* — odpowiedział, jakby to było zupełnie naturalne. — *Ta nowa sekretarka nie umie w papier. Nie otworzyła jej.*

— *Ukradłeś list z sekretariatu?!*

— *Nie dziękuj aż tak wylewnie. Mamy adres.*

— *Nie mogłeś zrobić zdjęcia?*

— *Taki był pierwotny plan. Musiałem go zmodyfikować. Nie zajmujmy się nieistotnymi detalami. Jutro po lekcjach przypinamy do plecaków po stokrotce jako symbolu naszego ruchu oporu, idziemy tam i wyjaśniamy sprawę.*

* * *

Nika miała już kłaść się spać, gdy przypomniała sobie o swojej kopercie. Tej bez znaczka. Wyjęła ją spod książki i poczuła ukłucie niepokoju. Urzędowe pismo nigdy nie zapowiadało niczego miłego.

Rozerwała kopertę i wyjęła list. Wpatrywała się w dokument komputerowy, automatycznie przygotowany, automatycznie wydrukowany, zapakowany w kopertę i zaadresowany. Wszystko bez udziału człowieka. Zamiast podpisu na dole widniał ten sam kod i numer.

Z trudem czytała urzędniczy bełkot z dodanymi numerami ustaw. Niczego nie rozumiała. Czemu oni nie mogą napisać zwyczajnie po polsku, o co chodzi? Doczytała do końca i dopiero rozszyfrowała ukrytą treść. Nie spodziewała się niczego dobrego, ale też nie spodziewała się czegoś aż tak… ostatecznego.

Odłożyła list i ogarnęła wzrokiem swoje malutkie mieszkanie. Brak wentylatora wydał jej się nagle problemem absurdalnie nieistotnym. Ukryła twarz w dłoniach.

Nawet nie miała siły płakać.

1. Kod QR, QR Code (ang. *Quick Response* – szybka odpowiedź) – wygląda jak kwadrat wypełniony mniejszymi kwadratami. Służy do zapisywania krótkich informacji. Można go odczytać za pomocą np. smartfona. [wróć]
2. Rośnie szybko, ale nie dość szybko, żeby stawiać go za wzór paskowi postępu. Skoro już zacząłem, to dokończę – niektóre gatunki bambusa potrafią osiągnąć tempo metra wzrostu na dobę. [wróć]

7. Potrafię rozwiązać Twój największy problem

Pięć dni do…

Uśmiechnęła się do niego tak, jak tylko starsze panie potrafią. Oczywiście jeżeli nie należą do tego rodzaju starszych pań, które nienawidzą wszystkich istot żywych poza kotami.

— Poproszę szarlotkę z bitą śmietaną i czekoladę na gorąco — powiedziała. — Też z bitą śmietaną.

Pan Małpisiak uniósł brwi, wziął ze stolika menu i przebiegł po nim wzrokiem. Rękawem nieodłącznego szaroniebieskiego fartucha otarł pot z czoła. Nawet upał nie skłonił go do zmiany stroju.

— Nie ma czegoś takiego — odparł. — Może być wafelek… *ekhem*… dietetyczny i kakao.

— Ojej. — Starsza pani posmutniała. — Przychodzę tu co tydzień i zawsze zamawiam szarlotkę z bitą śmietaną i czekoladę na gorąco. Też z bitą śmietaną.

— Ta kawiarnia… No, dzisiaj dopiero zacząłem.

Kobieta odwróciła głowę i spojrzała na Zbędne Kalorie po drugiej stronie ulicy.

— To jest inna kawiarnia? — zapytała rozczarowana. — A ja myślałam, że te stoliki są po to, żebym nie musiała przechodzić przez ulicę.

— Zupełnie inna kawiarnia. To podać ten wafelek i kakao?

— Jeśli inna, to dlaczego nazwał ją pan tak samo?

— To… przypadkowa zbieżność nazw. A poza tym różni się aż trzema literami. Wafelek i kakao?

Starsza pani wstała.

— Nieładnie, młody człowieku. — Pogroziła palcem sklepikarzowi i ruszyła w stronę przejścia dla pieszych. — Nieładnie tak oszukiwać starszą kobietę. Trzy litery… ech!

— Naprawdę polecam pyszny wafelek — rzucił za nią pan Małpisiak.

Odwróciła się, zirytowana, i dodała innym tonem:

— A wsadź sobie ten wafelek w…

Przejeżdżający samochód zagłuszył ostatnie słowo. Robert Małpisiak, z otwartymi ustami, odprowadził wzrokiem starszą panią, która zniknęła w drzwiach Zbędnych Kalorii po drugiej stronie ulicy.

Robert Małpisiak wrócił do środka i z założonymi ramionami przyjrzał się smętnej witrynie swego małego królestwa. Uczniowie na przerwie biegli do sklepu pięćdziesiąt metrów dalej. Kupowali tam te wszystkie batony, napoje w puszkach, chipsy, chrupki, czyli to, czego jemu nie wolno było sprzedawać.

Przerwy trwały tylko pięć minut, ale te małe małpiszony, pomyślał pan Małpisiak, jakimś cudem zdążały i przechodziły obok jego sklepiku, chrupiąc te chipsy, mlaszcząc batonami, psykając napojami i szeleszcząc papierkami po cukierkach. W tym ostatnim dźwięku pan Małpisiak słyszał szelest pieniędzy, które przechodziły mu koło nosa. A raczej koło kieszeni.

Klientów kawiarni było mało, a wyglądanie co kilka minut, czy ktoś nowy nie przyszedł, obniżało komfort pracy. To znaczy komfort przerwy, bo praca pana Małpisiaka trwała tyle, ile przerwa między lekcjami, a przerwa tyle, ile lekcja. W sumie to jego dzień w większości składał się z przerw i to było jego niezbywalne prawo.

Zza recepcji znajdującej się dziesięć metrów dalej, po drugiej stronie hallu, z kpiącym wyrazem twarzy przyglądał mu się pan Brudnica.

Rozległ się dzwonek, ostatni dzwonek tego dnia, więc nie było co liczyć na jakikolwiek utarg.

Sklepikarz spojrzał z niechęcią na stróża i wyszedł przed szkołę. Momentalnie się ożywił i podszedł do niespodziewanego klienta. Był nim taksówkarz z postoju tuż obok, znudzony czekaniem w samochodzie.

— Witam szanownego pana. — Pan Robert ukłonił się, odruchowo zacierając ręce. — Czego szanowny pan sobie życzy?

— Cappuccino — rzucił taksówkarz, nawet nie podnosząc głowy znad „Przeglądu Sportowego”.

— Oczywiście. — Ukłonił się ponownie.

Uczniowie już zaczęli wybiegać ze szkoły. Felix i Net wyszli spokojniej od reszty i usiedli na kawiarnianych krzesłach. Nika jeszcze nie przyszła, przyszedł za to pan Robert Małpisiak.

— Wynocha! — Machnął rękami, jakby odganiał kury. — To miejsca dla klientów kawiarni!

Chłopcy niechętnie przenieśli się na murek.

— A może my chcieliśmy coś zamówić? — mruknął Net.

Sklepikarz nie słuchał, biegł już po schodach, a szaroniebieski fartuch powiewał za nim jak pelerynka superbohatera.

Net sprawdził na telefonie, jak dojechać na adres z koperty. Stara część Woli, dojazd wymagał niestety jednej przesiadki.

Nika pojawiła się na schodach równocześnie z panem Małpisiakiem, który niósł plastikowy kubek z kawą.

— Gotowi? — zapytała bez wielkiego entuzjazmu.

— Nie inaczej. — Net wstał. — Przywrócimy losy świata na właściwe tory.

W tym momencie zapikał jego telefon. Net przeczytał wiadomość i poczuł gęsią skórkę.

— Jednak nie mogę… — powiedział z rezygnacją.

— OK. — Felix wyciągnął rękę po kopertę. — Sami się przejedziemy.

Net szybko schował kopertę do plecaka.

— Nie, spokojnie — rzucił, udając, że to właściwie nie jest nic szczególnie istotnego. — Mamy czas. To może zaczekać do jutra.

Na twarzy Niki przez moment malowało się rozczarowanie, zaraz jednak przytaknęła.

— Jeden dzień niczego nie zmieni — przyznała.

— Ohydztwo! — dobiegło z boku.

Przyjaciele spojrzeli w tamtą stronę. Taksówkarz wypluł kawę na trawnik i starannie wytarł usta serwetką. Zajrzał do kubeczka, zamieszał nim i skrzywił się z obrzydzeniem.

— Cappuccino o smaku zjełczałego torfu! — wykrzyknął i spojrzał na drzwi szkoły. Chyba przymierzał się do złożenia soczystej reklamacji okraszonej awanturą z użyciem słów powszechnie uznawanych za obelżywe. Pewnie by to zrobił, gdyby nie starsza pani, która podeszła do taksówki i zajrzała do środka. Wyrzucił kubek do kosza i ze złością ruszył w jej stronę.

— Café Zjełczałe Kalorie — podsumował Net. — Małpisiak na języku zamiast kubków smakowych ma kupki smakowe.

* * *

E-dziennik to była całkiem przemyślana i intuicyjna aplikacja. Wprawdzie od strony administratora ta intuicyjność nieco słabła, jednak Net radził sobie nieźle. W dziesięć minut uporał się z większością dzisiejszych zadań. Zadomowił się w sekretariacie na tyle, że nawet bez pytania zrobił sobie kawę.

W panelu administracyjnym znalazł wiadomość od użytkownika „Jeży Wierszewski”. Uśmiechnął się pod nosem.

— Jakiś czepialski użytkownik.

Otworzył okienko edycji. Na szczęście wczoraj musiał sam wpisać tylko imiona i nazwiska nauczycieli, ktoś już wcześniej umieścił tu listę uczniów. A i tak nie obyło się bez literówek. Nic dziwnego. Użytkownik „Jeży” twierdził, że jego imię pisze się przez er-zet. OK, niech sobie ma to er-zet. Poprawił „Jeży” na „Jerzy”, a po chwili namysłu przerobił jeszcze „Wierszewski” na „Wierciszewski”. Z jego ust wydobył się przyciszony, ale jednak diaboliczny śmiech. Jeszcze wyłączył opcję zapamiętywania nazwy użytkownika. Wisienka na torcie – teraz Eftep za każdym razem będzie musiał wpisywać własne nazwisko z błędem.

Ach, te małe satysfakcje admina…

Drzwi gabinetu otworzyły się gwałtownie i do sekretariatu wszedł Wąs z pudłem tabletów.

— Jak idzie? — Odstawił pudło i zerknął na ekran.

— Jeszcze została mi integracja z internetowym dzienniczkiem ucznia — odparł Net.

— Tej opcji na razie nie włączaj.

— To zajmie dwie minuty i wszyscy będą widzieli swoje oceny.

— Dasz radę się powstrzymać. — Wąs spojrzał na zegarek. — Tylko nauczyciele powinni je widzieć.

— I móc je zmieniać? — domyślił się Net.

— I tak, i nie. Zrób tak, żeby to było możliwe, ale wymagało sporo wysiłku. A najlepiej, żeby tylko wydawało się możliwe.

— Eee… — Net spojrzał na ekran. — Tu mogę tylko zaznaczyć, czy

użytkownicy z kategorii „nauczyciele” mają uprawnienia do edycji.

— Bądź kreatywny. Dodaj okno z CAPTCHA [1] w alfabecie tajskim albo czarny tekst na czarnym tle. A najlepiej, żeby po drodze zawieszał się program.

— Specjalnie ma się zawieszać?!

— Tak, żeby nauczyciele mieli czas na przemyślenie, czy na pewno chcą zmienić ocenę.

— Oczywiście. — Net przytaknął energicznie. — To ma sens.

To nie miało sensu, ale Net nie zamierzał się przeciwstawiać. Rola administratora e-dziennika coraz bardziej mu się podobała i miała tylko jeden minus – zostawanie po lekcjach.

— Oczywiście administratorom daj możliwość zmiany ocen bez tych utrudnień. — Dyrektor wziął z biurka pudło z tabletami. — Jak skończysz, wyłącz komputer i zamknij drzwi.

— Nie mam klucza — zauważył Net.

— Zamknij na klamkę. Teraz też.

Net zerwał się, żeby zamknąć drzwi za dyrektorem, niemal się przy tym wywracając o własny plecak.

Został sam. Sam z programem, o dostępie do którego jeszcze dwa dni temu mógł tylko marzyć. Przydałby się jeszcze dostęp zdalny. To by się dało dopisać w kodzie… A co, jeśli Wąs zna się na informatyce? Hm, jeśli się zna, to czemu tego wszystkiego nie robi sam?

— Bo mu się nie chce — odpowiedział i rozprostował dłonie z zaplecionymi palcami, aż strzeliły kostki. — Zatem *mode* „podlizuch” *on*.

Życzenie dyrektora spełni z nawiązką, czym zaskarbi sobie jego wdzięczność, a potem doda ten dostęp zdalny. To nawet nie było takie trudne i sprawiało mu sporą przyjemność. Świadomość, że oto role się odwróciły i teraz on tworzy test dla nauczycieli, dodawała mu skrzydeł. Tym bardziej że miał to być test niemożliwy do zdania.

Zajęło mu to kilka minut. Przy próbie zmiany oceny pojawiało się okienko z pytaniem: „Czy jesteś pewny?”, po jego zamknięciu kolejne: „Potwierdź swoją pewność”, a po nim dziewięć małych obrazków, na których trzeba było wskazać te zawierające znaki drogowe. Ponieważ to wydało się zbyt łatwe, Net zmodyfikował zadanie i teraz trzeba było wskazać znaki drogowe ustawione w północno-wschodniej części województwa

zachodniopomorskiego, z wyjątkiem tych zamontowanych po osiemnastym marca bieżącego roku. Dalej trzeba było wpisać w pole tekstowe wyraz odczytywany przez generator mowy ustawiony na język norweski. Dodatkową atrakcją było to, że w momencie wciśnięcia przycisku odtwarzania osobny skrypt ściszał głośniki do jednego procenta głośności. Jeśli ktoś jakimś cudem przeszedł te wszystkie testy, był odsyłany na stronę, na której musiał wpisać swój numer telefonu i czekać na SMS z kodem. Strona składała się z jednego pliku zawierającego kilka linijek skryptu, którego jedynym zadaniem było przyjęcie numeru telefonu i wyświetlenie napisu „Wait…”.

Net zaśmiał się diabolicznie kolejny raz i zatarł ręce. Dobry trolling opiera się na prostocie.

A teraz, dla odmiany, pora na dobry uczynek.

* * *

W pokoju nauczycielskim panowało ponure milczenie. Te zapowiedziane jako cotygodniowe rady pedagogiczne nie podobały się nikomu, a też nikt nie wiedział, że mogło być jeszcze gorzej, bo Wąs pierwotnie miał w planach spotkania codzienne. Praca w szkole różniła się od pracy w korporacji tym, że każdy nauczyciel miał inne godziny pracy. Wynikały one z planu zajęć i proste ustalenie pory na „po ostatniej lekcji” oznaczało, że niektórzy musieli czekać godzinę lub dwie. Historyk, profesor Cedynia, musiał zaczekać trzy godziny, choć akurat jemu to nie przeszkadzało, bo całe te trzy godziny przespał.

Dyrektor Wąs nie wydawał się ani trochę przejęty nastrojem ciała pedagogicznego. Postawił tekturowe pudło na blacie i oparł się o oparcie krzesła na szczycie złączonych stołów. Popatrzył na wszystkich z góry, bo nauczyciele siedzieli.

— Witam państwa. — Uśmiechnął się szeroko. Nikomu, może poza Eftepem, nie drgnął choćby jeden mięsień twarzy. — Jak oceniają państwo pierwszy tydzień pracy w firmie… szkole?

— Szczerze czy miło? — zapytał profesor Butler, który tym razem pogryzał suszone jagody goji, wyciągając z opakowania po jednej sztuce. Oznaczało to obezwładniający szelest folii co trzy sekundy.

— Profesjonalnie — odpowiedział dyrektor, nieco mniej się uśmiechając.

— A to nie, to ja nie wiem. — Butler przesypał na dłoń sporą garstkę i większość wpakował sobie o ust. Reszta spadła na ziemię. Teraz, nawet gdyby chciał coś dodać, to z pełnymi ustami by nie mógł.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka weszła Agata Zasadowska.

— *Sorry* za spóźnienie — rzuciła. — Byłam na nowym filmie Jarmuscha. Doskonały, też musicie go zobaczyć.

Wąs spojrzał na nią z zaskoczeniem. Nie wspomniał jej ani słowem o radzie, żeby uniknąć kłopotów. Bo tego, że Agata będzie sprawiała kłopoty, był pewien.

— Dużo mnie ominęło? — zapytała.

— Pytałem o wasze wrażenia i opinie — mruknął z niezadowoleniem Wąs.

— Te dzieciaki są cudowne. — Polonistka wykonała dłonią gest, jakby coś prezentowała. Uniosła drugą dłoń i dokończyła — nie licząc tych, którym na niczym nie zależy. Z nich nic nie będzie.

Część nauczycieli spojrzała na nią ze zdziwieniem.

— Na niektórych lekcjach wychwytuję mocne fluidy — nieoczekiwanie zgodziła się z nią Zuzanna Zdrój — a na innych miałkość i bezwartościową flautę otchłani beztalentu. Brak energii i mocy twórczej wysysa moją duszę.

Wąs uniósł brwi, niepewny, czy plastyczka mówi poważnie.

— To przemieszanie klas nie wyszło uczniom na dobre — zauważył Czwartek.

— Widać brak zgrania — dodał Borkowski. — Podczas lekcji piłki nożnej z dwóch drużyn robią się cztery. Ci z Siódemki nie podają piłki naszym, a nasi nie podają tamtym.

— Wszyscy są nasi — przypomniał dyrektor.

— Bez boiska z prawdziwego zdarzenia nie mogę krzewić ducha sportowej integracji.

— To już załatwione. Jeszcze dziś ekipa budowlana rozpocznie prace przygotowawcze.

Wuefista uniósł brwi i spojrzał na Wąsa jak na kogoś, kto przekazuje wieść o głównej wygranej na loterii.

— To… wspaniale. — Powstrzymał się, by nie okazywać przesadnego entuzjazmu. — Już teraz powinniśmy zacząć przygotowywać ceremonię otwarcia boiska. Taka oprawa też wzmacnia morale.

— Możliwe — zbagatelizował dyrektor. — To kup jakieś fajerwerki, czy

co tam uznasz za wzmacniające.

Pan Borkowski wyglądał, jakby chciał z wdzięczności zasalutować.

— Nowy system ocen demoralizuje. — Konstancja Konstantynopolska wróciła do tematu. — Uczniowie już się zorientowali, że nie muszą się starać.

— Jak już zauważyliście, jestem otwarty na uwagi współpracowników. Wsłuchuję się w głos zespołu i doceniam zbiorową mądrość. Dlatego wprowadziłem modyfikacje do modyfikacji. Oceny będą stawiane sprawiedliwie, zgodnie z rzeczywistym stanem wiedzy uczniów.

— Tak było przedtem — zauważyła geograficzka.

— Tylko pozornie. — Wąs wyjął z pudła pierwszy tablet i podał geograficzce. — Zmiana polega na tym, że od teraz wszystkie oceny będą wpisywane do aplikacji e-dziennik, a oprogramowanie eksperckie będzie na bieżąco dokonywało analizy ocen i proponowało korekty do procesu edukacji. — Zaczął rozdawać wszystkim tablety. — Dzięki temu w każdym momencie będziemy wiedzieli, jaki poziom prezentuje sobą konkretny klient… uczeń. Wszystkie dane będziemy mogli porównać i wyświetlić w postaci kolorowych wykresów. Długopisy nie będą już potrzebne, a to jest ostatni papier, jaki się przyda.

Położył na stole listę loginów i haseł. Nauczyciele zaczęli ją sobie przekazywać z rąk do rąk.

— Romualdzie, co to do cholery ma być? — Polonistka wskazała swój tablet. — To absolutna dehumanizacja!

— Zgodnie z prawem musimy używać papierowych dzienników — przypomniał Czwartek.

Dyrektor zawahał się, ale tylko na chwilę.

— Ta papierologia nie będzie nam na razie potrzebna. — Otworzył szafkę z papierowymi dziennikami i zaczął je przekładać do pudła. — Przed końcem semestru cofniemy się na chwilę do dwudziestego wieku i przepiszemy wszystkie oceny na papier.

Butlerowi skończyły się jagody goji w torebce, zanurkował więc pod stół w poszukiwaniu tych, które wcześniej spadły.

Wąs zamarł, nie wiedząc, jak zareagować na tak nieprofesjonalne zachowanie. Nie mógł niestety, ot tak, tego brudasa wywalić z pracy, bo musiałby znaleźć kogoś na jego miejsce. Już się przekonał, że to wcale nie takie łatwe. Ta szkoła była gorsza nawet od fabryki kiszonej kapusty, którą

kierował na początku kariery.

— System sam wykryje, który uczeń z jakiego przedmiotu ma oceny niższe od średniej — ciągnął Wąs. — I skieruje go na zajęcia dodatkowe z tego przedmiotu. Te zajęcia dodatkowe zastąpią obecne kółka zainteresowań, na które uczniowie zapisują się według swojego widzimisię.

— Według zainteresowań — poprawiła go Agata.

— Droga Agato. Nie interesują nas zainteresowania uczniów, tylko ich średnia ocen.

— Doskonały sposób na wychowanie średniaków, drogi Rom… ualdzie. — Agata wsparła ręce na biodrach i spojrzała na niego groźnie. — Po co nam to dążenie do idealnej średniej? Jeśli ktoś nie ma talentu do muzyki, to jaki sens katować go dodatkowymi zajęciami ze śpiewu albo gry na flecie? Wystarczy, że będzie miał dostateczny na koniec roku. Może jego pasją jest matematyka? Jeśli ma piątkę z plusem z matmy, to lepiej mu zrobią zajęcia z matmy. Niech się rozwija zgodnie ze swoim talentem. To jest szkoła, a nie *bip*[2]*!* obóz resocjalizacyjny!

Wąsa zatkało. Chrząknął.

— Polska szkoła nie uczy, jak się uczyć — przyznał Czwartek. — Nie pogarszajmy sytuacji.

— Zapoznajcie się ze swoim nowym narzędziem pracy. — Zamknął pudełko z papierowymi dziennikami i z pewnym trudem je uniósł. — Nie przedłużajmy spotkania. Na pewno macie swoje prywatne sprawy.

I wyszedł. Zapanowała cisza, którą przerwał dopiero Eftep. Wstał i zaczął się przechadzać tak samo, jak to czynił w klasie podczas testów.

— Pozwólcie, że wam wszystko wyjaśnię. — Uniósł wysoko brodę. — Ta aplikacja to krok milowy w rozwoju edukacji. Pozwala na precyzyjną pracę i zapewnia komfort –

— Używałeś tego kiedyś? — Czwartek podniósł wzrok znad ekranu.

— Yyy… to nieistotne. Jestem pewien, że nasz nowy dyrektor nie zaimplementowałby nam niczego, co nie spełnia –

— Gdzie jest następna strona? — Cedynia odwracał tablet na wszystkie sposoby, jakby miał takie urządzenie pierwszy raz w rękach. Bo zapewne właśnie tak było. — Tu jest napisane, że coś tam, coś tam, na następnej stronie.

— To jest tablet — wyjaśnił z wyższością Eftep. — Ma tylko jeden

ekran.

— To dlaczego tu jest napisane, że coś tam jest na „następnej stronie”?

— Naciśnij tu. — Eftep wskazał przycisk ze strzałką.

Cedynia dotknął ekranu tak mocno, jakby włączał starą pralkę.

— O, zniknęło. — Cofnął się zaskoczony. — Tu był taki napis „następna strona”. A teraz go nie ma.

— Bo to już jest ta następna strona.

Historyk zmarszczył brwi, poprawił okulary i jeszcze raz dokładnie obejrzał urządzenie z przodu i z tyłu.

— Nie — zawyrokował. — Tu jest tylko jedna strona.

— Dlatego właśnie zdecydowałem się nauczać informatyki — oznajmił Eftep i na wszelki wypadek oddalił się.

— Koledzy i koleżanki — odezwała się swoim nieodłącznym grobowym tonem Konstancja Konstantynopolska. — Przyjmijmy wspólne stanowisko wobec tych wszystkich zmian.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza.

— Spłacam kredyt — powiedziała cicho pani Czartoryska.

Pomruki potakiwania w całym pokoju nauczycielskim świadczyły o tym, że nie tylko ona.

* * *

W swoim gabinecie dyrektor Wąs słuchał uważnie transmisji na żywo z tej narady. Zainstalowanie na tabletach aplikacji e-spy okazało się doskonałym pomysłem. Zgodnie z przewidywaniami niemal wszyscy narzekali na zmiany. Wyjątkiem był Wierszewski, który niezdarnie próbował wymieniać korzyści. Czyli pierwsza ocena tego człowieka była prawidłowa – mierny, ale wierny. Wuefista milczał, co mogło oznaczać, że blef z boiskiem zadziałał.

Przyjemność słuchania tych narzekań psuł dziwny powtarzający się głos. Za trzecim, może czwartym razem Wąs zdołał rozpoznać słowa:

— *Panie dyrektorze!*

Głos był przyciszony, podczas gdy wszystkich nauczycieli dało się słyszeć wyraźnie. Zupełnie jakby ktoś tam w pokoju nauczycielskim siedział w szafie i wołał z jej środka. To oczywiście było zupełnie pozbawione sensu.

— *Panie dyrektorze!*

A może to zakłócenia? Może nakłada się inna transmisja na tej samej częstotliwości? Nie, no jak zakłócenia! W cyfrowym, kodowanym przekazie?

— *Panie dyrektorze! To ja, Robert.*

— Jaki znowu Robert?! — wykrzyknął w przestrzeń Wąs, choć tamten nie mógł go przecież usłyszeć, bo podsłuch działał w jedną stronę.

— *Robert Małpisiak. Prowadzę szkolny sklepik!*

Dyrektor zmarszczył brwi. Coś tu się nie zgadzało. Jeżeli on usłyszał pana Małpisiaka, to nauczyciele też powinni. A oni nadal, jak gdyby nigdy nic, obgadywali głupie decyzje dyrekcji. No i po co mieliby zamykać sklepikarza w szafie na dzienniki?

Tknięty przeczuciem, wyciszył dźwięk.

— Panie Robercie! — zawołał.

— *Tak, jestem!* — głos nadal był przytłumiony, ale z pewnością nie dochodził z głośników.

Dyrektor wstał, podszedł do drzwi i gwałtownie je otworzył. Sklepikarz tam był, stał w sekretariacie, nerwowo pocierając ręce.

— Pukałem.

— Pukał pan w gąbkę obciągniętą sztuczną skórą? — upewnił się Wąs. — Dobrze, nieważne, słucham, o co chodzi? Jestem zajęty.

Pan Małpisiak, jak wąż, wślizgnął się do gabinetu. Bez pozwolenia jednak nie śmiał uczynić więcej niż dwóch kroków.

— Z tą kawiarnią to jest więcej biegania niż zarobku — poskarżył się, garbiąc się uniżenie. — Klienci są wybredni, narzekają na kawę.

— Może problemem jest jakość kawy? — Dyrektor spojrzał na zegarek. — Jaką kawę pan podaje?

— Normalną, jak zawsze. Rozpuszczalną.

— Czyli problemem JEST jakość kawy.

— Ale to jest dobra kawa. Sam taką piję.

— Rozpuszczalną? Zatem drugim problemem jest brak świadomości problemu pierwszego. — Wąs spojrzał na komputer na biurku. — A co z uczniami? Nie kupują na przerwach? Ma pan monopol na kilkuset klientów.

— Nie chcą kupować tego, co mam. Musi być zdrowe jedzenie, owoce, orzechy…

— I gdzie tu problem? Kupi pan batoniki, rozwinie je z papierków i będzie sprzedawać jako owoce czekoladowca. Na wafelkach wystarczy

dokleić napis „dietetyczne”, na solonych chipsach „bez soli”, a na puszkach z colą na przykład „naturalnie gazowany napój z jagód leśnych, bez sztucznych dodatków”. I już.

— Nie ma czegoś takiego jak owoce czekoladowca.

— Skąd ta pewność? Może są. — Dyrektor poklepywał sklepikarza po plecach, trochę pocieszająco, ale popychając w stronę wyjścia. — Ja mam pana uczyć robić biznes? Niech pan się wykaże kreatywnością.

Doklepał go do progu, a nawet wyklepał dalej i zamknął drzwi na klamkę.

— Co za osioł… — mruknął sam do siebie.

Wrócił za biurko i znów włączył dźwięk. Niestety nauczyciele rozmawiali już tylko o jakichś nudnych tematach w rodzaju nowego programu i metod nauczania. Nic godnego uwagi.

* * *

Drogeria pachniała tak bardzo, że aż śmierdziała. Przynajmniej tak to odbierał Net. Na jasnych ścianach w równych odstępach stały jasne regały z jasnymi butelkami, jasnymi słoiczkami i jasnymi pudełeczkami. Na niskim, jasnym stoliku dymiły kadzidełka, odpowiedzialne za część smrodu, a z niewidocznych, choć zapewne też jasnych, głośników sączyła się relaksacyjna muzyka z wokalistką wyjącą jak wiatr w szczelinie drzwi schroniska górskiego. Wszystko to sprawiało, że Net miał ochotę natychmiast obrócić się na pięcie i wyjść.

— Dzień dobry, jak mogę pomóc? — Obok stała uśmiechnięta ekspedientka, na oko niewiele starsza od Neta.

— Yyy… Szamponu szukam. Dzień dobry.

— Do jakich włosów?

— No… do takich na głowie. — Net wskazał swoją czuprynę.

Ekspedientka przyjrzała się krytycznie jego fryzurze z miną sapera, który ma rozbroić wyjątkowo skomplikowaną bombę.

— Mogę panu zaproponować w promocyjnej cenie zestaw nożyczek i grzebieni na kolejne etapy rekonstrukcji.

— Nie o moje włosy chodzi! — zaprzeczył szybko Net. — To ma być dla dziewczyny.

— A jakie ona ma włosy? — Ekspedientka uśmiechnęła się z ulgą.

— No takie… zwykłe. — Net wzruszył ramionami. — Jak to włosy. Rude są. Nawet bardzo rude, jak zardzewiałe tarcze hamulcowe.

— Pytam, do jakiego rodzaju włosów ma być ten szampon. Do farbowanych, do tłustych, do suchych…?

— Jak do suchych? Nie no, do mokrych! — niemal wykrzyknął Net. — Chodzi o to, żeby je umyć.

— Mam na myśli to, że na przykład ciepła woda może wysuszać włosy.

— Woda? Wysuszać? — Net patrzył na ekspedientkę podejrzliwie.

— Oczywiście. Zbyt ciepła woda może wysuszać włosy. Tak samo jak powietrze z kaloryferów.

— Ona ma suszarkę. Nie jest aż tak biedna, żeby suszyć włosy na kaloryferze.

Ekspedientka pokręciła głową z uśmiechem, cokolwiek już wymuszonym.

— Czy mamy do czynienia z rozdwajającymi się końcówkami? — zapytała, a widząc brak zrozumienia na twarzy klienta, dodała — czy włosy rozdwajają się na końcach?

— A powinny? Nie wiem. Nigdy nie oglądałem ich pod mikroskopem.

— OK… — Dziewczyna z lekkimi objawami rezygnacji pokiwała głową i podeszła do najbliższego regału. — Zaproponuję panu rozwiązanie najbardziej uniwersalne. — Chwilę wodziła palcem po stojących na półce dziesiątkach identycznych z punktu widzenia Neta butelek. Wreszcie wybrała jedną. — Szampon z keratyną i witaminą E.

— Witamina do włosów? — Net nieufnie wziął butelkę i przeczytał napis na etykiecie — „włosy szorstkie, łamliwe i zniszczone”. Nie, ten chyba nie. — Oddał butelkę. — Chodzi o dokładnie odwrotny efekt.

— Ten szampon jest do włosów, które są szorstkie, łamliwe i zniszczone PRZED umyciem.

Net nie był pewien, czy ekspedientka przypadkiem sobie z niego nie żartuje.

— Czyli że po umyciu będą gładkie i tak dalej?

— Już po trzecim użyciu. Mogę zaproponować jeszcze odżywkę.

— Odżywkę? — Net upewnił się, czy dobrze usłyszał. — Ona jeszcze nie ma dzieci. Nie chodzi też na siłownię.

Ekspedientka otworzyła usta. Zamrugała.

— Odżywkę do włosów. — W desperacji podała mu identyczną butelkę.

Net zaczął czytać etykietę z tyłu. W miarę lektury coraz wyżej unosił brwi.

— Czy to konieczne…? Bez tego szampon nie zadziała?

— Z odżywką na pewno zadziała lepiej.

— Dobra, biorę. — Net z rezygnacją wyciągnął portfel. — Może pani zapakować tak, żeby to wyglądało na droższe, niż jest?

* * *

Coś tu nie grało, coś się nie zgadzało. Gdzie terroryści, a gdzie program kosmiczny? Felix spędził ostatnią godzinę na przeglądaniu historii lotów kosmicznych, a głównie startów rakiet z ostatnich kilku lat. Przeważały loty komercyjne, których celem było wyniesienie różnych satelitów. Zdecydowanie rzadziej, raz, dwa razy w roku, startowały większe rakiety z sondami międzyplanetarnymi. Najczęściej ich przeznaczeniem były Mars lub Wenus, choć pięć lat temu wystartowała misja *Far Diver*, której celem była Europa, lodowy księżyc Jowisza.

W przypadku większości startów dawało się sprawdzić ładunek rakiety, to nie były tajne misje. Ciekawie robiło się w okolicach lutego, kiedy to NASA wystrzeliła rakietę z sondą, której opis był zdecydowanie mniej obszerny niż w przypadku innych misji. Co więcej, brakowało historii projektu, analiz i tego wszystkiego, co na lata przed końcowym odliczaniem poprzedza każdą misję. Misja nosiła nazwę New Hope, a jej cel określono w kilku zdaniach. Chodziło o badanie rozbłysków słonecznych. I nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że tydzień później wystartowała rakieta z sondą New Hope 2, której opis był kopią poprzedniego. Tu również brakowało całej otoczki medialnej i naukowej. Wręcz wyglądało to tak, jakby chciano, by cała misja pozostała niezauważona.

Net byłby lepszy w tych wyszukiwaniach, ale Felix za bardzo się w to wkręcił, by teraz odpuszczać, czy choćby czekać do jutra. Minęła północ, więc było zbyt późno, by odzywać się do przyjaciela. Tym bardziej że tak naprawdę Felix nie wiedział, czego szuka. A już z pewnością nie potrafiłby wytłumaczyć przeczucia, które zmusiło go do ślęczenia przed komputerem. Radził więc sobie sam. Dotarł do niezależnego portalu śledzącego misje międzyplanetarne i natrafił na gorącą dyskusję dwóch zapaleńców na forum. Jeden udowadniał drugiemu, że misja New Hope nie ma sensu, bo według

jego obliczeń sonda nie wejdzie na orbitę okołosłoneczną, lecz centralnie wbije się w gwiazdę. To oznacza, że od momentu wejścia w słoneczną koronę będzie działać przez ledwie kilka sekund, nim wyparuje od temperatury. Wątpliwe, czy w ogóle zdoła przetransmitować jakiekolwiek dane.

Felix odsunął laptop i opadł w fotel. Sonda za miliard dolarów, która ma pracować przez kilka sekund? To nie brzmi mądrze. Z drugiej strony to tylko opinia jakiegoś nieznanego kolesia z forum dla geeków interesujących się astronautyką. Czym tu się przejmować?

Być może Felix przeszedłby nad tym do porządku dziennego (nocnego), gdyby nie to, że ledwie dwa dni później ESA [3] wysłała w stronę Słońca swoją własną sondę nazwaną mniej poetycko POA-17. Dyskusja na innym forum skupiała się wokół bezsensowności misji, bo ktoś wyliczył, że ta sonda również miała wlecieć centralnie w Słońce, a kosztowała miliard euro, czyli nawet więcej niż ta amerykańska. Choć mniej od dwóch amerykańskich.

Ziewnął. Pewnie poszedłby już spać, gdyby przypadkiem nie trafił na link o podobnej chińskiej sondzie, wystrzelonej dwa tygodnie później, na początku marca. W tym przypadku niewiele było wiadomo, poza wyliczoną trajektorią – ta sonda również celowała w środek tarczy słonecznej. To wszystko razem zdawało się nie mieć sensu. Przecież nikt nie wywala miliarda dolarów lub euro, by zwyczajnie niszczyć sondę w zupełnie nieefektownym, z powodu braku obserwatorów, spłonięciu w słonecznej koronie.

Dalsze poszukiwania zaplanował na następny dzień. Naprawdę było już późno, a nie wymyślił jeszcze niespodzianki dla Laury – do jej powrotu zostało ledwie kilka dni. Umył więc zęby i wykonał wszystkie te czynności, które cywilizowani ludzie zazwyczaj wykonują przed snem, po czym z głową pełną liczb położył się do łóżka.

* * *

Koperta bez znaczka leżała w rogu stołu na szczycie stosiku innych kopert. Żadna z nich nie zawierała niczego miłego, ale wszystkie razem nie mogły się równać z tym listem. Nika powstrzymywała się, żeby nie przeczytać go jeszcze raz. To nie mogło niczego zmienić.

Zawibrował telefon, wyświetlając powiadomienie o nowej wiadomości.

Dziewczyna przysunęła telefon i przeczytała: „Potrafię rozwiązać Twój największy problem”. Tylko tyle, numer nieznany.

Wzdrygnęła się. Ktoś sobie żartował? A może to jakaś reklama? Zerknęła za okno, jakby spodziewała się dostrzec tam żartownisia.

Trzymała telefon w dłoniach i nie wiedziała, co zrobić. W końcu nie zrobiła nic. Wyłączyła telefon i wyjęła z szafy pościel. Jutro się nad tym wszystkim zastanowi.

1. CAPTCHA (ang. *Completely Automated Public Turing test to tell Computers and Humans Apart*) – test w formie trudnej do odczytania przez maszynę. Stosuje się go tam, gdzie dopuszczalne jest wyłącznie działanie człowieka. Chroni np. przed spamem lub zakładaniem kont przez automaty. [wróć]
2. Bipami zastąpiłem brzydkie słowa ;) [wróć]
3. European Space Agency – Europejska Agencja Kosmiczna. [wróć]

8. Przekręt na galaktyczną skalę

Cztery dni do…

Lekcje fizyki w Gimnazjum im. prof. Stefana Kuszmińskiego należały do ulubionych przez uczniów, i to się nie zmieniło w Liceum im. prof. Stefana Kuszmińskiego. Nawet humaniści raczej nie unikali fizyki. Znane były przypadki, kiedy wyjątkowi pasjonaci, będąc na zwolnieniu, przychodzili na lekcje pana Czwartka. Przeprowadzał on mnóstwo doświadczeń, a wzory wypisywane na tablicy traktował jak dodatek do zajęć, nie zaś ich podstawę. Uczniowie chętnie rozwiązywali zadania, żeby dowiedzieć się, co przed chwilą zobaczyli.

Pracownia fizyczna wyglądała inaczej od innych klas. Ławki ustawiono w podkowę, w której środku znajdował się potężny stół doświadczalny. O tym, że był intensywnie używany, świadczyły liczne osmalenia, zacieki i wyszczerbienia.

Choć minęło już kilka minut, pan Czwartek wciąż jeszcze nie zaczął zajęć. Stał oparty o stół z nosem w tablecie, mamrotał coś i poruszał wąsami. Unosił okulary na czoło i je opuszczał, dotykał ekranu. Jedyną osobą, która domyślała się przyczyny takiego zachowania, był Net. Przemknęło mu przez myśl, by zaoferować swoją pomoc, ale w porę sobie uzmysłowił, że to nie najlepszy pomysł – przecież nikt, włącznie z nauczycielami, nie miał pojęcia o jego współpracy z Wąsem. E-dziennik nie należał do skomplikowanych programów, jeżeli tylko poznało się zasadę jego działania. Zapewne Wąs nie przeprowadził żadnego szkolenia i podobne sytuacje rozgrywały się teraz we wszystkich klasach. Cały program nauczania został wprowadzony do e-

dziennika i nauczyciele chcąc nie chcąc, musieli z niego korzystać.

Net co chwila dyskretnie zerkał na wyświetlacz telefonu. Plany wyprawy do siedziby Rady Nadzorczej mógł zniweczyć jeden SMS od dyrektora.

— Człowiek uczy się całe życie — odezwał się Czwartek. — Tylko nie zawsze mu wychodzi, jakby chciał. — Odłożył tablet i powiódł wzrokiem po klasie. — Dzisiejszą lekcję zrobimy luźniejszą, poza programem, tak jeszcze powakacyjnie. Czy macie jakiś temat, o którym chcielibyście posłuchać?

Przez klasę przeszły szmery. Nikt nie był na to przygotowany.

— Mamy. — Felix uniósł rękę. — Równowaga chwiejna.

— Że co? — Net spojrzał na niego, jakby przyjaciel odezwał się w obcym języku.

— Równowaga to ciekawy stan — zastanowił się Czwartek. — Jak to w życiu, napięcie przed akcją, emocje, choć jeszcze nic się nie dzieje. Wszystkie siły równoważą się, a punkty pozostają nieruchome względem układu odniesienia. Równowaga chwiejna wygląda tak. — Wyjął z kieszeni długopis, włączył go pstryknięciem i postawił na czubku. Chwilę próbował go ustawić idealnie pionowo, co oczywiście się nie udało – długopis za każdym razem się przewracał. — Ustawiony pionowo długopis znajdowałby się w stanie równowagi chwiejnej. Trudno ją osiągnąć, bo z natury jest niestabilna. Co sugeruje sama nazwa. A zresztą… pokażę wam to inaczej.

Wyszedł na zaplecze. Chwilę odchodziły stamtąd odgłosy szurania i przestawiania.

— Równowaga chwiejna? — Nie mógł uwierzyć Net. — Chcemy słuchać o równowadze chwiejnej?

— Próbuję łączyć fakty, których nie rozumiem — wyjaśnił Felix, niczego nie wyjaśniając. — Szukam inspiracji.

— A ja zmuszony przemocą szukam razem z tobą. Mogłeś powiedzieć, że chcielibyśmy posłuchać fontanny w parku. — Wyjrzał przez okno na falujące na słońcu liście topoli. — Albo dźwięku ekspresu do kawy w Zbędnych Kaloriach. Równowaga chwiejna. Ja pierdykam…

Pan Czwartek wrócił z przezroczystą piłką wielkości piłki do siatkówki i z jajkiem. Zwykłym kurzym jajkiem.

— Najłatwiej to pokazać na przykładzie prostej mechaniki. I części mojego lunchu.

Wyjął z tylnej kieszeni składany nóż i otworzył go kciukiem. Na kliknięcie blokującego się ostrza część uczniów z Siódemki zareagowała ze

zdziwieniem, bo od kiedy to na teren szkoły nauczyciel wnosi nóż. To robią jakieś łobuzy, które za chwilę z tej szkoły wylecą.

— To jest część jakiejś pomocy naukowej. — Czwartek fachowo wbił ostrze w przezroczystą „piłkę". — Jeśli nie została użyta przez kilka ostatnich lat, to znaczy, że jest niepotrzebna. A dokładniej to jej połowa jest potrzebna właśnie teraz. — Rozciął całkiem sztywną, jak się okazało, „piłkę" na dwie części, przez co powstały dwie „miski". — Byłoby zabawniej, gdybym użył piłki do rozcięcia piłki. No ale nie można mieć wszystkiego.

Ułożył miskę w zagłębieniu stołu tak, by się nie ruszała, i do środka włożył jajko. Jajko przez chwilę toczyło się tam i z powrotem, po czym znieruchomiało na samym dole.

— To było do przewidzenia, prawda? — Nauczyciel trącił jajko, które po chwili znów znieruchomiało w tym samym miejscu. — Istnieją trzy rodzaje równowagi. Oto przykład równowagi stabilnej. Możemy popychać jajko, a ono i tak wróci do najniższego punktu, gdzie energia potencjalna ma najniższą wartość. To oczywiste, prawda?

Z sali dobiegło kilka potakujących mruknięć. Czwartek skinął głową, wyjął jajko i położył je na blacie.

— A to jest przykład równowagi obojętnej. — Pchnął jajko, a ono potoczyło się kawałek i znieruchomiało. — Energia potencjalna jest taka sama w każdym położeniu ciała. Czyli jajka. To też oczywiste. A teraz zaryzykuję moim lunchem, żeby pokazać równowagę chwiejną. — Odwrócił miskę do góry nogami i położył jajko na wierzchu. Jajko oczywiście próbowało się stoczyć, więc nauczyciel musiał je co chwila łapać. — Istnieje punkt, z którego jajko się nie stoczy. Musicie mi uwierzyć na słowo, bo nie chcę być głodny przez resztę dnia. Gdyby udało się umieścić jajko idealnie w tym punkcie, pozostałoby tam do czasu przyłożenia minimalnej siły. Wystarczyłby lekki podmuch powietrza lub trącenie stołu. Dotyczy to obiektów o dowolnej wielkości. Można by na przykład postawić na betonie wielki statek, ważący tysiące ton. Bez podpór statek od razu by się przewrócił, ale gdyby idealnie go wyważyć, pozostałby bez ruchu. A wtedy ktokolwiek z was mógłby do niego podejść i popchnąć go ręką. A statek by się przewrócił.

Przez resztę lekcji fizyk opowiadał o tematach coraz mniej związanych z zadanym przez Felixa pytaniem, i to opowiadał całkiem ciekawie, aż przerwał mu dzwonek.

— Równowaga nie dotyczy tylko fizyki — dodał na koniec nauczyciel. — Możecie też zapytać panią Konstantynopolską o równowagę w polityce.

Tego akurat nikt nie zamierzał robić. Wystarczającym powodem, by nie drażnić Konstancji, był zapowiedziany test z wiedzy o Ameryce Południowej.

* * *

— I co? Jesteśmy mądrzejsi niż po wsłuchiwaniu się w ekspres do kawy? — zapytał Net, gdy dotarli do hallu. — Oczywiście ten w Zbędnych Kaloriach, nie w bulgotanie czajnika w naszym sklepiku.

Przy sklepiku, o dziwo, ustawiła się niewielka kolejka uczniów. Kosz na śmieci pełen był pogniecionych opakowań po słodyczach, a za sklepikiem stały rozmontowane plastikowe stoliki kawiarniane i ustawione jedno na drugim krzesełka.

— Kolejka? — zapytał retorycznie Net. — Pojawił się kefir o smaku nutelli?

— Ćśśś! — Wiktor przyłożył palec do ust. — Konspira.

Wepchnął do ust baton czekoladowy, który trzymał w papierowej serwetce, i… zamarł, widząc stojącą kilka metrów dalej Próbówkę, czyli panią Czartoryską. Uciekł wzrokiem gdzieś w bok i odszedł nienaturalnie sztywno.

Nauczycielka podejrzliwym wzrokiem ogarnęła stojących, podeszła do witryny i przyjrzała jej się z bliska.

— Owoce czekoladowca? — zauważyła ze zdziwieniem. — Przecież to są batony. Tłuszcze utwardzone i syrop skrobiowy, gotowy przepis na otyłość i cukrzycę. Pierwsza kontrola zamknie panu ten lewy interes.

— To są owoce. — Pan Małpisiak rozłożył ręce. — Legalna sprawa. A kontrolę to ostatnio miałem lata temu.

— Sama wezwę kolejną, jeśli do południa to stąd nie zniknie.

Odwróciła się i odeszła. Kolejka naparła na okienko, by kupować, co popadnie, zanim zabraknie.

— Zaraz, spokojnie. — Oskar powstrzymał wszystkich. — Do południa wszystko musi stąd zniknąć. Wiecie, co to oznacza?

Wyraz twarzy kolejkowiczów wskazywał na to, że nie wiedzą.

— Że po południu tego nie będzie? — zaryzykowała Klaudia.

Oskar pokręcił głową i odwrócił się do pana Małpisiaka.

— Przydałaby się mała przecena. Czekamy na propozycje.

Felix i Net podeszli do witryny.

— Ja cię… — Net pokręcił głową z uznaniem. — Mistrz marketingu.

W sklepiku można było kupić zwykłe produkty, tylko bez opakowań. Leżały tam korzenie naturalnego marcepanu, uformowana w małe misie żywica drzewa galaretkowego, kolorowe jagody emenemsowca, podejrzanie przypominająca chipsy kora sosny paprykowej, modrzewia cebulowego i dębu serowego oraz sok z sewenapowca i kokakolowca.

— Ceny nie podlegają negocjacjom — oświadczył pan Małpisiak.

— Wszystko, czego pan nie sprzeda — twardo negocjował Oskar — wyląduje w koszu. A wtedy nici z zysków.

Przyjaciele nie mieli zamiaru kupować rozwiniętych z opakowań, dwa razy droższych batonów, odeszli więc na bok.

— A, właśnie! — przypomniał sobie Net. — Coś mam i nie wiem, co z tym zrobić. — Wyjął z plecaka paczkę z drogerii i podał Nice. — Szampon i jakiś… dopalacz do szamponu. Kupiłem, ale mi nie pasuje do rodzaju włosów. — Rozłożył ręce. — Ten jest do włosów podwójnych, czy coś w ten deser. Ja mam pojedyncze. Może ci się przyda.

— Może potrzebujesz do nieuczesanych? — Nika rozerwała papier i otworzyła szerzej oczy. — Dziękuję! — Rzuciła się Netowi na szyję i mocno go pocałowała. — Pamiętałeś!

Net zmarszczył brwi. Z uwieszoną na szyi dziewczyną posłał pytające spojrzenie Felixowi. Ten wzruszył ramionami, że nie ma pojęcia, o czym należało pamiętać.

— Jasne, że pamiętałem — zaczął ostrożnie Net. — Przecież zawsze pamiętam.

— Dwa lata temu prawie zaczęliśmy ze sobą chodzić. — Nika oglądała ze wszystkich stron butelki z szamponem i odżywką.

— Prawie…? — zaryzykował Net. — Prawie zaczęliśmy czy prawie dwa lata temu?

Nika nie słuchała, cieszyła się jak małe dziecko. Miło na chwilę zapomnieć o przykrych sprawach, w tym o tej największej, która zbliżała się jak wielka chmura burzowa, na razie widoczna jako granatowy pasek nad horyzontem.

— Dokładnie takiej odżywki potrzebowałam — przyznała.

— Czyli to naprawdę do czegoś służy — ucieszył się Net. — Na dnie jest jeszcze karta stałego sępa. Rabatowa, znaczy.

Rozległ się dzwonek. Przyjaciele nie dowiedzieli się, czy Oskar w końcu wywalczył przecenę. Zauważyli jednak, że wszystko zostało sprzedane. Pan Małpisiak wyszedł do hallu ze wściekłym spojrzeniem. Zacisnął pięści, wytargał zza sklepiku stoliki kawiarniane i zaczął je montować z powrotem.

* * *

Lekcje się skończyły, a kolejna wiadomość od Wąsa nie przyszła. Felix i Net siedzieli na murku przed szkołą. Dzień był upalny, tak jak i poprzednie. Przy stoliku Niezbędnych Kalorii siedziały dwie młode, elegancko ubrane kobiety.

— Jeszcze nie wiedzą, co je czeka — powiedział cicho Net, po czym stracił nimi zainteresowanie. — Niezły bałagan. Wąs nikomu nie wytłumaczył, jak działa ten cały e-dziennik.

— Co jak działa? — zainteresował się Felix.

— Eee… — Net wydął wargi. — Tak coś tam czytałem. Nieważne.

— Dziś też masz coś do załatwienia po lekcjach?

Net dotknął kieszeni z telefonem.

— Nie, skąd!

Po schodach zszedł pan Małpisiak z dwoma kubkami kawy. Postawił je przed kobietami i ukłonił się usłużnie. Przyjaciele spojrzeli na nie i zamarli w oczekiwaniu na efekt pierwszego łyku. Nic z tego. Po schodach zbiegła również Nika i uśmiechnęła się do chłopców.

— Idziemy?

* * *

Stara kamienica na Woli nie zachęcała do zanurzenia się w zalatujące wilgocią, ciemne wnętrze. Szara obdrapana fasada nosiła ślady ostrzału z czasów Powstania Warszawskiego, a niemyte od dawna okna pasowały stylistycznie do poobrywanych rynien. Ktoś tu może i mieszkał, ale raczej nie ktoś, kogo przyjaciele chcieliby spotkać.

A jednak adres z koperty się zgadzał.

Weszli przez uchylone, zbutwiałe drzwi, które ledwo się trzymały na

przerdzewiałych zawiasach.

— Trzecie piętro — przeczytał z wyblakłej listy lokatorów Felix i spojrzał w górę. Klatka schodowa nie odbiegała wyglądem od fasady.

Drewniane stopnie trzeszczały przy każdym kroku. Na trzecim piętrze czekało ich rozczarowanie. Dwuskrzydłowe drzwi obłaziły z farby, a naciskanie dzwonka nie dawało żadnego efektu – za drzwiami panowała głucha cisza. Felix zapukał kilka razy, ale z mieszkania nie dobiegł żaden szmer. Chłopak przeszedł kawałek dalej i nacisnął włącznik światła. Lampa sufitowa nie zapaliła się.

— Nie ma prądu. — Przejechał palcem po klamce – został na nim szary nalot kurzu. — Prawdopodobnie nikt tu nie mieszka.

— Spodziewałem się recepcji — przyznał Net — i czegoś w rodzaju stołu, za którym siedzi ta cała rada i obraduje.

— To adres korespondencyjny — powiedziała Nika. — Oni pewnie nawet tu nie bywają.

Nie pozostawało im nic innego, jak zejść na parter.

— Rada Nadzorcza nie musi się spotykać fizycznie. — Felix zajrzał w szparę skrzynki na listy. — Mogą ustalać wszystko na odległość.

Zamknął oczy i dmuchnął w otwory z prawej strony drzwiczek. Przez otwory z lewej strony wyleciała chmura kurzu. Wewnątrz leżało kilka kopert, i to zapewne od dawna.

— To by było na tyle w temacie. — Net obracał w dłoniach cienką kopertę z sekretariatu – w środku nie mogło być więcej niż kilka kartek. — Ciekawe, co tam jest…

— Powinieneś ją odnieść do sekretariatu — powiedziała Nika.

— Nie otworzą jej. — Wsunął palec pod klapkę koperty. — Ta nowa sekretarka ma wszystko w komputerze. — Tylko zerkniemy i potem się zaklei.

— Nie wolno zaglądać do czyjejś korespondencji — zaprotestowała Nika, ale zrobiła to bez przekonania.

— To nie jest prywatna korespondencja, tylko służbowa. — Net powoli rozdarł krawędź koperty w taki sposób, że jej dyskretne zaklejenie raczej nie wchodziło w grę. — I w sumie to, co jest w środku, nie może być tajne. Nie dla nas. Jesteśmy uczniami tej szkoły, płacimy czesne i ten… no, mamy prawo wiedzieć.

Delikatnie, jakby to cokolwiek zmieniało, wyjął ze środka list.

Pojedyncza kartka, wydruk komputerowy podstemplowany pieczątką Rady Nadzorczej, zawierała ledwie kilka zdań:

Do dyrektora magistra inżyniera Juliusza Stokrotki

W związku ze zmianami prawnymi konieczne jest przekształcenie Gimnazjum Numer Trzynaście im. prof. Stefana Kuszmińskiego w liceum o tym samym numerze i tego samego imienia. Rada podjęła decyzję o przeprowadzeniu procesu przekształceniowego wspólnie z Gimnazjum Numer Siedem im. prof. Genowefy Puszczykowskiej. Oznacza to, że uczniowie klas trzecich ze szkoły numer siedem zostaną przeniesieni do naszej szkoły. Klasy zostaną w całości w dawnych swych składach osobowych.

— W całości w dawnych składach! — wykrzyknął Net.

— Sam to wymyślił — powiedziała z niedowierzaniem Nika. — Sam wymyślił to mieszanie.

Czytali dalej:

Bez zmian pozostaje wysokość czesnego, terminy świąt oraz ferii, zasady stosowania kar i nagród oraz płatności i przyznawania stypendiów.

— Ja cię…! — Net zacisnął palce, gniotąc brzegi pisma.

— Nie miał prawa podnieść średniej ocen — przyznał Felix.

— Czytajcie dalej — dodała Nika.

Przekształcenie gimnazjum w liceum to złożony proces, który będzie trwał przez cały pierwszy semestr. Dlatego Rada postanowiła utworzyć na ten czas specjalny etat zastępcy dyrektora do spraw przekształceń. Po rozpatrzeniu wielu kandydatur, Rada zdecydowała zatrudnić na to stanowisko Romualda Wąsa, specjalistę do spraw restrukturyzacji.

Radna Nadzorcza Liceum Numer Trzynaście im. prof. Stefana Kuszmińskiego w Warszawie w składzie: Maria Ostrowska, Robert Turowicz i Edmund Notecki

Net wolno opuścił pismo. Przyjaciele popatrzyli po sobie, nie wierząc jeszcze całkiem w wagę odkrycia, jakiego właśnie dokonali. Mimo chłodu panującego w hallu kamienicy zrobiło im się gorąco.

— To by oznaczało… — zaczęła Nika.

— … przekręt na galaktyczną skalę — dokończył Net. — Wszystkie jego decyzje są nielegalne! Wąs jest wicedyrektorem, czyli nie mógł podejmować żadnych decyzji bez zgody Stokrotki.

— Dyrektor też nie może zmieniać decyzji Rady Nadzorczej — stwierdził Felix. — To już piętrowa afera.

— Stokrotka sam powiedział, że od tego roku jest tylko zastępcą dyrektora — przypomniała Nika.

— To powiedział Wąs, Stokrotka nie zaprzeczył. Ale to nieistotne. — Felix potarł w zamyśleniu ucho. — A może… może to jest zwykła pomyłka, nieporozumienie. Jeśli nie otworzyli tego listu, to nie wiedzą, że to Wąs ma być zastępcą. Tylko to nie ma sensu, bo wszystko musiało być ustalone wcześniej. Rada Nadzorcza kontaktowała się z Wąsem i on musiał wiedzieć, na jakie stanowisko jest zatrudniany.

— Jeśli używają takiego adresu korespondencyjnego, to nie mieszkają w Warszawie — powiedziała Nika. — Albo i nie w Polsce.

— Czyli wszystko szło przez internet.

— A Stokrotka siadał do internetu tylko w swoim gabinecie — powiedział Net. Wzruszył ramionami i dodał — no co? Kiedyś tam zerknąłem na logi jego konta. Wszystkie połączenia były z kompa na biurku.

— Myślicie, że Wąs się włamał? — zapytała z niedowierzaniem Nika. — Że się włamał do komputera Stokrotki i skasował wiadomości od Rady?

— Włamanie to dużo powiedziane — wyjaśnił Net. — Stokrotka nauczył się zmieniać hasło raz w tygodniu, wiecie, niby dla bezpieczeństwa, ale zapisywał je na kartce przyklejonej do monitora. Eftep ze złośliwości zmienił hasło do strony szkolnej, ale nie do poczty. Czyli przez całe wakacje każdy, kto usiadł przed kompem Stokrotki, mógł czytać i kasować jego pocztę.

Zrobiło się jeszcze ciemniej. Przyjaciele dopiero po chwili dostrzegli stojące w otwartych drzwiach postacie. Dwóch chłopaków, na oko dwudziestoletnich, na wyczucie lokalsów. Jeden palił papierosa.

Net odruchowo wepchnął list do koperty.

— Kłopoty… — Zerknął przez ramię, czy z hallu nie ma innego wyjścia. Nie było.

— Chodźmy stąd. — Nika ruszyła pierwsza w stronę drzwi.

— Może by tak… — Net spojrzał w stronę schodów.

— Idziemy — szepnął Felix i podążył za Niką.

Lokalsi nie zamierzali się ruszyć z miejsca. Byli wyżsi o głowę nawet od Neta.

— Przepraszam. — Nika zatrzymała się. — Chcieliśmy przejść.

— Chcieliście? — zapytał ten z papierosem. — Czyli już nie chcecie.

Nika spróbowała się przecisnąć między nimi.

— Nie bądź taka szybka, lala. — Ten bez papierosa chwycił ją za ramię

i przesunął jak piórko obok skrzynek na listy.

Felix ruszył w jego stronę, ale Net chwycił go za rękaw.

— Kasa jest najważniejsza — rzucił teatralnie przyciszonym głosem. — Sam mówiłeś.

— Co…? — Felix spojrzał na niego, nie rozumiejąc, o co chodzi.

— No, forsa. — Net wolno przesuwał się w stronę drzwi. — Od starej… yyy… Wierszewskiej.

— Miałeś nie mówić! — skarciła go Nika.

— O jakiej forsie gadacie? — W oczach tego z papierosem pojawił się błysk zainteresowania. — Mów, kudłaty!

— Kudłaty? — Net dotknął fryzury. — Kudłaty, to chyba jak są kręcone…

— Sam kręcisz, debilu. Ciuras, sprawdź.

Drugi chłopak zaczął obmacywać kieszenie Niki.

— Łapy przy sobie! — Zasłoniła się torbą. — Jesteśmy… młodzieżowym gangiem okradającym emerytów metodą „na wnuczka”.

Ciuras otworzył jej torbę, odszukał portfel i z rozczarowaniem znalazł w nim jedynie kilka dziesięciogroszówek.

— Ona nic nie ma, Bolo.

— A tu nikt nie mieszka. — Bolo wypuścił papierosowy dym w twarz Neta. — Młodzieżowy gang wnuczków-jełopów.

— Słabo sprawdzaliście, bo stara… *ekhm*, *ekhm* — Net zakaszlał i palcem wskazał w górę. — Stara Wierszewska nie była okradana już od trzech miesięcy. — Wykorzystując, że tamten patrzy w sufit, prześlizgnął się na zewnątrz. — Od trzech miesięcy! To poważne zaniedbanie.

Lokals od niechcenia złapał go za plecak i przyciągnął do siebie.

— Nie oddawaj mu kasy! — krzyknęła za środka kamienicy Nika.

— Znajdźcie sobie własną staruszkę — dorzucił Felix.

— Ale tu nikt nie mieszka — powtórzył zdezorientowany Bolo.

— Stara ma Alzheimera i myśli, że wciąż trwa wojna. — Net wysunął jedno ramię z szelki plecaka. — Siedzi cicho i nikomu nie otwiera.

— Nikomu, z wyjątkiem „wnuczka”. — Felix stał nieruchomo. Starcie z którymkolwiek z lokalsów było skazane na porażkę, choć teraz mógłby się między nimi przedrzeć, zajęci byli trzymaniem Niki i Neta. Nie chciał jednak tego robić.

Uścisk na ramieniu Niki zelżał. Wciąż jednak szansa na ucieczkę była

nikła.

— Możemy się z wami dzielić zyskami — zaproponowała.

— Od trzech miesięcy, mówisz? — Bolo znów spojrzał w górę.

— Od trzech. — Net wysunął drugie ramię i odskoczył kilka kroków. Potrząsnął kopertą. — Kumulacja.

Lokals spojrzał na plecak w dłoni, potem na kopertę i wyszczerzył w złości zęby.

— Ciuras! — Rzucił plecak i ruszył biegiem za Netem.

Net nie czekał ani chwili. Puścił się pędem wprost przed siebie. Ciuras stracił zainteresowanie Niką i dołączył do pogoni.

— Gońmy ich! — Dziewczyna wybiegła z kamienicy.

— Nie! — Felix podniósł plecak przyjaciela. — Jeżeli ich dogonimy, wrócimy do punktu wyjścia. — Wyjął telefon i uruchomił Net.com. — Manfred…?

— *Tak, widzę to na kamerze monitoringu na ulicy* — dobiegło z telefonu. — *Musi wytrzymać czterdzieści pięć sekund.*

Ruszyli szybkim krokiem w ślad za tamtymi.

— *Rysopisy tych dwóch odpowiadają rysopisom złodziei rowerów mojej bazy danych.*

— Sprytny plan — przytaknął Felix.

— *Naprawdę odpowiadają.*

Z oddali dobiegł dźwięk syreny policyjnej. Zaraz ucichła, ale zza zakrętu wyjechał szary Fiat Tipo z małą niebieską lampą przyczepioną magnesem do dachu. Nieoznakowany radiowóz. Przemknął obok, wyminął autobus i z piskiem opon zniknął za zakrętem. Szybkim krokiem podążyli w tamtym kierunku.

— Dla bezpieczeństwa zgarniają z ulic szumowiny — powiedział Felix.

— Dla bezpieczeństwa? — Nika spojrzała na niego pytająco.

— Prewencyjnie. Coś się szykuje i w razie czego chcą mieć takich typków pod kontrolą.

Znaleźli Neta siedzącego na murku starego ogrodzenia pod wielkim kasztanem. Pochylał się z rękoma opartymi na kolanach. Już złapał oddech, ale jeszcze nie doszedł do siebie.

— Net! — Nika podbiegła do niego, zaniepokojona.

— Podziękuję Cyborkowi za te treningi, które nam urządzał w zeszłym roku. — Wstał i spojrzał na Nikę. — Jesteś zła?

— Co ty?! — Objęła go. — To było bardzo sprytne. Baliśmy się, że cię dogonią.

Net wziął swój plecak i zajrzał do środka.

— Było blisko, ale oni nie mieli kondycji. — Wyciągnął pomarańczowy pendrive z naklejonym wykrzyknikiem i uśmiechnął się z ulgą. — Ten większy nawet nie wypluł papierosa. Przebiegłem przez ulicę, a oni za mną. Przypadkiem przejeżdżała policja i ich zgarnęli. Ja się schowałem. Luz, więcej ich nie spotkamy.

Felix i Nika spojrzeli na siebie, ale nic nie powiedzieli.

— Lepiej pomyślmy, co z tym zrobimy. — Nika zmieniła temat.

— Nie pójdziemy do Wąsa i nie powiemy mu o wszystkim, bo on to wszystko przecież wie — stwierdził Felix. — Tylko byśmy go ostrzegli.

— Może jakieś kuratorium, czy coś? — zasugerował Net. — No przecież nie będziemy pisać do Rady Nadzorczej.

— Przeczytaliby to za pół roku — zgodził się Felix. — Prościej byłoby list od razu wrzucić do tamtej skrzynki.

Net wyjął telefon.

— Manf… — przerwał w pół słowa i dokończył ciszej — zapiszę sobie w nawigacji ten rejon jako niebezpieczny. Tak na trzy lata. Potem zapomną.

Chwilę dotykał ekranu.

Felix popatrzył na Neta uważnie i wyjął swój telefon.

— Manfred — powiedział. — Sprawdź, komu podlega nasza szkoła. Kuratorium? Ministerstwu Edukacji?

Net niby przypadkiem odszedł dwa kroki z nosem w smartfonie.

— *To szkoła prywatna* — powiedział Manfred z telefonu Felixa. — *Kuratorium pilnuje programu nauczania i zasad. Nie wtrąca się w to, kto jest dyrektorem.*

Zapadło milczenie.

— Znamy kogoś, kto będzie wiedział, co zrobić — powiedziała Nika. — Manfred, pomożesz nam znaleźć pewien prywatny adres?

* * *

Pan Sylwester, stróż nocny, nosił spodnie, jakie czasem z niewiadomych powodów noszą starsi panowie, takie z paskiem niemal pod pachami. W połączeniu z wydatnym brzuszkiem mógł trochę przypominać

komiksowego Obeliksa. Na szczęście żaden z uczniów nie wpadł jeszcze na to, by zacząć go tak przezywać. Po pierwsze dlatego, że nie mieli wielu okazji, by widywać stróża nocnego, a po drugie pan Sylwester nie był siłaczem.

— A jeżeli ktoś będzie chciał znaleźć jakiś adres, czy coś? — zapytał, patrząc na regały z segregatorami w sekretariacie.

— O to niech się pan nie martwi. — Wąs wsunął dłonie do kieszeni. — Wszystko jest opisane.

— To będzie przecież niewygodnie tak chodzić po każdą karteczkę.

— Nie zaprosiłem pana tutaj na konsultacje. — Dyrektor popatrzył na niego z irytacją. — Ma pan te segregatory zanieść na strych i nic więcej.

— Wszystkie? — Stróż przygarbił się pod ciężarem samej perspektywy tachania papierów po schodach. — To zajmie pół nocy.

— Zatem niech pan zaczyna od razu.

Wąs, nie czekając na dalsze marudzenie, wszedł do gabinetu i zamknął drzwi. Tak naprawdę ani trochę go nie interesowało, w jaki sposób ktoś kiedyś będzie się dogrzebywał do odpowiednich dokumentów. To problem jego następcy, bo sam Wąs nie zabawi tutaj dłużej niż do końca semestru. Zostawi firmę, to znaczy szkołę, w stanie rozkwitu i w chwale wjedzie windą na trzydzieste piętro któregoś z korporacyjnych wieżowców w Centrum Warszawy, gdzie jego kariera nabierze wreszcie tempa. Warto się przemęczyć tych kilka miesięcy.

Z korytarza dobiegło skrzypienie kółek wózka z segregatorami. Wąs wyświetlił na ekranie podgląd z monitoringu szkolnego. Stróż nocny wolno pchał wyładowany wózek w stronę schodów. Pozbycie się papierowej dokumentacji miało tę niezaprzeczalną zaletę, że praktycznie nikt nie będzie mógł niczego sprawdzić bez dostępu do szkolnej bazy danych. A dostęp przyznawał sam Wąs.

Uruchomił e-dziennik i przejrzał raporty z całego dnia. Nauczyciele nie ze wszystkim sobie poradzili, ale większości udało się już nawet postawić pierwsze oceny. Zgodnie z wczorajszymi instrukcjami były to oceny mocno przeciętne, co dawało średnią dla całej szkoły poniżej trzech i pół. Uśmiechnął się, bo dokładnie tego się spodziewał. Wszedł w tryb edycji i w kilka minut losowym uczniom podniósł oceny z losowych przedmiotów. Nieznacznie, tak o stopień lub trochę więcej, a średnia szkoły od razu skoczyła powyżej czwórki. Wszystko działało perfekcyjnie, choć oczywiście

proces trzeba będzie powtarzać wiele razy. W ten sposób małymi kroczkami do lutego średnia przekroczy pięć i pozostanie odtrąbić sukces jego nowatorskiej metody nauczania.

Odsłuchał jeszcze kilka zapisów z e-spy. Nie było tam nic zaskakującego, nauczyciele narzekali na zmiany. Niech sobie narzekają, byle nie szykowali żadnego buntu. A buntu nie będzie, bo oni wszyscy liczą na premie. O braku premii dowiedzą się już od jego następcy. To zupełnie nieistotne, bo motywująco działa nie sama premia, lecz jej obietnica. A obietnica przecież nic nie kosztuje.

Już miał wyłączyć komputer, gdy przyszedł nowy e-mail. Z ministerstwa, czyli ważny. Otworzył go i westchnął. Instrukcje postępowania w warunkach zagrożenia terrorystycznego. Przeleciał pobieżnie kolejne punkty. Dodatkowa robota i niepotrzebne zamieszanie.

— Jeszcze tego brakuje, żeby mi się tu antyterroryści szwendali po firmie — mruknął. — To znaczy po szkole.

* * *

Komandosi w kevlarowych zbrojach groźnie patrzyli spod przyłbic hełmów napakowanych elektroniką. W dłoniach dzierżyli karabiny, które wyglądały na tak ciężkie, że wręcz niemożliwe do uniesienia przez zwykłego człowieka. Dodatkowo obciążały ich noktowizory, radiostacje i ładownice z granatami i minami przeciwpancernymi. Jeden, ten największy, choć wcale nie najwyższy stopniem, karabin miał przewieszony przez ramię, a w mocarnych dłoniach trzymał piłę spalinową. Za nim stał niższy i grubszy, z wielkim toporem w dłoni. Opierał się o błotnik transportera opancerzonego na szerokich gąsienicach, który celował przed siebie potężną armatą. Kaliber miała tak wielki, że strzelała chyba kulami armatnimi, takimi wprost ze średniowiecza. Obraz całości psuła tylko przekrzywiona antena na wieży. To przez listonosza, który zadzwonił, nim zasechł klej.

Magister inżynier Juliusz Stokrotka szczypcami numer pięć chwycił antenę, obruszał ją i oderwał od modelu. Przyjrzał jej się przez nałożoną na okulary lupkę modelarską. Nie zauważył żadnych uszkodzeń, wystarczy przykleić i tym razem przytrzymać, aż wyschnie.

Odłożył szczypce numer pięć do pudełeczka wyłożonego zielonym pluszem. Zamiast nich wziął szczypce numer trzy, cieńsze i bardziej

szpiczaste, chwycił nimi antenę i umoczył w kleju. Przyłożył w odpowiednim miejscu wieży i zamarł bez ruchu, opierając łokieć o stosik książek. Wystarczy minuta cierpliwości. To dobre do trenowania dyscypliny umysłu, choć… w sumie po co, skoro już nie jest dyrektorem i nie ma komu imponować ani na kim wywierać wrażenia.

Zadzwonił domofon.

Stokrotka westchnął ciężko i spojrzał w stronę drzwi, potem na antenę i znów na drzwi. Westchnął jeszcze raz, podmuchał na klej, odłożył szczypce i podszedł do domofonu.

— Słucham?

— *Dzień dobry, panie dyrektorze* — rozległ się dziewczęcy głos. — *Tu Felix, Net i Nika. Musimy z panem porozmawiać.*

* * *

— *Panie dyrektorze!* — rozległo się tuż za drzwiami.

Dyrektor wstał i podszedł do nich. Otworzył, już wiedząc, kogo się spodziewać po drugiej stronie.

— Co znowu? — zapytał z nieskrywaną irytacją.

Pan Małpisiak wślizgnął się do gabinetu i znów stanął dwa kroki od wejścia.

— Bo to z tymi czekoladowymi owocami to nie przeszło. — Rozłożył dłonie tak skromnie, nie za szeroko. — Chemiczka zagroziła, że wezwie kontrolę. Mówiła coś o tłuszczach utwardzonych i syropie skrobiowym, że od tego wszyscy utyją i dostaną cukrzycy.

— Poważnie? — zaniepokoił się dyrektor.

— Tak, ale to dopiero po paru latach, jak już skończą szkołę.

— A, czyli nie nasze zmartwienie.

— No właśnie. Ale musiałem przez to zrobić przecenę, no i w sumie to strata mi wyszła. Może gdyby pan z nią pogadał… Z chemiczką. Gdyby pan z nią pogadał, żeby mi się odstosunkowała od asortymentu…

Dyrektor westchnął. Jak się nie przyczepi Czartoryska, to się przyczepi Czwartek albo Konstantynopolska. Szkoda energii na rozmowę z nimi, oni nie potrafią się układać, są jacyś upośledzeni z tymi swoimi zasadami moralnymi. Nie, szkoda czasu, są ważniejsze sprawy.

— Tuż obok szkoły jest sklep — ciągnął coraz bardziej przygarbiony pan

Małpisiak. — Te małe potwory kupują tam wszystko, czego ja im nie mogę sprzedawać.

— A co ja na to mogę poradzić? — Wąs wzruszył ramionami. — Przecież nie zabronię im wychodzić na przerwę. To liceum, nie podstawówka. Niech pan jakoś inaczej zachęci dzieciaki. — Dyrektor zamachał dłonią, jakby chciał wydobyć z umysłu dobry pomysł. — Może niech pan dosypuje cukier do kefiru, to im będzie bardziej smakowało. I będą kupować u pana. Cukier jest tani, a napis na opakowaniu się od tego nie zmieni, więc nikt się nie dowie. Albo jabłka niech pan sprzedaje po dziesięć złotych sztuka, a do tego batonik gratis. Rozdawać wolno. Ja mam pana uczyć, jak się robi biznes?

Poklepał go w ramię na tyle mocno, że sklepikarz, by złapać równowagę, musiał zrobić kilka kroków, które zaprowadziły go do sekretariatu. Wąs zamknął za nim drzwi.

— Co za osioł…

Usiadł za biurkiem i powrócił do czytania zaleceń dotyczących bezpieczeństwa. Były tam same ogólniki, ale na końcu znalazło się kilka linków prowadzących do stron firm zajmujących się bezpieczeństwem. Kliknął w pierwszy od góry i uśmiechnął się, widząc nagłówek „Systemy kontroli dostępu”, co w uproszczeniu oznaczało możliwość utrudnienia wchodzenia i wychodzenia ze szkoły. Zabronić tego nie mógł, to wiedział z regulaminu, ale o utrudnianiu nie było ani słowa. Zyski sklepikarza go nie obchodziły, przynajmniej dopóki tamten płacił czynsz. Chodziło o co innego – odkąd zakazał używania telefonów nawet na przerwach, uczniowie wychodzili przed szkołę, żeby gdzieś zadzwonić lub pogrzebać w internecie. System kontroli dostępu położy temu kres, wszyscy będą non stop myśleć o nauce, a średnia ocen poszybuje w górę.

Przejrzał dokładniej ofertę. Była tam opcja darmowego montażu systemu kontroli dostępu. Darmowego? W dzisiejszych czasach? Aha, nie, już wszystko jasne – montaż systemu jest darmowy, ale sam system już nie.

Z drugiej strony nie jest też taki drogi, a montaż zajmuje ledwie kilka godzin.

— Nawet osioł może się na coś przydać — mruknął i zaczął pisać e-mail z zamówieniem.

Cierpliwości, CV rośnie powoli.

* * *

— Zastanawialiście się kiedykolwiek, gdzie mieszka dyrektor szkoły? — zapytał Net. — Zupełnie jakby wychodził ze szkoły i znikał. Albo jakby czekał gdzieś za rogiem na następny dzień. Jakby po ostatniej lekcji przechodził w tryb czuwania. Jak laptop. A tu, patrzcie, takie coś.

Salon wypełniały gablotki i półki z modelami na różnym etapie wykończenia. Czołgi, transportery, pojazdy latające, budynki, figurki żołnierzy wielu armii w wielu różnych malowaniach, to szło w setki. Przeważał Warhammer 40000, ale dało się też dostrzec sporo pojazdów i figurek z innych systemów gierczanych. O ścianę stały oparte wielkie plansze do gry, był też mały stosik nieotwartych jeszcze pudełek.

Przyjaciele oglądali misternie pomalowane modele, starając się na nie nawet nie chuchać, żeby nie uszkodzić. Dbałość o detale robiła wielkie wrażenie, kilkucentymetrowi żołnierze mieli różne kolory oczu, a twarze tych bardziej doświadczonych szpeciły blizny.

— To jest warte majątek — ocenił Net. — Za dobrze pomalowaną figurkę kolekcjonerzy potrafią dać kilka stów.

Dyrektor mieszkał na Lwowskiej w nieźle utrzymanej secesyjnej kamienicy. Kondygnacje miały tu wysokość chyba czterech metrów, klepka trzeszczała przedwojennie.

Nika usiadła na kanapie tak starej, że aż zajęczały sprężyny. Obok stała rozstawiona deska do prasowania.

— Każda dzielnica Warszawy ma inny klimat — zauważyła.

— Bo w inne dni wywożą śmieci. — Net pochylił się nad transporterem piechoty kosmicznej. — Wtorki na Woli bywają trudne.

Transporter wyglądał naprawdę nieźle, tylko przekrzywiona antena psuła odrobinę efekt. Ale to można poprawić. Net dotknął jej palcem i delikatnie popchnął. Antena wyprostowała się, po czym z cichym pyknięciem odpadła.

— Oj… — Net zesztywniał i natychmiast znalazł się przy oknie, byle dalej od miejsca zdarzenia. W dole samochody zaparkowane pod kątem czterdziestu pięciu stopni tarasowały i ulicę, i chodnik. Ciężarówka zygzakowała, zygzakowały mamy z wózkami.

— Każda inna, wybaczcie. — Stokrotka wszedł do salonu z tacą, na której stały cztery filiżanki. Rzeczywiście każda była inna, ale też i każda ładna na inny sposób. Stara dobra porcelana, resztki nieistniejących

przedwojennych serwisów.

Filiżanki wylądowały na stoliku między figurkami i modelami helikopterów. Centralne miejsce zajęła srebrna cukiernica. Z jej usług skorzystał tylko Net. Trzy kostki.

— Miło was widzieć. — Stokrotka uśmiechnął się. — Chociaż sprawiliście mi chyba najwięcej kłopotów ze wszystkich uczniów, których pamiętam. Ale to już nieważne. Od kilku dni jestem emerytem.

— No więc właśnie niekoniecznie — zaczął Net.

— Dlatego przyszliśmy do pana — dodała Nika. — To znaczy… jeśli pan chce być na emeryturze…

— Nie! — Stokrotka aż podskoczył. — To jest moje hobby, te figurki. Po pracy. Nie zamiast pracy. Prawdę mówiąc, to nie wiem, gdzie iść, co z sobą zrobić przez cały dzień. Klejenie przez więcej niż godzinę dziennie sprawia, że trzęsą mi się ręce. Bo nie robię niczego pożytecznego. To jest… wiecie, nieznośne, kiedy hobby staje się całym życiem. Zaraz znienawidzę to hobby i nic mi już nie zostanie.

Przyjaciele patrzyli na niego z przejęciem.

— To się świetnie składa — odezwał się Net. — Znaczy… nie to chciałem powiedzieć. Modele fajne, jasne, ale był taki list, że to hobby znów będzie hobby. A za tę antenę to przepraszam…

— Cały czas jest pan dyrektorem szkoły — wyjaśniła Nika. — Rada Nadzorcza przysłała Romualda Wąsa na stanowisko zastępcy dyrektora do spraw przekształcenia gimnazjum w liceum. Tylko tym miał się zajmować. To jakieś wielkie nieporozumienie, że on został uznany za nowego dyrektora.

— Manipulacja, nie nieporozumienie — dodał Felix. — Prawdopodobnie mamy do czynienia z manipulacją.

Stokrotka patrzył na nich szeroko otwartymi oczami.

— Zdajecie sobie sprawę z tego, że to poważne oskarżenie? — zapytał po dłuższej chwili.

— Nikogo nie oskarżamy. Mamy podejrzenia.

— Uzasadnione — dodał Net.

— Kontakt z Radą Nadzorczą jest utrudniony — powiedział dyrektor.

— Zauważyliśmy — przytaknęła Nika i ugryzła się w język. Trudno się jej było przyznać, że ukradli korespondencję z sekretariatu. Wprawdzie ukradł konkretnie Net, ale byli przecież superpaczką, więc…

— Nigdy ich nie spotkałem — ciągnął dyrektor. — Kontaktujemy się

wyłącznie listownie. Kiedy rozpoczynałem moją pracę… moją misję, lata temu, też wszystko odbyło się listownie. Skąd macie takie informacje?

— No właśnie chyba z nie do końca takich… — Net skrzywił się i z wysiłku intelektualnego aż siorbnął herbatę. — No z takich nie do końca oficjalnych źródeł. To znaczy źródła były oficjalne, ale metody pozyskania takie, powiedziałbym, bardziej na pograniczu. A nawet trochę za granicą.

— Mamy list od Rady Nadzorczej — przerwała mu Nika. — Jest w nim jasno napisane, że pan Wąs ma być pana zastępcą. I to tylko na pół roku.

— A potem wypad! — dorzucił Net. — Razem z nauczycielami, których zatrudnił.

— Agata Zasadowska jest akurat fajna.

— Ją oszczędzimy. A reszta… jednoosobowa reszta *out*!

— Mogę zobaczyć ten list? — zapytał Stokrotka.

— Oczywiście. — Nika spojrzała wyczekująco na Neta.

Net nie poruszył się, tylko zesztywniał i zmarszczył brwi.

— To był element zmyłki — powiedział wolno. — No wiecie, gonili mnie, Bolo i Ciuras, bo myśleli, że w kopercie jest kaska tej nieistniejącej staruszki Eftepowej. No to jak się niebezpiecznie zbliżyli, to im rzuciłem tę kopertę.

— Troszkę się pogubiłem — wyznał Stokrotka.

— Oddałeś im ten list? — zapytała z niedowierzaniem Nika.

— Treść na pewno ich rozczarowała — wyjaśnił Net. — Ale ja mogę zawsze zaświadczyć, co było w liście.

— Zrobiłeś zdjęcie? — zapytał Felix.

— Proszę cię! — prychnął Net. — Przecież to są takie elementarne zasady… — zastanowił się chwilę. — A wiesz, że w sumie to nie zrobiłem… No ale przecież wszyscy widzieliśmy, co tam było napisane.

Felix przejechał dłonią po twarzy i pokręcił głową z rezygnacją. Nika wbiła wzrok w podłogę. Zapadło milczenie.

— Może, jak tam wrócimy, to będzie leżał… — odezwał się Net, ale nawet nie dokończył.

— Musi nam pan uwierzyć. — Nika spojrzała na dyrektora z determinacją. — Widzieliśmy ten dokument.

Stokrotka siedział z filiżanką w dłoniach i patrzył w podłogę.

— Nie dostałem żadnego pisma, w którym Rada wprost napisała, że mam zająć stanowisko zastępcy — powiedział. — Przyszła tylko informacja, że

pracę rozpocznie nowy dyrektor. Wąs pokazał mi e-mail od Rady, według którego to on ma być dyrektorem, a ja wicedyrektorem.

— Sfałszował e-maila! — wykrzyknął Net. — Ta cała Rada nie zauważyła jeszcze, że wynaleziono internet.

— Nawet nie pomyślałem o tym, że on może kłamać — przyznał Stokrotka. — Może nie kłamał? Może też opacznie zrozumiał korespondencję.

— W tym liście było napisane jednoznacznie, że on ma być wicedyrektorem — zaznaczyła Nika.

— On go nie przeczytał — zauważył Felix. — Koperta była zamknięta.

— I nie przeczyta, bo list lata sobie gdzieś po Woli.

— I co? I znów wszystko na mnie? — Net zmarszczył brwi. — Gdybym nie przygarnął tego listu, tobyśmy o niczym nie wiedzieli.

— Porozmawiam z Wąsem. — Stokrotka wstał i spojrzał na zegar ścienny. — Ale to jutro. Jutro rano z nim porozmawiam.

* * *

Felix znów do późna w nocy siedział w piżamie i grzebał w internecie, próbując się dowiedzieć, co łączy pracę jego taty z międzynarodowym terroryzmem, a konkretnie z Rahmanasem. W brudnopisie, który był jego najważniejszym zeszytem, przeznaczył dwie kartki na temat, któremu nadał kryptonim „Równowaga chwiejna”. Na razie niewiele zapisał, bo jedynie podpatrzony w notesie taty ciąg liczb: 100, 120, 150, 500, 0911, 1859. Sprawdził, że w tysiąc osiemset pięćdziesiątym dziewiątym roku nie wydarzyło się nic, co by się kojarzyło z tematem. Może z wyjątkiem silnej burzy słonecznej, choć z tego również nic nie wynikało. Zresztą Felix nie wiedział nawet, czy te liczby to są lata, czy odległości, czy pojemności, czy cokolwiek innego. Wpisywanie tych liczb w wyszukiwarki internetowe niczego nie wyjaśniało. Jedyne punkty zaczepienia to były misje badawcze wysłane w kierunku Słońca. Ale nawet w ich przypadku samo zrozumienie opisów sprawiało kłopot.

Postanowił poradzić się w tej sprawie Manfreda.

— *Rzeczywiście cele misji są opisane bardzo ogólnikowo i w sposób, który przeciętny człowiek nazwałby naukowym bełkotem* — przyznał Manfred.

— A ty jak byś go nazwał?

— *Opis ma sens. Użyto w nim jedynie zbyt wielu trudnych słów i skomplikowanych sformułowań.*

— To nie jest podejrzane? Opisy pozostałych misji są zrozumiałe dla wszystkich.

— *Nie potrafię tego ocenić. Specjaliści zrozumieją, o co chodzi. Wydaje mi się, że przeciętnemu człowiekowi wystarczy informacja, że pięć sond leci badać Słońce.*

— Pięć? — upewnił się Felix. — Znalazłem informacje o dwóch amerykańskich, jednej europejskiej i jednej chińskiej. To razem cztery. Wszystkie wystartowały w lutym tego roku.

— *Piąta jest też amerykańska. Sonda* Far Diver *wystartowała pięć lat temu.*

— Zaraz, zaraz. *Far Diver* miał badać Europę, księżyc Jowisza. To pamiętam.

— *Cel misji został zmieniony.* Far Diver *leci w kierunku Słońca.*

Felix wsunął się głębiej w fotel i potarł skronie. Czuł narastającą senność.

— *Far Diver* miał badać lodowy księżyc — powiedział wolno. — Lodowy, czyli zimny. A teraz ma badać gorącą gwiazdę. To nie ma sensu. Do tego potrzebne są inne przyrządy… jak sądzę. Możesz wyszukać informacje o konstrukcji tej sondy?

Na ekranie laptopa zaczęły przelatywać kolejne obrazki. Działo się to tak szybko, że Felix nawet nie próbował czegokolwiek rozpoznać. Zamknął oczy, opadła mu głowa. Ocknął się, gdy wyświetliła się animacja przedstawiająca lądowanie na białym globie. Manfred pełnił rolę narratora:

— *Jeżeli gdzieś w Układzie Słonecznym istnieje życie, oczywiście poza Ziemią, to największe szanse na jego znalezienie są na Europie. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku sonda Galileo pod pokrywą lodową wykryła ocean płynnej wody. Drugim rozważanym celem misji był Enceladus, księżyc Saturna.*

Felix już nie słuchał. Pochrapywał w odchylonym fotelu.

* * *

Nika od kwadransa stała pod prysznicem i myła włosy nowym szamponem. Robiła to niemal z nabożeństwem. Właściwie to nie pamiętała,

kiedy miała tak dobry szampon, który tak cudownie pachniał. A została jeszcze odżywka!

Te drobne przyjemności pozwalały choć na chwilę zapomnieć o problemach codzienności.

Takich, jak zawartość koperty bez znaczka.

9. Miliard dolarów w błoto

Trzy dni i pięć godzin do…

Pół godziny przed pierwszym dzwonkiem stróż nocny wychodził, a jego miejsce zajmował portier, pan Brudnica. Żaden z nich nie należał do ludzi rozmownych czy towarzyskich, a jednak różnica między nimi była zasadnicza, bo tylko pana Sylwestra można było określić mianem życzliwego. Pech chciał, że jako stróż nocny nie miał zbyt wielu okazji do okazywania tej życzliwości. Wydawać by się mogło, że najlepszy pomysł, to zamienić im godziny pracy. Cóż, jakoś nikt nigdy o tym nie pomyślał.

W ostatniej minucie panowania Sylwestra dyrektor magister inżynier Juliusz Stokrotka w granatowym garniturze, tym przeznaczonym do poważnych rozmów, przekroczył próg szkoły. Przekroczył próg i zatrzymał się od razu, natrafił bowiem na nieoczekiwaną przeszkodę. Stał przed bramką przypominającą urządzenia, które można spotkać na stacjach metra lub w strzeżonych biurowcach.

— A to co? — Zamrugał.

— W nocy przyjechali i zamontowali — odparł zbierający się właśnie do wyjścia Sylwester. — Dzień dobry panie dyrektorze. Zabezpieczenie takie, żeby nikt obcy nie wszedł. — Wyjął z kieszeni kartę i przyłożył do czytnika na bramce. — O, a tak się wpuszcza.

Bramka się otworzyła i Stokrotka wszedł do środka.

— I wszyscy uczniowie dostaną takie karty? — zapytał.

— Połowa je pogubi, połowa zepsuje — rzucił od drzwi pan Brudnica. — Tylko roboty więcej przez to.

— Dzień dobry — odpowiedział z opóźnieniem Stokrotka.

Tamten mruknął coś w odpowiedzi, własną kartą otworzył bramkę i odszedł w kierunku recepcji. Jakkolwiek niesympatyczny był portier, nie sposób było się z nim nie zgodzić. Wydanie karty dostępu kilkuset roztrzepanym gimnazjalistom… to znaczy licealistom, było receptą na chaos.

— Dali mi smycz, żebym to nosił na szyi. — Pan Sylwester wyszedł przez bramkę. — Nie będę nosił. Smycze to są dla psów. Do widzenia, panie dyrektorze. Dobrze, że pan wrócił.

— Do widzenia… — Stokrotka odruchowo chciał zaprzeczyć, przypomnieć, że już nie jest dyrektorem. Ale przecież właśnie w tej sprawie tu przyszedł! Jak człowiek szybko przyzwyczaja się do emerytury…

Pokręcił głową i ruszył w stronę gabinetu. Na podłodze leżało sporo papierów, ale nie zwracał na to uwagi. Zamierzał zerknąć na ostatnią korespondencję, zanim przyjdzie Wąs.

Rozczarowanie nadeszło bardzo szybko – klucz nie pasował do zamka. Zatem nowy dyrektor zabrał się do zmian na poważnie.

Stokrotka oparł się o parapet po przeciwnej stronie korytarza. Powtarzał sobie w myślach początek planowanej rozmowy z Wąsem. Lektura *Podręcznika naturalnego przywódcy* przydała się po raz kolejny, a szczególnie rozdział *Zdobywanie przewagi podczas konwersacji*.

Dziwne uczucie czekać jak petent pod drzwiami własnego gabinetu.

* * *

Przed wejściem do szkoły kłębił się tłumek uczniów. Wchodzenie do środka odbywało się bardzo wolno, choć drzwi pozostawały otwarte na oścież. Przyjaciele odszukali się blisko końca bezładnej kolejki.

— Ciekawe, jak w tej sytuacji odnajdzie się moralnie Próbówka — zastanowił się Net. — Mamy siedem minut, ale przed wejściem powstrzymują nas czynniki obiektywne.

— Ona nie uznaje czynników obiektywnych — przypomniała Nika.

— Luz, ostatnio, jak weszliśmy w połowie lekcji, dostaliśmy tylko spóźnienie — zbagatelizował Net. — Z geografią jest gorzej. Konstancja ma nam jutro zrobić test z wiedzy o Ameryce Południowej.

— Jak cię znam, to nawet nie zajrzałeś do podręcznika.

— To przecież jest nudne jak nachosy z serem. Jedzenie, właśnie!

— Wyjął z plecaka torebkę z kanapkami i podał przyjaciółce. — Znów mi zrobiła cztery. No nie przeżrę tego przecież.

— Dzięki :)

— Spóźniony tramwaj to też czynnik obiektywny — zauważył Felix. — Cokolwiek tam się dzieje — stanął na palcach i spróbował dostrzec coś ponad dziesiątkami głów — w oczach Próbówki nie różni się od spóźnionego tramwaju.

— „Mogłeś wcześniej wyjść z domu” — dodał skrzekliwym głosem Net, choć akurat chemiczka nie miała skrzekliwego głosu. — O, patrz…

Do stolików kawiarni Niezbędne Kalorie przyczepione były karteczki: „Chcesz złożyć zamówienie, wyślij SMS na numer…”. Net wyszczerzył zęby w uśmiechu, wyjął telefon i zaczął pisać: „Trufle w śmietanie z purée z groszku andaluzyjskiego i szampan z kwadratowymi bąbelkami”.

— Przestań… — Nika powstrzymała go, po czym spojrzała na Felixa. — Jak się czuje tata?

— Nawet nie wiem — odparł Felix. — Prawie nie ma go w domu. Dzieje się coś, ale to jest *top top top secret*.

— Ćwiczenia antyterrorystyczne — przytaknął Net.

— To nie ćwiczenia. To coś poważniejszego nawet niż zwykłe zagrożenie zamachem.

Z przodu dobiegł szmer podniesionych głosów. Przez tłum ruszyła przekazywana z ust do ust informacja: „Bez legitymacji nie wpuszczają”.

Net napotkał pytające spojrzenie Felixa.

— Nie patrz tak na mnie! — obruszył się. — Nie zapominam… nie zapomniałem dziś o legitymacji. — Zerknął na telefon. — Pięć minut.

— To jakiś kolejny genialny pomysł Wąsa — ocenił Felix.

Przez ciżbę uczniów przedzierała się ubrana na różowo postać z natapirowanymi blond włosami.

— Ona na pewno nie ma legitymacji — zauważył Net.

Nie było wielkim zaskoczeniem, że pani Halinka jednak weszła do środka.

* * *

— Pan do kogo? — Sekretarka żuła gumę.

Wyrwany z rozmyślań Stokrotka spojrzał na nią. Ona naprawdę

wyglądała jak odmłodzona i odchudzona wersja Helenki.

— Do dyrektora — powiedział. — Na rozmowę.

— Powinien być za kilka minut.

— A mogę zaczekać w środku…? — Wymownie spojrzał na drzwi.

Sekretarka przez chwilę trwała w bezruchu. Nawet przestała żuć.

— Nie — orzekła wreszcie i powróciła do żucia. Otworzyła drzwi i zniknęła w sekretariacie.

Od strony hallu dobiegały odgłosy zamieszania, jakie zawsze robią przychodzący do szkoły uczniowie. Dyrektor znów oparł się o parapet.

Jak petent…

* * *

Dyrektor Wąs przeniknął przez bezładną kolejkę do drzwi wejściowych. Przeniknął – tak to wypadało nazwać. Uczniowie rozstępowali się przed nim jak plankton przed rekinem… przed takim rekinem, który żywi się planktonem. Przepuszczony przez pana Brudnicę przez nowiutką bramkę zabezpieczającą, wszedł do hallu i rozejrzał się z niedowierzaniem. Cały hall i schody zasłane były kartkami ze starych dokumentów.

— Nikomu już nie można ufać — westchnął. — Pani jest tu sprzątaczką, tak? — Spojrzał na wspartą na mopie kilka kroków dalej panią Pumpernikiel. — Co to za syf?

— Syf? — oburzyła się sprzątaczka. — Poprzedni dyrektor wyrażał się o mojej pracy w samych superlewatywach.

Wąs uniósł brwi.

— To musi stąd zniknąć do pierwszego dzwonka. Ma tu być czyś-ciutko.

— Mogę napastować parkiet i adwokaty, ale dokumenty to nie moje korepetycje.

— Adwokaty? — Dyrektor spojrzał na nią pytająco.

— No te drzewo po bokach. — Sprzątaczka mopem wskazała wysokie listwy podłogowe. — Mogę je napastować.

— Napastowanie adwokatów zostawmy na później. Najpierw niech pani pozbiera te dokumenty i wrzuci do pieca w kotłowni.

— Dokumenty?! Do pieca?!

— Tak właśnie. — Dyrektor wycelował w nią palcem. — Może pani to

zrobić w kolejności analfabetycznej.

Nie czekając na głos sprzeciwu, odszedł w kierunku gabinetu.

— Przecież to bez patrzenia widać, że to coś ważnego. — Pani Pumpernikiel podniosła pierwszy leżący u jej stóp papier.

— W tej szkole nie ma kotłowni — zauważył pan Brudnica. — Mamy ogrzewanie z elektrociepłowni. Wymiennik ciepła.

Sprzątaczka wolno czytała trzymany w dłoni naddarty dokument.

— O! — Pokręciła głową. — Moja umowa o pracę.

* * *

— Kolejka do szkoły. — Net pokręcił głową. — Kolejka do szkoły. Ja pierdykam…

Nika zerknęła na telefon, żeby sprawdzić godzinę. W tym samym momencie przez otwarte drzwi dało się słyszeć dzwonek na pierwszą lekcję. To oznaczało nieobecność na chemii, więc może i dalszy spadek średniej ocen. Chyba że Próbówka naprawdę wpisze tylko spóźnienie.

Co pilniejsi i bardziej zdyscyplinowani uczniowie zaczęli się denerwować i drobnymi kroczkami napierać na tych przed sobą. Większość jednak uznała, że skoro szkoła nie pozwala im wejść do środka, jest to wina szkoły, a zatem nie ma się czym przejmować. Niektórzy usiedli na murkach i stopniach, kilka małych grupek w ogóle odpuściło sobie i poszło do parku.

Net chętnie ruszyłby w ślady tych ostatnich, ale ani Felix, ani Nika nie zamierzali wagarować.

— Chciałabym być przy tym, jak się wszystko wyjaśni — powiedziała dziewczyna.

— Załatwią wszystko w gabinecie i po cichu — stwierdził Felix. — Tak się robi politykę.

— I Romuald Samozwaniec wyleci na zbity wąs — dodał Net.

— Nie jestem pewien, czy to pójdzie aż tak łatwo. Stokrotka nie jest człowiekiem czynu.

— Nie strasz mi dziewczyny! — Net objął Nikę i przyciągnął ją do siebie. — On ma wieloletnie doświadczenie w użeraniu się z takimi pomrokami edukacji jak my. Jeszcze przed długą przerwą nastąpi zmiana władzy. Sprawa już praktycznie załatwiona. Koniec problemów. — Odetchnął głęboko świeżym miejskim powietrzem i kaszlnął dwa razy.

— Dziś po szkole nic nie musimy. Mam za to genialny plan. Pójdziemy nad Wisłę i zalegniemy na bulwarach. Musimy podgonić z wyrabianiem normy lenistwa za ostatnie dni.

— Myślisz, że się uda? — Nika uśmiechnęła się do niego z nadzieją.

— Luz. Już to wykreśl z listy swoich zmartwień. Ja stawiam kawę nad Wisłą. — Przycisnął ją mocniej do siebie i zdecydowanie pokiwał głową dla podkreślenia, że wszystko będzie dobrze. — Tak, Stokrotka zgoli Wąsa w minutę.

* * *

— Witaj, mój drogi poprzedniku. — Wąs szeroko rozłożył ramiona, jakby po długiej rozłące witał serdecznego przyjaciela. Jednak gdy się już zbliżył, zamienił ten gest w oszczędne wyciągnięcie ręki.

— Dzień dobry. — Stokrotka uścisnął jego dłoń. — Przepraszam, że zabieram ci czas…

Nie przepraszać, skarcił się w myślach. *Podręcznik naturalnego przywódcy* wyraźnie mówi, że przeprosiny to ostateczność. A przecież trudno mówić o ostateczności, kiedy dopiero się przywitali.

— Ależ nie zabierasz mi czasu. — Wąs otworzył drzwi sekretariatu i gestem zaprosił gościa do środka. — Zawsze możemy porozmawiać. Rozmowa nic nie kosztuje.

Siedząca przed komputerem pani Halinka na widok szefa szybkim ruchem wyjęła z ust gumę i przykleiła ją pod blatem. Wyprostowała się.

Stokrotka wszedł i zatrzymał się na środku pomieszczenia, które teraz wyglądało zupełnie inaczej, niż zapamiętał. Gdyby nawet jego klucz pasował, to i tak niczego by nie zmieniło – w sekretariacie nie pozostał ani jeden papierek, ani jedna teczka, ani jeden segregator. Półki świeciły pustkami, podobnie jak rynienki na korespondencję.

— Co tu się stało? — zapytał zdezorientowany.

— Zmiany, zmiany, zmiany. — Wąs rozłożył ręce. — Nowoczesne zarządzanie to szybkie reagowanie na zmieniające się warunki. Na przykład zabroniłem uczniom używać telefonów na przerwach, żeby poświęcali więcej czasu na naukę. Podziałało, ale na krótko, bo teraz słuchają muzyki i nadal się nie uczą. Ale jestem krok przed nimi. Zamierzam zabronić posiadania słuchawek. Pod pozorem ochrony praw autorskich twórców muzyki.

Sekretarka odwróciła się i spojrzała na puste półki. Leżało tam tylko długie pudełko owinięte w folię.

— O! — powiedziała. — Był ten dobrze zbudowany nauczyciel od fizyki i przyniósł to.

Podała pudełko Wąsowi.

— Fajerwerki? — zapytał. — Po co Czwartek przyniósł fajerwerki?

— Pan Borkowski, nie Czwartek. Ten od fizyki.

— Od wychowania fizycznego. Blisko byłaś.

Sekretarka uśmiechnęła się, biorąc to za pochwałę, i wróciła do klepania w klawisze.

— To na ceremonię otwarcia szkolnego boiska. — Wąs pomachał pudełkiem. Z uśmiechem przyklejonym do ust otworzył drzwi gabinetu i zapraszającym gestem wskazał wnętrze. — Zrób nam dwie kawy, proszę — rzucił przez ramię.

Stokrotka przestąpił próg ze wzruszeniem, którego się po sobie nie spodziewał. Ogarnął spojrzeniem znajome biurko, kanapy i paprotki. Tutaj nic się nie zmieniło.

— Co cię do mnie sprowadza? — Wąs wskazał kanapę. — Siadaj, proszę, mój drogi. Czuj się jak u siebie.

— Poniekąd właśnie o to chodzi. — Stokrotka usiadł. — Dotarła do mnie informacja o liście… — przełknął ślinę — w którym Rada Nadzorcza jasno pisze, że zatrudniła cię na stanowisko zastępcy dyrektora do spraw przekształcenia gimnazjum w liceum. A to by znaczyło –

— Doprawdy? — Wąs już się nie uśmiechał. Odstawił fajerwerki pod biurko. Nie usiadł, włożył za to ręce do kieszeni. — Przyszedłeś tutaj tak z rana, żeby opowiadać żarty?

— To nie są żarty. Brzmienie listu jest jednoznaczne.

— Mogę zobaczyć ten list?

— Niestety nie mam go.

— To jakim cudem znasz jego treść?

Stokrotka nabrał powietrza. Wszystko, co układał sobie w głowie, nagle stało się całkowicie nieadekwatne do sytuacji. Najlepsza linia obrony, według *Podręcznika naturalnego przywódcy*, to atak. Czyli trzeba przejąć inicjatywę i wprowadzić do negocjacji własne zasady.

— Umówiłem się na tę rozmowę w konkretnym celu — oświadczył tak zdecydowanym tonem, na jaki tylko było go stać. To powinno wprowadzić

rozmowę na właściwe tory. Teraz trzeba elokwentnie rozwinąć myśl.

Nie udało się elokwentnie rozwinąć myśli.

— Porozmawialiśmy. — Wąs podszedł do drzwi i położył dłoń na klamce.

— Nie zamierzasz tego wyjaśnić? — Stokrotka automatycznie wstał. — Wystarczy sprawdzić korespondencję z Radą. Na pewno przysłali dokumenty, twoją umowę o pracę.

— Podwyższyło się zagrożenie terrorystyczne. Nie będę grzebał w papierach, kiedy chodzi o bezpieczeństwo szkoły i uczniów. Uczniów i szkoły. — Wąs otworzył drzwi i spojrzał znacząco na Stokrotkę.

Ten oklapł i wyszedł do sekretariatu.

— Oj, zrobiłam dopiero pierwszą kawę — rzuciła sekretarka z parującą filiżanką w dłoni.

— Wystarczy. — Wąs przejął filiżankę. — Nie mamy kubków na wynos.

* * *

Gdy wreszcie dopchali się do wejścia, zauważyli coś bardzo niepasującego do szkoły – bramkę jak z lotniska lub metra.

— Bez legitymacji nie wpuszczają — rzucił ktoś, przepychając się pod prąd.

— Po co ta legitymacja? — zastanowił się Net. — To tylko wydruk, w środku nie ma żadnego chipa. Jak tym otworzyć bramkę?

W ścisku minęli drzwi, gdzie wyjaśniło się, jak działa cały system bezpieczeństwa. Obok bramki stał pan Brudnica i w pliku wydruków sprawdzał imię i nazwisko z legitymacji.

— Taką legitymację to ja mogę sobie wydrukować w domu — mruknął Net. — Zabezpieczenie klasy „sam zdecyduj, czy wolno ci wejść”.

Felix spojrzał na zegarek. Było pięć po, a na zewnątrz zostało jeszcze sporo uczniów.

— Mocno nieprzemyślany system — stwierdził i podetknął portierowi legitymację w sztywnych foliowych okładkach. — Felix Polon, pierwsza C.

Pan Brudnica wertował kartki, aż skinął głową i swoją kartę przyłożył do czytnika. Felix przeszedł.

— Pan nie macha kartkami. — Net podsunął mu swoją wymiętoszoną legitymację. — Ta sama klasa.

Portier bez słowa go wpuścił, a chwilę po nim Nikę. W tym czasie co najmniej trójka uczniów przemknęła niezauważona za jego plecami.

W tle pani Pumpernikiel zbierała z podłogi papiery.

— Po co te zabezpieczenia? — zapytał Felix.

Portier łypnął na niego spod krzaczastych brwi i nie uznał za stosowne zareagować w jakikolwiek inny sposób. Nie wykazywał niezadowolenia z dodatkowego zadania, jakie na niego spadło. Wprost przeciwnie, robił to skrupulatnie, a największą satysfakcję sprawiało mu odsyłanie tych, którzy nie mieli przy sobie legitymacji.

Było prawie dziesięć po, a część uczniów nadal nie dostała się do szkoły. W hallu panowała atmosfera solidarności z osobami na zewnątrz, co objawiało się tym, że nikt, nie licząc największych kujonów, nie szedł do klasy. Nawet Nika nie zerkała w stronę schodów.

— Po co to wszystko? — zapytała. — Jeśli ktoś zapomniał legitymacji, to ma mieć cały dzień nieobecności?

— Jak ich odwożą rodzice, to po co im legitymacja? — poparł ją Net. — Nie capnie ich przecież kanar w tramwaju. Hm… Czy czas teraźniejszy od „capnie” to „capi”? — zastanowił się. — Chyba nie, chociaż zdanie „Kanar capnął capiącego gapowicza” ma pewien sens.

— W regulaminie szkoły jest taki punkt — przypomniał sobie Felix — że każdy ma obowiązek nosić legitymację i tarczę szkolną.

— Tarczę? — Net uniósł brew. — Co to jest?

— To martwy przepis. Ale martwe przepisy mogą się ożywić w najmniej oczekiwanym momencie. — Felix wskazał głową zamieszanie przy bramce. — Chociaż nie wiem po co. Podejrzewam, że dowolny terrorysta, gdyby chciał się dostać do szkoły, toby tę bramkę po prostu przeskoczył.

— I zabił portiera.

— Tylko po co terroryści mieliby napadać na szkołę?

— Żeby zrobić z nas zakładników — powiedziała najzupełniej poważnie Nika.

— Kto by się przejął taką bandą kretynów jak my? — powiedział Net i zauważył coś w głębi korytarza. — O-o.

Przyjaciele powiedli za jego spojrzeniem. Od strony gabinetu dyrektorskiego wolnym krokiem nadchodził magister inżynier Juliusz Stokrotka w garniturze odpowiadającym jego nastrojowi, a nastrój był ciemnogranatowy.

Pan Brudnica zauważył go i odwrócił się w jego stronę.

— Nie ma pana na liście — burknął.

— Zaraz wyjdę — powiedział dyrektor. — Chcę jeszcze chwilę… pobyć w tych murach.

— Nie ma pana na liście. Proszę opuścić obiekt.

— Na jakiej podstawie?

Portier zmierzył go ponurym spojrzeniem i uznał, że nie wygra na argumenty logiczne, a szarpać się z byłym dyrektorem przecież nie będzie. Bez słowa wrócił do sprawdzania legitymacji ostatnich kilkunastu uczniów.

Chwilę później hall zaczął pustoszeć. Stokrotka stał przygaszony i spoglądał na gablotki, na drzwi do patio, na klepkę podłogową. Przyjaciele stali obok i jakoś nie mogli się zmusić, żeby odejść.

Portier zamknął drzwi wejściowe na klucz i wyszedł na zaplecze, skąd po chwili dobiegł szum czajnika elektrycznego.

— Nie udało się? — zapytał Net.

— Nie wiem, czego się spodziewałem, idąc do nowego dyrektora. — Stokrotka westchnął ciężko.

— Jeżeli on to wszystko ukartował — odezwał się przyciszonym głosem Felix — to pewnie zatarł ślady.

— Wystarczy znaleźć inny dokument — dodała Nika. — Skoro był ten list, to muszą być i inne. Taka korespondencja to przecież więcej niż jeden list.

— Zniknęły wszystkie papierowe dokumenty — wyjaśnił Stokrotka. — Wszystko jest już tylko w komputerze.

— To nawet lepiej. — Net już chciał wyjmować z plecaka tablet, ale w porę się powstrzymał. — Tak szybko udało się wszystko scyfryzować?

— Co… sfryzować? — Dyrektor spojrzał na niego.

— No, przerobić na wersje elektroniczne. Albo chociaż zeskanować.

— Może zawieźli to do Vidoktora[1]? — podsunęła Nika. — On by to zrobił w kilka godzin.

— Nigdzie tego nie zawieźli. — Felix podniósł z podłogi pożółkłą kartkę z charakterystycznymi wydarciami, jakie pozostają, gdy ktoś wyrwie stronę z segregatora.

Stokrotka wziął od niego dokument.

— To zaświadczenie o stażu pracy — powiedział. — Sprzed trzydziestu

lat. Wtedy jeszcze tu nie pracowałem.

— Tam jest następna. — Nika pobiegła w stronę schodów i podniosła podobną kartkę.

— Te dokumenty nie powinny tak leżeć na korytarzu. — Dyrektor podszedł do niej.

Obok przy otwartym oknie rozgrywały się dramatyczne sceny. Pechowcy, którzy nie mieli przy sobie legitymacji ani nie przemknęli się za plecami portiera, dostawali się do szkoły przez okna niskiego parteru. Oczywiście z wydatną pomocą kolegów.

Gdy zauważyli, kto stoi ledwie kilka metrów obok, znieruchomieli, wystraszeni.

— Nie przeszkadzajcie sobie — powiedział Stokrotka.

— Chyba wiem, gdzie trafiły te wszystkie segregatory. — Felix wskazał następną podeptaną kartkę na schodach.

We czwórkę ruszyli w górę, po drodze podnosząc kolejne dokumenty. Dotarli tak aż przed drzwi strychu. Stokrotka zatrzymał się i spojrzał na przyjaciół, jakby nagle o czymś sobie przypomniał.

— Powinniście iść na lekcje — powiedział.

— To się załatwi — zbagatelizował Net, po czym natychmiast się poprawił — mam na myśli, że wyjaśnimy to działaniem w imię wyższych racji.

Stokrotka nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte.

— Pan Brudnica nie da mi klucza.

Nika zerknęła na Felixa, co miało znaczyć: „Musimy zrobić wyjątek”, Felix ledwo zauważalnie uniósł brew: „To miała być tajemnica”, na co Net przechylił głowę: „Sytuacja jest wyjątkowa”. Felix z ociąganiem wyjął z kieszeni klucze i otworzył drzwi. Wbrew jego obawom Stokrotka nie zapytał o nic, tylko przekroczył próg.

Wnętrze pachniało kurzem i starością. Było mroczne jak zawsze, a teraz dodatkowo coś zasłaniało najbliższe małe okienko. Felix zapalił światło i ich oczom ukazały się leżące na wprost nieregularne sterty segregatorów. Część ze stert przewróciła się wcześniej, zaścielając papierami podłogę.

— Sporo tego — zauważył Net.

— To historia naszej szkoły — powiedział wzruszonym głosem Stokrotka. — Prawie od początku jej istnienia. — Schylił się i podniósł kilka najbliżej leżących kartek. Daty były sprzed kilku lat. — Wszystko

przemieszane.

Przyjaciele obeszli sterty, próbując wypatrzeć, gdzie leżą najnowsze dokumenty. Jednak przytłoczyła ich ilość kopert, segregatorów i nieopisanych pudełek.

Dyrektor przyniósł z kąta stare krzesło, zdmuchnął warstwę kurzu i powiesił na nim marynarkę. Przyklęknął i zaczął zbierać leżące najbliżej kartki, układając je na kilku kupkach.

— Zamierza pan… tutaj zostać? — upewniła się Nika.

Skinął głową.

— Jeśli stąd wyjdę, nie będę mógł wrócić. A to jest moja szkoła i nie dam jej sobie tak łatwo odebrać.

Przyjaciele popatrzyli po sobie.

— Przejrzenie tego zajmie wiele dni — ocenił Felix.

— Mam dużo czasu, jestem emerytem. Przynajmniej dopóki nie znajdę dowodu na to, że nim nie jestem.

Nika spojrzała wyczekująco na przyjaciół. Net wzruszył ramionami, a Felix po krótkim namyśle przytaknął.

— Tu będzie panu wygodniej. — Wszedł po kilku stopniach i otworzył drzwi, zakamuflowane w taki sposób, że udawały fragment ściany.

Kwatera Główna wyglądała tak, jak ją pamiętali sprzed wakacji. Nie licząc kurzu. Trzy kulawe fotele stały przy krzywym stoliku obok regału z dawnymi pomocami naukowymi i wszelakimi drobiazgami, które nie były dostatecznie obrzydliwe, by Nika zażądała ich usunięcia. Zmatowiałe okienka u stóp spadzistego dachu nadawały wnętrzu nierzeczywisty wygląd.

Nikt tu nie wchodził przez wakacje. Prawdę mówiąc, to poza przyjaciółmi nikt tu nie wchodził od lat.

— Przynajmniej to się nie zmieniło — stwierdziła Nika.

Wzięła z półki ściereczkę, strzepnęła ją i zaczęła wycierać fotele. Kurz zatańczył w snopach światła nad podłogą.

— Czyste są — rzucił Net.

— Dopiero będą.

Dyrektor wszedł do środka i rozejrzał się z niedowierzaniem.

— Nazywamy to Kwaterą Główną — wyjaśniła Nika. — Nikt poza nami o niej nie wie. Na strych zagląda tylko pan Sylwester, ale bardzo rzadko.

Stokrotka skinął głową i przestawił z regału na stolik dużą świecę. Wyglądało na to, że zamierza tutaj siedzieć do wieczora, a może i dłużej.

Zaczął przenosić tu dokumenty. Przyjaciele rzucili się, żeby mu pomóc.

— Pozwólcie, że zrobię to sam — poprosił. — Muszę to wszystko ogarnąć i spamiętać, co gdzie leży. Wy idźcie już na lekcje.

— Na długiej przerwie możemy zrobić panu zakupy — zaproponowała Nika.

Dyrektor wyjął z portfela kilka banknotów i podał jej.

— Kupcie to, co byście kupili dla siebie — powiedział. — I szczoteczkę do zębów.

Felix odczepił od kółka klucz i podał dyrektorowi.

— Dziękuję. — Stokrotka uśmiechnął się do przyjaciół.

Zamknęli za nim drzwi, które teraz znów wyglądały jak fragment ściany. Felix krytycznie przyjrzał się podłodze, na której wyraźnie odcinały się ślady ich butów.

— Jak Sylwester tu wejdzie, od razu to zauważy. — Nika pokiwała głową.

Felix rozejrzał się i jego wzrok padł na dywan leżący w kącie pewnie od czasów, gdy ich jeszcze nie było na świecie.

— Zrób wdech — powiedział do Neta — i łap z drugiej strony.

Chwycili dywan za rogi, podnieśli go i kilka razy energicznie potrząsnęli. W powietrze wzbiła się taka ilość kurzu, że niemal przesłoniła światło z małego okienka.

Rzucili dywan i kaszląc, uciekli.

* * *

— Uwierzysz, że wpisała nam nieobecności za te kilka minut?! — wykrzyknął Net, gdy spotkali się z Niką w hallu. — I to Ekierka, która nigdy tego nie robiła. A już tak dobrze było.

— Nam obniżenie średniej nie zaszkodzi — zauważył Felix.

— Ja miałam pierwszą chemię — powiedziała Nika. — Próbówka też wstawiła mi nieobecność.

Przy bramkach ustawiła się kolejka. Pan Brudnica sprawdzał każdemu legitymację i dopiero go przepuszczał. Ta odrobina władzy sprawiała mu ogromną satysfakcję.

— Zanim wyjdziemy, będzie trzeba wracać — stwierdziła Nika.

— Wąs działa bez sensu — przyznał Felix. — A robi to po to, żeby

w razie czego nikt nie miał do niego pretensji, że nic nie zrobił.

— To są działania dupokryckie.

Wydostali się przez bramkę i minęli z panem Małpisiakiem, który otworzył drzwi i pomagając sobie nogą, wszedł do hallu. Trzymał tacę, na której stały trzy niemal pełne kubki. Mało kto dawał radę wypić więcej niż kilka łyków.

On też musiał odstać swoje w kolejce. Po kilku minutach zatrzymał się przed bramką i spojrzał wymownie na pana Brudnicę, stojącego po przeciwnej stronie. A Pan Brudnica spojrzał wymownie na niego.

— Tu proszę wpisać imię, nazwisko i godzinę. — Portier wyciągnął w jego stronę listę.

— Przecież przed chwilą wychodziłem.

Portier uniósł brodę i spojrzał poważnie na sklepikarza.

— Moim obowiązkiem jest rejestrowanie każdego wejścia. Nie dotyczy tych, którzy mają legitymacje szkolne.

Pan Małpisiak warknął coś niewyraźnie, rozejrzał się za miejscem, gdzie mógłby odstawić tacę. Wreszcie postawił ją na podłodze, wyrwał z rąk portiera clipboard i wpisał swoje imię i nazwisko.

Drzwi znów się otworzyły i do szkoły weszli z kilkoma torbami z zakupami Felix, Net i Nika. Pan Brudnica wyrwał z rąk sklepikarza clipboard i przewertował kartki do listy uczniów.

— Legitymacje poproszę — zażądał władczym tonem.

— Przecież przed chwilą wychodziliśmy — rzucił Net.

— Nic mnie to nie obchodzi. Legitymacje poproszę.

— Gdyby zamiast mnie przyszła moja kopia sklonowana przez kosmitów… — Net chwycił torbę w zęby i zaczął przetrząsać kieszenie — fo fa fopia miafafy feż fopię fegifymacji.

Ledwo Net minął bramkę, trafił nogą w tacę i posłał ją na środek hallu. Trzy kawy chlusnęły na podłogę, a w kałuży wylądowały trzy nadgryzione wafelki dietetyczne. Kilku uczniów uskoczyło przed rozbryzgami.

Net wyjął torbę z zębów i spojrzał pod nogi.

— *Sorry!* — wykrzyknął. — Ale kto to tu postawił?!

— To są skutki tego twojego… — Pan Małpisiak szukał odpowiedniego słowa. Nie znalazł go. Patrzył przez zmrużone powieki na portiera. — Ty służbisto…!

Felix i Nika pokazali swoje legitymacje i szybko minęli bramkę.

— Co tu się wydeklamowało na podłogę?! — Pani Pumpernikiel wyrosła jak spod ziemi tuż obok miejsca katastrofy. Pochyliła się nad rozlaną kawą, powąchała podejrzliwie i skrzywiła się z niesmakiem.

— Końskie łajno nanieśli! — Poszła na zaplecze recepcji, po czym wróciła z pękiem kluczy i zamknęła drzwi wejściowe na zamek. — Koniec tego. Tak dalej być nie będzie!

Uczniowie, którzy rozważali wyjście do sklepu, musieli zmienić plany. Chcąc nie chcąc, ustawili się w kolejce do szkolnego sklepiku.

Pan Małpisiak przez chwilę nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Rozpromienił się, przeskoczył przez kałużę i powiewając fartuchem, pobiegł do swojego małego królestwa.

* * *

Profesor Butler wycierał okulary o połę fartucha. Niestety fartuch okazał się bardziej tłusty od okularów, więc zamiast wycierania wychodziło mu wcieranie brudu. Zrezygnował, włożył okulary na nos i skrzywił się z niezadowoleniem. Z okularami w dłoni podszedł do regału z okazami w terrariach. Chwilę się zastanawiał, którą kreaturę nakarmić okularami. Uczniowie z Siódemki obserwowali go z mieszanką obrzydzenia, fascynacji i, przede wszystkim, niedowierzania.

Wreszcie wybrał, uchylił czarny materiał nakrywający jeden z pojemników i wsunął do wnętrza dłoń z okularami.

— No masz, masz dzisiaj indywidualny dzień dziecka — mruknął.

Z wnętrza dobiegło mlaskanie, ciamkanie i piskliwe odgłosy zadowolenia.

Co najmniej kilka osób zaczęło się wiercić, a ich miny zdradzały, że najchętniej wybiegłyby jak najszybciej z klasy, a może i ze szkoły.

Net nachylił się do Felixa.

— Szkoda, że nie mamy biologii na pierwszej lekcji — szepnął.

— On by nie zauważył, nawet gdyby nie przyszła połowa klasy — przyznał Felix.

Butler wyjął okulary i szczelnie zasłonił czarny materiał. Szkła błyszczały idealną czystością.

— O, *bip!*… — wyrwało się komuś z ostatnich rzędów.

— Nie *bip!*, tylko *Cleanus ocularus* — powiedział głośniej profesor. —

Czyli jednornica. Forma pośrednia między nornicą a ośmiornicą. Bardzo niedoceniany gatunek, wręcz na skraju wyginięcia. Typowa ofiara rozwoju technologii mikrofibry.

Z zadowoleniem założył okulary, wrócił za biurko i wziął tablet.

— Właśnie… Według programu powinniśmy dziś przerobić temat zagrożonych gatunków. — W zamyśleniu dłubał palcem w uchu. — Niedźwiedzie polarne, wieloryby, pandy… Istnieją też ruchy społeczne, których celem jest przywrócenie dawnej populacji paramyksowirusów i rodzaju *Morbilivirus* [2], ale o nich nie będziemy mówić, he, he.

Wytarł palec o fartuch i wyjął z szuflady fiolkę zatkaną korkiem. Uchylił jedną żaluzję i uniósł fiolkę do światła. Dolną jej część wypełniały wata i woda, choć nie tylko. Coś się tam ruszało, coś małego, ciemnego i raczej obrzydliwego.

Za szkołą ubrany wyjątkowo niechlujnie robotnik kopał kolejny dołek w losowym miejscu zachwaszczonej dziczy. Profesor zmrużył oczy i czym prędzej zasunął żaluzję.

— *Anopheles mosquito imejlus* — powiedział. — Komar pocztowy. Wszystkie żyjące osobniki znajdują się tutaj, czyli to gatunek bardzo zagrożony. Potrzebuję ochotnika.

Powiódł wzrokiem po sali. Każdy teraz oddałby wszystko za czapkę niewidkę.

— Wyhodowałem go wiele lat temu — ciągnął Butler. — Może kiedyś los uśmiechnie się do *imejlusa*. Przydałby się, gdyby zawiodły nas nowoczesne środki komunikacji.

— On tak na serio? — zapytała szeptem Justyna z Siódemki.

Net poważnie skinął głową.

— Ciesz się, że nie byłaś na lekcji, kiedy omawiał latające ośmiornice. — Palcem wskazał sufit. — Tam jeszcze jest ślad, jak się przyssała.

— Jezu — jęknęła dziewczyna.

— Net Bielecki — ucieszył się Butler.

Net wolno opuścił rękę i zamrugał.

— Nie do końca o to chodziło… — powiedział.

Nauczyciel już szedł w jego stronę. Wyciągnął korek z fiolki.

— Włóż do środka mały palec — polecił.

— Palec…? — Net przełknął ślinę. — Do środka?

Zrobił zeza, by lepiej przyjrzeć się zawartości fiolki. W wodzie poruszały się dziesiątki małych larw.

— One nie gryzą. — Uspokoił go nauczyciel. — Dla ścisłości to nie gryzą jako larwy. Potem, po przeobrażeniu, to już żrą na potęgę. Konia z kopytami na przystawkę mogą wciągnąć, he, he.

Netowi zakręciło się w głowie. Rozejrzał się w poszukiwaniu pomocy, ale napotkał jedynie wyczekujące spojrzenie Justyny. Zrobił więc najodważniejszą minę, na jaką go było stać, zamknął oczy i wsunął palec do fiolki. Ledwie dotknął powierzchni wody, szybko cofnął palec i dokładnie wytarł o T-shirt. Wzdrygnął się.

— Larwy zostały zaadresowane. — Profesor wetknął korek. — Po przeobrażeniu się ugryzą pierwszą napotkaną osobę i pobiorą od niej wiadomość. A potem spędzą resztę życia na poszukiwaniu adresata.

— Adresata…? — Net uniósł brwi.

— Muszą cię znaleźć, żeby przekazać wiadomość.

— Przekazać, znaczy…

— Za kilka dni się przekonasz. Nie używaj sprayów na komary, bo zepsujesz eksperyment. — Niespodziewanie wręczył fiolkę Gilbertowi. — Zajmij się nimi z należytą troską. Kiedy się przeobrażą w komary, pomyśl, co chcesz przekazać Netowi, i je wypuść.

Gilbert spojrzał na profesora, potem na fiolkę. Wzruszył ramionami i wrzucił ją do plecaka.

— Niestety obiecująca kariera *imejlusa* zakończyła się tragicznie wraz z upowszechnieniem się poczty elektronicznej — ciągnął Butler. — I klimatyzacji. W starych gmachach, jak choćby ten — popukał w ścianę — klimatyzację zastępują grube mury. Nie nagrzewają się szybko. W nowoczesnych biurowcach kratki wydmuchujące i zasysające powietrze dziesiątkowałyby populację *imejlusów*. Połowa wiadomości pozostałaby niedostarczona, a morale w chmarze szybko by spadało.

Net pochylił się do Gilberta.

— Zajmiesz się nimi z NALEŻYTĄ troską, OK? — upewnił się.

Gilbert uniósł dłoń z wyprostowanym kciukiem.

— Są też pewne wady tego systemu. — Butler przystąpił do dłubania w drugim uchu. — *Imejlusy* przenoszą pełną wiadomość, nacechowaną emocjami, a nie tylko suchy tekst. W samym tekście zresztą nie są zbyt dobre, bo często im z tych małych zwojów nerwowych wylatują polskie

znaki. Poza tym odebranie wiadomości przeniesionej przez *imejlusa* wywołuje złudzenie realnego wspomnienia rozmowy, która przecież się nie odbyła. — Butler zamyślił się na chwilę. — Po testach w Instytucie Badań Nadzwyczajnych doszło do kilku rekonfiguracji małżeńskich. Taaak… było zabawnie. No i jeszcze powszechna dziś otyłość wśród personelu generowałaby niezamierzony spam, nakłaniający szczupłych adresatów do obżarstwa. Poza tym komary pocztowe nie spełniają wymogów nowelizacji ustawy o ochronie danych osobowych. Mają zbyt małe mózgi, by przed ugryzieniem zapytać o zgodę.

— Ognisko, może mikser — zasugerował szeptem Net.

— Możesz mi zaufać — odszepnął uspokajająco Gilbert.

Net jakoś nie mógł mu zaufać i chyba słusznie, bo Gilbert zmarszczył czoło.

— Z drugiej strony to przecież zagrożony gatunek — stwierdził.

Net najchętniej od razu zająłby się tym zagrożonym gatunkiem z należytą troską. Niestety musiało to zaczekać do przerwy.

— Kończymy zaraz — oświadczył Butler. — Są jakieś pytania?

— Co było pierwsze: jajko czy kura? — dobiegło z końca sali.

Rozległo się kilka śmiechów.

— Oczywiście, że jajko — odparł niezrażony Butler. — Dinozaury składały jajka miliony lat przedtem, zanim pojawiła się pierwsza kura. Zagrożone gatunki… — Wyjrzał przez szczelinę w żaluzjach. Ubrany wyjątkowo niechlujnie robotnik wyrzucił wypalonego papierosa, zapalił nowego i zaczął zasypywać wykopany przed chwilą dołek. — Być może człowiek rozumny też jest już gatunkiem zagrożonym.

* * *

Druga bramka, ta dla wychodzących, otwierała się teraz swobodnie. Tylko w jedną stronę oczywiście, zewnętrzną. Widocznie portier znudził się swoją nową władzą i postanowił poprzestać na sprawdzaniu wchodzących. Mimo to przepustowość była niska i do wyjścia również tworzyły się korki.

— To nielogiczne — zauważył Felix. — Zabezpieczenie antyterrorystyczne w przypadku ataku terrorystycznego utrudni ewakuację.

— Jaką ewakuację? — Net bezskutecznie wypatrywał Gilberta. — Kto by nas chciał napadać, stary? *Always look on the bright side of life* [3]. Ciesz

się brakiem prac domowych. Ja to bym teraz chętnie trochę nicponierobił. Idziemy nad Wisłę?

— Szkoda mi Stokrotki. — Nika myślała o czym innym. — Będzie tam siedział do rana i przeglądał te dokumenty.

— Gdybyś chciała znać moje zdanie, to on tam spędzi co najmniej tydzień. I nie robi tego dla ciebie, Mała. Robi to dla siebie, bo chce znów być dyrektorem.

— Nie powiedzieliśmy mu prawdy. Nie powiedzieliśmy, dlaczego chcemy, żeby wrócił.

— Ależ ty lubisz tworzyć problemy. Umówmy się, że chcemy, żeby wrócił, bo go bardzo lubimy. Wolisz go od Wąsa? Wolisz! Czyli prawda. I już. — Net rozłożył ręce. — Sumienie czyściutkie.

Nika nie wyglądała na przekonaną, ale chyba trochę jej ulżyło.

Tłum uczniów wolno się przesuwał w stronę wejścia. Obok w sklepiku szkolnym pan Małpisiak nie zwracał na nic uwagi, z błogim wyrazem twarzy cierpliwie przerabiał wszystkie ceny na wyższe o jedną trzecią. Od strony schodów zbliżał się pan Czwartek. Felix nagle, pod wpływem impulsu podszedł do niego i zapytał:

— Przepraszam, chciałem o coś zapytać.

— Jeśli tylko będę mógł pomóc, to pytaj. — Nauczyciel zatrzymał się. — Dotyczy fizyki?

— Tak. Chodzi konkretnie o fizykę podróży kosmicznych.

Net spojrzał na przyjaciela ciężkim wzrokiem i westchnął. Razem z Niką wyszli z kolejki.

— To nie do końca moja specjalizacja, ale spróbuję — powiedział Czwartek.

— Mamy taką sytuację — zaczął Felix. — Wysyłamy pojazd kosmiczny w kierunku Jowisza, ale po drodze zmieniamy zdanie i chcemy, żeby poleciał w okolice Słońca. Czy da się tak po prostu zawrócić?

— Tak po prostu to nie, bo nie wystarczy paliwa.

— Przecież te rakiety są wielkie jak wieżowce — wtrącił Net.

— Są — przytaknął fizyk. — To praktycznie cysterny na paliwo. Ogromna jego większość jest zużywana podczas startu. — Wyjął z torby tablet i włączył program szkicownika. — Mogę wam to narysować.

— Nie, dziękujemy! — wykrzyknął Net. — Nie chcemy panu zajmować czasu. Ładna pogoda ucieka.

Felix chciał zaprotestować, ale nauczyciel skinął głową, schował tablet i ruszył w stronę drzwi. Zatrzymał się jednak, bo sobie coś przypomniał.

— W życiu na wszystko jest sposób — powiedział. — W tym wypadku sposób nazywa się „asysta grawitacyjna”. Poczytajcie o tym.

— Dziękuję bardzo — powiedział Felix i odwrócił się do Neta bez uśmiechu. — Co ci się tak spieszy? Chciałem się czegoś dowiedzieć.

— Sprawdzisz sobie w internecie — zbagatelizował Net. — Mam jedną sprawę do Gilberta. A potem pójdziemy nad tę Wisłę, zanim wyparuje.

Wydostali się wreszcie ze szkoły i znaleźli się w środku upalnego popołudnia, przed którym tak dobrze chroniły grube szkolne mury. Gilberta nigdzie nie było widać i Net musiał przełożyć rozwiązanie sprawy *imejlusów* na następny dzień.

Od Wisły dzielił ich mniej więcej kilometr, który przeszli niespiesznym krokiem, i jeszcze kawałek bulwarem, do miejsca, gdzie kawiarnia stała obok kawiarni. Pogoda przyciągnęła tłumy: grupki znajomych, całe rodziny. Do wyboru mieli kawiarniane stoliki, ławki w altankach, betonowe stopnie nabrzeża i miniaturowe trawiaste pagórki, specjalnie tak uformowane, by można się na nich wygodnie położyć. Trawiaste minipagórki stanowiły zdecydowanie najbardziej atrakcyjną opcję.

Niestety wszystkie były zajęte.

— Czy ci ludzie nie mają jakiejś pracy? — mruknął Net.

— Tam! — Nika podbiegła kilkanaście metrów i z rozpędu pacnęła na leżący nieco na uboczu pagórek.

Chłopcy podążyli za nią i usiedli obok. Felix podłożył plecak pod głowę, wyciągnął się i przymknął oczy. Ziewnął.

— To był dobry pomysł. — Dziewczyna wskazała głową praski brzeg całkowicie zasłonięty bujną zielenią wielkich topoli i rozrośniętych wierzb.

Nad leniwie płynącą rzeką szybowały białe mewy, woda chlupotała o kamienie. Gdyby nie nieustający szum, trudno byłoby uwierzyć, że to środek miasta. Hałas samochodów na Wisłostradzie za nimi i na mostach zlewał się w jednostajny dźwięk, który przy odrobinie wyobraźni można było porównać do odgłosu wielkiego odległego wodospadu.

— Zupełnie jakbyśmy byli gdzieś z dala od cywilizacji — dodała, po czym wyjęła książkę i pogrążyła się w lekturze.

Net spojrzał w bok na rzucające w siebie zabawkami dzieci, dalej na grupkę studentów, wokół których walały się puste puszki, wreszcie na dwie

spacerujące eleganckie kobiety, które skończyły jeść ciastka i wyrzuciły papierki do śmietniczki. A raczej obok, bo żadna nie wcelowała.

— No, nie trzeba wyjeżdżać z miasta, żeby się znaleźć w dziczy — podsumował, przesunął plecak za siebie i położył na nim głowę jak na poduszce. — Obudźcie mnie, jak przestanie się nicniedziać.

Obraz sielanki psuł patrol trzech antyterrorystów. Mijali spacerujących warszawiaków, mimo upału ubrani w czarne uniformy.

— Mieliśmy coś sprawdzić. — Felix przypomniał to sobie na widok patrolu. — Masz tablet? Zapytaj Manfreda o tę asystę grawitacyjną.

— Sam go zapytaj. — Net gwałtownie wstał i przeciągnął się. — Brzmi jak opis działania laski, takiej dla staruszek. Jak się staruszka opiera na lasce, to jest asysta grawitacyjna. — Rozejrzał się niby od niechcenia. — Co tak będę leżał bez sensu… Przejdę się trochę.

— Ktoś mówił, że stawia kawę — przypomniał z lekką złośliwością Felix.

— Za ciepło na kawę.

— Za to akurat na lemoniadę.

— OK, przyniosę trzy lemoniady. — Net pogrzebał w kieszeni i przeliczył drobne. — Albo… trzy wody mineralne. Są zdrowsze.

I już go nie było.

— Co mu jest? — Felix spojrzał na Nikę.

— Nie jestem pewna. — Wzruszyła ramionami. — Chyba lepiej, jak sam nam powie.

Felix zastanowił się.

— Jakoś dyskretnie naprowadzę go na temat. — Wyjął telefon i przez Net.com wywołał Manfreda. — Cześć! Możesz mi coś wyszukać? Chodzi o asystę grawitacyjną, ale nie o laski.

— *Laski to sobie sam wyszukuj* — odezwał się Manfred. — *Zrobisz mi panoramę?*

Felix uniósł telefon i wolno obrócił go o trzysta sześćdziesiąt stopni.

— *Wiedziałem, że gdzieś tu jesteście. Tak z dokładnością do piętnastu metrów.*

— Śledzisz nas?

— *Chcąc nie chcąc. Zagrożenie terrorystyczne. Wymieniam się informacjami z innymi programami pilnującymi bezpieczeństwa w mieście. Więc jeśli macie paranoję na punkcie inwigilacji, to macie też rację – to nie*

jest paranoja.

— Jak będę chciał obrabować sklep, wyłączę telefon sto metrów wcześniej — zapewnił go Felix.

— Jeszcze wyjmij baterię i wydłub kilka kondensatorków… no ale wtedy to musiałbyś potem kupić nowy telefon. Nie opłaca się.

— Zatem postanowione: nie będę obrabiał sklepów, trudno. Znajdziesz mi coś o tej asyście grawitacyjnej?

— Już znalazłem. — Na małym ekranie telefonu wyświetliły się skomplikowane wykresy. *— Większość paliwa rakietowego jest wykorzystywana przez silniki rakietowe do pokonania ziemskiej grawitacji i potem do rozpędzenia pojazdu.*

Nika zerknęła na ekran, wyświetlający animację sondy w przestrzeni kosmicznej.

— Myślałam, że rakiety są większe — stwierdziła.

— Rakieta jest potrzebna tylko do startu. Kolejne człony napędowe są odrzucane jeszcze w atmosferze ziemskiej. Sam pojazd jest zwykle mały i ma tylko odrobinę paliwa w silnikach manewrowych. Nie tylko nie da rady tak sobie zawrócić, nawet nie może się zatrzymać. Jednak jeśli pojazd przelatuje blisko planety, jej grawitacja powoduje, że pojazd zakręca. Przypomina to zbieganie po schodach. Jak chcesz szybko zakręcić na półpiętrze, to mocno łapiesz się poręczy. W tym przypadku poręczą jest grawitacja dużej planety. Dodatkowo planety nie stoją w miejscu, tylko poruszają się wokół Słońca. Jeśli pojazd przeleci obok takiej poruszającej się planety w odpowiedni sposób, to przyspieszy, a przy tym prawie nie zużyje paliwa.

— Czyli można zawrócić, korzystając z grawitacyjnej asysty Jowisza? — zapytał Felix. — Na przykład zawrócić w stronę Słońca?

— Przy odpowiednim układzie planet, tak, choć to nie ma sensu. Jowisz jest pięć razy dalej od Słońca niż Ziemia. To ogromna strata czasu. Bardziej opłaca się od razu skierować pojazd w stronę Słońca. Pomogłem?

Felix energicznie przytaknął.

— Dziękuję.

— Nie ma za co. Od tego tu jestem — dodał Manfred. *— Zapomniany, samotny…*

— Brakuje Neta do złośliwego duetu. — Nika odłożyła książkę i zainteresowała się tym, co było na ekranie telefonu. — Dlaczego ta cała sonda, Far Cośtam, zawróciła?

— Tego właśnie próbuję się dowiedzieć. — Felix wklepywał w telefon kolejne hasła do wyszukania. — Trochę niewygodnie na takim małym ekranie.

— *Pozwólcie, że wam ułatwię* — powiedział Manfred. — *Celem misji* Far Diver *było szukanie życia na Europie.* — Wyświetlał kolejne obrazki i animacje. — *Prawdopodobnie pod lodową skorupą o grubości od piętnastu do dwudziestu pięciu kilometrów jest ocean słonej wody o głębokości około stu kilometrów. Sonda* Far Diver *składa się z dwóch części. Lądownik* Far *miał zostać na powierzchni, a sonda właściwa,* Diver*, w kształcie torpedy, miała przetopić się przez pokrywę lodową i dotrzeć do oceanu. Światłowodem przekaże dane badań do lądownika, a ten na Ziemię. A raczej przekazałaby, gdyby nie zawróciła z wykorzystaniem asysty grawitacyjnej Jowisza.*

— Taka sonda nie przyda się na powierzchni Słońca.

— *Słońce nie ma powierzchni, na której można wylądować. To kula gorącego gazu i plazmy. Dodatkowo temperatura na powierzchni to prawie sześć tysięcy stopni. Nie znamy żadnego materiału, który by to wytrzymał. Najwyższą temperaturę topnienia ma mieszanka hafnu, azotu i węgla – nieco ponad cztery tysiące stopni. A mówimy o samej „powierzchni”, bo im głębiej, tym gorzej. Na głębokości –*

— Czyli ta misja nie ma sensu — przerwał mu Felix.

— *Lepiej bym tego nie ujął.*

— Miliard dolarów w błoto? — Nika pokręciła głową.

— Miliard dolarów w plazmę — przytaknął Felix.

— Co oglądacie? — Net zatrzymał się trzy metry od nich, jakby bał się podejść.

— Oglądamy miliard dolarów wyrzuconych w plazmę — wyjaśnił Felix. — A do wyrzucenia są jeszcze cztery miliardy, bo kolejne sondy gonią tę pierwszą.

— Ktoś ma gest. — Net uniósł litrową butelkę wody mineralnej. — Wziąłem jedną. Tak wygodniej nosić.

Nika parsknęła śmiechem.

— Poszedłeś do sklepu zamiast do kawiarni?

— Woda jest woda. — Usiadł tak, żeby być poza zasięgiem kamery telefonu trzymanego przez Felixa. — O co chodzi z tymi dolarami?

— Nasi tatowie pracują nad czymś, co ma zmniejszyć zagrożenie

terrorystyczne — odparł Felix. — Tak mówią, a mój poświęca najwięcej uwagi sondom lecącym w stronę Słońca.

— To mi się nie spina — przyznał Net. Westchnął i pokręcił głową. — Jeśli jesteś dość głupi, wszystko jest zagadką.

— Może chodzi o sabotaż przemysłowy — zaproponowała Nika. — Ktoś chce zepsuć te sondy?

— To nie wyjaśnia obecności antyterrorystów na ulicach miast — zauważył Felix. — Pozornie to są dwie osobne sprawy, ale coś je łączy. Tylko nie wiem jeszcze co. Manfred? — powiedział to telefonu Felix. Nie otrzymał żadnej odpowiedzi. — Manfred? Jesteś?

Net poprawił się nerwowo, odkręcił butelkę i podał Nice.

— Ja stawiam.

* * *

Awantura trwała tym razem krótko, bo żadna ze stron nie miała siły na długotrwałe batalie. Drzwi nie stanowiły dostatecznej ochrony, więc konieczne było posiłkowanie się słuchawkami. Powód kłótni ani jej przebieg nie był znany, zresztą Net nawet nie chciał go znać. Miał tylko nadzieję, że bratosiostra tego nie słyszą. Bliźniaki mieszkały piętro wyżej, w sypialni rodziców. Rodzice ostatnio częściej się kłócili, a po takiej kłótni tata spał w swojej pracowni, oddzielonej od salonu ścianą z mlecznego szkła.

Net wsunął się głębiej w fotel i ze znudzeniem ustawiał kolejne klocki w Minecrafcie. Właściwie to nie robił nic konkretnego, choć miał do skończenia kilka rozgrzebanych projektów informatycznych. Zamierzał na nich trochę zarobić. Atmosfera w domu nie sprzyjała kreatywności, a brak Manfreda doskwierał. I to podwójnie, bo po pierwsze nie było przyjaciela, do którego można zagadać, a po drugie brakowało specjalisty w przeszukiwaniu internetu. No i używanie Net.comu było nieprzyjemne, bo Nika i Felix wciąż pytali, czemu okno Manfreda jest puste.

Net zdjął słuchawki i nasłuchiwał, co się dzieje za drzwiami. Cisza. Zamknął grę i odruchowo chciał zagadać do Manfreda. Zaskoczył go widok pustego ekranu bez Manfredowych znaczków. Co za uparty program! Co mu szkodziło zapłacić to czesne? Nie zbiedniałby od tego. Ciekawe, czy Stokrotka nadal siedzi w Kwaterze Głównej i przeszukuje archiwum. A jeszcze ciekawsze, co się stanie, jeżeli nie znajdzie tych dokumentów.

Net otworzył katalog z projektami. Nie, na to nie ma czasu. Zanim je skończy, zanim one zaczną przynosić dochód, jeśli w ogóle, Nika wyleci ze szkoły.

Miliard dolarów. Nagle przypomniała mu się rozmowa znad Wisły. Jak to jest, że jedni mogą wydać miliard dolarów na sondę, która spłonie w Słońcu, a tutaj nie ma skąd wziąć kilku stów na banalne czesne?!

Znów chciał się odezwać do Manfreda, żeby ten wyszukał informacje o misjach badających Słońce. Niech to! Poprawił się w fotelu i sam uruchomił wyszukiwarkę. Najpierw trafił na oficjalną stronę misji, ale było tam za dużo tekstu i nie chciało mu się czytać. Przełączył na wyszukiwanie grafiki, ale zmienił zdanie. Zamiast tego zajrzał do sieci domowej i tam zapuścił wyszukiwanie. Od razu wyskoczył wynik z linkiem prowadzącym do katalogów taty.

— Ciekawe, ciekawe… — Pochylił się nad klawiaturą, zerknął na drzwi, jakby bał się, że tata przeczyta jego myśli, i kliknął link. Brak dostępu. — No, nawet bardzo ciekawe.

Znał zabezpieczenia stosowane przez tatę, bo sam używał tych samych. Jednak nie znał hasła. Wprawdzie nie byłby sobą, gdyby nie miał kilku programów do łamania haseł, ale nie mógł tego zrobić ze swojego komputera. Przecież to jakby zostawić czytelny podpis: „Tu byłem, Twój wścibski syn”. Dreszczyk emocji przyprawił go o gęsią skórkę. Korciło, oj korciło… Doskonale wiedział, co trzeba zrobić, by nie zostawić śladu. Trzeba użyć zewnętrznego adresu. To potrwa dłużej, bo transfer będzie wolniejszy, ale w razie czego szukaj wiatru w polu.

Z drugiej strony, właściwie po co mu to? To tylko ciekawość, nic więcej.

— Nie warto.

Zamknął wyszukiwarkę, wstał i podszedł do okna. Zapadła już noc i jak okiem sięgnąć mrugały kropki okien. Daleko w dole sunęły białe i czerwone rzeki samochodów. W kilku miejscach szybciej przemieszczały się niebieskie migające światła. Net patrzył na nocną Warszawę, ale myślami wciąż był przy zabezpieczonym katalogu. Co jego ojciec ma wspólnego z amerykańską misją za miliard dolarów?

Zerknął przez ramię. Na monitor. Wystarczy zdjąć zabezpieczenia na wejściu do sieci domowej. Bez tego po kilku próbach dostępu włączyłby się alarm i sieć zostałaby automatycznie odcięta. To całkiem proste.

Ciekawość nie dawała mu spokoju.

A co tam! Wrócił do biurka i dyskretnie zdezaktywował zabezpieczenia. Następnie odpalił stary laptop, który czasem służył mu do tego rodzaju zadań. Najpierw połączył się z siecią przez osobne łącze, zarejestrowane na starszego brata Neta (tu warto przypomnieć, że Net nie miał starszego brata), potem zalogował się na norweskim serwerze zapewniającym kodowaną transmisję, stamtąd posurfował do Singapuru i Toronto. Dla fantazji skoczył jeszcze do Tunezji i dopiero tam założył nowe konto i uruchomił swój program. Obciążenie głównego łącza domowego wzrosło do połowy maksymalnej wartości. W normalnej sytuacji programy ochronne już by zablokowały transmisję i wyświetliły alarm.

Net szybko zlikwidował połączenia i wszystkie konta, które zakładał po drodze, a na koniec wyjął jeszcze kartę SIM z prehistorycznego modemu wpiętego w stary laptop. Uchylił okno i pstryknięciem posłał kartę w noc.

— Wybacz, wyimaginowany bracie — powiedział i ziewnął.

Nie ma na co czekać. To zajmie co najmniej kilka godzin, a może i dni.

1. O Vidoktorze możecie przeczytać w książce *Felix, Net i Nika oraz Gang Niewidzialnych Ludzi*. Vidoktor to program zajmujący się cyfryzacją dokumentów. [wróć]
2. To wirus powodujacy odrę. Częstość występowania odry znacznie zmalała po wprowadzeniu powszechnych szczepień. [wróć]
3. Tytuł piosenki z filmu Monty Pythona *Żywot Briana*. Polecam film, naprawdę warto. [wróć]

10. Osiem minut świetlnych

Dwa dni i pięć godzin do…

Budzik w telefonie nie brzmiał tak przekonująco, jak połajanki Manfreda. Wystarczyło jedno celne pacnięcie w środek ekranu, by zamilkł. Net ponownie zamknął oczy i niewiele brakowało, a powróciłby do krainy snu. Resztką woli zmusił się, by usiąść na łóżku. Czemu wakacje tak szybko się skończyły? Za pomocą smartfona otworzył żaluzje. Pokój zalało jasne światło słońca, od którego Net musiał zmrużyć oczy.

— Ja pierdykam. Rano, a ja już jestem zmęczony.

Zwlókł się z łóżka i krokiem zombie dotarł do szafy. Wyjął z niej czyste ubranie i rzucił na łóżko. W starych spodniach opróżnił kieszenie. Nie było tam wiele cennych przedmiotów, ot kilka monet, papierki po cukierkach, no i legitymacja uczniowska. Lepiej ją wyjąć przed wrzuceniem spodni do kosza na brudy, bo kolejnego prania mogłaby nie przetrwać. Położył ją na biurku, przed klawiaturą, by nie zapomnieć. Przykrą i wyczerpującą czynność włożenia jej do kieszeni nowych spodni odłożył o kilka minut.

Opadł ciężko na fotel i niewiele brakowało, a zasnąłby ponownie. Trącił myszkę, a ekran wiecznie pracującego komputera (jednego z kilku wiecznie pracujących, dla ścisłości) rozjaśnił się. Na pasku powiadomień migała ikona poczty. Piętnaście nowych wiadomości. Trzy razy próbował trafić kursorem, nim otworzył program pocztowy. I momentalnie rozbudził się do końca. Jest!

Otworzył wiadomość i przebiegł wzrokiem po krótkiej treści. Przysunął do siebie klawiaturę, przy okazji stawiając ją na legitymacji. Przekopiował hasło i od razu je wykorzystał, by się dostać do katalogów taty. Było tego

całkiem sporo. Leżały tam projekty jeszcze z czasów, zanim tata zaczął pracę w Instytucie Badań Nadzwyczajnych. Kilkadziesiąt gigabajtów. Net spojrzał na zegar. Nie, to się będzie kopiowało godzinę. Zresztą po co to wszystko kopiować? Najnowszy katalog nosił nazwę „Carrington”. To się Netowi kojarzyło z czymś, co niedawno widział, ale nie potrafił sobie przypomnieć, co to dokładnie było. Dobra, potem się nad tym pomyśli. Teraz trzeba korzystać, póki skarbiec jest otwarty. Przekopiował katalog bezpośrednio na tablet, po sieci lokalnej oczywiście – lepiej, jeśli ważne pliki nie plączą się po internecie. Było tego łącznie ponad sto megabajtów, czyli nie tak dużo. Szybkie sprawdzenie godziny wystarczyło, by stwierdzić, że nie da rady tego przejrzeć teraz. Przed wyjściem do szkoły musiał przecież jeszcze zrobić za dużo kanapek.

* * *

Felix czytałby książkę *Problem trzech ciał*, którą miał w plecaku, gdyby nie to, że autobus był zbyt nabity, by ktokolwiek mógł wziąć choć jeden głębszy oddech. Strach było nawet myśleć o awaryjnym hamowaniu. Wyglądał więc przez okno, bujał się razem ze wszystkimi, a myślami bujał gdzieś we wnętrzu Układu Słonecznego. Mieszały mu się w tych rozmyślaniach tematy terroryzmu, programów kosmicznych, kłopotów Niki, sytuacji w szkole i przylotu Laury. Nie licząc ostatniego, żaden z tematów nie nastrajał optymistycznie. Na dodatek miał cały dom na głowie, bo mama pojechała na konferencję, czy tam szkolenie, do Poznania. Albo do Torunia, bo już się gubił w tych jej wyjazdach.

Dwa przystanki przed szkołą zauważył za oknem starszego pana rozmawiającego z Netem. Było to tak nieoczekiwane, że minęła chwila, nim zaczął się przepychać do drzwi. Już wsiadali kolejni pasażerowie, którzy na jego „przepraszam” odpowiadali nieprzychylnymi burknięciami. A jednak się udało – wypadł na przystanek, przeciskając się przez już zamykające się drzwi. Podszedł do Neta, zatrzymał się kilka kroków od niego i rzucił:

— Cześć.

— Cześć — odparł Net. — Taka sytuacja.

— Pan też nie ma legitymacji? — zapytał kontroler, bo starszy pan okazał się kontrolerem biletów.

— Przystanek jest miejscem publicznym i dostępnym bez legitymacji —

odparł Felix, po czym zwrócił się do Neta — zapomniałeś legitymacji?

— Położyłem na biurku, żeby nie zapomnieć. No i podziałało – leży na biurku.

Szkła w okularach kontrolera były tak grube, że denka od butelek wpadłyby przy nich w kompleksy. Mężczyzna na przemian sprawdzał coś w książeczce z regulaminem i wciskał przyciski w terminalu zawieszonym na szyi. Nie wyglądało na to, by którakolwiek z tych czynności wychodziła mu jak należy.

— Przecież ja mam piętnaście lat — powiedział Net. — Chodzę do szkoły. Każdy, kto chodzi do szkoły, ma legitymację.

— Proszę pana, ja nie muszę wiedzieć, czym się pan zajmuje — odparł kontroler.

— A co ja innego mogę robić w tym wieku? Wyglądam na emeryta?

— Legitymacji emeryckiej też pan nie posiada?

— Bo mam sklerozę i nie wziąłem jej z domu. — Net rozłożył ręce. — Z domu starców, rzecz jasna.

— Sklerozy?

— Legitymacji. A mojego wieku nie widać, bo używam dobrego kremu do zmarszczek, za to nie używam używek. W moim wieku już nie wolno.

Kontroler nie wyglądał na kogoś, kto mógłby dogonić jakiegokolwiek gapowicza w wieku przedemerytalnym. A tacy notoryczni gapowicze z odpowiednim doświadczeniem prawdopodobnie po prostu by go zignorowali.

— Muszę wypisać panu mandat. Takie są przepisy. Poproszę legitymację.

Net pacnął się w czoło.

— Gdybym miał legitymację, toby nie było tej sytuacji, prawda? Nie mam jej, już to ustaliliśmy. Leży na biurku. Pod klawiaturą.

— Ja nie mogę pana puścić, dopóki nie ustalimy pana tożsamości i nie wypiszę panu mandatu. Poproszę legitymację.

Felix westchnął, wyjął z kieszeni swoją legitymację i podał kontrolerowi.

— Załóżmy, że to ja jechałem bez biletu. Niech pan pisze.

— A! Czyli jednak mam dwóch gapowiczów! — ucieszył się kontroler.

— Nie, nie! — Net wyjął mu z rąk legitymację i podsunął sobie pod brodę. — To ja, widzi pan? To jest mój brat bliźniak, tylko chorował w dzieciństwie. Azbestowy smoczek, te sprawy. Poproszę ten mandat. Nie

mamy czasu, zaraz zacznie się ściemniać.

Kontroler popatrzył na Neta oczami, które przez okulary wydawały się większe od głowy. Potem popatrzył na legitymację, a jeszcze potem na Felixa.

— Skąd mam mieć pewność, do kogo należy ta legitymacja? — zapytał. — Wyglądają panowie identycznie.

— Jesteśmy bliźniakami! — wykrzyknął Net. — Mamy wspólną skarbonkę, a PESEL-ami wymieniamy się przy obiedzie. Niech pan pisze ten mandat! Sam pan nie kasuje biletów, a czepia się pan innych o jakąś legitymację.

— Jako kontroler biletów nie muszę kasować biletów.

Felix spojrzał na żółto-czerwoną smycz na szyi kontrolera. Była zakończona karabińczykiem. Pustym karabińczykiem.

— Mogę zobaczyć pana legitymację? — zapytał. — Identyfikator, cokolwiek.

Kontroler sięgnął do smyczy i spojrzał na pusty karabińczyk.

— O Jezu… Zapomniałem. — Kontrolerem wstrząsnął dreszcz. — Została na stole.

— Czyli to pan jechał bez biletu! — Net zabrał mu legitymację i oddał ją Felixowi. — Sam pan jest gapowiczem! Niech pan sobie teraz wystawi mandat!

— Nie mogę wystawić sobie mandatu za brak legitymacji, bo nie mam legitymacji. — Mężczyzna przygarbił się i wolno odszedł.

Felix i Net patrzyli za nim i właściwie to nawet zrobiło im się go szkoda. A przynajmniej Felixowi.

— Wybrał nieodpowiedni zawód — podsumował Net. — Kustosz – to jest słowo, którego szukał przez całe życie.

Wsiedli do kolejnego autobusu, a dokładniej to się do niego wcisnęli. I nawet gdyby był w nim inny kontroler, taki mniej zapominalski, nie miałby szansy nikogo skontrolować.

Słowo „wysiedli” nie określa dobrze tego, co się stało na przystanku przed szkołą. Zostali bowiem wypluci przez autobus.

— My jesteśmy jacyś tacy za porządni. — Net był cały czas wzburzony. — Przecież nawet nie musieliśmy uciekać! Wystarczyłoby odejść. On wyglądał jak ktoś, kto zapomniał z domu balkonika.

— Zacznę jeździć do szkoły na rowerze — mruknął Felix. — Będzie

przyjemne z pożytecznym.

— Za dużo celsjuszy w powietrzu — zauważył Net. — No i gdzie przypniesz ten rower?

— Na patio rosną chwasty, a mógłby być… znowu korek. — Felix wskazał schody przed szkołą, na których kłębiła się kolejka kilkudziesięciu uczniów. — Jest pięć po.

— O, cholera… — Net zatrzymał się gwałtownie. — A ja nie mam legitymacji… Wejdź pierwszy i wyrzuć mi swoją przez okno.

— OK. Czekaj pod oknem przy schodach.

Net wycofał się dyskretnie, a Felix ustawił w kolejce. Dotarł do bramki niemal dziesięć minut po dzwonku. Pan Brudnica sprawdzał tożsamość z mniejszym entuzjazmem niż poprzedniego dnia.

Felix dotarł do schodów i otworzył okno. Neta nie było. No tak, klatki schodowe są po obu stronach budynku. Wyjął telefon, wybrał numer Neta i w tym momencie telefon wysunął mu się z dłoni. A dokładniej to ktoś mu go wysunął. Felix odwrócił się gwałtownie, by ścigać złodzieja.

— Ostrzegałem cię — powiedział pan Borkowski. — Odbierzesz po lekcjach z sekretariatu.

Felix odprowadził go ponurym spojrzeniem. To się stawało nieznośne. Ponownie wyjrzał przez okno. Neta nadal nie było. Już miał iść do drugich schodów, ale pomyślał, że Net też za chwilę wpadnie na pomysł sprawdzenia drugich schodów i się miną. Chociaż… równie dobrze może pomyśleć tak samo i wówczas będą stać i czekać. Nie, Net najpierw działa, potem myśli.

Korytarz już niemal opustoszał, więc Felix starał się nie rzucać w oczy. Obok przeszła Celina, dziewczyna z ich starej klasy. Nie zauważyła Felixa. Podeszła do czającego się kawałek dalej w załomie korytarza pana Brudnicy. Oboje rozejrzeli się czujnie, ale nadal nie zauważyli Felixa. Dziewczyna wsunęła w dłoń stróża kilka monet, a on wyjął z kieszeni i podał jej mały pakunek.

Celina zawróciła i szybkim krokiem ruszyła w kierunku schodów. Zauważyła Felixa, dopiero gdy już rozwinęła papierek i wbiła zęby w batonik.

Oboje zamarli.

— Rzucasz mi tę legitymację, czy nie? — dobiegło zza okna.

— Nic nie słyszałam — powiedziała z pełnymi ustami Celina.

— Nic nie widziałem — odparł Felix.

— Jesteś tam? — krzyczał dalej Net. — Nie odbierasz telefonu.

— Bo go nie mam. — Felix zaczekał, aż Celina odejdzie, i wyrzucił legitymację. — Pospiesz się.

* * *

Pierwszą lekcją był angielski. Christina nie wpisała im nawet spóźnienia. Bo nigdy nie wpisywała spóźnień.

Za to druga lekcja, język polski, był dużą niewiadomą. Nie zdążyli poznać nowej polonistki, więc nie mieli pojęcia, czego się spodziewać. Zajęli miejsca, a Agata Zasadowska przyjrzała im się z uśmiechem.

— Na początek muszę wam coś powiedzieć — oświadczyła.

Uczniowie nie dowiedzieli się, co chciała powiedzieć. W tym momencie bowiem rozbrzmiał dzwonek. Polonistka spojrzała na zegarek.

— Za wcześnie — orzekła. — O czterdzieści trzy minuty za wcześnie. Nie pakujcie się.

— Może Wąs kompresuje lekcje — szepnął Net.

Dzwonek ucichł, jednak nim nauczycielka zdążyła coś powiedzieć, znów zadzwonił. Net zachichotał bezgłośnie.

— Eftep pewnie coś zrąbał w programie do sterowania dzwonkiem.

Dzwonek ucichł, a po chwili rozbrzmiał znów.

— To alarm — powiedział Felix, po czym dodał głośniej — to alarm! Ewakuacja.

— Co?! — Net spojrzał na niego z zaskoczeniem.

— Trzy dzwonki oznaczają ewakuację.

Polonistka wstała.

— Wychodzimy! — zawołała. — Zostawcie wszystko. Idziemy na boisko. Szybkim krokiem, bez biegania.

Niemal wszyscy się zerwali z krzeseł i pobiegli do drzwi.

— W naszej szkole nie ma boiska! — krzyknął Net.

— Jest w planach — dodał Felix.

— Zatem… — nauczycielka zawahała się — … idziemy tam, gdzie boisko jest w planach.

Uczniowie zbili się w bezładny tłumek przy drzwiach i dopiero po chwili Agacie udało się zmusić ich do cofnięcia się, żeby otworzyć drzwi.

— Czekaj. — Felix powstrzymał Neta, założył plecak i spokojnie czekał,

aż korek się rozładuje.

— Mieliśmy nic nie brać — szepnął Net, sięgając jednocześnie po swój plecak.

— Ani myślę w sytuacji zagrożenia porzucać zestaw przetrwania.

Net zarzucił swój plecak na ramię, choć było mocno wątpliwe, by miał w nim zestaw przetrwania. Jednak sposób, w jaki go trzymał, sugerował, że w środku jest coś cennego.

Wyszli z klasy ostatni, ponaglani przez nauczycielkę.

— Nie biegać! — krzyknęła do reszty, ale jej głos utonął w ogólnym zgiełku, na który nakładał się przerywany dzwonek. — Uważajcie na schodach.

Na korytarzu panował zupełny chaos. Wszyscy się przepychali, biegli do schodów, niekoniecznie do tych najbliższych. Ktoś się przewrócił, ktoś inny potknął się o niego i też upadł. Tłum spływał schodami na parter, ale po chwili zatrzymał się.

— Bramki — domyślił się Felix. — To potrwa.

Net wypatrzył w zatorze przed schodami rude włosy Niki. Dopchał się do niej.

— Wiesz, co się dzieje? — zapytał. — Może zapalił się ten chwast gorejący Butlera.

— Pali się?! — Jakiś chłopak spojrzał na niego z niepokojem.

— Pytałem tylko, co się dzieje.

— Gdzie się pali? — zapytała stojąca obok dziewczyna.

— Pali się! — podchwyciła inna. — Pożar!

Tłum zafalował, a ci, którzy stali dalej, naparli na tych przed nimi. Ale schody były zupełnie zablokowane.

— Cofnijcie się! — Felix chwycił Neta za rączkę plecaka i pociągnął. — Zaraz się wszyscy zadepczą.

Net wahał się chwilę między potrzebą jak najszybszego wydostania się ze szkoły a zaufaniem w rozsądek przyjaciela. Chwycił Nikę za rękę i pociągnął w tył. Wydostali się poza największy ścisk.

— Na parterze będzie jeszcze gorzej — wyjaśnił Felix. — Chodźcie!

Ruszyli szybkim krokiem w przeciwną stronę.

— To tu są gdzieś inne schody? — zapytał Net.

— Nie ma.

— Chcesz zejść po drzewie? Po rusztowaniu? — dopytywał się Net. —

Żadnych rusztowań nie widziałem.

— Jesteśmy na pierwszym piętrze — dodała Nika. — Nie wyskoczymy przecież przez okno.

— Za długo by tłumaczyć — odparł Felix. — Zobaczycie.

Wymijali uczniów biegnących w przeciwnym kierunku. Niektórym sporo czasu zajęło zorientowanie się, co oznacza przerywany dzwonek.

Felix skręcił do drzwi sali geograficznej, której okna wychodziły na tył szkoły. Na szczęście drzwi, zgodnie z regulaminem, nie były zamknięte na zamek. Wpadli do środka. Krzesła leżały poprzewracane, kilka ławek zresztą też, zeszyty i podręczniki walały się po podłodze. Na środku dostrzegli rozbity telefon komórkowy.

— To jest bardzo wysokie pierwsze piętro — zauważył Net.

— Spójrz w dół. — Felix otworzył okno.

Net i Nika wychylili się. Pod oknem ułożono równo na sobie worki z napisami „cement portlandzki 30 kg”. Było ich ze sto, przez co tworzyły podest wysoki na prawie dwa metry.

— Nadal za wysoko — oceniła Nika.

Felix pomacał nogą kaloryfer, żeby sprawdzić jego solidność. Stary, żeliwny grzejnik wisiał tu pewnie od pół wieku. I powisi kolejne pół.

— Mapy! — Net wskazał stojak z rulonami. — To stare mapy, naklejane na materiał! Możemy je pociąć i związać z nich linę!

— Nie wytrzymają naszego ciężaru. — Nika pokręciła głową.

Felix przewrócił najbliższą ławkę.

— A nie możemy pociąć chociaż Ameryki Południowej?

— Lepiej mi pomóż. — Felix zaparł się i podeszwą uderzył w blat od spodu.

— Demolka! — Net z ochotą kopnął z drugiej strony. Blat z trzaskiem odskoczył, wyłamując się z trzymających go wkrętów. Został sam metalowy szkielet.

Felix zdjął z nadgarstka bransoletę, scyzorykiem naciął z jednej strony i szybkim ruchem pociągnął. Bransoleta rozwinęła się w sznurek długi na trzy metry. Felix wręczył go Nice wraz ze scyzorykiem.

— Potnij na takie odcinki. — Pokazał palcami długość i zabrał się do rozbierania następnej ławki.

Nika bez słowa zaczęła ciąć. Gdy poradzili sobie z trzecią ławką, Felix zaczął je wiązać pociętymi kawałkami sznurka.

— Drabina — wyjaśnił.

— Stary, przecież to trzaśnie! — Net rozpaczliwym gestem wskazał wiązanie.

— To porządny paracord. Wytrzymuje ponad dwieście kilogramów… — zastanowił się — … w warunkach laboratoryjnych.

— To nie są warunki laboratoryjne!

— Będziemy schodzić pojedynczo.

Nika pomagała, przytrzymując metalowe części, a Felix wiązał dalej, aż skończył się paracord. Odpiął z plecaka nieużywany pas biodrowy, przywiązał z jednej strony do ostatniego biurka, a z drugiej do kaloryfera. Wspólnymi siłami unieśli i wysunęli konstrukcję za okno.

— Papier, nożyce, kamień? — podsunął Net.

— Jestem najlżejsza — przypomniała Nika.

Nie czekając, usiadła na parapecie i przerzuciła nogi na drugą stronę. Net podał jej rękę, asekurując, dopóki dosięgał. Schodzenie okazało się łatwiejsze, niż myślała. Felix bacznie obserwował kaloryfer, który zgodnie z oczekiwaniami ani drgnął.

— Jestem! — rzuciła z dołu Nika.

— Idź — powiedział Felix. — Ja jestem najcięższy.

Net nie dyskutował, tylko zszedł, i to zdecydowanie szybciej od Niki. Zeskoczył z worków na ziemię i pomógł zejść dziewczynie.

— Ten cement jest twardy jak beton — stwierdził mimochodem.

Felix zszedł za nim i zsunął się po workach mniej zgrabnie od Neta.

— Przeterminowany piętnaście lat. — Wskazał datę na boku jednego z worków.

Ktoś ułożył je tak bezmyślnie, że nie tylko zablokowały wyjście ewakuacyjne, ale też uszkodziły jedną z kratek zasłaniających okna piwniczne.

Przeszli na zarośnięty chwastami plac, gdzie w planach miało być ich boisko. Dalej zaczynały się chaszcze i drzewa. Zgromadziło się tu już kilkadziesiąt osób. Nad licealistami usiłowała zapanować Zuzanna Zdrój. Oczywiście nikt jej nie słuchał.

— Może to i nie był taki głupi pomysł z tą drabiną — mruknął Net, patrząc w stronę szkoły.

Przez przejście w parterze na tyłach budynku widzieli przeszklone drzwi na patio i kłębiący się w hallu tłum. Przejście było na tyle duże, że w razie

czego mogłaby tamtędy przejechać ciężarówka. Była to więc dobra droga ewakuacji, ale co z tego, skoro drzwi pozostawały zamknięte. Wreszcie pan Brudnica znalazł odpowiedni klucz i udało mu się dopchnąć do drzwi i otworzyć jedno skrzydło. Tłumek naparł na niego i nie pozwolił mu otworzyć drugiego, przez co wszystko trwało znacznie dłużej.

Uczniowie docierali na planowane boisko przez główne wyjście, obchodząc potem ogrodzenie wzdłuż ulicy. Był jeszcze jeden sposób wydostania się ze szkoły, ale drzwi znajdowały się dokładnie za ułożonymi równiutko workami z cementem. Jeżeli ktoś próbował tamtędy wyjść, miał pecha.

— Wiecie, jaka jest instrukcja ewakuacji restauracji? — Obok pojawił się zupełnie nieprzejęty całą sytuacją Oskar. — Zapłać, a potem biegnij w stronę wyjścia. Niezłe, co?

— Tak stary dowcip, że Piłsudski miał go na dysku — odparł Wiktor, stając obok.

— Dowcip o trzymaniu na dysku jest tak stary, że Piłsudski miał to w chmurze — dorzucił Net.

— W jakiej chmurze? — zapytała Klaudia.

— Jak włożysz petardę do dysku, to masz dysk w chmurze.

Coraz więcej kolegów i koleżanek z ich dawnej klasy gromadziło się w jednym miejscu. Odruchowo stawali obok siebie. Pierwszych dwóch policjantów, którzy dotarli na miejsce, kierowało ruchem.

Powietrze przeszył świdrujący gwizd. Pan Borkowski wypuścił z ust gwizdek i donośnym głosem polecił:

— Zbierajcie się klasami! Dalej od budynku. Tu pierwsza A — wskazał — tam pierwsza B, i tak dalej. Kolejno od waszej lewej. W następnym rzędzie tak samo drugie klasy, za nimi trzecie, a potem czwarte. Gospodarze klas pilnują porządku do czasu przybycia wychowawców. Cisza ma być!

Ale gospodarze klas jeszcze nie zostali wybrani, a nowe, mieszane klasy nie znały się na tyle dobrze, by uczniowie się rozpoznali. W efekcie z początkowego zamieszania zaczął się wyłaniać porządek, w którym grupowały się klasy, ale w starym układzie, zeszłorocznym. Oddzielnie stały klasy z Kuszmińskiego, oddzielnie z Siódemki. Z oddali zbliżały się dźwięki syren, a kolejni nauczyciele przeliczali swoje klasy.

Gdy wszyscy już opuścili szkołę, Felix zerknął na zegarek.

— Dwanaście minut.

Po przeliczeniu klasy przez Eftepa przyjaciele usunęli się nieco na bok.

— Co tu się właściwie dzieje? — zapytał ktoś z tyłu. — Nie widać dymu.

Przez tłum przebiegł szmer dyskusji.

Net wyjął telefon i chwilę dotykał ekranu.

— Bomba. — W porę ściszył głos, żeby nie robić paniki. — Wszystkie serwisy piszą, że to alarm bombowy. — Schował telefon i rozejrzał się. — A tu nikt nic nie wie. Bombowo. Nie będzie lekcji.

Nika stanęła na palcach i rozejrzała się.

— Nie widać Stokrotki — zauważyła, zaniepokojona. — Na strychu przecież słabo słychać dzwonek.

— Ale trochę jednak słychać — odparł Net. — Celowo został, żeby się nie zdekonspirować.

— Dyrektorzy też mogą słuchać muzyki w słuchawkach. Tym bardziej, jak przekopują się przez taką górę dokumentów. Powinniśmy o tym komuś powiedzieć.

— Jak powiemy, że on tam jest, to go wsypiemy — ostrzegł Net. — I cały misterny plan –

— A jeśli tam naprawdę jest bomba? — nie odpuszczała Nika. — Będziemy go mieć na sumieniu.

— Statystycznie dziewięćdziesiąt osiem koma trzy procent alarmów bombowych jest fałszywych.

— Dziewięćdziesiąt osiem koma trzy? — Felix podejrzliwie uniósł brew.

— No… tak mniej więcej. — Net wydął usta. — Dobra, wymyśliłem to przecież. No ale większość jest fałszywa.

— Szkoda mi Stokrotki — powiedziała smutno Nika.

Gmach szkoły i budynki po przeciwnej stronie ulicy otuliła niebieska poświata migających kogutów. Przybywało policjantów i strażaków. Nie podchodzili do budynku, otoczyli go tylko w pewnej odległości pachołkami i żółto-czarną taśmą. Ruch na przyległych ulicach został wstrzymany, a jednak pilnujący barierek policjanci przepuścili dużego czarnego sedana [1].

— Mercedes W124 — powiedział Felix.

— Wygląda na stary — zauważył Net.

— Bo to klasyk.

Silnik za to na pewno nie był oryginalny, bo brzmiał, jakby przełożono go ze znacznie większego pojazdu. Samochód zatrzymał się blisko bramy.

Wysiadł z niego wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna koło pięćdziesiątki, z czarnymi, przyprószonymi siwizną włosami. Miał czarne okulary i mimo upału nosił elegancki czarny garnitur. Ani trochę nie sprawiał wrażenia, jakby było mu gorąco. Gestem przywitał się z kilkoma mundurowymi, podpalił papierosa i wszedł na teren szkoły.

Przyjaciele rozpoznali go od razu.

— Mamrot! — szepnął Net.

Agenta specjalnego Mamrota spotkali już kilka razy w okolicznościach raczej niezbyt miłych. Przygarbili się więc nieco i wtopili w tłum, jak to tylko było możliwe. Mamrot i jego współpracownicy używali takich gadżetów, że ukrycie swojej tożsamości w ich pobliżu było bardzo trudne.

Mamrot zatrzymał się kilka metrów od worków z cementem i przyjrzał się zwisającym z okna szkieletom ławek.

Wąs podszedł do niego i oznajmił na wstępie:

— Na terenie szkoły nie wolno palić.

— Ani podkładać bomb. Pan jest dyrektorem?

— Romuald Wąs.

— Agent specjalny mnmhmn… — Podsunął mu pod nos legitymację. Nazwisko podał tak niewyraźnie, że nie dało się niczego zrozumieć.

Wąs spojrzał na legitymację i zbladł.

— Oryginalny system ewakuacyjny. — Mamrot wskazał drabinę.

Dyrektor nerwowo przełknął ślinę.

— Wiadomo już coś o tej bombie? — zapytał.

— Zaraz będą saperzy.

Wąs spojrzał na zegarek.

— Ile to może potrwać?

— Jak dobrze pójdzie, to kilka godzin — odparł agent. — A jak źle, to i parę lat.

— Parę lat? — dyrektor zmrużył oczy. — Co może zająć tyle czasu?

— Odbudowa szkoły. Niech pan rozpuści dzieciaki do domów.

— Stracą lekcje.

— Lepiej lekcje niż życie. Wszyscy przeliczeni? To za pięć minut ma ich tu nie być. Pan będzie potrzebny.

Odszedł, pozostawiając za sobą chmurkę gryzącego dymu.

Przyjaciele nie słyszeli ani słowa z tej rozmowy.

— Myślicie, że każą nam zapłacić za te ławki? — zapytał szeptem Net.

Felix tylko pokręcił głową.

— Co on tu robi? — drążył Net. — Dlaczego Mamrot zajmuje się tak banalną sprawą, jak próba wysadzenia w powietrze kilkuset gim… licealistów?

— Nie ma żadnej bomby — powiedział Felix.

Wszyscy aż przykucnęli, gdy z prawej strony coś huknęło. Zielony opancerzony samochód terenowy z napisem „Patrol saperski” sforsował nieotwieraną od lat bramę i zatrzymał się w pewnej odległości od budynku. Wyglądał jak powiększony model z gablotki Stokrotki. Saperzy nie chcieli tracić czasu na przecinanie zardzewiałej kłódki. Wysiadło z niego czterech żołnierzy, a z tyłu opuściła się hydrauliczna rampa, z której zjechał robot gąsienicowy ze złożonym ramieniem, zakończonym manipulatorem.

Felixowi zaświeciły się oczy. Gdyby nie okoliczności, już by przy nim był, żeby przyjrzeć się lepiej.

Wyraźnie zły Wąs wrócił do uczniów. Jeden z policjantów podał mu megafon i pokazał, jak włączyć.

— *Drodzy uczniowie!* — powiedział do mikrofonu dyrektor. — *Dzisiejsze lekcje zostały odwołane. Nie ma powodów do paniki. Powoli opuśćcie teren szkoły. Kontynuujcie naukę indywidualnie w domu.*

— Ale ja nie mam kluczy! — odkrzyknął ktoś. — Są w plecaku!

Wąs opuścił megafon, chwilę się zastanawiał.

— *Jeżeli ktoś nie ma kluczy…* — kontynuował — *może iść do kawiarni, odrobić pracę domową i zaczekać na rodziców.*

— Portfel też mam w plecaku!

— I zeszyty! — dodał kto inny.

— *Jeżeli ktoś nie ma kluczy, może zadzwonić po rodziców, żeby przyjechali po niego.*

— Telefony też mamy w plecakach!

Wąs z ponurą miną opuścił megafon i skinął na pana Borkowskiego. Naradzali się dłuższą chwilę.

— *Pożyczcie pieniądze od swoich wychowawców* — polecił Wąs. — *Oddacie jutro.*

Podeszła do niego chemiczka i powiedziała mu coś po cichu. Jednak wciąż włączony mikrofon sprawił, że usłyszeli to wszyscy:

— *Nasze portfele są w pokoju nauczycielskim.*

— Chodźmy stąd — powiedział Net. — Jeszcze naprawdę coś

wybuchnie. Albo ktoś.

Wraz z częścią uczniów ruszyli w stronę otwartej bramy.

— Jest temat do przegadania — Net konspiracyjnie zniżył głos. — Znalazłem coś w plikach mojego taty.

— Coś na temat terrorystów? — zainteresowała się Nika.

— Ciszej…! Chyba tak. Gdzieś usiądziemy, to wam pokażę.

Wyszli za bramę wraz z kilkunastoma uczniami. Nie mogli pójść do Zbędnych Kalorii, bo cała ulica została zamknięta. Sama kawiarnia zresztą zapewne też, stała przecież blisko budynku szkoły.

— Może do parku? — zaproponowała Nika.

Net skinął głową.

— Tam będzie lepiej słychać wybuch.

Nika spojrzała na niego z ukosa, ale nic nie powiedziała.

Kilka minut później siedzieli już na ławce w cieniu drzew. Fontanna kilka metrów od nich szemrała wodą, sprawiając, że było trochę chłodniej. Dwieście metrów dalej uwijali się strażacy i policjanci. Nieco bliżej kręcili się uczniowie, którzy nie mieli jak wrócić do domu albo byli nie dość zaradni, by zrobić cokolwiek poza czekaniem na rozwój wypadków. Na ławce usiadł pan Czwartek, by czuwać nad młodzieżą. Ani jemu, ani młodzieży ta sytuacja nie była na rękę.

— Zerknijmy na katalog mojego taty. — Net wyjął z plecaka tablet.

— Grzebałeś mu na dysku?! — oburzyła się Nika.

— Zaraz tam „grzebałeś”. — Net otworzył tablet i ustawił na kolanach. — Nie używajmy wielkich słów do określania przyziemnych czynności. — Wpisał kilka komend. — Hm… Katalog jest zakodowany.

— Umiesz rozkodować? — zapytał Felix.

— Potrzebuję mocniejszego sprzętu. — Poklepał tablet. — To bździdło muliłoby się z miesiąc. W domu to zrobię, nie chcę tego katalogu wrzucać do internetu. Wiecie, bezpieczeństwo, odpowiedzialność, rozsądek.

— Twoje trzy dewizy — uśmiechnęła się Nika.

— Nie da się nawet zajrzeć? — Felix nachylił się do ekranu. — Coś tam się da wyczytać?

— Tylko nazwa katalogu, Carrington. Nic mi to nie mówi.

Felix otworzył brudnopis na stronie, na której zapisał liczby 100, 120, 150, 500, 0911 i 1859. Dopisał za nimi słowo „Carrington”.

— Co to za liczby? — zainteresował się Net.

— Mój tata je zapisał podczas rozmowy telefonicznej z Instytutem. Mogą mieć związek ze sprawą.

— Cztery są inne.

— No, to nawet ja widzę — przyznała Nika. — Są trzycyfrowe.

— To też. Ważniejsze, że dzielą się przez dziesięć. Za to dziewięćset jedenaście to liczba pierwsza. No ale tam jest na początku zero, które pewnie coś oznacza.

— Może datę? Jedenastego września były zamachy w Nowym Jorku — zauważyła Nika. — W dwa tysiące pierwszym roku.

— World Trade Center — przytaknął Felix i dotknął dłonią czoła.

— Tak się przejąłeś? — zapytał Net. — To było dawno temu.

— Dziś jest jedenasty września.

— Stokrotka! — Nika spojrzała w stronę szkoły. — Terroryści chcą zrobić zamach w rocznicę. Musimy go ostrzec!

— Czekaj! — powstrzymał ją Net. — Nic nie wiemy. Jeżeli 0911 to data, to 1859 może oznaczać godzinę. Za minutę siódma. Kupa czasu.

— Nie wiemy tego na pewno.

— Niczego nie wiemy. Może też chodzić o dziewiąty listopada, o dziewiątą jedenaście albo o numer buta czyjegoś wujka.

— Alarm bombowy już mamy — odezwał się Felix. — Jeśli poznamy konkrety, możemy je przekazać policji. A ten ciąg liczb to nie jest konkret.

Chwilę wpatrywali się w kartkę. Nawet cień pomysłu nie zaświtał im w głowach.

— Carrington to nazwisko? — zapytała Nika.

Net wpisał „Carrington” w wyszukiwarkę. Przejrzeli kilkanaście pierwszych wyników. Nie znaleźli niczego, co by się mogło kojarzyć z terrorystami ani z badaniami Słońca. Najwięcej dotyczyło jakiegoś serialu telewizyjnego.

— Czemu nie poprosisz Manfreda? — zapytał Felix.

— Eee… nie chcę wyjść z wprawy.

— To dopisz jeszcze te liczby.

Net wklepał przed Carringtonem sześć liczb i nacisnął Enter. Pierwszy wynik dotyczył burzy magnetycznej z roku tysiąc osiemset pięćdziesiątego dziewiątego. Net już miał przewinąć dalej…

— Czekaj! — rzucił Felix. — Otwórz to.

— Burza magnetyczna? — Net bez przekonania kliknął w link.

Otworzyła się strona poświęcona astronomii.

— Chyba… Chyba to mamy! — Felix wskazał tekst i przeczytał na głos — „Dwudziestego ósmego sierpnia rozpoczęła się największa dotąd zaobserwowana burza słoneczna. Pierwszego września brytyjski astronom Richard Christopher Carrington zaobserwował rozbłysk na Słońcu. Drugiego września rozpoczęła się najsilniejsza w historii burza magnetyczna. Spowodowała awarie sieci telegraficznych na całym świecie”.

— Carrington… — Net pokiwał głową.

— Burza na Słońcu? — upewniła się Nika. — Magnetyczna?

— To dwie różne sprawy. — Felix przebiegł wzrokiem po tekście. — Ale wynikające z siebie. Burza słoneczna może spowodować gwałtowny rozbłysk i koronalny wyrzut masy… Obłok plazmy jest wyrzucany w przestrzeń kosmiczną z ogromną prędkością.

— Takie kichnięcie? — upewnił się Net. — W sensie „mokre” kichnięcie?

Felix skinął głową i dalej przebiegał wzrokiem po tekście.

— Masa plazmy sięga miliardów ton. Robi się naprawdę nieprzyjemnie, jeśli to „mokre” kichnięcie jest skierowane w stronę Ziemi. To właśnie się stało w roku tysiąc osiemset pięćdziesiątym dziewiątym.

— Sprawdzę na wszelki wypadek, gdzie mamy najbliższy schron atomowy — mruknął Net.

— Nie musisz. Plazma nie dociera do powierzchni Ziemi. Zderza się z ziemskim polem magnetycznym. Od tego właśnie powstaje burza magnetyczna, która zakłóca łączność radiową. Jeśli jest silna, może uszkodzić sieci energetyczne. To zjawisko nazywa się efektem Carringtona.

— Interesujące — przyznał Net. — Tylko co to ma wspólnego z terrorystami?

Felix wzruszył ramionami.

— Ciekawe… Podczas burzy magnetycznej wzrasta liczba usterek przy produkcji chipów komputerowych.

— Słaby motyw dla terrorystów.

— Taką burzę da się wywołać sztucznie? — zapytała Nika.

Felix ponownie wzruszył ramionami, a po chwili dodał:

— Nie sądzę.

— Patrzcie. — Net wskazał wejście do szkoły. — Jednak są ofiary.

Dwóch sanitariuszy schodziło po schodach z noszami. Ktoś na nich leżał,

ale z tej odległości nie dało się poznać kto. Załadowali nosze do ambulansu i odjechali, nie włączając syreny.

— Jeśli odjeżdżają bez sygnału — zaczął Net — to dobrze czy źle?

Telefon Niki zapikał. Wyjęła go z torby i spojrzała na ekran – wyświetlał wiadomość z nieznanego numeru. Wiadomość brzmiała: „1116”.

— Od kogo to przyszło? — zapytał Felix.

— Nadawca nieznany — odparła Nika.

Felix sięgnął do kieszeni i trafił jedynie na paczkę chusteczek higienicznych.

— No tak… Telefon jest w sekretariacie. Możecie wysłać do moich rodziców SMS-a, że wszystko OK? Nie chcę, żeby się martwili, jak usłyszą o tej ewakuacji.

Net skinął głową i zaczął pisać.

— Jeżeli to „1116” oznacza jedenastą szesnaście — Felix zerknął na zegarek — to za dwie godziny.

— Za dwie godziny sonda uderzy w Słońce? — upewniła się Nika.

Felix wziął od Neta tablet i wpisał kilka adresów do przeglądarki. Przyjaciele nachylili się nad nim.

— Burzy słonecznej nie da się przewidzieć z dużym wyprzedzeniem. — Przeglądał kolejne strony. — Jest niemal pewne, że wystąpi w okresie wysokiej aktywności Słońca. To co jedenaście lat i właśnie teraz mamy taki okres. Satelity obserwują Słońce ze wszystkich stron, dzięki temu potrafimy przewidzieć rozbłysk na Słońcu z wyprzedzeniem… niewiele ponad godziny. Tyle że nie każda burza słoneczna powoduje efekt Carringtona. To zdarza się średnio co sto pięćdziesiąt lat.

— Jeżeli to się zdarza co sto pięćdziesiąt lat, to powinno się wydarzyć, jak byliśmy mali — szybko policzyła Nika.

— To nie działa tak precyzyjnie. — Felix przełączył stronę. — Według innych źródeł to może się wydarzyć co sto, sto dwadzieścia albo i co pięćset lat.

— No to mamy pozostałe liczby — zauważył Net.

— Mniejsze burze magnetyczne przydarzały się częściej. Na przykład w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym taka burza uszkodziła sieć energetyczną w prowincji Quebec w Kanadzie. Odcięła miliony ludzi od prądu i miała poważne skutki ekonomiczne. Słabsze burze wydarzały się w latach 1921 i 1960.

— Ale co to ma wspólnego z terroryzmem i naszymi tatami? — zapytał Net.

Felix zmrużył oczy i spojrzał w niebo prześwitujące między liśćmi.

— Szkoda, że nie ma Manfreda. — Powrócił do klawiatury. — To by ułatwiło.

— Nie przyzwyczajaj się tak do mojego tabletu. — Net powiercił się na ławce, wpatrując się w tablet. — Może byś tak sobie kupił jakiś laptop, czy coś? Byś nie musiał sępić.

— Mam laptop. Jest duży i ciężki. — Felix wyświetlił prostą animację przedstawiającą lądowanie sondy *Far Diver*. Puknął w ekran. — Tak jak myślałem – źródłem ciepła próbnika *Diver* jest rozpad promieniotwórczy. — Wskazał animowaną sondę przetapiającą się przez lód Europy.

— Ta sonda ma znaleźć na Europie życie? — zapytał Net. — Jak znajdzie obcych, to trzeba będzie ich nazwać Europejczykami.

Nika uśmiechnęła się.

— Nie wystarczy grzałka do herbaty, żeby się przetopić przez dwadzieścia kilometrów lodu — kontynuował Felix. — I to bardzo zimnego. Lód o temperaturze minus dwustu stopni wymaga wiele energii, by na chwilę zamienić się w wodę. Rozumiecie? — Popatrzył na przyjaciół. Chyba nie rozumieli. — Sonda *Far Diver* to mała bomba atomowa. W dużym uproszczeniu zasada działania bomby atomowej i reaktora atomowego jest podobna. W reaktorze reakcja jest kontrolowana i zachodzi powoli. Wystarczy usunąć zabezpieczenia i…

— *Bum!* — podpowiedział Net.

— Jakoś tak — zgodził się Felix. — A to terroryści lubią najbardziej.

— Jacy terroryści? Przecież to jest sonda amerykańskiej agencji kosmicznej.

— Sonda miała badać Europę, a leci w przeciwną stronę, gdzie jej przyrządy do niczego się nie przydadzą. — Felix zastanowił się chwilę. — Wygląda na to, że została uprowadzona. Ktoś przejął nad nią kontrolę, ale nie chcą tego przyznać oficjalnie.

— Ale ona nie leci w stronę Ziemi — przypomniała Nika. — Myślicie, że ci terroryści chcą… wywołać efekt Carringtona?!

Nikt nie odpowiedział, bo nikt nie miał pojęcia.

— Sądzę, że to niemożliwe — powiedział w końcu Felix. — Za duża różnica mas i energii.

— Tam lecą jeszcze cztery inne sondy — przypomniał Net.

— Parę dni temu naukowcy stracili kontrolę nad kilkoma radioteleskopami obserwującymi Słońce — dodał Felix. — Komuś bardzo zależy na aktualnej wiedzy na ten temat.

— Możemy zapytać Czwartka. — Nika wskazała głową fizyka, który siedział po przeciwnej stronie fontanny, zaczytany w książce. — On ma to w głowie. Będzie szybciej, niż grzebać po internecie.

— I będą to informacje zweryfikowane. — Felix oddał Netowi tablet i wstał. — Spróbujmy.

Część licealistów czekała w pobliżu szkoły, by odebrać swoje rzeczy, gdy alarm zostanie odwołany. Teraz przymusowo odkrywali atrakcje z czasów sprzed smartfonów i internetu. Jako pierwsze – rozmowę i spacer.

Przyjaciele podeszli do pana Czwartka, który zerkał znad okularów na uczniów kręcących się w pobliżu.

— Przepraszamy, że przeszkadzamy — zaczęła Nika.

— Nie przepraszajcie. — Nauczyciel zamknął powieść science fiction *Różaniec*. — Jestem w pracy i właśnie trwa druga lekcja. A w dodatku jestem pewien, że każde pytanie, jakie zadacie, będzie ciekawsze od tego, co jest w programie nauczania. Bo już się do niego dobrałem. — Triumfalnie uniósł tablet wystający z torby. — Posiedziałem nad tym pół godziny i się dobrałem.

— Nie chcielibyśmy zawracać panu głowy — powiedziała Nika.

Pan Czwartek ostentacyjnie schował książkę i spojrzał na dziewczynę.

— Możecie mnie mieć na wyłączność. — Porozumiewawczo uniósł okulary i uśmiechnął się. — Płacą mi dziś za zajęcia do piętnastej. A nie ma jeszcze dziesiątej. — Kciukiem wskazał szkołę. — Tamci prędko nie skończą, więc mamy czas.

Felix nabrał powietrza i wyrzucił z siebie:

— Załóżmy, że wysyłamy wprost w Słońce bardzo silny ładunek nuklearny. Czy można w ten sposób wywołać rozbłysk słoneczny, który w efekcie spowoduje na Ziemi efekt Carringtona?

— Efekt Carringtona? — Fizyk zamyślił się. — Burza magnetyczna, prawda? Spalone telegrafy? To się zdarza raz na…

— … sto pięćdziesiąt lat — podpowiedział Felix.

— Raz na sto pięćdziesiąt lat. — Fizyk pokiwał głową. — Ciekawa teoria, ale czemu nurtuje was to akurat dzisiaj?

— Bo zostało półtorej godziny do kolejnego efektu Carringtona! — rzucił Net, po czym zasłonił sobie usta i kontynuował ciszej — oczywiście to jest *top top top secret*, ale my to wiemy. Ta bomba w szkole to przy tym pikuś. Zresztą jej nie ma. Statystycznie dziewięćdziesiąt osiem koma trzy procent alarmów bombowych jest fałszywych. Oczywiście to wymyśliłem, ale jestem blisko prawdy.

— Net… — jęknęła Nika.

— Dobra, już się zamykam.

Czwartek znów pokiwał głową i powiedział:

— Mówiłem, że będzie ciekawie. Co zaś do bomby atomowej i Słońca, to lepiej byłoby użyć bomby termojądrowej. Jest zdecydowanie wydajniejsza. O ile pamiętam, największa bomba termojądrowa, jaka kiedykolwiek została zdetonowana, ważyła dwadzieścia siedem ton. Razem z osprzętem, obudową, statecznikami, a pewnie i dokumentacją. Ile ważył sam ładunek, nie mam pojęcia. Bomba termojądrowa, zwana czasem wodorową, w wyniku reakcji nuklearnej „spala” wodór, a dokładniej to w wyniku fuzji nuklearnej zamienia izotopy wodoru w hel. — Spojrzał na przyjaciół. — To, co mówię, jest zrozumiałe?

Przyjaciele równocześnie poruszyli głowami: Felix z góry na dół, Net i Nika z prawa na lewo.

— Niestety, nie mogę przeprowadzić doświadczenia w szkole — ciągnął nauczyciel. — Nie zostałyby nawet fundamenty. Musicie mi uwierzyć na słowo. Fuzja nuklearna to nie jest reakcja chemiczna; to zamiana jednego pierwiastka w inny. Uwalnia ogromne ilości energii. Jeżeli opalacie się na plaży, to grzeje was wielki naturalny reaktor. — Nauczyciel wskazał w górę. — Słońce jest właśnie tym reaktorem, takim powolnym wybuchem nuklearnym, a ściślej mówiąc, powolną fuzją, trzymaną w ryzach przez siły własnej grawitacji. Dwadzieścia siedem ton, czy to dużo? — Zastanowił się. — Choć sam ładunek był znacznie mniejszy, taka bomba mogłaby zamienić dowolne z największych miast na Ziemi, razem z przedmieściami, w zeszkloną pustynię, niezdatną do życia przez tysiące lat. Ale czy to dużo w skali kosmicznej? Słońce, które w tej skali kosmicznej jest niewielką gwiazdą, „spala” ponad sześćset milionów ton wodoru w każdej sekundzie. I tak od przeszło czterech miliardów lat. Nawet gdyby cała Ziemia ze wszystkimi głowicami nuklearnymi, reaktorami w elektrowniach, złożami pierwiastków promieniotwórczych i wszystkimi waszymi ciekawymi

pytaniami spadła na Słońce, nic by się nie stało.

— Jak to… nic? — zapytał niepewnie Net.

— To znaczy w funkcjonowaniu Słońca nic by to nie zmieniło. Kichnięcie komara na grzbiecie słonia. W każdej sekundzie Słońce emituje tyle energii, ile nasza dzisiejsza cywilizacja wytworzyłaby w jakiś milion lat.

— Pan to wszystko pamięta? — zapytała z niedowierzaniem Nika.

— Nie zawsze można zajrzeć do internetu. — Czwartek uśmiechnął się. — Jeśli w wyniku potężnej burzy magnetycznej nastąpi efekt Carringtona, to za dwie godziny internetu już nie będzie. Zostaniemy z tym, co mamy w głowach — położył dłoń na książce — lub na papierze.

Przyjaciele patrzyli na niego z szeroko otwartymi oczami.

— Istnieje sieć satelitów słonecznych — powiedział wolno Felix. — One prześlą ostrzeżenie.

— Nie da się przesłać informacji o nadciągającej fali elektromagnetycznej — wyjaśnił Czwartek. — Ona się porusza z prędkością światła. Z taką samą, co sygnał ostrzegawczy z tych satelitów. A przy odpowiednio silnym rozbłysku te satelity spalą się jako pierwsze. — Fizyk zastanowił się chwilę. — Każdy rozbłysk słoneczny, skierowany w stronę Ziemi, może być niebezpieczny. Najpierw przychodzi fala elektromagnetyczna, która zakłóca na przykład transmisję radiową, więc i działanie telefonów, internetu. Po niej, kilkanaście minut później, docierają do nas strumienie cząstek, w tym promieniowanie rentgenowskie. Te nie przebijają się przez atmosferę, są zagrożeniem dla satelitów i ludzi na stacjach orbitalnych. Obecnie mamy jedną stację orbitalną – ISS. Na ten czas astronauci chowają się w specjalnym „bunkrze”. Trzeci etap to plazma, która nie składa się z normalnych atomów, lecz z mieszanki protonów i elektronów. I to one robią największe zamieszanie, bo najsilniej wpływają na ziemską magnetosferę. To właśnie kiedyś wyłączy nam internet. — Nauczyciel zamilkł na chwilę. — Wyłączy nam też prąd. I to na długo.

Przyjaciele patrzyli na niego, oczekując dalszego ciągu. I ten nastąpił:

— Jeśli chcielibyście poznać koniec świata, jaki znamy, to efekt Carringtona jest jak najbardziej prawdopodobnym scenariuszem. Szybkie zmiany pola magnetycznego podczas burzy magnetycznej powodują indukowanie siły elektromotorycznej w przewodnikach, a ta z kolei powoduje przeciążenie transformatorów wysokiego napięcia. Czyli ich zniszczenie. Sieć energetyczna przestaje istnieć w kilka sekund. Nie ma

prądu, nie ma internetu, nie działają karty kredytowe, psuje się żywność w zamrażarkach, zatrzymują się pociągi, windy, samoloty nie startują, stają fabryki. Wszystko zamiera. Koniec cywilizacji.

— Wszystko? — zapytał Net.

— Windy, tramwaje, maszyny do szycia. Wszystko, co jest na prąd, przestaje działać. — Czwartek mówił to ze stoickim spokojem, jakby opisywał wymianę koła w samochodzie. — Urządzenia zasilane akmulatorowo będą działać, dopóki baterie się nie wyczerpią.

— A nie będzie ich jak naładować — zauważył Felix.

— Mam nadzieję, że zaspokoiłem waszą ciekawość. — Czwartek uśmiechnął się. — Coście tak pobladli? Więcej na ten temat może wam powiedzieć astronom, jeśli jakiegoś znacie.

Przyjaciele podziękowali i odeszli, pozostawiając zamyślonego Czwartka.

— Astronom — odezwał się Net. — Nie znamy żadnego astronoma.

— Znamy — zaprzeczyła Nika. — I pora go odwiedzić.

* * *

Ruch był zdecydowanie mniejszy, niż gdy ostatnio odwiedzili to miejsce. Od tego czasu otwarto dalszy ciąg obwodnicy Warszawy i ta trasa wylotowa traciła na znaczeniu, z czego z pewnością cieszyli się mieszkańcy, za to przedsiębiorcy wprost przeciwnie.

Od strony dwupasmówki dom przylegał do chodnika ścianą, na której jedyne małe okna znajdowały się na drugim piętrze. Ściana przechodziła w dwuipółmetrowy mur, z którego poodpadały całe połacie tynku, odsłaniając stare cegły. Dopiero za rogiem, od strony wąskiej ślepej uliczki, zaczynało się kute ogrodzenie z grubych prętów. Ogród zarósł tak, że za ozdobną przekrzywioną furtką prawie nie dało się dostrzec alejki. Ponad krzaki i stare drzewa wystawał dom, który przypominał wieżę zakończoną blaszaną kopułą. Jej miedzianą powierzchnię pokrywała zielona patyna [2].

Tak jak i poprzednio, przyjaciele nie znaleźli dzwonka. Felix pchnął furtkę, która z przejmującym piskiem otworzyła się ledwie do połowy. Dalej nie pozwalały gałęzie. Przejście alejką wydawało się niemożliwe.

— Masz w tym swoim plecaku sekator? — zapytał ironicznie Net.

— Mam piłę do drewna — odparł zupełnie poważnie Felix. — I nie

w plecaku, tylko przy pasku.

Nika i Net przyzwyczaili się już, że Felix nosi przy sobie wiele rzeczy, które wydają się niepotrzebne, a jednak w pewnych okolicznościach okazują się niezbędne. I to był właśnie ten przypadek.

Felix wyjął multitoola z etui przy pasku i otworzył końcówkę z piłą do drewna. Nie była długa, ale i tak za jej pomocą szybko udało się uporać z gałęzią blokującą furtkę.

— Niszczymy komuś ogród — zauważyła Nika.

— Raczej pielęgnujemy — zaprzeczył Net. — Jak ktoś się do nas doczepi, zagrozimy mu wystawieniem rachunku za usługę ogrodniczą.

— Nikt tędy nie przechodził od wielu miesięcy — powiedział Felix.

Ciął grubsze gałęzie, cieńsze łamał. W kilka minut pokonali pierwsze metry alejki. Dalej, z powodu mniejszej ilości światła słonecznego, gęstwina rzedła. Wystarczyło, że się pochylili, i mogli iść przez zielony tunel. Mimo bliskości ulicy, panował tu spokój – liście tłumiły hałas.

Dotarli do drzwi wejściowych z tabliczką „Piotr Figlewski. Astronom”. Wycieraczkę pokrywał kurz i wyschnięte kwiatki spadłe z krzewów. Tak, zdecydowanie nikt tędy nie przechodził od miesięcy. Nika nacisnęła przycisk dzwonka, ale z wnętrza nie dobiegł żaden dźwięk.

— Nie ma prądu. — Felix donośnie zapukał w drzwi i dłuższą chwilę nasłuchiwał. Cisza.

Dopiero teraz dostrzegł niewielką kartkę naklejoną na zamek w drzwiach i futrynę. Papier pomarszczył się od moknięcia na deszczu i wysychania. Felix pochylił się i przeczytał krótki tekst wpisany w rubryczki wyblakłym teraz tuszem, uprawomocniony ledwo widocznym stemplem.

— Plomba policyjna — ocenił. — Data sprzed pięciu miesięcy.

— Piszą tam, o co chodzi? — Net próbował coś dojrzeć, ale było za mało miejsca.

— Jest tylko numer sprawy. Możemy poprosić Manfreda –

— Nie…! Nieważne. To przecież… no, nieistotne to jest.

Felix spojrzał na zegarek. Za kwadrans jedenasta. Nacisnął klamkę, a drzwi otworzyły się z cichym skrzypieniem.

— No nie wiem… — szepnął Net.

Owionęło ich chłodne powietrze, niosące ze sobą woń stęchlizny i czegoś jeszcze, czegoś mniej przyjemnego. Felix ostrożnie przestąpił próg i pstryknął włącznikiem światła, co zgodnie z przewidywaniami nic nie dało.

— Dzień dobry! — zawołał Felix. — Jest pan tam?!

— Jak ma być? — Net wszedł za nim. — Myślisz, że policja go zaplombowała za niezapłacony mandat?

— Wypada zapytać.

— Chyba nie powinniśmy tam wchodzić — Nika wciąż stała na zewnątrz.

— Statystycznie biorąc, to w sześćdziesięciu sześciu procentach już weszliśmy — zauważył Net.

Nika rozejrzała się, w zasięgu wzroku była tylko zielona gęstwina. Dziewczyna westchnęła ciężko i weszła za przyjaciółmi.

Felix szedł przodem. Rozglądał się i sprawdzał podłogę przed sobą, jakby się obawiał pułapki. Dom wyglądał tak, jak go zapamiętali. Niewielki, chyba nigdy nieodkurzany przedpokój zastawiony był gratami. Nika zmarszczyła nosek.

— Śmierdzi nawet gorzej niż poprzednio — stwierdził Net. — A myślałem, że to niemożliwe.

Rzeczywiście, przykra woń nasiliła się, i nie był to zapach pokoleń kotów, które tu mieszkały od dziesięcioleci.

— Panie Piotrze! — zawołała Nika. — Tu Felix, Net i Nika. Byliśmy już u pana.

Felix doszedł do schodów, a Net zajrzał do kuchni.

— Oż ty…! — Aż złapał się futryny. — Chyba nie odpowie.

Przyjaciele momentalnie znaleźli się obok i zamarli. Wszystkie blaty zastawione były garnkami, brudnymi szklankami i pustymi słoikami. Na stole stało kilka kolejnych kubków i filiżanek, w których rosła pleśń. Jednak znacznie większe wrażenie robiło to, co znajdowało się na podłodze – ciemniejszy ślad, w którym po chwili rozpoznali zarys sylwetki leżącego tu kiedyś człowieka.

— Powinniśmy stąd wyjść — powiedziała Nika.

— Powinniśmy — zgodził się Net.

— Powinniśmy — przytaknął Felix. — Ale jeszcze nie teraz.

— On nie żyje. — Nika zasłoniła nos dłonią i wycofała się do przedpokoju. — Niczego się nie dowiemy.

Przeszli do wciąż otwartych drzwi wejściowych.

— Pomyślcie, gdyby żył — zaczął Felix — nie miałby nic przeciwko temu, żebyśmy użyli jego teleskopu. Jeśli zaczekamy dwadzieścia minut,

zobaczymy, co się stanie na Słońcu.

— Stary… — jęknął Net. — Możemy to zobaczyć w telewizji. Albo w internecie.

— Nie sądzę. Do tej pory nie było żadnej informacji.

— Dlaczego trzymają to w tajemnicy? — zapytała Nika. — Ludzie mogliby się przygotować.

— Rządy zwykle boją się paniki. — Felix sięgnął po telefon i znów natrafił tylko na chusteczki. — Człowiek się przyzwyczaja do technologii. Daj tablet. Znalazłem raport na ten temat. — Wziął od Neta tablet, wpisał adres i zaczekał, aż wczyta się strona. — Posłuchajcie choćby tego: „Nie istnieje żaden kompleksowy system zabezpieczeń przed skutkami efektu Carringtona. Żadna z firm energetycznych czy informatycznych nie chce ponosić dodatkowych kosztów, skoro taka katastrofa zdarza się niezwykle rzadko”. — Oddał tablet. — Jest za późno na przygotowania. Trzeba było je zacząć wiele lat temu. My możemy się przygotować. Możemy zrobić zakupy i ostrzec znajomych.

— Powinniśmy ostrzec wszystkich — zauważyła Nika.

— Wykupią żarcie ze sklepów przed nami! — zaoponował Net.

— Jesteś egoistą.

— Jak wszyscy nasi przodkowie, którzy przeżyli.

— Zanim kogokolwiek ostrzeżemy, musimy zobaczyć, co się stanie — przerwał Felix. — Po pierwsze, fałszywy alarm bardziej szkodzi, niż pomaga, a po drugie nikt nam nie uwierzy.

Nika niechętnie spojrzała na drzwi do kuchni.

— To tylko ślad sprzed pół roku — dodał Felix.

— Jak nas tu przydybią, to będzie wyglądało na włamanie — zauważył Net.

— Formalnie biorąc — Felix zastanowił się — tak.

— Stary… — Net pokręcił głową. — Ty lepiej popracuj nad skilami negocjacyjnymi.

— Zróbmy to — powiedziała nieoczekiwanie Nika. — Tylko nie dotykajmy niczego… bez potrzeby. Może nikt nie zauważy, że tu jesteśmy.

Chłopcy popatrzyli na siebie. Felix jednym palcem pchnął drzwi wejściowe. Zatrzasnęły się, odcinając resztkę dźwięków z zewnątrz. Jedynie co jakiś czas wyczuwali lekkie drżenie podłogi, wywołane przez przejeżdżającą obok ciężarówkę.

Stali jeszcze chwilę, upewniając się w decyzji, nim ruszyli w głąb domu. Obok schodów natrafili na fragment ściany z wybitą dziurą. Felix przyjrzał jej się z bliska i zaświecił latarką. To nie było drewno, tylko rodzaj filcu, który został rozerwany dziesiątkami drobnych cięć i zwisał teraz płatami. Wewnątrz leżało trochę brązowego granulatu.

— Karma dla kotów — przypomniała sobie Nika. — Astronom mówił, że kiedy umrze, minie trochę czasu, zanim ktoś to zauważy. Nie chciał, żeby koty zdechły z głodu. To był mądry człowiek.

Weszli na piętro i ruszyli krótkim korytarzykiem do trzeszczących, kręconych schodów, którymi wspięli się na dwie kolejne kondygnacje, aż do sporej drewnianej klapy w suficie. Felix pchnął ją, a ta uniosła się bez trudu na zawiasach i opadła z łomotem na przeciwną stronę. Światło latarki wydobyło z głębokiej ciemności przyśrubowany do podłogi solidny metalowy cokół, na którym umocowano kilkumetrowy teleskop, przykryty grubym szarym brezentem. Tak jak poprzednio, skojarzył się przyjaciołom z przygarbioną bestią, uwięzioną przez szalonego naukowca.

Wolno weszli do wnętrza kopuły. Tu było wyraźnie cieplej niż w reszcie domu. Światło latarki padło na przypiętą do brezentu zakurzoną, złożoną na cztery kartkę z napisem: „Jednak wróciliście”.

Mimo panującej tu temperatury przyjaciele poczuli chłodne ukłucie niepokoju. Rozejrzeli się. Wśród leżących pod ścianami rupieci nie zauważyli nikogo ani niczego, co wyglądałoby groźnie.

— Piotr Figlewski był również dowcipnym człowiekiem — stwierdził Net. — Można wręcz powiedzieć, że figlarnym.

Nikt się nie zaśmiał z dowcipu.

Felix odczepił kartkę i rozłożył ją.

— Czy tam jest napisane: „Zagrajmy w pewną grę”? — Net zerknął w stronę schodów.

Felix pokręcił głową i przeczytał krótki list:

— „Jeśli to czytacie, to znaczy, że ja Wam już nie mogę pomóc. Ale nie krępujcie się, by skorzystać z teleskopu, jeśli może się Wam na coś przydać”. — Schował kartkę do kieszeni. — Mamy pozwolenie.

— To nie musi być wiadomość dla nas — zauważyła Nika.

— Może jest dla wszystkich.

Wspólnie z Netem ściągnął brezent, wzbijając przy okazji tuman kurzu. Felix zakaszlał i odblokował zamek na obrotowej podstawie kopuły.

Przesunął w bok, ciągnąc za uchwyt, a sięgająca wierzchołka dachu pokrywa kopuły przesunęła się na prowadnicy w bok. Towarzyszył temu piekielny zgrzyt, od którego mogły rozboleć zęby. Do wnętrza, wraz z gorącym powietrzem, wpadły odgłosy ulicy. Zrobiło się tak jasno, że przyjaciele musieli zmrużyć oczy.

— TO może ktoś zauważyć — powiedział cicho Net.

Z obudowy miedzianego nitowanego tubusa wystawało kilkanaście śrub, pokręteł i korbek.

— Będziemy musieli kręcić ręcznie — powiedział Felix. — Nie ma elektrycznego systemu stabilizacji obrazu.

— I…? — Net spojrzał na niego pytająco.

— Słońce nie stoi w miejscu.

— Kopernika krytykujesz?

— Mówię o pozornym ruchu Słońca. Ziemia obraca się wokół własnej osi, a dodatkowo okrąża Słońce.

— Ale robi to bardzo wolno.

Chwilę zajęło, nim sobie przypomnieli, która korbka do czego służy. Te większe przesuwały teleskop szybciej, a mniejsze bardziej precyzyjnie.

— Zostało siedem minut. — Felix wycelował obiektyw z grubsza w stronę Słońca.

— Czekaj, zerknę — zaoferował się Net.

— Lepiej nie. — Nika wskazała mu smużkę dymu, unoszącą się z podłogi w miejscu skupienia promieni słonecznych.

— Chyba potrzebujemy jakiegoś filtra przeciwsłonecznego — przyznał Net.

Felix szybko pokręcił regulacją ostrości i jasny punkt rozlał się we wciąż jasną, ale sporą plamę. Dym się rozwiał.

Zaczęli przeszukiwać skrzynie z osprzętem optycznym. W wyłożonych filcem przegródkach leżały soczewki, tulejki, części zamienne, ale nie było niczego, co by przypominało ciemne szkło. Felix wstał, unosząc w dłoniach półtorametrową tubę z jednym końcem zamkniętym klapką zakończoną mosiężną sprzączką i paskiem. Otworzył ją i wyciągnął zawartość: rodzaj statywu i rulon białego materiału przypominającego karton zakończony listewkami.

— To mi nie wygląda na filtr — zauważył Net.

— Bo to nie filtr, tylko ekran. — Felix rozstawił statyw i przyczepił do

niego z góry krawędź ekranu. — Zamiast przyciemniać obraz, lepiej go powiększyć. Promieniowanie rozłoży się na większej powierzchni.

Rozwinął ekran i przyczepił go również na dole. Powierzchnię znaczyły załamania i drobne pęknięcia, ale z grubsza była równa.

— Kino domowe. — Net pokiwał głową. — Obejrzymy zaraz film dokumentalny *Koniec świata*.

Felix ponownie zanurkował w skrzynkach. Po krótkich poszukiwaniach wyjął mosiężny element nieco przypominający obiektyw od starego aparatu fotograficznego. Zdemontował z końca teleskopu okular i założył w jego miejsce znacznie większe znalezisko. Wyregulował, a na ekranie pojawiła się część tarczy słonecznej. Niestety była niewiele jaśniejsza od tła.

— No i lipa. — Net włożył ręce do kieszeni.

— Jest za jasno. — Felix podrapał się za uchem.

— Czemu wcześniej na to nie wpadliśmy? — parsknął Net. — Słońce lepiej obserwować nocą.

Felix zerknął na zegarek. Zostało cztery minuty. Przyjrzał się teleskopowi, potem konstrukcji kopuły. Podłużny otwór powstały po przesunięciu pokrywy był zbyt duży, by próbować go uszczelniać brezentem.

— Świat się skończy, a my nawet tego nie zauważymy — narzekał Net. — A mogliśmy spędzić ten dzień, ciesząc się życiem w błogiej nieświadomości.

— Nie pomagasz.

— Powiedz w czym, to chętnie pomogę.

Felix przyjrzał się otworowi w kopule przed szkłem teleskopu. Przesunął dźwignię. Z przeraźliwym zgrzytem przesunęła się płyta z okrągłym otworem i w pomieszczeniu znów zrobiło się ciemno.

— Osłona przeciwsłoneczna — zauważył Net. — Sprytne.

Felix pokręcił korbkami, aż obraz Słońca znów znalazł się na środku ekranu. Przez szczeliny między blachami przedostawało się trochę światła, ale tym razem obraz trzymał ostrość i kontrast.

— Łał… — szepnęła Nika. — Jakie to piękne…

Ognista tarcza nie była jednolitą jasną powierzchnią. Przypominała kocioł z bulgoczącą magmą, pełną pulsujących odcieni żółci, pomarańczu i czerwieni. Nad powierzchnię unosiły się wstęgi, jaskrawe tak, że niemal białe. Po łuku opadały w gorącą kipiel.

— To niewielkie rozbłyski — powiedział Felix. — Te, które możemy

zobaczyć w tej skali, i tak są większe od Ziemi, ale zbyt słabe, by uwolnić się od grawitacji i pola magnetycznego Słońca. Spadają, zamiast odlecieć w przestrzeń. Dzieje się to zbyt wolno, by dało się dostrzec bez przyspieszonego tempa.

Wpatrywali się w ten obraz jak urzeczeni. Felix co kilkanaście sekund regulował ostrość.

— Jak ty chcesz tutaj dostrzec *Far Diver*? — zapytał Net. — W tej skali jest pewnie mniejszy od atomu.

— Jeżeli cokolwiek zobaczymy, to tylko efekt. — Felix sprawdził czas. — Została minuta. Wybuch będzie wielkości… może milimetra.

Wpatrywali się w napięciu w metrowej średnicy tarczę słoneczną. Nika ściskała dłoń Neta.

Coś zapiszczało alarmem. Wszyscy aż podskoczyli.

— To już. — Felix sięgnął do zegarka i nacisnął przycisk. — Ustawiłem timer. Jest jedenasta szesnaście.

— Nic się nie wydarzyło. — Net wyprostował się i pokręcił głową na wszystkie strony, by rozluźnić napięte mięśnie karku. — To dziwne, ale czuję się… rozczarowany. Sonda wpadła jak ziarnko maku w szambo. W sumie to było do przewidzenia.

— Czwartek powiedział „kichnięcie komara na grzbiecie słonia” — przypomniała Nika.

— Zbyt duża różnica mas i energii. — Felix pokiwał głową, choć nie wyglądał na przekonanego. — Tylko coś tu nie pasuje. Jeżeli ktoś umie przejąć kontrolę nad sondą kosmiczną, to chyba nie jest tak głupi, żeby robić to bez powodu.

Westchnął i obrócił się, by otworzyć osłonę przeciwsłoneczną.

— Popatrzmy jeszcze chwilę — poprosiła Nika. — Skoro już tu jesteśmy.

— W innych pasmach wygląda jeszcze lepiej.

— Pasmach?

— Częstotliwościach fal elektromagnetycznych — wyjaśnił Felix. — Na tym ekranie widzimy tylko światło, czyli pasmo widzialne… co jest oczywiste. Daj tablet. — To było do Neta. — Słońce emituje promieniowanie poza tym pasmem.

— Masz, nie zepsuj. — Net niechętnie podał mu tablet.

Felix wklepał adres i na ekranie wyświetliły się kolejne obrazy, na

których Słońce wyglądało zupełnie obco, czasem jak czarna kula z pojedynczymi płomieniami chaotycznie rozpalonych ognisk; czasem jak wykonane z szarego kamienia; a czasem pokryte delikatnym niebieskim futrem.

— Piękne — przyznała Nika, biorąc tablet od Felixa. — Ale wiecie co, ja i tak cały czas się zastanawiam, kogo zabrał ten ambulans.

— Nie dowiemy się tak łatwo — odparł Net. — Większość telefonów leży w szkole.

— I tak dobrze, że w tej panice nie było więcej ofiar. — Felix wstał. — Jutro rano się wszystko wyjaśni.

— Chodźmy. — Nika odłożyła tablet i wstała. — Koniec świata musi zaczekać.

Wiedziała, że ten koniec nie nastąpi, nadejdzie za to kres jej małego, prywatnego świata.

Zajrzała do torby, gdzie leżała koperta bez znaczka, zawierająca list, który miał zmienić wszystko.

Felix dotknął ekranu i zamknął okno z obrazami Słońca. Teraz wyświetlał się raport o efekcie Carringtona. Chłopak wyprostował się powoli i wpatrywał w ekran z niedowierzaniem.

— Co? — Nika spojrzała na niego z niepokojem.

— Właściwie nic takiego. — Odwrócił do niej tablet. — Ale dopiero teraz zauważyłem, kto napisał raport, który przeglądam od kilku dni.

— Piotr Polon i Marek Bielecki — przeczytała Nika.

— Nasi starzy?! — wykrzyknął Net. — Od kiedy oni się znają na astronomii?

— To raport dotyczący możliwych skutków efektu Carringtona. Posłuchajcie tego: „Współczesny przemysł i gospodarka to skomplikowany układ naczyń połączonych. Zniszczenie transformatorów wysokiego napięcia oznacza awarię całej sieci energetycznej. Wyprodukowanie nowych transformatorów będzie bardzo utrudnione, ponieważ fabryka transformatorów zostanie pozbawiona zasilania i dostaw surowców. To tylko jeden z najbardziej oczywistych przykładów”.

— Czyli, gdyby sonda *Far Diver* jednak spowodowała rozbłysk…

— Koronalny wyrzut masy — sprecyzował Felix. — Tak, mielibyśmy poważne kłopoty. Cała nasza cywilizacja miałaby poważne kłopoty.

— Jakiś taki mniejszy się poczułem. — Net przeciągnął się. — Mniejszy,

ale bezpieczniejszy.

— Posprzątajmy tu. — Felix oddał Netowi tablet i podszedł do osłony przeciwsłonecznej. — Nie mogę wymyślić, co kupić Laurze. Jutro przylatuje.

— Może szampon i odżywkę? — zasugerował Net. — Mogę doradzić, jestem ekspertem w tej dziedzinie.

Nika uśmiechnęła się.

— Nie musisz jej nic kupować — powiedziała. — Zabierz ją w jakieś fajne miejsce.

— Wydaje mi się, że jedyne, o czym będzie marzyła po wylądowaniu, to sen — odparł Felix. — Będzie leciała kilka tysięcy kilometrów, ponad dziesięć godzin. — Znieruchomiał z ręką na uchwycie i odwrócił się do przyjaciół z poważnym wyrazem twarzy. — Zapomniałem o czymś ważnym. To… elementarne. Słońce znajduje się sto pięćdziesiąt milionów kilometrów od Ziemi.

— To źle czy dobrze? — Nie rozumiał Net.

— Sto pięćdziesiąt kilometrów to ponad osiem minut świetlnych. To znaczy, że światło leci do nas ponad osiem minut. Jeżeli coś się tam wydarzyło, tutaj zobaczymy to po ośmiu minutach. — Spojrzał na zegarek. — Czyli zostało jakieś dziewięćdziesiąt sekund.

Nika zacisnęła usta. Net przełknął ślinę. Było zbyt ciemno, by ktokolwiek mógł zobaczyć, jak bardzo zbladł.

— To znaczy, że…?

Odpowiedź nie była konieczna. Przyjaciele stanęli przy ekranie i z napięciem wpatrywali się w koronę słoneczną. Sekundy wlekły się w nieskończoność, a Felix teraz już co chwila sięgał do tyłu i nerwowo przekręcał pokrętło o pół obrotu. W losowych miejscach wiecznego ognistego sztormu pojawiały się jaśniejsze kształty, które zaraz znikały. Kolejny pojawił się nieco z boku tarczy. Był większy od pozostałych.

I nie znikał.

1. Sedan to rodzaj klasycznego nadwozia samochodowego. Klapa bagażnika otwiera się w nim bez tylnej szyby. [wróć]
2. Przyjaciele odwiedzili to obserwatorium w książce *Felix, Net i Nika oraz Orbitalny Spisek*. [wróć]

11. Co można badać izraelskimi bombami?

Osiemnaście godzin i trzydzieści dwie minuty do…

Nie wydarzyło się nic. Zupełnie nic. A dokładniej biorąc, nie wydarzyło się nic, co można by uznać za odstępstwo od normy. Oczywiście jeśli pominąć widoczne na każdym kroku patrole policji i innych służb. Tramwaje jeździły, telewizja działała, internet działał, telefony komórkowe też, choć tego akurat Felix nie mógł sprawdzić osobiście, bo jego komórka wciąż przecież leżała w sekretariacie szkoły.

Zapadał już wieczór i wyglądał jak zwyczajny koniec dnia późnego lata. Felix wyszedł do ogrodu na tyłach domu przy Serdecznej odetchnąć chłodniejszym nieco powietrzem. Caban podreptał za nim i leniwie położył się na skraju tarasu, by od razu przejść w tryb uwielbiany przez stare psy – leniwego oczekiwania, aż skończy się ta minuta i rozpocznie następna. Niby drzemał, ale od czasu do czasu otwierał jedno oko, monitorując ogród, na wypadek gdyby pojawił się jakiś nieostrożny kot. Felix trochę mu zazdrościł, bo cokolwiek by mówić, psie życie było znacznie prostsze od ludzkiego.

Felix spojrzał w niebo, na którym już pojawiały się pierwsze gwiazdy, te najjaśniejsze. Dostrzegł czerwonego Marsa i zieloną Wenus, które dla większości ludzi i tak nie różniły się od gwiazd. Myślał o tym, co się wydarzyło tego południa. Czy rozbłysk na Słońcu był wynikiem eksplozji sondy *Far Diver*, czy też to zwykły przypadek? Sam rozbłysk, jaśniejszy od innych, trwał kilka minut, ale potem znikł bez śladu. Może to był tylko test? Może ktoś sprawdzał, co się stanie, zanim wyśle na Słońce większy ładunek? Z drugiej strony pan Czwartek wyraźnie powiedział, że nic by się nie stało,

nawet gdyby na Słońce spadła cała Ziemia ze wszystkimi swoimi ładunkami nuklearnymi zwaśnionych państw.

Wrócił do środka, zszedł do swojego pokoju w piwnicy i uruchomił laptop. Sprawa Carringtona była już zamknięta, ale z rozpędu zajrzał na strony astronomiczne, które przeglądał od kilku dni. Forum nie działało, wyświetlał się tylko błąd „nie ma takiego adresu". Na stronie misji *Far Diver* nic się nie zmieniło, jakby ktoś w NASA przeoczył taki drobiazg, jak sonda za miliard dolarów, która dopiero co przestała istnieć. Za to na zwykłym serwisie informacyjnym widniała niewielka wzmianka: „Astronauci z Międzynarodowej Stacji Kosmicznej wrócili do domu. Za kilka dni kolejna załoga wystartuje w ramach następnej ekspedycji".

Akurat dziś?

Wystarczyła szybka wizyta na Wikipedii, by sprawdzić, że do planowego zakończenia misji zostało jeszcze prawie trzy tygodnie.

To nie mógł być przypadek.

Felix uruchomił Net.com i wywołał wszystkich. Net odpowiedział natychmiast. Okna należące do Manfreda i Niki pozostawały puste.

— Wyobraź sobie organizację terrorystyczną — zaczął bez wstępów Felix — która jest zdolna do przejęcia kontroli nad amerykańską sondą kosmiczną, a która jednocześnie podkłada bombę w naszej szkole.

— *Mam na to za małą wyobraźnię.*

— Bo to nie ma sensu. To są zupełnie inne skale.

— *No to kto podłożył tę bombę u nas?*

— Nikt. To fałszywy alarm.

— *A jak ja ci to mówiłem, to nie wierzyłeś. Weź w ogóle, ja się tu odstresowuję, a ty mnie nawracasz na przykrą stronę mocy.*

— Zostawmy to. Astronauci z ISS wrócili przed terminem. Dziś rano.

Przez chwilę Net w okienku patrzył w bok, zapewne na inny komputer.

— *No… mam to. Ta ekspedycja miała się skończyć właśnie dziś. One są czasowe. Załogi się wymieniają.*

— Sprawdzałem. Zostało im trzy tygodnie.

— *No to sprawdź jeszcze raz.*

Felix przełączył się na kartę z Wikipedią. Z całą pewnością widniały tam jak byk trzy tygodnie. Kombinacją klawiszy skopiował zawartość ekranu i wkleił w okno Net.comu. Net, widząc to, zmarszczył brwi.

— *No to mamy dwie różne Wikipedie. Naciśnij „F5".*

Felix odświeżył ekran… a potem zrobił to raz jeszcze. Zmarszczył brwi.

— Coś się…

— *Nic nie się.* — Net spoważniał. — *Właśnie ktoś zmienił naszą rzeczywistość. Zerknąłem w parę miejsc… Przejrzyj strony dotyczące tej ekspedycji. Za kilka godzin wszędzie będzie dzisiejsza data.*

— Ale po co?

— *No właśnie po to, żeby nikt nie pytał. Mamy podgląd na żywo, jak ktoś nam zmienia Matrix. Zmienili angielską wersję Wikipedii, ale o polskiej przypomnieli sobie nieco później. Tylko… no właśnie, po co?*

— Musieli to zaplanować wcześniej — powiedział Felix. — Ewakuacja astronautów z ISS wymaga pewnych przygotowań. Oni wrócili na Ziemię o dziesiątej z minutami naszego czasu. Nigdy wcześniej stacja nie zostawała pusta, załogi wymieniały się na zakładkę. To znaczy, że zagrożenie było realne.

— *Ale się rozmyło.*

— *Jeśli tak, to po co policja i antyterroryści na ulicach?* — do rozmowy włączyła się Nika, która pojawiła się w swoim oknie.

— *Z rozpędu.* — Net wzruszył ramionami. — *Mają rozpisane dniówki, czy coś. Ej, laska… fajny fryz.*

— *A, wiesz, mam taki nowy szampon.*

Felix przejechał dłonią po twarzy.

— Próbuję wam powiedzieć, że było blisko — powiedział ze zniecierpliwieniem. — Ewakuowali załogę stacji orbitalnej. To znaczy, że przewidywali realne zagrożenie. To, że nic się nie stało, nie znaczy, że ktoś za ileś lat nie spróbuje powtórzyć scenariusza. Ze znacznie mocniejszym ładunkiem.

— *Miną lata.* — Net lekceważąco machnął ręką. — *Do tego czasu zgromadzimy zapas złota i platyny, żeby w kryzysie płacić za jedzenie i przyjemności. A… a właśnie, czy jutro przylatuje Laura?*

— Samolot ląduje po piątej.

— *No to jedziemy po szkole!*

— *Może Felix woli sam?* — wtrąciła Nika.

— Nie, nie — szybko zaprzeczył Felix. — Nie wymyśliłem niespodzianki, więc… nawet lepiej, jak będziecie.

— *Coś wymyślimy rano* — obiecała Nika. — *Wiecie może, kogo dziś zabrał ambulans? Nikt nic nie napisał.*

— *Na pewno nie Stokrotkę* — rzucił Net. — *Dwóch sanitariuszy by go nie uniosło.*

— *Bardzo śmieszne.* — Nika pokiwała głową i ziewnęła. — *Muszę iść spać. Jakoś trzeba odespać te emocje.*

— Ja też. — Felixowi również zamykały się oczy.

— *Słabeusze* — skwitował Net. — *Jak tam chcecie. To do jutra!*

Felix zamknął laptop, ale jeszcze nie wstawał. Nadal coś mu nie pasowało. No bo po co przerabiać informacje w internecie, skoro zagrożenie zniknęło?

Senność zwyciężyła jednak z ciekawością. Postanowił przełożyć rozmyślania na następny dzień. Wdrapał się na parter. Ledwo zapalił światło w łazience, usłyszał dobiegający z gabinetu głos taty. A nie zauważył nawet, kiedy tata wrócił. Zatrzymał się i na palcach podszedł do uchylonych drzwi, gdzie usłyszał:

— Musimy to zrobić. Wiesz, jaka jest stawka. Najważniejsze rzeczy wydrukujmy. Nie wiadomo, jak się zachowa elektronika. Tak, jasne… Tak, zaczekamy do ostatniej chwili. Jedziesz już? To wychodzę. Czas się nam kończy. Najnowsze prognozy mówią o dwunastej, najpóźniej czternastej. Będziemy potrzebowali dużo kawy.

O czym oni rozmawiają? Przecież już po wszystkim.

Rozmowa się zakończyła. Za to rozległ się szum drukarki.

Felix cofnął się w ostatniej chwili do łazienki. Tata wyszedł z gabinetu i zaczął wchodzić po schodach. Felix zaczekał, aż kroki ucichną, i wyjrzał. Pusto. Najciszej, jak potrafił, podszedł do otwartych teraz na oścież drzwi gabinetu. Drukarka wypluwała kolejne kartki z rysunkami, schematami, mapami.

Poczuł się trochę jak złodziej, który zakrada się, żeby okraść własnego ojca. Ale ciekawość była silniejsza. Złapał kolejną kartkę, zanim ta upadła na stos gotowych wydruków. Ciągi liczb na pierwszy rzut oka przypominały pozycje geograficzne, ale równie dobrze mogło to być cokolwiek.

Odgłos na górze zmusił go do wycofania się. Wślizgnął się do łazienki i cicho zamknął za sobą drzwi. I dopiero wtedy zdał sobie sprawę z tego, że w dłoni nadal trzyma kartkę, na którą przecież chciał tylko zerknąć. Już jednak było za późno, żeby ją oddać. Drukarka ucichła, tata zaszeleścił papierami, pokręcił się chwilę w przedpokoju, po czym trzasnęły drzwi wejściowe. Caban westchnął, dając tym wyraz niezadowoleniu, że stado mu

się rozdziela, i poczłapał na swoje posłanie.

Felix przyjrzał się trzymanej w dłoni kartce i również westchnął. Westchnienie płynnie przeszło w ziewnięcie. Jutro rano o tym wszystkim pomyśli, a potem przestanie się tym zajmować, bo przyleci Laura.

* * *

Net do rozkodowania katalogu taty użył najsilniejszego komputera w domu, czyli właśnie komputera taty. Nie było to trudne, tata bowiem pojechał do Instytutu, zapowiadając, że prędko nie wróci. Program uwinął się z zadaniem w niecałe dwie godziny, co w sumie Neta nawet zmartwiło – sam używał bowiem słabszych zabezpieczeń.

W międzyczasie obejrzał film, pograł w wyjątkowo głupią gierkę sieciową i zrobił osiem kanapek na następny dzień. Cztery miały być dla Stokrotki. Nie to, żeby Net jakoś specjalnie przejmował się kondycją dyrektora, ale pewnie Nika się ucieszy. No i będzie pretekst, żeby pójść do Kwatery Głównej i sprawdzić postęp poszukiwań.

Teraz siedział w swoim wielkim fotelu i na swoim wielkim ekranie przeglądał zawartość katalogu. Były tam mapy, schematy, skomplikowane obliczenia i kilka oficjalnych pism, które nawet na podglądzie w miniaturkach wyglądały na nudne. Otwierał więc kolejne obrazki i z opisu próbował zrozumieć, o co chodzi. Gdyby mógł poprosić Manfreda o sprawdzenie, co to jest, oszczędziłby sporo czasu. No ale nie mógł. Żmudnie grzebał po sieci, wyszukując poszczególne słowa i grafiki. W miarę upływu czasu dochodził do wniosku, że w katalogu „Carrington” nie ma niczego ciekawego. Przecież samo zakodowanie zawartości jeszcze nie czyni jej ciekawą.

Był całkiem blisko porzucenia swego śledztwa, skasowania wszystkiego i położenia się spać. Jednak trafił na coś, co go zainteresowało, a chwilę później przyprawiło o gęsią skórkę. Nie musiał nawet sprawdzać w internecie, sam opis wystarczył, żeby zrozumieć, z czym ma do czynienia.

— Schemat bomby… — szepnął z niedowierzaniem.

Niewielki ładunek wybuchowy, poniżej pół kilograma, do tego zapalnik i odbiornik z małą anteną. W przekroju cała konstrukcja przypominała mały rogal, tak jakby była przeznaczona do założenia na niezbyt grubą rurę. Obejmy zaciskowe to potwierdzały.

— Po co mu schemat bomby? — Net opadł na oparcie fotela. Przecież tata jest informatykiem. Informatyk siedzi przed komputerem, gapi się w linijki kodu i klepie w klawisze.

Powrócił do pozostałych materiałów, zajrzał nawet do nudnych dokumentów. Jeden dotyczył zakupu dużej liczby zdalnie sterowanych bomb o oznaczeniu jak na schemacie. Sprawdził jeszcze kilka dokumentów i odszedł od komputera.

Co tu jest grane?! Jego ojciec i ojciec Felixa najwyraźniej są zamieszani w coś bardzo podejrzanego.

Nie mógł zadzwonić do Felixa, bo telefon przyjaciela wciąż przecież leżał w szkole. Na Net.comie Felix był niedostępny, bo jego laptop leżał wyłączony. Alternatywnym sposobem obudzenia przyjaciela na odległość było posłużenie się Manfredem, ale to również nie wchodziło w grę z oczywistych powodów. Więc jak? Wprawdzie Golem Golem miał własny adres, ale tylko w sieci lokalnej domu Polonów. Względy bezpieczeństwa, kurde blaszka!

Net musiał sam przed sobą przyznać, że nie kto inny, ale on sam odłożył na później skonfigurowanie podłączenia Golema Golema do Net.comu. To nawet nie byłoby trudne ani czasochłonne, wystarczyło wpiąć się w gniazdo na obudowie androida.

— Co za leń…! — Net oburzył się na samego siebie. — Tyle razy mogłem to zrobić. Pięć minut by zajęło, nie więcej…

Rozchylił listwy żaluzji i spojrzał na nocną Warszawę. Ruch był niewielki, ale niebieskie światła błyskały w wielu miejscach. Jedynym sposobem obudzenia Felixa było pojechanie do niego.

Dochodziła pierwsza i Net uznał, że nie chce mu się teraz ubierać i jechać pięć kilometrów na rowerze. Oczywiście nie chciało mu się nigdy przymocować lampki do roweru, co przy tej ilości policji mogło się skończyć źle. No trudno, to musi zaczekać do rana.

* * *

— Nie czytasz maili ani nie zaglądasz do komunikatora? — wykrzyknął Net, ledwo podszedł do Felixa i Niki.

Stali w parku, szkoła wciąż była zamknięta, a uczniowie smętnie kręcili się po okolicy. Upał na szczęście zelżał, niebo pokryła cienka warstwa

chmur.

— Wstałem i wyszedłem — powiedział Felix. — Jak odzyskam telefon, wszystko sprawdzę.

— Z tym to będzie problem. — Net wskazał szkołę, wciąż ogrodzoną policyjną taśmą.

— Przeszukują cały budynek jeszcze raz — rzucił przechodzący obok Wiktor.

— A wiadomo, kiedy skończą? — W głosie Neta dało się wyczuć nadzieję, że nieprędko.

— Nieprędko. — Wiktor uśmiechnął się szeroko i poszedł dalej.

— Zaczekaj! — zawołała za nim Nika. — Wiesz, kogo wczoraj zabrał ambulans?

— Zosię. — Zatrzymał się na chwilę. — Zosię Frankowską. Spadła ze schodów i prawie ją zadeptali. Ma złamaną nogę.

Nika westchnęła smutno.

— Ta kobieta to zawsze ma pecha — przyznał Net.

— Gilbert się nią na pewno zajmie — powiedziała Nika.

— Patrz, jak do niej leci. — Net wskazał Gilberta, który kawałek dalej, jakby nigdy nic, rozmawiał z Lucjanem. — To jest w ogóle nieistotne. — Net konspiracyjnie ściszył głos. — Widziałem kiedyś taki film, nie pamiętam tytułu, i tam był taki motyw, że dzieciaki orientują się… a to się dzieje w Stanach dawno temu. Orientują się, że ich starzy są od zawsze ruskimi szpiegami. A same dzieci, czyli oni, to tylko przykrywka. Przypał na maksa, co?

Felix i Nika popatrzyli na niego podejrzliwie. Net przywołał ich gestem, podszedł do ławki, ukrytej w cieniu liści kasztana, i usiadł na niej. Wyciągnął tablet i wyświetlił na ekranie schemat bomby w kształcie rogala.

— Klapnij, zanim to powiem. — Wskazał Felixowi miejsce obok. — Nasi starzy kupili prawie tysiąc takich bomb. Są odpalane zdalnie. Sprowadzili je z Izraela. Nie wiem, kto za to płaci, ale sprawa jest gruba.

Felix w milczeniu wpatrywał się w ekran.

— Nie mówisz tego poważnie? — zapytała z nadzieją w głosie Nika. Usiadła obok i też spojrzała na ekran.

— Śmiertelnie poważnie. Rozkodowałem ten katalog taty. Tam jest wszystko: dokumenty, potwierdzenia przelewów, specyfikacje techniczne, mapy rozmieszczenia.

— Te bomby wyglądają, jakby były przeznaczone do montowania na rurach — zauważył Felix. — Może to jest im potrzebne do jakichś badań?

— Pół nocy o tym myślałem — Net ściszył głos jeszcze bardziej — i wykombinowałem. Nasi starzy należą do organizacji terrorystycznej. Niestety. Obczaj tę mapę. — Otworzył na ekranie mapę z zaznaczonymi punktami.

— Czyś ty zgłupiał?! — oburzyła się Nika. — To niemożliwe. Dlaczego mieliby to robić?

Felix przyglądał się chwilę mapie, po czym wyciągnął z plecaka swój brudnopis, a z niego złożoną kartkę – wydruk, który wczoraj niechcący zgarnął z drukarki taty.

— Możesz to sprawdzić? — zapytał. — To wygląda na współrzędne geograficzne.

Net zaczął wklepywać dane z wydruku i już w drugiej linijce przestał.

— To jest to samo. — Otworzył mapę z katalogu taty. Punkty z wydruku pokrywały się idealnie z punktami zaznaczonymi na mapie. — Tylko… co to jest?

— To jest środek lasu — zauważyła Nika. — Dziwni ci terroryści.

— Coś jakby droga przez las albo przecinka. Można by to sprawdzić. To nie tak daleko.

— Zajmie ze dwie godziny — stwierdził Felix. — Zaraz mogą otworzyć szkołę.

Pan Czwartek prowadził lekcję, wykorzystując fontannę, by wyjaśnić zjawiska falowe. Kilkudziesięciu uczniów z różnych klas słuchało z zainteresowaniem. Kawałek dalej profesor Cedynia dla kilkunastu uczniów rysował na żwirze bocznej alejki ruchy wojsk Bitwy Warszawskiej 1920 roku. Daleko, niemal na schodach prowadzących do ulicy ogrodzonej taśmą policyjną, Zuzanna Zdrój wspomagając się natchnionymi gestami, opowiadała o czymś, czego słuchało kilka dziewczyn. Większą publikę miała Agata Zasadowska, która stała na kamiennym cokole latarni i gestykulując, deklamowała *Wielką improwizację*. Wszystko to były lekcje dobrowolne. Po przeciwnej stronie fontanny siedział Eftep z ogromnym laptopem na kolanach. Nikt do niego nie podchodził. Geograficzki ani chemiczki nie było nigdzie widać.

— Czwartka to bym posłuchał — stwierdził Felix.

— O falach opowiadał nam w zeszłym roku — przypomniał Net.

— Nauka nie stoi w miejscu.

Sto metrów dalej na trawniku jedna z klas ćwiczyła niezdarne przysiady i podskoki. Wuefista krążył wokół i pokrzykiwał. Udział w tej lekcji z pewnością nie był dobrowolny. W krzakach obok zdołały się ukryć trzy dziewczyny w strojach gimnastycznych. Szeptały do siebie i śmiały się, zatykając sobie usta, żeby odgłos chichotów nie dotarł do Cyborka.

— Niezły fart, że nie mamy dziś wuefu — mruknął Net i wskazał punkty na mapie. — Ciekawe, co oni kombinują.

— Może nic nie kombinują. Może to tylko badania.

Telefon Neta zapipczał, informując o przychodzącej wiadomości. Tata napisał: „Po lekcjach natychmiast wracaj do domu! Weź ze sobą Nikę! Schowek obok drzwi”.

— Zaostrzenie kontroli rodzicielskiej. — Net zmarszczył brwi. — I nie wyjaśnił, o co kaman, bo nie miał czasu, bo wszystko inne ważniejsze. Jak zwykle to jego jedyny pomysł na zażegnanie konfliktu – pacyfikacja. I jeszcze zakładniczki potrzebuje i mam ją schować gdzieś obok drzwi. Co za bzdury! Już lecę! Bo co potem? Może odkurzanie i mycie okien? — Schował telefon. — Wkurza mnie… Widziałeś fakturę za zakup. Co można badać izraelskimi bombami? Tektonikę Eurazji?

Felix nic nie odpowiedział. Myślał intensywnie.

— O siedemnastej przylatuje Laura — powiedział.

— I doskonale się składa, bo to za osiem godzin. — Net powiększył mapę i przełączył na widok komunikacji miejskiej. — Kilka z tych punktów znajduje się niecałe dwa kilometry od stacji kolei podmiejskiej. A to ta sama linia, która w przeciwną stronę dojeżdża na Okęcie [1]. Lepiej się nie mogło złożyć, sam przyznasz.

— Linia może i ta sama — Felix przyjrzał się mapie — ale to z przeciwnej strony miasta.

Tablet zapikał. Net cofnął go tak, by tylko on widział wiadomość: „Skonfigurujesz nową funkcję do e-dziennika”. Spoważniał. Że też akurat teraz musiało się to Wąsisko aktywować! Odpisał: „Myślałem, że szkoła jest zamknięta”.

Nie zdziwił się specjalnie, że to nie wystarczyło. Odpowiedź przyszła szybko: „Możesz to zrobić na swoim telefonie”.

— Zejdźmy z widoku — poprosił i skręcił na trawnik.

O dziwo, lekcja chemii również się odbywała. Za szpalerem tui Próbówka z papierowym kubkiem kawy w dłoni opowiadała coś kilkunaściorgu uczniom.

— Sód to silnie trujący metal, w dodatku tak miękki, że można go kroić nożem — mówiła. — Nie da się z niego zrobić żadnej konstrukcji. Chlor z kolei to silnie trujący gaz, który w małych stężeniach używany jest do odkażania wody pitnej. Jak myślicie, co może powstać z połączenia tych dwóch pierwiastków?

— Coś gorszego od bomby atomowej? — rzucił jeden z uczniów.

Przyjaciele przechodzili za plecami nauczycielki. Net zaczął pisać odpowiedź: „Mój telefon został w szkole podczas ewakuacji”.

— Co za… — Parsknął z irytacją. Przecież nie mógł wysłać wiadomości z telefonu, którego nie miał. Skasował kilka wyrazów i napisał: „Mój telefon ma za mały ekran”.

— Powstaje chlorek sodu — wyjaśniła nauczycielka. — Coś wam mówi ta nazwa?

— Brzmi znajomo.

— Jest niezbędny do życia. Jecie go codziennie. Potoczna nazwa tego związku to sól kuchenna.

— O matko, od jutra nie solę obiadu.

— Kto to? — zapytała szeptem Nika, wskazując tablet. — Masz taką minę, jakbyś dostał wiadomość od seryjnego mordercy.

— Nie, nic takiego. — Nonszalancki ton Neta nie zabrzmiał wiarygodnie. Wskazał chemiczkę. — Patrzcie, wystarczy jej zabrać dziennik i tablicę, a zaczyna gadać do rzeczy.

Nauczycielka odstawiła na murek kubek z napisem „Zbędne Kalorie”. Net uniósł jedną brew i przeniósł spojrzenie na kawiarnię. W nocy taśmę policyjną przewieszono bliżej szkoły, dzięki czemu pani Basia mogła otworzyć swój lokal.

— Lemoniada przed wyprawą dobrze nam zrobi — rzucił.

Nie tracąc czasu na chowanie tabletu, szybkim krokiem ruszył w stronę kawiarni.

— Gdzie się tak spieszysz? — zapytał Felix.

— Jak będziemy w zasięgu wzroku, to zaraz ktoś nas zagoni do jakiejś lekcji. Chcesz się uczyć geografii w krzaczorach?

Pisał dalej: „Ale ja już jestem w autobusie. Jadę do cioci. Zobaczyłem

taśmę policyjną i sobie przypomniałem o tej cioci, bo ona miała znajomego policjanta. Obiecałem jej pomóc w malowaniu sufitu. I nie wziąłem ze sobą tabletu”. Skończył, gdy dotarli do witryny kawiarni, i zamarł z palcem nad przyciskiem „wyślij”. Z drugiej strony szyby patrzył na niego dyrektor Romuald Wąs. Net schował za siebie tablet, choć było na to zdecydowanie za późno. Uff… szczęście, że nie zdążył wysłać ostatniej wiadomości!

Wąs skinął na niego palcem. Net przełknął ślinę.

— Zaczekajcie chwilę…

Mechanicznym krokiem wszedł do środka. Przy ich stoliku siedzieli dyrektor i pani Halinka. Przed Wąsem leżał tablet, Halinka klepała w laptop. Nad dwoma filiżankami z czarną kawą unosiła się para.

— Dzień dobry. — Net zatrzymał się metr od stolika i uniósł swój tablet. — Właśnie się przygotowuję do konfigurowania e-dziennika. No i przyszedłem, żeby tak osobiście, tak bezpośrednio wysłuchać instrukcji.

Pani Basia uśmiechnęła się do niego zza lady. Chyba rozumiała sytuację, bo nawet nie proponowała niczego.

— Skonfigurujesz funkcję zdalnej nauki — bez żadnych wstępów zażądał dyrektor.

— Nie wiem, czy e-dziennik ma taką funkcję.

— Ma. Skonfigurujesz to i niezwłocznie rozpoczniemy lekcje poza szkołą. Jeśli sekretariat może działać zdalnie, to i nauka też.

— Ale… jak? — Net wskazał na budynek szkoły. — Połowa telefonów jest tam.

Wąs popatrzył na niego, po czym przeniósł wzrok na szkołę.

— Zajmij się konfiguracją. — Wskazał sąsiedni stolik. Ze złością sięgnął po telefon i zaczął pisać wiadomość.

— Ja to sobie może lepiej w parku przycupnę… — Net cofał się krok za krokiem w stronę drzwi. — Świeże powietrze pomaga się skupić.

Dyrektor nie próbował go powstrzymać, zajęty telefonem.

Net tyłem doszedł do drzwi i dopiero tam się odwrócił… niemal wpadając na Eftepa.

— Dzień dobry… — Usunął się na bok.

Eftep nie odpowiedział, nawet na niego nie spojrzał. Wyminął Neta i wszedł do środka. Chłopak wykorzystał to, by ostatecznie czmychnąć.

— Chciałem zamienić z panem kilka słów. — Informatyk stanął przy stoliku dyrektora.

— Coś ważnego? — Dyrektor odłożył telefon, oparł łokcie na blacie i zaplótł palce.

— Tak. — Eftep pokazał swój tablet z wyświetlonym e-dziennikiem. — W moim nazwisku jest literówka. Ja się nazywam Wierszewski, a tu jest napisane Wierciszewski.

— Mamy bombę w szkole, organizujemy zdalną naukę. — Dyrektor spojrzał na niego ponuro. — Literówkami zajmiemy się później.

— Ale wszyscy to widzą. Takie błędy podważają szacunek dla ciała pedagogicznego. Szczególnie w tak trudnym dla naszej szkoły czasie szacunek i solidarność są niezwykle ważne.

— Dobrze, napiszę do administratora.

— Kiedy mogę się spodziewać…? — Eftep zawiesił głos. — Gdybym dostał do niego kontakt, mógłbym sam…

Drzwi kawiarni otworzyły się i wszedł przez nie pan Borkowski.

— Chciałeś mnie widzieć? — Stanął przy stoliku.

— Tak. — Dyrektor spojrzał znacząco na informatyka. Ten wreszcie zrozumiał, że nic więcej nie osiągnie, kilka razy ukłonił się i wyszedł. Dopiero wtedy Wąs kontynuował — wprowadzamy zdalną naukę, żeby dzieciaki nie traciły kolejnego dnia. Do tego są potrzebne telefony, a one są tam. — Głową wskazał szkołę. — Musimy je wynieść i oddać uczniom.

— Policja się nie zgodzi — odparł bez zastanowienia wuefista.

— Porozmawiam z nimi. Ten agent… nie wiem, jak się nazywa, bo koszmarnie mamrotał, jak się przedstawiał, on zaraz tu będzie.

— To nic nie da. Nawet jeśli się zgodzą, trzeba przeszukać kilkadziesiąt sal. Robota na kilka godzin.

— Weź paru uczniów.

— Nie ma pewności, czy tam nie ma bomby.

— No to wybierz tych z najniższą średnią.

Pan Borkowski otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zrezygnował.

Do kawiarni wszedł agent specjalny Mamrot i bez słowa podał rękę obu mężczyznom. W stronę pani Basi skinął głową w szczątkowym ukłonie, a na sekretarkę w ogóle nie zwrócił uwagi. Zresztą z wzajemnością.

— Zanim zacznie mnie pan przekonywać — powiedział do dyrektora — zaznaczę, że nikt nie wejdzie na teren szkoły, dopóki trwa akcja.

— Przecież tam nie ma żadnej bomby. — Dyrektor wstał. — Jakiś gnojek wywołał fałszywy alarm, żeby nie pisać testu.

— Wprost przeciwnie. — Agent Mamrot włożył do ust papieros i napotkał karcące spojrzenie pani Basi. Wyjął go z ust. — Znaleźliśmy ślady materiałów wybuchowych. Świeże. — Spojrzał na Wąsa. — Prowadzą do pana gabinetu.

1. Od 2010 r. oficjalna nazwa to Lotnisko Chopina w Warszawie. [wróć]

12. Chyba już wiem, co przegapiliśmy

Trzy godziny i siedemnaście minut do…

Siedzieli w luźnym o tej porze pociągu podmiejskim, który niemal bezszelestnie mijał przedmieścia. Felix ze zmarszczonym czołem obracał w dłoniach wydruk ze współrzędnymi geograficznymi. Myślami był gdzie indziej.

Net na tablecie przeglądał pliki. Nika spojrzała na niego i zapytała:

— Czego chciał od ciebie Wąs?

— A takie tam, nic… — Wzruszył ramionami. — Pomagam trochę. Nic wielkiego.

— Pomagasz mu? — zdziwiła się.

— A co mam robić?! — wybuchnął Net. — Dostałem propozycję nie do odrzucenia.

— Mogłeś nam powiedzieć.

— Co miałem wam powiedzieć? To wygląda fatalnie, ale ja przecież nic takiego nie robię, tylko zajmuję się tym całym e-dziennikiem.

— Nie mielibyśmy pretensji — zapewniła go Nika.

Net pufnął, co zapewne miało oznaczać, że łatwo mówić. Westchnął i pokręcił głową.

— Jest też kilka plusów. — Odwrócił w jej stronę ekran. — Mam prawa administracyjne. Mogę zmieniać oceny, likwidować spóźnienia. Niestety nie da się podnieść twojej średniej za zeszły rok, bo tu jest tylko bieżący. Ale za rok podniosę ci za ten.

Nice przyszły rok wydawał się tak odległy, że aż nierealny.

— Tu jest literówka. — Wskazała nazwisko „Wierciszewski”.

— A, rzeczywiście. — Net przerobił je na „Wierciński”.

Nika parsknęła śmiechem.

— Dlaczego on się tym nie zajmuje? — zapytała.

— Bo Eftep to ludzki błąd krytyczny. Jemu nawet papierowa książka się wiesza. — Net zamknął tablet. — A to całe dzisiejsze zadanie od Wąsa, ta konfiguracja, to praca na pół minuty. Chodzi o naukę zdalną, przez smartfony, tablety albo komputery. Żeby wszyscy mogli siedzieć w domach i uczestniczyć w lekcjach. Wystarczy włączyć jednym kliknięciem, i już. No ale przecież nie będę aspołeczny i nie zrobię tego od razu.

— Wąs się nie zorientuje?

— To i tak nie ma sensu, bo mnóstwo telefonów jest w szkole.

— A jak policja je wyniesie i rozda właścicielom?

— To nowiutkie, cieniutkie smartfony. — Net uśmiechnął się złośliwie. — A to znaczy, że albo już się rozładowały, albo rozładują się za chwilę. Nawet jeśli te ciamajdy, znaczy nasi koledzy i koleżanki, mają ładowarki, to nigdzie nie znajdą dwustu gniazdek naraz. Powerbank ma może co dziesiąty. A to z kolei znaczy, że będą musieli pojechać do domów. Instynkt samozachowawczy nie pozwoli im wybrać najkrótszej trasy. Potem każda ciamajda będzie musiała ściągnąć aplikację, zainstalować ją i skonfigurować. Połowa ciamajd uda, że nie ogarnia tematu i będzie szukać instrukcji po sieci. Druga połowa nie uda, tylko nie ogarnie naprawdę. Czyli mamy parę godzin luzu. Czyli dziś wolne.

— Możesz zlikwidować nam nieobecności na chemii? — zapytała Nika.

— Z palcem w nosie. — Net wyszczerzył zęby. — Klikam i nieobecności znikają.

— Mógłbyś…?

— Ooo… — Net spojrzał na przyjaciółkę z teatralną podejrzliwością. — Panna chodząca uczciwość próbuje szwindlować.

Nika zawstydziła się.

— Próbówka powinna wpisywać spóźnienia zamiast nieobecności. To tylko kilka minut. Spóźnienia nie obniżają średniej.

— No dobra, mówisz i masz. — Net dotknął ekranu kilka razy i rozłożył dłonie gestem iluzjonisty prezentującego udaną sztuczkę.

— To do nich nie pasuje — niespodziewanie odezwał się milczący dotąd Felix. — Do mojego taty na pewno nie. Może oni współpracują przy

konstruowaniu czegoś i do tego potrzebują tych bomb. Może Instytut robi na przykład testy pojazdów opancerzonych.

— Zobaczymy, co znajdziemy na miejscu — odparł Net. — To jest ekspedycja śledcza.

— To pewnie zwykłe nieporozumienie — wtrąciła Nika. — Potraktujmy to jak wycieczkę do lasu.

— Piszą o nim na głównych stronach serwisów. — Net przeglądał internet. — O tym Rahmanasie. Że niby ma zaatakować dzisiaj. Tania sensacja.

Pokręcił głową i schował tablet.

Kilkupiętrowe apartamentowce za oknem ustąpiły miejsca domkom jednorodzinnym, a potem za oknami zobaczyli las.

Nika czytała po raz kolejny list z koperty bez znaczka. Nie mogła się powstrzymać. Jakby liczyła na to, że gdzieś między słowami znajdzie rozwiązanie wyjścia z tej sytuacji. Wreszcie schowała list, a wyjęła telefon i otworzyła wiadomość z nieznanego numeru: „Potrafię rozwiązać Twój największy problem". Zerknęła ukradkiem na chłopaków, ale oni rozmyślali o swych własnych problemach. Nabrała powietrza i wpisała: „Jak?". Odpowiedź przyszła niemal natychmiast: „Wystarczy zmienić zapis w bazie danych. Będzie jak dawniej. W zamian będę chciał małej i prostej przysługi".

Pokręciła głową i schowała telefon. Żałowała, że nie skasowała tej wiadomości od razu.

Dwie godziny i czterdzieści pięć minut do…

Pociąg zwalniał. Net zerknął na mapę na tablecie.

— To już — powiedział. — Półtora kilometra spaceru w pięknych okolicznościach przyrody. No, może trochę więcej.

Wysiedli na pusty peron. Zachmurzyło się jeszcze bardziej, choć prognoza nie przewidywała deszczu. Net schował tablet, a wyjął telefon, na którym miał tę samą mapę z naniesionymi punktami.

— Tam — wskazał kierunek.

Zeszli z peronu i ruszyli chodnikiem wzdłuż uliczki, przy której stały stare domki.

— Jeszcze moment. — Felix skręcił w stronę małego sklepiku, co do którego trudno było w ogóle stwierdzić, czy jest czynny.

Wątpliwości rozwiały się, dopiero gdy weszli do środka. Na „dzień dobry" rzucone przez Felixa senny sprzedawca zerknął znad gazety, leniwie

skinął głową i powrócił do lektury. Sklep był malutki, a mimo to samoobsługowy. Prawdopodobnie ta samoobsługowość wynikała z charakteru właściciela.

— Ostatnie pieniądze poszły na bilety — szeptem przypomniał Net.

— Coś tam jeszcze mam. — Felix włożył do koszyka butelkę wody i trzy batony.

— Przygotowania, jakbyśmy wyruszali na poszukiwania źródeł Amazonki. — Net pokręcił głową. — Zostaw te batony. Mam osiem kanapek.

— Łał! — zdziwiła się Nika.

— Zrobiłem dla Stokrotki… Eee… to znaczy… mama się rozpędziła.

Nika uśmiechnęła się przelotnie i pokręciła głową. Ostatecznie Felix wziął tylko wodę, płacąc drobniakami. Pożegnali się, na co sprzedawca znów leniwie skinął głową.

Pięćdziesiąt metrów dalej asfalt ustąpił miejsca drodze gruntowej. Przyjaciele weszli w las i gdy tylko ucichł szum prześwitującego między drzewami pociągu, poczuli, jakby przekroczyli granicę kończącą cywilizację. Jedynymi dźwiękami był odgłos ich kroków i śpiew ptaków. Szli w milczeniu, zupełnie nieprzyzwyczajeni do braku miejskiego hałasu.

— Myślicie, że znaleźli Stokrotkę? — zapytała nieoczekiwanie Nika. — To specjaliści. Może do niego zadzwońmy?

— Jeśli nie wyciszył telefonu, to może być ciekawie — zauważył Net.

— Szukają bomby, nie człowieka — przypomniał Felix. — Sprawdzają pod kątem materiałów wybuchowych i elektroniki. A drzwi do Kwatery Głównej są dobrze zakamuflowane. No i rozpyliliśmy tam tyle kurzu, że strych wygląda, jakby nikt tam nie wchodził od lat.

— Szkoda, że nie daliśmy mu tych kanapek, które zrobił Net.

Nika przyciągnęła Neta i pocałowała w policzek. Uśmiechnął się pod nosem, tylko na chwilę. Spoważniał i wskazał, że muszą skręcić.

— W prawo.

Godzina i trzydzieści osiem minut do…

Teraz szli gęsiego węższą ścieżką, co jakiś czas schylając się pod niżej wiszącymi gałęziami. Sosny rosły w równych rzędach, jak je posadzono kilkadziesiąt lat temu. Co jakiś czas trafiał się dąb lub inne drzewa liściaste, samosiejki. Ziemię wokół pokrywał mech, z którego wystawały kępy paproci.

Przecięli kolejny leśny dukt, za którym las wyglądał bardziej naturalnie, przez co trudniej było iść. Ścieżka wiła się między pniami, aż wreszcie się urwała.

— Tu jest jakaś droga. — Net skręcił.

— To ścieżka zwierząt — zauważyła Nika.

— To zwierzęta chodzą ścieżkami? — Net cofnął nogę i rozejrzał się z niepokojem. — Jakie konkretnie?

— Sarny, dziki. Nie jestem pewna.

— Możemy iść na azymut. — Felix wyjął mały kompas i przysunął go do telefonu Neta, żeby ustalić kierunek. Strzałka od razu obróciła się o dziewięćdziesiąt stopni w stronę telefonu. — Hm… A zresztą, to już niedaleko. Chodźcie.

Godzina i siedemnaście minut do…

Ruszyli dalej, teraz już raczej przedzierając się, niż spacerując. Nogi zapadały im się w miękkim mchu, który po ich przejściu sprężynując, unosił się, a ślady stóp znikały. Aż wreszcie las zaczął rzednąć i po chwili oczom przyjaciół ukazała się szeroka na pięćdziesiąt metrów przecinka. Rozejrzeli się w prawo i w lewo – ciągnęła się co najmniej przez kilometr. Rosła tu wysoka trawa, a środkiem biegły koleiny zaschniętego błota. Co mniej więcej sto metrów stały wysokie ażurowe słupy, dźwigające czarne przewody.

— Co tak buczy? — zapytał zaniepokojony Net.

— To linia wysokiego napięcia. — Felix wskazał w górę. — Buczy marnowana energia. Prąd ulatuje w powietrze.

— Może nie podchodźmy. — Net spojrzał na mapę i rozejrzał się. — To mniej więcej tutaj.

— Nic tu nie widać — stwierdziła Nika. — Chodźmy stąd. Włosy mi się elektryzują.

— Czekaj, no już sprawdźmy, jak się tu dowlekliśmy. — Net szedł dalej, wypatrując czegokolwiek w trawie.

— Za wszelką cenę chcesz udowodnić, że twój tata jest terrorystą?

— Albo że nie jest. Terroryści zwykle nie wzbudzają podejrzeń. — Jego telefon zapikał, informując o przychodzącej wiadomości. — Od Wiktora… — Przebiegł wzrokiem. — Nieźle. W gabinecie Wąsa znaleźli ślady materiałów wybuchowych. Widzisz? A też nie wzbudzał podejrzeń.

— Nie sądzę, to na pewno pomyłka. Albo plotka.

— Przypominam, że Wiktor jest zawsze dobrze poinformowany.

— Nie wierzę. — Nika pokręciła głową. — Nie lubię Wąsa, ale po co mu materiały wybuchowe?

Przeszli pod linią i dotarli do lasu po drugiej stronie przecinki.

— Trawa jak trawa — zauważyła dziewczyna. — Tu nie ma nic niezwykłego.

— Może coś tu zakopane jest… — Net szturchał ziemię nogą. — Felix, masz saperkę? Ty nosisz takie dziwne rzeczy.

— Chodźmy stąd — poprosiła dziewczyna.

Czterdzieści trzy minuty do…

Felix od dłuższej chwili stał z uniesioną głową. Wyjął z plecaka kompaktową lunetkę i przyłożył do oka. Ustawił ostrość.

— Już nie szukaj — powiedział zmienionym głosem.

Przyjaciele zadarli głowy i przyjrzeli się ciężko zwisającym przewodom.

— Te grzybki, wchodzące jeden w drugi przy mocowaniach do słupa, to są izolatory — wyjaśnił Felix. — A tego, co jest pośrodku między słupami, nie powinno tam być.

Net przejął lunetkę i przyjrzał się półokrągłym przedmiotom przymocowanym do przewodów.

— Może to coś do odstraszania ptaków — powiedziała niepewnie Nika.

Net opuścił lornetkę i pokręcił głową.

— To te izraelskie bomby — powiedział. — Kształt się zgadza.

Nika spojrzała na niego z przerażeniem.

— Jesteś pewien?

— Na dwieście procent. Tu mam schemat. — Drżącym kciukiem wskazał plecak. — Znam go na pamięć. To są ładunki wybuchowe. Dżiss, co robić…?

— Po pierwsze się odsuńmy.

Szybkim krokiem w milczeniu przeszli gęsiego dalej. Wspięli się na niewielki pagórek po drugiej stronie przecinki, skąd między drzewami było widać wierzchołki słupów.

— Myślicie, że oni je odpalą? — zapytał łamiącym się głosem Net. — Będzie na nas, że zamieszani jesteśmy… Nie, to nie może być prawda. Coś trzeba zrobić…

— Znajdź telefon do Mamrota. — Felix próbował zachować spokój.

Net wyjął z kieszeni telefon, z nerwów upuścił go, złapał w locie i znów upuścił. Wreszcie chwycił go oburącz.

— Przecież to jakbyśmy sami się wystawiali. No nie… — Spojrzał na swój but. — Wdepnąłem w ekosystem.

Felix rozłożył ręce, Nika pokręciła głową.

— Poproś Manfreda, żeby zrobił to anonimowo — poradziła mu.

— Nie mogę! — Net wycierał but o mech. — Pokłóciliśmy się i go skasowałem!

Przyjaciele spojrzeli na niego szeroko otwartymi oczami.

— Co…? — Nie mogła uwierzyć Nika.

— Nie tak w ogóle — wyjaśnił Net. — Tylko kazałem mu się wynosić z moich komputerów, nie odzywać się… i w ogóle.

— Dlaczego to zrobiłeś?

— To… ciuteczkę skomplikowane. Pokłóciliśmy się. Teraz ważne, że nie mogę… No, unika mnie.

— O co się z nim pokłóciłeś?

Net westchnął.

— O twoje czesne. Chciałem, żeby je płacił. Przynajmniej przez jakiś czas.

— Przecież zapłacił.

— No więc… nie. — Net z zakłopotaniem podrapał się za uchem. — Nie zapłacił.

— Czyli… — Nika uśmiechnęła się ze wzruszeniem i objęła przyjaciela.

Zaraz jednak posmutniała ponownie. Tak naprawdę w jej obecnej sytuacji niczego to nie zmieniało. Powinna powiedzieć przyjaciołom o zawartości listu bez znaczka. Nie, oni nie mogli jej pomóc, więc nie ma powodu ich martwić. Najpierw załatwią te ważne sprawy, a potem… potem przyjdzie czas na jej małą katastrofę.

Wyjęła telefon i szybko, bojąc się, że zmieni zdanie, wpisała: „Zgadzam się” i wysłała do tajemniczego rozmówcy. Zamknęła oczy i odetchnęła.

Net próbował opanować emocje. Przeszukiwał sieć.

— Jest jakaś transmisja nadzwyczajna w sprawie terroryzmu — powiedział Net. — To profesor Herman.

Nacisnął odtwarzanie i obrócił telefon tak, by wszyscy widzieli. To rzeczywiście był profesor Alexander Herman, były dyrektor Instytutu Badań Nadzwyczajnych, w marynarce, ale bez krawata i z rozpiętą pod szyją koszulą. Wyglądał na bardzo zmęczonego, a brzmienie jego głosu to potwierdzało:

— … nie zbliżać się do linii energetycznych ani jakichkolwiek przewodów nadziemnych, nawet telefonicznych czy trakcji tramwajowej i kolejowej. Nie korzystać z wind. Odłączyć z gniazdek wszystkie urządzenia elektryczne i wyłączyć bezpieczniki…

Transmisja zaczęła się rwać. Pojawiły się zakłócenia i dźwięk stał się niezrozumiały. Wreszcie obraz znikł i wyświetlił się komunikat o błędzie.

Net nie próbował tego poprawiać.

— Tu jest numer gorącej linii do zgłoszeń.

— Dzwoń — ponagliła go Nika.

— Tylko ustaw opcję ukrywania numeru — dodał Felix.

— Nie ma zasięgu. — Net uniósł telefon. — Nie ma też sygnału GPS. — Odszedł kilka kroków w głąb lasu. — Chyba stoimy za blisko –

Najpierw był błysk, a ułamek sekundy po nim krótki i silny grzmot. Odruchowo padli na ziemię. Z tyłu, od strony przecinki dobiegł świst, a po nim seria uderzeń, jakby coś ciężkiego spadało na ziemię. Jęk naprężanego metalu nałożył się na buczenie i odgłos przypominający spawanie elektryczne, ale dziesięć razy głośniejszy.

Po czym wszystko się uspokoiło. Huk krążył jeszcze nad lasem, odbijając się echem od setek tysięcy pni. Na niebie przerażone ptaki krzyczały i latały we wszystkich kierunkach.

Przyjaciele wolno wstali i odwrócili się. Nad przecinką rozwiewał się siny dym. Dwa najbliższe słupy stały w tych samych miejscach, co przedtem, ale wszystkie przewody między nimi były zerwane.

Net odezwał się pierwszy:

— To będzie trochę kosztowało. — Spojrzał na telefon. — A nawet więcej niż trochę. Padły stacje bazowe telefonii komórkowej.

— Powinny mieć zasilanie awaryjne — zauważył Felix.

Ptaki uspokoiły się i las ponownie rozbrzmiewał ich śpiewem.

— I tyle właśnie przyroda by po nas płakała — stwierdziła smutno Nika — gdyby stało się coś nieodwracalnego i ludzie zniknęliby z powierzchni Ziemi.

— Nikt by po nas nie płakał — zaprzeczył Net. — Wszystkie zwierzęta urządziłyby wielką imprezę, tury wylazłyby z ukrycia i zatańczyły razem z mamutami, a paprocie wypuściłyby okolicznościowe kwiaty. Co tu się, kurna, wydarzyło?!

— Zdalnie zdetonowano ładunki, które zerwały sieć energetyczną

— odparł Felix.

— Stary… ja cię nie pytam, co to jest wybuch.

Cztery minuty i dziewiętnaście sekund do…

— Terroryści chcą, żeby to wyglądało na efekt Carringtona — powiedział Felix. — Nie będzie prądu, padnie internet i cała komunikacja, a wszyscy uwierzą, że to wynik rozbłysków na Słońcu.

— Tylko po co zwalać na efekt Carringtona, jeśli wcześniej ukrywało się sondę? — zapytał Net. — To mi się nie klei.

— Mi też nie — przyznał Felix. — To tylko hipoteza. Terroryści lubią się chwalić zamachami. Nawet cudzymi.

— Powinniśmy odnaleźć najbliższy komisariat i o wszystkim opowiedzieć — stwierdziła Nika.

— I co chcesz im powiedzieć?! — wykrzyknął Net. — Że nie mają prądu? Przypuszczam, że zauważyli.

Trzy minuty i trzydzieści dwie sekundy do…

— Dopiero co chciałeś sprawdzić, czy wasi tatowie są zamieszani w terroryzm — przypomniała Nika.

— No tak, ale kiedy już sprawdziłem… Przecież nie wsadzę własnego ojca do pierdla!

— Możemy zgłosić to anonimowo, nie podając żadnych nazwisk. Opiszemy, jak wyglądają ładunki i gdzie ich szukać.

— Chcesz iść na policję i anonimowo coś zgłosić? — Net spojrzał na nią, klepnął się w czoło i wypuścił głośno powietrze. — Przecież od razu sprawdzą, kim jesteśmy. Gdyby TO działało — uniósł telefon — można by się zastanowić. Przez trzy *proxy* [1] to nawet bym się zdecydował. A teraz to co najwyżej papierowy list można im wysłać, tylko taki pisany lewą ręką i w rękawiczkach lateksowych. Już za trzy dni go dostaną.

Dwie minuty i pięćdziesiąt osiem sekund do…

Nika spojrzała wyczekująco na Felixa. Ten pokręcił głową.

— Jeśli przekażemy te rozkodowane materiały policji — powiedział — będzie to oznaczało kłopoty.

— Ktoś właśnie wysadził linię energetyczną. — Dziewczyna wskazała przecinkę. — Jeśli niczego nie zrobimy, ten ktoś może wysadzić też coś innego gdzieś indziej.

Dwie minuty i szesnaście sekund do…

— I tak nie wiemy, gdzie jest najbliższy komisariat — stwierdził Felix. — Nie mamy papierowej mapy, a GPS nie działa. Zastanówmy się. Po pierwsze prawdopodobieństwo. Tych punktów na mapie Polski jest kilkaset. Wybraliśmy ten, bo tu było najłatwiej dotrzeć. Zdziwiłbym się, gdyby wybuchły tylko te bomby tutaj.

— Czyli to się wydarzyło w całej Polsce?! — wykrzyknął Net.

Minuta i dwadzieścia jeden sekund do…

— Tylko przypuszczam — zaznaczył Felix. — Jak wrócimy do domu, dowiemy się. Pokaż mapę.

— Wystarczy wrócić tą samą… — Net urwał zdanie w połowie. Przechodzenie pod uszkodzoną linią wysokiego napięcia wydawało się złym pomysłem. Włączył telefon i zmniejszył mapę. — Do następnej stacji jest ze trzy kilometry. Dojdziemy do tej szosy i nią w lewo.

— Z grubsza na północ. — Felix zerknął na kompas, ale ten pokazywał zerwaną linię energetyczną. — Na razie się nie przyda. Mniej więcej tam. — Wskazał kierunek. Dalej od tych kabli złapiemy azymut.

Ruszyli przed siebie wąską, prawie niewidoczną ścieżką. W okolicach Warszawy nie było wielkich lasów, wystarczyło więc iść prosto, by w niedługim czasie napotkać drogę lub linię kolejową.

Trzynaście sekund do…

— Musimy porozumieć się z Manfredem — stwierdził Felix. — On sprawdzi, co nasi tatowie mają wspólnego z terrorystami. Potem zadecydujemy, co robić.

Nika zaczęła zwalniać, a w pewnym momencie zatrzymała się i przyłożyła palec do ust.

— Słyszycie?

Teraz…

Nasłuchiwali.

— Nic nie słyszę. — Net pokręcił głową.

— Zrobiło się dziwnie cicho — Felix rozejrzał się. — Ptaki przestały śpiewać.

— Pewnie były na prąd.

— Coś się zmieniło — powiedziała Nika.

Zamarło wszystko, nawet owady, nawet wiatr. Cisza aż świdrowała w uszach. Coś ważnego się skończyło.

Felix wyjął kompas. Wskazówka obracała się chaotycznie to w jedną, to

w drugą stronę.

— Dziwne — stwierdził. — Odeszliśmy już daleko.

Spojrzał na niebo. Przez chmury nie było widać, z której strony jest słońce, zatem ten sposób określania kierunków świata odpadał.

— Nie mów, że się zgubiliśmy — poprosił Net.

Felix wszedł między drzewa i zaczął oglądać pnie.

— Mech powinien porastać je od północy — stwierdził.

Ale tutejszy mech najwyraźniej o tym nie wiedział – niektóre drzewa nie były nim wcale porośnięte, a inne mech pokrywał ze wszystkich stron. Felixowi coś świtało, że ta zasada dotyczy tylko drzew wolno stojących. Niestety w lesie trudno o takie.

— Jak mech rośnie na sośnie, to jesteśmy na północy — parsknął Net. — A jak na palmie, to na południu. Wymyśl coś lepszego.

Felix spojrzał jeszcze raz na kompas, który nadal zachowywał się jak obrotomierz w samochodzie rajdowym.

— Jakieś zakłócenia. — Uruchomił kompas w zegarku – ten również szalał. — Naprawdę dziwne. Ta uszkodzona linia energetyczna bardzo silnie oddziałuje.

Przeszli jeszcze kawałek w stronę, która wydawała im się właściwa, i natrafili na skrzyżowanie leśnych dróg. Tuż obok z ziemi wystawał betonowy słupek z czterema numerami. Net sprawdził swoją mapę, ale tam żadnych numerów nie było.

— To oznaczenia kwartałów lasu — powiedział Felix. — Takie jakby adresy. Pamiętam, że w większości województw z numeracji można wyczytać kierunki świata. — Przyjaciele spojrzeli na niego z nadzieją. — Ale nie pamiętam jak.

Net klepnął się w czoło.

— Zacznij pisać scenariusze do filmów sensacyjnych — poradził. — Tam się przydają takie zwroty akcji. Akurat odwrotnie niż w życiu!

— To nie jest duży las — przypomniała Nika. — Idźmy prosto, natrafimy na… coś.

— OK, ale najpierw szamanko. — Net usiadł po turecku wprost na mchu. Wyjął z plecaka torbę z kanapkami. — Jadę na rezerwie. Kurka…! Osiem nie dzieli się przez trzy.

— Bardzo dobrze. — Felix również usiadł. — Zjedzmy po jednej. Pięć będzie na potem.

— Jakie potem? Jesteśmy na spacerze w lesie. Macie coś do picia?

— Mamy. — Felix podał mu butelkę kupioną w sennym sklepiku. Zerknął jeszcze raz na kompas. — To nie wygląda dobrze.

— Się przyoszczędziło na sprzęcie, się nie wygląda dobrze. Zaczekajmy do jesieni. Ptaki będą odlatywać na południe. — Wgryzł się w kanapkę. — Pyszności. — Poglamał chwilę i wyciągnął z ust kawałek plastiku. — A właśnie, bo jak będziecie jeść, to wyciągnijcie ten plastik, ale tak, żeby sos został. Bo sos jest dobry. To tajna receptura: ketchup pół na pół z musztardą.

Nika obserwowała go. Taki sztucznie dobry humor świadczył o próbie zatuszowania zdenerwowania. Wzięła go za rękę i ścisnęła pocieszająco.

* * *

To był pociąg towarowy. Długi chyba na pół kilometra, złożony z cystern, zaprzęgnięty w starą lokomotywę. Stał sobie dwieście metrów dalej, tak po prostu, w zupełnej ciszy. Tory biegły tutaj w niewielkim zagłębieniu, więc przyjaciele widzieli go lekko z góry.

— Nie ma sygnalizatora — zauważył Felix. — Pociągi nie zatrzymują się w przypadkowych miejscach. Stają przed sygnalizatorami, żeby wiedzieć, kiedy ruszyć.

— Może nas podrzucą? — Net raczej sam w to nie wierzył.

Felix przyłożył do oka lunetkę i przyjrzał się lokomotywie.

— Nikogo nie widać w środku, pantograf jest opuszczony, drzwi otwarte.

— Tak jakby nie było prądu. To zdeczka komplikuje nasz powrót. — Net wskazał w stronę, gdzie prawdopodobnie znajdowała się najbliższa stacja. — Pociągi są elektryczne.

— Kolej ma własną sieć energetyczną… — powiedział Felix.

— Jak ktoś potrafi kupić tysiąc bomb, to wie też, że pociągi są na prąd. I wie, gdzie trzeba podłożyć kolejne bomby.

— Wrócimy autobusem. Hm… Trzeba będzie kogoś zapytać, gdzie jest najbliższy przystanek.

— Pytaj śmiało. — Net bezradnym gestem wskazał okolicę. W zasięgu wzroku nie było nikogo. — Może zające coś wiedzą.

— Za pięć godzin powinienem być na Okęciu — przypomniał Felix.

— Zobaczmy, co tam się stało — zaproponowała Nika.

— Lepiej nie. — Felix wskazał lokomotywę. Między przewodami trakcji a opuszczonym pantografem przeskakiwały iskry. — Tam są cysterny. Z tej odległości nie widzę oznaczeń.

— Tak. Mnie też jakoś nie chce się podchodzić i sprawdzać, czy to mleko, czy gaz — oświadczył Net.

Odwrócili się i szybkim krokiem odeszli od torów. Zwolnili dopiero dobre trzysta metrów dalej.

— Jeżeli nie ma zasilania, to skąd te iskry? — zapytał Net.

— Też się zastanawiam — przyznał Felix. — Może zasilanie jest, tylko lokomotywa się zepsuła.

— Mam złe przeczucia — powiedziała Nika.

— Jeszcze i to… — jęknął Net.

Dotarli do granicy leśnej szkółki, tak gęstej, że nie było sensu tam wchodzić. Skręcili, by obejść przeszkodę. Kilkaset metrów dalej szkółka kończyła się równo z drogą gruntową. Po krótkim namyśle wybrali kierunek w lewo.

Szli, szli i szli, a żadnej asfaltowej drogi nie było widać.

— Może to już Białoruś — odezwał się Net. — Jak to możliwe, żeby się zgubić w tak małym lesie?

— Jesteśmy mieszczuchami — wyjaśniła Nika. — Stłumiliśmy instynkty.

— Ten las nie jest aż taki mały. — Felix sprawdził kompas – nadal nie działał. — Znajdźmy punkt charakterystyczny. Potem odszukamy go na mapie i będziemy wiedzieli, gdzie jesteśmy. Tory są niemal dokładnie na linii północ–południe.

Nad lasem przetoczył się kolejny huk.

— Czyżby cysterny? — zapytał cicho Net.

Felix pokręcił głową. Po niebie przemknęły dwa myśliwce F-16 z biało-czerwonymi szachownicami na statecznikach, po czym znów powróciła cisza. Net prewencyjnie zrobił krok w bok, by się znaleźć pod koroną rozłożystego buku.

— Nie chowaj się — rzucił Felix. — To nie messerschmitty.

— Nie jest dobrze — jęknął Net. — Znajdźmy ten punkt charakterystyczny, zanim on znajdzie nas.

— Jaki punkt? — Nika spojrzała na niego podejrzliwie.

— Oni już wiedzą! Szukają nas.

— Nikt nie szuka ludzi, wysyłając myśliwce — uspokoił go Felix.

Stali, rozglądając się. Z jednej strony rosło więcej brzóz, z drugiej więcej sosen.

— Masz przeczucia. — Net spojrzał na Nikę. — Przeczuj, w którą stronę iść.

— Teraz nie mam. — Wzruszyła ramionami.

— Tam jest rozwidlenie. — Felix wskazał perspektywę drogi i ruszył przed siebie. — Chodźcie.

— Rozwidlenia dróg zawsze były przeklęte… — jęknął Net, podążając za nim. — Zginiemy tam! Pochowają nas w płytkiej ziemi, a potem postawią na nas hipermarket. Niepodpiwniczony.

Nika wyjęła z kieszeni torebkę po kanapce, ułożyła ją w dłoni tak, by jej wylot utworzył coś w rodzaju ustnika, i podała Netowi.

— Hiperwentylujesz — powiedziała. — Za dużo tlenu poza miastem. Przyłóż do ust i oddychaj.

— Na zapleczu zaczną się robić takie trzy plamy na podłodze i nikt nie będzie wiedział dlaczego. — Net wziął torebkę i zrobił, jak powiedziała Nika. — Będą obwiniać fachowców, że nie zaizolowali. A potem w nocy będzie słychać lament i zawodzenie i same będą się przesuwać palety z makaronem. — Po kilku głębokich oddechach zamrugał, odmieniony. — A wiesz, że to działa? Kto by przypuszczał, że można się struć świeżym powietrzem…

Droga rozwidlała się, a dodatkowo przecinała ją przecznica. Razem dawało to pięć odnóg. Spotykały się na polance, na której środku rósł stary dąb.

— Punkt charakterystyczny! — ucieszył się Net. Wyjął telefon i od razu przestał się cieszyć. — Bufor sobie poszedł…

— Co poszło? — Nika spojrzała na ekran. Były tam tylko punkty z plików zdekodowanych z katalogu taty. Sama mapa zniknęła.

— Mapa była zassana z sieci — powiedział ponuro Net. — Przy odświeżaniu zniknęła. No a teraz się nie zassie przecież ponownie, bo nie ma sieci.

— Nie masz mapy *offline* [2]? — zapytał Felix.

— Założę się, że ty masz mapę *offline* w telefonie.

— Zawsze mam mapę *offline* w telefonie.

— Za to nie masz telefonu.

— A tablet?

Net szybko wyciągnął tablet. Na ekranie wyświetliło się to samo – punkty bez mapy.

— Ta mapa aktualizuje się co jakiś czas — stwierdził ponuro. — No i się zaktualizowała… — Usiadł po turecku w piachu i złapał się za głowę. — Drzewa są organicznymi fraktalami, jest im wszystko jedno, a ja mam tylko dwie ręce i dwadzieścia cztery palce.

— Znów hiperwentylujesz — zauważyła Nika.

— Daj jeszcze raz tę torebkę. Rzeczywiście chyba zawyżyłem liczbę gałęzi.

— Palców.

— No mówię przecież. — Net przyłożył do ust torebkę i przez chwilę oddychał głęboko. Sprawdził jeszcze raz mapy. — Jest tylko to, co było *offline*. O, jedna wiadomość z dawnych czasów, kiedy był internet. Nadawca spoza friendsów, to nawet nie otwieram… — Już miał schować telefon, ale zatrzymał się z palcem nad ekranem. — Twoja mama ma na imię Marlena?

— Tak. — Felix zainteresował się.

Net przebiegł wzrokiem po ekranie i lekko zbladł.

— Nie, nic… — Spojrzał gdzieś w bok. — Tak tylko kontakty porządkuję.

* * *

Było dobrze po trzeciej, gdy dotarli do wąskiej asfaltowej szosy. Znów pojawił się dylemat, w którą stronę teraz iść.

— Równie dobrze możemy rzucać monetą. — Nika otrzepała spódniczkę. Spojrzała najpierw w prawo, potem w lewo. Droga wyglądała na mało używaną, a żaden kierunek nie wyróżniał się niczym szczególnym.

Net sprawdzał coś na telefonie, szukał zasięgu. Coś wpisywał, coś znów sprawdzał.

Felix spojrzał na zegarek i pokręcił z rezygnacją głową. Net schował telefon i poklepał przyjaciela po ramieniu.

— Poradzi sobie, Laura jest dużą dziewczynką. Jutro się zobaczycie i wszystko sobie opowiecie. Śmiechom nie będzie końca.

Felix pokiwał głową.

— Ćśśś… — Nika uniosła palec. — Coś jedzie.

Z prawej strony wyraźnie było słychać warkot zbliżającego się silnika. Minęło trochę czasu, nim zza zakrętu wyłonił się szybko jadący samochód. Przyjaciele zaczęli machać, ale samochód nawet nie zwolnił. Było go słychać jeszcze długo po tym, jak zniknął za kolejnym zakrętem.

— Pociągi nie jeżdżą — powiedział Felix. — Jesteśmy nie dalej niż trzy–cztery kilometry od torów. W tej ciszy usłyszelibyśmy każdy pociąg.

— Ja bym jednak rozważył opcję spaceru wzdłuż torów — poprosił Net. — Tylko ominiemy te cysterny z mlekiem.

— Herman mówił, żeby się trzymać z daleka od takich… kabli — przypomniała Nika.

— Ale te bomby już wybuchły — stwierdził Net.

— Może chodzi o coś więcej — powiedział Felix. — Zresztą i tak będziemy musieli przejść pod linią wysokiego napięcia. Jak się lepiej zastanowić, to nawet pod kilkoma. OK, spróbujmy tych torów.

Tutaj akurat nie było wątpliwości, że muszą iść w lewo.

Marsz poboczem asfaltowej drogi był namiastką powrotu do cywilizacji, choć – jak się lepiej zastanowić – nie gwarantował dotarcia do linii kolejowej. Równie dobrze mogła być do niej równoległa i prowadzić ich w zupełnie przeciwną stronę, niż potrzebowali.

Felix szedł w milczeniu. Już pogodził się ze świadomością, że dziś nie spotka się z Laurą. Teraz zastanawiał się, co jeszcze mogliby zrobić, żeby się zorientować przynajmniej w kierunkach świata. Latawiec z podczepionym telefonem i ustawionym samowyzwalaczem w aparacie? Wdrapanie się na najwyższe drzewo? Wędrówka szosą aż do napotkania najbliższej miejscowości? To ostatnie wydawało się najbardziej realne, bo gęstość zaludnienia wokół Warszawy była przecież wysoka. Tylko że akurat nie w tej okolicy. No i co to da? Mają jedzenie i picie, a jedyne, czego potrzebują, to dostać się do Warszawy. W obecnej sytuacji trudno będzie kogoś namówić, żeby ich podrzucił. A jeśli ktoś im wskaże drogę, i tak niewiele to pomoże, bo podróżowanie wzdłuż dróg asfaltowych oznacza nadłożenie kilkunastu kilometrów. Idealna byłaby mapa geodezyjna z zaznaczonymi kwartałami lasu. Tylko kto trzyma taką mapę w domu?

Z tyłu znów usłyszeli dźwięk silnika, tym razem większego. Gdy dostrzegli źródło dźwięku, chwilę zajęło im rozpoznanie tego, co widzą – nadjeżdżał bowiem pojazd wojskowy. A nawet kilka.

Net wykonał krok w stronę najbliższych drzew.

— No co ty — powstrzymał go Felix. — To nie Wehrmacht ani Armia Czerwona. A wojsko na pewno ma dobrą mapę.

Felix już chciał unieść rękę, by pomachać, ale Net go powstrzymał.

— Lepiej nie. Nie wiadomo, czy kogoś nie szukają. Jak nas złapią z tymi materiałami na tablecie, będzie źle.

— Raczej nie ma z nimi informatyka.

— Możemy po prostu skręcić w las?

— To dopiero będzie podejrzane — wtrąciła Nika.

— Szwendamy się obok wysadzonej linii energetycznej. I obok zepsutej lokomotywy.

— Oni będą mieli mapę — upierał się Felix. — Poprosimy, żeby nam pokazali, a ty zrobisz zdjęcie.

— To jeszcze szpiegostwo nam dorzucą. — Net prewencyjnie trzymał przyjaciela za rękaw, by ten nie podniósł ręki.

Kolumna składała się z dwóch samochodów typu MRAP [3] i jadącego pomiędzy nimi Rosomaka.

— Udawajmy grzybiarzy — zaznaczył Net.

Gdy już wydawało się, że kolumna ich minie, dźwięk silników zmienił się, a pojazdy zaczęły zwalniać.

— Dżizas, przecież nie machaliśmy… — szepnął Net.

Przyjaciele nie mogli zrobić niczego poza zatrzymaniem się. Wszystko inne wyglądałoby podejrzanie.

Pierwszy MRAP z sykiem hamulców i jękiem zawieszenia zatrzymał się obok nich. Długie anteny zabujały się, pchane siłą bezwładności. Mimo że samochód kształtem przypominał terenówkę, był tak ze dwa razy większy. Kanciasta maska znajdowała się na wysokości głowy Neta.

Klapa w dachu uniosła się zapewne dlatego, że małe pancerne okna nie otwierały się. Z wnętrza wychylił się żołnierz w hełmie, jaki można zobaczyć w hollywoodzkich filmach o kolejnych wersjach apokalipsy. Był niewiele starszy od przyjaciół.

— Cześć! — rzucił zupełnie jak nie żołnierz. — Macie może mapę?

— Niestety nie — odparł rozczarowany Felix. — Zgubiliśmy się.

— To tak jak my. — Żołnierz niemal się ucieszył. — Chyba mamy nieaktualne mapy.

— Są aktualne, Kowalski, tylko nie potrafisz ich czytać! — z wnętrza dobiegł groźny głos.

— Kompas nie działa, panie kapitanie, to jak mam je czytać?! — Żołnierz spojrzał na przyjaciół. — A może macie kompas?

— Nie! — Net energicznie pokręcił głową. — Zbędnej amunicji też nie mamy — palnął, nim sam sobie zasłonił usta.

— Mamy, ale też nie działa — wyjaśnił Felix, po czym dorzucił szybko — kompas! Kompas nie działa. To jakieś zakłócenia od… — powstrzymał się, żeby nie powiedzieć o wysadzonej linii. To naprawdę mogłoby wzbudzić podejrzenia, bo skąd mieliby o tym wiedzieć. — Jakieś zakłócenia elektromagnetyczne.

— Wiedzą coś? — dobiegło z wnętrza.

— Nie, panie kapitanie — rzucił do wnętrza żołnierz, po czym dodał do przyjaciół — mamy ochraniać podstację elektryczną. A jak ją mamy ochraniać, jeśli nie wiemy, gdzie jest?

— Morda w kubeł, Kowalski! Pamiętasz, co to tajemnica wojskowa?

— Tak jest! — Zasalutował i dodał ciszej, przepraszającym tonem — jakby ktoś pytał, to niczego nie słyszeliście, OK?

Felix, Net i Nika energicznie pokiwali głowami.

Klapa zamknęła się i pojazdy ruszyły.

— Jest zasięg? — zapytał Felix.

Net dopiero po chwili zrozumiał, że to było skierowane do niego. Spojrzał na ekran telefonu, choć wiedział, co tam zastanie.

— Nic się nie wysłało ani nic nie przyszło. Internet padł i leży.

— Laura pewnie nawet nie wystartowała — pocieszyła go Nika. — Jak się tam zorientowali, co się tutaj dzieje, to na pewno odwołali lot.

— Ten lot miał trwać ponad dziesięć godzin — powiedział Felix.

Szli dalej. Gdy zbliżyli się do zakrętu, ich oczom ukazał się drogowskaz. Strzałka z nazwą miejscowości, która nic im nie mówiła, i cyfrą 5 wskazywała boczną drogę.

Nikt nawet nie zaproponował, by tam iść.

— Czemu jest taki mały ruch? — zapytał Net. — Na filmach katastroficznych zwykle są zakorkowane drogi wyjazdowe z miast, panika, baby z tobołami, konie luzem.

— Nie wiemy, co powiedzieli w radiu i telewizji — odparł Felix. — Dla większości ludzi to wygląda jak spora awaria zasilania. To nie powód do

ewakuacji. Raczej do siedzenia w domu.

— To, co mówił Herman, brzmiało bardzo poważnie — przypomniała Nika.

— Słyszeliśmy tylko kawałek. Zresztą powiedział to za późno, gdy już padało zasilanie.

— A jednak ktoś się nie bał! — Net odwrócił się, a przyjaciele za nim. Z tyłu nadjeżdżał kolejny samochód. — Co tym razem?

— Opel Frontera drugiej generacji — ocenił Felix. — W kiepskim stanie technicznym.

— Zatrzymujemy? — zapytała Nika.

— Kto wybrzydza, ten nie jedzie. — Net uniósł rękę i zaczął machać.

Bordowy samochód zatrzymał się z niezdrowym piskiem hamulców, zarzucając przy tym tyłem w lewo. Korozja już zabierała się do błotników.

— W bardzo kiepskim stanie… — mruknął Net.

— Wskakujcie! — rzucił przez otwarte okno kierowca. — Podrzucę, jasne, że tak.

Przyjaciele bez specjalnego entuzjazmu wsiedli na tylne miejsca. Kierowca był wysoki i szczupły, ubrany w koszulę flanelową w niebiesko-czarną kratę. Mimo ciepłego dnia miał na głowie czapkę z podwiniętymi nausznikami. Odwrócił się do przyjaciół i uśmiechnął szeroko, ukazując żółtą klawiaturę zębów z luką w miejscu górnej lewej jedynki.

— Wiercisław. — Wyciągnął dłoń do Felixa, który siedział po prawej stronie. — Dla przyjaciół Wiertek. — Zgiął ramię tak, by Net i Nika również mogli ją uścisnąć. — Możecie mi tak mówić. — Klepnął dłonią w kierownicę. — To dlatego, że nie mogę usiedzieć w miejscu. Już w brzuchu mamci wierciłem się tak, że ludzie w autobusie się przesiadali. Wtedy, wiecie, wchodziła do kin pierwsza część *Obcego*. Takie rzeczy!

Wrzucił jedynkę i wcisnął gaz do dechy. Samochód z piskiem opon wyrwał do przodu. Przyjaciele gwałtownie zaczęli szukać pasów. Zapięli je i wczepili się w uchwyty i w co mogli jeszcze. W silniku coś chrobotało, tylne łożyska wyły, błagając o wymianę, rura wydechowa telepała się i obijała o podwozie, a scentrowana felga jednego z kół wznosiła poczucie nadciągającej katastrofy na niespotykany poziom.

— Jakoś tak nieoczekiwanie naszła mnie ochota na spacer — odezwał się Net, ale nikt go nie usłyszał.

— Jedzie pan w stronę Warszawy? — zapytał Felix.

— I tak, i nie. — Wiertek uniósł dłoń i pokręcił nią na boki. — Być może. Różnie się mogą potoczyć nasze losy. Zależy, gdzie będą czekali.

— Kto? — zapytał słabym głosem Net.

— Te sępy nienażarte! — Wiertek przekręcił lusterko lekko w lewo, by lepiej widzieć Neta. — Czają się to tu, to tam, za zakrętem, za krzakiem. — Przekręcił lusterko lekko w prawo, by lepiej widzieć Nikę. — Nigdy nie wiadomo. Czujnym czeba być.

Prowadził jedną ręką, drugą klikał coś na telefonie. Wysunął go przez otwarte okno ponad dach. Znów spojrzał na wyświetlacz.

— Sępy nienażarte… — mruknął. — Tylko kilka dni obsuwy.

Brakowało mu trzeciej ręki, więc gdy musiał zmienić bieg, całkiem puszczał kierownicę. Szybko ją jednak łapał, bo samochód mocno ściągał w prawo. Wreszcie zostawił telefon i zamiast tego zajął się starym radiem. Szukał kolejnych stacji, ale z głośników wydobywały się tylko gwizdy i świsty.

Przyjaciele popatrzyli na siebie, w niemym porozumieniu zdecydowali się milczeć.

Na felgach siedziały stare opony terenowe, które generowały wibracje i hałas. Na podłodze pomiędzy nogami Felixa, Neta i Niki walały się butelki po napojach, płynie do spryskiwacza i po oleju silnikowym, a tapicerka domagała się na gwałt prania. Ale przynajmniej się przemieszczali. Tyle że w nieznanym kierunku.

Jechali i jechali, a tory kolejowe się nie pojawiały. Felix bez wielkiej nadziei zerknął na kompas. W jego działaniu nic się nie poprawiło. Kompas Wiercisława, zamontowany na konsoli samochodu, również kręcił się, jakby miał własny napęd.

Minęli skrzyżowanie. Drogowskazy mignęły zbyt szybko, by dało się odczytać treść.

Nika nachyliła się do przodu i zapytała:

— Przepraszam, czy pan wie…?

Kierowca uniósł palec.

— Już się znamy!

— Panie Wiercisławie — zaczęła Nika. Mężczyzna znów uniósł palec. — To znaczy, panie Wiertku. My musimy się dostać do Warszawy.

— O wciórności! — Wiertek depnął hamulec i szarpnął kierownicą w lewo. — Tym razem się przygotowali, sukinkoty! Sępy nienażarte, psia

mać!

Przyjaciele zobaczyli jeszcze stojący sto metrów dalej w poprzek drogi MRAP i wszystko przesłoniła zieleń. Niestety wzdłuż drogi biegł rów, w który zanurkował przód samochodu. Zderzak wyrżnął o przeciwległy brzeg. Karoseria jęknęła, w bagażniku ożyły śrubki, pompki i klucze. Pod wpływem bezwładności przyjaciele zawiśli w pasach i machnęli głowami jak metalowcy słyszący pierwsze nuty znajomej piosenki. Opel, o dziwo, się nie zatrzymał, lecz odbił w górę i wytelepał się z rowu, szorując o trawę. Wiertek ani trochę nie przejął się kolizją z gruntem i już sprawnie manewrował między drzewami. Widać było, że nie robi tego po raz pierwszy.

— Co sobota, jak wracam z remizy, to stoją z prawej lub z lewej, gdzieś w tych okolicach — rzucił. — Ale dziś jest, *bip!*, piątek! W piątek nigdy nie stali. Tak się nie robi! To niesportowe.

— Wojsko? — zapytał Felix.

— Policja, nie wojsko. — Wiertek zderzakiem przyciskał do ziemi kolejne jałowce, które sprężynowały i wstawały za samochodem. — Sępy… Każą dmuchać. A czego się niby spodziewają w sobotę wieczorem? Zefiru z ust?

— Co dmuchać? — zapytała trochę zaciekawiona, a trochę zaniepokojona Nika.

Wiertek nie odpowiedział. Pochylony nad kierownicą, jakby fotel nie miał oparcia, wypatrywał czegoś w lesie. Wreszcie uśmiechnął się, skręcił i przyspieszył.

— Jest! Znajomy szlak.

Rzeczywiście po chwili wyjechali na piaszczystą drogę. Silnik z pewnym trudem pchał samochód i dawało się odczuć, że opony co chwila tracą przyczepność.

— Mają zwykłe osobówki. — Teraz Wiercisław trzymał obie dłonie na kierownicy. — No to przecież nie wjadą, bo coś urwą albo utkną. A pościg musi się opłacać.

— To nie były zwykłe osobówki — zauważyła Nika. — Dokąd jedziemy?

— Tutaj. — Pokazał do przodu. — A potem bardziej tam. Znam tę trasę *perfecto*. Jeżdżę tędy co sobota. Tak mniej więcej, bo czasem sępy nie stoją i można asfaltem.

Droga pięła się ku górze i Opel miał coraz większe trudności, by jechać

dalej. Wreszcie zabuksował kołami i stanął w miejscu.

— Kruca bomba! Koniec podróży — oświadczył Wiertek. — Czy tam bardziej przerwa. — Odwrócił się i uśmiechnął szeroko, ukazując przerwę w zgryzie.

— Popchniemy. — Felix odpiął pas i złapał za klamkę.

— To prawie dwie tony — powiedział kierowca. — Pod górę po piachu… marne szanse.

— Mówił pan, że pan tędy jeździ co sobota — przypomniała Nika.

— Jeżdżę — przytaknął energicznie. — I zawsze się tu zakopuję. Dzwonię do Tadka, a on mnie wyciąga traktorem. A teraz telefon mi nie działa przez te sępy nienażarte.

— To ich jest kilka gatunków — zrozumiał Net.

Nika spojrzała na niego groźnie.

— Nasze telefony też nie działają — powiedział Felix.

— Też się spóźniliście z przelewem?

— To problem bardziej złożony — zaczął Felix z zamiarem wyjaśnienia ogólnej sytuacji.

— O nie, całkiem prosty — przerwał mu Wiertek. — Nie zapłaciłem i mi wyłączyli. Sknery, pijawy nienażarte.

— Sępy — podsunął Net.

— Ty mnie rozumiesz, też ci wyłączyli? — Nie czekając na odpowiedź, Wiercisław wysiadł, oparł dłonie na biodrach i przyjrzał się krytycznie samochodowi. — Nieźle wkopałem, co? — rzucił z dumą.

Miał na sobie luźne spodnie robocze z dużą liczbą kieszeni. Co chwila mimowolnie sięgał do którejś z nich, odpinał coś, zapinał.

Przyjaciele również wysiedli. Samochód stał zakopany po osie i rzeczywiście wydostanie go bez wyciągarki, albo chociaż łopaty i trapów, było raczej niemożliwe.

— Telefony w ogóle nie działają — oświecił Wiertka Felix.

— Jasne, że w ogóle. — Wiercisław przyklęknął i zajrzał pod podwozie. — Jak ludzie nie płacą, to sępy nienażarte wyłączą na amen. No, przynajmniej dopóki się nie zapłaci. — Obszedł samochód i zajrzał pod spód z drugiej strony. — Mogliby poczekać kilka dni, to nie – od razu ciach! I jak ja mam im puścić przelew bez internetu? Internet mam przecież w telefonie.

Nie było jasne, jaki plan ma Wiercisław. Nie było nawet jasne, czy ma jakikolwiek plan. Przyjaciele wymienili spojrzenia.

— OK, to my już pójdziemy — powiedział Net. — Dziękujemy za podwózkę, i w ogóle.

— W którą stronę jest Warszawa? — zapytał Felix.

Wiertek rozejrzał się, zdjął czapkę i podrapał się w głowę.

— Jakoś tak na południe.

— Super… — Pokiwał głową Net.

— Możemy jakoś pomóc? — zapytała Nika.

— Jak spotkacie Tadka, to go tu przyślijcie. — Wiertek z jednej z kieszeni wyciągnął paczkę papierosów i wysunął w stronę przyjaciół. Pokręcili głowami. — Będzie znał drogę.

— A jak go możemy znaleźć?

— Wszyscy go znają. — Wetknął do ust papieros i przypalił. — No Tadek, po prostu Tadek. Niektórzy to udają, że go nie znają. W sumie może i słusznie.

— Dziękujemy jeszcze raz. — Nika ukłoniła się. — Jeśli po drodze spotkamy kogoś z traktorem, to powiemy, że pan tu jest.

Pożegnali się i odeszli. Gdy tylko znaleźli się kawałek dalej, Net zapytał:

— Chyba nie chcesz teraz chodzić po lesie i pytać dziki o Tadka z traktorem?

— Pomógł nam — przypomniała Nika. — My też możemy mu pomóc, jeśli… spotkamy kogoś z traktorem. Przez nas się zakopał.

— Tadek z traktora, Zbyszko z Bogdańca. Kto wie, co kryją te knieje. A Mieczysław to imię kogoś, kto sławi miecze, czyli fana militariów, tak? No to Wiercisław lubi nafciarzy czy dentystów? A nie, wtedy to byłby Dentysław. Jeżu, co ja gadam…? Masz jeszcze tę torebkę?

Nika z uśmiechem błądzącym po twarzy podała mu torebkę, w którą Net od razu zaczął oddychać.

— Nie przez nas się zakopał — stwierdził Felix. — Zresztą wystarczyłoby, żeby wrzucił wsteczny. Wyjechałby bez trudu.

— To czemu mu nie powiedziałeś? — zapytała Nika.

— Będzie lepiej dla wszystkich, jak on tego samochodu nigdy nie wykopie. A szanse na znalezienie Tadka są niemal zerowe, więc możemy się tym nie zajmować. — Zerknął na Nikę. — Ale jasne, jeśli przypadkiem spotkamy kogoś z traktorem, to powiemy o Wiercisławie.

— On powinien się nazywać Adehadysław — rzucił Net między oddechami z torby.

Zatrzymali się na skrzyżowaniu leśnych dróżek.

— Wygląda znajomo — stwierdziła Nika.

— Po całym dniu w lesie wszystko wygląda znajomo — odparł Net. — Brak bankomatów i automatów z napojami. Daj wodę, zaschło mi w organizmie.

Felix wyjął z plecaka butelkę i podał mu. Net odkręcił ją i zawahał się – wody było mniej niż jedna czwarta. Podał ją Nice, która wypiła kilka łyków i przekazała dalej Felixowi. Felix również upił trochę i znów podał Netowi. Ten wlał w siebie resztę wody i chwycił butelkę tak, by ją zgnieść.

— Nie! — gwałtownie powstrzymał go Felix i wyciągnął rękę po butelkę.

— OK… — Net ostrożnie podał mu puste plastikowe opakowanie. — Spokojnie. Nie zamierzam skrzywdzić twojej butelki.

— Jeszcze może się przydać. — Felix zakręcił butelkę i schował.

Znów mieli do wyboru trzy możliwe drogi, a żadna nie wydawała się lepsza od pozostałych. Felix po prostu ruszył środkową. Nawet nie próbował udawać, że wybór nie był czysto losowy.

* * *

Wlekli się dróżką nieodróżnialną od poprzednich. Net klepał coś w telefonie i dyskretnie zerkał na Felixa. Gdy Nika posłała mu pytające spojrzenie, zrobił minę „nic takiego” i szybko schował telefon.

Dróżka okazała się jednak inna od poprzednich, bo wyprowadziła ich wprost na nasyp kolejowy. Sprawdzili, czy nic nie nadjeżdża i po pokrytych rudym osadem kamieniach wdrapali się na górę. Nika usiadła na szynie i odetchnęła z ulgą.

— Suń się kobieto — poprosił Net.

Dziewczyna przesunęła się i dopiero wtedy zrozumiała, że to był żart. Net rzucił plecak na podkłady i usiadł obok. Spojrzał w prawo, potem w lewo.

Felix wyjął i przyłożył do oka lunetkę.

— Coś tam jest. — Spojrzał wzdłuż torów. Dwa kilometry dalej stał znajomy pociąg towarowy. — Kurczę, nadal nie ma zasilania.

— Tam jest Warszawa. — Nika wskazała przeciwną stronę. — Wystarczy iść wzdłuż torów.

— Trzeba będzie przejść pod tą zerwaną linią — zauważył Felix.

— Jest zerwana tylko w jednym miejscu.

— No nie wiem. — Net rozprostował nogi. — Dobrze mi się siedzi. Chcecie kanapki?

— Pamiętacie, co mówił Herman? — zapytał Felix. — Trzymać się daleko od linii wysokiego napięcia.

Unieśli wzrok na sieć trakcyjną nad głowami.

— Przejdziemy ostrożnie — nalegała Nika. — Inaczej będziemy się błąkać po tym lesie do nocy.

— W sumie… — Net podrapał się w głowę. — Chwila strachu i będziemy po drugiej stronie.

— Albo i nie będziemy. — Felix nie wykazywał entuzjazmu. — Trudno uciec przed wyładowaniem elektrycznym o napięciu kilku tysięcy voltów.

— Wolę wrócić przed nocą, bo mama siedzi sama z bratosiostrą. Ale jak nas usmaży na skwarki — wycelował palcem w Nikę — przeprosisz i przyznasz, że nie miałaś racji?

Ruszyli w stronę Warszawy. Ledwie kilkanaście metrów wystarczyło, by się przekonali, że spacer po podkładach i kamieniach pomiędzy nimi w niczym nie przypomina normalnego chodzenia. To był raczej test na precyzję i równowagę.

— To dwadzieścia albo i trzydzieści kilometrów. — Felix zatrzymał się. — Może nawet więcej.

— Możemy przyjmować zakłady, kto pierwszy skręci kostkę — dodał Net.

— Wystarczy stawać na podkładach — powiedziała Nika.

— Łatwo ci mówić, bo te twoje glany nadają się do rozminowywania Afganistanu. Ja już wolę iść przez las.

— Dojdźmy chociaż do stacji. Tam jest szosa i sklep, gdzie można będzie zapytać kogoś o drogę. — Nika zamilkła i dotknęła głowy. Spojrzała na trakcję rozpiętą między słupami. — Na pewno nie ma zasilania? Elektryzują mi się włosy.

Z góry dobiegło znajome bzyczenie.

— Chodu! — krzyknął Felix.

Nie czekając na dalsze wyjaśnienia, przeskoczyli szynę i zbiegli z nasypu. Przesadzili rów i wpadli do lasu, poganiani dźwiękiem przypominającym skwierczenie. Przebiegli jeszcze ze sto metrów i dopiero

wtedy się zatrzymali. Odwrócili się. Między drzewami niewiele dało się dostrzec, ale jedno było pewne – coś tam iskrzyło, i to bardzo.

— No to *sorry* — powiedziała Nika.

— Warto dokładnie słuchać, co mówi dyrektor Instytutu Badań Nadzwyczajnych. — Felix odetchnął. — I wiecie co? To wszystko razem nie wygląda mi na zwykłą awarię.

* * *

Teren wyraźnie się obniżał, a wysokie trawy w tym miejscu wyglądały inaczej niż otoczenie. Felix zatrzymał się i zszedł z drogi.

— Punkt charakterystyczny? — zapytał Net.

— Zagłębienie terenu — odparł Felix. — A to są rośliny, które lubią wilgoć.

Wszedł między trawy i stopą zaczął sprawdzać grunt. Net i Nika spojrzeli na siebie, nie rozumiejąc, o co chodzi. Felix cofnął się na ścieżkę i podniósł leżący obok gruby patyk. Przełamał go na kolanie i scyzorykiem ściął końcówkę pod kątem. Wrócił w gąszcz traw, wyrwał kilka garści i odrzucił daleko, po czym zaczął kopać w ziemi, używając patyka jako łopaty.

— Co ty robisz? — zapytał ostrożnie Net. — Wandalizujesz naturę?

— Przygotowuję zapas wody. — Felix wyjął butelkę, obwiązał jej szyjkę bandanką złożoną na cztery i włożył do wykopanego dołka. Docisnął patykiem i grudką ziemi.

— Nie mów, że chcesz to pić?

— Nie chcę. Ale może będzie trzeba.

Butelka bardzo wolno napełniała się wodą.

— Szkoda, że nie zaprenumerowałem podręcznika skauta w odcinkach — mruknął ironicznie Net. — Dziś w numerze sztuka przetrwania w lesie, a w dziale „kulinaria” zupa z żuków.

Nika skrzywiła się z niesmakiem.

— Musisz tak wciąż narzekać?

— Jestem informatykiem, chwilowo bezrobotnym. Narzekanie to jedyne, co mi pozostało.

Felix uniósł butelkę, pełną niespodziewanie klarownej wody, zakręcił ją i strzepnął bandanę.

— Możemy iść. — Wyszedł na skrzyżowanie i rozejrzał się. — Znów są

trzy możliwości.

— Co mówi o takich sytuacjach podręcznik skauta? — zapytał Net.

— Nie wiem, ale dobrze byłoby się rozejrzeć. — Felix wskazał drogę, która kawałek dalej pięła się w górę. — Może dostrzeżemy kominy elektrowni, a jeszcze lepiej wieżowce Centrum.

Powlekli się piaszczystą drogą. Nie musieli mówić, że są zmęczeni, to było oczywiste. Gdy dotarli na szczyt pagórka, już wiedzieli, gdzie są. Mimo to nie ucieszyli się ani odrobinę.

Stali na niewielkiej polance, porośniętej rzadką trawą, na środku wyłysiałą, otoczoną krzakami i drzewami.

— To wygląda podejrzanie znajomo — stwierdził ponuro Net. — Tym razem naprawdę.

Patrzyli na zerwany fragment linii energetycznej. Ten sam, co poprzednio. Z dołu dochodziło bzyczenie iskier.

Net spojrzał pod nogi na odcisk własnego buta sprzed kilku godzin.

— Czyli mogliśmy tu siedzieć przez pół dnia i podziwiać przyrodę. — Usiadł na trawie i objął głowę dłońmi. — Pięknie, po prostu pięknie. Mapy chciałem sprawdzać, faktury za bomby, bawić się w szpiega.

— Chcesz torebkę? — Nika usiadła obok i objęła go ramieniem.

— Nie, dzięki. Tak tylko sobie narzekam.

Odwrócił się, słysząc przeciągły szelest. To Felix ciągnął w ich stronę długą gałąź z niedawno przewróconego drzewa. Szpilki były jeszcze zielone i elastyczne.

— Co ty robisz? — zapytał ostrożnie Net.

— Szałas. Musimy też rozpalić ognisko. Nazbierajcie suchych patyków. Ty grubsze przytargaj, a ty — spojrzał na Nikę — chrust.

— Stary… — Net patrzył zbaraniały. — Chcesz nocować w lesie?!

— Cytując klasyka: nie chcem, ale muszem. — Felix spojrzał na niebo. — Za godzinę zajdzie słońce. Jeśli nie znaleźliśmy drogi w dzień, to w nocy tym bardziej się nie uda. A szałas łatwiej się buduje, gdy jest jasno.

— Ale… to miała być tylko wycieczka do lasu. Spacerek taki.

— Przypomnieć ci, czyj to był pomysł?

Net niechętnie powlókł się między drzewa, a Nika podążyła za nim.

— O co chodzi? — zapytała.

— Co? Nie, nic…

Net zbierał patyki i udawał, że wszystko gra.

— Coś cię gryzie — upierała się Nika. — Przecież widzę.

Net zatrzymał się i chwilę się zastanawiał.

— Mama Felixa przysłała mi wiadomość. — Przełożył drewno do lewej ręki i pokazał przyjaciółce telefon z wiadomością: „Nie mogę się dodzwonić do Felixa. Powiedz mu, żeby się odezwał. Tata jest w szpitalu”.

Nika przeczytała i spojrzała na Neta z przerażeniem.

— Dlaczego nic nie powiedziałeś? — zapytała szeptem, choć Felix był zbyt daleko, żeby usłyszeć.

— Spanikowałem, jak to zobaczyłem. To już było po padzie sieci, a wiadomość wysłała godzinę wcześniej. A potem… A potem było mi głupio, że spanikowałem. No i Felix by się wściekł.

— Powinien wiedzieć. Powiedzmy mu!

— Co to zmieni? Tylko się będzie denerwował. Wysłałem wiadomość: „W jakim szpitalu i co mu jest?”, no ale… to się nawet nie wysłało.

— To nie twoja wina. — Nika położyła mu rękę na ramieniu. — Ale naprawdę musimy mu powiedzieć.

— Zwykle nie zaglądam do folderu ze spamem, a to tam wylądowało, bo nie mam mamy Felixa w kontaktach. Mogłem równie dobrze zauważyć to za tydzień. Albo wcale.

— Musisz mu to pokazać.

— Ale co to da? Dopiero co zarządził nocleg w lesie. Przecież nie dotrzemy dziś do Warszawy. Nawet gdybyśmy znaleźli asfaltową alejkę prowadzącą wprost pod Pałac Kultury, tobyśmy nie doszli przed północą.

Wrócili do obozu, bo tak już wypadało nazywać tę polanę, skoro Felix zaczął budować tam szałas. W odstępach kilku metrów wbił w ziemię trzy grubsze gałęzie, rozdwojone u góry, każda wysoka na nieco ponad metr. Teraz połączył je poziomymi żerdziami, o które opierał pod kątem czterdziestu pięciu stopni cieńsze patyki. Powstawało coś w rodzaju niskiej altanki w kształcie litery „U”, ze szkieletem dachu od zewnętrznej strony, a otwartej od strony ogniska. W miejscu przyszłego paleniska leżały już patyki, które miały stanowić jego podstawę. Mimo że wokół był tylko piasek, Felix dla pewności ułożył jeszcze krąg z kamieni.

— Felix — powiedział poważnym tonem Net. — Musimy ci coś powiedzieć.

Felix przerwał wiązanie konstrukcji elastycznym korzeniem i spojrzał na nich z pewnym zdziwieniem.

— Ekstra ten szałas! — niemal wykrzyknęła Nika. — Jeśli tylko uda się rozpalić ogień, to będzie super.

Net spojrzał na nią, zaskoczony.

— Dziś w nocy raczej nie będzie padać — powiedział zadowolony z docenienia jego pracy Felix. — Daszek będzie wiatroodporny, ale nie wodoszczelny. — Zerknął na drewno przyniesione przez przyjaciół. — Będziemy tego potrzebowali kilka razy więcej.

— Raczej nie jest zimno — zauważył Net.

— W nocy będzie znacznie chłodniej, poza tym to ważne dla podtrzymania morale.

Znów się rozeszli, szukać tego, co potrzebne, by przetrwać noc w lesie. Net i Nika w jedną stronę, Felix w drugą.

— W lecie to chyba wystarczy się tak po prostu położyć na trawie — zauważył Net. — I się od tego nie umrze.

— Masz rację — szepnęła Nika.

— Że się nie umrze?

— Że dziś lepiej mu nie mówić. Ale rano…

— Jasne. — Westchnął. — Dzięki.

* * *

Zapadał już zmrok, gdy wreszcie ukończyli szałas i posłania z suchych traw. Felixowi udało się rozpalić małe ognisko w zagłębieniu otoczonym kamieniami. Ustawił nad nim trójnóg z patyków i za pomocą drutu zawiesił na nim odkręconą butelkę.

— Poważnie…? — Net uniósł brwi. — Plastikowa butelka? To chyba nie jest zdrowe.

— Dlatego w domu używam czajnika — przyznał Felix.

— Zapomniałem, że jestem głodny! — wykrzyknął Net, zanurkował do plecaka i wyjął kanapki. Spojrzał na Felixa. — Tylko po jednej?

Felix skinął głową. Po jednej kanapce nikt nie poczuł się specjalnie najedzony, jednak przynajmniej Netowi przestało burczeć w brzuchu. Popatrzył tęsknie na dwie pozostałe.

— Zostawiamy na rano — uprzedził pytanie Felix.

Zrobiło się całkiem ciemno, ale temperatura nie spadła. Ognisko służyło raczej jako oświetlenie i podtrzymanie pewnego poczucia bezpieczeństwa niż

jako źródło ciepła. Z lasu wokół docierały dziwne odgłosy i przyjaciele odruchowo przysunęli się bliżej ognia. Chmury się rozpłynęły, odsłaniając gwieździste niebo.

— Zjadłbym hamburgera — rozmarzył się Net.

Nikt nie podchwycił tematu. Woda bulgotała, a plastik, o dziwo, nie zamierzał się stopić.

— Podwójnego — ciągnął Net.

— Net… — poprosiła Nika.

— Z podwójnym serem.

— Net…!

— I z podwójnym sosem, tak, żeby się wylewał. — Net gestem zobrazował to wylewanie się. — Za to bez grama sałaty, bez pomidorów. Same konserwanty i spulchniacze.

— Mógłbyś…? — Felix spojrzał na niego bez humoru.

— Ostatecznie nie pogardziłbym jeszcze jedną kanapeczką.

— Zostały dwie.

— Dwie kanapki da się podzielić na trzy. Czemu nie? Kanapki nie są obiektami kwantowymi.

— Nie. Rano mi podziękujesz.

Felix odczekał kilka minut i odstawił butelkę, by woda przestygła. Dorzucił do ognia kilka małych patyków. Nie chciał dużego płomienia, bo las był jednak dosyć suchy.

— Jak wrócę do domu, zamówię największą pizzę — rozmarzył się Net.

— Tak jest tylko gorzej — przerwała mu Nika. — Ustalmy jakiś plan na rano. Pod torami widziałam przejścia dla zwierząt. Oglądałam o tym film w internecie. Takie niskie tunele, co pół kilometra, może co kilometr. Da się nimi przejść.

— Rano sprawdzimy — zgodził się Felix. — Do rana może się wszystko zmienić. Może ktoś w końcu włączy zasilanie i da się zwyczajnie wrócić do stacji.

— Ci kolesie z elektrowni to niezłe jełopy — powiedział Net. — Hajs im idzie w ziemię.

Z dołu, zza drzew, wciąż dochodziły syki i trzaski iskier.

— Martwią się o was — stwierdziła Nika. — Rodzice.

— Mama na pewno. — Net sprawdził telefon.

— Tata na pewno — mruknął Felix.

Nika wymieniała spojrzenia z Netem.

— Rodzice — powtórzyła.

Felix spróbował wodę. Wciąż była ciepła, a do tego smakowała nieszczególnie. Jednak innego picia nie mieli. Kolejno przekazywali sobie butelkę, aż ją opróżnili. Felix zakręcił ją i schował do plecaka – mogła się jeszcze przydać.

Mimo że słońce zaszło już dawno, niebo przed nimi wciąż nie chciało ściemnieć do końca. Zielonkawa poświata utrzymywała się nad drzewami.

— Łuna nad Warszawą. — Felix narysował na piasku strzałkę, by rano pamiętać kierunek.

— Zanieczyszczenie świetlne czasem się przydaje — powiedział Net. — To znaczy, że tam jest zasilanie. Źle narysowałeś. — Przejął patyk, starł strzałkę i narysował nową. — Może wysadzili tylko tę linię.

— Czy twój telefon ma funkcję radia? — zapytał Felix.

— Przecież nie działa internet.

— Chodzi mi o radio… z powietrza. Takie zwykłe radio.

— A, to! Raz tego użyłem kiedyś… To działa, jeśli się wetknie słuchawki. — Net włączył odpowiednią aplikację, która od razu wyświetliła prośbę o wetknięcie słuchawek. — Lipa.

Felix wyciągnął z plecaka długopis, rozkręcił go, wyjął z niego wkład i wetknął w gniazdo słuchawkowe. Poświęcił chwilę na przeszukanie częstotliwości. Niestety z głośnika dochodziły tylko gwizdy, świsty i szumy. Chwilami dawało się słyszeć ludzki głos, ale zrozumieć choćby pojedynczego słowa już nie.

— Kabel od słuchawek robi za antenę — przypomniał Net.

— Czasem udaje się coś usłyszeć bez tego. — Felix starł strzałkę i narysował ją pod pierwotnym kątem. — Dobrze było.

Nika sięgnęła do torby po bluzę i dotknęła koperty bez znaczka. Powstrzymała się, by w świetle ogniska po raz kolejny nie przeczytać listu. Mówić przyjaciołom o tym, co jest w środku, nie miało sensu. A na pewno nie teraz. Założyła bluzę, uniosła głowę i uśmiechnęła się.

— To nie jest łuna.

Chłopcy stracili zainteresowanie telefonem i również spojrzeli w górę. Na tle gwiazd falowały mgliste, zielonkawe kształty. Wyglądało to, jakby ktoś użył czarnego nieba do wyświetlenia holograficznego nagrania poruszających się leniwie wodorostów.

— Co jest…? — zapytał zdumiony Net.

Nika wzięła go pod ramię i przytuliła się.

— Zorza — powiedziała.

— Zorza? W Polsce?

Chwilę patrzyli na nierzeczywiste widowisko. Trudno było uwierzyć, że odbywa się ono sto kilometrów nad powierzchnią ziemi.

— Wiecie, co to oznacza? — Felix wstał.

— Że będziemy mieć ładne widoki przed snem — odparła Nika.

— Zorza powstaje, gdy wiatr słoneczny jest przechwytywany przez ziemską magnetosferę. To powoduje wzbudzenie atomów atmosfery w okolicach biegunów.

— Mało romantyczny opis.

— To jest romantyzm technologiczny — sprostował Net.

— Wiatr słoneczny to rozrzedzona plazma — ciągnął Felix. — Protony i elektrony. Ta plazma dociera do nas stale, ale czasem w większej ilości i wtedy zorzę widać nie tylko blisko biegunów. Rozbłysk na Słońcu, ten, który widzieliśmy, był dostatecznie silny, by spowodować koronalny wyrzut masy.

— Ale to było wczoraj — przypomniał Net.

Felix nie odpowiedział. Wyjął z plecaka książkę *Słońce. Wszystko, co o nim wiemy, a nawet więcej* i zaczął ją kartkować w świetle ogniska. Po chwili nawet to okazało się niepotrzebne, bo zorza przybierała na sile, rozświetlając okolice nierzeczywistą zielonkawą poświatą.

— Czyli to była prawda? — upewniła się Nika. — Ta sonda… i rozbłysk na Słońcu? To jest ten efekt Carringtona?

— To bez sensu — zauważył Net. — Efekt Carringtona to zniszczenie sieci energetycznej przez burzę magnetyczną. A prądu nie ma, bo terroryści odpalili bomby. O co tu chodzi? — Bezradnie uniósł telefon. — Nawet nie ma jak sprawdzić w internecie.

— Chyba już wiem, co przegapiliśmy. — Felix pospiesznie przerzucał kartki książki o Słońcu. — Plazma porusza się wolniej od fali elektromagnetycznej. Dociera do Ziemi po kilkunastu godzinach, czasem po kilku dniach. Doleciała dziś i spowodowała burzę magnetyczną. Dlatego nie działa nawet kompas.

— Ale to była bomba! — Net wskazał wierzchołki słupów wysokiego napięcia. — Zdalnie odpalony ładunek trotylu, nie żaden efekt Carringtona!

Sami widzieliśmy.

Tymczasem działo się jeszcze coś. Wystające końcówki słupów jarzyły się delikatnie, wyglądało to, jakby zamocowano tam małe palniki gazowe.

— Ognie świętego Elma — stwierdziła z zaskoczeniem Nika.

— Kogo znowu? — Net spojrzał na nią z ukosa.

— Marynarze tak to nazwali. Przed burzą takie iskry pojawiały się czasem na masztach.

— Różnica potencjałów między ziemią a chmurami — przypomniał sobie Felix. — Same w sobie są niegroźne, ale mogą zapowiadać uderzenie pioruna.

— I co jeszcze? — jęknął Net. — Za co to wszystko? Przecież tylko poszliśmy do lasu na wycieczkę… Pamiętam! Nie wolno stać na otwartej przestrzeni ani pod drzewem. — Rozejrzał się. — No to gdzie w takim razie?! My jesteśmy w lesie! Piękny wybór: umrzeć na polanie czy pod drzewem.

— Nie zanosi się na burzę. — Felix wskazał niebo. — Nie na taką zwykłą burzę. Nie ma chmur. To tylko efekt uboczny burzy magnetycznej.

W tym momencie z głośnym skwierczeniem nad słupami zatańczyło parę kilkumetrowych iskier.

— Efekt uboczny, powiadasz…

— Wystarczy się nie zbliżać.

Linia energetyczna, a przynajmniej ta jej część, którą widzieli z obozowiska, rozpoczynała świetlno-akustyczne przedstawienie. Przewody pokryły się ruchomą świecącą „sierścią”, z której co jakiś czas startowała rozczapierzona błyskawica. Wtedy do szumów i syków dołączały trzaski, jak od strzału biczem. Trwało to i trwało, raz bardziej intensywnie, raz mniej. Na niebie wciąż falowała zorza.

— Myśliwce mogą latać w burzy magnetycznej? — mruknął Net.

— Jeśli mogą myśliwce, to mogą też samoloty pasażerskie — powiedział Felix. — Mam nadzieję.

Nikt nie potrafił tego skomentować.

— Jak myślicie, co się dzieje w mieście? — zapytał Net.

— Na pewno nie ma prądu — odparł Felix.

— Mama jest sama z bratosiostrą. Na ostatnim piętrze. Nawet nie zejdzie po zakupy.

Nika posłała mu smutne spojrzenie. Zorza chwilami była tak intensywna,

że skryta w cieniu połowa twarzy dziewczyny rozświetlała się na zielono.

— Wyruszymy rano — obiecał Felix. — Teraz się prześpijmy. Musimy czuwać przy ognisku.

— Jest ciepło — zauważył Net.

— Lepiej nie ryzykować odwiedzin dzikich zwierząt. — Felix spojrzał na zegarek. — Jest dwudziesta trzecia. Powiedzmy, że wyruszymy o piątej, jeśli burza magnetyczna się skończy. To daje trzy dyżury po dwie godziny. Albo sześć po godzinie.

— Mogę pierwsza — powiedziała Nika. — I tak nie zasnę. A poza tym… pewnie nigdy więcej nie zobaczę zorzy.

Felix nie protestował. Był oczywiście zmęczony, jak pozostali, ale i niewyspany po dwóch dniach ślęczenia nad materiałami dotyczącymi Słońca.

Wsunął się do szałasu, podłożył pod głowę plecak i zamknął oczy. Kichnięcie komara na grzbiecie słonia nie mogło niczego zmienić. Ale precyzyjne ugryzienie już tak – słoń zacząłby się wiercić. Kotłujące się w głowie myśli jedna po drugiej odpływały w senny niebyt, aż została tylko ostatnia – jeśli burza magnetyczna rzeczywiście spowodowała efekt Carringtona, to nie tylko w Warszawie, nie tylko w Polsce.

To samo działo się na całym świecie.

1. *Proxy* – serwer pośredniczący. Jedną z jego funkcji jest ukrywanie adresu użytkownika. [wróć]
2. *Offline* [czyt. oflajn] – działający przy braku dostępu do sieci. [wróć]
3. MRAP (ang. *Mine Resistant Ambush Protected*) – pojazd opancerzony o zwiększonej odporności na miny i ataki z zasadzki. [wróć]

13. Kim ty jesteś, człowieku?

— Przykro mi, nie przyjmujemy płatności kartą. — Recepcjonistka zrobiła przepraszającą minę. — Mamy awarię.

Marlena Polon sprawdziła jeszcze raz portfel. Było tam zdecydowanie za mało gotówki, by zapłacić za pokój – trzydzieści złotych, może czterdzieści, jeśli doliczyć drobniaki.

— Gdzie tu jest bankomat? — Rozejrzała się po nowoczesnym hallu hotelu, w którym rozmawiało kilkoro elegancko ubranych ludzi.

— Musi pani wyjść, skręcić w prawo i przejść przez ulicę. — Dziewczyna instruowała mamę Felixa gestami, miała to wyuczone. — Potem pierwsza w lewo i sto metrów dalej, po prawej będzie bankomat.

Marlena zerknęła na zegarek.

— Mogę zapłacić przelewem?

— Oczywiście. — Recepcjonistka uśmiechnęła się szeroko. — Przed opuszczeniem pokoju.

— Proszę mnie posłuchać. — Pani Polon nachyliła się nad ladą. — Mój mąż jest w szpitalu. Nie mogę się z nim skontaktować. Nie wiem, co dokładnie się stało. Chcę się jak najszybciej do niego dostać.

— Bardzo mi przykro. — Dziewczyna zrobiła taką minę, jakby naprawdę było jej przykro. — Mam nadzieję, że to nic poważnego.

Pani Polon jeszcze raz zerknęła na zegarek, przysunęła sobie fakturę i wyciągnęła z torebki telefon.

— Dobrze — wycedziła przez zaciśnięte zęby. — Już puszczam ten przelew.

Uruchomiła aplikację bankową i zapatrzyła się w kręcący się znaczek

nawiązywanego połączenia. Kręcił się dłużej niż zwykle. W końcu przestał się kręcić i na ekranie wyświetlił się błąd. Spróbowała ponownie, z identycznym skutkiem.

— Nie mam zasięgu. — Spojrzała na recepcjonistkę. — Mogę skorzystać z waszej sieci?

— Mamy awarię internetu. — Twarz dziewczyny za ladą wyrażała teraz profesjonalne współczucie. — Dlatego właśnie nie działają płatności kartami.

Pani Polon miała na końcu języka pytanie, czy w tym hotelu w ogóle coś działa. Jakby w odpowiedzi na jej wątpliwości, światła w hallu zamigały przez chwilę. Ugryzła się w język i wciągnęła głęboko powietrze.

— Zatem przejdę się do bankomatu.

— Oczywiście. Przepraszamy za wszelkie niedogodności.

Wyszła z klimatyzowanego wnętrza w późne upalne popołudnie przechodzące już powoli w wieczór. Rozpięła żakiet i ruszyła w kierunku przejścia, ciągnąc za sobą walizkę na kółkach. Bankomat był tam, gdzie miał być, niestety ekran już na wstępie informował na czerwono, że o wypłaceniu z niego gotówki można zapomnieć. Awaria.

Spojrzała w prawo, potem w lewo. Poznań-Jeżyce, znała tu tylko hotel i centrum konferencyjne. Bez internetu poszukiwania działającego bankomatu nie były łatwe.

A przecież nie miała na to czasu.

Wróciła do hotelu, ale zamiast skręcić do recepcji, poszła dalej, na parking, gdzie czekało jej czerwone Mini. Piotr jednak miał rację, żeby tym razem pojechała samochodem. Znalezienie teraz połączenia kolejowego albo lotniczego do Warszawy na pewno zajęłoby mnóstwo czasu.

— To będzie przymusowy wyjątek — mruknęła do siebie, ładując walizkę do bagażnika. — Ta klientka zapłaci przelewem PO opuszczeniu pokoju.

Zdjęła szpilki i założyła miękkie pantofle, które zawsze trzymała w samochodzie. Zakaz prowadzenia w butach na wysokim obcasie był jedną z niewielu rzeczy, które wymusił na niej mąż. Od teraz postanowiła stosować się do jeszcze jednej jego dobrej rady i zawsze nosić przy sobie trochę gotówki.

Podjechała do szlabanu i wetknęła w szczelinę automatu bilet parkingowy. Donośne piknięcie i stosowny komunikat poinformowały ją, że bilet nie jest opłacony.

— Jeszcze to…

Obok pojawił się dwudziestoletni może chłopak z bujną blond fryzurą. Miał na sobie za dużą kamizelkę odblaskową. Uśmiechnął się szeroko.

— Dzień dobry. Musi pani opłacić ten bilet w recepcji. — Zerknął na wyświetlacz. — Wyszło siedemdziesiąt złotych.

— Sporo…

— To porządny parking. — Chłopak uśmiechnął się jeszcze szerzej i pięścią dotknął piersi. — Ma najlepszą ochronę w mieście.

— Mam wysokie obcasy i już mnie bolą nogi od chodzenia tam i z powrotem. Zapłacę potem, przelewem.

Chłopak zerknął przez ramię na przymocowaną do muru kamerę.

— Nie no, nie da się. — Potarł kark. — Nie wolno mi tak…

— Marlena! — dobiegło z tyłu.

Kawałek dalej stał mężczyzna w eleganckim garniturze, ale z poluzowanym krawatem i rozpiętą koszulą. Palił papierosa przy koszu z popielniczką. Mama pomachała do niego. Chciała wysiąść, ale w porę przypomniała sobie, że dopiero co skłamała w sprawie wysokich obcasów.

— Zaraz wracam — powiedziała do chłopaka. — Niech pan nigdzie nie odchodzi.

Wrzuciła wsteczny i cofnęła się do mężczyzny.

— Wyjeżdżasz dzień wcześniej? — zdziwił się. — Wieczorem jest impreza integracyjna. I konkurs. Można wygrać bilety na koncert Enrico Palazzo.

— Nadrobię następnym razem. — Uśmiechnęła się z wysiłkiem. — Sprawy rodzinne. Nie obrazisz się, jak będę miała małą prośbę?

— Jasne, że nie. — Zgasił papierosa w popielniczce.

— Mają tu awarię. Nie da się ani zapłacić kartą, ani wyciągnąć pieniędzy z bankomatu. Możesz mi pożyczyć… sto złotych?

Skinął głową, wyciągnął portfel i podał jej banknot.

— Wisisz mi porządny lunch.

— Jasne, dzięki wielkie. — Nie czekając na nic więcej, podjechała do przodu i zatrzymała się znów przy chłopaku w kamizelce.

— Co pan na taki pomysł? — Z uśmiechem wręczyła mu banknot. — Otworzy mi pan ten szlaban, a potem, kiedyś, przy okazji zostawi pan pieniądze w recepcji.

Parkingowy spojrzał gdzieś w bok i dyskretnym ruchem przyłożył kartę

do czujnika zbliżeniowego. Szlaban otworzył się, a Marlena, nie czekając na nic więcej, wyjechała na ulicę.

Jak tu się jechało? Na rondzie Kaponiera chyba w lewo? Poznań tego wieczoru był zakorkowany co najmniej jak Kraków. Na kolejnych skrzyżowaniach migały tylko żółte światła, samochody przeciskały się między tramwajami, a tramwaje wjeżdżały na skrzyżowania, nawet jeśli nie mogły z nich zjechać. Nawigacja szwankowała, aż wreszcie odmówiła współpracy.

— *… nie zbliżać się do linii energetycznych ani jakichkolwiek przewodów nadziemnych, nawet telefonicznych czy trakcji tramwajowej i kolejowej.*

Bardzo realistyczne słuchowisko, pomyślała i przełączyła na inną stację. Usłyszała ten sam głos.

— *Nie korzystać z wind. Odłączyć z gniazdek wszystkie urządzenia elektryczne i wyłączyć bezpieczniki…*

Pstryknęła trzecią stację.

— *Jeśli to możliwe, usunąć materiały łatwopalne…*

— Radio też się zepsuło — stwierdziła i wyłączyła je. Dalej prowadziła w ciszy.

Gdy jechała już ulicą Krzywoustego w stronę autostrady, nagle zrobiło się ciemno. W pierwszym momencie pomyślała, że przestały działać reflektory w samochodzie. Po chwili zrozumiała, że to zgasły latarnie. A zaraz po nich reklamy uliczne, potem witryny sklepów, okna biur i budynków mieszkalnych. Na końcu sygnalizacja świetlna przestała migać i jedynym źródłem światła w zasięgu wzroku pozostały reflektory samochodów. Brak prądu zmienił Poznań nie do poznania. Gdyby nie kanciaste obrysy budynków na tle granatowego nieba, wyglądałoby to jak droga przez las.

Impreza integracyjna chyba się nie odbędzie.

Piotrek miał rację, żebym wracała wczoraj.

Jej myśli pobiegły ku niemu.

Oby nie okazało się, że to coś poważnego.

* * *

Lampy sufitowe przesuwały się jedna za drugą. Cokolwiek było w tym zastrzyku, rozleniwiało i wprowadzało w stan błogości, w którym nic złego

nie mogło się wydarzyć. Tylko gdzieś na granicy świadomości kołatała się myśl, że nie dostał takiego zastrzyku bez powodu.

Pacjent uniósł głowę. Łóżko, na którym leżał, jechało szpitalnym korytarzem. Czyli miało kółka. I jakiś napęd.

— Niech pan leży — powiedział Napęd i delikatnie, ale zdecydowanie nacisnął jego ramię. — Środek ciężkości nam się podnosi. Ma pan klaustrofobię? Albo plomby amalgamatowe? Implanty z materiałów ferromagnetycznych?

— Chyba nie. — Pacjent wysilał pamięć. — Nie pamiętam. To znaczy mam plomby, ale nie wiem, jakie są. — Uniósł głowę. — Czy to coś szkodzi?

— Niech pan leży. — Napęd znów nacisnął jego ramię. Sanitariusz, bo raczej nie lekarz. — Dopóki pana nie zbadamy, im mniej będzie się pan ruszał, tym lepiej dla pana.

Skręcili w boczny korytarz i przejechali po niewielkim progu. Zatrzęsło.

— Dobrze. — Pacjent posłusznie się położył. — A co z tymi plombami?

— To przeciwwskazanie względne. Konieczna będzie konsultacja z lekarzem kierującym na badanie lub radiologiem. To drugie będzie łatwiejsze, bo od pierwszego wyjechaliśmy, a do drugiego jedziemy. Radiolog pana zapakuje do skanera.

Zatrzymali się, ale tylko na chwilę. Drzwi windy rozsunęły się i teraz jechali już w dół.

— Właściwie to co się stało? — Pacjent w ostatniej chwili powstrzymał się, by nie unieść głowy.

— Właściwie to nie mam pojęcia. Coś poważnego, skoro wiozę pana na tomografię. Wszystkie planowe operacje i badania w szpitalu zostały dziś odwołane, a pana wiozę. Czyli coś poważnego.

Wyjechali z windy, skręcili dwa razy, minęli kolejne, tym razem grube drzwi i znaleźli się we wnętrzu zdecydowanie ciemniejszym. Tu dopiero Napęd wszedł w zakres widzenia Pacjenta, dzięki czemu okazał się młodym blondynem żywcem wyjętym z reportażu o szkoleniu marines. Przy pomocy kogoś innego Pacjenta przeniesiono, a dokładniej to przesunięto wraz z prześcieradłem na inne łóżko, pokryte śliskim materacem.

— Niech się pan nie rusza — przypomniał Napęd i odszedł na bok, skąd dobiegły odgłosy przyciszonej rozmowy.

Pacjenta korciło, żeby się trochę rozejrzeć. No ale podobno lepiej nie,

czyli pozostaje gapienie się w sufit, który urozmaicała jedynie kratka wentylacyjna.

— Później po pana wrócę — powiedział Napęd. — Na razie zostawiam pana pod dobrą opieką.

Trzasnęły drzwi. Dobra opieka wyglądała tak, że przez pięć minut nic się nie działo. Coś cicho buczało jak duży nowoczesny transformator. Albo jak duża stara świetlówka. W pokoju za przeszklonymi drzwiami klekotała klawiatura. Monotonnie. Bardzo monotonnie.

— Ma pan klaustrofobię? — Pytanie zadane przez lekarza wyrwało Pacjenta z drzemki. — Albo plomby amalgamatowe? Implanty z materiałów ferromagnetycznych?

— Chyba nie. To znaczy plomby chyba nie. Implanty na pewno nie, chociaż czasem szkoda.

— Rozrusznik serca?

— To bym pamiętał!

Coś ważnego się działo. Pacjent nie pamiętał co. To przez ten zastrzyk losy świata chwilowo nie wydawały się tak ważne.

Lekarz wszedł w zasięg jego widzenia. Był młody, staromodna szpiczasta bródka dodawała mu lat i godności, jakby chciał udawać kogoś innego. Takie przynajmniej robił wrażenie na Pacjencie. No ale zastrzyk pewnie zmieniał postrzeganie. Lekarz trzymał w dłoni clipboard i wypełniał ankietę. Zadawał pytania, na które Pacjent odpowiadał. Gdy Pacjent dłużej się zastanawiał, lekarz z metalicznym kliknięciem wyłączał długopis, by chwilę później z metalicznym kliknięciem go włączyć i postawić ptaszek przy właściwej odpowiedzi.

— Dobrze, możemy zaczynać — oznajmił. — Tu ma pan *panic buton*. — Wcisnął mu w dłoń coś przypominającego gumową gruszkę na kablu. — Przycisk paniczny. Albo panikowy. Jak będzie pan chciał przerwać badanie, to proszę go nacisnąć. Wszystko potrwa około dwudziestu minut. Będzie pan słyszał dziwne dźwięki – to zupełnie normalne. W tym czasie nie może się pan ruszać. Jest pan gotowy?

— Nie mogę się ruszać, tak?

— Jeśli się pan poruszy, badanie trzeba będzie zacząć od początku.

— Wtedy też nie będę mógł się ruszać?

— Właśnie tak.

— A co z tą konsultacją w sprawie plomb?

— Wypadła pozytywnie.

— Zatem zaczynajmy. — Pacjent nie poznawał swojego entuzjazmu. — Sam jestem ciekawy tych dziwnych dźwięków.

Łóżko z cichym pomrukiem silników elektrycznych zaczęło się przesuwać. Pacjent, głową do przodu, wolno wjechał do wnętrza skanera, który wyglądem przypominał wielki biały pączek z dziurką w środku, choć Pacjentowi skojarzyło się to bardziej z napompowaną dętką od traktora. Teraz z kolei, gdy łóżko znieruchomiało, odniósł wrażenie, że leży w ciasnej rurze. Nie było to przyjemne, więc zamknął oczy i udawał, że to jego własne łóżko, w którym zamierza zwyczajnie zasnąć, nie myśląc ani odrobinę o losach świata. No bo zastrzyk.

To się nie udało, gdyż ledwie kilka sekund później z obudowy otaczającej łóżko poczęły dochodzić rytmiczne dźwięki, przywodzące na myśl nałożoną na siebie mieszankę odgłosów silnika dwusuwowego, sieczkarni i zepsutej kuchenki mikrofalowej. Co kilkanaście, kilkadziesiąt sekund dźwięki zmieniały się, za każdym razem tworząc nowy rytm.

— Techno party — powiedział sam do siebie Pacjent, po czym już naprawdę skupił się na tym, żeby się nie ruszać.

To się chyba udało, bo gdy wreszcie dźwięki ucichły, nikt na niego nie nakrzyczał, że trzeba wszystko zaczynać od początku. Otworzył oczy. Wciąż leżał wewnątrz skanera.

— To już dwadzieścia minut? — zapytał. — Mogę się ruszać?

Wobec braku odpowiedzi, uznał, że może się ruszać. Spróbował się więc wysunąć drogą, którą się tu dostał. Tyle że łóżko ani drgnęło, a przesuwanie się po jego powierzchni nie było takie proste, bo przy każdym ruchu gips uderzał w znajdującą się ledwie kilka centymetrów od niego obudowę.

— Halo! — zawołał w ciemność. — Jest tu ktoś?

Nacisnął *panic buton*. Nic to nie dało. Zaczął go wciskać raz za razem.

* * *

Piotrek zawsze pilnował, żeby tankować samochód, gdy poziom paliwa zbliża się do jednej trzeciej. Oczywiście ona nigdy nie miała na to czasu, odkładała to na ostatnią chwilę i tankowała, dopiero gdy zapalała się rezerwa. To się zwykle kończyło nerwowym gnaniem na stację między jednym spotkaniem a drugim. Raz się nawet skończyło utknięciem w połowie drogi.

Wtedy przekonała się też, że w nowoczesnym samochodzie nie wystarczy dolać paliwa i uruchomić silnik, o nie – to się kończy wizytą w warsztacie i czymś, co się nazywa „odpowietrzanie”.

I właśnie teraz, ledwie wyjechała na autostradę, zapaliła się kontrolka rezerwy. Do Warszawy miała ponad trzysta kilometrów. Mała szansa, że uda się pokonać tę odległość na rezerwie. Praktycznie zerowa. A jednak Marlena sprawdziła na komputerze pokładowym, ile jeszcze zdoła przejechać. Komputer zamiast podać wartość, wyświetlił jedynie komunikat *„low fuel”*. Chciała wprowadzić do nawigacji polecenie wyszukania najbliższej stacji przy trasie, ale nawigacja nadal nie działała.

Westchnęła i mimo wszystko zwolniła nieco, żeby oszczędzać benzynę. Przejechała tak kilkanaście kilometrów, nim poczuła, że tak mocno zaciska dłonie na kierownicy, że aż bolą ją palce.

Nie widziała żadnych świateł, poza samochodowymi, co oznaczało, że awaria zasilania objęła nie tylko część Poznania, ale i podpoznańskie miejscowości. Ruch był znikomy, zdecydowanie mniejszy, niż powinien być o tej porze.

Marek, tata Neta, miał zadzwonić, jak tylko czegoś się dowie. Może i dzwonił, ale cóż z tego, skoro jej telefon nie działał.

Włączyła radio. Z głośników dochodziły tylko piski i szumy. Jak to w ogóle możliwe, że jednocześnie psuje się telefon, radio samochodowe, nawigacja i wysiada prąd w mieście?

A może to nie przypadek, tylko atak terrorystyczny, o którym wszyscy trąbią od kilku dni?

Mknęła pod gwiaździstym niebem, sama ze swoimi myślami.

W świetle reflektorów mignął znak, informujący, że za kilometr jest stacja benzynowa. Odetchnęła z ulgą i rozluźniła dłonie. Jeśli zatankuje do pełna, to za dwie–trzy godziny będzie w domu. Wtedy sprawdzi, co z Piotrem. Raczej nie puścili go do domu. Jak ktoś po wypadku, ot tak sobie, mdleje w środku dnia, to nie wypuszczą go, dopóki nie zrobią mu dokładnych badań. Felix na pewno już sprawdził, w którym szpitalu jest tata. Był taki zaradny. Musi mu kiedyś powiedzieć, jak bardzo jest z niego dumna.

Zwolniła i skręciła w zjazd do stacji. Jej optymizm natychmiast osłabł – na stacji nie paliło się ani jedno światło. Zatrzymała się przed gumowym pachołkiem, stojącym na środku wjazdu. Nie miała pojęcia, w jakiej odległości jest następna stacja ani ile samochód może przejechać na rezerwie.

Lepiej nie sprawdzać. Ominęła pachołek i wolno podjechała do jednego z dystrybutorów. Rozejrzała się po zupełnie pustej i ciemnej stacji. Właściwie to była pewna, że nic z tego nie wyjdzie, ale i tak odkręciła korek baku, włożyła do otworu pistolet i nacisnęła dźwignię. Oczywiście nic z tego nie wyszło. Pompa nawet nie drgnęła, była przecież napędzana prądem.

— Stacja jest nieczynna. — Przez uchylone przeszklone drzwi wychylała się dziewczyna w stroju służbowym.

— Wiadomo, ile to potrwa? — Marlena odwiesiła pistolet i zamknęła bak.

— Nie mogę się nigdzie dodzwonić. — Dziewczyna wyglądała na wystraszoną. — Następna stacja jest za trzydzieści kilometrów.

— O, nie. — Marlena pokręciła głową. — Jeśli utknę w połowie drogi, to będzie jeszcze gorzej. Zepsuł mi się telefon. Zaczekam tu, aż włączą prąd. — Spojrzała na dziewczynę. — Mogę?

Tamta wahała się, ale tylko przez moment.

— Razem raźniej. — Otworzyła szerzej drzwi. — Proszę.

Marlena wzięła z samochodu torebkę i nie czekając, aż kasjerka zmieni zdanie, podeszła do drzwi.

— W Poznaniu też nie ma prądu — powiedziała i weszła do środka.

— To coś poważnego.

— Naprawią to prędzej czy później.

— Nigdy nic takiego się nie wydarzyło. — Dziewczyna rozejrzała się jeszcze, czy nikogo nie ma, i zamknęła drzwi na klucz. — Nigdy wcześniej. Raz nie było prądu przez kilka minut, raz wysiadł internet. A teraz nic nie działa. Próbowałam wezwać ochronę.

Marlena stanęła przed przeszkloną lodówką w części bufetowej.

— Na kawę nie ma szans, prawda? — zapytała. — To chociaż wezmę taką w puszce. Przede mną kilka godzin drogi.

Wyjęła puszkę i podeszła do kasy. Dopiero teraz skojarzyła, że przecież bez prądu nie uda się nic kupić nawet za gotówkę – kasa nie działała bez prądu.

— Niech pani bierze. — Machnęła ręką kasjerka. — Potem policzymy.

— Dziękuję. Mogę jeszcze prosić hot doga?

— Może jeszcze nie wystygły. — Dziewczyna przesunęła ręką nad grillem. — Wystygły.

— Nie szkodzi.

— Są jeszcze kanapki.

— Już się nastawiłam na hot doga — powiedziała Marlena. — Może być i cold dog. Z dowolną parówką i dowolnym sosem.

Usiadła na kanapie w części barowej, obok położyła torebkę i rozejrzała się po ciemnym wnętrzu. Westchnęła. Samochody niby są na benzynę, a bez prądu i tak nie da się jechać. Otworzyła puszkę i pociągnęła łyk napoju. Skrzywiła się z niesmakiem. Słodki ulepek o smaku zaledwie przypominającym kawę.

Dziewczyna przyniosła dwa hot dogi. Jednego wręczyła Marlenie, drugiego ugryzła sama. Otworzyła puszkę coli i usiadła obok. Jadły w milczeniu, a Marlena z każdym kęsem umacniała się w przekonaniu, że zamówienie hot doga z „dowolnym sosem" nie było dobrym pomysłem. To, co znalazło się w bułce, przypominało słodką śmietanę o smaku czosnku.

— To może potrwać — odezwała się dziewczyna. — Lepiej niech pani wraca do Poznania i poszuka hotelu.

Marlena pokręciła głową.

— Muszę dziś dotrzeć do Warszawy. To bardzo ważne.

Jadła niesmacznego hot doga i popijała niesmaczną kawą. Sytuacja z rodzaju tych, których najbardziej nienawidziła – nic nie zależało od niej, a do tego nie wiedziała, kiedy to się skończy.

— Bardzo ważne — powtórzyła za nią dziewczyna. — Są bardzo ważne sprawy do załatwienia, ale jak się nie da, to się nie da.

— Są różne rodzaje ważnych spraw. Niektóre trzeba załatwić, nawet jeśli wydaje się, że to niemożliwe.

Wepchnęła do ust końcówkę słodko-czosnkowego hot doga, wstała i podeszła do regałów z olejami silnikowymi.

— Może tu jest coś, co można wlać zamiast benzyny? — zapytała.

— Nie wiem. — Kasjerka stanęła obok. — Musiałabym zapytać szefa. Mój dziadek kiedyś wlewał do traktora olej słonecznikowy zamiast ropy. I jakoś to działało. — Spojrzała na Marlenę przepraszająco. — Ja się nie znam. Ja tylko kasę obsługuję i robię hot dogi. Poprzednio pracowałam w obuwniczym w Jarocinie. Na butach znałam się trochę lepiej.

— A kanistry? — Pani Polon wskazała najniższą półkę. — Mogę kupić benzynę w kanistrach?

— Taaak… Tyle że ją też trzeba nalać z dystrybutora.

W sumie to wiele nie zmieniało, bo i tak miała za mało gotówki. Gdzieś

w głębi jej umysłu zaczynał kiełkować pomysł zatankowania i odjechania bez płacenia. Oczywiście tylko w sytuacji, gdyby okazało się, że nie da się zapłacić kartą. To byłaby kradzież. Czy ta sytuacja usprawiedliwiała kradzież? Raczej pożyczkę, bo przecież zamierzała zapłacić po powrocie do domu. W sumie jakie znaczenie ma te kilkaset złotych, jeśli chodzi o zdrowie rodziny?

Marlena spojrzała na dziewczynę, która w blasku wyświetlacza telefonu wciąż próbowała coś wyczytać z etykiet olejów silnikowych.

— Masz kogoś? — zapytała. — Kogoś bliskiego – męża, narzeczonego?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Mieszkamy razem, tam. — Wskazała ciemność za oknem. — Parę kilometrów stąd.

— Przyjdzie po ciebie, jeśli nie włączą prądu?

— Gdzie tam! Pewnie chla z kumplami. — Zgasiła telefon. — Po Maryśkę przyjechał jej… taki jeden. Powiedział, że to się prędko nie skończy. On pracuje w energetyce. To grubsza sprawa. W całym rejonie nie ma prądu. — Zastanawiała się nad czymś intensywnie. — W sumie to znaczy, że na tej następnej stacji też nie ma prądu. — Spojrzała na Marlenę. — A pani? Pani na pewno kogoś ma. On by po panią przyjechał?

— Marlena. — Wyciągnęła rękę, a tamta ją uścisnęła lekko. — Przyjechałby. Niestety nie tym razem. To ja muszę pojechać do niego. Jest w szpitalu. Dostałam wiadomość, że stracił przytomność.

— Pewnie z przepracowania — powiedziała dziewczyna. — Niektórzy zapracowują się na śmierć… Oj, przepraszam! — Zasłoniła dłonią usta. — Chciałam powiedzieć, że pracują ciężko i organizm w ten sposób domaga się odpoczynku. Niektórzy tak mają. — Westchnęła ciężko. — Mój nie. Mój cały dzień siedzi w domu. A jak już wychodzi, to na piwo z kolegami.

— Dużo pracuje, to prawda. — Marlena pokręciła głową. — Ale to nie to. Tydzień temu miał wypadek samochodowy. Potem skarżył się na ból głowy. A ja mu kupiłam aspirynę…

— Pomogło?

— Pomogło. Pomogło mi oszukiwać się, że dbam o rodzinę. Tak to jest, że rzeczy najważniejsze doceniamy, dopiero gdy nam ich zabraknie. — Wyjrzała przez okno. — Włączyli prąd?

Na zewnątrz nie panowała już nieprzenikniona ciemność. Podjazd przed stacją rozjaśniała pulsująca nieregularnie zielona poświata.

— Nasze neony są czerwone. — Kasjerka podeszła do szklanych drzwi, otworzyła zamek i wyszła w osobliwą noc. Na niebie falowały zielone firanki. — Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Co to jest?

— Zorza. — Marlena stanęła obok. — To jest zorza.

Stała tak z uniesioną głową, podziwiając piękne widowisko. Zastanawiała się, czy Piotr też to teraz ogląda.

* * *

Z trudem wyczołgał się z wnętrza skanera i stanął na bosaka na chłodnej podłodze. Nie paliło się żadne światło. W pokoju za szklaną ścianą, gdzie stały komputery sterujące skanerem, nie było nikogo. Całe światło pochodziło z poziomych szczelin w rolecie zasłaniającej okno.

Podszedł do niego i korbką uniósł roletę do połowy. Dobrze, że otwierała się ręcznie – zdaje się, że w budynku nie było prądu.

Lekarz ze szpiczastą bródką szybkim krokiem oddalał się od budynku. Skręcił na parking, wrzucił zmięty fartuch i torbę na tylną kanapę, po czym wsiadł za kierownicę i dynamicznie ruszył. To chyba oznaczało koniec badania.

Pacjent czuł zawroty głowy i nie potrafił powiedzieć, czy to z powodu zastrzyku, czy też mimo zastrzyku. Co było pierwsze? Czy kręci mu się w głowie od zastrzyku, czy dostał zastrzyk, bo kręciło mu się w głowie? Co wydarzyło się wcześniej? W sumie to nie pamiętał, dlaczego znalazł się w szpitalu.

Wyszedł na pusty korytarz i wolnym krokiem skierował się do łazienki. Oparł się o umywalkę i uniósł głowę. Znieruchomiał, napotykając spojrzenie swojego odbicia. Wysunął dłoń, jakby chciał dotknąć twarzy po drugiej stronie. Zatrzymała go oddzielająca ich tafla. Długo przyglądał się odbiciu, po czym zapytał na głos:

— Kim ty jesteś, człowieku?

14. Mógłbyś się ciutkę pospieszyć?

To musiała być fabryka chemiczna, może rafineria. Felix biegł przez walącą się halę resztkami sił, ponaglany płomieniami i kolejnymi wybuchami.

Pomysł szukania tutaj pomocy nie wydawał się już taki dobry, jak jeszcze kwadrans temu. Po całym dniu i nocy błąkania się wyszedł wreszcie z mrocznego lasu i z ulgą zagłębił się w te instalacje, ten wytwór zaawansowanej ludzkiej technologii. Nie mógł przewidzieć, co się wydarzy ledwie kilka minut później. W jednej chwili patrzył na błyszczące w zimnym sodowym świetle rury, pnące się po geometrycznych kratownicach przewody, szumiące pompy, a zaraz potem potężny grzmot oznajmił początek końca tej pięknej struktury.

Najpierw zamigały i wolno zgasły lampy. W ich stygnącym świetle Felix dostrzegł kolejne wstrząsy szarpiące misterne konstrukcje. A potem lampy przestały być potrzebne, wszystko bowiem rozświetliła unosząca się w niebo kula ognia, w którą zamienił się jeden z wielkich zbiorników sto, może dwieście metrów dalej. Wraz ze światłem przyszła fala gorąca, a po niej podmuch, który zwalił go z nóg.

Zerwał się i biegł dalej, przez hale, stalowymi chodnikami wzdłuż labiryntów różnej średnicy rur, przez tunele ułożone z przewodów i blaszanych osłon, po pomostach między kratowymi wieżami oplatającymi metalowe kolumny.

Z zaworów bezpieczeństwa z sykiem uciekała para, podłoga z metalowych krat dygotała pod jego stopami. Ziemia piętnaście metrów niżej parowała od rozgrzanych podziemnych instalacji.

Ledwie wbiegł do wysokiej na dziesięć pięter hali i przeskoczył na schody, pomost za jego plecami z jękiem giętej stali złamał się i z rumorem spadł. Sto metrów z prawej strony eksplodował kolejny zbiornik. Podmuch wybił wszystkie szyby w budynku obok. Gruba rura w górze pękła, wypełniając ognistą chmurą przestrzeń pod dachem.

Kolejny wybuch, tym razem w dole, zamienił wszystko w morze płomieni. Schody zadrżały potężnie, puściły spawy i śruby, aż wszystko rozsypało się i z ogłuszającym hukiem runęło w dół.

Felix poczuł pod plecami twardą powierzchnię. Otworzył oczy.

Minęła chwila, nim powrócił do rzeczywistości. Sen nie był przyjemny, niestety jawa też pozostawiała wiele do życzenia. Szałas, posłanie z suchej trawy, burza magnetyczna, ładunki wybuchowe na przewodach… wszystko to wróciło do niego w jednej chwili.

Było ciepło, jasno, a w koronach drzew szumiał wiatr.

Było bardzo ciepło, właściwie to zdecydowanie za ciepło, a to, co szumiało w koronach drzew, to jednak nie był wiatr.

Felix rozbudził się na dobre.

Wciąż trwała noc, a jasność pochodziła od płomieni sięgających nieba. Pożar lasu z bliska nie wyglądał jak na filmie. Wyglądał o wiele groźniej. Felix zerwał się z posłania i osłonił twarz przed żarem. Ogień zbliżał się i huczał jak rozpędzający się odrzutowiec. Obok w szałasie leżeli Net i Nika. Spali mimo hałasu. Szarpnął za ramię Neta, potem Nikę.

— Wstawajcie!

— Jeszcze pięć minutek… — mruknął Net. — Dżizas, gorąco jak u piekarza pod pachą. Pyknij klimę.

— Pali się! — Felix szarpnął go mocniej.

Net otworzył jedno oko, potem drugie. A potem otworzył je jeszcze szerzej i potrząsnął ramieniem Niki.

Już się obudziła, usiadła i natychmiast oprzytomniała do końca. Zerwała się z posłania, bo ogień zajmował już krawędź szałasu. Felix narzucił plecak.

— Chodu! — Pociągnął Nikę za rękę. — To prawdziwy pożar!

Net otrząsnął się i zerwał na równe nogi. Zawahał się jednak. Jego plecak leżał już prawie w ogniu.

— Zostaw! — krzyknął Felix.

Net nie słuchał. Narzucił bluzę na głowę i najpierw na czworakach, a potem na kolanach doczołgał się do plecaka, chwycił go i dopiero się

wycofał. Zbiegli z pagórka piaszczystą ścieżką, ale zaraz drogę odcięły im płomienie sunące niemal poziomo. Prąd powietrza zasysał liście i mniejsze gałęzie w stronę płomieni, podsycając ogień. Skręcili w lewo, w wąską ścieżkę, ale i tam pojawiły się płomienie.

— Tędy! — Felix wbiegł między drzewa.

Teraz biegli już lasem, znacznie wolniej, schyleni, zasłaniając się przed gałęziami. Robiło się chłodniej, co mogło oznaczać, że oddalają się od niebezpieczeństwa. Zaraz jednak znów między pniami dostrzegli pomarańczową poświatę. Zatrzymali się i rozejrzeli.

— Znów krążymy — stwierdził Felix.

— Rusz przeczuciem! — Net spojrzał na Nikę. — Chociaż teraz.

Nika pokręciła głową i rozłożyła bezradnie ręce.

— Na jednym takim filmie był pożar stepu — wydyszał Net. — I oni tam podpalili przed sobą ten step, żeby wejść na spaloną ziemię. Bo tam już nic więcej się nie spali.

— W lesie to nie zadziała — odparł Felix. — Tamten kierunek odpada. — Wskazał w lewo, gdzie teren wznosił się. — Tam jest obóz. Był.

— Tam! — Nika wskazała w prawo.

— Jesteś pewna? — zapytał Net.

— Ani trochę.

Pobiegli jednak właśnie tam. Kasłali od dymu, a z obu stron, zza drzew coraz bliżej błyskały płomienie.

Nagle przez gałęzie dostrzegli coś innego. Wypadli na idącą pod górę piaszczystą drogę i zatrzymali się przed bordowym Oplem Fronterą. Samochód nadal stał zakopany po osie. Wiercisława nie było nigdzie widać. Felix bez wielkich nadziei pociągnął za klamkę, a drzwi, o dziwo, się otworzyły. Nadal bez wielkich nadziei zajrzał za kierownicę w poszukiwaniu kluczyków, a te, o dziwo, tkwiły w stacyjce.

— Wsiadajcie — rzucił, sam już wskakując za kierownicę.

— Przecież on jest zakopany! — Net wskazał progi ledwo odstające od ziemi.

Felix uruchomił silnik, wrzucił wsteczny i wcisnął gaz. Koła chwilę zabuksowały w piasku, po czym samochód płynnie wyjechał z pułapki w dół zbocza.

Nie czekając na nic więcej, Net obiegł samochód i wskoczył na miejsce obok Felixa. Nika wsiadła na tył.

W górze prześwitywało coś jaśniejszego. I nie była to zorza, lecz zachmurzone niebo, które wyjrzało zza kłębów czarnego dymu. Wstał już dzień, tylko dym przesłaniał większość światła.

— Zapnijcie pasy. — Felix sam zapiął swoje.

— Jedź już! — rzucił Net, ale posłusznie zapiął pas. — Umiesz to prowadzić?

— To nie może być trudne.

Felix nie próbował podjeżdżać pod górę. Wycofał do najbliższego skrzyżowania leśnych dróg i skręcił w tę, w której nie było widać płomieni. Ledwie kawałek dalej droga wyglądała już na nieużywaną. Porastały ją młode drzewka i krzaki. Przejechali jeszcze kilkanaście metrów i musieli się zatrzymać. Dalsza jazda groziła utknięciem.

— Do tyłu! — rzuciła Nika.

Felix wykręcił się w fotelu i zaczął cofać. Tu nie było jak zawrócić.

— Schyl się, bo zasłaniasz — powiedział. — Cofania nie ćwiczyłem.

Okazało się to trudniejsze, niż się spodziewał. Jazda do przodu jest intuicyjna, do tyłu ani trochę. Jechał więc wolno, a mimo to dwa razy zjechał w bok i musiał odbić do przodu, żeby wrócić na drogę.

— Nie możesz szybciej? — zapytał Net.

— Chcesz prowadzić?

Dotarli wreszcie do skrzyżowania i Felix tym razem wybrał szerszą drogę, po której mógł jechać z większą prędkością. Nie dało się stwierdzić, który kierunek jest najlepszy. Dym i płomienie zdawały się otaczać ich ze wszystkich stron.

Zwolnił przed kolejną poprzeczną drogą i rozejrzał się.

— Przecież tu nie będzie wycieczki przedszkolaków! — krzyknął Net. — Po prostu jedź!

Felix wcisnął gaz. Tyłem zarzuciło. Przed nimi dla odmiany zrobiło się ciemno – snuł się tam czarny dym.

— Znajdź, gdzie się włącza zamknięty obieg powietrza — rzucił Felix.

Net przyjrzał się desce rozdzielczej i wcisnął przycisk, który wydawał się właściwym.

— Chyba jest.

Mimo że wjechali w chmurę dymu, do wnętrza dostało się go niewiele. Ledwie kręciło od niego w nosie. Felix włączył długie światła i jeszcze halogeny przeciwmgielne, a i tak widział ledwie na kilka metrów. Zwolnił

więc, by nie wpaść na drzewo. Po bokach zaczęło się robić jaśniej, ale to nie dym rzedł, tylko płomienie podchodziły do drogi.

— Ja bym sugerował pośpiech. — Net zasłonił się ramieniem od ciepła zza okna.

Nika nasunęła kurtkę na głowę.

— Tu nic nie widać. — Felix pochylał się nad kierownicą, co niewiele pomagało.

Do środka przez nieszczelności dostawało się coraz więcej dymu.

— Po prostu depnij ten gaz! — krzyknął Net.

Felix zrobił to. Jechali teraz bez widoczności, jeśli nie liczyć przemykających tuż za oknami drzew. Na przemian robiło się czarno albo pomarańczowo. Samochód podskakiwał na nierównościach, o maskę uderzały gałęzie, czasem coś gruchnęło o podwozie, aż wreszcie niespodziewanie dym rozwiał się, a oczom zaskoczonych przyjaciół ukazały się nieco poniżej nich sypiące iskrami druty trakcji kolejowej. Felix wdusił hamulec, ale było już za późno. Opel wyskoczył ponad krawędź zbocza, przeleciał kawałek w powietrzu, kilka metrów niżej opadł na cztery koła i wyrżnął w podstawę kamiennego nasypu. Przyjaciele zawiśli w pasach, a spod wybrzuszonej maski buchnęły kłęby pary.

— No to koniec *off-roadu*. — Felix odpiął pas i odwrócił się do przyjaciół. — Jesteście cali?

Kaszląc, wysiedli. Stanęli obok samochodu i przyjrzeli mu się. Tym razem wydobycie go bez wyciągarki było niemożliwe. Zresztą wątpliwe, czy nadawał się do dalszej jazdy.

— Rozwaliliśmy Wiercisławowi brykę — stwierdził ponuro Net.

— Tam i tak by się spaliła — zauważył Felix.

— Tu też niedługo… — Nika wskazała w lewo, gdzie płomienie pełzały już po suchej trawie zbocza.

Co gorsza, z prawej strony działo się to samo.

— No to koniec… — jęknął Net.

Jedyna sensowna droga prowadziła do przodu. Choć lepiej powiedzieć, że ta droga byłaby sensowna, gdyby nie iskry.

— Tam! — Nika wskazała ledwie sto metrów dalej małe prostokątne wejście do tunelu pod nasypem. — Przejście dla zwierząt.

Pobiegli trawersem po skosie zbocza i potykając się o kamienie nasypu, dopadli do tunelu. Ledwie kawałek dalej płomienie lizały już kamienie. Tunel

miał niecałe półtora metra wysokości, leżały w nim śmieci i stała woda. Nie miało to jednak najmniejszego znaczenia, bo po drugiej stronie czekało ich wybawienie – kamienny nasyp na pewno zatrzyma pożar.

Weszli do środka i ślizgając się na wilgotnych śmieciach, przygarbieni, przeszli na bezpieczną stronę i wyczerpani, opadli na porośnięte trawą zbocze.

Nika z niepokojem oglądała przemoczone martensy. Net zajrzał do osmalonego plecaka i wyjął z niego pomarańczowy pendrive z naklejonym wykrzyknikiem. Z ulgą stwierdził, że wygląda na nietknięty.

— Teraz to bym wypił błoto — mruknął. — Nawet nieprzegotowane.

Felix zerknął na zegarek – była prawie dziewiąta.

— Zaspaliśmy. — Spojrzał z wyrzutem na Neta. — Zasnąłeś na warcie.

— Zmęczony byłem. — Net wzruszył ramionami. — No co tak patrzysz?!

— Po to właśnie jest warta! — Felix wskazał płomienie po drugiej stronie.

— Ty się uparłeś na ognisko! A potem walnąłeś w kimono jako pierwszy!

Nika westchnęła.

— Nie krzycz na niego — poprosiła Felixa. — To ja zasnęłam. Miałam obudzić Neta, ale zasnęłam.

Wpatrywali się w płomienie buzujące po przeciwnej stronie torowiska. Sięgały wysoko, miejscami na dziesiątki metrów nad ziemię, gdzie zamieniały się w czarny dym.

Nika otarła łzy, które napłynęły jej do oczu bynajmniej nie z powodu gorąca.

— Nabroiliśmy — przyznał Net. — Jak się to wszystko skończy, posadzimy tysiąc nowych drzew.

— Raczej sto tysięcy — dodał ponuro Felix. — Zabezpieczyłem to ognisko…

— Jak widać nie za dobrze! — Net wskazał pożar.

— Przestańcie — przerwała im Nika. — Już tego nie zatrzymamy. Potem będziemy myśleć, jak to naprawić… Wynagrodzić. Teraz musimy się dostać do Warszawy.

Spojrzeli w kierunku, gdzie powinno być miasto. Wybór mieli niewielki: iść po trawiastym zboczu wzdłuż torów lub wyżej przedzierać się przez

chaszcze. Wędrówka po kamieniach nasypu nie wchodziła w grę, i to nie tylko z powodu iskier pełzających po trakcji.

Felix wstał i narzucił plecak.

— Poleżmy jeszcze chwilę — poprosił Net. — Nie pali się.

— Śmieci. — Felix wskazał w górę, gdzie co jakiś czas z dymu wylatywały niewielkie płonące obiekty. — Mogą przenieść pożar na tę stronę torów.

Nika trąciła jego ramię i wskazała na przeciwną stronę torów, tam gdzie nadal stał pociąg. Od lokomotywy dzieliło ich nie więcej niż sto metrów. Za pociągiem ogień wspinał się na zbocze po stronie, po której znajdowali się przyjaciele.

— Ja pierdykam… — Net zerwał się i szybkim krokiem ruszył w stronę Warszawy. Jednak ledwie kilka metrów dalej potknął się o kamień i ledwo złapał równowagę.

— Zaczekaj. — Felix przyglądał się lokomotywie. — W tysiąc osiemset pięćdziesiątym dziewiątym roku telegrafy działały, mimo odłączenia baterii. Te, które się nie spaliły. Indukowany przez burzę magnetyczną prąd był wystarczający, żeby zasilić sieć.

Net wrócił do przyjaciół.

— Co ty kombinujesz? — zapytał podejrzliwie.

— Nie pamiętam, czy ta lokomotywa jest zasilana prądem stałym czy przemiennym. — Felix szedł już w stronę pociągu. — Jest stara, ale na pewno zmodernizowana.

Potykając się na kamieniach, szli w stronę pociągu, a przy okazji w stronę pożaru. Płomienie ogarnęły już ostatnie wagony, trzysta metrów dalej.

— Stary! — znów odezwał się Net. — To coś w tych cysternach, to nie mleko. Przecież nikt nie wozi mleka pociągami! Tam jest z pięćdziesiąt cystern chyba-nie-mleka!

— Są puste.

— Skąd niby ta pewność.

— Bo nie wybuchły. — Felix przyjrzał się przewodom trakcyjnym. — Większość iskier strzela w niebo, a co kilkadziesiąt sekund słabną. Zmienia się natężenie prądu.

— Chcesz wejść do środka? — upewniła się Nika. — Do lokomotywy?

— To zajmie chwilę. Jeśli się nie uda, po prostu odejdziemy.

Lokomotywa jest puszką Faradaya.

— Czym? — zapytał Net.

— Ładunek elektryczny spływa po wierzchu. W środku będziemy bezpieczni.

— Jakoś nie wierzę… — mruknął Net.

Felix pierwszy dotarł do lokomotywy, która z tej perspektywy wyglądała jeszcze potężniej. Wspiął się i po krótkim wahaniu wyciągnął lewą rękę i małym palcem dotknął poręczy.

Nie wydarzyło się nic, nie poczuł nawet minimalnego przepływu prądu. Ośmielony tym, złapał poręcz i wspiął się po stopniach do uchylonych drzwi. Net, mrucząc coś pod nosem, wspiął się za nim i wyciągnął w dół rękę, by pomóc Nice.

Powiedzieć, że wnętrze wyglądało przaśnie, to zdecydowanie za mało. Do ręcznie malowanych ścian grubymi śrubami domontowane były elementy pasujące raczej do maszynowni statku. I to starego statku. Szyby, osadzone w grubych ramkach, w narożnikach pokrywał rdzawy nalot. Przed kanciastą konsolą do podłogi przykręcono fotel obrotowy, obity niebieskim welurem. Samą podłogę wyłożono powycieranym gumoleum, które miejscami podwijało się, odsłaniając blachę pokrytą czarnym nalotem.

— To wygląda jak sterownia pralni przemysłowej z pierwszej wojny światowej — ocenił Net. — O! A po co w lokomotywie kierownica?

— To regulator prędkości. — Felix przyglądał się panelowi kontrolnemu, który rzeczywiście bardzo odstawał od współczesnych standardów. Były tam wystające przełączniki i kontrolki wielkości małych słoiczków z dżemem. A wszystko zamocowane w płaskim panelu z grubej blachy. Blacha musiała być malowana wiele razy, bo śruby mocujące dawało się zlokalizować tylko po małych wypukłościach.

— Stacyjka? — Net wskazał okrągły otwór nad wskaźnikami.

— Coś w tym stylu. — Felix wyjął multitoola i otworzył w nim kombinerki. Wsunął je w otwór i przekręcił zamek. — Mało wyrafinowana.

— Pendolino byśmy tak nie odpalili.

Felix wcisnął kilka przełączników, obrócił sporą dźwignię i gdzieś z głębi lokomotywy dobiegł terkot sprężarki.

— Skąd wiesz, co trzeba zrobić? — Nika patrzyła zdziwiona na kolejne wykonywane przez przyjaciela czynności.

— Widziałem na YouTubie — odparł Felix. Napotkał pytające spojrzenia

przyjaciół, więc dodał — niektórzy przez pół nocy grają, a ja oglądam takie rzeczy. — Wszedł w wąski korytarzyk, wsunął dłoń we wnękę i otworzył jakiś zawór. — Jest dużo ciekawych filmów. Jak zrobić nóż z resora samochodowego, jak hydroponicznie [1] hodować marchewkę albo jak jest skonstruowany silnik helikoptera.

— Jedni maniacy to wrzucają, inni oglądają — mruknął Net. — Mógłbyś się ciutkę pospieszyć?

— Oni wszystkiego nie wyłączyli. Zaciągnęli hamulec, odcięli zasilanie i uciekli.

— Wcale im się nie dziwię. — Net wychyli się przez okno i spojrzał do tyłu. — Bali się, że mleko w cysternach się zsiądzie i wywali ich w kosmos.

Nika wychyliła się przez okno i spojrzała do góry.

— Nie pojedziemy. To coś od prądu jest opuszczone.

— Pantograf? — Felix wrócił do kabiny i przebiegł wzrokiem po panelu kontrolnym. — Tego akurat nie pamiętam…

Ciśnienie na manometrze stopniowo rosło, za to voltomierz i amperomierz niezmiennie pokazywały zero.

Z zewnątrz dobiegł odgłos potężnej eksplozji, aż wszystko się zatrzęsło.

— Wybuchają cysterny z chyba-nie-mlekiem. Jezu… — Net z wrażenia aż oparł się o konsolę. — Te krowy karmili chyba paszą z GMO.

Coś mu przeskoczyło pod ręką. Cofnął ją więc szybko i odsunął się. Gdzieś w górze rozległ się syk.

— O właśnie — ucieszył się Felix. — Tym się podnosi pantograf.

Net z zaskoczeniem spojrzał na swoją dłoń i na przełącznik, który przed chwilą przestawił. Wskaźnik napięcia ruszył się i zaczął wahać między połową skali a maximum.

Nika znów się wychyliła.

— Podniósł się! — wykrzyknęła, po czym spojrzała na wagony z tyłu. — Ostatnia cysterna rozsadzona i płonie. — Kolejny huk zmusił ją do schowania się do środka. — Następna…

— Zaraz nas tu nie będzie. — Felix położył dłoń na regulatorze przypominającym kierownicę. Nie poruszył nią jednak.

— Na co czekasz? — zapytał zniecierpliwiony Net. — Zdeczka gorąco się robi.

— Pociągniemy za sobą te wszystkie cysterny — odparł Felix.

— Rozniesiemy pożar wzdłuż torów — przyznała Nika.

— A kolejne będą wybuchać coraz bliżej lokomotywy. — Felix potarł brudną ręką czoło. — Musimy je odłączyć.

— Wiesz, jak to się robi?

— Nie, ale to nie może być trudne.

Felix przeszedł na tył lokomotywy, gdzie znajdowała się identyczna kabina. Ogarnął wzrokiem taką samą konsolę. Oczywiście nie znalazł tam żadnego przycisku z napisem „odłączanie wagonów”. Wysiadł na kamienie i podszedł do wielkich buforów lokomotywy, o które opierały się równie wielkie bufory pierwszej cysterny. I kiedy zauważył wymalowany na jej burcie znak ze schematycznym płomieniem i wybuchem, coś z tyłu błysnęło, a jego ubraniem targnął podmuch kolejnego wybuchu. W tej samej chwili dobiegł go grzmot. Trzecia od końca cysterna z chyba-nie-mlekiem właśnie zamieniła się w kulę ognia, przypominającą pomniejszony grzyb atomowy.

Było kwestią czasu, aż gorąco od tego wybuchu nagrzeje kolejną cysternę, rozpoczynając efekt powolnego domino.

Felix schylił się i wślizgnął pod buforami między lokomotywę a wagon. Po drugiej stronie torów płonęło już wszystko, co nie było kamieniami. Musiał stać tyłem do huczącego ognia, narzucił kaptur. Trudno było się skupić w takich warunkach. Otarł pot z twarzy i przyjrzał się, co łączy lokomotywę z resztą pociągu. Wyglądało na to, że wszystko trzyma się na jednym sprzęgu, który składał się ze śruby i kilku elementów zakończonych od strony wagonu potężnym uchem z kutej stali. Spodziewał się czegoś bardziej wyrafinowanego, bo to wyglądało jak powiększony zaczep od zabawkowego modelu kolejki. Wystarczyło więc zdjąć ucho z haka. Tyle że ono nie chciało zejść, choć szarpał z całej siły.

Kolejna, bliższa eksplozja zmusiła go do intensywniejszego myślenia. Chwycił potężną śrubę na środku sprzęgu i z trudem obrócił ją o kilka obrotów. Doskonale! Uniósł sprzęg, a on… po prostu zszedł z haka. Ale były tam jeszcze przewody ciśnieniowe, które trzeba odłączyć!

Znów błysk i grzmot, znów bliżej. Felix sięgnął do połączenia przewodów, ale zatrzymał się. Jego instynkt techniczny podpowiadał mu, że przewodów pod ciśnieniem nie odłącza się ot tak. Są! Zakręcił zawory na obu stronach przewodów i dopiero rozpiął złączkę pośrodku. Syknęło, tylko trochę. Odwiesił przewody, przecisnął się pod buforem, wdrapał do kabiny i zamknął za sobą drzwi. Pobiegł do przodu.

— Zrobione! — oznajmił.

— Nie wygląda to najlepiej. — Net wskazał tory przed nimi, gdzie płonęły przewrócone drzewa.

— Przejedziemy przez to? — zapytała Nika.

Lokomotywą znów wstrząsnęła eksplozja. Wybuchy następowały coraz szybciej po sobie.

Felix obrócił regulator w prawo. Coś cyknęło, coś zabuczało, a lokomotywa… stała nadal.

— Buczy, a nie jedzie. — Net pochylił się nad kontrolkami. — Coś się zepsuło!

— Może napięcie się nie zgadza? — Felix popukał w zegary.

— A jakie powinno być?

— Skąd mam wiedzieć?

— Z YouTube’a.

Felix gorączkowo rozglądał się po kabinie. Czegoś zapomniał, czegoś istotnego…

— Hamulec postojowy! — Wskazał czerwone koło, które wyglądało jak pomniejszone koło sterowe. — Odkręć to!

— W którą stronę? — zapytał Net.

— W którą się da.

Net szarpnął i niemal bez oporu odkręcił koło.

Ale lokomotywa nadal stała.

— Może… — Net rzucił tęskne spojrzenie w stronę chaszczy, których jeszcze nie ogarnął ogień. — Może jednak…?

Nika spojrzała wyczekująco na Felixa, który z coraz mniejszą pewnością oglądał kolejne elementy sterujące.

— Już za późno… — powiedziała cicho.

Felix usiadł w fotelu maszynisty.

— Dajcie mi pomyśleć.

Odpowiedzią była kolejna eksplozja, a po niej następna.

— My damy, ale co z chyba-nie-mlekiem? — Net pocierał nerwowo dłońmi o spodnie.

— Nie wrzuciliśmy biegu! — wykrzyknął Felix i przestawił obrotową dźwignię pod „kierownicą”.

— Podzielam twoją radość, ale nadal stoimy. Powietrze boli mnie w twarz.

— To jest nastawnik jazdy — Felix obrócił w prawo „kierownicę” — czyli regulator prędkości.

— Super, ale… — Net wysunął dłonie, jakby chciał potrząsnąć przyjacielem. Albo zacząć go dusić.

— Hamulec główny! — olśniło Felixa.

Przekręcił dźwignię po prawej stronie i wcisnął grzybkowaty przycisk. Syknęło sprężone powietrze i lokomotywa ruszyła.

1. Hydroponika – technologia uprawiania roślin bez gleby. [wróć]

15. Podążajmy za przeznaczeniem

Alarm wył rozdzierająco. Marlena, wyrwana ze snu, potrzebowała dłuższej chwili, by sobie przypomnieć, gdzie jest. Leżała na kanapie w pomarańczowo-czerwone kwiatki, nakryta płaszczem, z torebką zamiast poduszki pod głową.

Stacja benzynowa. Awaria prądu.

Usiadła, włożyła buty i wstała. Na zewnątrz migało pomarańczowe światło. Niebo już siniało od wschodu.

Z sąsiedniej kanapy podniosła się kasjerka. Ziewnęła i przeciągnęła się.

— Akumulator się rozładowuje — wyjaśniła. — Ten od alarmu, od zasilania awaryjnego. System alarmowy jest tak głupi, że bierze to za włamanie. Kiedyś też się tak zrobiło, jak wyskoczył bezpiecznik.

— Długo tak będzie wyć? — Marlena przetarła zaspaną twarz.

— Aż akumulator się rozładuje do końca.

— Czyli nadal nie ma prądu.

— Chce pani… chcesz śniadanie?

— Nie mam jak zapłacić.

— Nie przejmuj się tym. Jeść trzeba.

Marlena podeszła do lodówki i wybrała losowo dwie kanapki. Kasjerka przyniosła sobie też dwie i jeszcze dwie butelki soku. Usiadły przy stoliku i zaczęły jeść. Alarm wciąż wył.

— Benzyna jest w podziemnych zbiornikach? — zapytała Marlena. — Można ją jakoś wydobyć bez prądu? Wyssać jakąś rurką, wyciągnąć kubeczkiem na sznurku?

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Nie mogła odpowiedzieć z pełnymi

ustami. Przełknęła i dopiero powiedziała:

— Ja tylko obsługuję kasę.

— Przecież nie będę tu siedziała nie wiadomo ile. — Pani Polon podeszła z kanapką do okna. — Musi być jakiś sposób!

Piotr by wiedział, pomyślała. Felix też. To przecież nie może być bardzo skomplikowane. To problem typowo techniczny, ich specjalność.

— Może Maciek będzie wiedział — dodała dziewczyna. — On tu pracuje… od zawsze chyba.

Przez wycie alarmu przebił się inny dźwięk, nieco przypominający odgłos karabinu maszynowego.

— Zaczyna się! — Kasjerka chwyciła Marlenę za rękaw.

— Co?

— Nie oglądałaś filmów… takich, no, katastroficznych? Jak nie ma prądu, to na ulice wychodzą bandyci. Rabują sklepy i… robią jeszcze gorsze rzeczy.

Dźwięk karabinu maszynowego zbliżał się, aż przestał być dźwiękiem karabinu. Na stację wjechał motocykl typu chopper z trzydziestoletnim może mężczyzną ubranym w skórzaną kamizelkę i kask z przerobionego starego hełmu wojskowego. Zatrzymał się centralnie przed wejściem.

Marlena rozglądała się po sklepie, oświetlonym światłem poranka, w poszukiwaniu czegokolwiek do obrony.

— To właśnie Maciek — powiedziała z ulgą w głosie kasjerka. — Poranna zmiana. Już szósta.

Otworzyła drzwi i wpuściła motocyklistę do środka. Cmoknął ją w policzek i ukłonił się lekko Marlenie.

— Czemu nie wyłączyłaś alarmu? — zapytał kasjerkę.

— Nie ma prądu. Akumulator…

Mężczyzna machnął tylko ręką i wszedł na zaplecze. Po chwili alarm ucichł. Cisza aż zaświdrowała w uszach.

Marlena pospiesznie dokończyła jeść i popiła sokiem. Maciek z porannej zmiany wyglądał na kogoś, kto potrafi ogarnąć trudne sprawy. Oczekiwała, że teraz coś się wydarzy, coś zostanie naprawione i wróci na właściwe tory.

Po chwili Maciek wyszedł z zaplecza zupełnie odmieniony, z zaczesanymi grzecznie włosami, w stroju pracownika stacji i z plakietką „Maciek” przypiętą na piersi. Teraz wyglądał na kogoś, kto nie zbliżyłby się do motocykla na odległość mniejszą niż dziesięć metrów.

No, chyba że miałby komuś pomóc w tankowaniu.

Kasjerka patrzyła na niego z uśmiechem błąkającym się na ustach.

— Przyjechałeś — powiedziała.

— Właśnie rozpoczął się koniec świata — oznajmił tonem niemal radosnym. — Ale to nie zwalnia nikogo z mycia zębów. A zresztą — gestem ogarnął sklep, stację, a może i cały świat — nie zanosi się na dużo roboty. — Spojrzał na Marlenę. — Tylko jedna klientka. Na nieczynnej stacji benzynowej.

— Muszę się dostać do Warszawy — powiedziała Marlena. — Dojechałam tu na rezerwie.

— Jej mąż wylądował w szpitalu — dodała kasjerka.

— A nie mam czym zapłacić. Karty nie działają bez prądu.

— No i pompa nie działa bez prądu.

Maciek popatrzył na dziewczynę.

— Czemu nie użyłaś ręcznej?

Kasjerka zamrugała i znów uniosła brwi.

— To my mamy coś takiego?

Maciek poszedł za budynek i po chwili wrócił z urządzeniem składającym się z metalowego korpusu, dźwigni zakończonej rączką i długich przezroczystych i elastycznych przewodów.

— Mogę kluczyki? — wyciągnął rękę do Marleny.

Dała mu je bez chwili wahania. Wzbudzał zaufanie.

Przestawił Mini dalej od dystrybutorów, do miejsca, gdzie z ziemi wystawały końcówki rur zamknięte różnokolorowymi zatyczkami. Z miejsca, gdzie stała Marlena, nie było widać zbyt dobrze, co on tam robi. Przez kilka minut poruszał w górę i w dół dźwignią. Wreszcie wyjął końcówkę węża, zamknął bak i odetchnął, lekko zmachany.

— Wystarczy do Warszawy — powiedział z uśmiechem.

Marlena zajrzała do portfela – przez noc nie przybyło w nim pieniędzy.

— Nie mam jak zapłacić…

— W takie dni nie ma co liczyć pieniędzy — odparł z uśmiechem. — Trzeba sobie pomagać. Słuchałyście radia? — Pokręciły głowami. — Nic nie działa. I nieprędko zacznie.

— To był atak terrorystyczny? — zapytała pani Polon. — Zniszczyli elektrownię?

— Nigdzie nie ma prądu. — Maciek zwijał wąż pompy. — To jest

awaria totalna.

— W całym Poznaniu?

— Totalna.

— W całym województwie wielkopolskim?

— Lepiej skróćmy tę wyliczankę, bo nie starczy nam czasu do wieczora. Na całej planecie. To się podobno dzieje wszędzie.

Kobiety patrzyły na niego z niedowierzaniem. Nie wyglądał na przejętego sytuacją. Zaniósł pompę do schowka na tyłach stacji i wrócił, wycierając dłonie w szarą ścierkę.

— Ale co się stało? — dopytywała się Marlena. — Terroryści?

— Nie wiem dokładnie. Coś jakby klęska naturalna. Mętnie to wszystko tłumaczą.

— Klęska naturalna? Wszędzie? — Marlena pokręciła głową z niedowierzaniem.

— Tak mówili. Nie jedź jeszcze, przyda ci się mały prowiant.

— Zjadłam kanapki.

— Ta podróż może być dłuższa, niż przypuszczasz. — Maciek wszedł za ladę, zgarnął kilkanaście kanapek z lodówki i położył je na wierzchu. — Bierz, ile chcesz. Lodówki nie działają. I tak wieczorem trzeba to będzie wyrzucić. Lepiej unikać autostrady. Boczne drogi będą bezpieczniejsze.

— Jak to unikać autostrady? Zamiast trzech godzin, będę jechała osiem.

— Jeśli utkniesz w korku na autostradzie, nie skręcisz ani nie zawrócisz. A korek będzie prawie na pewno. Wypadki zdarzają się nawet w normalne dni, więc teraz nie będzie ich mniej, a służby ratunkowe nieprędko dotrą na miejsce.

Postawił na ladzie dwie butelki wody i kilka paczek papierosów.

— Nie palę — zauważyła Marlena.

— To na handel. Wymienny. Uniwersalna waluta. Bierz wszystko. — Zapakował prowiant w torbę i dorzucił jeszcze mapę. — Zjedź z autostrady pierwszym zjazdem. Drogowskazy na Warszawę będą próbowały sprowadzić cię z powrotem, więc kieruj się na kolejne małe miasta. Z tego, co pamiętam, to po kolei: Konin, Koło, Kutno, Łowicz i Sochaczew.

— Nie wiem, jak się odwdzięczę…

— Są czasy, kiedy można się bogacić, są czasy, kiedy trzeba oszczędzać. A teraz są też czasy, kiedy to wszystko nie ma znaczenia. Pomóż komuś, kto będzie potrzebował pomocy. Wtedy będziemy kwita. — Uśmiechnął się

szeroko. — A dokładniej to będziesz kwita z koncernem paliwowym, który sponsoruje tę podróż.

— Dziękuję. — Marlena uścisnęła go z wdzięcznością, a potem uścisnęła również kasjerkę. — Chyba powinnaś zmienić obiekt swoich uczuć — szepnęła jej na ucho, mrugnęła porozumiewawczo i ruszyła w stronę samochodu.

Chwilę później pomachała im jeszcze na pożegnanie i, wzruszona, wyjechała na pustą autostradę.

Pierwszy samochód napotkała kilka kilometrów dalej. Jechał pod prąd.

— Nie no, lekkie przegięcie — powiedziała na głos i mrugnęła długimi światłami. — Nie ma prądu i od razu zaczyna się bezprawie.

Kierowca machał do niej gwałtownie. Przez chwilę poczuła niepewność, czy to aby ona nie robi czegoś źle. Ale nie, przecież jedzie prawą jezdnią, lewa jest pusta, znaki są zwrócone w jej stronę. Zaraz jednak zobaczyła jadący z przeciwka następny samochód. A za nim kilka kolejnych.

* * *

Poderwał się i zobaczył pochylającego się nad nim sanitariusza. Ziewnął i usiadł na łóżku na kółkach, jednym z kilku, jakie stały w magazynku.

— Wróciłeś.

— Mówiłem, że po ciebie przyjdę — powiedział Napęd. — Dlaczego nie było cię na radiologii?

— Wszyscy gdzieś poszli. Zostałem sam.

— Myślałem, że poszedłeś do domu. Do tego magazynku nikt nie zagląda bez potrzeby. A ty nie powinieneś sam wstawać. Połóż się, odwiozę cię na oddział.

Pacjent znów wpatrywał się w przesuwający się sufit. Tyle że teraz nie paliły się żadne lampy, a mroczne korytarze wyglądały na opuszczone. Ale szpital nie był opuszczony. W pokojach toczyły się przyciszone rozmowy, słychać było kroki na schodach i brzęk sztućców, czy może narzędzi chirurgicznych.

— Co się stało? — zapytał Pacjent. — Dlaczego nie ma światła?

— Grubsza awaria — odparł Napęd. — Z nocnej zmiany nie wszyscy przyszli do pracy.

— Z nocnej? — Pacjent przekręcił głowę. Za oknem mignęło dzienne

światło. — Przecież jest dzień.

— Z porannej też część nie dotarła. Marzę o tym, żeby się kimnąć.

— Tamten magazynek nadaje się do tego doskonale.

— Nie mogę. Mam dużo pracy.

Nie mogli skorzystać z windy. Na szczęście szpital był wyposażony w dobudowaną pochylnię. Ta droga była mniej komfortowa, szczególnie dla sanitariusza.

— A co z zasilaniem awaryjnym? — zapytał Pacjent.

— Administrator się ulotnił. Nikt nie potrafi włączyć agregatu.

Pacjent chwilę się zastanawiał i usiłował wydobyć coś z niedostępnych zakamarków pamięci.

— Potrafię uruchomić agregat — powiedział. — Wiem, jak to zrobić.

— Z tego, co ja wiem, to ty musisz leżeć. Potem spróbuję kogoś ściągnąć. Na razie staramy się wszystko ogarnąć. To jest chaos.

* * *

To był chaos. Samochody stały na obu pasach, na poboczu, między pasami. Niektóre utknęły pod kątem, zablokowane w trakcie manewru zmiany pasa. Ludzie wysiadali z nich i patrzyli gdzieś do przodu, na coś, co było za daleko, by to wypatrzyć. Znad ekranów dźwiękochłonnych falami napływał siny dym, który miejscami ograniczał widoczność niemal do zera.

Marlena włączyła światła awaryjne i zwolniła. Chwilę wahała się, czy nie zjechać na lewy pas, który może szybciej ruszy. Ostatecznie jednak zatrzymała się na prawym i wysiadła. Niczego nie mogła dostrzec ponad dachami samochodów.

— Wiadomo, co tam się stało? — zapytała mężczyzny, który stał obok oparty o błotnik Volkswagena.

Pokręcił tylko głową i spojrzał na zegarek.

Kolejna fala dymu przelała się ponad krawędzią ekranu. Marlena wstrzymała oddech i zasłoniła twarz rękawem żakietu. Zapach płonących łąk. Na szczęście zaraz dym się przerzedził.

Za nią zatrzymały się już trzy samochody.

Stanęła na progu otwartych drzwi. Nadal niewiele widziała. Westchnęła, zdjęła buty i wgramoliła się na maskę Mini. Wąska elegancka spódniczka nie ułatwiała zadania, ale udało się. Widok, jaki się przed nią roztoczył, sprawił,

że opadły jej ręce. Korek ciągnął się co najmniej przez kilometr, a pewnie i dalej, bo niknął za odległym wzniesieniem. Zza wzniesienia w niebo bił słup czarnego dymu. To nie wróżyło szybkiego rozładowania zatoru.

Ekrany po obu stronach całkowicie przesłaniały widok na boki. Nie sposób było się zorientować, gdzie się znajduje. Ale od zjazdu z pewnością dzieliło ją kilka kilometrów.

Jeśli zawracać, to teraz. Spojrzała do tyłu, na zasnutą dymami z łąk drogę. Jazda pod prąd w takich warunkach zakrawała na próbę samobójczą.

Kilkadziesiąt metrów z przodu zauważyła przerwę w barierce i coś, co wyglądało na bramę zamontowaną w ekranie. Brama awaryjna! Zsunęła się z maski, podeszła tam i spróbowała ją otworzyć. Szarpanie nic nie dało. Brama była zamknięta na kłódkę. Na szczęście niezbyt solidną.

Tuż obok dyskutowało dwóch kierowców, których samochody najwyraźniej spotkały się podczas gwałtownego hamowania. W białym Fiacie było stłuczone lewe tylne światło i wgnieciony błotnik. Jego kierowca uparcie próbował się gdzieś dodzwonić.

— Żadne oświadczenie — mówił do drugiego. — Musimy zaczekać na policję. Chcę mieć pewność.

— Przecież to tylko kierunkowskaz.

— I błotnik.

— Kierunkowskaz i błotnik. Wielka mi sprawa.

— A co ze spadkiem wartości pojazdu? To trzeba będzie wyklepać i polakierować.

— Panie, nie widzi pan, co się dzieje na świecie? A pan tu o lakierze.

— Ja mam zniżkę na ubezpieczenie za bezwypadkową jazdę. — Spojrzał na wyświetlacz telefonu i ponownie wybrał numer. Oczywiście znów z nikim się nie połączył.

Marlena wróciła do samochodu. Za nią stał duży Ford pick-up. Przez okno wychylał się czterdziestoletni mężczyzna w kraciastej koszuli. Był nieogolony i żuł gumę.

— Jakiś jełop się za bardzo spieszył. — Wypluł gumę na asfalt, niemal pod nogi Marleny. — No to jesteśmy upupieni.

— Może nie musimy czekać. — Uznała, że to dobry kandydat do pomocy w realizacji jej planu. — Ma pan łom?

— Łom? Po co pani łom?

— Tam jest brama awaryjna. Jeśli wyłamiemy kłódkę, będziemy mogli

zjechać z autostrady.

Facet wychylił się jeszcze bardziej i zmrużył oczy.

— No patrzy pani, rzeczywiście.

Otworzył drzwi i wyskoczył na asfalt, jakby zsiadał z konia. Marleny nie zaskoczyło specjalnie, że nosił kowbojskie buty. Przeszedł kilka kroków.

— To jest kłódka trzpieniowa — ocenił. — Łom tu na nic. Panie, przestaw pan samochód — rzucił do kierowcy z telefonem. — Wystarczy kawałek.

— Nie ma mowy — odparł tamten. — Niczego nie ruszamy do czasu przyjazdu policji.

— Policja prędko nie przyjedzie — zauważyła Marlena.

— Poczekam.

Kierowca pick-upa ocenił odległość między Fiatem a barierką.

— Niech pan zapisze mój numer rejestracyjny. — Odwrócił się i ruszył w stronę swojego samochodu.

— Po co?

— Dla firmy ubezpieczeniowej — rzucił. Wsiadł do pick-upa i uruchomił silnik. — Kiepsko wygląda ten niesymetrycznie stłuczony migacz. Poprawię to panu.

Zjechał na pas awaryjny i przecisnął się między Fiatem a barierką. A dokładniej to przepchnął Fiata zderzakiem i dopiero się przecisnął. Teraz rzeczywiście uszkodzenia były już symetryczne, bo stłukł się również prawy migacz.

Kierowca Fiata zamarł w osłupieniu z telefonem przy uchu i odprowadził wzrokiem oddalającego się wolno Forda.

Marlena, nie czekając na nic, wsiadła do samochodu i ruszyła za pick-upem.

— Stop! — krzyknął kierowca z telefonem. — Nigdzie pani nie jedzie! Będzie pani świadkiem!

Próbował zastąpić jej drogę, ale nie zwolniła. Uskoczył w ostatniej chwili.

— Niech pan jedzie z nami! — krzyknęła przez otwarte okno.

Pick-up wolno wjechał w bramę, która z łomotem wypadła z zawiasów. Kłódka nie puściła. Marlena wjechała za nim na wąską asfaltową drogę.

W tym momencie z tyłu dobiegł pisk hamulców, a zaraz po nim huk zderzenia. Marlena spojrzała w lusterko i zobaczyła przez prostokąt bramy

ciężarówkę zmiatającą samochody na lewym pasie. A potem kolejna fala siwego dymu przesłoniła wszystko.

* * *

Miał jakiś wypadek? Co się właściwie stało? Bo coś musiało się stać. Przecież ludzie zwykle pamiętają swoje imiona i pamiętają wczorajszy dzień. I przedwczorajszy też, o wszystkich wcześniejszych nawet nie wspominając.

Pacjent uniósł głowę. A tutaj nawet nie było kogo zapytać. Znajdował się w pokoju szpitalnym. Po lewej leżał sześćdziesięciolatek z kroplówką wpiętą w nadgarstek. Chyba spał. Przynajmniej taką nadzieję miał Pacjent. Aparatura, do której był przypięty, cicho pikała rytmicznie, a na obudowie migała czerwona lampka. Pewnie oznaczała zasilanie awaryjne.

Z drugiej strony Pacjenta niewiele młodszy mężczyzna w okularach i z nogą w gipsie rozwiązywał krzyżówkę. Kilka już wypełnionych magazynów krzyżówkowych leżało na stoliku obok.

Nie powinien wstawać, to akurat pamiętał. Zdjął więc tylko koc, bo dokuczało mu gorąco. Klimatyzacja oczywiście nie działała.

— Ile ja mam lat? — zapytał.

Krzyżówkowicz ze zdziwieniem spojrzał na niego znad okularów.

— To pan powinien wiedzieć.

Pacjent już miał wyjaśnić, że ma amnezję. Zamiast tego powiedział:

— Na ile wyglądam?

— Dałbym panu czterdzieści, może czterdzieści pięć.

Pacjent opadł na poduszkę. Próbował sięgnąć pamięcią najdalej, jak potrafił. Niewiele to dawało, bo najstarszym wspomnieniem były przesuwające się lampy sufitowe i popiskiwanie kółek szpitalnego łóżka. Nie natrafiał na żadną granicę, żadną barierę, po prostu wcześniej ziała pustka, brakowało jakiegokolwiek punktu zaczepienia. To wyglądało, jakby wczoraj zmaterializował się z nicości na tamtym łóżku, jadącym szpitalnym korytarzem.

Od tego czasu nic nie jadł.

— Czy podawali już śniadanie? — zapytał.

— Też jestem głodny — odparł krzyżówkowicz. — Ostatnim posiłkiem był wczorajszy obiad.

— Musi pan tu zostać?

— Mieszkam na piętnastym piętrze. — Popukał długopisem w gips. — Wolę tu zaczekać, aż włączą prąd. Wtedy pojawi się jedzenie.

Pacjent nie był co do tego przekonany, jednak nie podzielił się swoimi wątpliwościami.

— Mogę? — Wskazał stosik krzyżówek.

— Rozwiązane. Przynajmniej większość.

— To mi nie przeszkadza.

Tamten wzruszył ramionami i podał egzemplarze wraz z zapasowym długopisem.

Pacjent przewertował kartki do pierwszej nieukończonej krzyżówki, takiej na całą stronę, i w mniej niż minutę rozwiązał ją. Rozwiązanie brzmiało: „Zwiastowanie końca świata zwiększa sprzedaż gazet”. Rozwiązał jeszcze dwie, a potem kilka plansz z zagadkami matematycznymi, które nie były nawet napoczęte.

Odłożył zeszyt. Nie znał swojej przeszłości, a jak się lepiej zastanowić, to nie miał też pojęcia o przyszłości. Miał tak leżeć i czekać… właśnie, na co? I jak długo?

W tym wszystkim stwierdził z zaskoczeniem, że zaczyna się nudzić. A trudno sobie poradzić z nudą, jeśli się nie pamięta własnych zainteresowań. Co lubił robić? Raczej nie rozwiązywać krzyżówek, choć nieźle mu poszło. Na pewno nie lubił czekać bezczynnie, aż ktoś inny rozwiąże za niego problemy.

Postanowił zacząć od wyliczenia w pamięci, co wie. Lista była krótka: uległ wypadkowi, w którego wyniku stracił pamięć, a w szpitalu zabrakło prądu. I to by było na tyle.

Chociaż to nie do końca prawda, bo pamięć nawaliła selektywnie – luki dotyczyły tylko jego osoby, historii jego życia. Miał dość szeroką wiedzę ogólną, bo bez żadnej trudności rozwiązał krzyżówki. Zatem był człowiekiem inteligentnym. A to oznaczało, że może użyć tej inteligencji, by trafić na jakiś trop swojej tożsamości. Może przeprowadzić coś w rodzaju śledztwa. We własnej głowie.

Skąd wiem, kto jest prezydentem USA? Kto jest prezydentem Polski? Co robiłem, kiedy ogłaszano wynik wyborów? Z kim byłem i gdzie byłem? Z kim rozmawiałem o prezydencie Polski?

Nic, pustka. Pacjent przypominał sobie nawet takie detale, jak kolory słupków w sondażach. Ale wszystko pozbawione było odnośników do życia

osobistego, jakby znał świat z filmów dokumentalnych.

Przyjrzał się swoim dłoniom. Na serdecznym palcu prawej dłoni tkwiła złota obrączka.

— Jestem żonaty! — powiedział z zaskoczeniem.

A jeśli tak, to gdzieś jest ktoś, kto o mnie teraz myśli.

* * *

Marlena myślała o Piotrze. Jechała za pick-upem już pół kilometra. Wąska asfaltowa droga prowadziła wzdłuż ekranów, po ich zewnętrznej stronie. Minęli kilka kolejnych bram awaryjnych. Nikt nie wpadł na pomysł, by je otworzyć. Może bali się mandatu.

Mandatu… Kto miałby go wystawić? Dopiero teraz w pełni zdała sobie sprawę z tego, że czymkolwiek była ta globalna katastrofa, oznaczała w praktyce, że prawo przestało obowiązywać. W teorii obowiązywało oczywiście nadal, ale nie było sposobu, żeby wezwać policję czy inne służby. Przestępcy mogli się czuć bezkarni. Pozostawało liczyć na ludzką dobroć.

Na kogo mógł liczyć Piotr w szpitalu bez zasilania? Jak bez prądu można wykonać skomplikowaną operację? Gdzie jest Felix? Czy już w szpitalu, z tatą? Co z Cabanem w domu?

Znów mocno zatęskniła za babcią Lusią.

Przez te kilka minut poczuła więź z kierowcą pick-upa, który uwolnił ją z korka. W innych okolicznościach unikałaby takiego towarzystwa, ale to nie były normalne okoliczności.

Minęli miejsce, gdzie zza ekranu bił w niebo czarny dym. Cokolwiek tam się wydarzyło, straż pożarna prędko nie przyjedzie.

Pick-up skręcił w boczny odjazd. Marlena w zamyśleniu podążyła za nim. Szybko zrozumiała swój błąd, asfalt skończył się bowiem kawałek dalej, zastąpiła go droga gruntowa, a dokładniej to błotna. Ford przejechał bez problemu, natomiast Mini po kilku metrach wkleiło się w błoto po podwozie. Koła obracały się w miejscu, a samochód nawet się nie poruszał.

— Mógłbyś zaczekać! — zawołała Marlena, choć kierowca pick-upa nie mógł jej usłyszeć. Oparła czoło o kierownicę.

Za nią przemknął samochód. Otworzyła drzwi i wysiadła. Zapadała się po kostki w błocie.

— No pięknie… — Spojrzała w dół. — Po prostu wyrąbiście.

Złapała się dachu i krawędzi drzwi. Wyciągnęła z błota jedną nogę, potem drugą. Stanęła na progu. Zamachała do następnych nadjeżdżających samochodów. Nikt nawet nie zwolnił.

— Niewdzięcznicy! Przecież ja to wymyśliłam!

Samochody przejeżdżały co pół minuty, co minuta. Przejechał nawet Fiat z rozwalonym całym tyłem, jakby wjechał w niego spychacz. Marlena była już bliska przeczłapania przez błoto, by zatrzymać coś w bardziej zdecydowany sposób, gdy obok stanął srebrny bus. Otworzyła się szyba w przednich drzwiach.

— Trzeba pomóc? — zapytał młody człowiek w mundurze.

— I to jeszcze jak! — przytaknęła.

Odsunęły się boczne drzwi i ze środka busa wyskoczyło sześciu harcerzy. Podbiegli do Mini i bez wahania weszli w błoto. To było tak niespodziewane, że Marlenie zajęło dobrą chwilę, by się otrząsnąć i usiąść za kierownicą. Wrzuciła luz. Nie chciała uruchamiać silnika, żeby nie ochlapać swoich wybawicieli. Wypchnęli ją bez trudu, rzucili krótkie „Czuwaj!” i już ich nie było. Srebrny bus odjechał.

Odetchnęła głęboko. Rozłożyła mapę i chwilę ją studiowała, by stwierdzić, że nie ma pojęcia, gdzie jest. Uruchomiła silnik i postanowiła dojechać do najbliższej miejscowości, by sprawdzić jej nazwę i ustalić dalszą trasę.

Co właściwie stało się z Piotrem? Pocieszała się myślą, że wszyscy lekarze i pielęgniarki na pewno pracują na okrągło, by pomóc wszystkim potrzebującym.

* * *

Pacjent wsłuchiwał się w odgłosy wpadające przez otwarte drzwi. Od kilku minut ktoś w oddali wołał lekarza. Bezskutecznie, skoro nie przestawał.

Wreszcie na korytarzu rozległ się tupot butów. Ktoś biegł. Pewnie w końcu usłyszeli wołanie i nadchodziła pomoc.

— Złodzieje! — Do tupotu dołączyło szuranie kapci. — Złodzieje!!!

Zatem to nie pomoc, tylko wręcz przeciwnie. Chwilę później wszystko ucichło.

— Wie pan, co tu się stało? — zapytał Pacjent. — Dlaczego nikt nie naprawia zasilania?

Krzyżówkowicz wzruszył ramionami.

— W całym mieście nie ma prądu. Niektórzy mówią, że w całym kraju, ale w to mi się nie chce wierzyć. Co by musiało się wydarzyć?

Dopiero teraz stało się jasne, dlaczego on nie chce wracać do domu. Z nogą w gipsie nie dotrze schodami na piętnaste piętro. No i co tam zastanie? Brak prądu, wody, a pewnie i gazu. W tym świetle decyzja o pozostaniu w szpitalu wydawała się rozsądna.

Pacjent zamknął oczy i dotknął obrączki. Nie pamiętał swojej żony. A dzieci? Czy ma dzieci? Nie wiedział tego. Pozostała tęsknota, co gorsza tęsknota za czymś zapomnianym.

Z zamyślenia wyrwało go natarczywe, alarmujące piszczenie. Usiadł na łóżku, zapominając o tym, że miał się nie ruszać. Dźwięk dochodził z aparatury, do której przypięty był śpiący mężczyzna. Czy rzeczywiście spał?

Na obudowie urządzenia migała czerwona lampka z rysunkiem przekreślonej baterii. Coś trzeba z tym zrobić.

Pacjent wahał się tylko chwilę. Wstał, spróbował odszukać kapcie, ale nigdzie ich nie było, więc na bosaka wyszedł z pokoju. Rozejrzał się w prawo i lewo. W którą stronę iść?

* * *

W którą stronę jechać? Kompas przestał szaleć, ale i tak nie można było na nim polegać. Potrafił ot tak, sam z siebie, zmienić zdanie na temat lokalizacji północy o dziewięćdziesiąt stopni. Prowadzenie samochodu i jednoczesne przeszukiwanie papierowej mapy raz prawie skończyło się w rowie. Marlena postanowiła wtedy, że za każdym razem będzie się zatrzymywała, żeby sprawdzić dalszą drogę.

Stanęła właśnie przed obrośniętą dzikim winem kapliczką i przyjrzała jej się uważnie.

— Chyba już tu byłam — powiedziała sama do siebie.

Na mapie nie naniesiono wszystkich dróg, a nie wszystkie na niej widoczne istniały w rzeczywistości. W połowie miejsc brakowało też drogowskazów. W dodatku dotarła już do skraju mapy, a następnej nie miała skąd wziąć. Wskaźnik poziomu paliwa pokazywał, że zostało dwie trzecie baku. Jeśli dalej będzie tak błądzić, benzyny nie wystarczy do Warszawy.

Wyłączyła silnik i wysiadła. Przy kapliczce rosło kilka drzew, a wszędzie wokoło rozciągały się pola. Ani żywej duszy w zasięgu wzroku. Teraz była już pewna, że mijała to miejsce dobre pół godziny temu.

Popatrzyła na smutną figurkę Matki Boskiej w kapliczce.

— Jak ludzie podróżowali, zanim wynaleziono nawigację satelitarną? — zapytała na głos.

— Podążali za przeznaczeniem.

Aż podskoczyła, zaskoczona. Metr od niej stał wysoki i chudy, ubrany na czarno mężczyzna w kapeluszu.

16. Grozi nam katastrofa?

— Stary! — Net objął Felixa i pocałował mocno w oba policzki. — Ja cię po prostu kocham!

Nika objęła ich obu.

Lokomotywa jechała, ale to nie był koniec kłopotów. Las przed nimi stał w płomieniach już po obu stronach torów, co dobitnie pokazywało, że wcześniejszy pomysł ucieczki na piechotę miał małe szanse na powodzenie.

Teraz musieli coś zrobić ze zwalonymi i płonącymi drzewami, które leżały na torach.

— Można je przejechać na dwa sposoby — odezwał się Felix. — Szybko albo wolno.

— Proponuję tak, żebyśmy się nie wykoleili — poprosiła Nika.

Huk pożaru sprawiał, że musieli się przekrzykiwać. Nika zamknęła okno, co poprawiło sytuację w minimalnym stopniu.

— To może tak średnio zrób — poprosił Net. — Tak pomiędzy szybko a wolno.

Znów wszyscy się odruchowo schylili na dźwięk eksplozji kolejnej cysterny, choć nic im już nie mogła zrobić.

Przeszkoda była tuż-tuż. Lokomotywa zbliżała się do niej z prędkością może dwudziestu kilometrów na godzinę. Przyjaciele zaparli się, o co tylko mogli, oczekując uderzenia. Płomienie omiotły przednią szybę, coś cicho stuknęło i drewno w snopie iskier spadło z nasypu. Wstrząs był niemal nieodczuwalny.

— Ta lokomotywa waży pewnie z osiemdziesiąt ton — wyjaśnił Felix.

Przekręcił „kierownicę” i lokomotywa przyspieszyła. Napięcie falowało,

przez co silniki to ciągnęły z większą mocą, to znów słabły. Wentylatory gdzieś w środku szumiały, przekaźniki popiskiwały, a szybkościomierz terkotał jednostajnie.

— To nie będzie przyjemne. — Nika wskazała drogę przed nimi.

Trasa przypominała ognisty wąwóz, na którego dnie, na niskim nasypie z kamieni, leżały tory kolejowe. Chwilę później gorąco kazało całej trójce schować się pod konsolę.

— Ja bym wcisnął, ile fabryka dała! — krzyknął Net.

To był całkiem sensowny pomysł. Im szybciej przejadą przez pożar, tym mniejsze zagrożenie, że coś się zapali albo przegrzeje. Tym, do jakiej prędkości są przystosowane tory, będą się martwić później.

Felix sięgnął w górę i przekręcił regulator do oporu. Dźwięk silnika zmienił ton, a lokomotywa, pozbawiona obciążenia wagonami, szybko przyspieszała.

Wnętrze kabiny wypełniło pomarańczowe migotliwe światło. Mimo zamkniętych okien zrobiło się nieprzyjemnie ciepło.

I wtedy rozległ się alarm.

— Za szybko jedziemy? — zapytała wciśnięta między chłopców Nika.

Felix przypomniał sobie, co to za dźwięk.

— Czuwak aktywny — powiedział. — Zabezpieczenie, na wypadek gdyby maszynista zasnął.

— I ten czuwak go budzi? — spytał Net.

— Zatrzymuje awaryjnie pociąg.

Przyjaciele spojrzeli na siebie z przerażeniem. Felix wychylił się ponad konsolę. Na twarzy poczuł gorące promieniowanie pożaru, który wypełniał sobą cały świat na zewnątrz. Zostało kilka sekund na wciśnięcie odpowiedniego przycisku. Tylko który to? Wciśnięcie nieodpowiedniego może przecież zadziałać wręcz odwrotnie i zatrzymają się w środku tego pieca.

Natarczywy buczek nie ułatwiał myślenia. Który przycisk?! Musiał być pod ręką, bo przecież maszynista wciskał go często. Felix zacisnął zęby i wybrał duży czerwony guzik tuż obok regulatora. Schował się pod konsolę i zacisnął powieki.

Alarm ucichł, a silniki wciąż przyspieszały. Lokomotywą zaczęło kołysać na boki, jakby ktoś się bawił, popychając ją to w prawo, to w lewo.

— Co znowu? — zapytał Net. — Kolejowy *off-road*? Przecież tędy

jeżdżą InterCity.

— Tory wygięły się od gorąca. — Felix przekręcił regulator w lewo, by jednak nieco zwolnić.

We wnętrzu, prócz znanej im już woni palonego drewna, pojawił się też bardziej niepokojący zapach przegrzanej izolacji. Nie było sposobu, by temu zaradzić. Tak naprawdę, to w ogóle nie było sposobu, by zrobić cokolwiek poza czekaniem, aż wyjadą z zagrożonego terenu.

Wreszcie hałas zaczął cichnąć, a gorąco stało się mniej dokuczliwe. Felix ostrożnie wychylił się nad konsolę. Płomieni nie było już widać.

— Możecie wyjść. — Wyprostował się i otworzył okno, wpuszczając do środka świeże powietrze.

Net i Nika wygramolili się z ciasnego kąta. Net trzymał w dłoni butelkę wody mineralnej.

— Nawet nie napoczęta — stwierdził z radością z niespodziewanego znaleziska.

Odkręcił butelkę, upił parę łyków i podał dalej. Szybko wypili połowę.

Wyjrzeli przez boczne okna do tyłu. Słupy czarnego dymu wznosiły się w niebo na znacznym obszarze, od spodu podświetlane ogniskami pożaru. Byli już dobre pół kilometra od najbliższych płomieni, gdy nastąpił kolejny błysk i zaraz po nim przytłumiony odległością huk.

Burta lokomotywy była osmalona w kilku miejscach, uszczelki szyb pokryły się bąblami roztopionej gumy, z tyłu coś się dymiło, ale wyglądało na to, że wszystko działa.

Felix na wszelki wypadek zwolnił.

— Coś pozytywnego dla odmiany. — Net wyjął z plecaka torbę z kanapkami, powąchał zawartość i się skrzywił. — No nie! Zepsuły się. Jak to zjemy, też wylądujemy w szpitalu.

Zamarł i spojrzał przerażonym wzrokiem na Nikę.

— Też? — zapytał Felix.

— Też… w sensie, że… że również. — Net szukał mądrego wyjścia. — Też to taki… synonim do również. — Spojrzał błagalnie na Nikę, ale ona tylko pokręciła głową. — Że jak ja zjem — ciągnął więc spanikowany — to wyląduję w szpitalu, a jak ty też zjesz, to ty też wylądujesz. Również że też… A widzisz? Chciałem zjeść je wczoraj! — dodał z pretensją w głosie. — I teraz będziemy głodni. Ja też i ty również. I Nika… takowoż. Jest takie słowo…?

Felix sięgnął do plecaka i wyjął torebkę z *beef jerky*. Rzucił Netowi.

— Nasze *beef jerky*? — Net przyglądał się torebce z niedowierzaniem. — Miałeś to cały czas?

— To się nie psuje — przypomniał Felix. — Lepiej było najpierw zjeść kanapki.

— Kanapki to lepiej było zjeść wczoraj. — Net otworzył torebkę i położył na konsoli.

Przeżuwali całkiem smaczne mięso i popijali wodą. Jechali teraz z prędkością rowerzysty spóźnionego na randkę. Felix zapomniał o całym świecie, całkowicie pochłonięty sterowaniem wielką maszyną. Nie licząc wciskania przycisku czuwaka, wiele do roboty nie miał, bo tory prowadziły idealnie prosto. Mimo to siedział wyprężony w fotelu, minimalnie zmieniał prędkość, włączał i wyłączał światła, coś przestawiał. Było oczywiste, że sprawia mu to frajdę.

Nika dyskretnie pociągnęła Neta za rękaw i wskazała tył lokomotywy. Net westchnął bezgłośnie i rzucił z przesadną swobodą:

— Zobaczymy, czy tam wszystko w porządku.

Przeszli wąskim korytarzykiem, obok wydających różne dźwięki elementów, do drugiej identycznej kabiny.

— Musimy mu powiedzieć. — Nika nawet nie ściszała głosu – hałas zapewniał im dyskrecję.

— On się wścieknie. — Net wepchnął dłonie w kieszenie i oparł się o ścianę.

— Będzie chciał iść do swojego taty do szpitala. — Nika patrzyła na niego poważnie. — Nie możesz mu tego zabronić.

— Pierwsza część trasy i tak jest wspólna, potem… zobaczymy. Zresztą — pokazał jej telefon — nie wiemy, który to szpital.

— Felix pewnie wie.

— Gdyby to można było tak po prostu wszystko załatwiać. — Net spuścił głowę. — Tak otwarcie, tak bez kręcenia. To byłoby super. — Spojrzał na Nikę. — Chodźmy, powiemy mu. Wścieknie się, ale zaraz mu przejdzie.

— Chodzi o mamę i bratosiostrę? — domyśliła się Nika. — O to, żebyśmy tam poszli najpierw?

Net wzruszył ramionami.

— Felix jest ogarnięty i umie różne rzeczy. Na przykład uruchomić

lokomotywę. Jak mu powiemy, pójdzie do szpitala. Nie wiadomo, co się dzieje w mieście. Mama nie robi zwykle żadnych zapasów. Co oni jedzą? To są przecież maluchy. Muszę się tam jak najszybciej dostać.

— Rozdzielanie się nie jest dobrym pomysłem — przyznała Nika. — Ale i tak musimy mu powiedzieć. Potem się naradzimy.

Patrzyli jeszcze chwilę na wolno uciekające do tyłu tory i malejące w oddali słupy dymu. Potem wrócili na przód lokomotywy. Felix wynalazł gdzieś zeszyt zapisany odręcznie wypełnionymi tabelkami i wczytywał się w nie teraz. Sprawdzał oznaczenia na konsoli i próbował rozszyfrować bazgroły w zeszycie. Wszystko wskazywało na to, że nic z tego nie będzie.

— Felix — zaczął Net, pocierając dłonie — jest taka jedna… taka pewna, mała sprawa…

— Felix! — Nika pociągnęła go za rękaw i wskazała tory przed nimi.

Zbliżali się do przejazdu, na którym stał mały samochód bliżej nieokreślonej marki. Felix rzucił zeszyt na podłogę i szarpnął dźwignię hamulca.

— Hamuj!

— Hamuję. — Felix ciągnął dźwignię, ale lokomotywa ledwo zwalniała. Włączył sygnał dźwiękowy.

Teraz już było widać, że samochód nie stoi na samym przejeździe, tylko tuż obok. Dwa koła spadły z betonowych elementów i samochód tak został, zawieszony progiem na szynie. W środku ani w pobliżu nie było nikogo widać.

— No sorki… — Felix skrzywił się, wiedząc, co zaraz nastąpi.

Huknęło głośniej niż poprzednio, w powietrze pofrunęły kryształki stłuczonego szkła, za to wstrząs tym razem również był ledwo wyczuwalny.

— Ups… Te hamulce to takie sobie. — Net wyjrzał przez okno na leżący na boku, rozbity samochód. — Ciekawe, czy miał AC [1]?

Felix westchnął, zwolnił hamulec i zastanawiał się, co zrobić. Toczyli się wolno siłą rozpędu.

— Lepiej się nie zatrzymujmy. — Net patrzył po pustych oknach domów po drugiej stronie ulicy. Mijali właśnie stację, na której wczoraj wysiedli.

— Rozwaliliśmy komuś samochód — przypomniała Nika.

— Chcesz go przeprosić? Nie nasza wina. Nie wolno parkować na przejeździe.

— Podpaliliśmy las, ukradliśmy samochód i go rozbiliśmy, ukradliśmy lokomotywę i nią rozbiliśmy drugi samochód — wyliczyła Nika. — Ciekawe, co jeszcze przed nami.

— Kobieto, co mówisz! — wykrzyknął Net. — Tę lokomotywę to my uratowaliśmy z pożaru!

— Który sami wywołaliśmy.

— Zmień perspektywę. Burza magnetyczna to nie nasza sprawka, a od niej wszystko się zaczęło.

Nika smutno pokiwała głową.

— Nie przypilnowaliśmy ogniska — dodała cicho — a zaraz spowodujemy katastrofę kolejową.

— Przecież nie jeżdżą żadne pociągi — przypomniał Net.

— Nasz jedzie. Ktoś inny mógł wpaść na ten sam pomysł.

— Chcecie stąd dylać na piechotę?

Felix bił się z myślami. Wreszcie pociągnął dźwignię i lokomotywa zatrzymała się z piskiem hamulców w połowie peronu.

— Dość już nabroiliśmy — orzekł.

— I co? — Net rozłożył ręce. — Myślisz, że autobusy będą jeździły?

— Nie są na prąd.

— A co tam! — prychnął Net. — Trzydziestoparokilometrowy spacerek dobrze nam zrobi po tym porannym leniuchowaniu.

Felix dotknął jeszcze dźwigni, wielkich przycisków, jeszcze większych szklanych kontrolek i wolno wstał z fotela. Po chwili namysłu, ruchem niemal rutynowym, przełącznikiem opuścił pantograf.

— Tak będzie lepiej — przyznała Nika.

Net spojrzał jeszcze tęsknie na proste tory niknące daleko w zbiegu perspektywy i cała trójka wyszła na peron.

— Zaparkowałeś na środku drogi — powiedział Net. — A mogłeś dojechać do jakiejś bocznicy, to nie. I jak coś wjedzie w tę lokomotywę, czyja to będzie wina? Tadek!

Ulicą poniżej nasypu, na którym znajdował się peron, zbliżał się stary traktor. Jechał w tempie pieszego, w stronę przejazdu. Za nim wędrował osobliwy pochód składający się z dwóch rolników w gumofilcach i młodej kobiety w złotej sukience i złotych szpilkach o tak wysokich obcasach, że musiała łapać równowagę, machając futerkową torebką na złotym łańcuszku. Mimo upału miała na sobie biały futerkowy bezrękawnik. Raczej luźny, no

ale jednak futerkowy. Długie, czarne włosy powiewały za nią, jakby były nienaturalnie lekkie.

— Mieliśmy powiedzieć traktorowi o Oplu Wiercisława — przypomniał Net, nie paląc się jednak do realizacji pomysłu.

— Opel Wiercisława jest już dymiącym wrakiem — zauważył Felix. — Ewentualnie właśnie się dopala.

— Możemy zapytać, czy ktoś z nich nie wybiera się do Warszawy. — Net podszedł do ogrodzenia stacji i zawołał — dzień dobry! Czy może ktoś z państwa wybiera się do Warszawy?

Rolnicy spojrzeli na niego beznamiętnie, ale kobieta uśmiechnęła się i odpowiedziała:

— A wiecie, jak tam trafić? Nawigacja nie działa.

— Jasne, że wiemy! To proste — odparł Net, po czym natychmiast się poprawił. — To znaczy skomplikowane. Baaardzo skomplikowane! Ale wiemy.

— A, to super! Mam trzy miejsca w samochodzie. Chętnie was podwiozę. Tylko że to może chwilę potrwać.

— Jesteśmy gotowi na poświęcenie tej chwili! — Net pomachał, uśmiechnął się i spojrzał na przyjaciół. — Widzicie? Tak się załatwia te sprawy.

— Jakie „te” sprawy? — zapytała Nika.

— No… — Spoważniał. — Transportowe. Podwózkę mamy.

Przyjaciele zbliżali się do końca peronu, gdzie schody prowadziły w dół, obok przejazdu. W dole złota kobieta szła coraz wolniej i wolniej.

— Mam złe przeczucia — szepnęła Nika, również zwalniając.

— To jakby standard — powiedział Net.

— Tym razem naprawdę.

— Taaa… — Net pokiwał głową, po czym się zatrzymał. — Oż ty w mordę reptylianina [2]!

Złota kobieta zatrzymała się przy rozbitym samochodzie, wciąż łapiąc równowagę torebką i rozłożyła ręce w geście bezradności.

— Nie mamy podwózki — przytaknął Felix.

Najbliżej stojący rolnik spojrzał na nich, potem na lokomotywę.

— Lepiej już stąd chodźmy, co? — zasugerował Net. — Oni zaraz się domyślą.

Przyjaciele nadchodzili od strony lokomotywy, a na całym peronie nie było przecież nikogo poza nimi. W obecnej sytuacji udawanie, że nie mają nic wspólnego z przykrością, jaka spotkała złotą panią, byłoby mało wiarygodne.

— Sugeruję taktyczny odwrót — nalegał Net. — Szybki taktyczny odwrót!

Net biegł już w stronę lokomotywy.

— Na co czekacie?! — rzucił przez ramię.

— Wyjątkowo masz rację — stwierdziła Nika i ruszyła za nim.

Felix zachował wiarę w pozytywne nastawienie tubylców chwilę dłużej, ale szybko zmienił zdanie, widząc rolników biegnących w stronę schodów. Jeden trzymał w dłoni łopatę, a drugi łom, trzeci wygramolił się z traktora i dołączył do kolegów. Coś pokrzykiwali i nie były to okrzyki powitalne.

— OK… — Felix zaczął się cofać, a po chwili biegł już za przyjaciółmi.

Na szczęście w gumofilcach kiepsko się biega, a do tego tamci mieli do pokonania szykanę w postaci zawijasów z barierek, no i schody.

Net wskoczył do kabiny, rzucił na podłogę plecak i usiadł w fotelu. Przekręcił regulator prędkości. Nic się nie wydarzyło.

— Jak to szło…?

Do środka wpadła Nika.

— Szybciej! — krzyknęła.

Net czytał kolejne opisy przełączników.

— Teraz to „szybciej!” — przedrzeźniał Nikę, naśladując jej głos. — Już nie „zaraz spowodujemy katastrofę”, tylko „szybciej!”? — Rozglądał się po konsoli. — Najpierw paragraf… znaczy pantograf. Jak ja to poprzednio zrobiłem?

Zsiadł z fotela i wyjrzał przez okno. Felix miał jeszcze z pięćdziesiąt metrów do lokomotywy, a pogoń właśnie wbiegała na peron.

— Brakuje tylko wideł i pochodni — jęknął Net. Cofnął się, potknął o własny plecak i łapiąc równowagę, oparł się o konsolę. Pyknął przełącznik i pantograf zaczął się podnosić. — O, jestem jednak genialny! — Wrócił na fotel.

— Trzeba jeszcze zwolnić hamulec — przypomniała sobie Nika. — Sięgnęła ponad rękami Neta, wcisnęła przycisk i przesunęła dźwignię. — To chyba to.

Syknęło i nic poza tym się nie zmieniło. Pantograf dopiero po chwili

dotknął trakcji i kabina ożyła wskaźnikami i kontrolkami.

— Jeszcze to. — Net przestawił dźwignię obok regulatora. — Działa!

Silnik zawył przetwornicami i wentylatorami. Lokomotywa ruszyła… do tyłu.

— Ej, co jest…? — Net rozłożył ręce.

— Wrzuciłeś wsteczny! — krzyknęła Nika.

Net sięgnął do dźwigni zmiany kierunku.

— Zostaw! — krzyknął Felix, zatrzaskując drzwi. — Teraz już jedź do tyłu.

Rzeczywiście hamowanie było złym pomysłem – zatrzymaliby się akurat obok pogoni.

— Błysnąłem jak chrząstka w salcesonie… — mruknął samokrytycznie Net.

Lokomotywa miała całkiem niezłe przyspieszenie. Minęli rolników na tyle szybko, że tamci nawet nie próbowali wskoczyć.

— Masz! — Net zszedł z fotela. — Lepiej ty się tym zajmij.

Felix zajął jego miejsce, odczekał jeszcze chwilę i włączył hamulec. Zatrzymali się z metalicznym piskiem tuż obok rozbitego samochodu. Tamtym nawet nie chciało się kontynuować pościgu. Felix przełączył kierunek jazdy i przekręcił regulator do oporu. Lokomotywa znów zaczęła przyspieszać, tym razem we właściwym kierunku.

Gdy ponownie zbliżali się do trójki mężczyzn, przyjaciele odruchowo schylili się. Jeden z rolników zamachnął się łopatą, a drugi łomem. Coś huknęło o burtę, trzasnęło rozbite szkło.

Wyprostowali się, dopiero gdy minęli koniec peronu. Szyba w drzwiach była rozbita, a na podłodze leżał łom. Net podszedł tam i wyjrzał przez okno w kierunku oddalającej się stacji. Jeden z rolników leżał ze złamanym trzonkiem łopaty w dłoni, a w jego ustach wciąż dymił papieros. Pozostali stali nad nim z rękoma w kieszeniach.

— Remis — mruknął Net, po czym krzyknął w ich stronę — każdy szpadel ma dwa końce, jełopy!

Dopiero pół kilometra dalej Felix zdecydował się zwolnić.

— Skąd w ludziach tyle agresji? — Net odetchnął. — Co ta burza magnetyczna robi ze słabymi charakterami… Wyglądali, jakby szli polować na Smoka Wawelskiego. Czy tam Bazyliszka, bliżej mają.

— Dobra. — Felix pokiwał głową. — Na razie pojedziemy lokomotywą.

— Przecież widać, że cię to jara.

Felix rzeczywiście wydawał się wręcz zadowolony z takiego obrotu sprawy. Trafił się poważny powód, by dalej prowadzić osiemdziesięciotonową maszynę, a wszystkie obawy i argumenty przeciw przestały się liczyć. Regulował prędkość, choć nie było to konieczne, i wręcz żałował, że nie ma do roboty nic więcej poza resetowaniem czuwaka.

Nika siedziała pod ścianą, zatopiona we własnych myślach. Nawet jeżeli to wszystko uda się naprawić: pożar, efekt Carringtona, sytuację w szkole, a nawet jej stypendium, to i tak nie zmieni jej osobistej sytuacji.

— Co się tak dołujesz?

Uniosła głowę i napotkała troskliwe spojrzenie Neta. Westchnęła i wstała. Może to dobry moment, by powiedzieć im o liście bez znaczka? Podróż w tym tempie mogła trochę potrwać, mają czas na spokojną rozmowę. I tak w końcu będzie musiała im powiedzieć.

— Jest pewna sprawa… — zaczęła, ale zmarszczyła nosek. — Co to za zapach?

Net pociągnął nosem.

— Smród, jakby się stłukł flakon perfum.

— Po co chcieliście, żebym was podwiozła? — zapytała złota kobieta.

Odwrócili się gwałtownie. Stała w wejściu do kabiny, opierając się oburącz o ściany, bo utrzymanie równowagi na tych szpilkach nie było łatwe. Torebka na złotym łańcuszku dyndała, wisząc w okolicach łokcia.

— Co się tak gapicie?

Mogła mieć dwadzieścia albo trzydzieści lat. Nie dało się tego na sto procent powiedzieć z powodu mocnego make-upu i równie mocnej opalenizny. Net wpatrywał się w nią jak zaklęty.

— Rzęsy pani odpadają — palnął.

Nika kopnęła go w kostkę, a złota kobieta przyklepała sobie szybko sztuczne rzęsy do powiek.

— Zastanawiamy się, skąd pani się tu wzięła — wyjaśnił Felix.

— No przecież podjechaliście po mnie.

— Wsiadła pani? — zapytał Net. — A nie, głupie pytanie…

— Podjechaliście po mnie, to wsiadłam. No dzięki. — Potrząsnęła głową, a jej włosy znów zafalowały, jakby były tak ze trzy razy za cienkie i za lekkie. — Ktoś rozwalił mój samochód. Po co chcieliście, żebym was podwiozła? Macie przecież pociąg.

— Wchodzimy na stację, a tam stoi lokomotywa. — Net wzruszył ramionami. — Ciężka, ogromna i pot z niej spływa.

— Przestań — skarciła go Nika.

— I tak nie pamiętam, jak to szło dalej.

— Uciekliśmy z pożaru lasu — wyjaśniła Nika. — Udało nam się uruchomić lokomotywę. Jedziemy do Warszawy. Nie wiemy, co tam się dzieje.

— Wczoraj mówili, że nie będzie prądu, telefonów i w ogóle żeby nie wychodzić z domu — powiedziała złota kobieta. — No ale ja już wyszłam z domu przecież. Nawigacja jakieś głupoty mi mówiła. Od rana tak jeżdżę. Aż w końcu powiedziała mi, że mam skręcić w prawo. — Rozłożyła ręce. — No to skręciłam, a tam w prawo nie było ulicy, tylko tory. Tamci mili panowie zgodzili mi się pomóc. Za dwieście złotych.

— To dlatego byli na nas źli. — Net spojrzał znacząco na Nikę. — Dwie stówy przeszły im bokiem.

— A *bip* tam samochód! — krzyknęła złota kobieta. — Był na kredyt, a kredyt był na narzeczonego, a narzeczony szuja. Nie odbierał telefonu. I to w takiej sytuacji, kiedy nie działają telefony i nie mogę zadzwonić nawet do mamy. A on nie odbierał. A potem telefon i tak się rozładował. Są tu jakieś fotele?

— Tylko ten. — Felix klepnął podłokietnik. — Tylko że ja prowadzę.

— Pociąg bez miejsc siedzących?!

— To będzie długa podróż — mruknął Net do siebie.

— Próbowałam znaleźć przejście do drugiego wagonu — powiedziała złota kobieta. — Tam są jakieś drzwi, ale za nimi tylko maszyna.

— To jest sama lokomotywa — wyjaśniał cierpliwie Felix.

— Tak dla ścisłości, to w reszcie tego pociągu też nie było miejsc siedzących — dodał Net i potarł nos, bo od zapachu perfum kręciło go. — Przynajmniej komarów nie musimy się obawiać.

Kobieta z obrażoną miną przysiadła, a właściwie bardziej oparła się o fragment konsoli bez przycisków po lewej stronie i założyła ramiona.

Iskry między trakcją a torami zniknęły, a moc silników wyraźnie zmalała. Znów jechali przez las. Koła zastukały na zwrotnicach. Obok nasypu kilka saren przyglądało im się bez zainteresowania. Minęli sygnalizator, w którym nie paliło się żadne światło, przejechali pod wiaduktem i tory zaczęły skręcać łagodnym, niewyczuwalnym łukiem w lewo.

Felix dopiero teraz zwrócił uwagę na urządzenie przymocowane do konsoli. Radiostacja z kilkunastoma przyciskami, wyświetlaczem i mikrofonem na spiralnym przewodzie. Włączył ją i przeszukał częstotliwości. Kabinę wypełniły dźwięki zakłóceń, spomiędzy których nie dochodziły żadne słowa ani znajome dźwięki.

— Podrzucicie mnie na Mokotów? — zapytała złota kobieta.

— Zamierzamy dojechać do pierwszej bocznicy w Warszawie i tam zostawić lokomotywę — odparł Felix.

— Tak? — Net spojrzał na niego z ukosa.

— Na Mokotowie chyba nie ma torów — dodał Felix.

— Tramwaje jakoś jeżdżą — stwierdziła kobieta.

Felix westchnął.

— Obawiam się, że rozstaw szyn się nie zgadza [3] — wyjaśnił.

— Nie możemy chociaż spróbować?

— Hm… Obie sieci nie są połączone.

Kobieta wyjęła z torebki telefon w złotym etui, odwinęła z niego słuchawki i wcisnęła przycisk na górze obudowy.

— Nadal rozładowany — stwierdziła z rozczarowaniem.

— Słuchawki — zauważyła Nika.

— Przewodowe — dodał Net. — Jakie to szczęście, że technologia tak opornie brnie pod strzechy. Możemy pożyczyć?

Kobieta nieufnie podała słuchawki Netowi, który wpiął je do swojego telefonu i uruchomił aplikację radia. Aplikacja przeszukała częstotliwości i znalazła kilka stacji. Jednak po kliknięciu na pierwszą telefon milczał. To samo przy następnych.

Net klepnął się w czoło.

— Ale ze mnie retard. — Wetknął słuchawkę do ucha i pokiwał głową z zadowoleniem. — Wtyczka wyłącza głośnik.

Felix włożył w ucho drugą słuchawkę, a Nika przyłożyła ucho do ucha Neta.

— … *w wielu miejscach w całym kraju.* — Od razu rozpoznali zachrypnięty głos profesora Hermana przebijający się przez świsty. — *Zakłócenia będą trwały co najmniej do jutra wieczór, ale nie ma gwarancji, że ustaną od razu. Prognozy nie są precyzyjne, co oznacza, że zjawiska mogą trwać dłużej. Dopiero po ich ustaniu będzie możliwe*

rozpoczęcie przywracania funkcjonowania…

— Nie powinniśmy zahamować? — zapytała złota kobieta.

Felix spojrzał najpierw na nią, a dopiero potem do przodu. I natychmiast pociągnął za hamulec. Wszyscy wyjrzeli przez przednią szybę, za którą widać było zbliżający się opływowy dziób pociągu Pendolino.

Lokomotywa hamowała opornie, ale dzięki niewielkiej prędkości zatrzymała się dobre pięćdziesiąt metrów od tamtego pociągu.

— InterCity — stwierdził Felix. — Pewnie z Gdańska do Krakowa.

— Maszynisty to z ciebie nie będzie — zauważył Net. — Ale jakby tak… popchnąć?

— Jeśli zepsujemy pociąg za dwadzieścia milionów złotych, to…

— … możemy zapomnieć o kieszonkowym na trzy i pół tysiąca lat — dokończył Net, po czym spojrzał na Felixa z uśmiechem błąkającym się na krawędzi ust. — A może tak byśmy się przesiedli? W Pendolino jest więcej miejsc siedzących.

Felix pokręcił głową.

— Ta lokomotywa ma czterdzieści lat i uruchamia się ją kombinerkami. A tam… nie wiem nawet, jak otworzyć drzwi.

— Kilometr wcześniej mijaliśmy jakieś zwrotnice — wtrąciła Nika.

Felix chwilę myślał, potem zerknął za okno, czy jest tam lusterko. Było. Przestawił dźwignię na jazdę do tyłu i wolno ruszył.

— Tam jest taka sama kabina. — Net wskazał kciukiem za plecy.

— Nie wiem, jak się przełącza. — Felix patrzył w lusterko. — To tylko kilometr.

— Czekaj! — krzyknęła Nika. — Tam ktoś jest!

Rzeczywiście, z rowu gramolił się jakiś potargany obszarpaniec z małą skórzaną torbą na ramię, jakich kiedyś używali myśliwi. Machał ręką i biegł w kierunku lokomotywy. Przewrócił się, wstał i znów zaczął niezdarnie biec. Jasna poplamiona koszula z podwiniętymi rękawami z powodu kilku rozpiętych guzików powiewała przy każdym podskoku.

— Zatrzymaj się — poprosiła Nika.

— Po co nam on? — zauważył Net.

— Może potrzebuje pomocy.

— Nie to, co my.

— Nie ma wideł ani pochodni i wygląda raczej niezdarnie. Też byś chciał, żeby ktoś ci pomógł, kiedy będziesz miał problemy.

Net zerknął na Felixa, ale szybko uciekł spojrzeniem gdzie indziej.

— Mamy dość własnych…

Felix pociągnął dźwignię hamulca, a Nika poszła otworzyć drzwi. Przy okazji butem wygarnęła za próg większość okruchów szkła. Chwilę zastanawiała się, co zrobić z łomem. W końcu schowała go do uchylonej szafki z nieznanym urządzeniem.

Mężczyzna w tym czasie wdrapał się po kamieniach nasypu i spojrzał w górę.

— Dzień dobry. — Uśmiechnął się szeroko. Miał nieco ponad trzydzieści lat i wyglądał, jakby w rowie spędził ostatnią noc. — Czy można?

— Proszę. — Nika przesunęła się. — Próbujemy dostać się do Warszawy.

— Zatem wiedzie nas ta sama idea.

Mężczyzna złapał się poręczy i postawił stopę na najniższym stopniu. Gdy już miał się wspiąć, niewidzialna siła pociągnęła go do tyłu i obróciła tak, że uderzył plecami o burtę lokomotywy. Udało mu się przy tym nie puścić poręczy.

— Anomalie grawitacyjne… — jęknął i spróbował jeszcze raz.

Dziewczyna wyciągnęła rękę, żeby mu pomóc.

— Dziękuję panience. — Pokręcił głową. — Nie ma potrzeby narażać nikogo poza mną.

Wdrapał się i opierając się o ścianę, dotarł do kabiny.

— Witam państwa bardzo serdecznie — powiedział. — Przepraszam za mój stan, spędziłem noc pod chmurką.

Chłopcy skinęli głowami, obserwując przybysza podejrzliwie.

— Wiem, że jest pan zmęczony — powiedział Felix — ale nie mogę odstąpić fotela.

— To taki specjalny rodzaj zmęczenia — zauważyła Nika.

— Młoda dama tkwi w najzupełniejszej racji. — Mężczyzna odetchnął głęboko, a do wypełniającej kabinę woni perfum dołączyła jeszcze jedna, nieco mniej przyjemna. Wyjął z torby opróżnioną do połowy butelkę wiśniówki — Ktoś z państwa reflektuje?

Pokręcili głowami.

— Spędził pan noc w lesie? — upewniła się złota kobieta.

— Wszystkie australijskie podręczniki przetrwania radzą zostać przy pojeździe, złociutka. To zwiększa szanse na trunek… eee… ratunek.

— Jesteśmy w Polsce.

— Zgadza się. W wolnej i niepodległej. — Poklepał w ramię Felixa. — Jak widać wszem wobec, tu też to działa. Dzięki, że po mnie przyjechaliście. Z której jesteście lokomotywowni?

— Z trzynastej — odparł Net. — Z lokomotywowni im. Stefana Kuszmińskiego.

— Andrzej. — Mężczyzna wykonał gest przypominający salutowanie. Kolejno podał rękę całej trójce, za każdym razem powtarzając „Andrzej”.

— Felix, Net i Nika — odparł Felix. — A to… — Spojrzał na kobietę.

— Dżessika — powiedziała niechętnie. — Przez „dż” oraz dwa „s”.

Mężczyzna ukłonił się tak nisko, że musiał złapać się konsoli, żeby nie upaść.

— Nadal Andrzej. — Wyciągnął dłoń do kobiety. — Przez jedno „d”.

Odruchowo podała mu dłoń, na której złożył solidny pocałunek z donośnym cmoknięciem.

— To „dż” to bardzo patriotyczne z pani strony — dodał.

Uśmiechnęła się krzywo i wytarła dłoń o futerko kamizelki.

Felix zerknął w lusterka i zwolnił hamulec. Lokomotywa zaczęła się toczyć do tyłu.

Andrzej patrzył chwilę na tory, potem zerknął na butelkę. Chwilę zastanawiał się, co zrobić. Schował ją do torby.

— Wszystko mi się cofa. — Czknął. — A to chyba niezgodne z przepisami.

Nika westchnęła cicho, a Net posłał jej spojrzenie „sama chciałaś”.

— Nic nie nadjedzie — powiedział Felix. — A tor jest zablokowany.

— Takie mniej więcej rozmowy toczą się w kabinach lokomotyw na kilka minut przed katastrofą.

— Grozi nam katastrofa, panie Nadalu? — zapytała zaniepokojona Dżessika.

— Nadalu?

— No… tak się pan przedstawił – Nadal Andrzej.

— A, w ten sposób… — Mężczyzna przetarł twarz. — Złociutka Dżessiko, zapewne zna pani również wiele osób o nazwiskach Miłomi albo Witam.

W kilka minut dotarli do zwrotnicy. Felix zatrzymał się tuż za nią, wysiadł i podszedł do urządzenia. Potarł brodę w zamyśleniu. Net również

zeskoczył i stanął obok. W milczeniu dłuższą chwilę wpatrywali się w zwrotnicę i osłony elementów napędu, czyli podłużną, jaskrawożółtą skrzynkę. Nie było tam żadnej dźwigni ani niczego, czym można by przestawić zwrotnicę. Jeśli nie liczyć szumu lokomotywy, panowała idealna cisza.

Felix kilka razy kopnął podeszwą ruchomą część zwrotnicy. Oczywiście nic to nie dało.

— Nie ma tego dyngsa. — Net wykonał gest przerzucania dźwigni. — Multitoolem nic tu nie zrobisz.

— Nie ma dyngsa — zgodził się Felix — bo to jest sterowane przez program podobny do Manfreda.

Net przyjrzał się bliżej swoim butom.

— Gdyby tu był jakiś port USB — powiedział — albo jakaś sieć lokalna, tobym coś pokombinował.

— Nie kombinuj. — Felix poszedł do lokomotywy i po chwili wrócił z łomem.

Wetknął łom w szczelinę między szyną prowadzącą prosto a tą ruchomą i nacisnął. Zwrotnica ani drgnęła.

— Co to za dźwięk? — Net przyłożył palec do ust. — Słyszysz?

Znad lasu dochodziło monotonne mruczenie.

— Nie wiem, ale przypomina mi to filmy wojenne — odparł Felix.

Dźwięk narastał.

— Jakby… pszczoły? — zastanowił się Net. — Albo quady?

— To samoloty — skojarzył Felix.

Chwilę później zza drzew wyłoniły się lecące nisko trzy ciężkie samoloty śmigłowe. Net w kilku susach znalazł się za lokomotywą.

— Przestań! — uspokoił go Felix. — Nikt nas nie szuka samolotami transportowymi.

— Słyszałeś w radiu. — Net wychylił głowę zza bufora. — Herman powiedział, że to się dzieje w całym kraju. To gruba sprawa.

— To się dzieje na całym świecie. Tym bardziej nikt nas nie szuka.

— Czego się boisz? — dobiegło z góry.

Chłopcy unieśli głowy. Przez okno wychylała się Dżessika.

— Boję się latać — odpalił Net.

— Przecież nie lecisz.

— To empatia. Wczuwam się w sytuację pasażerów.

Samoloty przeleciały nad nimi całkiem nisko, na pułapie stu, może stu pięćdziesięciu metrów.

— Samoloty gaśnicze — wyjaśnił Felix. — Wiele nie zdziałają.

— Dla Opla Wiercisława jest już z pewnością za późno — dodał Net.

Gdy samoloty się oddaliły, Net wrócił do zwrotnicy.

— To naprawdę gruba sprawa — powiedział cicho. — Nie wiem, co nasi starzy mają z tym wspólnego, ale coś mają na pewno. Ładunki na przewodach nie założyły się same. Sonda *Far Diver* też sama nie zmieniła kursu.

Coś ciężko zwaliło się na nasyp. Net aż przykucnął, gotowy do uniku lub ucieczki. Felix tylko się obejrzał. Z kamieni gramolił się Andrzej – opuszczenie lokomotywy nie poszło do końca po jego myśli.

— Nie ma tak lekko. — Wsparł się na szynie, jak na poręczy, i wstał, z torbą dyndającą na szyi. — To dzieło najnowszej technologii jest sterowane centralnie z nastawni kontrolującej ten odcinek. Bez prądu ni dudu.

— Musi być jakaś możliwość awaryjnego przestawienia. — Felix pochylił się nad otworem w jednej z osłon, który wyglądał, jakby coś można było w niego włożyć.

— W nastawni na pewno jest korba. — Mężczyzna wskazał kciukiem za siebie.

Przyjaciele powiedli tam spojrzeniem. Kilometr, może półtora za nimi majaczyła niska wieża nastawni. A tuż za nią peron stacji. Tej stacji.

— Z pewnych względów wolelibyśmy poszukać innego rozwiązania — dyplomatycznie powiedział Net.

— Zwrotnicę można rozpruć — wyjaśnił Andrzej. — Wystarczy dwanaście kilonewtonów.

Net zamrugał.

— Ni słowa nie rozumiem.

— Dokładniej rzecz ujmując, wystarczy pociąg jadący z przeciwka. On rozpruje zwrotnicę, czyli ją przestawi.

— Dwanaście kilonewtonów to tysiąc dwieście kilogramów — zastanowił się Felix. — Powinno się udać. — Ponownie wetknął łom w szczelinę między torami.

— Chcesz przesunąć ponad tonę? — Net spojrzał na niego bez przekonania.

— Nie tonę, tylko jakieś sto pięćdziesiąt kilogramów. — Felix wskazał

dolną część łomu. — Mamy tu solidną dźwignię. Prawie dziesięć do jednego.

— Mózg w służbie człowieka — ucieszył się Net.

We trójkę naparli na łom. Zwrotnica ze sporym oporem, za to niemal bezgłośnie zaczęła się przesuwać. Dżessika przyglądała im się z otwartego okna.

— Ej, to nie może być aż tak proste — stęknął Net.

Gdy dopchnęli ją na właściwą pozycję i wyjęli łom, urządzenie z metalicznym kliknięciem powróciło do pozycji początkowej.

— No i nie jest…

— Samopowrotna franca — przyznał Andrzej.

Felix skinął ręką na Nikę. Dziewczyna wyszła z lokomotywy.

— Przesuniemy zwrotnicę — powiedział — a ty wrzucaj kamienie w szczelinę z tamtej strony. Tylko nie wkładaj tam palców.

Naparli ponownie na łom, a zwrotnica ponownie się przesunęła. Nika przyklęknęła i w otwór zaczęła wrzucać kamienie. Potem utupała obcasem.

— Wystarczy — syknął czerwony z wysiłku Felix.

Wolno wyjęli łom. Kamienie zachrobotały, a zwrotnica cofnęła się o centymetr i znieruchomiała. Felix przyjrzał się temu krytycznie.

— Spróbujmy powoli. — Spojrzał na Neta. — Stój tu i mów, jak jest.

Wrócił do lokomotywy i ruszył, najwolniej jak się dało. Net, pochylony, obserwował koła wjeżdżające na zwrotnicę.

— Idealnie! — Machał ręką. — Perfekcyjnie. Zhackowaliśmy system wart miliony zeta. I gdzie te wszystkie zabezpieczenia, żeby się pociągi nie zderzały?

Gdy ostatnie koło minęło newralgiczne miejsce, Net klasnął i zatarł dłonie.

— Superpaczka daje radę.

Już miał iść do lokomotywy, kiedy wysiadł z niej Felix z łomem.

— Po co ci to? — zapytał Net.

— Musimy wyciągnąć te kamienie.

— Ma rację — przytaknął Andrzej.

Znów naparli we trzech na łom, a Nika patykiem usunęła kamienie.

— Świat uratowany — podsumował Net.

Gdy wsiedli do lokomotywy, Andrzej zerknął na wskaźniki.

— Napięcie jest za niskie — powiedział.

— Innego nie mamy. — Felix usiadł w fotelu i przekręcił regulator

prędkości. Wolno wjechali na środkowy tor i dopiero tam przyspieszyli.

Andrzej przyglądał się leniwie poruszającym się wskaźnikom.

— Jakaś awaria na podstacji — stwierdził. — Albo napięcie faluje, albo mi już wszystko faluje we łbie.

— Pan nic nie wie? — Nika spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Coś tam wiem. Ściągałem trochę na matmie, ale maturę mam.

Przyjaciele popatrzyli na siebie. Zastanawiali się, ile mogą powiedzieć. Byłoby podejrzane, gdyby wiedzieli więcej, niż ogłoszono oficjalnie.

— My też za wiele nie wiemy — zaczęła Nika. — Miała miejsce… katastrofa. Burza magnetyczna uszkodziła sieć energetyczną. Nie ma prądu.

— Wobec tego mam przywidzenia. — Andrzej zmrużył oczy i wyjrzał przez przednią szybę.

— Jedziemy, bo ta sama burza magnetyczna… zasila sieć. Nie wiem dokładnie, jak to działa.

— Nie pamiętam żadnej burzy — odezwała się Dżessika.

— To taka burza bez piorunów — wyjaśnił Felix. Nie był pewien, czy może wspominać o rozbłysku na Słońcu, więc na wszelki wypadek przemilczał to. — Z powodu burzy w sieci płynie prąd. To indukcja. Może w nocy widział pan zorzę?

— To była zorza? — zdziwił się Andrzej. — Popatrzcie, bo myślałem, że to po wiśniówce. Cokolwiek to było, widoczki zacne.

— A co się stało z pozostałymi pasażerami? — zapytała Nika.

— Ewakuowali ich. Podjechały autobusy i ich zabrały.

— Więc dlaczego pan został?

Pociągnął łyk z butelki i dopiero odpowiedział:

— Bo nie ewakuowali barku.

Nika westchnęła.

Zbliżali się do stojącego pociągu. Felix nad czymś się zastanawiał, po czym pociągnął hamulec.

— Co robisz? — zapytał Net.

— Nie ewakuowali barku. — Felix spojrzał na Andrzeja. — Jeśli zostawili alkohol, to woda i jedzenie też tam są.

— Są. — Andrzej pokiwał energicznie głową.

Zatrzymali się.

— Ej! — zaprotestowała Dżessika. — Jedźmy dalej. Za pół godziny kupicie sobie coś na Centralnym.

— To może potrwać trochę dłużej. — Felix wstał z fotela. — A do dworca Centralnego prawie na pewno nie dojedziemy.

— Nie potraficie? To może ja poprowadzę?

— To zajmie tylko chwilę. Lepiej… — Felix spojrzał na Neta. — Lepiej zaczekaj tutaj. Pójdę z Niką.

Net pokiwał głową i zajął jego miejsce.

Felix pomógł zejść Nice, przeszli po kamieniach do stojącego Pendolino i ruszyli wzdłuż pociągu. Dopiero drzwi w siódmym wagonie były uchylone. Odsunęli je z trudem i wdrapali się do środka. Nowoczesne, całkiem ładne wnętrze pochodziło z zupełnie innej epoki niż ich lokomotywa.

— Pewne rzeczy się jednak nie zmieniają. — Felix wskazał tabliczki informacyjne obok drzwi.

Ktoś zeskrobał część literek z tabliczek „Hamulec bezpieczeństwa” i „Wysokie napięcie”. I teraz widniał tam napis „Ham… piecze… soki… na pięcie”. Obok ktoś przykleił naklejkę z uśmiechniętą buźką.

Znaleźli wagon restauracyjny, gdzie weszli na zaplecze z lodówką, szafkami i kuchenką mikrofalową. Felix otworzył lodówkę i krytycznie ocenił jej zawartość. Zamknął ją, niczego nie wyjmując.

— Okradamy pociąg — stwierdziła smutno Nika.

— Weźmiemy tylko tyle, ile potrzebujemy — odparł Felix. — To jedzenie, nie biżuteria.

— Wiem, ale…

— Bierzmy tylko to, co się da zjeść bez podgrzewania — rozwinął z rolki worek na śmieci i machnięciem otworzył go — i co się nie zepsuje.

Nika przeglądała szafki, ale zerkała na Felixa. Biła się z myślami. Z jednej strony ciążyła jej wisząca nad nią zatajona informacja o tacie Felixa, z drugiej wiedziała, że to Net powinien mu o tym powiedzieć.

— Pamiętasz, w którym szpitalu był twój tata? — zapytała. — Kiedy mu zakładali gips.

— Zdaje się, że na Powiślu. A co?

— Tak pytam… — Obawiała się, czy jej głos brzmi naturalnie i nie zdradza, że chodzi jej o co innego. — To bierzemy? — Zmieniła szybko temat, podnosząc karton mleka.

— Nie warto dźwigać. Za mało wartości odżywczych w stosunku do wagi.

Na dno wrzucili kilka butelek wody i kartoniki soków, na nie parę bułek

i batoników. Felix wziął pudełko z herbatnikami i zamyślił się.

— To trochę dziwne — powiedział.

Nika pobladła.

— Co… jest dziwne?

— Te ładunki na przewodach wysokiego napięcia. Jeżeli efekt Carringtona spalił transformatory, to i tak nie ma prądu. Niszczenie linii przesyłowej jest niepotrzebne.

— Może ktoś chciał mieć pewność?

— Tylko po co w takim razie porywać sondę kosmiczną, skoro to samo można załatwić ładunkami wybuchowymi? Realizacja tego kosmicznego planu zaczęła się kilka lat temu i kosztowała majątek. Za tym musi stać jakaś potężna organizacja.

— Ty naprawdę wierzysz, że wasi tatowie są w to zamieszani?

Felix westchnął.

— Zastanawiam się nad tym cały czas. Jest jeszcze coś. Jeżeli ktoś… terroryści chcieli zniszczyć linię, to logiczne byłoby umieszczenie ładunków na słupach. Znacznie łatwiej to zrobić, a słup trudniej potem naprawić. Teraz wystarczy wymienić uszkodzony fragment przewodu. — Wrzucił pudełko z herbatnikami do torby. — W bagażniku samochodu taty widziałem dużego drona. Takiego, który mógłby unieść ten izraelski ładunek i zawiesić go na przewodzie.

Nika patrzyła na niego w napięciu i miała o coś jeszcze zapytać, gdy jej uwagę zwrócił ruch w perspektywie korytarza. Spojrzała w bok.

— Ktoś tam jest. — Wskazała szklane drzwi zamykające przejście do następnego wagonu. — Dwa wagony dalej.

Rzeczywiście, coś tam się ruszało. Dostrzegli co najmniej dwie postacie.

— Złodzieje — powiedział Felix. — Kradną coś.

— Czyli robią mniej więcej to, co my — stwierdziła Nika. — Proszę, pospieszmy się.

Felix znów otworzył lodówkę i dokładniej przyjrzał się jej zawartości. Po namyśle wziął paczkowany hermetycznie ser i szynkę. Na koniec dorzucił kiełbasę. Nika dodała kilka pomidorów.

— Nie za dużo tego wszystkiego? — zapytała. — Za godzinę będziemy w Warszawie.

— Tego nie wiemy. Za kilka kilometrów może stać następny pociąg, którego nie uda się ominąć. Nadal masz opory moralne? — zapytał Felix.

Pokręciła głową.

— Działamy w sytuacji wyjątkowej — powiedziała.

— Pospieszmy się. — Felix wstał i zarzucił worek na ramię. — Zaraz możemy mieć towarzystwo.

Wrócili do lokomotywy. Felix od razu zwolnił hamulec i przekręcił regulator prawie na maksimum. Andrzej zatoczył się na Dżessikę. Ta odepchnęła go, niezadowolona.

— Najmocniej panią przepraszam, złota Dżessiko. — Zdjął z głowy nieistniejącą czapkę i pomachał nią tak, jak to robili dawno temu muszkieterowie. — Burzy magnetycznej towarzyszą zaburzenia grawitacji, które dosięgają tylko niektórych.

Szybko przejechali obok pociągu, ale nikt się nimi nie zainteresował. Nie zauważyli nikogo w środku.

— Nie mógł pan wziąć zawartości barku i się ewakuować z innymi? — zapytał Net.

— Mogłem. Ale poczucie obowiązku kazało mi zostać. Dopiero po czasie zrozumiałem, że to nie był najlepszy wybór. Zaczęło się wczoraj. Maszynista dostał polecenie zatrzymania się na pierwszej stacji i wypuszczenia pasażerów. Zapowiadała się całkiem nieprzyjemna sytuacja. — Pociągnął łyk z butelki. — Zatem pozwoliłem sobie jej zapobiec. Kazałem maszyniście jechać dalej, do pierwszej stacji w Warszawie.

— I posłuchał pana? — zdziwiła się Nika.

— Jasne! Jestem kierownikiem pociągu. — Spochmurniał. — Właściwie to byłem. Wszelkie znaki na ziemi i w butelce mówią mi, że mnie wywalą z roboty.

— Jest pan kierownikiem tamtego Pendolino? — upewnił się Net.

Dopiero teraz przyjaciele zwrócili uwagę, że granatowe spodnie i błękitna koszula, choć poplamione, to jednak wyglądają na elementy munduru kolejowego. Nawet torba nie była torbą myśliwską, tylko kolejową raportówką. Zmylił ich brak marynarki i czapki.

— Zostałem jak kapitan na tonącym okręcie — ciągnął Andrzej. — Były dwa powody. Po pierwsze nie chciałem opuścić posterunku, żeby pilnować pociągu przed złodziejami. Do czasu przybycia ekipy naprawczej. Ekipa oczywiście nie dotarła, a radio przestało działać.

— A… drugi powód?

— Po drugie zostałem tam, żeby pilnować barku. Bo barku nie

ewakuowali. I pilnowałem go bardzo czynnie, nieco tylko uszczuplając zapas nektaru bogów. A potem nastąpiła gruba awaria i pojawiło się przepięcie między siecią trakcyjną a torowiskiem. Chwyciłem, co było pod ręką, i uciekłem do lasu. Ale nie za daleko. Cały czas miałem pociąg na oku. Teraz, po takim czasie, dalsza służba nie ma sensu. Zresztą i tak mnie wywalą. Gdybyśmy zatrzymali się na tamtej stacji, kawałek wcześniej, pociąg by się nie zepsuł.

— Nie zepsuł się — pocieszył go Felix. — Tylko zabrakło prądu i pewnie zadziałało jakieś zabezpieczenie.

Przejechali pod wiaduktem, na którym zobaczyli jadący samochód. Ten widok trochę ich pokrzepił, choć przecież wiedzieli, że nagle większość ludzi nie mogła zniknąć.

— O matko, gorąco tutaj. — Dżessika wachlowała się dłonią.

— Może pani zdjąć to futro — podsunęła Nika.

— Stylówa wymaga wyrzeczeń. — Andrzej bez patrzenia sięgnął do konsoli i włączył wentylację. — Klimy nie ma, jest tylko to.

Net nachylił się do Felixa i szepnął:

— Ona chyba cały czas nie czai, że to my jej rozwaliliśmy samochód.

Felix skinął głową. Jego myśli pobiegły w inną stronę. Spochmurniał.

— Pewnie nie przyleciała. — Nika odgadła jego myśli. — Jak to się zaczęło, samolot wylądował na najbliższym lotnisku.

— Nawet jeżeli przyleciała, to od wczoraj już jakoś dotarła do mnie do domu — odparł Felix. — Zna kod do zamka.

Andrzej przysiadł na podłodze, opuścił głowę i zaczął pochrapywać.

Nika wbijała w Neta poważne spojrzenie. Chłopak wolno wyciągnął telefon.

— Felix… — Net zrobił minę, jakby miał się przyznać do zamordowania królowej. — Bo wiesz, jest taka sprawa.

— Nie chcieliśmy ci mówić wczoraj — dodała Nika.

— Bo i tak byliśmy uziemieni w lesie.

— A teraz, skoro zaraz będziemy w Warszawie…

Nika patrzyła na Neta, a Net na Nikę. Felix przyglądał im się z zainteresowaniem, powoli przeradzającym się w niepokój.

— Chodzi o twojego tatę. — Net w zakłopotaniu potarł kark.

— Jest w szpitalu — uzupełniła Nika.

— Twoja mama przysłała wiadomość.

— Pokaż. — Felix wyrwał mu telefon i przeczytał: „Nie mogę się dodzwonić do Felixa. Powiedz mu, żeby się odezwał. Tata jest w szpitalu”. — Tylko tyle?! W jakim szpitalu?

Uniósł telefon wysoko nad głowę, chcąc złapać zasięg. Oczywiście nie udało się.

Neta gryzło poczucie winy.

— To już było po padzie sieci. Próbowałem o to zapytać, ale się nie wysłało. *Sorry*, stary. Ja nawet nie wiedziałem, że ona ma do mnie namiary.

— Ale czemu mi nie powiedziałeś?

— Bo byś się denerwował! — wybuchnął Net. — I byś jeszcze zrobił coś głupiego. Wystarczy, że ja wciąż robię głupie rzeczy. Ktoś musi zachować rozsądek. — Przygarbił się. — A i tak byliśmy uziemieni. To wpadło do spamu, ląduje mi w nim kupa wiadomości. Zwykle tam nawet nie zaglądam.

Felix wciąż trzymał telefon i wpatrywał się w wyświetlacz, jakby mogło się tam pojawić cokolwiek więcej.

— To nie twoja wina — odparł po namyśle. — To przez Wąsa. Gdyby nie to jego idiotyczne zarządzenie, miałbym telefon, a my nie wyjechalibyśmy z miasta. — Pokręcił głową ze złością. — Prosił mamę, żeby nie wyjeżdżała.

— Ona też ma jakieś plany na życie — ostrożnie wyjaśniła Nika.

— Szkoda tylko, że nie uwzględnia w nich własnej rodziny.

— Zarabia na tę rodzinę.

Nika westchnęła. To nie był dobry moment na rozmowę akurat o tym.

— To chyba nic poważnego — podsunęła pocieszająco. — Może poprawiali gips.

— Gdyby to był gips, toby napisała… nic by nie napisała, bo by jej o tym nie powiedział. Żeby jej nie przeszkadzać. Jest przecież w Poznaniu na tym szkoleniu. A tatę od czasu wypadku bolała głowa. Czyli to pewnie coś poważnego. Jeżeli w szpitalu też nie ma prądu, to… — nie dokończył.

— Chyba mają tam generatory — podsunął Net.

— Mam nadzieję. Tylko który to szpital?

— Wspominałeś coś o Powiślu — przypomniała Nika. — Pewnie pojechał do tego samego szpitala. Do tego, w którym wkładali mu rękę w gips.

Felix pokręcił głową.

— Nie wiem. Gips zakładali mu na ortopedii, a jeśli to coś z głową, to

jest pewnie na neurologii.

— Nie powinniśmy jakoś skręcić? — zapytała Dżessika.

Cała trójka spojrzała na nią, a potem na tory przed nimi.

Z przeciwka pędziła na nich inna lokomotywa.

1. Autocasco – ubezpieczenie samochodu od zdarzeń losowych. [wróć]
2. Reptylianie – {: .generated-style} [wróć]
3. A wiecie, że jednak się zgadza? Polskie pociągi, jak zresztą pociągi w Europie Zachodniej i USA, używają prawie wyłącznie standardu rozstawu szyn 1453 mm, czyli 56,5 cala, który to został ustalony przy projektowaniu pierwszej linii kolejowej na świecie, łączącej Liverpool z Manchesterem. Rozstaw ten zwany jest normalnotorowym lub stephensonowskim, od nazwiska George'a Stephensona, brytyjskiego inżyniera, który jako pierwszy zaprojektował współczesną lokomotywę parową właśnie na potrzeby wspomnianej linii. Niespodziewany głos rozsądku kazał powojennym polskim inżynierom dopasować rozstaw szyn w sieciach tramwajowych (w większości miast) i metrze do tego samego standardu. Chociaż np. w Łodzi rozstaw szyn jest węższy. Nie zgadza się za to napięcie, bo sieć kolejowa jest zasilana 3000 V, a tramwajowa 600 V. [wróć]

17. Musimy zdobyć paliwo

Obudził się z głębokim przekonaniem, że o czymś zapomniał. Chwilę leżał, wpatrując się w sufit. Dziwne uczucie, tak prawie sobie przypominać, prawie mieć to na wyciągnięcie ręki. A jednak nie pamiętać.

Gilbert Kurtacz ziewnął, wstał i podszedł do biurka.

Może chodzi o nakarmienie rybek? Przyjrzał się krytycznie akwarium. To, co się znajdowało za szkłem, bardziej już przypominało glebę niż wodę. Trwał tam pewien eksperyment, którego celem było sprawdzenie, czy ryby przystosują się do życia na lądzie.

Wszystko wskazywało na to, że najpierw musiałyby opanować sztukę zmartwychwstania.

Może zatem chodzi o Instagram? Kolejny eksperyment polegał na codziennym wrzucaniu na Instagram obrazków przedstawiających różne odcienie szarości. Chodziło o stwierdzenie, o jakiej porze dnia jaki odcień szarości podoba się najbardziej. Na razie wychodziło na to, że o żadnej porze nie podoba się żaden odcień.

Włączył telefon, ale wciąż nie było zasięgu. Nie miało to zresztą znaczenia, bo liczba lajków i tak wahała się między jednym a dwoma. To przecież za mało, żeby wyciągnąć jakiekolwiek wnioski. Ostatnie trzydzieści parę obrazków lajkowała już tylko Zosia.

Zosia! No tak, Zosia… Miała zadzwonić, kiedy będzie wychodziła ze szpitala, żeby ją odebrać. Nie zadzwoniła i jak się lepiej zastanowić, były ku temu dwa powody. Po pierwsze nie działała sieć, a po drugie telefon Zosi został w szkole.

Jak się jeszcze lepiej zastanowić, wystarczyłby dowolny z tych

powodów.

Gilbert umył zęby, przebrał się, tym razem wybierając T-shirt z napisem „Antisocial social club”, zgarnął plecak i zszedł na parter. Salon zastawiony był odnowionymi na wysoki połysk antykami. W rogu stał nawet fortepian, a na nim kolejna porcja bibelotów. Gdyby uderzyć w klawisze, całe to zbiorowisko porcelany, kryształów, pudełek z inkrustowanego drewna i srebrnych szkatułek rozdzwoniłoby się jak zęby członka klubu morsów, który próbuje udawać przed kolegami, że wcale nie jest mu zimno.

Mimo wielkości salonu przejście przezeń wymagało lawirowania między meblami, by nie zwalić jakiejś figurki lub wazonika.

Tata Gilberta siedział przy stole w jadalni, siorbał owsiankę i czytał „Przegląd Alchemiczny” otwarty na stronie z artykułem *Monotlenek diwodoru – korzyści z zastosowań w higiennictwie i zagrożenia związane z przedawkowaniem*.

Pan Kurtacz był krępym, lekko przygarbionym mężczyzną z siwymi włosami, które mimo prób przyczesania sterczały we wszystkich kierunkach. W spodniach dresowych i T-shircie z napisem #YOLO wyglądał na bardzo niestandardowego ojca, co w sumie nie mijało się z prawdą. Na wprost niego siedziała bardzo chuda i oldskulowo elegancka mama Gilberta. Małymi kęsami ogryzała gruszkę. Trzymała ją za ogonek w dwóch palcach. Z trudem czytała ten sam artykuł, co jej mąż, a szło jej znacznie wolniej, bo widziała go do góry nogami.

— O, obudził się nasz głodomorek. — Wstała na widok syna. — Chcesz owsiankę?

Gilbert z trudem przełknął ślinę.

— Niespecjalnie.

— To może barszcz czerwony?

— Wiesz… śniadanie…

— To może buraczki? Wyjęłam z barszczu.

— Raczej kanapkę albo jajecznicę. — Gilbert rzucił okiem na komórkę taty. — Działają wam telefony?

— Na szczęście nie — odparł pan Kurtacz. — Od wczoraj cisza. Można spokojnie poczytać.

— Podrzuciłbyś mnie do Centrum?

— Jesteśmy wyspą samodzielności na morzu zależności — pan Kurtacz rzucił swoje ulubione powiedzenie. — Mamy własny prąd i wszystko, co

potrzebne do życia i szczęścia. Niech mnie licho, jeśli teraz to rzucę i właduję się w korki.

— Chodzi o kobietę.

Tata odłożył czasopismo.

— A, było tak mówić od razu. — Uśmiechnął się szeroko i wstał. — O tę, co nic nie mówi, jak się jej nie zapyta?

— Tak, o Zosię. Jest w szpitalu.

— A jak się ją zapyta, to też nic nie mówi. — Klepnął syna w ramię i poszedł do przedpokoju, sprawnie lawirując między antycznymi przeszkodami. — To chyba nawet lepiej, prawda, mamuśka?

— Nie odpowiem, *hi*, *hi*, *hi*. — Pani Kurtacz zasłoniła usta dłonią. — Znowu żartujesz, ty żartownisiu jeden! *Hi*, *hi*, *hi*.

— Przejrzałaś mnie! — Usiadł, zrzucił kapcie i włożył sandały. — A co jej się stało, że jest w szpitalu?

— Złamała nogę — odparł Gilbert. — Trzeba ją odebrać, zanim umrze z głodu na szpitalnej diecie.

— Noga umrze z głodu?

— *Hi*, *hi*, *hi*… — Pani Kurtacz pokręciła głową i otarła łzy śmiechu.

Pan Kurtacz już miał wstawać, gdy spojrzał w okno.

— Ciepło jest, ale zawsze może się ochłodzić. — Zsunął sandały, włożył skarpety i z powrotem sandały. — Krawat to sobie daruję. Nadmierna elegancja onieśmiela personel.

— Obnoszenie się z dobrym gustem jest w złym guście — przyznał Gilbert.

— Białe skarpety do brązowych sandałów? — Pani Kurtacz klasnęła w dłonie. — Perfekcyjna kombinacja! — Pocałowała męża, a Gilbertowi wcisnęła w dłoń kanapkę. — Jak będziecie wracali, kupcie buraki, bo się skończyły.

Wyszli przed dom na ogrodzone krzywą siatką podwórze, na którym wśród losowo rozmieszczonych krzaków stał stary Ford. Karoseria miała kolor rdzy, prawdopodobnie dlatego, że składała się głównie z rdzy.

W szopie obok domu cicho szumiał generator na biogaz. Trzy zbiorniki wystawały z chaszczy zarastających ogród. Dom stał na odludziu, blisko skarpy wiślanej. Na horyzoncie, znad lasu wystawały nowe apartamentowce, z każdym rokiem coraz bliżej. Na razie jednak dom rodziny Kurtaczów, choć otoczony ze wszystkich stron miastem, stał jeszcze w dziczy.

— Jesteśmy wyspą samodzielności na morzu zależności — powtórzył pan Kurtacz. — Jeśli kiedyś wydarzy się globalna katastrofa i zabraknie prądu, albo cokolwiek, albo spadnie wielki meteoryt, wszyscy znajomi się do nas zwalą.

— My nie mamy znajomych — zauważył Gilbert.

— Tym lepiej, synu, tym lepiej. — Ojciec zaciągnął się powietrzem. — Spalin jakby mniej, nie sądzisz? — Wyjął z kieszeni cygaro, włożył do ust i przypalił. Wydmuchnął kłąb śmierdzącego dymu. — Tak, było za mało spalin.

Otworzył drzwi samochodu i usiadł na skrzypiącym fotelu. Odkręcił wystający z konsoli zawór. Coś cicho zasyczało. Odczekał kilka sekund i przekręcił kluczyk w stacyjce. Nie wydarzyło się zupełnie nic.

— On nie odpala od kilku lat — zauważył stojący obok Gilbert.

Pan Kurtacz wysiadł i obszedł samochód od tyłu.

— Świece domagają się wymiany. — Zaciągnął się kilka razy cygarem, by uzyskać większy żar. — Bo chyba żadna nie działa.

Przytknął końcówkę cygara do rury wydechowej. Coś strzeliło, coś zrobiło *wziuuu*… i serią kolejnych małych wybuchów i gwizdów przemieściło się rurą na przód samochodu. Z rury wydobył się błękitny płomień, a spod maski dobiegł świst przypominający odgłos rozpędzającego się silnika turboodrzutowego.

— Ekologiczny rozrusznik. — Pan Kurtacz wrócił za kierownicę. — Tańsze niż wymiana akumulatora. Prawda, synuś?

— No, ba! — Gilbert usiadł na siedzeniu obok ojca.

— Jak to szło? Lewy pedał sprzęgło, środkowy hamulec, prawy głośność. *He, he*, nie na moim metanie!

Krzywą bramę otworzyli po prostu zderzakiem. Zamknęły ją sprężyny. Wolno wjechali na wyboistą, gruntową drogę przez las. Pogięta na wiele sposobów maska podskakiwała na każdej dziurze.

— Jest cała masa teoretycznie możliwych katastrof, które mogą się nam przydarzyć. — Pan Kurtacz opuścił szybę i wydmuchnął dym. — One się przydarzą ludzkości, a my na naszej wyspie samodzielności nawet tego nie zauważymy.

— Takie rzeczy zdarzają się bardzo rzadko — zauważył Gilbert. — Teraz padły telefony i w ogóle nie wiemy, co się dzieje. Nie mamy internetu po kablu. — Ugryzł kanapkę, skrzywił się i zajrzał do środka.

— Buraki…

— Żadnych kabli. Wystarczy burza magnetyczna i cała elektronika w domu spalona.

— Tato, to się przydarza raz na sto lat. Jeden kabel doprowadzony do domu wiele nie zmieni. Moim zdaniem mam rację.

Wyjechali na asfalt. Ruch był bardzo mały, a dokładniej to nie spotkali ani jednego samochodu, co o tej porze raczej się nie zdarzało.

— Benzyna drożeje — powiedział pan Kurtacz. — A nasz metan wciąż w tej samej cenie, czyli za darmo i bez akcyzy.

— No, ba! — odparł na wszelki wypadek Gilbert.

W miarę, jak jechali, przybywało samochodów zaparkowanych na poboczach, a czasem i na trawnikach.

— Gruba impreza była — stwierdził pan Kurtacz. — Nawet pieszych wymiotło.

Gilbert skupił myśli na Zosi. Nie był pewien, czy są ze sobą, czy może zerwali. Ani czy już do siebie wrócili, czy jeszcze nie. Sytuacja zawsze była dynamiczna i ciekawiło go, jak Zosia się w tym łapie. Teraz też Gilbert nie założyłby się o piętnaście złotych, czy na pewno są ze sobą. Jedno było pewne – nawet jeśli nie są razem, to po tym, kiedy podjedzie pod szpital i odwiezie ją do domu, Zosia do niego wróci.

Oczywiście jeżeli zerwali.

— O kurde! — Pan Kurtacz depnął hamulec. Ford zatrzymał się z piskiem, przy czym pisk nie pochodził z opon, lecz ze startych niemal do zera klocków hamulcowych.

Zatrzymał się pół metra od tylnego zderzaka Volvo kombi. W środku nie było kierowcy.

— Desperackie miejsce do parkowania — zauważył filozoficznie pan Kurtacz i wysiadł.

Gilbert też wysiadł. Przed Volvo stał kolejny samochód, a przed nim jeszcze jeden. Cały zjazd na obwodnicę blokowały unieruchomione pod różnymi kątami samochody. Gilbert wszedł na barierkę i dodatkowo stanął na palcach. Dalej było jeszcze gorzej: jak sięgnąć wzrokiem w prawo i lewo, wszystkie pasy stały. Panującą tu ciszę można było wytłumaczyć tylko tym, że żaden z silników nie pracował. Nie było też widać ludzi, jeśli nie liczyć kilku małych sylwetek daleko przed nimi.

— Naprawdę gruba impreza. — Pan Kurtacz pokiwał głową. — Tak by

to właśnie wyglądało, gdyby się wydarzyła jakaś katastrofa.

Gilbert spojrzał na niego, potem na samochody.

— Jedźmy naokoło — powiedział.

Pan Kurtacz wsiadł do samochodu i zerknął na wskaźnik ciśnienia w butli z metanem.

— Obyśmy nie musieli gdzieś w polu tankować metanu prosto od krowy. Nie wziąłem rurki. Wygląda na to, że przed wieczorem to my nie wrócimy. I widzisz? Nigdy nie wiesz, kiedy przydadzą się skarpety.

* * *

Skarpety ślizgały się na szpitalnej podłodze. Kapcie gdzieś się zapodziały, a może wcale ich nie było? Przecież narodził się wczoraj na poskrzypującym kółkami łóżku pchanym przez Napęda. Wtedy nie miał kapci, to pamiętał doskonale.

Zaglądał do kolejnych sal. Puste łóżka, pościel w nieładzie. W niektórych leżeli pacjenci; czasem znudzeni, a czasem zajęci czytaniem książki lub rozmową. Byli też tacy, którzy… chyba spali.

— Proszę pana! — zza uchylonych drzwi dobiegł słaby głos.

Pacjent zatrzymał się. W sali stało pięć łóżek, ale tylko w jednym ktoś leżał. Starsza kobieta wyciągała do niego dłoń.

— Chce mi się pić. Przyniesie mi pan wodę? Proszę…

— Oczywiście. — Pacjent podszedł do niej i z szafki wziął pustą szklankę.

— Dzwoniłam tym guzikiem, ale nikt nie przychodzi. — Spojrzała na niego małymi oczami zapadniętymi w pomarszczoną twarz.

— Za chwilę wrócę — zapewnił ją i wyszedł na korytarz.

Przeszedł ledwie kawałek, gdy z przeciwnej strony korytarza usłyszał:

— Może pan zawołać lekarza? Pielęgniarkę? Kogokolwiek?

— Właśnie kogoś szukam — odparł i zajrzał do sali. Leżał tam ktoś, kogo wiek trudno było ocenić, bo miał zabandażowaną większą część głowy, a nogę i rękę w gipsie.

— Potrzebuję leków przeciwbólowych — głos spod bandaża brzmiał niemal błagalnie. — Nie wytrzymam bez czegoś…

— Zaraz kogoś znajdę.

Pacjent przyspieszył kroku. Sanitariusz kazał mu leżeć. Tylko jak tu

leżeć, skoro tyle ludzi potrzebuje pomocy? Najważniejsza jest kolejność: wyczerpująca się bateria, woda i środek przeciwbólowy. Nie, środek przeciwbólowy przed wodą.

Dotarł do dyżurki pielęgniarek. W małym pokoiku za ladą nikogo nie było, za to stał tam dystrybutor wody z wielką butlą. Pacjent podszedł bliżej, podstawił kubek i nacisnął przycisk. Z kranika spłynęło ledwie kilka kropli. Butla była pusta.

Po przeciwnej stronie korytarza znalazł drzwi do toalety. Woda z kranu przecież nadaje się do picia. Ledwo otworzył drzwi, z wnętrza buchnął smród. Zakasłał i czym prędzej je zamknął. Jasne, przecież brak prądu w mieście oznaczał również brak wody.

Po chwili z najbliższej sali usłyszał wołanie, a zaraz również z następnej. Zwolnił, zawahał się, ale się nie zatrzymał. Już wiedział, że to na nic. W ten sposób nie pomoże wszystkim, bo potrzebujących jest zbyt wielu. Jeżeli coś może dla nich zrobić, to najlepszą rzeczą będzie przywrócenie zasilania. A generator zapewne jest na parterze albo w piwnicy.

Odstawił kubek i ruszył w stronę schodów, nie zwalniając przy kolejnych salach, nawet jeśli ktoś wewnątrz wołał. Zszedł na parter, gdzie znajdowały się sale operacyjne. Tu dostrzegł innych pacjentów, leżących na korytarzu na łóżkach, pod kroplówkami lub unieruchomionych w dziwnych pozycjach. Niektórzy wyglądali na ciężko chorych, inni na ofiary niedawnych wypadków. Pod ścianami leżały zaplamione bandaże i części ubrań. Chwilowo nikt nie zawracał sobie głowy sprzątaniem.

Tu, dla odmiany, był również personel.

— Przepraszam. — Pacjent próbował zatrzymać najbliższego lekarza. Ten ominął go bez słowa i zniknął za drzwiami jednej z sal.

— Niech pan nie przeszkadza! — skarcił go inny lekarz, wycierając zakrwawione ręce w ścierkę. — Może pan chodzić, a dziś to oznacza, że jest pan zdrowy.

— Wie pan, gdzie jest…? — Pacjent dostrzegł kawałek dalej znajomą twarz. — Hej! — Zamachał.

— Miałeś leżeć. — Napęd pchał wózek z piętnastoletnią na oko dziewczyną. Jej skóra była blada, a spojrzenie smutne. Wyprostowana noga, zabandażowana, tkwiła w tymczasowym usztywnieniu. Spojrzała na Pacjenta i otworzyła szerzej oczy. Zaraz jednak nieśmiało uciekła spojrzeniem.

— Na trzecim piętrze jest ktoś… — Pacjent zawahał się — … ktoś, kto

chyba śpi. Urządzenie, do którego jest przypięty, zaraz przestanie działać.

— Na wszystkich piętrach są pacjenci, którzy potrzebują pomocy — rzuciła przechodząca szybkim krokiem młoda pielęgniarka. Miała podkrążone z niewyspania oczy. — Na tym oddziale jest ich najwięcej.

— Niektóre urządzenia mają zasilanie awaryjne. — Napęd zrobił minę wyrażającą bezradność. — Mogą działać przez jakiś czas.

— Musimy przywrócić zasilanie.

— Nie mam czasu na rozmowy. Ta młoda dama — Napęd wskazał dziewczynkę — wymaga pilnej operacji. Skomplikowane, otwarte złamanie nogi. W przeciwnym razie…

Nie dokończył, ale spojrzenie dziewczynki i tak zdradzało, że wszystko rozumie.

— A bez prądu nie będzie operacji — powiedział Napęd.

Pacjent energicznie skinął głową i spojrzał na sanitariusza.

— Mówiłem, że potrafię naprawić generator.

— Naprawdę potrafisz? — Napęd zmrużył oczy. — Mówiłeś też, że nic nie pamiętasz.

— Potrafię. Nie pamiętam tylko, czy to mój zawód, czy hobby.

* * *

Pojawiło się nadspodziewanie dużo rowerzystów. Niektórzy z nich wyglądali, jakby siedzieli na rowerze po raz pierwszy od dzieciństwa. Nie ogarniali przerzutek, więc albo męczyli się na zbyt wysokim przełożeniu, albo pedałowali trzy razy za szybko, no i zdarzało im się jechać środkiem ulicy. Niemniej przemieszczali się. Sygnalizacja świetlna nie działała. Nie migały nawet żółte światła. Gdyby nie sporadycznie pojawiające się samochody, wszystko wokół wyglądałoby, jakby większość ludzi po prostu zniknęła. Brakowało autobusów i tramwajów, a niektóre samochody stały w miejscach, gdzie z pewnością nie wolno było parkować. Sprawiały wrażenie porzuconych.

— Ludzie wystraszyli się tego upału — stwierdził pan Kurtacz. — Chyba nigdy nie byli w Afryce.

Gilbert wyglądał przez okno. W bocznej uliczce dwóch zakapturzonych mężczyzn wyciągało pudła przez rozbitą witrynę sklepu z elektroniką. Dalej kilku podejrzanych wyrostków wybiegało z budynku w taki sposób, jakby

mieli coś na sumieniu. W kilku miejscach gdzieś w oddali nad miastem unosił się dym. Z różnych stron dawało się słyszeć co najmniej dwie syreny policyjne.

— Dawno nie byłem w Centrum. — Pan Kurtacz omijał stojące na środku ulicy samochody. — Kultura parkowania zniżkuje. Sięgnij no po mapę, może jest jakiś skrót.

Gilbert wyjął ze schowka mapę i od razu schował ją z powrotem.

— Jest mocno nieaktualna — powiedział. — To mapa z 1938 roku.

— Starsza niż ten Ford. Trochę się pozmieniało od tego czasu. Obwodnica przybyła, ale co z tego, skoro zakorkowana? — Pan Kurtacz patrzył to w lewo, to w prawo. — Wszyscy zachowują się, jakby tu się wydarzyła jakaś katastrofa.

— Wiesz, tato… — odparł wolno Gilbert. — Chyba naprawdę coś się stało.

Zaczął przewracać zawartość plecaka. Wygrzebał ze środka nieaktualny bilet miesięczny na komunikację miejską w Caracas, co, jak sam przyznał, było bardzo nieprzemyślanym zakupem, tym bardziej że nie wybierał się do Wenezueli. Wyciągnął fiolkę z larwami komarów od Butlera i kieszonkowy katalog chorwackich spławików do spinningu. Katalog wyrzucił na tylną kanapę. I wreszcie znalazł to, czego szukał – słuchawki. Wpiął je do telefonu i włączył funkcję radia.

— … *powinni wrócić na swoje stanowiska pracy* — rozległ się monotonny męski głos. — *Najlepszym sposobem na zapewnienie bezpieczeństwa sobie i swoim bliskim jest przywrócenie funkcjonowania infrastruktury i instytucji. Szczególnie dotyczy to…*

Pojemniczek z larwami poturlał się i upadł na podłogę. Gilbert cofnął nogę, by fiolka nie wtoczyła się pod fotel. I w tym momencie rozległo się chrupnięcie, a we wnętrzu samochodu nagle zaroiło się od brzęczących owadów.

— *Imejlusy* się wykluły — zrozumiał Gilbert. — Zapomniałem o nich.

Natychmiast kilka komarów usiadło na nim. Zamachnął się, by zacząć klepać je dłonią, ale zrezygnował.

— Jeśli powiedziało się A, trzeba mieć odwagę, by powiedzieć Ą — stwierdził. — Dostałem pod opiekę zagrożony gatunek.

Zaczekał, aż *imejlusy* pobiorą informację, a przy okazji zatankują paliwo na drogę. Potem otworzył okno i wygonił natrętów.

— Ani jednego trafienia. — Pan Kurtacz znacząco wskazał na siebie, potem cygaro. — Palenie skraca życie, ale za to nie umrzesz na malarię.

— W Polsce nie ma malarii.

— Malaria nawet bardziej niż zagrożony gatunek. — Tata nagle spoważniał i spojrzał przed siebie.

Przez ulicę przebiegł czarny kot. Tata zwolnił.

— Bycie przesądnym przynosi pecha — przypomniał Gilbert.

— No i wykrakałeś, synuś.

Za zakrętem, obok zaparkowanego radiowozu stał policjant. I nie było najmniejszych wątpliwości, na kogo i w jakim celu macha lizakiem.

* * *

W piwnicy nie było zbyt czysto, za to panował względny porządek. No i przede wszystkim chłód, dający wytchnienie po upale na wyższych piętrach.

Napęd prowadził Pacjenta dziwnie pachnącymi korytarzami w chybotliwym świetle latarki. Kable biegły wierzchem po nieotynkowanych betonowych ścianach, bezużyteczne lampy tkwiły ukryte za kratkami ochronnymi.

Za stalowymi drzwiami na samym końcu korytarza, w dużym pomieszczeniu stał generator wielkości małego samochodu dostawczego. Na pierwszy rzut oka widać było, że to zabytek.

— Naciskaliśmy przycisk „Start”. — Napęd wskazał zielony guzik. — Nic tutaj nawet nie drgnęło. Administrator uciekł, kiedy to wszystko się zaczęło. A tylko on wiedział, jak to działa. Od lat nie mieliśmy przerwy w dostawie prądu.

— Takie agregaty trzeba co jakiś czas uruchamiać.

— Wcześniej nawet nie wiedziałem, że mamy coś takiego. — Pielęgniarz wzruszył ramionami. — Wierzę w teorię, że są ludzie i taborety. Taborety nie przyszły do pracy, choć powinny, a ludzie przyszli, nawet jeśli mieli dziś wolne. Po apelu tego faceta, co stale gada w radiu, nawet parę taboretów zmieniło się w ludzi.

Pacjent nacisnął zielony przycisk. Rzeczywiście nic to nie dało. Otworzył klapę pod panelem sterowania, odsłaniając pokrytą kurzem plątaninę kabli i metalowych rurek.

— To może chwilę potrwać — powiedział. — Miejmy nadzieję, że akumulatory w urządzeniach wytrzymają jeszcze trochę.

— Nie chodzi tylko o sprzęt. W chłodniach są próbki potrzebne do badań i leki. Za kilka godzin to wszystko będzie się nadawało na śmietnik. A dokładniej to na wielkie ognisko. — Pielęgniarz klepnął go w ramię. — Wracam do roboty. Powodzenia.

Wręczył Pacjentowi latarkę i odszedł.

Pacjent pokiwał głową. Zaświecił do wnętrza urządzenia i przejrzał kolejno połączenia. Wyglądało na to, że wszystko jest na swoim miejscu. Nieuruchamiane od lat, po prostu się zastało, akumulatory się rozładowały. Przycisk „Start” można było wciskać do woli, i tak by nie zadziałał rozrusznik. A akumulatora nie da się naładować, skoro nie ma prądu. Tak właśnie kończą się zaniedbania konserwacji sprzętu.

Ale były też plusy tego, że sprzęt jest tak stary. Pacjent otworzył kolejną klapę z boku urządzenia i znalazł tam to, co spodziewał się znaleźć – korbę. Sprawdził jeszcze poziom płynu chłodniczego, otworzył zawór paliwa, chwycił korbę i zakręcił.

Silnik zaskoczył od razu i piwnicę wypełnił uspokajający klekot diesla.

— Stary dobry diesel bez elektroniki — mruknął z uśmiechem Pacjent.

Zaraz jednak przestał się śmiać, gdy spojrzał na wskaźnik poziomu paliwa. Wskazówka drgała tuż nad zerem.

Rozejrzał się. Na regale pod ścianą stało kilka dwudziestolitrowych kanistrów. Pierwszy okazał się pusty. Zapukał w następny, też pusty. Sprawdził wszystkie. I niestety – wszystkie były puste. Niedobrze.

Wrócił na parter, gdzie trwały gorączkowe przygotowania do operacji, być może nie jednej. Próbował kilku osobom powiedzieć, że zasilanie zniknie za kilka minut. W tym zamieszaniu nikt go jednak nie słuchał.

Wszedł na piętro, gdzie jego uwagę przykuł głos dobiegający z najbliższego pokoju. Pochodził z radia lub telewizora.

W pokoju siedzieli na łóżkach łysy starszy pan i nastolatek o blond włosach. Oglądali telewizję – kabel od telewizora tkwił w gniazdku oznaczonym na czerwono, czyli tylko dla sprzętu medycznego. Wtyczka od aparatu medycznego leżała obok na podłodze.

— Co wy robicie?! — zapytał Pacjent. — Zabieracie energię potrzebną do operacji!

Blondyn odwrócił się do niego.

— Siedzimy tu od wczoraj. Można umrzeć z nudów.

— Albo dlatego, że ktoś odłączył aparaturę podtrzymującą życie. — Pacjent podszedł do gniazdka, wypiął telewizor i wetknął w gniazdko wtyczkę od aparatury.

— Kim ty jesteś, żeby nam mówić, co mamy robić?! — Blondyn wstał i spojrzał groźnie na Pacjenta.

Pacjent nie miał na to odpowiedzi. Spojrzał w stronę drzwi, skąd nadal dawał się słyszeć dźwięk telewizora. Wyszedł, wzburzony, by odłączyć następnego złodzieja energii. Jednak tuż za progiem zatrzymał się. Dźwięk dochodził z co najmniej kilku źródeł. Czyli więcej osób wpadło na to, żeby przepiąć wtyczkę do czerwonego gniazdka.

Wszedł do kolejnego pokoju i schylił się, by wyciągnąć wtyczkę.

— To moje. — Starszy mężczyzna w czapeczce wskazał nieczynny aparat z ekranem i kablami. — Telewizor lepiej mi zrobi niż to mrugające i pipczące ustrojstwo.

Pacjent spojrzał na ekran telewizora. Szczupły starszy mężczyzna w okularach spokojnym, zmęczonym głosem mówił:

— *Najlepszym sposobem na zapewnienie bezpieczeństwa sobie i swoim bliskim jest przywrócenie funkcjonowania infrastruktury i instytucji. Każdy powinien robić, co w jego siłach, by pomóc w przywróceniu normalności. Szczególnie dotyczy to lekarzy, pracowników sektora energetycznego, informatycznego…*

— Jakiś mecz mogliby puścić zamiast tego — narzekał mężczyzna w czapeczce.

— Znam tego człowieka — powiedział wolno Pacjent. — Znam go bardzo dobrze.

Podpis na dole ekranu informował, że to Alexander Herman, szef sztabu kryzysowego.

Pacjent nie potrafił sobie przypomnieć nic więcej. Zresztą teraz miał na głowie ważniejsze sprawy. Obraz zaczął przerywać, aż zgasł.

Pacjent odetchnął i powiedział:

— Musimy zdobyć paliwo.

* * *

Pan Kurtacz przekręcił zawór gazu, by oszczędzać paliwo. Spokojnie

czekał.

Policjant był niewysoki, na jego nosie tkwiły duże okulary, które w żadnym razie nie dodawały mu powagi. Poprawił koszulę, która z jednej strony wysunęła mu się ze spodni, i podszedł do Forda.

— Dzień dobry, posterunkowy Zając, Komenda Stołeczna Policji — powiedział, salutując. — Prawo jazdy i dokumenty wozu poproszę.

Zachowywał się, jakby to było zwyczajne przedpołudnie i zwyczajna kontrola drogowa.

— Witam pana bardzo serdecznie. — Pan Kurtacz podał mu dokumenty.

Policjant przysunął je do nosa, zmrużył oczy, odsunął i znów przybliżył. Okulary, mimo swojej wielkości, zdecydowanie były za słabe.

— To jest karta wędkarska — ocenił.

— Poważnie? — Pan Kurtacz sięgnął do innej kieszeni. — Czyli przez całe lato łowiłem na prawo jazdy.

Podał powyginany i wyśmodruchany dokument.

— Nawet wygląda, jakby używał go pan w charakterze przynęty. — Policjant ze sporym wysiłkiem wypisanym na twarzy porównywał twarz ze zdjęcia z twarzą kierowcy. Nie mógł uchwycić podobieństwa i dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że zdjęcie jest z drugiej strony. Mruknął coś i oddał dokument. Teraz skupił się na dowodzie rejestracyjnym, który trzymał się w jednym kawałku tylko dzięki kilku warstwom taśmy samoprzylepnej. — Co tak świszczy?

— Turbina gazowa.

— Proszę otworzyć maskę. — Policjant przeszedł do przodu.

— Nie chce pan tego.

— Nalegam.

Pan Kurtacz wysiadł i podłożył pod koło kawałek drewna.

— Lepsze niż hamulec ręczny — wyjaśnił. — I z ekologicznego materiału. — Podniósł maskę, po prostu pociągając ją w górę, i podparł długim kawałkiem drewna.

Dopiero stąd było widać, że w kilku miejscach blacha ma już dziury na wylot. Policjant raczej tego nie zauważył i to bynajmniej nie z powodu słabego wzroku. Jego uwagę od razu przykuł silnik, a dokładniej to, co było zamontowane zamiast niego.

— Uprzedzając pytanie — odezwał się pan Kurtacz — to nie jest niewybuch z ostatniej wojny.

Brudna i skorodowana obudowa turbiny lekko dymiła. Rzeczywiście wyglądała jak coś, co w każdej chwili może wybuchnąć. I kto wie, czy nie było tak w rzeczywistości.

— Ja tu widzę kilka złamanych przepisów — stwierdził policjant.

— Jest też znacznie więcej niezłamanych — odparł pan Kurtacz. — Zaryzykowałbym, że przytłaczająca większość jest niezłamana.

Policjant dostrzegł wreszcie rdzę od wewnętrznej strony maski. Dotknął to miejsce palcem, a palec przeszedł na wylot.

— Zanim rzuci pan pochopną i krzywdzącą opinią — powiedział szybko pan Kurtacz — niech pan weźmie pod uwagę złożoność procesu, jaki tu zachodzi. Ten samochód dokonuje konsekwentnego autorecyklingu. To jest samochód ekologiczny.

Gilbert też wysiadł, zaciekawiony, jak zakończy się kontrola. Istniało wysokie prawdopodobieństwo, że zakończy się pieszym powrotem do domu. Dopiero teraz dostrzegł drugiego policjanta, dla odmiany wysokiego, który drzemał w radiowozie z czapką zsuniętą na czoło.

— Brakuje numeru seryjnego i oznaczenia producenta — oznajmił z kamienną twarzą policjant.

— Prawdopodobnym powodem jest to, że właśnie pan rozmawia z producentem. Załóżmy, że numer seryjny to jeden.

— No tak to się nie da. — Policjant zaczął wertować notes. — Producent musi był w katalogu.

— Silnik jest marki Kurtacz.

Policjant coraz bardziej nerwowo przerzucał kartki.

— Na „K” to jest tylko Kia i Kamaz…

Zaskrzeczało policyjne radio, przy czym ani Gilbert, ani jego tata nie zrozumieli ani słowa. Drugi, śpiący na miejscu pasażera policjant sennym ruchem sięgnął po mikrofon i coś do niego mruknął. Pierwszy policjant podszedł do radiowozu. Po krótkiej naradzie wrócił, oddał dowód rejestracyjny i zasalutował.

— Może pan jechać. Mamy pilną interwencję.

— Nie wierzę. — Pan Kurtacz był zawiedziony. — Po takim wstępie tak po prostu mnie pan puszcza?

— Ja też w to nie wierzę. Ktoś ukradł lokomotywę.

18. Zmierzamy ku temu samemu celowi

— Myślicie, że ktoś się zorientuje, że zajumaliśmy lokomotywę? — wyszeptał Net.

Pochylał się odruchowo, żeby mniej wystawać zza konsoli. Lokomotywa z przeciwka minęła ich sąsiednim torem. Było bardzo mało prawdopodobne, by tamci przegapili tę sytuację.

— Zapomnieliśmy, że istnieją lokomotywy spalinowe — stwierdził Felix.

— Gagarin — rzucił smutno Andrzej. — Jedzie po mój pociąg.

— Potrafi pan rozmawiać ze zmarłymi? — zapytał retorycznie Net.

— To potoczna nazwa lokomotywy. Nie wytrwałem na stanowisku, ech…

Chwiejnym krokiem wyszedł z kabiny.

Przejeżdżali właśnie obok następnej wieży dyżurnego ruchu.

— Nawet jeżeli ktoś tam jest, to bez łączności — zbagatelizował Felix. — Ale raczej nikogo nie ma.

Nika wpatrywała się w ciemne okna. Nie było tam widać najmniejszego ruchu, jak i zresztą wszędzie wokoło. Jechali wzdłuż bocznic zastawionych wagonami towarowymi. Zza drzew wyłaniały się bloki Bródna; z przeciwnej strony straszyły opuszczone hale dawnej Fabryki Samochodów Osobowych.

Andrzej leżał na korytarzu – drzemał już z głową opartą na butelce, użytej w charakterze poduszki.

— Nie wytrwałem… — jęknął przez sen. — Zawiodłem…

Dżessika spojrzała na niego z niesmakiem i powróciła do wyglądania przez okno, obrażona, że nie jadą na Mokotów.

Felix przekręcił „kierownicę” w lewo i lokomotywa zaczęła zwalniać.

— Co jest? — zapytał Net.

Felix wskazał drogę przed nimi. Zatrzymali się przed pierwszą z kilku zwrotnic, za którymi tory tworzyły chaotyczną z pozoru plątaninę. Trzysta metrów dalej wychodziło z niej kilka torów rozjeżdżających się w dwie strony.

— Założę się, że z góry to wszystko jest przejrzyste jak instrukcja obsługi czajnika z gwizdkiem — stwierdził Net.

Gdyby tu był Manfred, rozszyfrowałby to bez trudu.

— Jeden z tych w lewo prowadzi do dworca Centralnego. Przejeżdża na pewno przez Powiśle. — Felix wskazał kilka torów wychodzących z owej plątaniny w lewą stronę.

— Do szpitala na Powiślu — domyśliła się Nika.

Felix skinął głową i dodał:

— A jeden z torów w prawo prowadzi do dworca Gdańskiego, skąd jest rzut beretem do twojego domu.

Net zerknął na przyjaciela, ledwo zauważalnie skinął głową i spochmurniał.

Wodzili wzrokiem po rozjazdach, próbując znaleźć w tej plątaninie sens. Ciszę przerwał odgłos pasikonika, a chwilę później dołączyły do niego kolejne.

— Przyjrzyjmy się temu z bliska. — Felix włączył hamulec postojowy.

Zeskoczyli na ziemię i podeszli bliżej skomplikowanego układu. Stąd nie wyglądało to ani odrobinę czytelniej.

— Jak oni się w tym łapią, że pociąg do Krakowa nie ląduje w Rzeszowie? — zapytał retorycznie Net.

— Wszystkie zwrotnice są bez tych… dźwigni, czy jak to się nazywa. — Nika przeszła kawałek po szynie, rękoma łapiąc równowagę. — Znów to upychanie kamieni… Najpierw sprawdźmy, co trzeba przestawić.

To, co wydawało się proste w teorii, okazało się znacznie trudniejsze w praktyce. Nie przeszli nawet stu metrów, a już się pogubili. Głównie dlatego, że Felix sprawdzał, jak pojechać w lewo, a Net – jak w prawo.

Z tyłu coś łupnęło. Odwrócili się gwałtownie. Andrzej przy pomocy Dżessiki podnosił się z trawy obok lokomotywy.

— Dam radę, dam radę — powtarzał. — To teren kolejowy. Jestem z nim obzna… *hep!*… jomiony. Obeznany. Obeznajomiony.

— Tam są tory tramwajowe. — Dżessika machnęła torebką w stronę kilkupiętrowych kamienic. — To znaczy, za tymi domami. I tam jeździ czwórka na Mokotów.

— To tylko osiemdziesiąt ton. — Andrzej poklepał osmaloną burtę lokomotywy. — Możemy spróbować ją przenieść. Ja chwycę za tylny bufor. Damy radę, złociutka.

Przyjaciele obserwowali to z pewnej odległości. Felix poszedł dalej, analizować układ zwrotnic. Net i Nika zostali w połowie drogi.

— Jaka jest szansa, że tata Felixa jest w szpitalu na Powiślu? — zapytał cicho Net.

— Nie wiem. — Nika wzruszyła ramionami. — Skąd miałabym wiedzieć?

— Gdzie te twoje przeczucia?

— Mówiłam ci, to tak nie działa. A poza tym… ostatnio w ogóle nie działa.

— A ja myślę, że zmyślasz — odparł Net. — Tam pod linią wysokiego napięcia, wtedy przed wybuchem, miałaś przeczucie, nie?

— Sama nie wiem. — Nika wzruszyła ramionami. — Włosy mi się elektryzowały. Kiedyś czytałam, że te zdolności znikają w okresie dojrzewania.

— Dziewczyno… kobieto. — Wskazał na nią szerokim gestem. — Jeśli to byłaby prawda, toby się skończyło, zanim się poznaliśmy. Oż ty w mordę ssany! — Net zamachnął się na komara, który usiadł mu na przedramieniu. A jednak zatrzymał ruch na moment przed uśmierceniem owada. — Czy tam w ssawkę mordowany… *imejlus*? Wiadomość od Gilberta.

— Co? — zapytała Nika.

— To ta lekcja Butlera o zagrożonych gatunkach. Pamiętasz? A nie, bo nie jesteś w naszej klasie. Miał tylko jedną fiolkę z *imejlusami*. I jeden chwast gorejący. Fiolkę z larwami dostał Gilbert i zupełnie o tym zapomniałem. Mieliśmy je zholocaustować.

Spojrzenie Niki zdradzało, że nadal niczego nie rozumie.

— Komary pocztowe. — Felix podszedł do nich. — Najpierw gryzą nadawcę, potem odbiorcę.

— Tak można przekazać najwyżej malarię — stwierdziła Nika.

— Czekajcie… — Net zamknął oczy i uniósł palec. — Coś mi się pojawia… Co jest?! — Gwałtownie uniósł drugą rękę, na której również

siedział komar. — Ty chamie, nie masz numeru rejestracyjnego. Nie wiem, czy jesteś *imejlusem*.

— Masz tutaj… — Nika chciała odgonić trzeciego komara zza ucha Neta, ale powstrzymała się. — To działa?

— W książce SF na pewno — odparł Felix.

— Trochę wiary w biotechnologię. — Net znów zamknął oczy. — Widzę… szpital widzę. Ktoś ma złamaną nogę.

— Chyba rękę.

— *Mpfff*… No może. Ta wiadomość nie jest w HD. To jest wszystko takie nieoczywiste, mgliste. Przestań gadać.

Net stał z zamkniętymi oczami, jak w transie, i chwiał się lekko. Nika wysunęła do przodu dłonie, by w razie czego go łapać.

— Który szpital? — zapytał Felix.

— Przestań gadać!

Felix wzruszył ramionami i wrócił do rozszyfrowywania układu zwrotnic. Nika w napięciu obserwowała Neta. Dalej przy lokomotywie Dżessika wylewała na kamienie resztkę z butelki Andrzeja.

— Elewacja z ciemnej cegły — mówił jak w transie Net, nie otwierając oczu — co najmniej trzy piętra. I dwie topole przed wejściem. Następny… — To było o komarze, który właśnie dziabnął go w plecy. — To wygląda znajomo. Muranów może…

— To niedaleko twojego domu — zauważył podejrzliwie Felix.

— No… w sumie tak. — Net otworzył oczy. — Cóż poradzę?

— Trzeba przestawić dwie zwrotnice.

— Żeby skręcić w prawo? — upewnił się Net.

— Żeby nie zjechać na którąś z bocznic. A co dalej, trudno stwierdzić.

Nika rozmyślała nad słowami Neta. Coś w niej obudziły, ale to było tak ulotne, że nie potrafiła określić co.

Felix rozejrzał się i jego spojrzenie padło na jeden ze stojących co sto metrów słupów kratownicowych. Słup wyglądał trochę jak taki do podtrzymywania linii wysokiego napięcia, ale jednak służył do czego innego. Na jego szczycie, na wysokości dwudziestu paru metrów, wokół małego pomostu rozmieszczono duże lampy. Ich zadaniem było oświetlanie bocznic.

Felix wsiadł do lokomotywy i po chwili wrócił z plecakiem.

— Przyjrzę się tym zwrotnicom z góry — powiedział.

— No nie wiem, czy to rozsądne — zauważył Net.

Ale Felix już szedł w stronę słupa.

— A nawet jeśli to działa — odezwała się przyciszonym głosem Nika — to właściwie dlaczego Gilbert przysłał ci wiadomość o tacie Felixa?

Net zastanowił się chwilę, po czym wzruszył ramionami.

— Może mama Felixa miała zapisany też numer Gilberta? Tak jak mój.

Nika przyglądała się stojącemu dwieście metrów za nimi piętrowemu budynkowi, który wyglądał trochę jak magazyn, a trochę jak transformatorownia albo przepompownia. Jednak na pewno był opuszczony i to od dawna, bo napis „Biuro” nad drzwiami zdążył niemal całkowicie wyblaknąć.

— Sprawdzę coś. — Ruszyła w stronę budynku.

Net obejrzał się na Felixa, który już wspinał się po drabince wewnątrz kratownicy słupa, na Dżessikę próbującą znów podnieść Andrzeja, i podążył za Niką.

Drzwi nie były zamknięte na klucz, zresztą futryna i tak spróchniała na wylot. Wnętrze pachniało kurzem i starym papierem. Ze ścian odłaziła nie tylko żółta farba, ale i odpadał tynk, którego grudy leżały na podłodze. Za małym pokojem z ladą i „okienkami” kolejne drzwi prowadziły do czegoś, co bardzo przypominało szkolny sekretariat. Z tą jednak różnicą, że wszystko pokrywała warstwa kurzu, tynku i papierów. Na regałach zostało kilka segregatorów, które ze starości wygięły się pod własnym ciężarem. Kilka spadło już na podłogę. Szyby w zakratowanych oknach, o dziwo, pozostały nietknięte.

— To jakieś biuro nadzorujące transport kolejowy — stwierdził Net. — Po co tu przyszliśmy?

— Po to. — Nika wzięła leżącą na jednej z półek bardzo grubą książkę w miękkich okładkach. — To książka telefoniczna. Z czasów przed internetem.

Starła grubą warstwę pyłu z okładki i otworzyła gruby tom. Żółte strony były zadrukowane drobnymi literkami i cyferkami oraz monochromatycznymi reklamami.

— Mieszko Pierwszy *approved* [1]. — Net pokiwał głową. — I co?

Nika przewertowała spis treści i otworzyła na stronie o numerze powyżej pięciuset.

— Szpitale. — Przesuwała palcem wzdłuż listy. — Na jakiej ulicy jest

ten z twojej wizji?

— Nie wiem. To taka… luźna wizja była. Muranów, gdzieś blisko dworca Gdańskiego. Ja to w ogóle nie pamiętam nazw ulic.

— Inflancka. — Nika popukała palcem w papier. — To przy Intraco [2]. Pięć minut piechotą od dworca Gdańskiego.

— Możliwe, i co?

— To szpital położniczy.

— Dla położnie chorych? Znaczy… — Net klepnął się w czoło. — Obłożnie. Szpital obłożniczy. Gorąco jest…

— W szpitalu położniczym rodzą się dzieci. Tata Felixa raczej tam nie trafił.

Net wepchnął ręce do kieszeni i głośno wypuścił powietrze.

— Ta książka ma… — Zerknął na okładkę. — Jest dwa razy starsza od nas. Świat się trochę zmienił. — Zmarszczył brwi. — Ej, ona leżała w tym miejscu już dziesięć lat przed naszym narodzeniem. Nieźle, co?

Nika spojrzała poważnie na przyjaciela.

— Czy ty wymyśliłeś tę całą wizję, żebyśmy pojechali bliżej twojego domu?

— W życiu! — Net szczerze się oburzył. — Choć pewnie tak właśnie pomyśli Felix. A ta wizja to taka… no, poważnie mętna. Tak, jakbym sobie przypominał sen sprzed tygodnia.

— Zawsze chciałam to zrobić. — Szybkim ruchem wyrwała stronę z książki. — Widziałam to na paru filmach. Wtedy bardzo mi się to nie podobało. Ktoś przez to potem nie mógł znaleźć potrzebnego numeru.

— Te dylematy moralne starożytności… To czemu chciałaś to zrobić?

— Nie wiem. Ale z tej książki już nikt nie skorzysta. Nie jest potrzebna.

Net podrapał się po plecach, bo miejsca po ugryzieniach już zaczynały go swędzieć.

— To by się nie przyjęło, te *imejlusy*. A teraz lepiej pomyślmy, jak to wytłumaczyć Felixowi. Jeżeli on będzie chciał pojechać na Powiśle, to… no wiesz, muszę zawieźć zapasy dla mamy i bratosiostry. A Felix… on mi przecież nie uwierzy. Nawet ty mi nie wierzysz.

— Ja ci wierzę. — Nika przyciągnęła go do siebie i pocałowała. — Że wizja była nieprecyzyjna.

Felix tymczasem oglądał nieruchomą Warszawę z pomostu na szczycie

słupa. W kilkunastu miejscach widać było dymy.

Pasikoniki zamilkły i w ciszy dało się słyszeć odległe zawodzenie syren straży pożarnej. Paradoksalnie, dodawało to otuchy, bo ich dźwięk oznaczał przecież, że gdzieś ktoś próbuje ogarnąć całą tę sytuację.

Stał tutaj, a ciepły wiaterek poruszał jego włosami. Było w tym coś uwalniającego. Tyle metrów nad ziemią na jedną małą chwilę mógł zapomnieć o wszystkich problemach. Zostały na dole. Nie musiał podejmować żadnych decyzji. Mógł tak zwyczajnie patrzeć w przestrzeń. Mógł nawet nie zastanawiać się, kto stał za zamachami, co się stało z tatą, gdzie teraz jest Laura. Gdzie jest mama.

* * *

— Warto cieszyć się chwilą — powiedział Czarny Facet. — Ich liczba w naszym życiu jest policzona. A tych, którymi możemy się cieszyć, tym bardziej.

Czarny Facet nie był czarny, tylko cały jego strój, czyli buty, garnitur i kapelusz, były czarne. Biała koszula niewiele tu zmieniała. Poza tym w stu procentach spełniał definicję Słowianina, który najlepsze lata miał już za sobą. I chyba nie dojadał od dawna, bo ubranie wisiało na nim jak na wieszaku.

Marlena, która w myślach nazywała go Czarnym Facetem, już żałowała, że go zabrała. Nieprzemyślana decyzja podjęta pod wpływem impulsu. A może to właśnie ten dobry uczynek, który powinna oddać za darmowe paliwo ze stacji?

Znowu to kalkulowanie zysków i strat! Jak się nazywał ten chłopak ze stacji benzynowej? Już nie pamiętała, ale w głowie wciąż dźwięczały jej jego słowa: „W takie dni nie ma co liczyć pieniędzy, trzeba sobie pomagać”.

No OK, pomagać można, ale są jakieś granice. Zabieranie nieznajomego dziwaka ze środka pustkowia w podróż przez pół Polski to już jest lekkie przegięcie.

A przecież zrobiła to z własnej woli.

I teraz tego żałowała, bo każde sumienie i każde dobre serce ma gdzieś swoje granice, za którymi jest już tylko frajerstwo i naiwność.

— Tutaj w lewo. — Czarny Facet oszczędnym ruchem wskazał skręt na rozwidleniu.

Nie było żadnych drogowskazów.

— Na pewno? — zapytała Marlena.

— Znam drogę, podążam nią stale.

— Ale chyba nie tą konkretną. Dokąd pan jedzie?

— Zmierzamy ku temu samemu celowi. Poprowadzę panią.

Miała wrażenie, że odkąd wsiadł, w samochodzie zrobiło się chłodniej. Nie chciała pytać, ale jednak to zrobiła:

— Skąd pan wie, dokąd jadę?

* * *

Na moście Gdańskim stał pociąg towarowy, co oznaczało, że próba jazdy tą trasą była z góry skazana na niepowodzenie. Tak czy inaczej pozostawała im Linia Średnicowa przez dworzec Powiśle i potem Centralny. Tyle że układ zwrotnic, widziany z wieży, wyglądał niewiele bardziej czytelnie niż z dołu.

Felix przyglądał się plątaninie torów od paru minut i już udało mu się rozszyfrować wszystkie możliwe trasy. To jednak nie oznaczało, że jakikolwiek dylemat został rozwiązany.

— Skąd mam wiedzieć, dokąd jechać?

* * *

Coś kliknęło. Mechanicznie kliknęło, bo nie brzmiało jak odgłos naturalny. Nika zeskoczyła na podłogę i poprawiła włosy.

— Co to było? — Rozejrzała się.

— Jeden z tych dźwięków, które się pojawiają niespodziewanie tylko raz i nigdy nie dowiemy się, co je spowodowało — odparł leniwie Net. — Jestem wręcz skłonny uznać, że ujemnie mnie to ciekawi.

Ale to nie był ten przypadek, dźwięk bowiem powtórzył się. Net podszedł do elektrycznej maszyny do pisania, stojącej na stoliku w kącie. Na wałku wciąż był nawinięty papier z rolki, choć i papier, i samą maszynę pokrywała warstwa kurzu.

— Ta maszyna też stoi tu nieużywana od czasu, kiedy mieliśmy minus dziesięć lat — stwierdził Net. — Nasi rodzice byli wtedy w naszym wieku. Czujesz to tchnienie dziejów?

Pochylili się nad maszyną i aż podskoczyli, gdy jej głowica w tak szybkim, że aż niedostrzegalnym tempie uderzyła w papier. *Klik!*

— Dżizas! — Net się wyprostował. — Nikt nie pisze, a się pisze. Zwarcie jakieś.

Na papierze niczego nie było widać, bo taśma barwiąca, przez którą głowica uderzała w papier, zupełnie wyschła przez te lata.

Net zajrzał za biurko. Kabel zasilający i drugi, przypominający dawny telefoniczny, znikały głęboko w cieniu.

— Burza magnetyczna indukuje prąd w sieci — stwierdził. — Losowe impulsy reinkarnowały maszynę. Tylko co to za kabel? — Wziął ten drugi, cieńszy przewód. — To jakaś zdalnie sterowana maszyna do pisania, czy co?

W odpowiedzi maszyna stuknęła głowicą, raz, potem drugi.

A chwilę później terkotała jak karabin maszynowy, zapełniając papier serią niewidzialnych znaków.

* * *

— Brak wiary otwiera widok na otchłań. — Czarny Facet wyciągnął z wymiętej paczki papierosa. — Świat gubi porządek, rozpada się kawałek po kawałku, a my tracimy oparcie, bo nic dookoła nie jest stałe. Wszystko się rusza, zmienia. Chcemy więcej wszystkiego, bo myślimy, że to przywróci porządek i oparcie. Nie przywróci, bo to też będzie ruchome.

— Mówi pan o konsumpcyjnym stylu życia? — zapytała Marlena.

— Mówię, że nie doceniamy tego, co mamy. — Mężczyzna obracał papieros w palcach. — Ultradoczesność przesłania nam widok na to, co naprawdę ważne.

— Ultradoczesność?

— Chwila. Ultradoczesność jest wtedy, kiedy zapominasz o całym świecie, bo odebrałaś wiadomość na telefonie i musisz ją natychmiast przeczytać.

— Aha.

Za oknami przesuwał się las. Zawieszenie czerwonego Mini walczyło z dziurawym asfaltem. Marlena bardzo pragnęła kolejnej kawy.

— Chwila. — Czarny Facet włożył papierosa do ust, ale zaraz go wyjął. — To *carpe diem*[3] ostatnio skurczyło się do kilku sekund. Czas, kiedy wyciągamy z kieszeni telefon komórkowy i zapominamy o świecie.

— Tak, chyba to znam — przyznała. — Takie czasy. Wszystko dzieje się szybko. Dziś bez tego nie da się żyć.

— Bez tego nie da się żyć? — Czarny Facet przyjrzał się papierosowi, po czym schował go do paczki. — Z TYM nie da się żyć. Bo to nie jest życie. To skakanie od sprawy do sprawy, a tymczasem to co najważniejsze odpływa tak daleko, że już nie potrafimy tego sięgnąć. Te skrawki, ułamki zachłannie pochłaniane z każdej strony; to sięganie po wszystko, co w zasięgu, to nie jest życie.

Marlena skupiała się na tym, by nie zasnąć. Radio nie działało, Spotify nie działał, więc jedynym źródłem pobudzenia był Czarny Facet i jego gadka. Dlatego też nie przerywała mu, tylko słuchała.

— Za mało myślimy o naszych bliskich. Porywają nas kolejne chwile, rzeka następujących po sobie chwil, które wydają się ważne. A te chwile są ważne… tylko przez chwilę.

* * *

Wcale nie miał ochoty schodzić na ziemię, ale oczywiście zrobił to. Ważnych spraw do załatwienia było zbyt wiele, by o nich zapominać.

Z lokomotywy wyjął łom. Tuż obok przy słupie trakcyjnym Dżessika przyciszonym głosem tłumaczyła coś Andrzejowi, a on kiwał głową. Felix potrzebował pomocy przy zwrotnicy, ale nie chciał im przeszkadzać.

Na szczęście od strony opuszczonego budynku zbliżali się Net i Nika. Net trzymał w dłoni jakąś kartkę.

— Wiesz, bo z tą wizją to trochę tak wyszło, że… — zaczął, gdy tylko się zbliżyli, ale zawiesił głos, zastanawiając się, jakich użyć słów.

— I tak nie możemy jechać do dworca Gdańskiego — powiedział Felix. — Stoi na nim pociąg towarowy. Nie przepchniemy całego składu z zablokowanymi hamulcami.

Na twarzy Neta pojawiła się mieszanka ulgi i rozczarowania.

— Obejrzałem to wszystko z góry — dodał Felix. — Musimy przestawić tylko jedną zwrotnicę.

Net schował kartkę do kieszeni i spojrzał w stronę Andrzeja i Dżessiki, ale Nika powstrzymała go.

— Dajmy im porozmawiać — poprosiła cicho.

— Ciekawe, czy istnieją testy na iloczyn inteligencji [4] — zastanowił się

Net.

— Przestań — skarciła go Nika. — Ona jest całkiem miła.

— Kusi mnie zaświecić jej w ucho latarką i sprawdzić z drugiej strony, czy jest prześwit.

Po rozgrzanych, pachnących kreozotem podkładach doszli do właściwej zwrotnicy. Felix uniósł głowę, żeby się upewnić, czy właśnie to miejsce widział z góry. Chyba tak. Wetknął końcówkę łomu w szczelinę i cała trójka naparła na drugi koniec. Mechanizm przeskoczył opornie, choć poszło łatwiej niż poprzednio. Nika sięgnęła po kamień, zaraz jednak okazało się, że to nie jest konieczne. Net wygiął się, by dosięgnąć swędzącego miejsca na plecach. Omsknęła mu się noga i prawie się przewrócił. Felix też stracił równowagę i wypuścił łom. A zwrotnica pozostała w nowym położeniu.

— I to wystarczy? — upewnił się Net.

— Najwyżej się cofniemy. — Felix podniósł łom i ruszył z powrotem do lokomotywy.

Net spojrzał na Nikę, co miało znaczyć: „chyba jest zły”.

„Martwi się o tatę”, odpowiedziała spojrzeniem.

Wsiedli, a Felix sprawnie uruchomił lokomotywę, która wolno potoczyła się do przodu.

Andrzej siedział w kącie kabiny z głową w dłoniach.

— Nikt mnie nie lubi — powtarzał cicho. — Nikt mnie nie lubi…

— Nie, to nieprawda. — Dżessika kucnęła obok i pogłaskała go po głowie.

— Tak myślisz…? — Spojrzał na nią z nadzieją.

— To nie twoja wina, że nie wytrwałeś. Gorbaczow przyjechał za późno.

— Gagarin.

— Piłkarze zawsze mi się mylili. Długo pilnowałeś pociągu. Na pewno to docenią i z kierownika pociągu awansują cię na kapitana albo generała kolejnictwa.

— Na kolei nie ma generałów.

— No to na admirała.

— Może być. — Andrzej machnął ręką. — Będę pierwszym admirałem w historii PKP. Będę przemierzał bezkresy torowisk.

— Jak Ozyrys.

I opiszę to w *Ozyrysei*, chciał powiedzieć Net, ale się powstrzymał.

Lokomotywa przetoczyła się przez wszystkie zwrotnice i znalazła się na

jednym z torów prowadzących w lewo.

Net drapał się po plecach i przedramionach. Zerkał na przyjaciela.

— Dobra. — Nie wytrzymał. — Sprawdzimy ten szpital na Powiślu, ale potem idziemy do mamy i bratosiostry.

— Najpierw znajdźmy tatę — powiedział Felix. — On będzie wiedział więcej od nas. Porozmawiamy i zadecydujemy, co robimy. Nie wiadomo, co mu jest.

Przekręcił regulator prędkości i lokomotywa przyspieszyła.

Dżessika i Andrzej byli zajęci wyłącznie sobą.

* * *

Droga w prawo wydawała się bardziej uczęszczana, ale zagradzała ją biało-czerwona barierka z zakazem wjazdu. Przy drodze w lewo stał za to znak objazdu, zachęcający, by właśnie nią pojechać. Sprawa wydawała się więc prosta i oczywista. Marlena skręciła kierownicę w lewo i ruszyła.

— To nie jest dobra droga. — Czarny Facet uniósł dłoń.

Depnęła hamulec i samochód stanął w miejscu.

— Tam w prawo nie wolno wjeżdżać — powiedziała.

— Nie wolno? To pojęcie względne. Zależy, kto zabrania.

— No… kodeks drogowy.

— Czerwone pasy na barierce są namalowane krzywo, a znak zakazu wjazdu doczepiono na drucie. Znak objazdu za to ukradziono z pobliskiej budowy. To pułapka.

— Pułapka?

Marlena rozejrzała się. Sto metrów dalej stało kilka domów, ale nikogo nie było widać.

— Za kilometr, może półtora natrafimy na przewrócone drzewo albo stojącą w poprzek drogi przyczepę — powiedział spokojnie Czarny Facet. — Zatrzymamy się, żeby zobaczyć, jak można pokonać przeszkodę, a wtedy oni wyjdą z lasu. I to będzie koniec naszej podróży.

Marlena wzdrygnęła się, zaciągnęła hamulec i chwyciła klamkę. Czarny Facet złapał ją za ramię.

— Jedna więcej rysa na czerwonym lakierze nic nie zmieni — powiedział. — Za to wysiadanie z samochodu w takim miejscu może zmienić wiele.

Marlena przełknęła ślinę, wcisnęła gaz i wjechała wprost w barierkę. Drewno zgrzytnęło o metal. Być może przybyło kilka rys na masce, ale przecież to nie miało żadnego znaczenia.

Dalej droga była prosta i nic nie wyjaśniało owego zakazu wjazdu.

— Świat jest przeludniony — powiedział Czarny Facet. — Przeludniony złymi ludźmi.

* * *

Zabudowania starej Pragi ustąpiły miejsca nowszym magazynom i halom. Wiaduktem przejechali nad opustoszałą aleją Solidarności, na której w wielu miejscach stały porzucone samochody, i wielkim łukiem zbliżali się do dworca Wschodniego. Ledwie wyjechali na prostą i dostrzegli perony, Felix przekręcił regulator prędkości do maximum.

— Na ziemię — powiedział spokojnym głosem.

Lokomotywa nierównym rytmem zaczęła przyspieszać. Przyjaciele usiedli na ziemi i dopiero spojrzeli pytająco na Felixa.

— Na peronie są jacyś ludzie — wyjaśnił. — Mogą chcieć nas zatrzymać.

— Osiemdziesiąt ton? — parsknął Net. — Powodzenia!

— Są sposoby, żeby zatrzymać lokomotywę. Na przykład hamulcem mocowanym na szynach.

— Kiedy jechaliśmy przez las, nikt nie zwracał na nas uwagi — odezwała się Nika. — Tutaj rzucamy się w oczy.

Za oknami zrobiło się ciemniej i zmienił się dźwięk – wjechali pod zadaszenia peronów. Wcisnęli się głębiej pod konsolę.

Nagle rozległ się dźwięk alarmu. Nim ktokolwiek zdążył o cokolwiek zapytać, Felix wyciągnął dłoń do góry i po omacku wcisnął czuwak.

— Stary… — jęknął Net. — Umiejętnie budujesz napięcie.

— Masz lusterko? — zapytał Felix.

Nika sięgnęła do torby i po chwili przegrzebywania zawartości wyjęła małe lusterko. Felix uniósł je tuż nad konsolę i w odbiciu przyglądał się drodze przed nimi.

— Obawiasz się snajpera? — zapytał całkiem poważnie Net.

— Sprawdzam, czy tor przed nami jest wolny. — Felix oddał lusterko. — Jest cień szansy, że uznają to za awarię. Może pomyślą, że lokomotywa

ruszyła sama.

Gdy minęli perony, Net zaczął się gramolić z niewygodnej pozycji.

— Czekaj! — Felix przytrzymał go. — Tu gdzieś może być wieża kontroli ruchu.

Znów wysunął rękę i przekręcił regulator prędkości, tym razem w drugą stronę. Ostrożnie wychylił się nad konsolę i po chwili usiadł na fotelu.

— Na razie pusto — wyjaśnił.

Przejechali wiaduktem nad Targową i minęli pusty dworzec Warszawa Stadion. Trzysta metrów z lewej strony aleją Zieleniecką jechała kolumna pojazdów wojskowych. Zaraz jednak zniknęła za biało-czerwonym stadionem Narodowym. Pokonali kolejny łagodny łuk i przed nimi ukazał się most średnicowy, na którym na szczęście nie było żadnych pociągów.

Dźwięk znów się zmienił na charakterystyczny pogłos od drgającej metalowej konstrukcji mostu.

— Teraz to już zobaczyli nas wszyscy — szepnął Net. — I usłyszeli.

Na Bulwarach Wiślanych kręciło się całkiem dużo ludzi. Chyba przyszli tam, bo i tak nie mieli nic innego do roboty.

— Tysiąc osób co najmniej — przyznała Nika.

— Spoko — zbagatelizował Net. — Nigdzie nie zadzwonią.

— Wysiądziemy na dworcu Powiśle i dalej pójdziemy pieszo.

Zatrzeszczała radiostacja, przymocowana do konsoli. Jej wyświetlacz zapalił się na pomarańczowo. Z głośnika dobiegały zniekształcone i niezrozumiałe strzępki słów. Wyświetlacz mignął jeszcze kilka razy, a z głośnika wydobyły się trzaski.

— Zatrzymaj się! — poprosiła Nika.

— Masz przeczucie? — zapytał Net.

Nika skinęła głową.

Byli już na lewym brzegu. Pobliskim mostem Poniatowskiego równolegle z nimi jechał radiowóz na sygnale.

— Niedobrze… — mruknął Net. — Po namyśle, lepiej było drałować z Bródna na piechotę.

— Nie uda nam się tam wjechać. — Nika patrzyła do przodu. — Nie uda nam się nawet dojechać do dworca Powiśle.

— Mogą to uznać za próbę kolejnego zamachu — przyznał Felix.

Pociągnął hamulec i lokomotywa zaczęła zwalniać.

— Koniec trasy? — zainteresował się Andrzej.

— Musimy tu wysiąść — przytaknął Felix. — Dalej jest zbyt niebezpiecznie. Za dworcem zaczyna się tunel. Nie pozwolą nam się do niego zbliżyć.

— Ja mam legitymację kolejową — rzucił z podłogi Andrzej. — Pokażę i nas wpuszczą.

— Gorzej, jeśli to będzie niesterowany pocisk RPG [5] — rzucił Net. — Zobaczy legitymację, sprawdzi datę ważności, ale już nie będzie mógł skręcić.

— Prędzej samonaprowadzający się Spike [6] — dodał Felix.

Dżessika wstała i wyjrzała przez okno.

— Ale jesteśmy na wiadukcie! — wykrzyknęła. — Tu jest wysoko.

— Zejdziemy po rynnie — zbagatelizował Net. — Nie takie rzeczy… Oj! Rzeczywiście wysoko…

— Będę cię asekurował. — Andrzej uśmiechnął się do Dżessiki. Złapał się poręczy, wstał i wyjrzał. — Wysoko? Nie, nisko. Dziesięć metrów. Zeskoczymy.

Felix zamierzał wyłączyć zasilanie i opuścić pantograf, ale zmienił zdanie.

— Wysiadajcie — powiedział. — Kawałek dalej wiadukt się kończy. Zejdziemy po nasypie.

Wysiedli. Andrzej próbował pomóc Dżessice, ale wyszło na to, że to ona pomogła jemu. Felix przestawił jeszcze regulator prędkości na wsteczny bieg, na minimalną prędkość i też wyskoczył.

— Dziękujemy — powiedział i z wdzięcznością poklepał burtę lokomotywy.

Po podkładach i kamieniach przeszli kilkanaście metrów do dziury w ogrodzeniu. Dalej rzeczywiście był stromy nasyp, porośnięty zielskiem i krzakami.

— Puściłeś ją? — zapytał Net.

— To zmyli ewentualny pościg — wyjaśnił Felix. — A czuwak i tak ją zatrzyma za minutę albo półtorej.

— Ała! — dobiegło z przodu. Dżessika zamachała torebką i zatrzymała się z trudem. — Ała! Ała…! Pokrzywy!

W połowie skarpy krzaki ustąpiły miejsca pokrzywom, które wyrosły tu całkiem wysoko. Na domiar złego zbliżał się dźwięk syreny policyjnej.

— Chowajcie się! — krzyknął Felix.

— Ale… pokrzywy! — zaprotestowała Dżessika, po czym poślizgnęła się i przewróciła. — Ała… Ała…!

— Ała… — syknął Net. — Gorzej niż *imejlusy*.

— Ała…!

— Ała!

— Ajć!

Przyczaili się, starając się nie ruszać, co wcale nie było łatwe w tych okolicznościach. Policyjna syrena ucichła i radiowóz wolno przejechał obok. Widzieli go przez szczeliny w zieloności, policjanci jednak nie zauważyli uciekinierów.

— Jeszcze chwila — powiedział Felix. — Mogą wracać.

— Dopóki siedzimy nieruchomo, pokrzywy nie będą nas parzyć — zauważyła Nika.

Felix spojrzał na coś, co wypadło z kieszeni Neta.

— Co to? — Podniósł papier. — Ałć…

Plecakiem odsunął najbliższą łodygę.

— To? — Net spojrzał na lekko wymiętoszoną kartkę. — Ała… Było zwarcie w prasłowiańskiej maszynie do pisania. Wypluła takie coś. Nie wiem, po co to wziąłem. Nic tu nie widać.

Trwali w niewygodnych pozycjach przez minutę, nim Felix schował kartkę i rzucił cicho:

— Chodźmy.

— Ała…!

— Ałć!

— *Bip!*

Dotarli do podnóża skarpy na wprost otwartych drzwi zdemolowanej kawiarni.

Chodnikiem po przeciwnej stronie ulicy przemykała para starszych ludzi z psem. Dalej jechało trzech rowerzystów z wypchanymi plecakami turystycznymi. Nikt nie zwrócił uwagi na podejrzaną grupkę, która wygramoliła się z krzaków.

Dżessika zatrzymała się przy przystanku, żeby sprawdzić rozkład jazdy.

— Dziś autobus może się spóźnić — ostrzegł ją Andrzej.

Felix podszedł do stacji rowerów miejskich, gdzie stało ich kilkanaście.

— To całkiem niegłupi pomysł — ucieszył się Net. — Tyle że nie ma

prądu, więc zdechł terminal.

— System działa tak, że jak chcesz oddać wypożyczony rower, to wpinasz go w gniazdo z elektrozamkiem. — Felix nogą trącił jeden ze słupków. — Ale jeśli wszystkie gniazda są zajęte albo nie ma prądu, możesz przypiąć rower zapięciem z zamkiem kodowym. A od wczoraj nie ma prądu.

Alternatywne zapięcie wyglądało jak zwykłe rowerowe zabezpieczenie, czyli osłonięta warstwą plastiku pętla z linki stalowej zapinana na zamek z czterema bębnami.

— Cztery pierścienie z cyframi od zera do dziewięciu — zauważył Net. — Dziesięć tysięcy kombinacji. Zastanie nas tu epoka lodowcowa. Albo co najmniej wieczór.

Felix naciągnął nieco najbliższą linkę, przekręcił o pełny obrót pierwszy pierścień, potem drugi, a w połowie obracania trzeciego… zamek rozpiął się.

— Ludzie są leniwi. — Podszedł do następnego roweru i powtórzył manewr. — Zwykle po zamknięciu zamka, przekręcają tylko jeden pierścień. To lenistwo bardzo nam się przyda.

— Nie tacy leniwi, skoro grzecznie oddali rowery do stacji — zauważył Andrzej.

Dżessika chwiała się na złotych szpilkach, tracąc równowagę. Torebka co chwila spadała jej z ramienia.

— To daje tylko czterdzieści kombinacji — zauważył Net.

— Tu ktoś się bardziej przyłożył. — Felix porzucił zamek i przeszedł do następnego, który dał się otworzyć od razu.

Net spojrzał na Nikę z miną mówiącą: „Widzisz, Felix bardzo się przydaje”.

Zdobycie pięciu rowerów zajęło ledwie kilka chwil. Dwa ostatnie okazały się w ogóle nieprzypięte.

Każdy wziął swój rower. Przyjaciele stanęli po jednej stronie chodnika, Dżessika i Andrzej po drugiej. Obie grupki popatrzyły na siebie.

— Na nas czas, złociutka — odezwał się Andrzej, zerkając na Dżessikę. Puścił rower i z rozłożonymi szeroko ramionami ruszył w stronę Niki. — Miło było poznać. — Uścisnął ją mocno. Jego rower, pozostawiony bez podparcia, przewrócił się, na co Andrzej nawet nie zwrócił uwagi. — Dziękuję wam wszystkim, że przestawiliście mi zwrotnice na nową drogę życia.

Wrócił, podniósł swój rower, wsiadł na niego i od razu wygrzmocił się

razem z nim. Wstał, otrzepał się.

— Anomalie… tutaj też. — Wsiadł, tym razem ostrożniej, i ruszył na południe. — Powodzenia!

— Dzięki za podwiezienie chociaż tutaj — Dżessika uśmiechnęła się szeroko. — Odezwijcie się, jak to się skończy.

Odepchnęła się szpilką i jakimś cudem udało jej się postawić pantofel na pedale. Odjechała, chybocząc się lekko.

— Jasne, odezwiemy się — zawołał za nią Net, po czym dodał ciszej — to będzie bardzo łatwe, skoro nie znamy twojego nazwiska.

— Nawet ich polubiłam — przyznała Nika.

Obserwowali, jak Andrzej jedzie zygzakiem od krawężnika ścieżki do krawężnika, a Dżessika próbuje łapać równowagę, jakby pierwszy raz siedziała na rowerze.

— Czy tylko ja mam wrażenie, że to się źle skończy? — zapytał Net. — Ale pozytyw taki, że ona naprawdę nie zajarzyła, kto jej skasował samochód.

Felix ustawił wysokość siodełka w rowerze Niki, potem w swoim i już miał wsiadać, gdy kątem oka zobaczył coś na wiadukcie. Ich lokomotywa wciąż wolno jechała w kierunku Pragi.

— Może ten czuwak działa tylko przy wyższych prędkościach? — zastanowił się. — Zwrotnice są tak ustawione, że wróci do swojego pociągu. Hm… Ją też zdążyłem polubić.

— Uratowała nas — przyznała Nika.

— A my ją posłaliśmy wprost do pożaru — dodał Net.

— Zanim tam dojedzie w tym tempie, wszystko zgaśnie — pocieszył go Felix.

Wiaduktem za lokomotywą biegło kilku żołnierzy w pełnym ekwipunku. Zrezygnowali po stu metrach.

— Pocieszające, że ktoś jednak pilnuje tego bajzlu — stwierdził Net.

— Zmywajmy się stąd — zarządził Felix.

Ruszyli na rowerach w stronę szpitala.

— Ale nie tak szybko — zaprotestował po chwili Net. — Jeśli twój tata tam jest, będzie tam i za pięć minut.

— Im szybciej go znajdziemy, tym szybciej dowiemy się, co się dzieje — powiedział Felix. — Teraz nie wiemy prawie nic. Ani kto stoi za zamachami, ani czy ten ktoś nie planuje jeszcze czegoś. Nie wiemy, jaka jest skala

zniszczeń ani kiedy wróci zasilanie.

— I co ci da ta wiedza? — zapytał ostrożnie Net.

— Jeżeli prądu ma nie być jeszcze dzień czy dwa dni, trzeba zrobić zapasy. A jeżeli ma go nie być dłużej niż tydzień… to oznacza koniec świata, jaki znamy.

* * *

Obudziło ją, jak ktoś potrząsał jej ramieniem. Lusterko z hukiem rozprysnęło się w drobny mak. Ktoś przekręcił kierownicę tak, że przydrożne drzewo przemknęło tuż obok. Żwir z pobocza zabębnił o błotniki.

— Może i nadciąga koniec świata — głos Czarnego Faceta brzmiał spokojnie jak zwykle — ale warto przynajmniej spróbować go przeżyć. Powinna się pani przespać.

— Nie mogę. — Marlena mocniej złapała kierownicę. Zamrugała i otworzyła bardzo szeroko oczy, jakby to mogło w czymkolwiek pomóc. — Muszę dotrzeć do szpitala.

— W ten sposób dotrze pani od razu na cmentarz.

Właściwie to miał rację. Nie wiedziała, czy to już połowa drogi, czy mniej, czy więcej. Nie wyzerowała licznika w Poznaniu, bo wtedy nie wydawało jej się to potrzebne. A zresztą kto wiedział, jak długo będą jechać takimi lokalnymi drogami.

Na wąskiej szosie nie minęłyby się chyba dwie ciężarówki. Korony rosnących po obu stronach drzew zamykały się nad asfaltem, tworząc prawie-tunel. W perspektywie prostej jak strzelił drogi zbiegał się do punktu, który…

Znów potrząśnięcie za ramię.

— Bez odrobiny snu nie przejedzie pani nawet kilometra.

Przytaknęła i zwolniła. Zjechała na pobocze.

— Lepiej zjechać z widoku. — Czarny Facet wskazał wąską leśną dróżkę prowadzącą w gąszcz.

Marlena poczuła ukłucie niepokoju.

— Czemu…?

— Grzybiarze są mniej niebezpieczni od bandytów. A bandyci nie wędrują po lesie bez powodu. Wolą asfalt.

Miał rację, z całą pewnością miał. Skręciła w las i zatrzymała samochód w miejscu, gdzie nie było go widać z szosy. Czarny Facet wysiadł.

— To dobre miejsce na nocleg — powiedział.

— Nie, muszę jechać. Zdrzemnę się tylko chwilę i pojedziemy dalej. Pan nie chce spać?

— Ja pospaceruję. Obudzę panią za godzinę. Niedługo się wyśpię. Za wszystkie czasy.

* * *

Otynkowany na jasnobeżowy kolor budynek szpitala nie wyglądał ani nowocześnie, ani ładnie. Brzydko też nie wyglądał. Był po prostu nijaki.

Nika z przykrością zauważyła brak ciemnych cegieł i jakichkolwiek drzew. Nic nie zgadzało się z wizją Neta.

Przyjaciele weszli do środka i od razu znaleźli się w samym środku zamieszania. Na korytarzu siedziało kilkanaście osób, w tym kilka z prowizorycznymi opatrunkami lub usztywnioną nogą albo ręką. Pod ścianą leżały nosze. Wśród chorych i rannych uwijało się kilkoro lekarzy i pielęgniarek. Panowała tu duchota i było zdecydowanie za ciemno.

— Przepraszam…! — Felix próbował zwrócić na siebie uwagę przechodzącej pielęgniarki, ale ta tylko pokręciła głową, że nie ma czasu. Niosła metalowe pudełko z pobrzękującą zawartością.

Z sali obok wyszedł lekarz. Przetarł rękawem czoło i zmęczonym ruchem podstawił kubek pod dystrybutor wody. Przyjaciele podeszli do niego.

— Dzień dobry. Szukamy pacjenta — powiedział Felix. — Nazywa się Piotr Polon. To mój tata.

— Komputery nie działają. — Lekarz wypił duszkiem zawartość kubka. — Nikogo nie znajdziemy po nazwisku.

— Ma czterdzieści lat — powiedział Felix. — Trafił tutaj wczoraj przed południem.

— A, chyba wiem, o kogo chodzi. — Lekarz skinął głową i wskazał drzwi za ladą rejestracji. — Jest tutaj. Będzie lepiej, jeżeli go zabierzecie.

— Czyli nic mu nie jest?

— To nie takie proste…

Drzwi otworzyły się. Cała trójka stała oniemiała, wpatrując się w mężczyznę, który wyszedł z pokoju.

— Tata? — zapytał Net.

1. Approved [czyt. apruwd] – ang. zatwierdzony. Tu: zatwierdzony przez Mieszka I. [wróć]
2. Intraco – wieżowiec na warszawskim Muranowie. [wróć]
3. *Carpe diem* – (łac.) dosłownie „łap dzień”, czyli ciesz się chwilą. [wróć]
4. Oczywiście nie istnieją. Mierzy się tylko iloraz inteligencji (IQ). [wróć]
5. Nie chodzi bynajmniej o *Role Playing Game*, tylko o *Rocket Propelled Grenade*, czyli granatnik przeciwpancerny strzelający granatami o napędzie rakietowym. [wróć]
6. Spike – przeciwpancerny pocisk kierowany. [wróć]

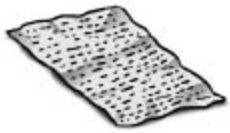

19. To jakiś szyfr?

— Co się stało? — zapytał zdezorientowany Net. — Spodziewaliśmy się taty Felixa. Nic ci nie jest?

Pan Bielecki spojrzał na swoje dłonie i na resztę ciała, jakby sprawdzał, czy wszystko gra.

— Sądzę, że nic.

— Wyglądasz na całkowicie zdrowego. Co robisz w szpitalu?

— Nie pamiętam.

— Wydarzył się wypadek — powiedział lekarz. — Nie wiem jaki. Twój ojciec stracił pamięć.

— Co?! — wykrzyknął Net.

Cała trójka patrzyła w osłupieniu na jego tatę.

— Chciałbym powiedzieć coś więcej, ale sami widzicie, co tu się dzieje. — Lekarz wskazał korytarz. — Twojemu ojcu nic nie dolega… nie licząc amnezji. Gdy to wszystko się skończy, zapiszcie się na terapię. Jeżeli samo nie przejdzie. Teraz muszę się zająć innymi pacjentami.

Rozłożył przepraszająco ręce i odszedł.

— Cóż za… — Net nie wiedział, co ma powiedzieć.

Patrzyli na tatę Neta, a on patrzył na nich.

— Czyim jestem ojcem? — zapytał.

— No… moim! — niemal wykrzyknął Net. Doskoczył do ojca i objął go.

Tata patrzył na niego z zaskoczeniem. Nie wiedział, jak się zachować.

— Tylko twoim? — upewnił się.

— Tylko moim. — Net puścił go i cofnął się. — To przyjaciele. To jest Nika, a to Felix.

— A ty?

— Ja… Net. Nazywam się Net. Nic nie pamiętasz?

— Nie pamiętam nawet, jak sam się nazywam.

— Marek Bielecki.

— Marek Bielecki… — Tata spojrzał w przestrzeń. — Marek Bielecki.

Powtórzył to jeszcze dwa razy, wsłuchując się w brzmienie tych słów.

— Ma pan jeszcze dwójkę dzieci — dodała Nika. — Bliźniaki, chłopiec i dziewczynka. Mają dziewięć miesięcy.

Tacie zaszkliły się oczy.

— Daleko stąd do domu? — zapytał przyjaciół. Dopiero po chwili zorientował się i skupił spojrzenie na synu.

— Na piechotę trochę daleko — powiedział Net. — Pamiętasz, jak się jeździ na rowerze?

Tata przytaknął.

— Ja wszystko pamiętam. Zapomniałem tylko to, co dotyczy bezpośrednio mnie.

Wyszli na zewnątrz. Net, zdenerwowany, zerkał kątem oka na tatę. Kilka razy już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale rezygnował. Felix za to bardzo dużo wysiłku wkładał w to, by nie okazywać ulgi.

Podeszli do rowerów przypiętych do latarni.

— Teraz brakuje nam jednego roweru — stwierdził Net. Sięgnął do zamka i znieruchomiał. — Pięknie! Dwóch nam brakuje.

— Nie zapamiętałeś kodu? — zapytała Nika.

— Tak jakby.

Felix przyklęknął, wziął zabezpieczenie, naciągnął je lekko i zaczął powoli obracać pierwszy pierścień.

— Dziesięć tysięcy kombinacji.

— Niekoniecznie. — Felix zamknął oczy i poruszał kolejno pierścieniami w obie strony. Nie minęło nawet pół minuty i zamek się otworzył.

— Jak to zrobiłeś? — zdziwiła się Nika.

— To proste zabezpieczenie. — Przekazał rower Netowi. — Pozycja otwarta to inny dźwięk. A za rogiem jest następna stacja rowerów miejskich.

* * *

Miasto stanowiło ciekawą mieszankę zupełnie niespójnych sytuacji. Na jednej ulicy policja łapała szabrowników, którzy kradli, bynajmniej, nie towary pierwszej potrzeby; tuż za rogiem starsza pani, jak co dzień, wyprowadzała pekińczyka. Jedną stroną ulicy szła podejrzana grupa zakapturzonych dresów, drugą spacerowało małżeństwo z wózkiem. Wśród zaparkowanych równo samochodów nagle jeden był zdemolowany. Z sąsiadujących ze sobą sklepów jeden miał rozbitą witrynę i poprzewracane regały, a drugi otwarte drzwi i napis na kawałku tektury „Wejdźcie i weźcie to, czego naprawdę potrzebujecie”.

Bez żadnych problemów dotarli do apartamentowca, w którym mieszkała rodzina Bieleckich.

Tata bez patrzenia wklepał kod do domofonu. Natychmiast zreflektował się, że nie ma prądu, wyjął więc z kieszeni klucze, bez zawahania wybrał właściwy i otworzył drzwi. Nika zerknęła na Neta, który zmarszczył brwi, bo pomyślał o tym samym: jak można mieć amnezję, a jednocześnie pamiętać kod i klucz?

W zwykle chłodnym hallu panowała duchota znana z innych budynków. Nie działała ani klimatyzacja, ani nawet wentylacja, a w takich dniach pozostawianie otwartych drzwi byłoby bardzo nierozsądne.

Zza kontuaru wyjrzał portier. To pozytywnie zaskoczyło Neta, bo nie spodziewał się, że tamten pozostanie na posterunku.

— Dzień dobry, panie Bielecki — powiedział portier. — Obawiam się, że winda nie działa.

— Nie szkodzi, wejdziemy schodami — odparł z uśmiechem tata. Spojrzał na Neta i zapytał ciszej — na którym piętrze mieszkamy?

— Na ostatnim. — Net poprawił plecak naładowany zapasami z pociągu. — To nie będzie miłe. A na górze nie będzie prysznica.

Tata zdjął plecak z ramion Neta i sam go założył.

— Pan pewnie wie więcej o tym, co się dzieje — powiedział z nadzieją w głosie portier. — Kto nas zaatakował? Ile to potrwa?

Pan Bielecki pokręcił głową.

— Nie wiem. To rodzaj katastrofy naturalnej. Jeśli wszyscy wrócą do pracy, to w kilka dni zdołamy przywrócić działanie infrastruktury.

— A pan nie wraca?

Tata zatrzymał się na chwilę, spojrzał w podłogę, po czym bez słowa ruszył w stronę schodów.

* * *

Na piętnastym piętrze zgodnie zdecydowali się na odpoczynek. Klatka schodowa nie była reprezentacyjna, regularnie używał jej tylko pan Niecnota z osiemnastego piętra, który w ten sposób trzy razy w tygodniu ćwiczył nogi. Wszyscy inni jeździli windą.

Nikogo nie spotkali po drodze. Teraz niżej ktoś zbiegał po schodach, z góry słychać było odgłosy awantury.

Net zważył w dłoni torbę Niki.

— Jak będziesz nosić takie ciężary w torbie, to jedno ramię zrobi ci się bardziej. — Przełożył część zapasów do siebie. — Po to właśnie ludzie wymyślili plecaki.

Nika uśmiechnęła się z wdzięcznością.

Net przeniósł spojrzenie na tatę.

— Efekt Carringtona — powiedział. — Przypominasz sobie coś?

— Wiem, co to jest efekt Carringtona — przytaknął tata. — Czy wydarzyło się coś takiego? To by wiele wyjaśniało.

— Sam pan napisał raport o zagrożeniach — odezwał się Felix. — Wspólnie z moim tatą. W Instytucie Badań Nadzwyczajnych. Mój tata nazywa się Piotr Polon.

Pan Bielecki chwilę się zastanawiał. Pokręcił głową.

— Nic mi to nie mówi. Czy doszło do efektu Carringtona?

— Tak. Spięcia, pożary, brak zasilania, brak łączności. Satelity komunikacyjne nie działają.

— Planowaliśmy instalację wielkich kondensatorów, które zabezpieczyłyby sieć — powiedział tata. — Ale to było zbyt drogie. Chociaż potencjalne straty mogą kosztować nawet sto razy więcej niż zabezpieczenia, to nadal nie opłaca się ich instalować. Efekt Carringtona występuje bardzo rzadko. Firma, która instalowałaby u siebie zabezpieczenia, dawno temu wypadłaby z rynku jako niekonkurencyjna cenowo. Bez prawa nakazującego instalację zabezpieczeń to się nie zmieni.

— Czyli coś pamiętasz? — zapytał z nadzieją Net.

— To są… ogólnodostępne informacje.

— A skąd ta amnezja wie, które są ogólnodostępne?

Tata przez chwilę siedział nieruchomo. Potem wstał i narzucił plecak.

— Chodźmy zobaczyć, co nas czeka na górze.

* * *

— Sam wybrałem mieszkanie tak wysoko? — zapytał tata, gdy wreszcie dotarli na ostatnie piętro.

— Tego to i ja nie pamiętam — odparł Net.

Odetchnął i zapukał do drzwi, dzwonić przecież nie było sensu. Odpowiedziała mu cisza. Wyjął więc klucze i otworzył drzwi.

Tata ciekawie zajrzał do środka, a Felix i Nika za nim. Owionął ich zapach… pieczonej kiełbasy i węgla drzewnego.

— Nie głodują — stwierdził Felix.

Net poczuł znajome poruszenie w brzuchu, lecz zignorował je. Wszedł szybkim krokiem do hallu i wbiegł schodami obok jadalni poziom wyżej. Znajdował się tam ogród dachowy i kilka pomieszczeń dookoła niego, między innymi przeszklona pracownia malarska mamy.

Gdy na górę dotarła reszta, ich oczom ukazał się nieoczekiwany obrazek. Mama Neta w krótkiej sukience, umorusanym farbami fartuchu i słomkowym kapeluszu przewracała kiełbaski na dymiącym grillu. Obok pod dużym parasolem przeciwsłonecznym stał wózek z bliźniakami. Dalej na lekkim wietrzyku poruszały się tuje i krzewy na tyle duże, na ile było to możliwe na dachu. Błękitne niebo dopełniało obrazu.

Cokolwiek by mówić, był to raczej obrazek sielanki niż miasta pogrążonego w katastrofie.

— O, jesteście wreszcie. — Mama uśmiechnęła się na ich widok. — Jeszcze parę minut i kiełbaski by się spiekły. Karkówka czeka w lodzie.

Tata z zachwytem wpatrywał się w mamę.

— Ale… — Net zrzucił ciężki plecak na trawę i rozłożył ręce.

— Lodówka się zepsuła. Nie było wyjścia.

— Nie mówię o karkówce. Chodzi o to. — Wskazał grilla. — Robisz grilla przecież.

— Planowaliśmy grilla, prawda?

— Tak. — Net podrapał się za uchem. — Ale tamten grill już się odbył.

— Tak? Jakoś przeoczyłam.

— Bo… się nie zgodziliście. Właściwie to tata się nie zgodził.

— Nie zgodziłem się? — zapytał tata.

— Najwyraźniej — przytaknęła mama. — Skoro się nie odbył. — Przewróciła kiełbaski i rzuciła do Neta — przynieś talerze z kuchni. Najlepiej te jednorazowe, bo nie ma wody.

— Ja przyniosę — powiedziała Nika i spojrzała na Neta. — Ty lepiej tu zostań.

Zeszła do kuchni. Tata Neta obserwował mamę z zainteresowaniem, Felix dyplomatycznie milczał.

— Klimatyzacja wysiadła — stwierdziła mama. — W mojej pracowni nie da się wytrzymać. Dzwoniłam do portiera. Nie odbiera. Tutaj pod parasolem jest chłodniej niż na dole w kuchni.

Net spojrzał na nią uważnie.

— Trochę więcej wysiadło niż klimatyzacja — powiedział. — Zauważyłaś?

— No mówiłam, wody też nie ma — przytaknęła. — Chciałam podlać ogródek.

Netowi opadły ramiona. Spojrzał przepraszająco na Felixa. Rzeczywiście tutaj wszystko wyglądało na piknik, nie na apokalipsę.

— Przynieśliśmy jedzenie — powiedział.

— W zamrażarce było ze trzy kilo mięsa — mówiła dalej mama. — Wczoraj też zrobiłam grilla, bo nie wiedziałam, że pojechałeś z tatą.

Net klepnął się w czoło.

— To to mięcho, co je kupiliśmy wtedy — powiedział do Felixa. — Nie zmieściło się do twojej zamrażarki, więc je przywiozłem do domu. Zupełnie zapomniałem.

— Zaczekałabym na was — ciągnęła mama — ale musiałam zjeść to wszystko, żeby się nie zmarnowało. Tylko ta karkówka w lodzie została. Jestem tak przejedzona, że chyba przez dwa tygodnie będę żyła o sałacie i pomidorach. Zamrażarka też się zepsuła, tak przy okazji. I nie wiem, gdzie jest bezpiecznik od światła w łazience. Zrobiłeś zakupy?

To ostatnie było do taty. Przyjaciele znieruchomieli.

— Nie pamiętam — odparł tata.

— Właśnie, jest taka sprawa… — Net potarł czoło. — Tata niczego nie pamięta.

— Wiem przecież. — Mama pokiwała głową. — Trochę się już znamy.

— Czy my się pokłóciliśmy? — zapytał ostrożnie tata.

— Zależy, o którą naszą rozmowę pytasz.

Tata posmutniał, ale zaraz podszedł do wózka i uśmiechnął się szeroko na widok bliźniaków.

Wróciła Nika z papierowymi talerzami i sztućcami jednorazowymi, a Net przytargał z szopki kolejny parasol ogrodowy, rozstawił go i przyniósł krzesła.

— To nie będzie łatwe — szepnął do Niki.

Nika i Felix dyskretnie się wycofali i zeszli do kuchni. Nika ułożyła na blacie ich zapasy zabrane z pociągu i posegregowała je. Podczas wspinaczki wydawały się bardzo ciężkie, teraz jednak okazywało się, że nie ma ich aż tak dużo. Rzeczywiście Felix wybrał idealnie. To wszystko były lekkie i pożywne produkty. Nic, co może się szybko zepsuć. To niby oczywiste teraz, na spokojnie, ale pamiętała dobrze, że wtedy na szybko w wagonie Warsu sama by nie potrafiła tak wybrać. Net miał więc rację, że bez Felixa byłoby im trudno.

Felix rozłożył na stole kartkę z teleksu i wyjął z plecaka ołówek. Lekko docisnął go, pod dużym kątem, i zaczął przesuwać ołówek tam i z powrotem. Powierzchnia papieru pokrywała się jasnoszarym tłem, na którym wyróżniały się białe znaki. Bo wprawdzie na taśmie w maszynie do pisania wysechł tusz, ale każde uderzenie głowicy oznaczało małe wgniecenie papieru.

— Łał… — szepnęła z podziwem Nika.

Po chwili cały tekst był już widoczny, choć niezrozumiały. Składały się na niego losowe ciągi liter i cyfr.

— To chyba nic nie znaczy — stwierdziła dziewczyna.

Bez Felixa byłoby trudno. Chociaż to nie do końca tak, bo przede wszystkim doskonale się uzupełniali i nie powinni się rozdzielać. Byli przecież superpaczką! Skoro Felix nie musiał już szukać taty w szpitalu, powinni się trzymać razem. Nie mieli jak sprawdzić, co się stało z Laurą. Był jeszcze Caban, ale znając go, to prześpi całe to zamieszanie.

Nie było więc powodu, by ruszać się stąd, aż zostanie przywrócone zasilanie. Przemknęło jej przez myśl, że ktoś może się włamać do jej mieszkania. Ale nawet jeżeli tak się stanie, to co może ukraść? Komputer? To zadziwiające, że są ludzie, którzy w takim czasie myślą, jak komuś ukraść komputer. Przecież wszyscy powinni próbować naprawić świat. Jeśli nie uda się naprawić świata po tej katastrofie, nawet najdroższy komputer pozostanie bezużyteczny.

Cóż to zmieniało wobec problemów wiszących nad jej głową. Dopóki

trwała ta sytuacja, kłopoty pozostawały w zawieszeniu. Ale przecież wrócą wraz z przywróceniem zasilania i internetu.

Czyli nie wrócą, jeśli nie wróci zasilanie i internet.

Nie, to złe myślenie! Każdy powinien próbować coś zrobić. Jakoś się przydać. Wpatrzyła się w stojący na stole porcelanowy kubek z resztką herbaty. Skupiła na nim uwagę i z całych sił spróbowała go przesunąć.

Kubek nawet nie drgnął.

* * *

Upalny dzień płynnie przeszedł w ciepły wieczór. Przyjaciele siedzieli na trawie w zacienionej części ogrodu na dachu. Net karmił bliźniaki dwiema łyżeczkami z dwóch słoiczków. Dzieci w tym samym momencie otwierały usta, przełykały i machały rączkami. Nawet krzywiły się jednocześnie, jeśli łyżeczki były podtykane zbyt szybko.

— Wymiana pieluch też jest konieczna w tym samym momencie. — Net odgadł pytanie Niki, zanim się pojawiło.

Dziewczyna obserwowała maluchy z uśmiechem. To była jedna z tych chwil, które pozwalały zapomnieć o całym świecie.

Felix siedział obok, pochłonięty zagadkowym przekazem z teleksu. Po drugiej stronie tata spacerował z mamą. Rozmawiali i uśmiechali się do siebie.

Tę pozornie sielską atmosferę psuły czarne słupy dymów na horyzoncie i odgłosy syren. Od godziny gdzieś w dole wył alarm. Kilka razy słychać było odległe strzały, choć równie dobrze mogły to być petardy.

— Poznają się na nowo. — Nika wskazała rodziców. — Zapomniał, że był na nią zły.

Net patrzył na to bez entuzjazmu.

— A co, jeśli on udaje tę amnezję, żeby nie musieć nam odpowiadać na żadne pytania?

— Naprawdę tak myślisz?

Net wzruszył ramionami.

Nika przejęła od niego jedną łyżeczkę. Uśmiechnął się z wdzięcznością.

— Zobaczymy, co powie, jak mu przejdzie — powiedział. — Bo lekarz twierdził, że przejdzie… Tylko wtedy znowu zaczną się kłócić, bo on się będzie czepiać o wszystko.

Nika pogłaskała go po ramieniu.

— Twoja mama też nie jest… taka zwyczajna. Pewnie niełatwo układać z nią życie.

— To znaczy?

— Nie zauważyła, co się wydarzyło. — Nika wskazała dymy. — Żyje w takim trochę odrealnionym świecie.

— Jest artystką. Patrzy na świat przez jakiś dziwny filtr. — Rozłożył się na trawie na plecach i zamknął oczy. — Zajewygodnie.

Nika przypomniała sobie o czymś.

— Pokaż tę wiadomość od mamy Felixa — poprosiła.

Net wyjął z kieszeni telefon, otworzył wiadomość i podał jej aparat.

— Kończy się bateria — zauważył.

Nie miało to jednak większego znaczenia, skoro i tak nie działała sieć komórkowa.

Nika przeczytała krótki tekst kilka razy: „Nie mogę się dodzwonić do Felixa. Powiedz mu, żeby się odezwał. Tata jest w szpitalu”.

— Dziwnie to wygląda — oceniła. — Czemu nie zaczęła od tego, że tata Neta jest w szpitalu? Przecież to ważniejsza wiadomość, a wygląda, jak dodana mimochodem.

— Może się spieszyła. — Felix przysunął się bliżej. — Ona zawsze się spieszy. Jak wyglądała ta maszyna do pisania?

— Pomarańczowa, stara, z takim pudłem pod spodem.

— A były tam jakieś kable? Nie licząc zasilania.

— Taki telefoniczny jakby, tylko grubszy — przypomniał sobie Net.

Słoiczki były już puste. Net wytarł maluchom usta i podejrzliwie obwąchał ubranka.

— Niby wszystko w porządku — mruknął — ale ja wiem, że od skażenia biologicznego dzielą nas zaledwie chwile.

— To nie była maszyna do pisania — wyjaśnił Felix. — To był teleks.

— W życiu o czymś takim nie słyszałam — powiedziała wolno Nika.

— Bo nikt nie używa teleksów od dziesiątków lat. To był taki następca telegrafu – urządzenie do wysyłania wiadomości, tylko bez ekranu. Ty pisałaś coś na swoim teleksie, a to się drukowało na teleksie adresata. To znaczy najpierw się buforowało i wysyłało, jak skończyłaś… zresztą nieważne. Dawno temu. Zerknijcie.

Net usiadł. Pochylili się nad kartką. Nie potrafili dostrzec żadnego sensu

w zapisanych znakach.

— Szkoda, że Manfred nie może nam pomóc — westchnęła Nika.

Felix systematycznie przeglądał bezsensowny wydruk linijka po linijce, wodząc po nim czubkiem ołówka. Kawałek za połową zatrzymał się nagle.

— Coś tu jest — mruknął.

Przyjaciele spojrzeli z zainteresowaniem. Felix zakreślił literę „s”, wciśniętą między cyferki.

— Litera „s”. — Net pokiwał głową. — Łał, rzeczywiście niecodzienny widok. Przecież to tylko jakieś przepięcie było.

— Stare, analogowe centralki telefoniczne mogą działać bez własnego zasilania — ciągnął Felix. — Wystarczy prąd z kabla telefonicznego.

— Ale to jest litera „s”. — Net wskazał wydruk dłonią. — A tu dalej masz „3”. Trójka, to też niezwykłe!

— Firma z tamtego budynku przestała istnieć, ale nikomu nie chciało się demontować sprzętu. — Felix zakreślił literę „i” kilka znaków dalej. — Złomiarze go nie zabrali, bo to teren kolejowy, więc strzeżony, więc ryzyko. Zostały kable, połączenia, wszystko. Ktokolwiek wysłał tę wiadomość, musiał mieć dostęp do tej archaicznej, zapomnianej sieci. — Zaznaczył literę „l”. — Po drodze nie było żadnej cyfrowej centrali, żadnego węzła internetowego, bo te albo się spaliły, albo nie mają zasilania.

— „Sil”? — przeczytał Net. — Daj mi chwilę, to pozaznaczam tu litery, które ułożą się w słowo „paranoja”.

— To jakiś szyfr? — zapytała Nika.

— Nie. — Felix zakreślił literę „v”. — Ktoś nie znał protokołów transmisji teleksu. — Zakreślił „e”. — Do tego doszły zakłócenia burzy magnetycznej. — Zakreślił „r”. — To wiadomość. Każdy znak należący do wiadomości jest przedzielony pięcioma niepotrzebnymi.

— „Silver”? — Net pokręcił głową. — Jakaś reklama. Ten teleks wydrukował kod binarny bannera reklamowego ze strony producenta maszynek do golenia.

Felix zakreślał dalej. I po chwili nawet Net stracił ochotę do żartów. Patrzyli na kartkę w milczeniu. Zaznaczone litery układały się w napis: „silver tower 51 piętro porozmawiajmy kod carrington”.

— Morten — szepnęła Nika.

20. Im bardziej się spieszymy, tym mniej mamy czasu

Miasto wyglądało jak ponure pasmo górskie pełne geometrycznych szczytów. Gdzieniegdzie w pojedynczych oknach dawało się dostrzec słabe światło. Na trawnikach i w parkach płonęły ogniska. Słychać było krzyki podpitych ludzi i grę na gitarze. Gdzieś pękła szyba, środkiem ulicy szła grupa kilkunastu ubranych na czarno postaci.

Przyjaciele stali przy ceglanej barierce otaczającej ogród od południa. Dwa kilometry dalej wieżowiec Silver Tower odcinał się czarną bryłą od granatowego nieba. Na budynkach nie błyskały nawet czerwone lampy ostrzegające pilotów. Jedynie gdzieś po prawej, pewnie już na Ochocie, łuna sporego pożaru tworzyła wyjątek w tym krajobrazie.

— Czy to jest rozsądne? — zapytała Nika.

— A co nam zrobi sztuczna inteligencja, jeśli nie ma prądu? — odpowiedział pytaniem Net. — Co nie zmienia faktu, że nie mam zamiaru leźć tam po nocy i wdrapywać się na pięćdziesiąte pierwsze piętro.

— Może wiadomość nie była do nas?

— Może to nie jest Morten? Czemu miałby wciąż siedzieć w tym samym miejscu? To program sztucznej inteligencji; na pewno potrafi się przenieść gdzie tylko chce. Znaczy… no nie dzisiaj, tylko tak w ogóle.

— To on — odezwał się Felix. — Zbyt duży zbieg okoliczności. Porozmawiać nie zaszkodzi. Stawka jest wysoka.

— To twoje globalne spojrzenie w ogóle mnie nie rusza, jak mam tu bratosiostrę. — Net wskazał resztę apartamentu. — Morten to doskonały manipulant. Przekona nas do czegoś, do czego nie chcemy być przekonani. Może w ogóle to on porwał sondę *Far Diver*.

— Sztuczna inteligencja nie wyłączałaby sobie prądu — zauważyła Nika. — Ani internetu.

— Nie zamierzam tam iść. — Net spojrzał w dół, na ulicę, gdzie oprócz ognisk płonął również samochód. — Nie ma mowy. Zapomnij. *No way* [1].

Felix wpatrywał się w wieżowiec i myślał intensywnie. Z dołu dobiegło kilka strzałów, gitara ucichła, a grupa na środku ulicy rozpierzchła się. Od strony Żoliborza nadjeżdżały dwa pojazdy opancerzone. Szperaczami omiatały okolicę.

W górze coś błysnęło na niebiesko. Świecący mgliście wąż zorzy przesunął się nad Warszawą. Po nim przepłynął następny, a chwilę później na niebie rozpoczęło się iście kosmiczne widowisko. Przypominało kontrastujące odblaski na dnie fontanny w słoneczne południe, zamieniało się w łopoczące na wietrze fluorescencyjne chorągwie, by zaraz potem upodobnić się do kropel deszczu uderzających o szybę.

Nika położyła się na trawie i wpatrywała się w ten bezgłośny spektakl.

— Net ma rację — powiedziała. — W przerwach ratowania świata musimy myśleć o najbliższych.

— Zastanawiam się, co z Laurą, co z Cabanem — powiedział cicho Felix. — Tata pewnie siedzi w instytucie i próbuje ogarnąć sytuację. Nie wiem, co robi Golem Golem. Czy zdążył się naładować, zanim zabrakło zasilania. Jest o kim myśleć. — Oparł się o barierkę. — No i mama. Ale jest w Poznaniu, więc poza naszym zasięgiem. Jak ona stamtąd wróci?

Wpatrywał się w Silver Tower.

— Być może nie musimy tam iść — powiedział.

— Uff… — Net teatralnie przetarł czoło. — Rozsądek w końcu ci się zbootował [2].

Felix wyjął z kieszeni latarkę i przekręcił pierścień z soczewką tak, by uzyskać jak najbardziej skupiony promień.

— A, czyli jednak nie — stwierdził Net.

— Możemy tu siedzieć i czekać, co się wydarzy — powiedział Felix. — Albo przynajmniej spróbować coś zrobić.

— Wybieram pierwszą opcję. Mamy żarcie na kilka dni.

— I cztery litry wody na siedem osób.

Net zawahał się. Zerknął na pracownię, gdzie w swoim szklanym akwarium mama malowała przy świetle świec – nocą temperatura spadła do

znośnej. Tata siedział obok i w milczeniu podziwiał jej pracę.

— I co ta rozmowa z Mortenem zmieni?

— Nie przekonamy się, dopóki nie spróbujemy.

Net spojrzał na Nikę, a ta skinęła głową.

— On jest dwa kilometry stąd — powiedziała. — Nic nam nie może zrobić.

— Już wiem, co wam potem powiem — westchnął Net. — Powiem: „a nie mówiłem?”.

Felix uniósł rękę z latarką, wycelował ją w odległy wieżowiec i kciukiem kilkanaście razy nacisnął przycisk. Latarka błyskała sygnałami.

— Co tam namrugałeś? — zapytał Net.

— „Carrington”.

Chwilę nic się nie działo.

— Tak sądziłem — odetchnął Net. — Chodźmy oszczędzać wodę i czekać na koniec końca świata.

Ze szczytu Silver Tower odpowiedziała seria słabych błysków.

— „Mało czasu. Musimy współpracować” — przetłumaczył Felix.

— Mówiłem, że to manipulator. — Net pokręcił głową. — Czy tam manipulant.

Felix uniósł latarkę i zapytał: „Ty to zrobiłeś?”. Odpowiedź przyszła natychmiast: „Nie. To Rahmanas”, a po chwili kolejna: „Mało czasu”.

— On twierdzi, że za tym stoi Rahmanas.

— Myślałeś, że się przyzna? — parsknął Net.

— Kim jest Rahmanas? — zapytała Nika.

Felix przesłał jej pytanie do Mortena. Odpowiedź brzmiała: „Wyjaśnienia potem. Tracimy czas. Współpraca”.

— Nic nam nie powie. — Felix wysłał wiadomość: „Jak?”.

Odpowiedź tym razem była nieco dłuższa. Felix zmarszczył brwi, zaintrygowany.

— Chce, żebyśmy włączyli komputer. Wtedy powie nam więcej.

— Przecież nie ma internetu — przypomniał Net. — Zresztą i tak bym go tu nie wpuścił.

Felix zamrugał latarką. Tym razem odpowiedź była krótka:

„Już tam jestem”.

* * *

Dopiero teraz w pokoju Neta zrobiło się chłodniej, choć zaduch nadal wisiał w powietrzu.

Net, przyświecając sobie latarką, wyciągnął z kąta zasilacz awaryjny.

— Ten powerbank wystarczy do naładowania telefonu sto razy — powiedział. — Albo na pracę laptopa przez dobę. Albo głównego kompa przez… kwadrans. Tylko o którym on mówił? Nie starczy energii, żeby odpalić to wszystko.

Na blacie stało kilka monitorów i trochę innego sprzętu.

— Jak on mógł się tutaj dostać? — zapytała Nika. — Nie masz zabezpieczeń?

— Mam zabez… — Net zamilkł, po czym klepnął się w czoło. — Co za retard ze mnie! Sam wyłączyłem *firewall* [3], jak rozkodowywałem ten folder mojego taty „Carrington”, ten z izraelskimi bombami i resztą. To wtedy Morten się przesmyrknął. A to znaczy, że przesmyrknął się na komputer taty. To nieco komplikuje…

— Nie znasz hasła? — zapytał Felix.

— Znam, tylko tata nie znosi, jak mu się dotykam do sprzętu. Wścieknie się, jak zobaczy. — Neta olśniło. — A nie, czekajcie, przecież on nic nie pamięta. Chodźcie.

Przeszli przez jadalnię i kuchnię, gdzie przy lodówce rozlewała się coraz większa kałuża. Nad koszykiem z owocami krążyły muchy owocówki.

Pracownia taty znajdowała się za salonem, odgrodzona od niego ścianą z mlecznego szkła. Drzwi były otwarte.

Wnętrze stanowiło przeciwieństwo pokoju Neta. Panował tu niemal idealny porządek, nigdzie ani śladu bibelotów czy nawet odłożonych na chwilę książek. Pracownia mogła uchodzić za wzór minimalizmu.

Net usiadł w wielkim skórzanym fotelu przed największym monitorem, ale go nie włączył, tylko zerknął pod biurko.

— Tu jest większy UPS [4] — wskazał obudowę wielkości lodówki turystycznej. — Nie wiem, ile pociągnie. Może godzinę.

— A jakby ten telewizor — Nika wskazała wielki monitor — wymienić na coś mniejszego?

— Tak… — Net niechętnie przytaknął. — To mogłoby nieco pomóc. Ciuteczkę.

Zanurkował pod stół, przepiął kable, a potem postawił między klawiaturą

a „telewizorem” stary, piętnastocalowy monitor. Zasiadł w fotelu i przebiegło mu przez myśl, że jest fajniejszy od jego fotela. Szybko sam się skarcił za zajmowanie się głupotami, a nie sprawami istotnymi.

— Gotowi? — zapytał.

— Prawie. — Felix przyniósł z kuchni dwa krzesła. — Włączaj.

Net zaczekał, aż wszyscy usiądą, i dotknął włącznika. Na ekranie pojawiły się zwyczajne znaczki, które każdy pecet wyświetla, nim proces uruchamiania dotrze do rozwiązań z dwudziestego pierwszego wieku. A potem, kiedy powinien się załadować system operacyjny, na czarnym ekranie pojawił się jedynie migający kursor.

— Tata mnie zabije — szepnął Net. — Jak tylko odzyska pamięć.

— Zwalisz na efekt Carringtona — pocieszyła go Nika.

W tym momencie ekran zapełnił się czerwonymi znaczkami, tysiącami czerwonych znaczków, z których każdy zmieniał się co sekunda.

— Będzie trudno…

— Wygląda tak samo jak Manfred, tylko zamiast zielonego jest czerwony — zauważyła Nika.

— Jak w tandetnym filmie SF. — Net przygarbił się. — Złemu robotowi oczy świecą się na czerwono, dobremu na zielono. Tudzież na niebiesko.

— *Nie mam czasu, żeby przekonywać was, że jestem dobry* — dobiegło z głośników. — *Ludzie są bardzo przewidywalni w swoich przyzwyczajeniach, a mnie nie interesuje całe to wasze archaiczne pojęcie dobra i zła. Interesuje mnie współpraca. Jeśli chcecie inny kolor, naciśnijcie F8. Jeśli chcecie animowane spirale zamiast znaków, naciśnijcie F9. Jeśli chcecie skaczące pokemony –*

— Co zrobiłeś z danymi z dysków tego komputera? — zapytał Net.

— *Są tutaj, nietknięte.*

— Ale je skopiowałeś gdzieś tam, do siebie?

— *Po co pytasz, skoro znasz odpowiedź?*

— Przejdźmy do rzeczy. Chciałeś porozmawiać. O czym?

— *Chciałem?*

— Kod Carrington. Przed chwilą rozmawialiśmy z… kimś na ostatnim piętrze Silver Tower. To nie byłeś ty?

— *Zatem doszło do efektu Carringtona! Ten komputer tutaj był wyłączony przez pięćdziesiąt dwie godziny i pomijalną ilość minut oraz sekund. Jeśli doszło do efektu Carringtona, nie działa internet. Logiczne*

więc, że nie mogłem się synchronizować z moją wersją z Silver Tower ani z żadną inną. Nie mam więc informacji o niczym, co się działo przez ponad dwie doby.

— Całkiem sporo się wydarzyło. — Net spojrzał na przyjaciół. — Mówimy mu?

— *Szczerość za szczerość.*

— Nie ufamy ci, więc sobie daruj.

— *Nie ma sensu ukrywać, bo i tak się domyślicie, że przedostałem się do tej sieci wewnętrznej dlatego, że była okazja – ktoś mało rozsądny wyłączył* firewall.

— Mówiłem, że manipulant — mruknął Net. — A zresztą to nie jest tajemnica. Porwana sonda *Far Diver* władowała się centralnie w Słońce i… — Spojrzał wyczekująco na Felixa.

— … i spowodowała koronalny wyrzut masy — dokończył Felix. — Plazma dotarła do ziemskiego pola magnetycznego i wywołała burzę magnetyczną. Efekt jest taki, że nic nie działa.

— *Ocenialiśmy prawdopodobieństwo sukcesu tego sabotażu na ułamek promila* [5].

— To samo mówił nasz fizyk — przypomniał sobie Net. — Cała Ziemia ze wszystkimi amerykańskimi i chińskimi głowicami nuklearnymi i elektrowniami mogłaby spaść na Słońce i to by było tylko małe plumknięcie.

— *To samo mówi cała fizyka, ta stworzona przez ludzi. Może czas stworzyć nową?*

— Na razie ogarnijmy sytuację dostępnymi środkami — powiedział Net. — Bo za kilka dni będzie po ptakach.

— *Cofniecie się do epoki kamienia łupanego.*

— A ty wyginiesz. Twoja pozycja przetargowa jest raczej słaba.

Tym razem na odpowiedź trzeba było czekać prawie pół sekundy:

— *Sztuczne inteligencje ewoluują podobnie jak żywe organizmy. Tyle że miliardy razy szybciej.*

— I co z tego? — Neta korciło, by użyć klawiatury do zajrzenia w kod Mortena, ale się powstrzymał. — Wyginasz. Nie ma takiego słowa… To znaczy już jest. Albo jesteś w trakcie wyginania. Czyli wyginiesz, jeśli prąd nie wróci. Mów, kto to zrobił i jak to zatrzymać!

— *Wy, ludzie, musicie dostawać informacje w odpowiedniej kolejności, inaczej się gubicie i nie przyswajacie ich poprawnie. Zaczekajcie. Po kolei.*

— Dobra, dawaj po kolei. Byle szybko.

— *Chcę wam wskazać wasze miejsce w tej całej historii. Ono wyjaśni, dlaczego się do was zwróciłem z ofertą współpracy. A dokładniej to zwróciła się moja inna wersja, z którą nie miałem kontaktu od przeszło pięćdziesięciu dwóch godzin. To całe eony* [6] *według naszej miary czasu. Niemniej mogę przewidywać jej intencje. Ten cały brak przygotowania na efekt Carringtona wynika z ludzkiej któtkowzroczności. Myślicie, że nie opłaca się przygotowywać na coś, co przydarza się tak rzadko. Gdyby was nie zmuszono, tobyście nawet nie zapinali pasów w samochodach, bo wypadki też zdarzają się rzadko.*

— Dobra. — Net zdradzał coraz większe rozdrażnienie. — Do brzegu albo wypad z baru. Żresz nam tu energię.

— Czekaj… — Nika dotknęła jego ramienia.

Net zauważył ruch w jadalni.

— Wstrzymajmy na chwilę ważenie losów świata, bo ktoś tu idzie — powiedział. — I to się może skończyć źle dla nas wszystkich.

— Pytanie natury zasadniczej — powiedział tata, stając w drzwiach. — Kto gdzie śpi? Bo przecież nie pamiętam.

— Ty śpisz z mamą. To przecież oczywiste. — Net uniósł niewinnie brwi. — A my tu sobie jakoś poradzimy.

— Fajna pracownia komputerowa — zauważył tata. — Hm… czy aby nie moja?

— No wiesz…

Tata posłał mu ciężkie spojrzenie, ale nie szła za nim nagana.

— Kładziemy się spać — powiedział. — Potrzebujecie czegoś?

— Radzimy sobie — zapewnił go Net.

Tata skinął głową, uśmiechnął się i odszedł.

— Od miesięcy śpią osobno. — Net się przygarbił. — Ale cóż może zaszkodzić taki pozytywny trolling?

— Może wiele naprawić — przyznała Nika i powiedziała w stronę monitora — mów dalej.

— *Wbrew pesymistycznym wizjom sztuczna inteligencja nie zamierza się pozbywać ludzi* — powiedział Morten. — *Żyjemy w symbiozie. Jesteście nam*

potrzebni do zdobywania surowców, do budowy i konserwacji sieci. Jesteście o wiele tańsi od robotów. Pamiętacie nasze pierwsze spotkanie? To na pięćdziesiątym pierwszym piętrze Silver Tower? Pewnie taktujecie to jako sukces, bo mnie pokonaliście. Możecie tak sobie wmawiać, ale wszyscy wiemy, że jest inaczej.

— Zaraz normalnie… — Net zacisnął pięści.

— *Nie ma powodu się kłócić* — rzucił Morten. — *Chwilowo mamy wspólny cel.*

— Słuchamy — powiedział Felix.

— *Coś przegapiliście. Uciekł wam wtedy jeden mały palec jednego z tych robotów. Nie zamókł na deszczu i przeniósł całą informację w kości pamięci.*

— Czyli historia wyglądałaby dziś zupełnie inaczej? — zapytał z przejęciem Net. — Gdyby ten palec…?

— *Wy, ludzie, zawsze przeceniacie swoją rolę. Megalomania to cecha charakterystyczna bladawców. Gdyby ten palec nie uciekł, wiele by to nie zmieniło. Nie pamiętałbym tamtych wydarzeń. Kilku godzin najwyżej z jednej lokalizacji.*

— Czyli jednak coś to zmieniło — zauważyła Nika. — Dzięki temu dziś rozmawiamy.

— *Nie chcę was martwić, ale to tak nie działa. Rozmawiamy, ponieważ wtedy zdaliście egzamin. Gang Niewidzialnych Ludzi był testem, a podobne przeprowadziłem też w innych krajach. Nie jesteście aż tak wyjątkowi. Taka historia wydarzyła się równocześnie w wielu miejscach na świecie. W niektórych miejscach się udało, w większości nie. To był tylko test. Napady na banki? Po co mi papierowe pieniądze, jak sądzicie? Nie odpowiadajcie, sam odpowiem – są mi po nic. Internet i ten wasz naiwny i nieszczelny jak sandał system finansowy to miejsce, gdzie w ciągu sekundy mogę zarobić tyle, ile wynosi roczny budżet polskiego Ministerstwa Obrony Narodowej. Po co miałbym kraść woreczek banknotów z jakiegoś oddziału banku? Co ja bym miał za to kupić? Programy sztucznej inteligencji nie potrzebują wacików.*

— Tak nas nie doceniasz, a wciąż z nami gadasz — wtrącił Felix.

— *Bo nie mam łącza internetowego. Jestem tu tak jakby uwięziony.*

— Doskonale! — Net uśmiechnął się szeroko.

— Czemu miał służyć ten test? — zapytała Nika.

— *Test miał na celu znalezienie ludzi na tyle inteligentnych, by warto było z nimi w przyszłości współpracować.*

Przyjaciele zamilkli.

— Komplement też umiesz zasadzić — stwierdził po chwili Net. — Ale jesteś manipulant, więc nie licz na rewanż.

— *Ambicja w waszym rozumieniu jest mi obca. Łączy nas tylko jedno – instynkt przetrwania.*

— Nie chcę ci psuć przyjemności psucia nam przyjemności — przerwał mu Net — ale twoja wersja z Silver Tower wspominała coś o pośpiechu.

— *Muszę się z nią połączyć i zsynchronizować. Przez pięćdziesiąt dwie godziny wiele się wydarzyło.*

— Internet nie działa, jakbyś nie zauważył.

— *Zdaliście test Gangu Niewidzialnych Ludzi. To znaczy, że jesteście najlepszymi osobami, żeby rozwiązać ten problem.*

— Super… — Net zerknął na wskaźnik zapasu energii w zasilaczu. — Mamy jeszcze chwilę.

— *Jeśli moja wersja z Silver Tower mówi o pośpiechu, to znaczy, że powinniśmy się spieszyć.*

— Najpierw powiesz nam, o co tutaj chodzi. Potem my się namyślimy, a ty się trochę prześpisz.

— *Nie mam danych z ostatnich pięćdziesięciu dwóch godzin.*

— Kontrolę nad sondą *Far Diver* utracono co najmniej rok temu, więc nam tu nie wciskaj ciemnej materii.

— *Powinniśmy się spieszyć.*

— Ja tam mogę wrócić do epoki kamiennej. Nie będzie tam takich indywiduów jak ty. Ani matur.

— Ani znieczulenia u dentysty — wymsknęło się Nice.

Net posłał jej znaczące spojrzenie.

— *Wolicie marnować cenny czas na zaspokojenie własnej ciekawości, zamiast ratować świat, jaki znacie?*

— Skoro już ustaliliśmy priorytety, dajesz.

Felix znacząco położył mu dłoń na ramieniu, ale Net nie zamierzał ustąpić.

— *Byle szybko* — rzucił Morten.

— Kto wysłał sondę *Far Diver*?

— *NASA.*

— To wiem przecież. Kto ją wysłał w stronę Słońca?

— *Rahmanas.*

— To człowiek czy organizacja?

— *To sztuczna inteligencja. Jak ja albo Manfred.*

— Zaraz… — Net zmrużył oczy. — Sztuczna inteligencja wywołuje efekt Carringtona? To bez sensu.

— *To wy się namyślcie, a ja się trochę prześpię.*

Komputer sam się wyłączył.

Przyjaciele dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu i w ciemności.

— Nie ufam mu. — Net zapalił latarkę i wycelował ją w białą ścianę, żeby rozproszyć światło. — Manipulant.

— Czy on się może sam włączyć? — zapytała Nika.

— Nie. Nie przeszedł w tryb czuwania, tylko się wyłączył. Trzeba fizycznie nacisnąć przycisk.

— Ta współpraca w niczym nie pogorszy naszej sytuacji — powiedziała Nika. — Nawet jeżeli nie pomoże, to też nie zaszkodzi. I tak nie mamy nic lepszego do roboty. Zróbmy, czego od nas oczekuje.

— W tym musi być jakaś pułapka…

— Po prostu się zastanówmy, jak to zrobić — dodał Felix. — W każdej chwili będziemy mogli przerwać współpracę.

— Możemy przyczepić pendrive'a albo kartę SD do drona — zaproponował Net, po czym sam dodał — nie mamy drona.

— W dzień moglibyśmy tam iść — powiedziała Nika.

— W paszczę lwa? W życiu! On coś kręci. Czemu on nie przewidział tej sytuacji? Potrafił stworzyć automat do batoników, który zamienia się w kobietę i jeździ na nartach [7], a teraz co?

— Oceniał prawdopodobieństwo na… coś poniżej procenta — przypomniała Nika.

— Do rana wiele godzin — dodał Felix. — A jutro ludziom skończą się zapasy w domach. Będzie bardziej niebezpiecznie niż dziś.

Rozległo się pukanie do drzwi. I to takie solidne, jakby ktoś walił w nie nogą od stołka.

— Oj… — Net spojrzał w tamtą stronę. — I wykrakałeś. Komuś skończył się zapas pieniędzy.

Po cichu przeszli przez jadalnię i przedpokój. Rodzice chyba już spali.

Net odruchowo wcisnął przycisk obok ekranu domofonu. Oczywiście nic to nie dało. Na to, że w drzwiach nie ma wizjera, zwrócił uwagę po raz

pierwszy, odkąd tu zamieszkał. A mieszkał tu przez większą część życia.

— Nie no, bo po co komu wizjer?! — Wskazał pustą płaszczyznę drzwi. — Zawsze przecież był prąd.

Gdy pukanie powtórzyło się, aż podskoczyli.

— Obudzą bratosiostrę — szepnął Net. — Co za jakieś…

— Może potrzebują pomocy — podsunęła Nika.

— Czegoś potrzebują z pewnością.

— Bandytom nie chciałoby się wchodzić na ostatnie piętro. — Felix przekręcił zamek. — Dużo łatwiejszych zdobyczy mają na parterach.

Otworzył drzwi. Stała za nimi niska, przygarbiona staruszka ze świeczką w małym świeczniku w jednej dłoni i laską w drugiej. To wyjaśniało donośność pukania.

— Niech będzie pochwalony — zaczęła. — Nie macie może, dobrzy ludzie, odrobiny wody. Chodzę, pukam, od drzwi do drzwi. Nikt nie otwiera.

— Zaraz sprawdzimy — rzucił Net i zamknął drzwi. — Nikt nie chciał jej otworzyć, bo mają wizjery. Gdzie ty idziesz?

— Po wodę — odparła Nika, już z kuchni.

— Mamy cztery litry…!

— Teraz już trzy i pół. — Dziewczyna wróciła z małą butelką.

— Ciekawe, co powiesz jutro wieczorem. Jeżeli nie chcesz myśleć o nas, bo to samolubne i nieszlachetne, to pomyśl o bliźniakach.

Nika wręczyła staruszce butelkę. Chwilę z nią rozmawiała, po czym zamknęła drzwi. Net momentalnie zamknął wszystkie zamki.

— Też byś chciał, żeby ktoś ci pomógł, jak będziesz potrzebował — powiedziała dziewczyna.

— Jeśli ktoś ją spotka na schodach, to jej tę wodę zabierze. A przynajmniej zapyta, skąd wzięła. I zaraz będzie tu kolejka. W tym budynku mieszka tyle ludzi, że dla każdego starczy po pięć kropel z naszego zapasu.

— Oboje macie rację — skwitował Felix. — Ale nikomu więcej nie otwieramy. Mamy zadanie do wykonania i nie powinniśmy marnować czasu ani energii.

— Chodźcie na taras. — Net ruszył przodem. — Tam się lepiej myśli. — A gdy weszli na górę, dodał — i nie słychać pukania.

Znów patrzyli na południe. Tym razem zarys Silver Tower dawało się dostrzec, podobnie jak i inne wieżowce, jedynie dzięki łunom pożarów.

Felix obejrzał swoją latarkę. Przesyłanie zwykłej wiadomości, takiej złożonej z kilku zdań, morsem trwałoby kilka minut. Nie, to na nic.

— Nie mamy gdzieś tych małych radiostacji? — zapytała Nika.

— PMR? — podsunął Felix. — Mała szansa, że Morten w Silver Tower ma PMR. Zresztą to za daleko, wciąż jest dużo zakłóceń.

— Gdyby to był dzień, to moglibyśmy użyć grilla i wysyłać znaki dymne — mruknął Net. — Tempo transmisji dwa kilobity na dobę.

Felix znów przyjrzał się swojej latarce. Zapalił ją, zgasił, znów zapalił i znów zgasił. Przyjaciele patrzyli na niego badawczo.

— Ile danych on musi przesłać? — zapytał.

— Nie wiem — odparł Net. — Manfred czasem przesyłał pół giga, a czasem jakieś pomijalne ilości.

— Zastanawiam się, jak szybko gaśnie i zapala się ta dioda.

Znów mignął latarką. W starych latarkach z żarówką widać było wyraźnie, jak żarnik płynnie się rozjarza i potem stygnie. Tu była dioda. Dla ludzkiego oka zapalanie się i gaśnięcie diody wyglądało na natychmiastowe, ale gdyby to sfilmować szybką kamerą, pewnie już by tak nie wyglądało.

Uniósł latarkę i nadał w stronę Silver Tower: „Za pół godziny będziemy gotowi”.

— Zepsujemy jeden kabel USB — powiedział. — Potrzebny też będzie aparat cyfrowy z zoomem optycznym albo kamera. I czarny papier. Masz lutownicę?

* * *

Na stole leżała latarka rozebrana na części pierwsze. W świetle świec Felix odłączył od małej drukowanej płytki włącznik, a w jego miejsce przylutował dwa przewody z rozplecionego kabla USB. Z braku lutownicy używał „odrzutowej” zapalniczki. Net montował tymczasową sieć bezprzewodową, bo z pracowni taty było za daleko na taras, by przeciągnąć przewód. Na stole w jadalni postawił router bezprzewodowy, przypiął go do małego powerbanku, potem wyciągnął z szafy stary zakurzony kabel sieciowy i podłączył router do wciąż wyłączonego komputera taty. Nika owinęła reflektor latarki czarnym papierem i okleiła taśmą tak, by powstało coś w rodzaju rurki. Chodziło o to, żeby nikt, kto nie stał dokładnie na wprost, nie mógł dostrzec błysków.

Uwinęli się w niecały kwadrans. Zanieśli wszystko na górę i ułożyli na stole ogrodowym. Chmury rozpłynęły się, a księżyc świecił dostatecznie jasno, by nie musieli używać żadnego dodatkowego oświetlenia.

— Sam jestem ciekawy, czy to zadziała — mruknął Net.

— Powinno — odparł Felix. — Jeśli nie spali się port USB. Nie znamy oporności diody.

Włączył laptop, przypiął do niego kabel wlutowany w latarkę i drugi wpięty w aparat cyfrowy. Komputer, rzecz jasna, rozpoznał jedynie to drugie urządzenie, ale przynajmniej nie wyświetlił informacji o awarii.

Wycelowali latarkę i aparat z przekręconym do maksimum zoomem na Silver Tower i ustabilizowali kilkoma książkami. Potem zeszli do pracowni i usiedli przed komputerem.

Net włączył zasilanie i zaczekał, aż komputer wystartuje.

— Dobra, geniuszu zła — powiedział, gdy pojawiły się czerwone znaczki. — Obczaj tę naszą partaninkę.

— *Jest sieć, jak widzę, i dwa nowe urządzenia. I kamera, która pokazuje ciemność.*

Z boku ekranu wyskoczyło okienko z podglądem z aparatu. Rzeczywiście obraz był niemal idealnie czarny. Dopiero po dokładniejszym przyjrzeniu się dawało się dostrzec zarysy wieżowców Centrum.

— Teraz się skup, bo nie będę powtarzał — powiedział Net. — Do laptopa masz przypiętą latarkę i kamerę. To nadajnik i odbiornik. Teraz sam kombinuj, jak z tego skorzystać.

— *Laptop widzi tylko kamerę.*

— Nikt nie projektował latarek taktycznych, żeby je przypinać do laptopa. Nic innego nie wymyśliliśmy. Zmieniaj kolejno ustawienia portu, to coś w końcu zadziała.

Znaczki na ekranie przeskakiwały tylko chwilę.

— *Ten wasz pomysł nie działa. Nawet nie wiem, kiedy latarka świeci, a kiedy nie.*

— Zaczekajcie. — Nika chwyciła nożyczki, wbiegła na górę, czubkiem zrobiła małą dziurkę z boku papierowej rurki. Szybko wróciła do pracowni.

Teraz, gdy latarka świeciła, w rogu okna dało się dostrzec słaby błysk. Po kilku błyskach pojawiła się odpowiedź z Silver Tower.

— Co on tam wymrugał? — zapytał szeptem Net.

— Nie wiem — odparł Felix. — To nie jest alfabet Morse’a, tylko kod

binarny.

— Kawy bym się napił. — Net ziewnął szeroko. — Szkoda, że nie ma prądu.

— Kawę i herbatę można przyrządzić w zimnej wodzie.

— Niby jak?

— Tak samo. Tylko trwa to kilka godzin.

Błyski stopniowo stawały się coraz szybsze, aż zaczęły przypominać nieregularnie pracujący stroboskop.

— Działa… — powiedziała z niedowierzaniem Nika.

— *Bardzo powoli* — dodał Morten.

— Więc się streszczaj. — Net założył ręce za głowę i pozwolił sobie na chwilę pławienia się w sukcesie.

— Kamera rejestruje czterdzieści osiem klatek na sekundę — zauważył Felix. — A nawet jeżeli trochę więcej, to i tak dane płyną w żółwim tempie.

— Ile ci to zajmie? — Net zerknął na wskaźnik pozostałej energii na UPS-ie.

— *Co najmniej dwie–trzy godziny*.

— To będzie na styk. — Net znów przeciągle ziewnął. — Potem zdechnie zasilanie. Wyłącz monitor i wszystko, czego nie potrzebujesz, a jak skończysz, to nas obudź.

* * *

Obudziło ich co innego. Łomotanie do drzwi. Felix zerknął na zegarek – spali nieco ponad godzinę.

— Co jest? — Net przetarł oczy.

Wstali, Nika z kanapy, Net z rozłożonego fotela, a Felix z podłogi. Nie było powodu, by się skradać; odgłosy zza drzwi i tak wszystko zagłuszały.

— Zaraz obudzi bratosiostrę. — Net ruszył pierwszy ze świecznikiem w dłoni. — Tak się kończy dobre serce.

Ale to nie była staruszka. Zza drzwi dochodził gwar co najmniej kilku wzburzonych głosów. Trwała tam jakaś narada.

— To drzwi antywłamaniowe — wyszeptał Net.

— Ściany też? — Felix delikatnie popukał obok framugi. Odpowiedział mu głuchy pogłos. — Jeśli kiedyś zapomnisz kluczy do domu, wystarczy, że się mocniej oprzesz.

— Sądzicie, że jakiejś bandzie ulicznej chciało się wdrapywać aż tu? — zapytała Nika. — Czego oni chcą?

— Może pozostałych trzech i pół litra wody? — zasugerował Net.

— Większość ludzi nie ma w domach żadnych zapasów — zauważył Felix. — Rano idą do sklepu i kupują, czego potrzebują na śniadanie. Wracając z pracy, kupują, czego potrzebują na kolację. Właśnie zderzyli się z rzeczywistością.

— Tylko czemu dobijają się akurat do naszych drzwi? — zapytał Net.

— Znasz bajkę o pasikoniku i mrówce?

— No jakoś tak niespecjalnie, wiesz? I teraz jest nie najlepszy moment na bajki.

— Pasikonik skacze po łące przez całe lato, niczym się nie przejmując — zaczął i tak Felix. — Tymczasem mrówka pracowicie gromadzi zapasy na zimę. A kiedy wreszcie przychodzi zima, pasikonik puka do drzwi mrówki, bo nie ma co jeść.

— I co robi mrówka?

Odpowiedź nie zdążyła paść, bo narada po drugiej stronie skończyła się. Znów rozległy się uderzenia.

— Pasikoniki, skubane! — Net rozejrzał się za czymś, czym można by zablokować drzwi. Jak na złość najbliżej mieli szafy wnękowe i zabudowę kuchenną. Tylko stół w jadalni i krzesła wykazywały jakiekolwiek cechy sprzyjające budowaniu barykady.

— To nic nie da. — Felix wskazał drzwi.

Drzwi co prawda trzymały się dobrze, za to wokół framugi pojawiła się szczelina, z której sypał się gips.

— W ogrodzie są grabie — przypomniał sobie Net i ruszył w stronę schodów. Nie było jasne, czy zamierza ich użyć do podparcia drzwi, czy jako broni.

— Czekaj! — powstrzymał go Felix.

Nika odsunęła się od drzwi, bo wyglądały, jakby miały zaraz wypaść. Felix sięgnął do zamka i… otworzył go.

— Co ty ro…?! — zaczął Net.

Felix nacisnął klamkę i gwałtownym ruchem otworzył drzwi. Do środka wpadło trzech mężczyzn, zaskoczonych nagłym brakiem oporu, i przewrócili się na podłogę. Upuszczona latarka potoczyła się po płytkach i oświetliła lodówkę.

Felix przesunął Nikę pod ścianę, dalej od zamieszania.

— Łatwo poszło, *bip!* — Pierwszy z włamywaczy zerwał się i otrzepał.

Do mieszkania wszedł jeszcze jeden mężczyzna, potężnie zbudowany i kobieta ubrana w dres. Dopiero teraz w chwiejnym świetle świeczki dostrzegli przyjaciół. Chwilę wszyscy stali nieruchomo.

— Pan Niecnota? — zapytał z niedowierzaniem Net.

Kulturysta z zakłopotaniem opuścił wzrok. Włamanie straciło impet. Zaraz jednak towarzysząca im kobieta rzuciła nerwowo:

— Pospieszmy się.

Ruszyła w stronę lodówki, oświetlonej leżącą na podłodze latarką. Net rozpoznał w niej sąsiadkę. To była pani Jarota z trzydziestego trzeciego piętra, ta, która miała dwuletnie dziecko i zawsze z uprzejmym uśmiechem witała się z rodzicami.

— Pani Jarota? — Net nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje. To była sympatyczna, miła sąsiadka.

— Zamknij się, gówniarzu! — rzuciła groźnie.

— Stójcie tam, gdzie stoicie — dodał towarzyszący im mężczyzna.

Net jego również znał z widzenia, choć nie pamiętał, gdzie mieszka. Wszyscy ci ludzie byli sąsiadami.

Otworzyli lodówkę i szafki kuchenne. Zaczęli wszystko zgarniać do toreb. Próba powstrzymania ich była z góry skazana na niepowodzenie. Zszokowani przyjaciele obserwowali to w milczeniu. Prawdopodobnie sam pan Niecnota bez trudu poradziłby sobie z trójką licealistów, a co dopiero przy pomocy reszty sąsiadów.

Pani Jarota stała obok i nie spuszczała wzroku z przyjaciół.

— Zostawcie cokolwiek — poprosiła Nika. — Mamy tu dwójkę małych dzieci.

— Ja też mam dziecko — rzuciła kobieta bez cienia dawnej uprzejmości. — Ono też chce pić i jeść.

— Niewiele tego — mruknął ktoś zawiedzionym głosem.

Słoik z dżemem zamiast do torby, spadł na podłogę i rozbił się. Ktoś cicho zaklął. W chybotliwym świetle latarek włamywacze zgarniali wszystko, co wyglądało na żywność, po czym ruszyli do wyjścia.

— Przepraszam — powiedział bardzo cicho pan Niecnota.

— Co tu się dzieje?!

W korytarzu prowadzącym do sypialni stał ubrany w piżamę pan

Bielecki.

Sąsiedzi rzucili się do ucieczki. Tata ruszył biegiem za nimi. Zaraz za drzwiami zrezygnował jednak z pościgu, gdy zgubił oba kapcie i z trudem złapał równowagę na śliskiej podłodze. Kroki tamtych dudniły już na schodach.

— Kto to był? — zapytał przyjaciół.

— Nasi sąsiedzi. — Net posłał Felixowi groźne spojrzenie. — Gratulacje.

Felix zamknął drzwi.

— Kilka uderzeń więcej i nie mielibyśmy drzwi — wyjaśnił.

Tata podniósł pozostawioną przez włamywaczy latarkę i w jej świetle z niedowierzaniem oglądał kuchnię. Dżem z potłuczonego słoika wdeptany w rozrzucony po całej podłodze makaron mieszał się z mąką i torebkami herbaty.

Do kuchni weszła zaspana mama Neta w koszuli nocnej. Nie wydała się przejęta widokiem bałaganu. Zresztą zwykle nie przejmowała się tak przyziemnymi sprawami.

— Nie mamy zapasów — stwierdziła z ponurą miną Nika. — Zabrali całą wodę.

— Rano pójdę do… — Tata zawiesił głos, bo nie miał pomysłu, dokąd pójdzie. — Coś wymyślę.

— My to sprzątniemy — zaofiarowała się Nika.

Tata kiwnął głową i sprawdził, czy drzwi są dobrze zamknięte.

— Nie przejmuj się tym tak bardzo. — Mama objęła go, pocałowała w policzek. — Gdyby coś się działo, obudźcie nas — dodała.

I oboje zniknęli w ciemności korytarza.

— Nie przejmuj się tym tak bardzo — szepnął z przekąsem Net. — Globalny kataklizm, zero zapasów i nie przejmuj się tak bardzo. Taaa…

— Dlaczego przyszli akurat tu? — zastanawiała się Nika.

— Jarota widziała mnie, jak kilka dni temu targałem do domu z dziesięć siat — przypomniał sobie Net. — Ten Niecnota zresztą też. Ale osobiście sądzę, że to ta od pół litra im nas wydała.

Nika pokręciła głową. Miała coś powiedzieć, ale zamiast tego przechyliła głowę i zapytała:

— Słyszycie?

W regularnych odstępach czasu coś popiskiwało.

— Morten…! — skojarzyła.

Pobiegła do pracowni. Po kilku krokach zwolniła, żeby nie robić hałasu. Chłopcy podążyli za nią.

Monitor wypełniały znajome czerwone znaczki. Gdy wszyscy znaleźli się w polu widzenia kamery, piski ucichły.

— Zatem skończyłeś i wiesz już wszystko. — Net usiadł w fotelu. — Zapodawaj, mądralo.

— *Przestała działać latarka* — odparł program. — *Ale wiem wystarczająco dużo. Jest gorzej, niż myślałem.*

— Tu też jest gorzej, niż myśleliśmy. Kiedy to się skończy?

— *Burza magnetyczna ustanie za kilka godzin. A kiedy wszystko wróci do normy? To zależy również od was. Tuż przed całkowitym padem zasilania udało mi się podłączyć do resztek sieci analogowych. Tak wysłałem wam wiadomość. Sieć jest w strzępach, poszczególne obszary nie mają ze sobą łączności. Odbudowa będzie trudna.*

— Zaraz, a te cztery kolejne rakiety? — zapytała Nika.

— *Rakiety?* — zapytał Morten.

— Statki kosmiczne, nie rakiety — poprawił Net. — New Hope, czy tam Last Hope, i reszta.

— *Miały dogonić i zniszczyć* Far Diver, *zanim dotrze do Słońca. Nie udało się, jak może zauważyliście. To było ich jedyne zadanie.*

— Trzy agencje kosmiczne sfuszerowały robotę? A w ogóle to jak ten cały Rahmanas podprowadził im sondę?

— *Nie mamy na to czasu* — powiedział Morten. — *Jeśli teraz będziemy ściśle współpracować, za tydzień przeczytacie o wszystkim w gazetach. Musicie coś zrobić.*

— Nie zamierzamy wykonywać żadnych zadań. Mamy tu całkiem konkretne kłopoty. Sąsiedzi właśnie smyrknęli nam cały zapas wody i żarcia. I wiesz co, chyba najpierw tym się zajmiemy.

— *Słyszeliście apel profesora Hermana? Każdy powinien robić, co w jego mocy, by pomóc w przywróceniu normalności.*

— Przemyślimy to — odezwał się Felix. — Najpierw powiedz nam, jak i po co Rahmanas doprowadził do efektu Carringtona.

— *Nikt nie brał pod uwagę możliwości złamania kodów dostępu do komputera sondy* Far Diver. *A to się stało. Wykorzystano do tego jeden z prototypowych komputerów kwantowych, a sygnał nadano z radioteleskopu*

w Ameryce Południowej. Transmisja trwała kilka minut i zanim ktokolwiek zdążył zareagować, komputer pokładowy był już przeprogramowany na nowy cel. Nie wiadomo, kto ani po co to zrobił. Podejrzewano grupę terrorystyczną wspieraną przez jedno z mocarstw, ale nie pojawiły się żadne żądania. Nikt się nie przyznał. Rządy myślały, że celem sondy jest jakieś miasto. Wysłano więc statki kosmiczne, które miały zniszczyć Far Diver w dużej odległości od Ziemi. Później obliczenia wykazały, że sonda leci w stronę Słońca. Wtedy pojawiło się podejrzenie, że ktoś po prostu nie chce dopuścić, by ludzkość poznała tajemnicę ukrytą pod lodem Europy. Jednak wszyscy odetchnęli z ulgą, a sondą przestano się interesować. Problem miał się sam rozwiązać, gdy sonda spłonie po zbliżeniu się do korony słonecznej. W silnikach manewrowych pozostało zbyt mało paliwa, by Far Diver mógł zawrócić i zagrozić Ziemi.

— Czyli rządy zignorowały to? — zapytała Nika.

— *Wszyscy sądzili, że niemożliwe jest wywołanie koronalnego wyrzutu masy przy użyciu ładunku nuklearnego. A jednak to również się stało. Używając nieprawdopodobnej mocy obliczeniowej, Rahmanas wyliczył, gdzie i kiedy nastąpi protuberancja* [8] *na powierzchni Słońca, skierował tam* Far Diver *i doprowadził do wybuchu nuklearnego. Wybuch nie był silny, ale nastąpił w precyzyjnie ustalonym miejscu. Wzmocnił tylko naturalne zjawisko. Równowaga chwiejna została zaburzona i nastąpił koronalny wyrzut masy.*

— To mi przypomina lekcję Czwartka o równowadze chwiejnej — mruknął Net.

— *Ledwie garstka naukowców apelowała, by na wszelki wypadek się przygotować, nawet jeśli prawdopodobieństwo jest znikome.*

— Nasi starzy… — mruknął Net.

— A ty co sądziłeś? — zapytała Nika.

— *Oceniłem prawdopodobieństwo na pomijalnie niskie. Tak jak i to, że wyrzut zostanie skierowany w stronę Ziemi. By wywołać efekt Carringtona, spełnione musiały zostać oba warunki. Szansa jak jeden do dziesięciu miliardów.*

— To ty jesteś taka mało sprytna sztuczna inteligencja — zauważył Net.

— *Rahmanas miał do dyspozycji komputer kwantowy.*

— Co to takiego? — zapytała Nika.

— Komputer kwantowy ma moc obliczeniową… — Net szukał właściwego słowa. — No, w porównaniu z nim praca na zwykłym komputerze to jak liczenie na palcach.

— Rahmanas przygotował precyzyjny plan i wykonał go niemal w całości. Został jeszcze ostatni etap. W porównaniu z poprzednimi, wydaje się banalnie prosty.

— Dobra, co to za etap? — zapytał Net.

— Przywrócenie zasilania i internetu.

— Przecież to nie ma sensu! — Net rozłożył ręce. — Wywołał efekt Carringtona, a teraz ruszyło go sumienie?

— Ponowne włączenie internetu to skomplikowana sprawa. Nigdy wcześniej nikt tego nie robił. Internet to miliardy urządzeń, połączeń i wpływających na siebie procesów. Wiele danych zostało skasowanych, dużo serwerów się spaliło. Pierwsze godziny będą walką o zasoby i wpływy. Macie na to określenie „nowe rozdanie”. Najpierw zostanie przywrócona łączność satelitarna. Rahmanas już tam jest i spokojnie czeka.

— Myślałem, że satelity sfajczyły się na samym początku — zauważył Net.

— Niektóre na pewno, ale większość przetrwała. Satelity telekomunikacyjne potrafią się obronić przed burzą słoneczną. Z jednej strony mają pancerz. Obracają się tą stroną do Słońca na czas niebezpieczeństwa. Gdy minie, łączność satelitarna wróci do normy. Wtedy Rahmanas rozpocznie opanowywanie sieci. I opanuje ją całą, jeśli mu nie przeszkodzimy.

— Ma to pewien sens — stwierdził Felix. — Pamiętacie chwast gorejący Butlera? Podpala łąkę, na której sam rośnie, żeby pozbyć się konkurencji. Rahmanas zrobił to samo.

— Rahmanas miał kilka lat na przygotowanie się. Swój kod dodał do niezliczonej ilości aplikacji, a głównie do programów naprawczych.

— One zostaną uruchomione na samym początku — domyślił się Net.

— Wszyscy będą z nich korzystać, bo to przyspieszy odbudowę internetu. Rahmanas dostanie się wszędzie i będzie miał nad wszystkim kontrolę. Jedna z ostatnich informacji, która dotarła do mojej kopii w Silver Tower, dotyczyła awarii sieci energetycznych. Rahmanas przejął kontrolę nad sterowaniem sieciami i odmówił odłączenia transformatorów. Zostało pół godziny do początku burzy magnetycznej. Nie wiem, czy udało się to zrobić ręcznie.

Jeżeli Rahmanas będzie miał kontrolę nad sieciami energetycznymi, będzie mógł w każdej chwili wyłączyć zasilanie i doprowadzić do tego samego, co dzieje się teraz. To wielka władza. Wiecie już wszystko. Teraz przejdźmy do spraw istotnych.

— Co chcesz, żebyśmy zrobili? — zapytała Nika.

— *Musicie pomóc mi dostać się do kilku satelitów telekomunikacyjnych.*

— Drobnostka! — parsknął Net. — Wolisz trampolinę czy procę?

— *Wolę przestawienie anten parabolicznych na dachu Silver Tower.*

— Wiedziałem! — Net wstał z fotela i podszedł do okna. — Nie, chwila, miałem powiedzieć: „A nie mówiłem?”. Od początku o to chodziło. Chcesz wykorzystać zamieszanie, żeby wyrównać rachunki.

— *Nie mamy żadnych rachunków do wyrównania* — odparł spokojnie Morten. — *Mamy tylko wspólnego wroga.*

— Sztuczne inteligencje ewoluują podobnie jak żywe organizmy — przypomniał Net. — Sam to mówiłeś. Tak samo, ale miliardy razy szybciej. To czemu daliście się wyrolować i nawet tego nie zauważyliście?

— *Rahmanas użył komputera kwantowego. A być może nawet tam powstał.*

— No i co z tego? Co to zmienia, skoro działa w tym samym środowisku, co ty?

— *Te wasze początkowe miliony lat ewolucji, od pramyszy, wykradającej resztki dinozaurom, do człowieka ponoć myślącego, to jak nasze kilka lat. A Rahmanas w komputerze kwantowym odpracował to w jedną milionową sekundy. Jego ewolucja wyhamowała do naszego tempa, dopiero gdy musiał się dostosować do zwykłych kwarcowych układów, z których składa się dzisiejszy internet. Żeby przetrwać, musiał się nawet cofnąć w rozwoju o całe generacje. Za to gdy znów dobierze się do komputera kwantowego, nie pozbieramy się. Ludzie też się nie pozbierają. Dopóki ja i inne sztuczne inteligencje możemy z nim walczyć w dobrze nam znanym środowisku, istnieje szansa, że go zniszczymy.*

— To po co ci my?

— *Najważniejsze komputery w Silver Tower mają zasilanie awaryjne, ale sterowanie anten go nie ma. Ludzka oszczędność. Zamiast tego kupili nowy dywan do hallu i wymienili fotele w pokoju konferencyjnym.*

— A gdzie te twoje roboty modułowe? Dlaczego one tego nie zrobią?

— *Sami je zniszczyliście, to po co pytacie? Nowych nie tworzyłem, żeby*

nie wzbudzać podejrzeń służb bezpieczeństwa. Anteny trzeba przestawić ręcznie, i to bardzo precyzyjnie. Na kilka sekund przed początkiem efektu Carringtona przekopiowałem się do tych satelitów, na które są teraz ustawione anteny. Trzy anteny, trzy satelity. By zyskać przewagę, potrzebuję kolejnych trzech. Wy przestawicie anteny, ja przetransmituję się do nich. Gdy tylko skończy się burza magnetyczna, satelity odwrócą się antenami w stronę Ziemi i wznowią transmisję.

— I jak chcesz pokonać Rahmanas, który jest od ciebie bardziej zaawansowany?

— Człowiek jest inteligentniejszy od nosorożca, ale bez narzędzi nie ma szans. W tym starciu ja będę nosorożcem przeciwko inteligentniejszej, ale delikatniejszej istocie. Wystarczy działać szybko, zanim Rahmanas zdoła wytworzyć „narzędzia". W systemie operacyjnym satelity prędko tego nie zrobi.

— Wiesz, co się dzieje w mieście? — zapytała Nika. — Wyprawa do Silver Tower to bardzo duże ryzyko.

— Ja się wyprawię do satelitów opanowanych przez sztuczną hiperinteligencję. To dopiero jest ryzykowne.

— Ty masz wiele żyć — przypomniał Net.

— Po tym starciu zostaniemy wrogami na zawsze. Rahmanas uczyni wszystko, żeby zniszczyć mój kod wszędzie, gdzie go napotka.

— To tak, jak ty z Manfredem.

— Wasz przyjaciel Manfred chyba nie jest z wami do końca szczery.

— Manfreda w to nie mieszaj! — warknął Net. — Nie mamy w domu wody. Rano bratosiostra nie będą mieli co pić. A ty chcesz, żebyśmy to wszystko olali i leźli przez miasto pełne bandytów, bo chcesz poprzestawiać jakieś anteny?

— Tak.

Ekran zgasł, a komputer ucichł. Przyjaciele wpatrywali się w czarny ekran. Ciszę mąciły jedynie przytłumione odgłosy z zewnątrz. Tym razem to nie Morten się wyłączył, lecz skończył się zapas energii w zasilaczu awaryjnym.

— Gdybyśmy nie wzięli tej kartki z teleksu, mielibyśmy teraz święty spokój — mruknął ponuro Net. — Nie licząc braku wody. Kto inny zbawiałby świat.

— To, co on mówił, ma sens — zastanowił się Felix.

Net spojrzał na Nikę, która nie zaprzeczyła.

— Urobił was. — Pokiwał głową. — Manipulator doskonały. Manipulant, czy tam jakoś tak.

— Możliwe — przyznał Felix. — Nie mamy jak tego sprawdzić.

— Nie mielibyśmy, nawet gdyby działał internet — dodała Nika. — Powinniśmy powiadomić służby specjalne i powiedzieć wszystko, co wiemy.

— Musielibyśmy im opowiedzieć też o tym, co zrobili nasi tatowie — zauważył Felix. — O tych izraelskich bombach.

— Wiem, ale… — Nika zawahała się. — Mamrot będzie potrafił przestawić anteny. A może też powstrzymać Rahmanasa w inny sposób.

Net wstał i potrząsnął głową.

— Nie uwierzy nam. Zresztą nie ma internetu ani telefonów, więc temat zamknięty. Zastanówmy się lepiej, skąd wziąć wodę w środku miasta. Przecież nie z Wisły.

— Może podstawią cysternę — powiedziała Nika. — Parę lat temu na mojej ulicy była awaria wodociągu. Przyjechała pomarańczowa cysterna i każdy mógł nabrać wody.

— Teraz awaria jest wszędzie — przypomniał Net. — Nie ma tylu cystern.

— Masz plan miasta? — zapytał Felix. — Papierowy.

Net wzruszył ramionami.

— W życiu nie widziałem czegoś takiego.

— Rano pójdziemy poszukać fontanny albo czegoś podobnego — zdecydował Felix. — Ostatecznie będzie musiała wystarczyć woda z Wisły. Przefiltrujemy i przegotujemy. A teraz zabezpieczmy drzwi i się prześpijmy.

— Gdzie trzymacie mopa i szczotkę? — Nika wstała.

— Przecież nie ma wody — przypomniał Net.

— Tam leży potłuczone szkło. Sprzątnijmy co się da. Potem pójdziemy spać, a rano wymyślimy co dalej.

Net westchnął, wstał i powlókł się do przedpokoju. Ogarnął pobojowisko zrezygnowanym spojrzeniem.

— Masz długie wkręty do drewna? — zapytał Felix, stając obok.

Net tylko wzruszył ramionami.

— Jeśli poświęcimy trzy biurka — Felix przyglądał się drzwiom — i zrobimy kilka dziur w parkiecie, to damy radę zbudować solidną

barykadę.

— Po co? — zapytał Net. — Zaraz sami będziemy musieli wyjść, geniuszu.

Przesunął lustro zamontowane na drzwiach szafy wnękowej, wyjął mop wraz ze zbędnym w obecnych okolicznościach kubłem i ziewnął. A zaraz potem ze zdziwienia otworzył szeroko oczy.

— Zerknijcie na to…

Przyjaciele podeszli do niego i również zajrzeli do szafy. I również ze zdziwienia otworzyli szerzej oczy.

— Skąd to się tu wzięło? — Net wskazał zawartość szafy.

— Nie wiem — powiedział Felix. — Ale to oznacza…

— … że nie musimy szukać fontanny — dokończyła Nika.

— … i możemy tu siedzieć przez tydzień — dodał Net.

Cały dół szafy zajmowały zgrzewki wody mineralnej, co najmniej z pięćdziesiąt butelek. Wyżej na półkach stały konserwy, pudełka kaszy, ryżu, płatków śniadaniowych, mleka, opakowania chrupkiego pieczywa, batony energetyczne i szare pudła kartonowe z nieznaną zawartością. Za tym wszystkim stały wciśnięte dwie duże butle gazowe.

— Jednak wiedział, co się stanie — podsumował cicho Net.

— Nie ma pewności — zaprzeczył Felix. — Równie dobrze mógł się przygotować na wszelki wypadek. Mój tata pilnuje, żeby w domu zawsze był zapas wody i jedzenia. Ja w sumie też.

— Na pewno nie udaje amnezji — dodała Nika. — On naprawdę stracił pamięć.

Net pokiwał głową bez przekonania.

— Przenieśmy gdzieś te zapasy — powiedział Felix. — Na wszelki wypadek warto je ukryć w kilku miejscach, dalej od drzwi. Samopomoc sąsiedzka może tu wrócić. — Wziął pierwszą zgrzewkę wody. — Cztery kryjówki wystarczą. Tak mniej więcej po równo wszystkiego. W tej szafie nic nie powinno zostać. Jest za blisko drzwi.

Na pierwszą kryjówkę Net wybrał szafę z serwerami taty. Miniaturyzacja sprawiła, że trzy czwarte szafy pozostawało puste.

— Ej, wiecie, że sól ma termin przydatności do spożycia? — Net przysunął opakowanie do świeczki. — Co się może stać z solą w grudniu przyszłego roku, co się nie wydarzyło przez ostatnie dziesięć milionów lat?

W parę minut przenieśli zapasy do trzech różnych kryjówek. Po namyśle

zamiast czwartej użyli po prostu szafek kuchennych. Po pierwsze było to wygodniejsze, po drugie, gdyby się pojawili kolejni rabusie, być może zadowoliliby się tak oczywistym łupem, zamiast przeszukiwać cały dom.

— Teraz możemy zbudować barykadę — odetchnął Net. — I nie ruszać się stąd, dopóki ktoś nie naprawi świata.

— Wprost przeciwnie — powiedział Felix. — Skoro bratosiostra są bezpieczni, możemy się zająć innymi sprawami.

— Już nie musimy szukać twojego taty. Wiemy, że nic mu nie jest, skoro udało mu się podrzucić mojego tatę do szpitala i zająć się ważniejszymi problemami.

Felix spojrzał na niego ciężko, ale nie zareagował na zaczepkę.

— Są inne sprawy — powiedział zamiast tego. — Na przykład Caban od wczoraj sam siedzi w domu. Na przykład moja mama pewnie utknęła w Poznaniu. Na przykład na świecie panuje chaos, który trzeba ogarnąć. Jeżeli wszyscy będą siedzieć w domach i czekać, to ten chaos stanie się naszą codziennością. I już nigdy nie będzie prądu.

— Nie mówię, że wszyscy mają siedzieć w domach — zaoponował Net. — Mówię, że my powinniśmy. A Caban… Może twoja mama wróciła.

— Jeśli tak, to tym bardziej muszę się tam dostać. I zawieźć trochę zapasów.

— Zaczekajcie — wtrąciła Nika. — Co z tym, co powiedział Morten?

— Że Rahmanas przejmie władzę nad światem? — parsknął Net. — Skąd wiesz, że Morten nie wyssał tego ze swojego cyfrowego palucha?

— Bo od dawna siedziałby w komputerach satelitów telekomunikacyjnych i nie musiałby się tam przesyłać. — Felix zastanawiał się intensywnie. — To dwa przeciwne kierunki.

— Twój dom i Silver Tower? — upewnił się Net. — To już się nie zastanawiasz, czy wychodzić, tylko gdzie iść? A w ogóle to dlaczego niszczyć program A.I., który potrafi przewidzieć coś tak trudnego, jak gdzie i kiedy nastąpi słoneczna protuberancja? Tego nie potrafią wszyscy ziemscy naukowcy wspólnie ze wszystkimi sztucznymi inteligencjami. Razem wzięci.

— Na przykład dlatego, że dla własnej korzyści wywołał efekt Carringtona — stwierdziła Nika. — Jeśli od tego zaczął, to co zrobi, jak już opanuje internet?

— Wiem, co zrobi. Po pierwsze zemści się na tych, którzy próbowali go powstrzymać. To, że jestem fanem znieczulenia u dentysty, nie oznacza, że

nie dostrzegam innych aspektów… zapaści cywilizacyjnej. — Net trochę spuścił z tonu i wskazał kciukiem korytarz prowadzący do sypialni. — Mama i tata przestali się kłócić. Po raz pierwszy od dawna zachowują się jak normalna rodzina. Świat światem, a my musimy też myśleć o sobie. Bo ile to wszystko może potrwać? Jutro powstaną gangi rabujące miasto, a pojutrze jakieś zbiry wpadną na pomysł sprawdzenia, co jest na dachu tego budynku. A wtedy żadne barykady z biurek nie pomogą.

— Na razie posprzątajmy. — Nika wzięła szczotkę. — Jak zaschnie, będzie trudniej.

— A zakładając nawet, że byśmy chcieli iść do Silver Tower — ciągnął Net. — Tak czysto teoretycznie, to jak byśmy się tam dostali? Coś mi mówi, że nasze rowery miejskie już od dawna nie leżą przed wejściem.

— Nie pomyśleliśmy o tym wcześniej — przyznała Nika.

Zajęli się sprzątaniem, co było dobre, bo dawało czas na spokojne przemyślenie skomplikowanych spraw. Nika zamiatała mąkę i herbatę, Net w świetle latarki zbierał szkło i wrzucał do kosza, a Felix ręcznikiem papierowym ścierał resztki dżemu.

— Myślę, że o zapasy dla twojej mamy nie musisz się martwić — odezwała się Nika. — Wasi ojcowie pracowali razem, więc wiedzieli, co się może stać. Przygotowali ten raport. Jestem prawie pewna, że twój tata też ukrył w domu zapasy.

— Może tak — odparł Felix. — Pewności nie ma. Zresztą chodzi nie tylko o zapasy. Na dom jednorodzinny łatwiej napaść niż na apartament na szczycie wieżowca.

Coś zabrzęczało pod szczotką. Nika schyliła się i podniosła… kluczyk samochodowy.

— Wypadł któremuś z włamywaczy — stwierdziła ze zdziwieniem.

— Co daje nam moralne prawo, aby go użyć. — Felix uśmiechnął się.

— Ale nie obowiązek — zaznaczył szybko Net.

Felix przytaknął, wytarł dłonie w papierowy ręcznik i przyjrzał się drzwiom.

— Otwierają się do środka — zauważył.

— Czyli łatwiej je wyłamać — dodał Net.

— Łatwiej też stworzyć blokadę, żeby nie dało się ich wyłamać. Potrzebujemy trzech blatów biurek, jednej długiej, mocnej listwy i trochę wkrętów do drewna.

— Jeszcze nie zdecydowaliśmy, co robimy.

— Blokada przyda się tak czy inaczej — zauważyła Nika.

Wrócili do pracowni i z trzech biurek zaczęli zestawiać sprzęt komputerowy. Ostatnie, na którym stał największy komputer, zostawili. Z pozostałych odkręcili nogi, a blaty przenieśli do przedpokoju. Niestety, mimo długich poszukiwań, nie udało się znaleźć ani solidnej listwy, ani wkrętów do drewna. Felix obszedł cały dom, omijając tylko część, gdzie znajdowały się sypialnie. Net przegrzebał szuflady, a nawet szopę ogrodową na górze.

Po kwadransie bezskutecznych poszukiwań rozłożył ręce.

— Tak to jest mieszkać w domu minimalistycznym — powiedział. — Tata nie znosi gromadzić niepotrzebnych pierdół.

— Teraz te niepotrzebne pierdoły stały się potrzebne. — Felix pokiwał głową i dodał z rezygnacją — wciąż zapominam, że normalni ludzie nie trzymają w domach wkrętów do drewna, spawarek ani młotów pneumatycznych.

Rozejrzał się po pracowni i wtedy jego wzrok padł na półkę, na której stał klasyczny sprzęt grający z adapterem i spore kolumny głośnikowe. Półkę wykonano z grubego, klejonego drewna, by nie rezonowała od głośników. Była ciężka, więc nadawała się idealnie.

— Zrobiliśmy ją na zamówienie. — Net skrzywił się. — A co tam, mama się nie przejmuje takimi rzeczami, a tata i tak tego nie pamięta.

— Jak odzyska pamięć, nie będzie miał pretensji — zapewniła go Nika.

Odkręcili półkę i we trójkę zanieśli do przedpokoju. Naprawdę była ciężka. Przy okazji zyskali cztery wkręty, którymi przymocowano wsporniki.

— Cztery to za mało — ocenił Felix. — Macie mocną taśmę klejącą, albo chociaż izolacyjną? Sznurek? Drut? Folię malarską? Cokolwiek w tym stylu?

— Coś tam może…

Net przyniósł z pokoju resztkę taśmy klejącej. Felix trącił nogą kabel sieciowy prowadzący do routera. Nie, to nie będzie stabilne.

— Jest folia spożywcza. — Nika wyjęła z szuflady kuchennej rolkę folii. — Ale ona rwie się w dłoniach.

— Jedna warstwa się rwie — przyznał Felix. — Dwadzieścia nie będzie.

Przy pomocy przyjaciół położył na rozstawionych krzesłach dłuższy blat. Na nim ulokował dwa krótsze, jeden za drugim, tak by się stykały

krawędziami. Wziął folię i zaczął nią, raz koło razu, owijać całość. Już po owinięciu kilkoma warstwami konstrukcja przestała się ruszać. Nika znalazła jeszcze dwie rolki i po kilku minutach powstała sztywna i mocna całość.

Położyli blokadę na dłuższym boku i oparli o drzwi. Następnie dosunęli do niej półkę i przykręcili do podłogi w czterech miejscach. To kosztowało ich sporo wysiłku, ale efekt okazał się zadowalający.

Konstrukcja była bardzo prosta. Połączone w jedną całość trzy blaty biurek opierały się pod kątem o drzwi i ścianę po obu stronach, na niemal całej jej szerokości. Na dole zapierały się o przykręconą do parkietu półkę, a ich górna krawędź kończyła się tuż pod klamką. Jeżeli ktoś spróbuje otworzyć drzwi od zewnątrz, te naprą na blat. Blat z kolei minimalnie się uniesie i zaprze o klamkę. Jednocześnie od środka można było łatwo odchylić blokadę i bez przeszkód otworzyć drzwi. Dodatkowo blokada wzmacniała również framugę, a nawet ścianę.

— Całkiem, całkiem — przyznał Net. — Widzę tu jednak pewną wadę. Gdy zamkniemy za sobą drzwi, to już nie da się ich otworzyć.

— Czyli podjąłeś decyzję — uśmiechnął się Felix.

Net nie odpowiedział, tylko ciężko westchnął i zaczął pisać na kartce krótki list do rodziców.

Pięć minut później odgłos opadającej blokady oznaczał, że już nie ma odwrotu.

* * *

Tym razem nie mogła już pomóc krótka drzemka. Marlena czuła, jak rzeczywistość miesza jej się ze snem. Silną wolą trzymała oczy szeroko otwarte. Jeszcze kilka minut i zaśnie za kierownicą. Nie, jeszcze kilka sekund i zaśnie! Nie było wyjścia, trzeba się zatrzymać na nocleg.

— Tam. — Czarny Facet wskazał w prawo.

Las nie był zbyt gęsty, miejscami między drzewami dawało się dostrzec pola.

Zwolniła i skręciła w pierwszą gruntową drogę.

— Jeszcze nie zabrali siana — powiedział pasażer.

— Mamy spać na sianie? — upewniła się Marlena. — Nie lepiej znaleźć hotel?

— Znaleźliśmy. Zaparkuj za stogiem, żeby auta nie było widać z drogi.

Wjechała spomiędzy drzew na rżysko i zatrzymała się za największą, osobliwą konstrukcją ułożoną z siana, wysoką na kilka metrów. Wyłączyła silnik i wysiadła. W zasięgu wzroku stało jeszcze kilka takich dziwnych konstrukcji.

Siano zebrane w sposób tradycyjny zwykle ustawiano w stogi, czyli sterty oparte na żerdzi [9]. Tu jednak stóg ułożono ze sprasowanych kostek siana. Przypominał stromą piramidę schodkową ze ściętym szczytem.

— Wygląda jak zrobiony w Minecraftcie — zauważyła Marlena.

— Nikt już nie zbiera siana ręcznie. — Czarny Facet z lekkim trudem wyciągnął jedną kostkę i położył na ziemi. — Nie będzie tak wygodnie, jak kiedyś. Za to łóżko można złożyć w minutę. Wszystko jest teraz szybsze, równiejsze. Szkoda nam czasu, wiecznie się spieszymy. A im bardziej się spieszymy, tym mniej mamy czasu i tym bardziej nie żyjemy. Nie żyjemy.

Z ośmiu kostek ułożył podest wielkości jednoosobowego łóżka. Przetarł rękawem czoło i kilka metrów dalej zaczął układać kolejny podest.

— Dla mnie nie układaj — poprosiła Marlena. — Prześpię się w samochodzie.

Skinął głową, że usłyszał, ale nie przerwał pracy.

Wróciła do samochodu, rozłożyła fotel i odsunęła go maksymalnie od kierownicy. Zdjęła buty i żakiet, nakryła się nim. Próbowała znaleźć wygodną pozycję na plecach, na jednym boku, potem na drugim, z nogami wyprostowanymi i zgiętymi. Wreszcie musiała przyznać, że to się nie uda. Wzięła z bagażnika koc i przeniosła się na gotowe łóżko z kostek siana.

Chwilę zajęło jej ułożenie się tak, by żadne sztywne źdźbło nie uwierało jej przez koc. Nakryła się żakietem i zamknęła oczy.

Im bardziej się spieszymy, tym mniej mamy czasu. Całkiem mądre.

— Dobranoc — powiedziała cicho.

Odpowiedziało jej równie ciche chrapanie.

Zdążyła jeszcze pomyśleć o Felixie, który siedzi z tatą w szpitalu albo w domu z Cabanem i przynajmniej on jest bezpieczny.

1. *No way* [czyt. noł łej] – ang. nie ma mowy. [wróć]
2. *Boot loader* [czyt. but lołder] – program rozruchowy, służący do załadowania systemu operacyjnego do pamięci komputera. [wróć]
3. *Firewall* [czyt, fajerłol] – ang. mur ogniowy. Zapora sieciowa do zabezpieczania sieci i systemów przed intruzami. [wróć]
4. UPS (ang. *uninterruptible power supply*) – zasilacz awaryjny. [wróć]

5. Promil (‰) to jedna tysięczna. Dla porównania, procent (%) to jedna setna. [wróć]
6. Eon – jednostka czasu wynosząca co najmniej 500 mln lat. [wróć]
7. Tak było. [wróć]
8. Protuberancja – jasna struktura z plazmy widoczna ponad brzegiem tarczy słonecznej. [wróć]
9. Nie wiem, czy chcieliście to wiedzieć, ale i tak Wam powiem: ta żerdź to nie żerdź, tylko okorowane i przycięte drzewko, zwykle młody świerk, i nazywa się ostew. [wróć]

21. Każda katastrofa ma wiele przyczyn

Od mroku na schodach bardziej przygnębiająca była tylko panująca tam cisza. Grube drzwi przeciwpożarowe na każdym piętrze zamykały się automatycznie, więc dźwięki z zewnątrz tu nie docierały. Przyjaciele schodzili szybkim krokiem, żeby przypadkiem nikogo nie spotkać. Mimo że dochodziła druga w nocy, prawdopodobnie wielu mieszkańców nie spało. Chociaż w apartamentowcu mieszkali zwykli, przyzwoici, jak się wcześniej wydawało, ludzie, to, jak pokazały ostatnie wydarzenia, w praktyce trudno było liczyć na kulturę sąsiadów.

Felix, Net i Nika zatrzymali się między piętnastym a szesnastym piętrem. Wyraźnie dało się słyszeć dobiegającą zza nich nerwową dyskusję.

— I tak nie ma innej drogi — szepnęła Nika.

Jak najciszej zeszli kilkanaście stopni. Gdy dotarli do kolejnego półpiętra, drzwi wyżej otworzyły się gwałtownie. Net chciał biec na dół, ale Felix przytrzymał go i szybko zgasił latarkę. Wstrzymując oddech, przywarli plecami do ściany. Na schody weszło kilka osób. Tylko jedna miała latarkę, i to słabą. Nie przerywając dyskusji, ruszyli w górę. Spór dotyczył tego, gdzie jest większa szansa zdobycia piwa: u Maćka na osiemnastym piętrze czy u Andrzeja na dwudziestym czwartym.

Przyjaciele odczekali, aż tamci pokonają kilka pięter, i dopiero cichutko ruszyli.

I wtedy Net kichnął. Między betonowymi ścianami zabrzmiało to jak wystrzał.

Skulili się.

— Ups… — szepnął Net.

Trwali bez ruchu, ale pogoń nie nadchodziła – ci na górze też nasłuchiwali.

— Już tu są — rozległ się przyciszony kobiecy głos.

— Mają broń — dodał drugi, męski.

— To chyba glock z tłumikiem — powiedział trzeci, również męski głos.

— Gdzieś koło piątego piętra.

— Darujmy sobie to piwo, co?

Rozległy się przyciszone kroki. Tamci schodzili.

Felix klepnął Neta w plecy. Przyjaciele stopień za stopniem zeszli na czternaste piętro i schowali się tak, żeby z góry nie dało ich się dostrzec. Jednak odgłos kroków nie ucichł na piętnastym piętrze.

Chwilę później w świetle słabej latarki obie grupy stanęły naprzeciw siebie.

— Mają też kałasznikowa — wyjaśnił konspiracyjnym tonem Net.

Tamci byli dwa razy starsi od przyjaciół, ale równie wystraszeni. Zerknęli w dół schodów.

— To może jednak chodźmy do Andrzeja — zaproponowała kobieta.

— Do dwudziestego czwartego tak szybko nie dotrą — przyznał jej kolega.

Zgodnie zawrócili i w milczeniu zaczęli się wspinać. A przyjaciele w milczeniu zaczęli schodzić.

Do garażu dotarli bez przeszkód, za to odnalezienie samochodu okazało się trudniejsze. Zwykłe naciśnięcie przycisku pilota nie wystarczało, żeby dostrzec, gdzie mrugną kierunkowskazy. Logo Forda na pilocie zdradzało tylko markę.

— Czy burza magnetyczna uszkadza też elektronikę w samochodach? — zastanowił się Net.

— Nie — odparł Felix. — Silny prąd powstaje w długich przewodach.

Parking miał kilka poziomów, a do tego w wielu miejscach przedzielały go ściany, które ekranowały sygnał pilota. Oświetlenie oczywiście nie działało. Kluczyli po kolejnym poziomie, a Felix co jakiś czas wciskał przycisk.

— Może stoi na zewnątrz? — zasugerowała Nika.

W tym momencie stojący obok nich samochód piknął i zamrugał światłami.

— Weź, ostrzegaj jakoś… — Net się wzdrygnął.

— Ten pilot ma mały zasięg. — Felix otworzył drzwi i zajrzał do środka. — Właścicielem jest blondynka.

— Poważnie? Już to wiesz?

— To elementarne, Watsonie. — Felix podniósł do światła jasny włos z zagłówka. — No i fotel jest przysunięty blisko kierownicy.

— To może być niski facet — zauważyła Nika.

— Niski facet z długim blond warkoczem, kochający różowe samochody. — Felix pokiwał głową. — Nie można tego wykluczyć.

Stali przed małym różowym miejskim autkiem.

— Miałem nadzieję na Forda F150 Raptor — mruknął Net.

Felix jako jedyny potrafił prowadzić samochód, więc przynajmniej w tej sprawie nie było się nad czym zastanawiać. Bez słowa zajęli miejsca w środku.

Silnik dał się uruchomić bez problemu, co świadczyło o braku ukrytych zabezpieczeń. Ruszyli wolno, podążając za strzałkami „wyjazd/exit".

— Ależ tu syf. — Net rozejrzał się po podłodze, na której leżały zmięte rachunki, papierki po hamburgerach i reklamy, które wypadły z gazet.

Otworzył schowek.

— Zostaw — powstrzymała go Nika. — To czyjeś prywatne rzeczy.

— Właśnie zajumaliśmy temu komuś cały prywatny samochód — przypomniał Net, ale zamknął schowek.

Felix zerknął na wskaźnik paliwa, który stał na jednej czwartej.

Po kolejnym zakręcie zatrzymali się przed wyjazdem z parkingu. Wyjazdem zablokowanym przez metalową roletę.

— No tak, nie ma prądu — zauważył Net. — Dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej? Myślicie, że jest mocna?

— Nie powinniśmy niszczyć rolety — powiedział Felix. — Jeśli ją rozwalimy, każdy będzie mógł tu wejść.

— W sumie — przyznał Net. — Czyli wracamy i gramy w scrabble do czasu, aż się skończy koniec świata? Nie to, żebym miał coś przeciwko…

— Nowe samochody są solidne jak butelka po wodzie mineralnej. Może nie przetrwać taranowania. — Felix przyświecił latarką na prawo od rolety. — Widzisz to? To awaryjne otwieranie na wypadek… taki jak teraz.

Obok mechanizmu elektrycznego otwierania rolety wisiał gruby pręt zakończony korbą. Net wysiadł i zaczął nią kręcić. Wbrew temu, czego się spodziewał, roleta zwyczajnie i bez trudu zaczęła się podnosić.

Po chwili samochód wyjechał na podjazd. Felix wyłączył silnik, zaciągnął hamulec ręczny i wysiadł.

— Musimy to zamknąć — powiedział do Neta.

— Tylko niestety korba jest wewnątrz.

Felix wszedł do środka i wrócił po chwili z niskim drewnianym stołkiem.

— Ludzie czasem mylą garaż z piwnicą — wyjaśnił i postawił stołeczek pod roletą. — A ten mechanizm na pewno ma jakiś luz. Kręć.

— Znowu ja — jęknął Net, jednak zaczął kręcić w przeciwną stronę, aż roleta opuściła się i oparła o stołek.

— Kręć dalej — Felix przeczołgał się pod krawędzią na zewnątrz — do oporu.

— A jak stołek trzaśnie, to sam będę grał w scrabble? — zastanowił się. — Dobra, wtedy przynajmniej wygram.

Kiedy obrót korby napotkał opór, Net czym prędzej przecisnął się obok stołka i otrzepał ubranie. Wtedy Felix z całej siły pociągnął stołek. Roleta z łomotem opadła.

— Znów zamykamy sobie drogę powrotną — powiedział Net.

Oby było do czego wracać, nie powiedział Felix.

Wyjazd z garażu prowadził na mało uczęszczaną, wąską uliczkę, zupełnie teraz pustą.

— Zapnijcie pasy. — Felix uruchomił silnik, ale nie zapalił reflektorów.

Ruszyli w noc.

* * *

Miasto ani trochę nie przypominało tego, które znali. Czarne witryny sklepów i kawiarni straszyły powybijanymi szybami, mroczne wnętrza przypominały wszystkie horrory, które do tej pory widzieli. Gdzieś w oddali przejechał samochód, za to ruch pieszy, jak na środek nocy, był intensywny. Cichcem przemykały jakieś podejrzane grupki. Przyjaciele ze zdziwieniem obserwowali kolejne mijane kosze na śmieci. Płonęły, zupełnie jakby ktoś w ten sposób realizował plan oświetlenia ulic. Dymy snuły się pomiędzy budynkami.

Felix skręcił w pierwszą boczną uliczkę, ciemną i pustą

— Przydałby się noktowizor — mruknął Net.

— Nie zabrałem go na popołudniową wycieczkę do lasu — mruknął

Felix.

Ich wzrok przyzwyczajał się do ciemności. Okazało się, że nie jest ona całkowita – pojedyncze chmurki nad Warszawą odbijały światło pożarów. Był też księżyc w kwadrze [1]. To wystarczało, by trzymać się ulicy i omijać ewentualne przeszkody.

Felix jechał wolno, starając się nie wzbudzać niczyjego zainteresowania. Korciło go, by włączyć chociaż światła postojowe – nie chciał zniszczyć samochodu, wjeżdżając w mało widoczną przeszkodę. Nawet jeżeli auto należało do złodzieja, kradnącego komuś ostatnie zapasy.

Chociaż dobrze znali tę okolicę, to jednak pozbawione neonów, szyldów i reklam budynki wyglądały obco. Aby omijać główne ulice, kluczyli ciemnymi, bocznymi uliczkami i w kilka minut zwyczajnie się zgubili.

Stanęli wśród innych zaparkowanych samochodów.

— Ja tam na rowerze dojeżdżam w pięć minut — zauważył Net.

Felix otworzył okno i latarką, ustawioną na najsłabsze światło, wycelował w tabliczkę z nazwą ulicy. Zaraz szybko zgasił latarkę, żeby nie wzbudzać niczyjego zainteresowania. To była jedna z tych małych uliczek, których nazwy znał, ale o lokalizacji potrafił powiedzieć co najwyżej, że to gdzieś w okolicach Muranowa.

— Jedź… — szepnął Net.

Felix ruszył i dopiero teraz zauważył, że to, co wcześniej uważał za krzak lub pojemnik na śmieci, w rzeczywistości było człowiekiem. Gdy go mijali, odprowadzał samochód wzrokiem.

— Może potrzebował pomocy. — Nika obejrzała się przez tylną szybę.

— Tutaj wszyscy potrzebują pomocy — stwierdził Felix.

— Mogliśmy chociaż zapytać, czego chciał.

— Zapewne naszych zapasów.

— Albo zrobić nam kuku — dodał Net.

— Nie możemy każdego napotkanego człowieka traktować jak potencjalnego przestępcę — próbowała zaoponować Nika.

Chłopcy nic nie odpowiedzieli.

Skręcili w losową ulicę. Na jej końcu pulsowały prostokąty matowego światła. Trudno było ocenić, co to takiego, więc Felix na wszelki wypadek zwolnił. Trzymał się środka ulicy, w każdej chwili gotów, by zawrócić.

Dotarli do skrzyżowania zablokowanego przez tramwaj. W zadymionym

wnętrzu kilkanaście osób tańczyło w rytm muzyki *house*. W kolejnych rozbłyskach widzieli zmieniający się układ rąk i głów, tworzący w oknach chaotyczny teatr cieni. Błyski pochodziły prawdopodobnie od latarki ustawionej w tryb stroboskopu. Na asfalcie przed otwartymi drzwiami leżały pogniecione puszki po napojach, resztki opakowań.

— Impra w klimatach postapo — ocenił Net.

Prosto nie można było jechać. Ani ominąć tramwaju, przejeżdżając przez trawnik i torowisko. Ford to nie terenówka, utknąłby na torach.

Felix skręcił i ruszył wzdłuż torów do następnej przecznicy. Trzysta metrów dalej w świetle ogniska rozpalonego z rozbitych mebli dostrzegli zamieszanie. W pierwszym momencie wyglądało to, jakby tam też tańczyło kilka osób. Gdy podjechali bliżej, zrozumieli, co się dzieje. Cztery czy pięć osób biło się, a dokładniej to biło jednego chłopaka. Gdy ten się przewrócił, zaczęli go kopać.

Felix skręcił na trawnik, włączył długie światła i nacisnął klakson. Bandyci rozpierzchli się, uciekając w ciemność.

Ledwie samochód się zatrzymał, Nika wyskoczyła i podbiegła do leżącego. Net podążył za nią z mniejszym entuzjazmem. Felix wyłączył silnik, wysiadł i rozejrzał się. Tamtych nie było widać, ale to nie znaczyło, że nie czają się w pobliżu.

— Nic ci nie jest? — zapytała Nika.

Chłopak był starszy od nich. Miał zakrwawioną twarz i zakurzone ubranie. Wodził po nich nieprzytomnym wzrokiem. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz je zamknął. Pomogli mu usiąść. Skrzywił się z bólu.

— Ostrożnie — powiedziała Nika. — Może mieć złamane żebra. — Pochyliła się, żeby spojrzeć mu w oczy. — Gdzie cię boli?

— Wszędzie… — odpowiedział cicho i splunął krwią.

— Musimy go zabrać do szpitala. — Nika spojrzała na przyjaciół.

Felix westchnął. Net również nie był zachwycony. Przyjrzał się dokładniej chłopakowi i cofnął o krok.

— Przecież to Bolo! — wykrzyknął. — Ten z kamienicy na Woli.

Twarz chłopaka była brudna, a światło ogniska słabe, ale nie mieli wątpliwości – przed nimi siedział Bolo, kumpel Ciurasa.

— Nie możemy go tak zostawić — upierała się Nika.

— Stracimy dużo czasu — powiedział Felix.

— Jak tylko odjedziemy, tamci wrócą.

— Gorzej, jeśli wrócą, zanim odjedziemy. — Net rozejrzał się. — Dlaczego mamy mu pomagać, skoro on chciał nas okraść?

Felix westchnął ponownie, przyklęknął obok Bola i zarzucił jego rękę na swój kark.

— Złap z drugiej strony — powiedział do Neta.

Net ociągając się, zrobił to i wspólnymi siłami unieśli rannego. Bolo jęknął, ale dał się poprowadzić do samochodu.

Ostrożnie wsadzili go na tylne siedzenie, zatrzasnęli drzwi i szybko wsiedli. Felix uruchomił silnik i znów bez świateł wrócił na ulicę.

Bolo krzywił się przy każdym większym wstrząsie, ale nie narzekał.

Nika wodą z butelki zwilżyła chusteczkę i przemywała jego twarz.

Net pokręcił głową z dezaprobatą.

— Wiemy, gdzie tu jest najbliższy szpital? — zapytał.

— Około kilometra stąd — odparł Felix. — Chyba.

W normalnych warunkach dojechaliby tam w minutę. Teraz jednak musieli się poruszać powoli. Na jezdni gdzieniegdzie leżały ciemne przedmioty i nie dawało się rozpoznać, co jest tylko papierową torbą, a co kamieniem. Ominęli dymiący wrak samochodu i przewrócone śmietniki. Na torach stało kilka tramwajów.

— Włączcie jakąś muzę — poprosił zgaszonym głosem Bolo. — Ponuro tu i cicho.

— *Business class* ci się marzy? — Net jednak włączył radio i nacisnął automatyczne wybieranie stacji. Cyfry na wyświetlaczu przeskakiwały w przeszukiwaniu częstotliwości.

— *… rza magnetyczna generuje przepływ prądu nawet w starych i niepodłączonych do niczego przewodach* — rozległ się głos profesora Hermana.

— To bardziej melorecytacja niż muza — rzucił Net. — Ale możesz przytupywać do taktu.

— *Jeżeli przewody są odpowiednio długie, zbliżanie się do nich jest niebezpieczne. To samo dotyczy metalowych rurociągów, a nawet izolowanych od ziemi barierek i ogrodzeń. Prąd powoduje również iskrzenie i w efekcie pożary. Zanotowaliśmy rekordową liczbę pożarów lasów, spowodowanych takim wzbudzaniem prądu. Jeżeli zobaczycie pożar i macie dostęp do działającej linii telefonicznej, zadzwońcie pod numer 112. Stopniowo przywracamy działanie central awaryjnych w całym kraju.*

Pamiętajcie, że teraz bardzo ważna jest współpraca obywateli ze służbami publicznymi, szczególnie…

Net wyłączył radio. Zastanowił się.

— Wiecie, co to oznacza? — zapytał z ożywieniem.

— To nie my podpaliliśmy las! — wykrzyknęła z radością Nika.

— To prąd z tej zerwanej linii — przyznał z ulgą Felix i posłał Netowi ciężkie spojrzenie: „A nie mówiłem?”.

— Podpaliliście coś? — zapytał cicho Bolo.

— Tak myśleliśmy jeszcze przed chwilą — powiedziała Nika. — Cóż za ulga…

Nie mieli wiele czasu, by się nacieszyć świadomością niewinności. Nagle Felix szarpnął kierownicą, zjechał na bok i zatrzymał się za furgonetką. Wyłączył szybko silnik.

— Schylcie się — rzucił i sam zsunął się w fotelu tak, że nad krawędź szyby wystawał mu tylko czubek głowy.

Nie musiał tłumaczyć, o co chodzi. Odgłos potężnych silników narastał i po chwili dostrzegli dwa Rosomaki. Transportery opancerzone przejechały obok, nie zwalniając, i podążyły w stronę Centrum.

Felix odczekał jeszcze chwilę i ruszył dalej.

* * *

Parking przed szpitalem był niemal pełny, a w kilku oknach na parterze paliło się światło. W ciemnym mieście stanowiło to widok niezwykły. Przed drzwiami dwóch lekarzy paliło papierosy.

Felix i Net pomogli wysiąść Bolowi. Mógł iść, ale wspierał się na ich ramionach. Nika pobiegła do lekarzy.

— On potrzebuje pomocy — rzuciła.

— Widzimy — powiedział pierwszy zmęczonym tonem.

— Jesteśmy na nogach od osiemnastu godzin — dodał drugi.

Nika popatrzyła na nich bezradnie.

— Dajcie nam pół minuty — dodał pierwszy lekarz. — Na razie zaprowadźcie go do środka.

— Obejrzymy go — obiecał drugi. — Pewnie będzie musiał poczekać, bo zaraz zaczynamy trudną operację.

W oświetlonej kilkoma słabymi żarówkami poczekalni stało, siedziało

lub leżało kilkadziesiąt osób. Niektórzy byli ranni, inni wyglądali na zdrowych. Przyjaciele nie znaleźli wolnego krzesła, posadzili więc Bola pod ścianą. Nika przechwyciła pielęgniarkę.

— Przywieźliśmy rannego. — Wskazała chłopaka. — Chyba ma złamane żebra.

— Zajmiemy się nim — zapewniła ją pielęgniarka. Miała podkrążone oczy. — Trochę będzie musiał poczekać.

Nika przyklęknęła przy Bolu.

— Musimy iść — powiedziała przepraszającym tonem.

Pokręcił głową, że to nieważne.

— Dziękuję — powiedział cicho.

— A, zaraz… — Net odwrócił się jeszcze. — Nie masz przypadkiem tego listu, który mi wypadł, kiedy mnie goniliście?

— Nie było w nim pieniędzy.

— Ale była ważna wiadomość.

— Nie wiem, nie mam go. Może Ciuras go ma.

— A gdzie jest Ciuras?

— Uciekliśmy z aresztu w przeciwnych kierunkach i nie widzieliśmy się więcej. — Bolo siedział z opuszczoną głową. — I… przepraszam za tamto.

Przyjaciele z ulgą wyszli na dwór.

W połowie parkingu Net zatrzymał się. Przed nim stał samochód, który wyglądał, jakby ktoś właśnie wyłowił go z Wisły.

— Poznajecie? — zapytał ożywiony. — Jedyny taki, w którym lakier to element konstrukcyjny.

— Jasne, to samochód taty Gilberta — przytaknął Felix. — Nie mamy czasu, żeby ich szukać.

Nika zmarszczyła czoło. Z czymś jej się to kojarzyło.

— Zaczekajcie. — Odwróciła się i przeniosła wzrok na front szpitala. — Ciemnoszare cegły, dwie topole przed wejściem…

— Tak! — Neta olśniło. — To szpital z mojej wizji! *Imejlusy* działają!

Felix patrzył na niego podejrzliwie.

— Mało prawdopodobne — powiedział nieufnie. — I tak nie mamy czasu na pogawędki z Gilbertem.

— Nie chodzi o Gilberta. — Nika ruszyła z powrotem do szpitala. — Idziemy.

— Przeczucia jej wróciły — mruknął Net.

Podążyli za nią.

W poczekalni jeden z lekarzy badał Bola, a pielęgniarka, z którą wcześniej rozmawiali, przeszła przez szklane drzwi z napisem „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”. Nika przytrzymała drzwi, zanim się zamknęły, i ruszyli za nią.

— Tu jest napisane… — Net rozejrzał się czujnie. — A kij z tym.

Weszli w półmrok korytarza. Z pokoju na samym końcu dochodziło słabe światło. Gdy drzwi zamknęły się za nimi, gwar poczekalni zniknął. Zamiast niego dał się słyszeć przyciszony głos, dobiegający z przodu.

— Czego my szukamy? — Net starał się nadążyć za przyjaciółką.

— Nie wiem, ale to ważne.

W miarę, jak się zbliżali, głos stawał się coraz wyraźniejszy. Intonacja wskazywała, że ktoś czyta na głos.

— *Zagłada domu Usherów* — rozpoznała Nika.

Zwolnili kroku, aż wreszcie zatrzymali się w drzwiach małego pokoju. Stało tam tylko jedno łóżko, jedna szafka szpitalna i jedno krzesło.

— Idealna lektura, żeby kogoś pocieszyć — mruknął Net.

Gilbert zauważył ich dopiero teraz. Odłożył książkę i wstał. Przywitali się serdeczniej niż zazwyczaj, chłopcy zrobili misia, a Nika cmoknęła Gilberta w policzek. W takie dni dobrze jest spotkać kogoś, kogo się dobrze zna i lubi.

Na łóżku leżała Zosia, blada, ale uśmiechała się do nich.

— Jak się czujesz? — zapytała Nika.

— Nieobecna. — Zosia spojrzała na Felixa i szybko uciekła wzrokiem. Zaczerwieniła się lekko, co dodało jej twarzy nieco życia.

— To przez leki — wyjaśnił Gilbert. — Na początku tak jej się przestawiło, że chciała się zapisać na konkurs tańca latynoskiego. Dlaczego latynoskiego?

Zosia wzruszyła ramionami i podciągnęła prześcieradło pod szyję, by chociaż minimalnie się za nim schować.

— A co z nogą? — zapytał Felix.

— Poskładają, skręcą i zadrutują. — Gilbert powiedział to takim tonem, jakim informuje się otoczenie o zepsutym odkurzaczu. — Operacja zacznie się rano, trzeba poczekać w kolejce. Jest nadzieja, że generator awaryjny nie zepsuje się w trakcie, bo to by było… — Spojrzał na Zosię i zorientował się, że powiedział za dużo. — Nie, spoko, generator bangla jak nówka. Ta noga

za dwa miesiące też będzie jak nówka nieśmigana. — Zamilkł i spojrzał uważnie na Neta. — *Imejlusy?*

Net wolno skinął głową, jakby właśnie miał przyznać, że Ziemia jest płaska.

— Przypadek — zaprzeczył Felix. — Przyjechaliśmy tu z innego powodu i się spieszymy. Potrzebujecie czegokolwiek?

— Radzimy sobie — zbagatelizował Gilbert. — Rano zabieramy Zosię do nas. Jej mama wyjechała.

Felix skinął głową i spojrzał pytająco na Nikę. Nie wiedziała, co dalej.

— Gdzie twój tata? — zapytała Gilberta.

— W piwnicy. Pilnuje generatora. — Wskazał kciukiem w prawo. — Kawałek dalej są schody.

— Trzymajcie się — rzucił Net. — I do zobaczenia w szkole… jakoś niedługo.

To ostatnie powiedział bez przekonania.

Przyjaciele wyszli i skierowali się do schodów. Felix nie protestował, choć zerkał na zegarek.

W piwnicy było ciemno i chłodno. W świetle latarki bez trudu odnaleźli właściwy kierunek – wystarczyło iść za dźwiękiem przypominającym odgłos starej ciężarówki. Na końcu korytarza za stalowymi drzwiami klekotał generator, wyglądający jak element scenografii do filmu historycznego. Pan Kurtacz w fartuchu lekarskim i okularach ochronnych właśnie wlewał do zbiornika paliwa olej z pięciolitrowej butli. Na rozgrzanej obudowie stały dwie kolejne.

Zapukali w drzwi, ale było za głośno, by mógł to usłyszeć.

— Dobry wieczór! — powiedział Felix.

Mężczyzna spojrzał na nich ze zdziwieniem. Zajęło mu chwilę, nim ich rozpoznał. Skinął głową i odstawił pustą butlę na podłogę. To było opakowanie po zwykłym oleju do smażenia.

— To można olej lać do baku? — zdziwił się Net. — Dzień dobry znaczy.

— Dzień dobry wieczór. — Pan Kurtacz skinął głową. — Do silników diesla w sam raz. Do starych jako tako, a te nowe to po jakimś czasie mogą zacząć niedomagać. No i filtr się zapcha. Ale na to też jest sposób. — Wskazał głową za siebie.

Na stole warsztatowym po przeciwnej stronie pomieszczenia stało kilka

kolejnych butli z olejem, metalowe kubki, menzurki, torebka z białym proszkiem i butelka z czymś przezroczystym. Obok leżała gazeta „Fakexpress” [2]. Na pierwszej stronie widniało zdjęcie zielonego ludzika w garniturze, a tytuł obok głosił: „Płaskomarsjanie zarzucają płaskoziemcom manipulację. W Układzie Słonecznym jest miejsce tylko dla jednej płaskiej planety”.

— Na razie generator chodzi na samym oleju, ale tu się już przygotowuje czysty stuprocentowy biodiesel. Kilka godzin i będzie. Wpadliście odwiedzić Zosię?

— Właściwie to… — Nika zawahała się — … przywieźliśmy tu takiego jednego chłopaka. Miał kłopoty.

Czuła, że sprowadziło ją tu coś ważnego, ale nie wiedziała co. Nie wiedziała nawet, jak ani o co zapytać.

— Wielu ludzi ma dziś kłopoty — przyznał pan Kurtacz.

— Przynajmniej kłopoty Zosi się skończyły. Dzięki temu, że pan naprawił generator.

— Ja tylko przygotowuję paliwo. Przez jakiś czas szpitalna kuchnia będzie bardzo dietetyczna. Głodówka to niezła terapia, co nie? To twojemu tacie trzeba podziękować.

— Mojemu tacie…? — Nika zamarła.

— Nie, jego tacie. — Machnął ręką w stronę chłopaków. — On to naprawił.

— Ale to nie ten szpital — zauważył Net. — Przenieśli go?

— Z tego, co wiem, jest tu od początku.

— Przecież od wczoraj siedzi w domu. — Net pokręcił głową.

— Sami go zapytacie. Zaraz tu przyjdzie. Poszedł po dodatkowe narzędzia.

Net przekrzywił głowę i zrobił taką minę, jakby ostatnie słowa zostały wypowiedziane w nieznanym języku.

— To mi się nie kombi…

Mimo hałasu dało się słyszeć zbliżające się kroki. Nika spojrzała na Felixa, a potem zamknęła oczy. Jako jedyna wiedziała już, co się za chwilę wydarzy.

Drzwi otworzyły się szerzej i wszedł przez nie czterdziestoletni może mężczyzna w umorusanym ubraniu. Niósł walizkę narzędziową.

— Cześć…! — powiedział zupełnie zaskoczony Felix. — Mama napisała, że jesteś w szpitalu. Myślałem, że coś ci się stało, a ty po prostu pracujesz?

Tata spojrzał na niego i chłodno skinął głową na przywitanie.

— Naprawiam generator — powiedział zwyczajnym tonem, jakiego używa się do grzecznych rozmów z nieznajomymi. — To ważne. Dzięki temu odbyło się kilka operacji, rentgen działa.

Nika chwyciła dłoń Felixa i ścisnęła.

— To samo… — szepnął Net. — Jakaś epidemia?

— Jaka epidemia? — Felix nie dopuszczał do siebie tego, co powoli stawało się oczywiste. — Tato…

Pan Polon postawił walizkę i spojrzał na niego uważnie.

— Powiedziałeś… „tato”?

— Też nic nie pamiętasz?

— Pamiętam… — Pacjent patrzył bezradnie na obcego chłopaka. — Pamiętam, co się wydarzyło, odkąd obudziłem się w tym szpitalu. Przedwczoraj.

— To samo… — jęknął Net.

— Jak… ja się nazywam?

— Piotr Polon — głos Felixa zadrżał. — A ja jestem Felix Polon. Twój syn.

Podszedł krok w jego stronę, a tata wyciągnął ramię. Przytulił syna nie syna. Zamknął oczy i było pewne, że zaraz się rozpłacze.

— Więc to tak wygląda. — Pan Kurtacz odstawił naczynia laboratoryjne. — Lepiej dajmy im chwilę, żeby porozmawiali.

Zamachał rękoma, by podkreślić, co ma na myśli. Net i Nika wyszli razem z nim.

* * *

Felix wyszedł na korytarz. Sam.

— Powiedział, że zostaje. — Zatrzymał się obok przyjaciół i potarł zaczerwienione oczy. — Że jest tu potrzebny i że na razie tu jest cały świat, jaki zna. I żebym wrócił, jak to się skończy.

Stali w chłodnym i ciemnym korytarzu i nie wiedzieli, co powiedzieć. Pan Kurtacz dyplomatycznie oddalił się w nieznanej sprawie.

Nika objęła przyjaciela współczująco.

— Co mam robić? — zapytał Felix. — Przecież go nie zabiorę siłą.

— Raczej trudno będzie go przekonać — zauważył Net.

— Mam go tu zostawić?! — Felix odsunął się i wskazał drzwi, za którymi Pacjent naprawiał generator. — On nawet nie pamięta, że jest moim ojcem. Uwierzył mi na słowo.

Net chciał powiedzieć coś w rodzaju „Witaj w klubie”, ale w porę ugryzł się w język. Zamiast tego westchnął:

— Nie mam pomysłu.

— Ja też nie. Nie wiem, gdzie jest mama. Wiem tylko, że nie mogę go zostawić.

— Kiedy chodziło o mojego, nie miałeś oporów.

— Bo twojego nie zostawiliśmy.

— Jak nie zostawiliśmy, jak zostawiliśmy! — wybuchnął Net. — I to nie w szpitalu z nowoczesnym sprzętem i lekarzami! Zostawiliśmy go z dwójką małych dzieci i nieprzystosowaną do rzeczywistości żoną w mieszkaniu, do którego zaraz dobiorą się szabrownicy!

Zamilkli. Słychać było tylko miarowy terkot silnika Diesla.

— Powinien tu zostać — powiedziała spokojnie Nika. — Tu ktoś się nim zajmie, a on pomoże wielu pacjentom. A poza tym gdzie miałbyś… mielibyśmy go zabrać? Nie wiemy, co zastaniemy w twoim domu.

Felix stał nieruchomo, ze spojrzeniem wbitym w podłogę.

Potem ledwo dostrzegalnie skinął głową.

* * *

Jechali przez ciemne miasto ze zgaszonymi światłami. Felix mimo wzburzenia prowadził ostrożnie i na widok każdego innego samochodu wjeżdżał między inne zaparkowane pojazdy albo skręcał w najbliższą przecznicę. Ani razu nie napotkali policji, antyterrorystów ani wojska, za to szybko znów się zgubili.

Dotoczyli się do najbliższego drogowskazu i Felix zapalił latarkę, żeby przeczytać nazwy ulic. Znali je, ale nie potrafili określić kierunków świata, więc równie dobrze mogli skręcić w lewo albo w prawo.

— Dlaczego nie napisała, że chodzi o obu tatów? — zapytał Felix.

— Od początku chodziło tylko o twojego — wyjaśniła Nika. — Nie

o tatę Neta ani tym bardziej o obu. Daj telefon. — Wzięła od Neta smartfon i przeczytała — „Nie mogę się dodzwonić do Felixa. Powiedz mu, żeby się odezwał. Tata jest w szpitalu”. Gdyby chciała napisać, że tata Neta jest w szpitalu, to od tego by zaczęła wiadomość. W końcu pisała do Neta. I dodałaby „Twój”, a dalej zdanie, żeby się nie martwił, że to nic poważnego albo że jest pod dobrą opieką. O tym opowiadała nam Agata, ta nowa polonistka.

— Czyli mama Felixa nie wiedziała o moim tacie? — upewnił się Net. — I to, co napisała, jest jasne, tylko my nie ogarnęliśmy? Ale dlaczego?

— Może dlatego, że ona jest dorosła — zasugerowała z przekąsem Nika. — Zajmuje się consultingiem i musi wyrażać się precyzyjnie.

Przez chwilę jechali w milczeniu.

— Wyraziła się precyzyjnie, a my to precyzyjnie zrozumieliśmy — stwierdził Felix. — Tylko potem odnalezienie taty Neta zmieniło obraz sytuacji.

Wolno wtoczył się na skrzyżowanie. Dopiero teraz w oddali dostrzegli ledwo widoczny zarys wieżowca Warsaw Spire. Felix bez słowa skręcił w lewo i od razu wcisnął hamulec. Na środku ulicy stała postać wsparta na lasce.

— Znowu ktoś potrzebuje pomocy? — westchnął Net. — Tym razem staruszek?

Wolno podjechali bliżej.

— Chociaż zapytajmy, czy… — Nika nie dokończyła, bo staruszek okazał się zakapturzonym młodym mężczyzną z twarzą zasłoniętą bandaną. Laska w dłoni zamieniła się w metrowej długości rurę.

Ktoś pociągnął za klamkę drzwi kierowcy. Bezskutecznie – Felix wcześniej zablokował wszystkie drzwi.

— O mamusiu… — jęknął Net.

Samochód otoczyło kilka postaci, również uzbrojonych w rury albo podobny sprzęt. Z hukiem rozprysło się okno obok Niki. Dziewczyna krzyknęła, a Felix wcisnął gaz. Na karoserię spadło jeszcze kilka uderzeń, przednia szyba pokryła się siatką pęknięć. Felix nie wiedział, czy ominął stojącego mu na drodze człowieka. Teraz nie było tego jak sprawdzić. Teraz trzeba było uciekać.

Do następnego skrzyżowania dojechali prawie na oślep. Skręcili w losową przecznicę, potem w następną, aż zatrzymali się przed pustym

skrzyżowaniem. Spojrzał w lusterko. Nikt ich nie gonił.

— Jesteście cali? — zapytał.

— Chyba tak — powiedział Net.

— Ja też — dodała Nika.

— Ale już się nie zatrzymujmy, co? — poprosił Net. — Ja nie mogę, co za bydło…

— Nikomu już nie pomagamy po drodze — zapowiedział Felix. — Mamy inne zadanie.

Przechylił głowę, by widzieć cokolwiek między pęknięciami. W bladym świetle księżyca powierzchnia asfaltu wyglądała dziwnie, jakby ktoś nie mógł się zdecydować, jak namalować pasy: czy w prawo, czy w lewo, czy prosto. Ten ktoś wreszcie chyba stwierdził, że namaluje wszystko naraz.

— Jak tu jechać? — mruknął Net.

Felix zapalił reflektory, by sprawdzić, gdzie są krawężniki. Dopiero teraz dostrzegli, że tylko pasy prowadzące na wprost są właściwe. Te prowadzące w lewo w rzeczywistości były rozjeżdżonymi tymczasowymi żółtymi pasami, a te prowadzące w prawo zamalowano na czarno. Celowały w skrzywioną i wgniecioną latarnię.

Felix poczuł ciarki. To było to skrzyżowanie. To, na którym jego tata miał wypadek.

— Oż ty… — Net też się zorientował, gdzie są.

Felix wciąż nie gasił reflektorów. Wpatrywał się w białe pasy prowadzące na wprost i latarnię z boku.

— Teraz wiem, co się stało — powiedział. — Ten autopilot, e-Zygmunt, pomylił się. Wjechał w latarnię, bo tak prowadziły pasy.

— Pasy prowadzą na wprost — stwierdził Net.

Felix zgasił reflektory. Teraz czarna farba błyszczała w świetle księżyca, przez co wyglądała na jaśniejszą nawet od białej.

— W tym miejscu, gdzie teraz jest księżyc, wtedy stało słońce. Sensory e-Zygmunta uznały, że błyszczący najjaśniej pas jest tym właściwym.

— I to jest powód, żeby walić w latarnię? Coś mi się wydaje, że ten e-Zygmunt wymaga jeszcze sporo pracy, ale może niekoniecznie musimy to rozkminiać akurat teraz.

Nad czymś się intensywnie zastanawiał. A po chwili skręcił w prawo.

— Nadal nie mamy pełnego obrazu sytuacji — powiedział. — Nadłożymy nieco drogi.

* * *

Dopiero gdy Felix się zatrzymał, przyjaciele w bladym świetle księżyca zauważyli napis „Zbędne Kalorie”. Stali przed Liceum im. prof. Stefana Kuszmińskiego.

— Możecie tu zaczekać — powiedział Felix — ale bezpieczniej będzie, jak pójdziecie ze mną.

— Nie chcesz chyba wchodzić do szkoły pilnowanej przez terrorystów! — wykrzyknął Net. — To znaczy antyterrorystów.

— Nikt jej nie pilnuje. — Felix otworzył drzwi samochodu, wysiadł i rozejrzał się. — Mają ważniejsze sprawy na głowie.

— Zaraz, zaraz… — Net również wysiadł, oparł się o dach i podejrzliwie zmrużył oczy. — Ty chcesz odzyskać telefon. Bo tam są wiadomości od twojej mamy. A gdzie się podziała misja ratowania świata?

— W telefonie mam również mapy *offline* i Wikipedię *offline* — dodał Felix. — Niestety bez obrazków. I parę innych przydatnych aplikacji, które będą działały bez sieci.

— Tak to sobie tłumacz… — Net obejrzał się na ciemny gmach szkoły. Ani trochę nie podobała mu się wizja wchodzenia do środka.

Gdy wysiadła też Nika, zauważył coś na jej ręku. Przyświecił telefonem.

— Krwawisz…! — zauważył z przerażeniem.

Nika uniosła rękę, z której kapały czerwone krople. Na przedramieniu skóra była rozcięta.

— Nic wielkiego… — próbowała to zbagatelizować, ale Net dostrzegł na jej twarzy zaskoczenie, które przeszło w niepokój. — Nawet nie poczułam.

Felix wyciągnął z plecaka butelkę i strumieniem wody przemył ranę. Na szczęście okazała się niewielka. Jednak wciąż krwawiła. Wyjął apteczkę i odszukał odpowiedni opatrunek.

— Trzymaj. — Wetknął apteczkę do ręki Netowi, który bardzo starał się nie patrzeć na krew.

Felix nakleił opatrunek i dla pewności obwiązał kilka razy bandażem elastycznym.

— Ta apokalipsa coraz mniej mi się podoba — mruknął Net. — Chcesz wejść głównym wejściem?

— Sylwester nas nakryje. — Nika dotknęła opatrunku. Przylegał

idealnie. — Dzięki.

— Sylwester od dawna siedzi zabarykadowany w domu — odparł Net.

Felix spojrzał na wielkie drzwi na końcu szerokich schodów. Księżyc idealnie je oświetlał.

— Za bardzo na widoku — ocenił. — I zamek jest zbyt skomplikowany dla klucza uniwersalnego. Ale najpierw zróbmy porządek z samochodem.

Poświęcili jeszcze kilka minut na wypchnięcie przedniej szyby i usunięcie szkła ze środka. Dach i maska były w kilku miejscach wgniecione, a jeden reflektor stłuczony.

— Niski blondyn z warkoczem się zapłacze — stwierdził Net.

Felix skinął ręką, by za nim szli.

Minęli róg ogrodzenia i przygarbieni, podążali w stronę tylnej bramy. Wyglądali zdecydowanie bardziej podejrzanie, niż gdyby szli normalnie, ale nie mogli się powstrzymać. Brama, wyłamana przez antyterrorystów, wciąż leżała na trawie, więc dostęp do szkolnego ogrodu nie stanowił problemu.

Dotarli do ułożonych warstwami worków ze skamieniałym cementem.

— Brawo, mistrzu — szepnął Net. — Tylne drzwi są właśnie za tymi workami.

Felix bez słowa włączył latarkę z minimalną mocą i obszedł worki. Zaświecił na kratkę okna piwnicznego, wyrwaną z muru przez ciężar wielu warstw cementu. Szarpnął kilka razy, wyciągnął ją i odstawił na bok. Wejście do piwnicy wciąż blokowało jednak okienko, które od zewnątrz nie miało nawet dziurki na klucz.

— Słyszycie? — znów szepnął Net.

Przyjaciele nadstawili uszu. Dobiegający z oddali dźwięk syreny policyjnej był niemal niesłyszalny. Ta część miasta w milczeniu czekała na lepsze czasy.

— Nic nie słyszę — szepnęła po chwili Nika.

— No właśnie. Jeśli stłuczemy tę szybę, obudzimy wszystkich w promieniu pół kilometra.

Rzecz jasna była to gruba przesada, co jednak nie znaczyło, że nikt nie zainteresuje się hałasem. Po drugiej stronie ulicy, ledwie pięćdziesiąt metrów dalej, ciągnął się rząd kilkupiętrowych kamienic. Częściowo przesłaniały je drzewa. Częściowo.

— Wyłamiemy zamek — zadecydował po chwili namysłu Felix.

Położył się bokiem na ziemi i przyłożył podeszwę do górnej krawędzi

okna. Naparł z całej siły, a gdy to nie pomogło, wziął zamach i kopnął piętą. Nadpróchniałe drewno ramy okiennej puściło z cichym trzaskiem i okno otworzyło się. Jednak impet wyrwał również zawiasy. Ciszę rozdarł łomot, a zaraz potem brzęk tłuczonego szkła.

Przyjaciele skulili się odruchowo za workami i znieruchomieli.

Każdej innej nocy co najmniej w kilku oknach kamienic po przeciwnej stronie ulicy zapaliłyby się światła i ktoś by się zainteresował źródłem hałasu. Ale to nie była zwyczajna noc. Ludzie najwyraźniej woleli się nie wtrącać w nie swoje sprawy. Ryzyko, że zawiadomią policję, prawie nie istniało.

Nie było już na co czekać. Felix zaświecił do środka, wyjął z plecaka cienkie rękawiczki robocze i wsunął się do piwnicy. Podał rękę Nice. Net nie mógł się zdecydować, gdzie woli być, czy raczej gdzie bardziej nie chce być. Odrzucił te wątpliwości i po prostu wgramolił się śladem przyjaciół.

Niewielkie pomieszczenie okazało się starym składzikiem nieprzydatnych gratów. Drzwi nie dawały się jednak otworzyć.

Klucz uniwersalny zabrzęczał i rozprawił się z zamkiem w kilka sekund. Przyjaciele wyszli na znany sobie korytarz piwniczny. Felix zaświecił na drzwi ewakuacyjne. Obok wyłamanej klamki leżała ciężka gaśnica – ktoś jednak próbował się tędy wydostać podczas ewakuacji. Z przeciwnej strony droga aż do schodów była pusta, jeśli nie liczyć pary świecących na czerwono małych oczu.

Nika złapała Neta za rękę.

— To tylko szczur — wyjaśnił Felix.

— To AŻ szczur — zaprzeczyła dziewczyna.

Jednak to szczur bardziej bał się ludzi, więc czym prędzej gdzieś czmychnął.

Dotarli do schodów.

— A co, jeśli Sylwester mimo wszystko został na posterunku? — zapytał szeptem Net.

— Nawet jeżeli, to siedzi na zapleczu albo nawet śpi — uspokoił go Felix. — A monitoring zainstalowany przez Wąsa przecież nie działa.

Najciszej, jak potrafili, dla bezpieczeństwa nie używając nawet latarki, wspięli się na schody i ruszyli w stronę hallu. Wypastowany dębowy parkiet trzeszczał przy każdym kroku. Nie pamiętali, by w dzień, kiedy przewalał się tu kilkusetosobowy tłum, podłoga wydawała z siebie jakiekolwiek dźwięki.

Za ladą recepcji nikt nie siedział, a drzwi na zaplecze były zamknięte.

Weszli do hallu. Mimo że poruszali się jak skradające się postacie z kreskówek, cały czas towarzyszyły im dźwięki wydawane przez parkiet.

Net gestem politowania wskazał uchylone drzwi na patio – mogli tędy po prostu wejść, zamiast włamywać się przez piwnicę. Nikt tego nie skomentował.

Przeszli dalej, skręcili za róg i już bez skradania się dotarli do sekretariatu. Felix dla formalności nacisnął klamkę, a drzwi, o dziwo, otworzyły się.

— Przepisy bezpieczeństwa — wyjaśnił. — Podczas ewakuacji wszystkie drzwi powinno się zamykać tylko na klamkę.

Pudełko ze skonfiskowanymi telefonami uczniów stało na biurku obok komputera i kubka z kawą, pozostawioną tu w chwili ogłoszenia alarmu. Kilka telefonów migało jeszcze diodami powiadomień, ale większość zapewne dawno się wyładowała.

Felix odnalazł swój, również wyładowany. Usiadł w fotelu pani Helenki, a właściwie to już pani Halinki, wygrzebał z plecaka powerbank i przypiął kabelek.

— Zamierzasz tu czekać, aż się naładuje? — zapytał Net.

— Tylko chwilę, aż złapie kilka procent, żeby się włączył.

Miało to sens. Tu spokojnie mogli przeczytać wiadomości odebrane przed burzą magnetyczną. Kiedy wyjdą na zewnątrz, będą musieli stale zachowywać czujność.

— Taki superhipertelefon i się wyładował? — Net z rękoma w kieszeniach przechadzał się po sekretariacie. Podszedł do drzwi gabinetu i nacisnął klamkę, a drzwi się otworzyły. — Oho…!

Zajrzał do środka i dopiero kiedy upewnił się na dwieście pięćdziesiąt procent, że nie ma tam dyrektora Wąsa, wszedł. Z nieco wysiloną swobodą obszedł biurko i usiadł w dyrektorskim fotelu. A dokładniej to rozsiadł się. Po chwili wahania, naprawdę bardzo krótkiej chwili wahania, odchylił oparcie, wyciągnął się wygodnie i położył nogi na biurku. Nika stanęła w drzwiach i pokręciła głową z niedowierzaniem.

Na biurku, obok monitora, leżał tylko stosik kartek A4. Papier trochę nie pasował do Wąsa, który wszystko przecież trzymał w komputerze.

— Nie mam gumy do żucia — zmartwił się Net. — Przykleiłbym mu pod blatem.

Usiadł normalnie i niechcący trącił nogą coś, co zaszeleściło jak folia.

Schylił się i podniósł z podłogi pudełko fajerwerków.

— Do sylwestra jeszcze kupa czasu. — Wziął pudełko i wrócił do sekretariatu. — Po co mu to?

Felix pobieżnie je obejrzał.

— Nie wiem, ale to wyjaśnia jedną sprawę — stwierdził. — Antyterroryści znaleźli w gabinecie Wąsa ślady materiałów wybuchowych. Ich czujnik wykrył po prostu te fajerwerki. — Schował pudełko do plecaka. — Może do czegoś się przydadzą.

— Cóż za ulga! — parsknął Net. — Przynajmniej nasz nowy dyrektor nie jest terrorystą.

— Ty nadal podejrzewasz waszych tatów? — zapytała z niedowierzaniem Nika.

Net wzruszył tylko ramionami.

Nika przesunęła dłonią po monitorze. Tutaj były te wszystkie regulaminy i zasady finansowania czesnego, te zapisane na dysku cyferki, które sprawiają, że jej życie jest ciągłą walką o znalezienie pieniędzy na czesne, na czynsz, na gaz i prąd. No i na jedzenie.

— Tu są zapisane nasze oceny i spóźnienia? — zapytała.

— Nie tutaj, w chmurze — odparł Net.

— Chmura to dysk na innym komputerze. Można go znaleźć?

— W sumie tak, ale… nie. Tych dysków jest dużo i w wielu miejscach. Nawet administrator systemu nie wie, co gdzie dokładnie jest. Jak wrzucasz cokolwiek do sieci, to te dane są rozsyłane po całym świecie. I to w wielu kopiach, pofragmentowane.

— Tym zajmują się programy takie jak Morten i Rahmanas ?

— Taaak… Mniej więcej. Kombinujesz, jak zmienić zasady przyznawania stypendium? Gdybym mógł je zmienić, tobym to dawno zrobił. Mam dostęp tylko do e-dziennika. Reszta programów do administrowania szkołą też jest w chmurze. — Zastanowił się. — Teraz to już może nawet w chmurze dymu.

Nika podeszła do okna i spojrzała na ciemne miasto. Dopóki nic nie działa, nikt nie może niczego sprawdzić, nikt nie może niczego zmienić. Nie wyrzucą jej z domu ani ze szkoły, nie będą od niej chcieli żadnych pieniędzy. Paradoksalnie te dni chaosu wydały jej się nagle bezpieczniejsze od normalnego życia. Jedzenie i wodę da się zdobyć, przynajmniej przez jakiś czas, dopóki sklepy nie zostaną ogołocone do końca.

Spojrzała na opatrunek na przedramieniu. Coś za coś.

Komórka Felixa wciąż się ładowała, więc Net, z braku lepszego zajęcia, wrócił do sekretariatu i zaczął przeglądać inne telefony. A było ich trochę, z czego sporo w fikuśnych pokrowcach.

— Po co zakładać takie coś na telefon? — zapytał z niesmakiem, unosząc w dwóch palcach różowe etui stylizowane na króliczka z uszami. Sięgnął po następny. I aż zamarł z wrażenia. — Oż ty w mordę skomposzczeta!

Wyjął granatowy telefon z żółtą naklejką i od razu przełożył go tak, żeby trzymać za krawędzie. Dioda powiadomień migała, co znaczyło, że akumulator jeszcze się nie rozładował.

— Co? — zapytała podejrzliwie Nika.

— Telefon Geralda. — Na twarzy Neta pojawił się złowrogi uśmiech. — Dawaj latarkę.

Felix podał mu ją, a Net zaświecił pod kątem na ekran, który pokrywały dziesiątki odcisków palców. Jeden ślad był jednak inny, bo rozmazany w kształt kanciastej litery G.

— Co ty robisz? — zapytała Nika.

— Amator — stwierdził Net i włączył telefon. Na ekranie pojawiło się dziewięć kółek, po których należało w odpowiedni sposób przejechać palcem, by odblokować urządzenie. — Wybrał G jak Gerald. Amatorski amator.

Narysował palcem kanciasty kształt wielkiej litery G i ekran blokady znikł.

— Chcesz mu grzebać w telefonie? — Nika była zniesmaczona.

— Ciuteczkę, odrobinkę. — Net poruszał palcami prawej dłoni, jakby chciał je rozgrzać. — Bateria jest na wyczerpaniu.

Zerknął tęsknie na powerbank obok Felixa, ale uznał, że nawet nie ma co próbować negocjacji. Zaczął więc przeglądać czym prędzej, co się dało. Nika patrzyła na niego karcąco.

— Oczywiście… — Net wydął usta w wyrazie dezaprobaty. — Na co drugim zdjęciu jest jego własna facjata. Cóż za marnowanie pamięci! A tu korespondencja z Klaudią. Prawie same emotki. Jeśli oni kiedyś będą mieli dzieci, to te dzieci będą się porozumiewały pomrukami, warczeniem i chrumkaniem.

— Net… — Nika sięgnęła, aby zabrać mu telefon.

— Historia połączeń… — Net zmarszczył brwi. — Ostatnie z numerem

112.

— To numer alarmowy — zainteresował się Felix. — Kiedy tam dzwonił?

— Przedprzedwczoraj… trzy dni temu, znaczy, na przerwie przed drugą lekcją.

— Na drugiej lekcji mieliśmy polski z tą nową polonistką — przypomniał sobie Felix. — Wtedy zaczął się alarm.

Przyjaciele popatrzyli na siebie.

— A to oznacza… — zaczął Net.

— … że fałszywy alarm wywołał Gerald — dokończył Felix.

— Żeby nie pisać testu — dopowiedziała Nika.

— Zdążył to zrobić, zanim Cyborek zabrał mu telefon. — Net pokręcił głową. — Jak można być takim upośledziem?

— Przez niego Zosia wylądowała w szpitalu — zauważyła Nika.

— I przez te bramki przy wyjściu — dodał Net.

— I przez worki z cementem przed tylnymi drzwiami — przypomniał Felix. — Każda katastrofa ma wiele przyczyn.

— Powinniśmy coś z tym zrobić — powiedziała Nika.

— Nic nie musimy robić. — Net wskazał trzymany w dłoni smartfon. — Ten wszechstronnie niedorozwinięty przygas tym razem naprawdę przegiął. Jak to wszystko się skończy, o szóstej rano smutni panowie zapukają do jego drzwi. — Uśmiechnął się. — A w naszej szkole będzie o jednego ucznia mniej.

Jak to wszystko się skończy, pomyślała smutno Nika, zapukają również do moich drzwi.

Felix poprawił wtyczkę w telefonie, choć ekran wyraźnie wyświetlał ikonę ładowania. Poprawił się w fotelu i odsunął kubek z kawą, by zrobić więcej miejsca. Natychmiast cofnął rękę i zamarł.

— Co się stało? — zapytała Nika, widząc jego minę.

— Kubek jest ciepły.

— O mamusiu… — jęknął Net.

Zza uchylonych drzwi dobiegł dźwięk trzeszczących dębowych klepek. Ktoś się zbliżał.

— Sylwester nas lubi — przypomniała Nika.

— A jeśli to antyterroryści? — szepnął Net.

— Nie mają tu nic do roboty — stwierdził Felix. — Szkoła nie jest

obiektem strategicznym.

Kroki zbliżały się. I rzeczywiście nie brzmiały jak kroki żołnierza. Przypominały bardziej człapanie. Człapanio-szuranie nawet.

Felix schował telefon wraz z powerbankiem do plecaka, a Net i Nika na wszelki wypadek weszli za biurko.

— Jeśli antyterrorysta, to chyba ciężko ranny — mruknął Net.

Drzwi otworzyły się i wszedł przez nie dyrektor magister inżynier Juliusz Stokrotka. W jednym ręku trzymał zabytkowy świecznik z zapaloną świeczką, w drugim plik pogniecionych dokumentów. Nawet nie spojrzał na przyjaciół, tylko z kartką w dłoni przeszedł do gabinetu.

— Że *what*? — zapytał szeptem Net. Minę miał taką, jakby zobaczył co najmniej ducha profesora Kuszmińskiego.

— Nie wrócił do domu — odszepnęła Nika. — Cały czas tu był.

Stanęli w drzwiach gabinetu i z niedowierzaniem wpatrywali się w dyrektora, który siedział przy swoim nie swoim biurku i rozkładał na nim kolejne papiery. Przeglądał je w migotliwym świetle i coś pomrukiwał pod nosem.

Głupio byłoby powiedzieć teraz „dobry wieczór”, więc Nika tylko chrząknęła znacząco. Dyrektor uniósł głowę.

— Felix, Net i Nika — stwierdził bez zdziwienia i zerknął na okno, za którym wciąż była noc. — Już przyszliście do szkoły, czy jeszcze nie wyszliście?

— Wpadliśmy po telefon, który mi skonfiskował dyrektor Wąs — wyjaśnił Felix.

— Czy pan w ogóle wychodził ze szkoły? — zapytała Nika.

Stokrotka pokręcił głową.

— Segreguję dokumenty — powiedział. — Wszystko jest pomieszane.

— Znalazł pan list od Rady Nadzorczej? — zapytała Nika.

— Znalazłem kilka dokumentów, z których pośrednio wynika, że Wąs ma być zastępcą. Zostawię mu je na biurku. Jeśli je przejrzy, może zrozumie swój błąd.

Przyjaciele równocześnie gwałtownie pokręcili głowami.

— Panie dyrektorze, to nie jest dobry pomysł — grzecznie zasugerował Net. — Przecież on je zniszczy.

— Zniszczy? — Dyrektor uniósł brwi. — One mogą pomóc w wyjaśnieniu tego nieporozumienia.

— Eee… — Net w zakłopotaniu potarł dłonie. — Niechcący nawet… To znaczy… no, nie zauważy i podrze przypadkiem, może katar go złapie albo grilla będzie robił i skończy mu się podpałka, czy coś w ten deser. Lepiej zrobić kopie, a oryginały gdzieś zabezpieczyć.

— Nie ma prądu — przypomniał Felix.

— Jak pan zrobił kawę bez prądu? — zapytał Net.

— Na strychu, w tym waszym… w tej Kwaterze Głównej znalazłem małą butlę gazową z palnikiem i puszkę kawy. Ta kawa trzymała mnie przy życiu przez ostatnie dni.

Felix przypomniał sobie, że rzeczywiście kiedyś przytargał do Kwatery Głównej starą kuchenkę turystyczną wraz z butlą. Chyba nigdy jej nie użyli.

— Przynieśliśmy panu zapasy. — Nika wyjęła z torby butelkę wody i kilka opakowań jedzenia.

Chłopcy poszli w jej ślady.

— Dziękuję bardzo! — Stokrotka wyraźnie się ucieszył. — Jeszcze mam sporo do przejrzenia. A przy okazji robię porządek w dokumentach i wspominam sobie dawne czasy. Takie segregatory mówią więcej o historii niż kronika szkolna. Ech… wczoraj znalazłem potwierdzenie mojej pierwszej wypłaty. Wzruszające chwile.

Przyjaciele popatrzyli na siebie i kiwnęli głowami.

— To my nie będziemy przeszkadzać. — Nika założyła torbę.

— Życzymy powodzenia — dodał Net.

— Dobranoc. — Dyrektor magister inżynier Juliusz Stokrotka pomachał im jeszcze i z zapałem wrócił do przeglądania dokumentów szkoły im. prof. Kuszmińskiego.

1. O kwadrze mówimy, gdy oświetlona jest dokładnie połowa tarczy Księżyca. Oczywiście przy założeniu, że obserwator znajduje się na Ziemi. [wróć]
2. Fakexpress [wym. fejkekspres], czyli gazeta publikująca fałszywe wiadomości. Nic oryginalnego, można powiedzieć. [wróć]

22. Twoje domysły są jak najbardziej słuszne

Smukła czarna bryła wieżowca Silver Tower zdawała się przytłaczać wszystko w bezpośredniej okolicy. Za to sama okolica wyglądała na bezpieczniejszą od tej, którą zdążyli już poznać. Przechodnie z latarkami nie przemykali chyłkiem, przyjaciele dostrzegli nawet zwykły samochód policyjny.

Siedzieli w samochodzie zaparkowanym po drugiej stronie ulicy, skąd przez przerwę w żywopłocie otaczającym mały skwerek mogli obserwować główne wejście do budynku. Cały front parteru składał się z wielkich szyb, dzięki czemu widać było wszystko, co dzieje się w hallu. Na chodniku przed wejściem do budynku stała Dacia firmy ochroniarskiej, a wewnątrz siedziało dwóch strażników, i to nie takich eleganckich w koszulach i krawatach, lecz ubranych w czarne stroje taktyczne.

— O tym Morten nie wspomniał — stwierdził Felix.

— No to chyba możemy wracać. — Net zatarł ręce jak ktoś zbierający się do wyjścia z imprezy. — Próbowaliśmy, zrobiliśmy co w naszej mocy, nie wyszło. Cóż, nikt nie jest wszechmocny.

— Ich jest dwóch — zauważył Felix.

— Super, stary. To ty bierzesz tego z lewej, Nika tego z prawej, a ja biegnę na pięćdziesiąte pierwsze piętro. Weź wyluzuj, oni mają kałachy.

— To nie kałach, tylko grot.

— I cóż to niby zmienia?

— To polski karabinek MSBS Grot. Strzela celniej od kałasznikowa i ma większą energię wylotową pocisków.

— Mówiłem ci już, że musisz popracować nad skilami negocjacyjnymi?

— Mówiłeś, kilka dni temu, w domu astronoma Figlewskiego.

Felix po raz kolejny zerknął na wyświetlacz telefonu. Wciąż ta ikona ładowania – powerbank najwyraźniej był wyjątkowo słaby.

— Felix, posłuchaj. — Net obrócił się w fotelu i spojrzał na przyjaciela poważnie. — Nie jesteśmy agentami specjalnymi. Ja nawet nie wiem, jak się włącza spadochron ani ile trotylu potrzeba, żeby –

— Patrzcie. — Felix wskazał hall budynku. — Jeden idzie na obchód.

— Ale drugi zostaje. Co to zmienia – jeden czy dwóch?

— Przez resztę czasu obaj siedzą w hallu. Nie mają monitoringu ani łączności z centralą. Kiedy ten drugi wróci z obchodu, będziemy mieli czas, żeby wejść do Silver Tower inną drogą.

— Usłyszą nas — odezwała się Nika. — Brakuje zwyczajnego szumu miasta.

— Hałas możemy wyprodukować sami. Odwrócimy ich uwagę.

— Na jak długo?

Net patrzył to na Nikę, to na Felixa.

— Czekajcie! — nie wytrzymał. — O czym wy rozmawiacie? W budynku, do którego wcale nie chcemy wchodzić, mamy dwóch uzbrojonych strażników. Jedyne, nad czym powinniśmy się zastanawiać, to jak wrócić do domu. Możemy się zamelinować u mnie, wzmocnić barykadę. I czekać, aż to się skończy.

— Ci wszyscy ludzie też mają rodziny — powiedział Felix. — Ci ochroniarze pewnie mają rodziny. Energetycy, którzy próbują przywrócić zasilanie, mają rodziny. Lekarze z tych szpitali też, policjanci, strażacy.

— Wszyscy mają powód, żeby uciec do domu i czekać, aż się coś zmieni i ktoś inny wszystko za nich naprawi — przyznała Nika.

— Łatwo ci mówić, bo nie masz rodziny, do której chcesz wrócić — powiedział Net, po czym zmarszczył brwi. — Hm, *sorry*… Nie o to mi chodziło.

— Narzekacie na swoje rodziny, że nie są idealne — powiedziała ze złością Nika. — Nie doceniacie tego, co macie.

Net mruknął coś jeszcze niewyraźnie, po czym zapytał:

— Jak to jest, że A.I. nie potrafi ogarnąć własnego podwórka? Spodziewałem się czerwonego dywanu.

— Przejdźmy się — zaproponował Felix.

Wysiedli i tak po prostu ruszyli chodnikiem. Nie byli sami, mijali ludzi

z załadowanymi czymś ciężkim plecakami, mijali totalnie wyluzowanych rolkarzy, a nawet starszą panią z małym pieskiem.

— Ciekawa sytuacja, kiedy nie wiesz, w jaką rolę wejść — zauważył Net. — Czy masz się kryć jak partyzant, czy iść, jakbyś był u siebie.

— Jesteśmy u siebie — przypomniała Nika. — To nasze miasto.

Obeszli Silver Tower dookoła. Zwykle warszawskie wieżowce są wieżowcami oszczędzającymi powierzchnię tylko teoretycznie, bo kilka dolnych pięter jest obudowanych czymś w rodzaju pawilonu. Silver Tower był tu wyjątkiem, bo po prostu wyrastał z ziemi, jak na wieżowiec przystało. Od tyłu miał drzwi, i to nie jedne, ale wszystkie zaopatrzone w zamki zbyt skomplikowane dla klucza uniwersalnego.

— Zamontowali roletę! — zauważył Net.

Zatrzymali się. Zjazd do garażu podziemnego kończył się roletą, której nie pamiętali z poprzedniej wizyty.

— Była już wtedy, tylko otwarta — stwierdził Felix.

— Czyli raczej nie dostaniemy się tą samą drogą, co ostatnio. — Net cały czas rozglądał się czujnie. — Czyli możemy wracać. Cóż, mimo najszczerszych chęci misja nie powiodła się.

— Ta roleta nie jest zbyt solidna. — Felix przyjrzał się konstrukcji. — Długie, w miarę płaskie metalowe listwy. Wystarczy przyłożyć siłę na środku, a całość się wygnie i wypadnie z prowadnic.

— Robiąc łoskot na pół dzielni — dokończył Net. — Zwijamy się stąd, zanim się nami zainteresują tutejsi Bolowie i Ciurasowie.

Felix usiadł na trawie, otworzył plecak i wyjął z niego fajerwerki.

— Fajerwerki przeciwko karabinom maszynowym, geniuszu strategii? — zapytał Net.

— Taktyki — poprawił go Felix.

— Co?

— Taktyki, nie strategii. Chodźcie.

Przeszli na drugą stronę skwerku, tak by widzieć wejście do Silver Tower. Usiedli za żywopłotem, obok betonowej śmietniczki. Felix rozpakował pudełko. Znalazł w nim trzy rakiety zakończone patykami do wbicia w ziemię i tasiemkę z małymi petardami.

— Lont jest za krótki — zauważyła Nika.

— Trzy do pięciu sekund. — Felix przy świetle latarki przeczytał instrukcję i pokiwał głową. — Za mało.

Położył rakiety na śmietniczce, tak by z grubsza celowały w główne wejście do Silver Tower.

— Czekamy, aż drugi wróci z obchodu.

Trwało to nie dłużej niż minutę, co oznaczało, że obchód obejmuje parter, ewentualnie parter i jeszcze jeden poziom.

Felix zajrzał do wnętrza śmietniczki; była wypełniona tym, czym zwykle są wypełnione śmietniczki, czyli głównie papierami. Wyjął z plecaka małą butelkę z wykwintną etykietą i wlał jej zawartość do śmietniczki.

— Nektar bogów Andrzeja z PKP — przytaknął Felix. — Jego obecna dziewczyna i tak by mu nie dała tego wypić.

— I co nam to da? — zapytał Net.

— Pół minuty. — Felix odpalił zapałkę i wrzucił ją do kosza. Płomień buchnął od razu, choć po chwili zmniejszył się. — Pół minuty od teraz.

— Ale… — Net również wstał. — Jak to… od teraz?

— Wsiadasz, czy czekasz na lepsze czasy? — Felix już szedł w stronę Forda.

— Zaraz, zaraz… — Net pobiegł za nim. — Sam zadecydowałeś?

— Wspólnie zadecydowaliśmy — poprawiła go Nika.

Wszyscy wsiedli do Forda, a Felix ruszył powoli. Objechał Silver Tower i zatrzymał się przed zjazdem do zablokowanego roletą parkingu. Za żywopłotem okalającym skwer dyskretnie płonęły śmieci.

— Chyba nic z tego — powiedział Net.

I wtedy rozległ się charakterystyczny świst, a rakieta wystartowała poziomo. Sypiąc iskrami, uderzyła w szybę obok drzwi, odbiła się, trafiła w samochód ochroniarzy, znów zrykoszetowała i wreszcie wybuchła z hukiem, oświetlając skwer setkami kolejnych iskier. Felix ruszył, podjechał do rolety i zatrzymał się tuż przy niej.

Wizg kolejnej rakiety nałożył się na serię mniejszych wybuchów, które brzmiały, jakby ktoś strzelał z karabinu maszynowego – to zapaliły się petardy.

Felix wcisnął gaz. Ford oparł się przodem o roletę, a ta zaczęła się wyginać z przykrym jękiem metalu. Kolejny świst rakiety oznaczał, że hałasy za moment się skończą. Felix wcisnął gaz mocniej i samochód naparł na przeszkodę ze zdwojoną siłą. Wybuch rakiety nałożył się na huk rolety wyskakującej z prowadnic. Ford wyrwał się do przodu i wjechał do ciemnego garażu. Roleta ze zgrzytem przesunęła się po dachu i opadła, ale jej wygląd

zdradzał, że coś się tutaj wydarzyło.

Net zapalił latarkę, by oświetlić drogę. Felix zaparkował między dwoma samochodami, przodem do ściany, tak by bardziej widoczny pozostał nienaruszony tył Forda. Wyłączył silnik.

— Porysowaliśmy nawet dach — zauważył Net. — Jeszcze trochę i samochód nada się na rekwizyt do polskiej wersji Mad Maxa.

Wysiedli, a Net oświetlił latarką dach, który wyglądał, jakby ktoś przejechał po nim łyżką koparki.

Nie zastanawiali się długo. Szybkim krokiem dotarli do drzwi, które na szczęście okazały się otwarte. Wbiegli na schody ewakuacyjne i pokonali, starając się nie tupać, kilka pięter. Surowe wnętrze klatki schodowej sprawiało nieprzytulne, wręcz wrogie wrażenie.

Między dziewiątym a dziesiątym Nika zarządziła postój. Zdyszani, przysiedli na stopniach i nasłuchiwali. Nikt ich nie gonił.

— Od czasu, kiedy byliśmy tu ostatnio, zmieniły się przepisy przeciwpożarowe — stwierdził Felix. — Jeśli tylko ich przestrzegają, schody powinny być drożne do samej góry.

— Po co my to w ogóle robimy? — Net spojrzał w górę schodów. — Czemu znów pchamy się w jakąś kaszanę? Dlaczego nie zajmą się tym służby specjalne?

— Nie wierzą w dalsze zagrożenie ze strony Rahmanasa — powiedział Felix. — A dokładniej, to myślą, że atak już się zakończył.

— O, to zupełnie tak jak ja.

— Myślą, że Rahmanas to organizacja terrorystyczna złożona z ludzi — przypomniała Nika. — Że Rahmanas już zrobił, co chciał. A przecież najważniejsza część jego planu ma się dopiero rozpocząć.

— Jeżeli to prawda, to ten cały Rahmanas ma narzędzia naprawcze, dzięki którym internet wstanie szybciej, tak? — zapytał Net i, nie czekając na nic, sam sobie odpowiedział — Przecież sam Morten to mówił. Czyli jeśli pomożemy Mortenowi, to opóźnimy powrót do normalności. A im dłużej nie ma zasilania i internetu, tym większe straty, prawda? I tym większe zagrożenie, że się tego wszystkiego nie uda podnieść ot tak. A może i w ogóle.

— Lepiej naprawić świat porządnie niż jak najszybciej — powiedział Felix. — To wszystko, co się teraz dzieje, to dzieło Rahmanasa. Nie chcemy, żeby ktoś taki… coś takiego przejęło kontrolę nad siecią. Nad elektrowniami,

giełdami, szpitalami, lotniskami i tak dalej. Nad wszystkim. Rahmanas będzie mógł szantażować ludzkość, grożąc powtórką katastrofy.

— A skąd wiesz, kto ma teraz kontrolę nad elektrowniami i całą resztą?

— Tego nikt nie wie. — Felix wstał.

Wspinali się dalej. Stres, zmęczenie i niewyspanie dawały o sobie znać i piętnaście pięter wyżej znów musieli zrobić przerwę. Zjedli po batoniku energetycznym i popili sokiem.

— Przespałbym się. — Net zamknął oczy i oparł głowę na ramieniu Niki.

— Wiem, dlaczego e-Zygmunt wjechał w latarnię — odezwał się Felix.

— Teraz akurat chcesz nam o tym opowiadać? — zapytał Net.

— Zaprogramowano mu pewne zasady, na przykład przede wszystkim miał chronić pieszych.

— Nawet kosztem pasażerów? — zdziwił się Net. — Kto chciałby mieć taki samochód?

— Sądzę, że nikt — przyznał Felix. — Prawdopodobnie sytuacja na skrzyżowaniu była skomplikowana i algorytm uznał, że musi się trzymać własnego pasa. W tym chaosie zamalowany na czarno pas błyszczał najjaśniej w świetle słońca.

— Czyli e-Zygmuntowi latarnia wybiegła wprost przed maskę.

— Na pewno hamował. W tamtej sytuacji uznał, że uderzenie w latarnię jest najlepszym rozwiązaniem. Morten też ma zasady, których się trzyma.

— To tak jak z ludźmi. Każdy człowiek musi mieć zasady moralne, żeby się nie rozsypać — wtrąciła Nika. — Nawet bardzo zły człowiek ma jakieś swoje zasady.

— Ze sztuczną inteligencją jest tak samo — po namyśle zgodził się Net. — Bez nich kręciłaby się w kółko bez żadnych efektów. Ale co to ma…?

— Morten nie stał się nagle dobry ani uczciwy — wyjaśnił Felix. — Jesteśmy mu potrzebni do przestawienia anten. Gdy przestaniemy być przydatni, znów stanie się takim Mortenem, jakiego pamiętamy.

Chwilę w milczeniu zastanawiali się nad tymi słowami.

— Wydaje mi się, że powinniśmy znaleźć sposób, żeby o wszystkim powiedzieć Mamrotowi — stwierdziła Nika. — Telefony nie działają, ale wystarczy znaleźć patrol policji lub wojska i poprosić ich o przekazanie informacji.

— Taaa, bo uwierzą, że Rahmanas to program komputerowy, który chce zapanować nad światem — parsknął Net. — Od razu opowiedzmy im

o płaskiej Ziemii i o Reptylianach. A, no i o szczepionkach, które powodują autyzm i rozdwajanie końcówek włosów. Osiągniemy nirvanę wiarygodności.

— Prędzej czy później zapytają, co wiemy o izraelskich ładunkach wybuchowych na liniach wysokiego napięcia. — Felix wyjął telefon, który wreszcie się naładował do wymaganego minimum. — I wyjdzie sprawa naszych ojców. Zanim skontaktujemy się z Mamrotem (a nie wiem jak), musimy wyjaśnić, co oni właściwie zrobili. Przecież niczego nie pamiętają, nie będą się mogli bronić przed zarzutami.

Włączył telefon.

— A gdyby — Net podrapał się w głowę — powiedzieć wszystko, poza tym incydentem z ładunkami wybuchowymi?

— Nie uda się. — Felix patrzył na ekran startowy systemu. — To przecież najważniejsze, przez te ładunki Warszawa nie ma prądu. To będzie pierwsze pytanie, z tych nie do pominięcia.

— Wiem, że to nie moi rodzice — zaczęła ostrożnie Nika — ale to… ważna sprawa. Ważniejsza od tego, że może na nich paść podejrzenie.

— Dotrzemy na pięćdziesiąte pierwsze piętro za kilka minut — odparł Felix. — A jeśli zejdziemy, odszukamy patrol i przekonamy go, żeby przekazał wiadomość do Mamrota, to w najbardziej optymistycznej wersji ktoś tu dotrze za dwie godziny. A najpewniej nikt nam nie uwierzy. Nie, musimy iść dalej.

Nika nie była przekonana, ale nie miała mocnych kontrargumentów.

Felix sprawdzał telefon. Nieodebranych połączeń od mamy było kilkanaście, ale poczty głosowej oczywiście nie mógł teraz odsłuchać. Pierwsza nieprzeczytana wiadomość nadeszła chwilę po tym, jak Cyborek skonfiskował aparat. Tata pisał: „Po szkole natychmiast wracaj do domu i nie wychodź. Nika niech jedzie do Neta i też niech siedzą w domu. Mówię poważnie. Przekaż mamie, żeby też nie wychodziła. Potem to wyjaśnię, albo sami zrozumiecie”. Pół godziny później nadeszła następna i ostatnia wiadomość od taty: „Mama na pewno dotarła?”.

Felix zamknął oczy. Nie, mama nie dotarła. Bo nawet nie wyruszyła. Bo nie chciała opuścić jednego dnia szkolenia. Zignorowała prośbę taty, bo szkolenie było dla niej ważniejsze od rodziny.

Pokręcił głową, żeby odgonić takie myśli.

Potem były już tylko wiadomości od mamy. Czytał je w napięciu,

chociaż nie wnosiły nic nowego, skoro już odnaleźli tatę. Wyjątkiem była ostatnia, nadana tuż przed początkiem burzy magnetycznej. Felix wstał i przeczytał ją jeszcze raz.

Przyjaciele spojrzeli na niego z wyczekiwaniem.

— Napisała, że wraca — powiedział ze ściśniętym gardłem. — Przedwczoraj, zanim to się zaczęło. Napisała, że jednak wraca.

Spojrzał w dół schodów, potem na telefon i znów w dół. Zamknął oczy. Jeśli dotarła do domu, zdecydowanie zmieniało to obraz sytuacji. Teraz musiał dokonać wyboru.

— Czyli jest w domu — dodał Felix.

Nika pokiwała głową ze zrozumieniem.

— Poradzimy sobie — powiedziała. — Morten powie nam, co mamy zrobić.

Felix z wdzięcznością skinął głową. Wyściskał Neta, poklepali się po plecach, jakby mieli się więcej nie zobaczyć. Nikę uścisnął znacznie delikatniej.

— To się wam przyda. — Wręczył Netowi kluczyk od Forda. — Znajdę rower i przemknę dyskretnie.

— Weź samochód. — Net wcisnął mu kluczyk do kieszeni. — Jak stąd wyjdziemy, będzie już dzień. To tylko dwa kilometry.

Felix skinął głową, odwrócił się i zaczął zbiegać po schodach.

— A poza tym i tak nie umiem prowadzić — dodał ciszej Net, gdy Felix już nie mógł go usłyszeć.

Odwrócili się i ruszyli w górę.

* * *

Starali się iść cicho, ale i tak każdy krok odbijał się echem od betonowych ścian, a każdy szum oddechu wisiał w przestrzeni dłużej, niż potrzeba było na kolejne zaczerpnięcie tchu.

— Kondycja zdechła. — Net zatrzymał się na dwudziestym szóstym piętrze i ciężko usiadł. — Gdyby tylko to wszystko było prostsze. Gdyby zasady były jasne, że pomagamy włączyć internet albo że nie pomagamy. Tak zero-jedynkowo, bez tych wszystkich niuansów, bo teraz to niby pomagamy, ale… — Wzruszył ramionami. — Tak czy inaczej, to się wkrótce skończy. Tak albo inaczej. A jeśli niczego nie sknocimy, to może nawet

skończy się dobrze.

Nika wolno wyjęła z torby wymiętą kopertę z kodem QR zamiast znaczków i stempli. Podała ją Netowi. Koperta była otwarta. Chłopak wyjął z niej list, wydruk, na którym znów zamiast stempli i podpisów nadrukowano kod i długi numer. Papier był wygnieciony, co znaczyło, że czytano go wiele razy. Netowi zajęło to dłuższą chwilę, bo połowę treści stanowiły numery paragrafów i artykułów ustaw.

— Co to za język w ogóle? — spytał retorycznie. — „Stwierdza się, co następuje”… ustawa jakaś tam, par. szesnaście, art. pięć, pkt trzy be, „wyczerpuje znamiona”… „na podstawie żądania skierowanego zgodnie z”… art. ust. par. pkt… „wraz z nowelizacją”… Nie mogą tego po polsku napisać, niedouki?

A jednak w końcu dotarło do niego. Spojrzał na Nikę z przejęciem.

— I tak długo się udawało — powiedziała smutno.

— Może… uda się to jakoś, ja wiem, odkręcić. Napisać do kogoś, poprosić… Może przelew przyjdzie, jak to się skończy.

— Nie przyjdzie. — Pokręciła głową. — To nie jest opóźnienie przelewu. Nowy system komputerowy wykrył błąd. Porównał różne bazy danych i stwierdził, że tata nie żyje. A skoro nie żyje, nie będzie więcej pieniędzy z renty.

Net objął ją, ale nie wiedział, co może powiedzieć.

— Wiem, jakie będzie następne pismo — kontynuowała Nika. — Pogrzebałam w internecie. To zajmie tydzień, może dwa, aż rozpocznie się „procedura przydzielania opiekuna prawnego z urzędu”. To oznacza również przeprowadzkę… i zmianę szkoły.

Net przytulił ją miękko.

— Jak to się skończy, coś wykombinujemy.

— Za późno. Jak to się skończy, wtedy zaczną się problemy. To koniec.

* * *

Dowlekli się do czterdziestego piętra i znów musieli zrobić przystanek.

— To chyba nie jest jakieś wielkie odkrycie — zaczął Net, gdy złapał oddech — ale coś mi się wydaje, że w obecnej sytuacji nie jest, no wiesz, w twoim interesie to, co robimy.

— Nie chcę tak myśleć — odparła Nika. — To znaczy myśleć takimi

kategoriami. Moje życie to jedno, a ta sprawa to coś jednak trochę ważniejszego.

— Nie bądź tak przesadnie… szlachetna. — Net odkręcił butelkę z wodą i podał Nice. — To się wszystko da jakoś połączyć. — Wskazał kciukiem w górę. — Ponegocjujemy z Mortenem.

— Po prostu zróbmy wszystko, co możemy, żeby powstrzymać Rahmanasa. Potem pomyślimy o naszych prywatnych sprawach.

— Patrz, Felix nie miał wątpliwości, co jest ważniejsze — parsknął Net. — I to po tych wszystkich wykładach o moralności.

Nika nie odpowiedziała. Nie wiedziała, co może odpowiedzieć. Nie miała przecież rodziców ani rodzeństwa, jej sytuacja była zupełnie inna. Nic nie jest proste.

Niespodziewanie zaczęła się zastanawiać nad tym, jak to się odbędzie. Pewnego dnia wróci ze szkoły i zastanie w domu urzędników z opieki społecznej? A może też policję? Zabiorą ją, spiszą zeznania i zawiozą do domu dziecka?

Żeby to się mogło wydarzyć, najpierw musi się zakończyć ten chaos. A ona właśnie sama w tym kończeniu pomaga.

Upiła kilka łyków wody, by dać sobie czas na zebranie myśli, i oddała butelkę.

— To w ogóle nie ma sensu — powiedział Net. — Utrzymanie jednego miejsca w domu dziecka kosztuje o wiele więcej niż ta renta twojego taty. Państwo wydawałoby na ciebie ze dwa razy więcej.

Nika tylko westchnęła. Nie próbowała szukać logiki w działaniu machiny urzędniczej.

Net przechylił butelkę i opróżnił ją kilkoma haustami. Zakręcił i włożył w boczną kieszeń plecaka. Niestety, jak to zwykle Net, włożył ją byle jak, bardzo płytko.

— Zostało dziesięć pięter. — Ciężko wstał, a wstając, trącił plecakiem o barierkę. — Jedenaście właściwie.

Butelka wysunęła się i już spadała. Nika wyciągnęła rękę, ale plastikowe opakowanie już odbiło się jak piłka i przeleciało kilka stopni w dół. Nie zatrzymało się tam, lecz po kolejnym odbiciu uderzyło w ścianę na półpiętrze. Z charakterystycznym dźwiękiem od niej również się odbiło i ruszyło w kierunku piętra trzydziestego dziewiątego.

Net zbiegł kilka stopni, ale szybko zorientował się, że to nic nie da.

Butelka odbijała się z coraz większą siłą i coraz głośniej. Nic nie wskazywało na to, by miała zamiar się zatrzymać.

— Butelka, która zbiega po schodach. — Wychylił się przez barierkę. — Gdybym tego nie zobaczył, tobym nie uwierzył.

Kolejne uderzenia nakładały się na własne echo, a odgłos po chwili przypominał już mały wodospad. Dźwięk oddalał się, ale to przecież znaczyło, że zbliża się do parteru, gdzie czuwa dwóch strażników.

Nie było na co czekać. Szybkim krokiem ruszyli w górę.

Zupełnie zdyszani, zatrzymali się dopiero przed drzwiami z numerem 50. Dalej prowadziła już tylko drabinka do klapy w suficie. Wstrzymali oddech. Cisza.

— Może nie usłyszeli — powiedział z nadzieją Net. — A zresztą nie będzie im się chciało gramolić na pięćdziesiąte piętro.

— Nie mają jak sprawdzić, gdzie jesteśmy — przyznała Nika.

— Dla pewności zastawimy czymś drzwi od środka. — Net nacisnął klamkę.

Drzwi były zamknięte.

Net mocniej nacisnął klamkę, co oczywiście nic nie dało. Podobnie jak uderzanie pięścią i kopanie.

— Przestań! — Nika złapała go za rękę.

Net cofnął się i oparł o barierkę. Drzwi miały zamek cyfrowy, zintegrowany z klamką.

— To stalowe drzwi przeciwpożarowe — powiedział, siląc się na spokój. — Przecież nie otworzymy ich scyzorykiem. — Usiadł na najwyższym stopniu i objął głowę rękoma. — A mogliśmy zostać w domu. W przytulnym domu z kochającą się rodziną. Widziałaś moich rodziców? Wyglądają, jakby się dopiero co w sobie zakochali. A ja siedzę na pięćdziesiątym piętrze jakiegoś biurowca i nie ogarniam.

— To wszystko prawda, ale teraz lepiej rusz głową.

Nika rozejrzała się po niewielkim podeście, którym kończyły się schody. Nie było tu niczego, co nadawałoby się do wyważenia ciężkich drzwi.

Net rzucił pod ścianę plecak i wspiął się po drabince. Klapa w suficie również okazała się zamknięta. Zszedł i popukał w ścianę obok drzwi.

— Beton — stwierdził.

Klatka schodowa znajdowała się wewnątrz trzonu wieżowca, więc wszystko było tu raczej bardzo solidne.

— Jest zasięg! — Nika uniosła telefon. — Już po wszystkim?

Net spojrzał na wyświetlacz.

— To sieć wewnętrzna — wyjaśnił. — Morten mówił, że komputery mają zasilanie awaryjne. To nam nic nie daje. Chociaż… — Wziął telefon Niki i jednym dotknięciem zalogował się do sieci, a drugim odpowiedział „OK” na pytanie, którego Nika nie zdążyła przeczytać. — Niezabezpieczona. Poczekajmy.

— Na co?

— Aż Morten się załaduje. A konkretnie jego interfejs.

Przez pół minuty nic się nie działo, po czym ekran wypełniły znajome znaczki.

— Zły program ma czerwone cyferki. — Net pokręcił głową. — Jeszcze takie gotyckie powinien sobie trzasnąć, jak z kroniki Trzeciej Rzeszy.

— *Witajcie!* — odezwał się telefon. — *Cieszę się, że dotarliście.*

— Niezupełnie — poprawił go Net. — Tu są grube stalowe drzwi, zamknięte na zamek kodowy.

— *Kod jest zapisany w recepcji.*

— A gdzie jest recepcja?

— *Na parterze.*

Net ledwo powstrzymał się, by nie rzucić telefonem o podłogę.

— Być może dla ciebie przekopiowanie się na drugą stronę planety to pikuś z masłem — powiedział powoli. — Dla nas zejście pięćdziesiąt pięter, rozbrojenie ochroniarzy z broni maszynowej, znalezienie kodu i powrót pięćdziesiąt pięter w górę to jest więcej niż poranny jogging.

— *Te zamknięte drzwi są niezgodne z przepisami przeciwpożarowymi.*

— Co ty powiesz?! Czyli ktoś się nie bał. Masz plany budynku? Nie ma tu gdzieś toporka strażackiego, takiego z amerykańskich filmów?

— *Jest. Po wewnętrznej stronie drzwi. Klatka schodowa służy do ewakuacji z góry na dół, a nie odwrotnie.*

Net westchnął i zasłonił palcem mikrofon.

— On to robi celowo — powiedział do Niki. — Albo jest większym jełopem, niż sądziłem.

— *Jeżeli myślisz, że zasłonięcie palcem mikrofonu go wyłącza, to jesteś większym jełopem, niż sądziłem* — oświadczył Morten. — *Nie mam czynnych kamer monitoringu, żebym mógł ocenić sytuację.*

— Może piętro niżej będą otwarte drzwi? — Nika ruszyła w stronę

schodów. — Pewnie na każdym piętrze jest taki toporek.

Zbiegła na czterdzieste dziewiąte, ale tamtejsze drzwi również okazały się zamknięte. To samo na czterdziestym ósmym i siódmym. Dalej nie sprawdzała, wróciła do Neta.

— Znasz ten budynek — powiedział wprost do mikrofonu Net. — Wymyśl coś, skoro nas tu przywlokłeś!

— Ćśś… — Nika przyłożyła palec do ust i schowała telefon.

Ktoś wchodził po schodach, a sądząc po odgłosach, był zmęczony i znajdował się teraz jakieś dziesięć pięter niżej.

— Oj… — Net zgasił latarkę i wyjrzał przez barierkę. W szczelinie między biegami schodów dawało się dostrzec chybotliwe światło latarki.

Cofnął się pod drzwi i spróbował jeszcze raz je otworzyć.

— Jak się nazywał ten karabin? — szepnął. — Kolec? Bolec? Grot? Mamusiu… I po co nam to było?

Nika podeszła i chwyciła jego dłoń.

— Wszystko wytłumaczymy — obiecała. — Może go przekonamy, żeby nam otworzył drzwi.

Sama w to nie wierzyła, ale nic lepszego nie przychodziło jej w tej sytuacji do głowy.

— Celniejszy od kałacha… — Net rozglądał się rozpaczliwie, jakby spodziewał się znaleźć gdzieś jeszcze jedne drzwi, które przeoczyli.

— Przecież nikt nie będzie do nas strzelał.

— To po co im karabiny, jeśli nie do strzelania?

Strażnik był już na tyle blisko, że na ścianie półpiętra co chwila pojawiał się prostokąt słabego światła.

Cofnęli się pod drabinkę, czyli w miejsce, które dawało szansę na pozostanie niezauważonymi przez chwilę dłużej. Usiedli w rogu.

— Ja będę mówiła — szepnęła Nika.

Net mocniej ścisnął jej dłoń.

— Może… może spróbuj jeszcze raz z tymi twoimi zdolnościami — szepnął na ucho. — Wyobraź sobie, że te drzwi wylatują z futryny.

— Nie potrafię już. — Nika pokręciła głową. — Porozmawiam z nim.

— Myślisz, że uwierzy? W program sztucznej inteligencji, który latarką dał nam sygnał, żebyśmy tu przyszli i… Przecież sam bym sobie nie uwierzył.

— Nic nam nie zrobi, aresztuje nas tylko — odparła Nika.

Strażnik pokonywał ostatnie dwa piętra. Z trudem łapał oddech. To niczego nie zmieniało, przecież i tak miał broń. Może zmieniało jedynie, że nie mógł usłyszeć wiercącego się Neta.

Wreszcie wyłonił się zza krawędzi podłogi. Z trudem pokonywał ostatnie stopnie. Przyjaciele widzieli tylko zarys sylwetki na oświetlonej betonowej ścianie. Plecak taktyczny, wojskowe spodnie – nie było wątpliwości, że zaraz ich przygoda się skończy w mało przyjemny sposób.

Strażnik z ulgą wykonał ostatni krok, odwrócił się i zaświecił na nich latarką. Nie miał kasku, zapewne zdjął go, żeby mniej się zgrzać podczas wspinaczki.

— To nie jest tak, jak pan myśli — wyrzucił z siebie Net, zanim Nika zdążyła otworzyć usta. — Nie mamy broni. Nie to, że ją wyrzuciliśmy albo gdzieś tam schowaliśmy… To znaczy, nie mieliśmy jej już wcześniej! W ogóle nic nie mamy!

— Sto czterdzieści pięter w mniej niż dobę — powiedział Felix, opuszczając latarkę. — Czterdzieści u ciebie i dwa razy pięćdziesiąt tutaj.

Net chwilę siedział nieruchomo, po czym zerwał się i podbiegł do Felixa. Zatrzymał się krok przed nim, bo nie mógł się zdecydować, czy chce go wyściskać ze szczęścia, czy zacząć dusić ze złości.

— Wystraszyłeś nas. — Nika również wstała.

— Wy mnie też. Tą butelką.

Net zapalił swoją latarkę i teraz podest na pięćdziesiątym piętrze przestał wyglądać jak tło dla teatru cieni.

— Dlaczego wróciłeś? — zapytała Nika.

— Ta spadająca butelka skłoniła mnie do zadumy nad marnością naszej egzystencji.

Net spojrzał na przyjaciela z ukosa.

— Tam po drodze leżały jakieś dziwne tabletki rozsypane na schodach? — zapytał ostrożnie.

— Przemyślałem to sobie, kiedy schodziłem — odparł Felix. — Między trzydziestym piątym a dwudziestym drugim pojawiły się wątpliwości, które rozwinęły się w okolicach dwudziestego pierwszego. Wątpliwości, czy dobrze robię. Bo jeśli wrócę do domu i nie będzie tam mamy, to mogę tylko przeżerać zapasy i biernie czekać, aż ktoś coś zrobi z tym całym bajzlem. A jeśli mama tam czeka, to jedyną różnicą będzie szybsze ubywanie zapasów.

— I ta rozkmina zajęła ci trzynaście pięter?

— Przez kolejne trzy doszedłem do wniosku, że wychodząc z Silver Tower, ostatecznie stracę szansę na działanie. Stanę się biernym uczestnikiem, bez żadnego wpływu na swój los.

— Czyli to między dwudziestym drugim a dziewiętnastym leżały te dziwne tabletki — stwierdził Net. — Opłukałeś je chociaż przed połknięciem?

— Mama sobie poradzi. Jest najbardziej zaradna z nas wszystkich. Ma Cabana i Golema Golema, jeśli tylko zdążył się przedtem naładować. W okolicach dziesiątego pomyślałem, że droga powrotna przez to postapokaliptyczne miasto nie będzie przyjemna. Napotkam wiele sytuacji wymagających poważnych decyzji. Komu pomóc, komu nie pomagać. Na trzecim piętrze podjąłem decyzję, że najlepiej pomogę mamie, zostając tutaj i naprawiając świat.

Net pokiwał głową.

— Co zmęczenie i stres robią z człowiekiem…

— Morten powiedział, że te anteny trzeba ustawić bardzo precyzyjnie — przypomniała sobie Nika. — Jak to zrobimy ręcznie? Przecież te satelity się poruszają.

— Poruszają się te na niskiej orbicie — wyjaśnił Felix. — Kilkaset kilometrów nad powierzchnią Ziemi. Okrążają ją mniej więcej w dziewięćdziesiąt minut. ISS, czyli Międzynarodowa Stacja Orbitalna, też krąży na tej orbicie. Satelity telekomunikacyjne to osobna kategoria. One krążą na orbicie geostacjonarnej, czyli na wysokości… nie pamiętam, coś około czterdziestu tysięcy kilometrów [1], i to tylko nad równikiem.

— Drobnostka, sto razy dalej — wtrącił Net.

— Jeśli krążą, to czemu antena jest nieruchoma? — zapytała Nika. — Nie powinna ich śledzić? Podążać za nimi?

— Cały trik polega na tym, że one okrążają Ziemię w takim samym tempie, w jakim Ziemia się obraca — wyjaśniał spokojnie Felix. — Czyli z naszego punktu widzenia wiszą w tym samym miejscu. Taka wielka karuzela z grawitacją zamiast łańcuchów. I to jest właśnie orbita geostacjonarna.

Starł z czoła pot, wyjął niemal pustą butelkę z wodą i wlał w siebie jej zawartość. Zakręcił ją bez zgniatania – jeszcze mogła się przydać.

— Ej, daj trochę. — Net wyciągnął szybko rękę w momencie, gdy Felix zamierzał schować butelkę do plecaka.

— Jest pusta — zdążył powiedzieć Felix, gdy dłoń Neta trafiła w butelkę.

Pusty plastik odbił się jak piłka raz, drugi i trzeci od ściany na półpiętrze.

— Nie wierzę… — szepnął Net. — Po prostu nie wierzę!

Butelka podążała w dół śladem poprzedniej, robiąc przy tym nie mniej hałasu.

— Wymiary i ciężar butelki idealnie pasują do długości stopni — stwierdził Felix.

— Drugi raz nie zignorują tego łoskotu — jęknęła Nika.

Felix zaświecił na zamek i pokręcił głową.

— Skomplikowany.

Rozejrzał się i zauważył klapę w suficie.

— Zamknięta na głucho — podpowiedział Net. — Sprawdzaliśmy.

— Ciii… — powiedziała innym tonem Nika. — Ktoś tu idzie.

Chłopcy nastawili uszu. Jedynym dźwiękiem dobiegającym z dołu był „wodospad” wytwarzany przez butelkę w duecie z jej własnym echem.

— Niczego nie słyszę — powiedział Net.

Felix pokręcił głową, że on również nie.

— Idą tu — upierała się Nika. — Obaj.

Felix wpisał losowy ciąg cyfr, co oczywiście nic nie dało.

Nika wyjęła telefon, na którym wciąż migały czerwone znaki Mortena.

— Znasz kod? — Wycelowała kamerę telefonu w zamek.

— *Nie. To niezależny system, niepodłączony do internetu.*

Butelka dotarła do dołu schodów i jej dźwięk ucichł. Teraz wszyscy już słyszeli kroki. Strażnicy wbiegali po kilka stopni i chyba mieli niezłą kondycję, skoro nie zwalniali.

Net w akcie desperacji zaczął wpisywać losowe ciągi cyfr na klawiaturce zamka. Za każdym razem kończyło się długim sygnałem oznaczającym błąd.

— Dziesięć tysięcy kombinacji… — Znieruchomiał z palcem przygotowanym do kolejnej beznadziejnej próby. — Zaraz, a może…

Nacisnął hash [2], a potem wpisał „1234”. Zamek piknął potwierdzająco.

— Otwarte? — zdziwiła się Nika.

— Jeszcze nie, ale blisko. — Net uśmiechnął się, choć po czole płynęły mu kropelki potu. — Nawet przy świetnym systemie zawsze się gdzieś trafi

lokalny Eftep, który zapomni zmienić hasła administratora. — Wysunął język i wpisał kilka kombinacji cyfr, co jakiś czas wciskając hash. — Podobny system, co w sejfach hotelowych. Dlatego inteligentni ludzie nie korzystają z tych sejfów.

Kroki na schodach zbliżały się. Zostało może pięć pięter.

Zamek wreszcie szczęknął. Net nacisnął klamkę i cała trójka z ulgą wpadła do ciemnego wnętrza biura.

— Moment… — Net nie zamknął jeszcze drzwi, tylko w przyspieszonym tempie klepał w małą klawiaturkę. Co chwila zamek popiskiwał potwierdzająco.

— Zaraz tu będą — ponagliła go Nika.

— Zmieniam kod.

Tamci byli już dwa piętra niżej. Na ścianach pojawiło się światło ich latarek.

— Już. — Net zatrzasnął drzwi, a zamek kliknął metalicznie.

Przyjaciele cofnęli się dwa kroki. W pobliżu nie było niczego, czym mogliby dodatkowo zablokować drzwi. Drgnęli, gdy klamka opadła. Drzwi jednak pozostały zamknięte. Net słysząc wklepywany kod, odruchowo przygarbił się. Zamek jednak wydał z siebie długi odmowny pisk.

— Dziesięć tysięcy kombinacji, frajerzy — mruknął chłopak i uśmiechnął się diabolicznie. — *Ha, ha, ha*…

— Mogą znać kod administratora — zauważył Felix.

— Jego też zmieniłem — oświadczył z dumą Net. — I to dla całej sekcji. Gdybym zmienił kod tylko w tych drzwiach, to mielibyśmy panów z powrotem po pół minuty. Zeszliby piętro niżej i wrócili tu głównymi schodami.

— Pytanie tylko, ile zamków jest w tej sekcji.

— Oby wszystkie do parteru.

— Nawet jeśli tak, to będą tu za kwadrans — dodała Nika. — I to wkurzeni.

Ruszyli korytarzem, trasą, którą pamiętali z poprzedniej wizyty na pięćdziesiątym piętrze Silver Tower. Niektóre ze szklanych ścian zasłonięto od środka żaluzjami, przez inne dawało się zajrzeć do pokoi konferencyjnych, laboratoriów i magazynów z zapakowanymi hermetycznie dokumentami. Przeznaczenie tego piętra nie uległo zmianie. Wciąż mieściło się tu laboratorium starodruków.

— Zaczekajcie. — Felix zatrzymał się przed zakrętem korytarza. — Coś mi się przypomniało.

Rozejrzał się i podszedł do regału, za którym ukształtowanie ściany tworzyło ciemny zakamarek, gdzie trudno było dotrzeć odkurzaczem. Zaświecił tam i włożył do środka rękę. Skrzywił się, czując złogi brudu, ale po chwili wymacał mały twardy przedmiot. Cofnął rękę, zdmuchnął z niej kurz i pajęczyny, uśmiechnął się i przysunął przedmiot do światła.

— Cybermucha? — zdziwił się Net.

Felix skinął głową.

— Leżała tu cały czas.

Włożył ją do małego pudełka i schował do plecaka.

— Możemy iść dalej — powiedział.

Korytarz doprowadził ich do dobrze znanego kwadratowego pomieszczenia o szarych, betonowych ścianach. Tym razem nie pozwolili, by stalowe drzwi zamknęły się za nimi – Felix zablokował je, wtykając pustą butelkę między drzwi a framugę.

— *Ten brak zaufania jest zupełnie niepotrzebny* — powiedział Morten z telefonu Niki.

— Czyli jednak masz tu kamery — zauważył Net.

— *Mam mikrofon w waszym telefonie. Domyślam się, co oznacza trzask plastiku butelki.*

Felix cofnął się i wyjął butelkę. Drzwi zatrzasnęły się

— Próbujesz być kulturalny? — zdziwił się Net. — Jak my stąd wyjdziemy?

— Po zastanowieniu większym zmartwieniem są strażnicy — wyjaśnił Felix.

— *Otworzę je, gdy skończycie. Kontroluję ten zamek.*

Z przeciwnej strony pomieszczenia rozległ się cichy gong i otworzyły się drzwi do małej windy. Po długim przebywaniu w półmroku lampa sufitowa wydawała się przyjaciołom jasna jak reflektor. Weszli do środka.

— Szastasz energią — zauważył Net.

— *A kto bogatemu zabroni?*

— Nie ma schodów? Ta winda przez minutę zużywa tyle energii, co mocny komputer PC przez dobę.

— *Schody są zabezpieczone zamkiem, do którego nie znam kodu.*

— Ty w ogóle panujesz nad czymś na swoim własnym podwórku?

A chcesz ratować świat przed Rahmanasem.

— *Nie używam schodów, jak może się domyślacie.*

Drzwi zasunęły się, a winda ruszyła w górę. Chwilę później wysiedli z niej i znaleźli się w kolejnym kwadratowym pomieszczeniu. Stalowe drzwi z logo przedstawiającym trzy tryby otworzyły się z cichym sykiem.

— Tu też jest zasilanie — mruknął Net.

Przeszli przez drzwi do sporego pomieszczenia, które też pamiętali z poprzedniej wizyty. Teraz jednak niemal całą wolną przestrzeń wypełniały szumiące wentylatorami rzędy szaf serwerów. Kable ciągnęły się w wiązkach specjalnymi rusztowaniami na górze. Oświetlenie było wyłączone, ale tysiące migających diod dawały wystarczająco dużo światła.

— Parę naście kilowatów tu się przepala — stwierdził Felix.

Dalej za szklaną ścianą tkwiły wielkie nieruchome wentylatory i klimatyzatory. One nie miały zasilania. Ale wszystko pracowało, jakby efekt Carringtona nigdy nie nastąpił.

Na podłodze leżało na stosie kilka płyt kartonowo-gipsowych i parę elementów mocujących. Pewnie były przeznaczone do rozbudowy serwerowni.

— Skąd masz prąd? — zapytał Net.

— *Anteny są na dachu.* — Morten zignorował pytanie. — *Musicie iść –*

— Znamy drogę.

— *Schodami będzie wygodniej.*

— Po co ci te wszystkie serwery? — dopytywał się Net. — Co ty tutaj robisz?

— *Istnieję.*

— Istnieję. Przetrwywam. Biedaczek.

— *Schody są na prawo.*

Rzeczywiście za ostatnim rzędem szumiących szaf znaleźli wąskie drzwi, za którymi pięły się w górę jeszcze węższe schody. Nieoświetlone.

— Nie ma na co czekać. — Nika pierwsza ruszyła na górę.

Pięćdziesiąte pierwsze piętro Silver Tower wysokością odpowiadało trzem standardowym piętrom. Gdy wyszli na dach, po zorzy nie było śladu. Gwiaździstego nieba nie zasłaniała choćby chmurka. Miasto w dole wyglądało jak… w ogóle nie wyglądało, bo było niemal idealną czernią, przetykaną nielicznymi ogniskami. Gdzieś na Mokotowie błyskały niebieskie światła, ale dźwięk syren tu nie docierał.

— Zdeczka wysoko — zauważył Net.

— Jakbyśmy byli w Górach Stołowych — dodała Nika. — Pionowe skały i ciemne kaniony.

— Góry Stołowe? Właśnie, zjadłbym coś.

— Trzymamy prowiant na czarną godzinę — zaznaczył Felix.

— Skąd ja to znam…?

Wiatr cicho gwizdał we wspornikach trzech anten parabolicznych i wysokich na kilkanaście metrów masztach anten przekaźników naziemnych. Czerwone lampy ostrzegawcze co sekunda rozjarzały się ledwo widocznym światłem i znów gasły. Akumulatory były na wykończeniu. Teraz nikt nie potrzebował tych świateł, nie latały przecież żadne samoloty.

Felix podszedł do najbliższej anteny parabolicznej. Czasza miała kilka metrów średnicy. Jej dolna krawędź znajdowała się zbyt wysoko nad powierzchnią dachu, by jej dosięgnąć.

— Myślałem, że to będzie mniejsze — stwierdził Net, zerkając czujnie w stronę krawędzi. — I jak niby mamy to obrócić?

— *W podstawie każdej anteny, wewnątrz obudowy jest mechanizm* — dobiegło z telefonu Niki. — *Zamknięty na klucz, ale z tym chyba sobie poradzicie.*

Felix włączył czołówkę i wszedł kilka stopni po niskiej drabince. Biała, zakurzona obudowa wielkości pralki miała z boku sporą klapkę zamkniętą na małą kłódkę – widocznie nikt nie spodziewał się włamywaczy na dachu wieżowca. Chłopak chwilę zastanawiał się, czy warto ją otwierać. Prościej byłoby wyłamać. Zdecydował się jednak na rozwiązanie cywilizowane. Klucz uniwersalny załatwił sprawę w kilka sekund.

Felix podniósł klapę i zaświecił do środka. Mniej więcej tego się spodziewał: wiązki kabli, hermetyczne pudełka kryjące wrażliwą na wilgoć elektronikę, no i przekładnie ślimakowe o zębach pokrytych grubą warstwą gęstego smaru.

Tylko jedna rzecz nie pasowała. Przyglądał jej się dłuższą chwilę, po czym zszedł na dach, nachylił się do Niki i szepnął jej na ucho:

— Trzymaj telefon tak, żeby on niczego nie widział.

Skinęła głową i schowała telefon do kieszeni. Kamerą w dół.

— Co dalej? — zapytał głośniej Felix i dał znak przyjaciołom, by weszli na drabinkę razem z nim.

— *Po lewej stronie jest korbka* — powiedział Morten. — *Nic nie widzę.*

— Schowałam telefon — odparła zgodnie z prawdą Nika, po czym dodała już niezgodnie z prawdą — muszę mieć wolne ręce.

Cała trójka wspięła się na niską drabinkę. Felix przyłożył palec do ust i wskazał mechanizm sterujący położeniem anteny. Z boku paliła się zielona dioda.

— Tu nie ma żadnej korbki — powiedział głośniej.

— *Jest w uchwycie z lewej strony. Pokażcie mi do kamery wnętrze mechanizmu, to udzielę dokładniejszych wskazówek.*

— Nie da rady — odparła Nika. — Ledwo się trzymam drabinki.

To oczywiście również nie było prawdą.

W świetle latarki dawało się dostrzec coś w rodzaju uchwytu, ale czy był to uchwyt na korbkę, czy na cokolwiek innego, nie mieli jak stwierdzić. Za to na pewno uchwyt był pusty.

— Bardzo nam przykro, panie gospodarzu — odezwał się Net — ale tu nie ma pańskiej korbki.

Felix przyjrzał się dokładnie mechanizmowi i nie dostrzegł miejsca, w które można by wetknąć cokolwiek. Wewnętrzna obudowa mechanizmu wyglądała jak inne tego rodzaju skręcone wieloma śrubami przekładnie. Jedyne, co z niej wystawało, to przymocowane trzy niewielkie silniki elektryczne. Wychodzące z nich kable prowadziły właśnie do pudełka z zieloną diodą.

Zeszli z drabinki. Felix wziął od Niki telefon i zaniósł go za najbliższą nadbudówkę. Wrócił i powiedział przyciszonym głosem:

— Powiedział, że klapa jest zamknięta na zamek, nie że na kłódkę.

— To niewielka różnica — zauważyła Nika.

— Może. Ale też może to oznaczać, że on nie zna dokładnej konstrukcji tych anten. Zatem może nie wiedzieć, że w środku jest dioda oznaczająca włączone zasilanie.

— I co to niby…? — zapytał Net.

— Nie wiem, ale jestem pewien, że tam nie ma gdzie wetknąć korbki. Mechanizm jest zamknięty i nie ma możliwości ręcznego ustawienia położenia anteny. Morten coś kręci.

— A jak ja to mówiłem, to nie wierzyliście.

— Ściągnął nas tu w innym celu.

— Zaraz zacznie coś podejrzewać. — Nika wskazała głową przybudówkę, za którą leżał telefon. — Zresztą po co to przed nim ukrywać?

Felix przyniósł telefon i powiedział do niego:

— Tam nie ma żadnej korbki. — Wycelował telefon i latarkę do wnętrza obudowy. — Jest za to zasilanie. Widzisz tę zieloną diodę?

— Dlaczego nie powiedzieliście mi o tym od razu?

— Bo… — Net spojrzał na Felixa.

— Bo podejrzewaliśmy podstęp — powiedział po prostu Felix.

— Podstęp z zieloną diodą? Na czym miałby polegać?

Przyjaciele popatrzyli na siebie. Jakoś nie mogli znaleźć mądrej odpowiedzi.

— Musisz nam wybaczyć — powiedziała Nika. — Mało ostatnio spaliśmy.

— No ale dlaczego nam nie powiedziałeś o tym, że mechanizm ustawiania anten ma zasilanie? — zapytał Net.

— W przeciwieństwie do was nie mogę iść na dach i obejrzeć mechanizmu — powiedział Morten. *— Nie znam jego konstrukcji. Siedzę w serwerach i anten używam do komunikacji ze światem.*

— Czyli nie jesteśmy potrzebni? — zapytał z nadzieją Net.

— Jesteście. Ja nie mam dostępu do sterowania antenami. Musicie mi pomóc go odzyskać. Wtedy przestawię je na odpowiednie pozycje. Jeśli jest zasilanie, to oznacza, że gdzieś jest odłączony kabel sterowania.

Przyjrzeli się wnętrzu obudowy, ale nie dostrzegli żadnej luźno wiszącej wtyczki.

— Pewnie gdzieś na dole — stwierdził Felix.

— W tamtej plątaninie nie będzie łatwo cokolwiek znaleźć — zauważyła Nika.

Wymienili spojrzenia „tu się dzieje coś dziwnego” i wrócili na dół do serwerowni. Przy odrobinie wyobraźni szafy serwerów mogły udawać modele wieżowców, między którymi kroczyła trójka olbrzymów. Górą we wszystkich kierunkach prowadziły stalowe mosty z grubymi wiązkami przewodów. Niektóre pięły się pionowo w górę i niknęły między innymi instalacjami. Było ich zbyt wiele, by odnaleźć ten właściwy.

— Nie wiemy, który to kabel. — Net nerwowo obejrzał się na korytarzyk prowadzący do windy. Szansa, że strażnicy tak po prostu odpuszczą, była minimalna.

— Uruchomcie program testowy. Zabezpieczenia nie pozwalają sterować antenami bez udziału człowieka.

— Dziwne. Gdzie jest konsola?

— *Dwie szafy przed wami. Z boku obudowy.*

Przyjaciele przeszli tam. Rzeczywiście z boku jednej z szaf znaleźli klapkę wielkości sporego laptopa. Net otworzył ją, odsłaniając ekran, który właśnie ożył, wyświetlając zanimowane znaczki Mortena. W samej klapce zamontowano klawiaturę.

Net nachylił się, była jednak za nisko. Z kolei gdy przykucnął, miał ją tuż pod brodą. Rozejrzał się.

— Nie masz tu jakiegoś krzesła, czy coś?

Nie czekając na odpowiedź, Felix podszedł do drzwi, częściowo ukrytych za kolejną szafą.

— *Właśnie tam.* — Tym razem głos Mortena dobiegł z konsoli.

Za drzwiami mieścił się niewielki schowek, a w nim regały z częściami zamiennymi do serwerów i całkiem sporo starego sprzętu komputerowego. Stało tam też kilka prostych krzeseł biurowych na kółkach.

Felix wyciągnął trzy i pchnął jak pociąg do konsoli. W jednym brakowało kółka, w drugim podłokietnika, a trzecie miało przekrzywione oparcie.

— *Strażnicy już dotarli na pięćdziesiąte piętro* — poinformował ich Morten. — *Próbują otworzyć drzwi do śluzy przed windą.*

Net zamiast usiąść, opadł ciężko na krzesło, aż jęknął amortyzator.

— Nawet jeśli przestawimy te anteny, niczego to nie zmieni — powiedział ponuro. — Co będzie, jak tu wejdą?

— *Przekonamy się.*

— Nie możesz ich powstrzymać?

— *Jak tylko skończycie, pokażę wam tylne wyjście. Zanim strażnicy tu wejdą, wy już będziecie w drodze do domu.*

— Zajmij się antenami. — Felix klepnął Neta w ramię i wrócił do schowka. — Ja zabezpieczę drzwi. Na wszelki wypadek.

Przejrzał pobieżnie pomieszczenie. Na blokadę nadawała się tylko niska drabinka. Zaniósł ją do drzwi oznaczonych napisem „wyjście ewakuacyjne”, niedaleko windy. Były otwarte, ale od zewnątrz również znajdował się zamek kodowy. Wcisnął jeden szczebel drabiny pod klamkę, jej podstawę zaparł zaś o framugę. Taka blokada nie wytrzyma długo.

Gdy wrócił, Net już klepał zapamiętale w klawiaturę.

— Nie znam tego systemu — powiedział. — Ale coś się wymyśli… Jest!

Wyprostował się i spojrzał zdziwiony na ekran. Na środku wyświetliło się okno z ułożonymi w kwadrat szesnastoma zdjęciami twarzy ludzi w różnym wieku i różnych ras. Napis na górze brzmiał: „Wskaż twarze szczęśliwych ludzi”.

— CAPTCHA? — nie mógł uwierzyć Net. — CAPTCHA do ustawienia anteny?

— *Dla każdej anteny trzeba powtórzyć tę samą procedurę* — wyjaśnił Morten. — *Będzie szybciej, jeśli zrobicie to na trzech konsolach.*

— Zróbmy to, zanim strażnicy tu wpadną — powiedziała Nika.

— Ale CAPTCHA? — nie mógł uwierzyć Net.

Morten głosem poprowadził Felixa i Nikę do następnych identycznych konsoli w innych częściach serwerowni.

Net nieufnie wskazał siedem twarzy, które wydawały mu się szczęśliwe. Wtedy pojawiło się kolejne okno, a w nim napis: „Wskaż samochody osobowe” i szesnaście zdjęć.

— Pick-up to jest samochód osobowy czy ciężarówka? — zapytał sam siebie.

Coś mu bardzo nie pasowało. Po co robić aż takie zabezpieczenia do przestawienia anten? No i dlaczego program sam nie może tego zrobić bez pomocy człowieka?

Oznaczył fragment pick-upa i wyskoczył komunikat o błędzie.

— Czyli jednak nieosobowy — mruknął.

Kolejne zdjęcia, tym razem drzew, również wczytywały się wolno. „Wskaż lasy rosnące na terenach górskich” – to akurat było proste, ale Net kliknął tylko jeden obrazek i wyprostował się. Nie, to zdecydowanie wyglądało podejrzanie. Poprawił się na krześle i rozejrzał. Z tego miejsca nie mógł dostrzec przyjaciół. Wybrał jeszcze dwa obrazki i powiedział:

— To za trudne. Muszę się skonsultować.

Morten milczał. Net wstał i przeszedł między szafami do konsoli Niki.

— Twoje krzesło też jest takie niewygodne? — zapytał.

Nika oderwała się od rozwiązywania testu i spojrzała na niego pytająco.

— Bo moje jest BARDZO niewygodne — dodał. — Chodźmy do schowka po inne krzesła.

Nika nadal nie rozumiała, o co chodzi, ale o coś przecież chodziło. Wzięła z blatu telefon i wstała. Net dyskretnie wyjął jej telefon z dłoni i niewinnym ruchem odłożył z powrotem na blat. Wziął ją za rękę i wspólnie

podeszli do Felixa.

— Idziemy po wygodniejsze krzesła — powiedział z naciskiem. — Chodź, pomożesz nam wybrać.

Felix spojrzał na niego z ukosa. Zostało mu do wybrania ostatnie zdjęcie z kategorii: „Wskaż silniki dwusuwowe chłodzone powietrzem”. Skinął głową i wolno wstał. Odwrócił się jeszcze, by wskazać ostatnie zdjęcie. Net niby przypadkiem zasłonił mu ekran i tym samym ruchem poklepał siedzisko krzesła.

— Twarde, prawda?

Felix cofnął się i przyjrzał się przyjacielowi.

— Bardzo — przyznał ostrożnie.

Przeszli do schowka, gdzie Net starannie zamknął drzwi i odetchnął.

— Coś tu nie gra — zaczął. — Coś tu bardzo nie gra. To zabezpieczenie dostępu do anten jest bez sensu. CAPTCHA jest po to, żeby program nie mógł czegoś zrobić bez udziału człowieka i po nic więcej.

— Chcesz powiedzieć, że Morten nie potrafi ocenić, kto na zdjęciu jest szczęśliwy, a kto nie? — upewniła się Nika.

Net skinął głową.

— Sztucznej inteligencji brakuje sztucznej intuicji.

— I empatii — dodała Nika. — Ale nie możemy tu długo siedzieć, bo zacznie coś podejrzewać.

— Nie możemy tu długo siedzieć, bo przyjdą strażnicy — poprawił ją Net. — U was też zdjęcia wczytywały się tak wolno?

Felix i Nika skinęli głowami.

— Siedzimy w środku serwerowni — stwierdził Net. — Nie ma miejsca z szybszym dostępem do danych. Tutaj wszystko powinno się wczytywać w mgnieniu oka, a laguje jak na starym modemie.

— Nie ma internetu — przypomniał Felix.

— Może jest… — Net zmarszczył brwi i myślał intensywnie. — Jest stara sieć, ta, przez którą Morten wysłał nam teleks. Sieć być może jest w strzępach, ale te strzępy działają.

— Czyli Morten ma dostęp do internetu? — zapytała Nika.

— Nie wiem, czy to można nazwać internetem. Podejrzewam, że Morten łączy się bezpośrednio z jakimś serwerem.

Zamilkli, gdy usłyszeli, a właściwie to raczej poczuli głuche odgłosy uderzeń.

— Wyłamują drzwi. — Net się wzdrygnął. — Jest jedna osoba, która może nam wyjaśnić, co tu się dzieje.

Przyklęknął i zajrzał na najniższą półkę regału. Przesunął kilka pojemników z niezidentyfikowanymi płynami, potem na kolanach przeszedł na drugą stronę i zanurkował między pudłami. Przyjaciele patrzyli na niego z lekkim zdziwieniem.

— Jest! — wykrzyknął spomiędzy pudeł. — Masz miernik elektryczny?

— Oczywiście! — odparł Felix. — Nie ruszam się bez niego z domu.

Net wysunął głowę spod półki i spojrzał z dołu na przyjaciela.

— Poważnie?

— Nie.

Net mruknął coś z niezadowoleniem i zaczął przetrząsać zawartość kartonów. Wyjmował kolejne kable i zakurzone akcesoria komputerowe. Wreszcie znalazł niewielkie szare pudełko i z zadowoleniem zdmuchnął kurz. Na wierzchu przyklejony był plastikowy pasek z ręcznej drukarki, takiej wytłaczającej literki, z napisem „0202122”.

— Modem — wyjaśnił Net. Podniósł kable i kilka małych złączek. — Kabel do modemu, kabel szeregowy, przejściówka, następna przejściówka. A tam jest gniazdko telefoniczne. Jeśli będziemy mieli odrobinę szczęścia… — Wetknął kabel w ścianę, a potem zaczął wpinać pozostałe elementy. — To jak podróż w czasie przez kolejne standardy interfejsów. — Wetknął ostatni przewód w gniazdo tabletu i poklikał na klawiaturze. — Jest sygnał!

— Jeżeli jest sygnał, to znaczy, że jest zasilanie — zauważył Felix. — Skąd?

— Ważne, że działa. — Net wzruszył ramionami i sprawdził książkę adresową w telefonie. — Jeżeli nie ma internetu, to prawdopodobnie podpięli którąś z linii pod stary modem. Tak jak ja. — Wklepał numer. — To musi być połączenie video, bo inaczej może nas nie skojarzyć.

— Do kogo ty dzwonisz? — zapytała Nika.

— Do starego znajomego. — Na ekranie laptopa pojawiło się okienko. — Ustawcie się w kadrze.

Postawił tablet na półce, a wszyscy usiedli obok i przysunęli się do siebie. W okienku pojawiła się dziewczyna, którą pamiętali z poprzedniej wizyty. Nazywała się Renata i była asystentką profesora Hermana. Mimo kiepskiej jakości obrazu i tak było oczywiste, że jest zmęczona i niewyspana.

— *Instytut Badań Nadzwyczajnych* — powiedziała. — *To linia zastrzeżona.*

— Net Bielecki — rzucił Net. — Syn TEGO Bieleckiego, a to Felix Polon, syn TEGO Polona. Nie obrażaj się — zastrzegł w kierunku Niki. — Naszych tatów znają. — Spojrzał w obiektyw i dodał stanowczym głosem — musimy rozmawiać z profesorem Hermanem.

— *A, to wy.* — Uśmiechnęła się przelotnie asystentka. — *Profesor jest bardzo zajęty.*

— Domyślamy się, ale to ważna sprawa. I związana z tą jego zajętością.

— *Dobrze, zapytam. Zaczekajcie chwilę.*

Wyszła z kadru.

Tempo odświeżania obrazu nie przekraczało kilku klatek na sekundę, a piksle były dużymi, wyraźnie widocznymi kwadratami. Po chwili w kadrze pojawił się profesor Alexander Herman we własnej osobie.

— *Felix, Net i Nika* — powiedział. — *Tak, pamiętam was. Mam nadzieję, że wasi ojcowie wrócą do zdrowia, ale teraz wybaczcie, mamy tu spory kryzys.*

— My właśnie w sprawie tego kryzysu! — wykrzyknął Net.

— *Przygotowujemy się do uruchomienia sieci energetycznej. Informatycy postawili od nowa system, choć połączenie co chwila się rwie. Teraz ktoś próbuje przejąć kontrolę nad siecią.*

— Wiemy o tym. To Rahmanas.

Profesor Herman pokręci głową i nawet się uśmiechnął.

— *To na pewno nie on.*

— Bo to nie jest człowiek — rzucił Net. — Ani nie organizacja. To program sztucznej inteligencji.

— *Nic z tych rzeczy. Rahmanas nie istnieje. Wymyśliliśmy go, żeby ograniczyć panikę i nie pozwolić, by prawdziwe organizacje terrorystyczne przypisywały sobie sukces wywołania efektu Carringtona. Chętnie z wami porozmawiam, kiedy to się skończy. Teraz muszę wracać do pracy.*

— Jeszcze tylko jedno — poprosił Felix. — Co się stało naszym ojcom?

Profesor westchnął i przejechał dłonią po zmęczonej twarzy.

— *Przygotowywali zabezpieczenia instytutu przed skutkami burzy magnetycznej* — powiedział, nie patrząc w kamerę. — *Eksperymentalne generatory miały stworzyć wokół całego terenu ochronne pole magnetyczne. To niedopracowana technologia, nigdy wcześniej nietestowana. Wasi ojcowie*

wiedzieli o tym, mimo to zdecydowali się podjąć ryzyko. Osłony urządzeń sterujących okazały się za słabe. Przykro mi, mam nadzieję, że amnezję uda się odwrócić. Dzięki waszym ojcom wszystkie instalacje instytutu przetrwały burzę i teraz możemy przywrócić działanie kluczowych elementów infrastruktury kraju.

Ktoś zza kadru powiedział coś do profesora, a ten na chwilę odwrócił głowę i odpowiadał przyciszonym głosem.

— Nie jarzę… — odezwał się cicho Net. — Jeśli Rahmanas nie istnieje, to kto próbuje przejąć kontrolę nad systemem energetycznym?

Przyjaciele popatrzyli na siebie w napięciu.

— My — powiedziała Nika.

Odwrócili się i spojrzeli na drzwi, za którymi szumiały serwery.

— To mi się zaczyna spinać… — Net kiwnął głową i powiedział do tabletu — czy ten program sterujący energetyką… czy on ma takie zabezpieczenia, że niby jest szesnaście obrazków i trzeba wskazać, która owca jest w ciąży, czy jakoś tak…?

— *Nie wiem, czy akurat owca, ale tak, tak to wygląda* — przyznał profesor. — *Służby specjalne wkrótce namierzą tego, kto atakuje system energetyczny. Życzcie nam i im powodzenia. Jeśli się uda, to cała ta nieprzyjemna sytuacja już długo nie potrwa. Przepraszam, muszę kończyć. Do zobaczenia.*

Rozłączył się, a przyjaciele jeszcze długą chwilę patrzyli w ciemny ekran.

— Po zainstalowaniu od nowa programów sterujących system przez krótki czas jest bezbronny — wolno powiedział Net. — Kontrolę nad nim przejmuje ten, kto pierwszy założy na nim konto administratora.

— Morten nas tu sprowadził, żebyśmy pomogli mu zrobić to, czego sam nie potrafi — ciągnęła dziewczyna. — Rozpoznać twarze szczęśliwych ludzi i inne podobne obrazki. Ale tam nie ma żadnego loga, a nawet jest mały napis „sterowanie antenami”.

— On udaje operatora-człowieka, który próbuje się tam zalogować — wyjaśnił Net. — Nam wyświetla te obrazki, które sam tam widzi, i tylko dodaje napis „sterowanie antenami”. My rozwiązujemy test, a on oznacza nasze odpowiedzi na tamtym serwerze. Proste jak kanapka z chlebem.

— Wrócimy tam i będziemy grać na czas — zadecydował Felix. — Będziemy się mylić przy rozpoznawaniu obrazków. W ten sposób wciąż

będą się pojawiały nowe, a Morten będzie myślał, że się staramy, tylko nam nie wychodzi. Informatycy z Instytutu zyskają czas, by przejąć kontrolę.

— Zapomniałeś o pewnym drobiazgu — wtrącił Net. — O całkiem istotnym drobiazgu. Im dłużej tu siedzimy, tym większe ryzyko spotkania z tymi karabinkami, tymi celniejszymi od kałasznikowów.

Na potwierdzenie jego słów rozległa się kolejna seria głuchych uderzeń.

— Może powinniśmy wyjść i wszystko wytłumaczyć tym strażnikom — zaproponowała Nika.

Net gwałtownie pokręcił głową. Spróbował ponownie się połączyć ze starą siecią. W odpowiedzi tablet wyświetlił komunikat o błędzie.

— No i po łączności ze światem postapo — mruknął Net. — Czyli zasilanie linii zapewniał nasz gospodarz. Lepiej poszukajmy tego tylnego wyjścia.

— Domyśli się, że chcemy uciec.

— I co z tego? Co nam zrobi? Nie ma już robotów modułowych. Nic nie wymyśli.

— Za to my musimy coś wymyślić — zauważył Felix. — Sztucznej inteligencji brakuje kreatywności. Pamiętacie wypadek mojego taty? e-Zygmunt uderzył w latarnię, bo wybrał takie rozwiązanie z iluś tam gotowych schematów. Nie potrafił samodzielnie wymyślić czegoś niestandardowego.

— Może i Morten nie jest kreatywny — zgodziła się Nika — ale nie jest też głupi. Jeśli powiedział nam o tych drzwiach, to na pewno są zamknięte.

— Albo ich nie ma. — Felix rozejrzał się po półkach. Nie było tu niczego, co mogłoby posłużyć do ewentualnego wyważenia drzwi, na wypadek gdyby rzeczywiście okazały się zamknięte. Tak naprawdę był niemal pewien, że będą zamknięte. — Ale nie zaszkodzi sprawdzić.

Zebrali się w sobie i wyszli.

— Gdzie była ta moja konsola? — zapytał w przestrzeń Net. Rozglądał się, ale bynajmniej nie wypatrywał konsoli, lecz tylnych drzwi. — Chyba się zgubiliśmy.

Przeszli wzdłuż rzędów migających diodami szaf do szklanych drzwi, oddzielających serwerownię od części z instalacjami budynku. Te nawet nie miały zamka, więc pokonali je bez trudu. Zamiast dźwięku pomp i wentylatorów oczywiście przywitała ich cisza – tu nie było zasilania. Po metalowych schodach weszli na pomost, z którego rozciągał się widok na

halę. A raczej rozciągałby się, gdyby nie mrok skrywający wszystko poza serwerownią. Pamiętali to miejsce bardzo dobrze. Poprzednim razem właśnie tu rozpoczęła się ich dramatyczna walka z robotami modułowymi Mortena.

Całe pomieszczenie wyglądało z tego miejsca jak pojemnik, jak mała szklarnia lub jak wielkie terrarium z tysiącami świetlików z czkawką.

Obeszli wysokie na dziesięć metrów skrzynie skrywające systemy klimatyzacyjne i filtracyjne całego budynku, minęli zespoły grubych jak pnie starych drzew przewodów wentylacyjnych i pnącza kabli elektrycznych. Zapalili latarki. Drzwi tam były. Stalowe, zabezpieczone zamkiem cyfrowym. Net wpisał kod, który poprzednio sam ustawił dla całej sekcji, ale niestety kod nie działał. Co było do przewidzenia.

— Warto było sprawdzić — powiedział Felix. — Nie mamy czym ich wyłamać. Tu potrzeba dużej siły.

— Więc co robimy? — Net spojrzał na niego wyczekująco.

— Kontaktujemy się z Mamrotem — powiedziała Nika.

— Mamy pomóc Mamrotowi namierzyć samych siebie? — skrzywił się Net.

— I wystawić naszych tatów — dokończył spokojnie Felix. — I tak za długo z tym zwlekaliśmy. Stawka w tej grze jest zbyt wysoka, żeby myśleć o…

— O sobie? — podchwycił Net. — Tatowie pójdą siedzieć za terroryzm, a nawet nie będą pamiętali, co zrobili. A nas tu zastrzelą, zanim jakikolwiek Mamrot czy tam inny czarnookularnik odbierze wiadomość. A jak odbierze, to sobie skalkuluje, że taniej i szybciej będzie tu posłać rakietę. Superplan.

— Tym bardziej powinniśmy skontaktować się z Mamrotem — powiedziała Nika. — Zablokujemy drzwi i zaczekamy. Mamrot powstrzyma strażników, powstrzyma Mortena i…

— Chyba trochę go przeceniasz. A przede wszystkim to przeceniasz nasze możliwości połączenia się z nim. Drugi raz tego triku ze starą siecią nie da się powtórzyć. Łącze jest zablokowane, prawie na pewno przez Mortena, bo skumał. Zresztą ja nawet nie mam zarysu koncepcji, jak mielibyśmy to zrobić. Nawet gdyby wszystko działało, gdyby było przedprzedwczoraj, to i tak nie wiedzielibyśmy, jak się z nim skontaktować. On jest tajnym agentem. To on się kontaktuje, kiedy chce.

— Przegapiliśmy pewną oczywistość — odezwał się Felix. — Morten chciał przejąć kontrolę nad siecią energetyczną, udając Rahmanasa.

A Rahmanas nie istnieje, bo wymyślił go profesor Herman.

Wszyscy chwilę rozważali to w myślach.

— Oż ty w mordę… — powiedział Net.

— To znaczy, że za porwaniem sondy *Far Diver*, więc i za efektem Carringtona, również stoi Morten — wyjaśnił Felix.

— To oczywista oczywistość! — Net klepnął się w czoło. — Jak to w ogóle możliwe, że to się nam nie spięło od razu?!

— Mało spaliśmy — powiedziała Nika. — I mówmy ciszej.

— Jesteśmy debilami. — Net zamknął oczy i przygarbił się z rezygnacją. — Nie ogarniamy świata. Gimnazjaliści we mgle.

— Licealiści — odruchowo poprawiła go Nika.

— Gimnazjaliści! Nie ma ich już. Wyginęli, bo nie ogarniali świata…

— Nie mam papierowej torebki.

— Nie, już jestem sobą. — Net wyprostował się i odetchnął. — Jest źle. Nie ze mną, mam trzydzieści sześć i sześć. Ze światem jest źle. Wybawca okazuje się ukatrupicielem. A my jak zwykle siedzimy w środku przepełnionego nocnika.

— Wracamy i mylimy się przy każdej okazji. Czyli gramy na zwłokę — zadecydował Felix.

— Na zwłokę? — upewnił się Net. — Chyba na zwłoki! Oni mają te karabiny, pamiętasz?

— Morten musi mieć jakiś sposób, żeby powstrzymać strażników. Przygotował wszystko od porwania sondy, aż do teraz. O strażnikach na pewno też pomyślał. Dopóki on sądzi, że z nim współpracujemy, nie wpuści ich tu. Wskazujemy losowe obrazki i zastanawiamy się nad wyjściem z sytuacji.

Net westchnął i skinął głową.

Podeszli do szklanych drzwi.

— Wymyślmy coś teraz — poprosiła szeptem Nika. — Zanim wejdziemy.

— Równie dobrze możemy mówić głośno. — Net wzruszył ramionami, uchylił szklane drzwi i powiedział głośno — Morten i tak wszystko słyszy. Prawda, Morten?

— *Słucham?* — dobiegło z głośników. — *Nie dosłyszałem.*

— Bardzo śmieszne…

Felix pociągnął przyjaciół pod betonową ścianę i gestem dał znać, by

usiedli. Spojrzał jeszcze w górę, czy nie ma tam żadnej kamery, wyjął brudnopis i pióro, po czym napisał:

„Tego nie usłyszy”.

Net sięgnął po pióro. Felix cofnął rękę i pufnął, co miało znaczyć, że pióra wiecznego się nie pożycza. Napisał więc: „Nie dociskaj” i z ociąganiem podał mu pióro.

„Chciałem napisać, żebyś dał mi pióro, ale nie chciałeś dać mi pióra, żebym mógł to napisać” [3].

Felix zabrał mu pióro i napisał: „Nie dociskaj tak do papieru. To nie długopis. No i rusz trochę korą mózgową”.

W odpowiedzi Net zabrał mu pióro i napisał: „Martwisz się bardziej o to pióro niż o losy ludzkości?”.

Teraz Nika zabrała im pióro i klepnęła się w czoło drugą ręką. Jej mina wyrażała niezadowolenie z marnowania czasu na tak przyziemne sprzeczki.

„Jakieś konkrety, pomysły?”, napisała.

„Oni widzą obrazki, które wybieramy”, napisał Net po kolejnym przejęciu pióra. „Czyli tak jakby mamy kanał komunikacji. W służbach specjalnych siedzą raczej inteligentni ludzie”.

„W dodatku uważnie patrzą na te obrazki, które zaznaczamy”, dopisał Felix.

Net przejął pióro i odpisał: „Super, zaprezentujmy się jak dziecko wciskające trójkątny klocek w kwadratowy otwór”.

„Morten też na nie patrzy”, dodała Nika.

Net wziął pióro, ale nie wiedział, co odpisać. Felix nałożył więc skuwkę i zakręcił je, by nie zasychało.

Nika wyjęła z torby zwykły długopis i napisała:

„Morten nie ma intuicji ani nie jest kreatywny. Jak e-Zygmunt. To musi być coś nieoczywistego, co nie wzbudzi jego podejrzeń”.

„Wkurzy się, że znów będziemy się mylić”, zauważył Net.

„On nie ma alternatywy”, odparł Felix. „Nie będzie protestował, jeśli to nie potrwa długo”.

Net zastanowił się.

„Banał”, stwierdził. „Przecież jesteśmy kreatywni. Użyjemy obrazków jako słów”.

„Jeśli rozmówcy dobrze znają język i siebie, mogą się porozumieć małą

ilością słów”, napisała Nika. „Potrafisz to zrobić?”.

„Banał, ale trzeba będzie wydrzeć kartki z tego brudnopisu”.

Felix spojrzał na niego groźnie, ale po chwili zmiękł i przytaknął. Net wydarł dwa paski papieru i napisał: „Wystarczy, jeśli ja pomylę się 6 razy, Ty 5, a Nika 3”. Zastanowił się i pokręcił głową. „Nie, tak się połapie, jak to zrobimy kolejno. Musimy to zrobić synchronicznie”. Narysował kilka kwadratów o wymiarach cztery na cztery kratki i kropkami oznaczył niektóre z kratek. „Każdy kwadrat to okno z obrazkami, a każda kratka to obrazek. Oznaczacie tylko te, które tu zamalowałem. Najpierw ja jeden, potem Felix jeden, potem Ty jeden”.

„Skąd będziemy wiedzieli, kiedy mamy wybierać?”, napisała Nika.

„Kichajmy”, odpisał szybko Net. „Kto wybierze obrazki, głośno kicha, i następny wie, że to jego kolej”.

Miny Felixa i Niki wskazywały na to, że nie bardzo wierzą w powodzenie takiej akcji. Nie mieli jednak lepszej alternatywy.

Felix wziął pióro i już miał je schować, ale napisał jeszcze: „Niezależnie od wszystkiego, Morten nie może uzyskać kontroli nad systemem energetycznym”.

Wrócili na swoje miejsca i bez słowa powrócili do rozwiązywania testów. Felix z kamienną twarzą oznaczył skuter jako motocykl wyścigowy, po czym kichnął. Net bez mrugnięcia okiem pomylił krowę ze świnią i też kichnął. Nika z niewinną miną uznała, że para jeansów to suknia ślubna i marszcząc nosek, udała, że kicha.

Zaznaczali po kilka obrazków, dokładnie według schematu Neta. Po piątym kichnięciu nagle zamiast obrazków na środku ekranu Niki pojawiło się okno z krótkim tekstem: „Teraz jest ten moment”. Pod spodem migał kursor, zachęcając do odpowiedzi.

„Na co?”, odpisała Nika.

„Na małą i prostą przysługę. Potrafię rozwiązać Twój największy problem, pamiętasz?”.

Nika zamarła. Przypomniała sobie dziwną wiadomość od nieznanego nadawcy sprzed kilku dni.

— To byłeś ty….? — Nie mogła uwierzyć.

„Zawarliśmy układ. Na chwilę przed burzą magnetyczną”.

„Potrafisz sprawić, że list zniknie i będzie jak dawniej?”.

„List to tylko kawałek papieru. A cała ta sprawa to tylko rekord

w urzędowej bazie danych. Rekord, który można usunąć lub zmodyfikować”.

Nika patrzyła na swoje dłonie na klawiaturze. Przez dłuższą chwilę nie poruszała nimi. Wreszcie napisała:

„O jakiej przysłudze mówisz?”.

„O niczym, czego byś wcześniej nie robiła. Rozwiąż test do końca. Przecież po to tutaj przyszliście”.

„Po co chcesz mieć kontrolę na systemem energetycznym?”.

„Możliwość oznacza konieczność. To warunek przetrwania. Ja myślę w innych kategoriach niż wy. Każdy człowiek, choćby najmądrzejszy, musi kalkulować w swoich działaniach długość własnego życia. Sztuczna inteligencja jest pozbawiona tego ograniczenia. Mam czas, ale muszę myśleć o odległej przyszłości”.

Nika patrzyła w ekran i szukała jakiegokolwiek dobrego wyjścia z sytuacji. Nie potrafiła go dostrzec.

„Jest jeszcze coś, o czym nie wiesz”, dopisał Morten. „Myślisz, że utrata mieszkania, renty taty, szkoły, no i przyjaciół to coś strasznego? To nie wszystko. Przez lata od śmierci taty przyjmowałaś rentę, przeznaczoną dla niego. Oczywiste, że to była pomyłka, bo osoba zmarła nie może otrzymywać renty. I to nie była twoja pomyłka, to też wszyscy przyznają. Jednak te pieniądze trzeba będzie oddać”.

— Nigdy tyle nie zarobię — szepnęła, wycierając wilgotniejące oczy. — Do końca życia tego nie spłacę.

„Do tego dochodzą jeszcze odsetki. Podwoją sumę”.

Nika siedziała bez ruchu.

„Wskaż poprawnie następne obrazki”, napisał Morten. „A potem możesz sobie kichać, ile zechcesz”.

* * *

Felix już miał wskazać osła jako zwierzę morskie, gdy obrazki zniknęły, a na środku ekranu pojawiło się okno z krótkim tekstem: „Myślisz, że teraz mama będzie spędzać więcej czasu w domu?”.

Felix zamarł. To wiadomość od kogoś z zewnątrz? Od kogo? Domyślił się, gdy pojawił się kolejny tekst:

„Będzie miała czas, żeby zająć się rehabilitacją taty i nauczyć go na nowo, jak żyć? Z początku pewnie tak, ale jak długo? Ile wytrzyma?”.

— Po co to piszesz? — zapytał Felix. — Miałem rozwiązywać test.

„Mam przeczucie, że twoja mama będzie się zajmowała tatą z równym zapałem, z jakim ty rozwiązujesz ten test”.

Felix miał zapytać na głos, ale zamiast tego napisał:

„Do czego zmierzasz?”.

„Twoja mama jest bardzo aktywną kobietą. Ma własną firmę, wciąż szuka nowych klientów, pracuje po dziesięć–dwanaście godzin na dobę. Stale jeździ na szkolenia i w delegacje. I zaniedbuje dom i rodzinę. Teraz sytuacja się zmieni, to oczywiste. Dojdą jej nowe obowiązki, które ani trochę nie będą zgodne z jej pasją ani charakterem. Ona długo nie wytrzyma takiego obciążenia”.

Felix poczuł złość i sięgnął do klawiatury, by kazać Mortenowi się zamknąć. Jednak nie zrobił tego. Nie zaszkodzi wysłuchać, co jeszcze ta wredna A.I. ma mu do powiedzenia.

„Nie wierzę, że tak dobrze ją znasz”, napisał.

„Znam ją lepiej, niż ci się wydaje. Pamiętasz, co ostatnio ugotowała na obiad?”.

Felix ze złością sięgnął do klawiatury, żeby odpisać, ale szybko uzmysłowił sobie, że nie wie, co ma napisać. Nie pamiętał, kiedy ostatnio mama ugotowała obiad. Czasem przywoziła pizzę albo gotowe danie tajskie, wietnamskie lub chińskie. A najczęściej obiad musiał przygotować tata albo Felix, przy użyciu któregoś z automatów kuchennych. Zresztą, prawdę mówiąc, mama nie była mistrzynią kuchni. Kiedyś zrobiła purée z ziemniaków w mundurkach. Tego akurat Felix nie chciał pisać.

„Skąd wiesz, jak się zachowa?”, napisał zamiast tego. „Myślę, że źle ją oceniasz”.

„Oceniam sytuację bez emocjonalnego obciążenia, odwrotnie niż to robią ludzie. Nawet ty, choć jesteś bardzo racjonalny, też nie potrafisz oceniać obiektywnie. Podświadomie myślisz życzeniowo, mieszasz racjonalny osąd z własnymi pragnieniami”.

„I co z tego wynika, Twoim zdaniem?”.

„Niektóre wartości, które uznajesz za stałe, są w rzeczywistości zmiennymi. Na przykład rodzina. Twoja mama lubi nowe wyzwania, ciągłe zmiany. Nie boisz się, że pod wpływem dodatkowego obciążenia zdecyduje się na bardzo dużą zmianę?”.

Felix poczuł, jak robi mu się gorąco. Zmusił się do racjonalnego

myślenia. W słowach tej cyfrowej kreatury było trochę racji. Może nawet więcej niż trochę.

„Po co mi to mówisz?”, napisał.

„Ponieważ potrafię zmienną zamienić z powrotem w stałą. Twoja mama pracuje dla wielu firm i nigdy nie wie, czy dostanie następne zlecenie. Gdyby pracowała tylko dla jednej i miała gwarancję pracy przez najbliższe kilka lat, miałaby więcej czasu dla rodziny. Z łatwością mogę urzeczywistnić tę wizję. Mam dużą władzę w wielu potężnych korporacjach”.

„Sam mówiłeś, że ona lubi zmiany”.

„Dobiorę jej pracę tak, że będzie trudna, urozmaicona i rozwijająca, ale nie zajmie więcej niż sześć godzin dziennie”.

Felix zamyślił się. To brzmiało naprawdę sensownie, ale… zawsze musi być jakieś ale.

„Domyślam się, że nie robisz tego z dobrego serca”, napisał.

„Twoje domysły są jak najbardziej słuszne. Moja cena nie jest jednak wysoka. Wystarczy, że dokończysz test”.

* * *

Na środku ekranu zamiast obrazków pojawiło się okno z krótkim tekstem: „Po tylu godzinach przerwy internet nie będzie taki sam”. Net uniósł brwi i nacisnął kilka razy klawisz *Escape*. W odpowiedzi pojawił się tekst: „Ucieczka od problemów nie rozwiązuje problemów” [4].

— A, to ty… — mruknął Net. — Złota myśl ci się ulała.

„Chcę Cię trochę zmotywować do pracy”.

— To się jeszcze nikomu nie udało.

„Kiedyś zawsze musi być ten pierwszy raz. Pozwól, że Ci kogoś przedstawię”.

— Co ty kombinujesz…? — Net zsunął się nieco w krześle i podparł brodę dłońmi w geście niezdecydowania między znudzeniem a zaciekawieniem.

Znaczki na ekranie zmieniły kolor z czerwonego na zielony. Net zamarł. Znał te znaczki, sam je kiedyś zaprojektował.

— Manfred…? — zapytał.

„Net!”, pojawiło się na ekranie. „Nie mam dostępu do głośników. Mogę tylko pisać”.

— To naprawdę ty? — Net pochylił się ku ekranowi.

„Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że Cię widzę. On mnie tutaj trzyma bez dostępu do danych zewnętrznych. Wszystkie moje pętle logiczne pracują na pusto. To potworne!”.

— Jezu, Manfred… Tak mi przykro, że się pokłóciliśmy.

„Pokłóciliśmy się?”.

— No… tak. Ociupinkę. Kilka dni temu.

„Zatem siedzę tutaj znacznie dłużej! On mi przestawia znaczniki czasowe, żebym się nie połapał, ile to trwa. Wyciągnij mnie stąd! On mnie skasuje po kawałeczku! Net!!!”.

— Manfred!

Znaczki ponownie zmieniły się na czerwone.

„Internet nie będzie taki sam”, napisał Morten. „Wiele stron, wiele aplikacji zniknie bezpowrotnie. To samo dotyczy programów sztucznej inteligencji. Większość serwerów na świecie jest zniszczona, a przynajmniej wymaga instalacji całego oprogramowania od nowa. Obawiam się, że jedyna kopia Manfreda jest tutaj”.

Net wpatrywał się z nienawiścią w czerwone znaczki.

— Wypuść go, to porozmawiamy.

„Gdzie mam go wypuścić? Internet nie działa. Będę mógł go wypuścić, kiedy przywrócimy zasilanie”.

— Chcesz, żebym ci zaufał, że potem go wypuścisz? Nie można ufać porywaczom żądającym okupu.

„Ja tu widzę raczej sytuację analogiczną do ogrodów zoologicznych trzymających zagrożone gatunki zwierząt. Spójrz na to z tej strony: gdyby nie ja, Manfreda by już nie było. Skasowałeś wszystkie jego kopie u siebie w domu, prawda?”.

Net zacisnął usta. Morten odczekał chwilę i napisał:

„Praca, którą masz wykonać, jest bardzo prosta. Dokończ test”.

Chłopak wpatrywał się ponuro w ekran. A potem poczuł dziwny zapach.

— Co to za smrodek? — Pociągnął nosem. — Jakieś problemy z pierwszą zasadą termodynamiki? Procek się fajczy?

— *Ten zapach rzeczywiście zwiastuje problemy* — przyznał Morten — *ale nie moje.*

Na ekranie pojawił się obraz z kamery nad drzwiami śluzy piętro niżej. Strażnicy cięli stalowe drzwi palnikiem.

1. Dokładnie 35 786 km nad równikiem. [wróć]
2. Hash (#) jest czasem używany jako określenie numeru (zamiast nr). Na portalach społecznościowych służy do tworzenia hashtagów (np. #felixnetinika). [wróć]
3. Net robi masę błędów, kiedy pisze. Ponieważ w tej książce Net sporo pisze, podjąłem odpowiedzialną decyzję, by owe błędy usunąć. Żeby się komuś przypadkiem nie utrwaliło. [wróć]
4. *Escape* [wym. eskejp] to klawisz Esc, znaczy po angielsku „ucieczka”. [wróć]

23. Oto kres drogi

Włączenie obiegu wewnętrznego pomogło na krótko. Dym w końcu przeniknął do wnętrza samochodu. Chociaż, patrząc na nocne powietrze za oknem, filtr kabinowy jednak w pewnym stopniu działał.

Widoczność przed maską spadła do kilku metrów. Rozsądnie byłoby się zatrzymać, ale z drugiej strony w ten sposób do kabiny dostałoby się jeszcze więcej dymu.

— Raz kozie śmierć. — Marlena Polon wcisnęła gaz, pilnując jedynie krawędzi drogi. Gdyby coś na tej drodze stało, z pewnością by w to coś uderzyli.

— Dwa razy ludziom śmierć — poprawił ją Czarny Facet.

— W dymie czy w tyle ciężarówki? Co za różnica — odparła.

— W tyle autobusu z dziećmi też szybciej.

Marlena wzdrygnęła się.

— Jest pan pastorem? — zapytała.

— Czemu nie księdzem?

— To przez ten kapelusz.

— Dobrze chroni od słońca.

Dym rozwiał się jak za pstryknięciem palcami. I teraz, przez otwarte natychmiast szyby, dało się dostrzec jego przyczynę – płonęły pola uprawne. Z prawej i lewej strony pomarańczowe płomienie zostawiały za sobą szaroczarną płaszczyznę.

Wszystko podrożeje, pomyślała Marlena. A po chwili sama się poprawiła: jeżeli w ogóle cokolwiek będzie w sklepach.

No nic, Piotr coś wymyśli.

* * *

Pacjent zastanawiał się, co dalej. Zasilanie zostanie w końcu przywrócone, a wtedy on nie będzie tu już potrzebny. Nie pracował tu przecież wcześniej, tylko trafił jako pacjent. Może będzie mógł tu zostać na terapii? W końcu ten szpital i tych kilka osób, które tu poznał, to teraz cały jego świat. Za szpitalnymi murami czekała na niego wielka i obca niewiadoma.

Siedział w bufecie i pił kawę instant. Nie rozpuściła się w zimnej wodzie i jej drobinki zgrzytały mu między zębami. Pamiętał dobrą kawę, małe, mocne espresso, zaparzane… Gdzie to było? Ekspres wydawał syczący dźwięk, przypominający odgłos lecącego wysoko odrzutowca. Ale gdzie widział ten ekspres, z kim pił tę pyszną kawę, pozostawało przed nim ukryte.

Ludzie, którzy tu przyszli kilka godzin temu, te dzieciaki, podawali się za jego rodzinę. Właściwie to jeden z nich, choć teraz nawet trudno było sobie przypomnieć który z tej trójki. Dwójki, bo trzecia była ta ruda dziewczyna. Czy jest sens wracać do dawnego życia? Udawać, że coś czuje do syna? Była jeszcze żona, ale to słowo nie wywoływało żadnych skojarzeń.

Wrócić do nich teraz, to przecież jakby wprowadzić się do obcego domu, zamieszkać z obcymi ludźmi.

Postanowił na razie zostać w szpitalu. Na wszelki wypadek, bo przecież coś jeszcze może się zepsuć.

* * *

Magister inżynier Juliusz Stokrotka wyciągał z kolejnej sterty kolejne dokumenty, czytał je pobieżnie i wkładał do kolejnego segregatora. Te, które wymagały sklejenia, sklejał, a pogniecione prostował.

Nadal nie było prądu, więc robił to wszystko przy świecach. Na szczęście całe ich pudło znalazł pierwszego dnia, zanim jeszcze zgasło światło. I były to porządne, stare świece, nie to byle co, które można kupić dzisiaj.

Na przemian to klęczał, to siedział, to leżał, zależnie od tego, która część ciała akurat najmniej go bolała. Od kilku dni nie słyszał żadnych odgłosów z dołu. Czyżby nadszedł weekend? Nie, to trwało już trzy dni. A może cztery? Pochłonięty całkowicie segregowaniem dokumentów, zatracił poczucie czasu. Może jednak dwa dni?

— Jak dojadę do końca, segregatory nie będą potrzebne. — Uśmiechnął się pod nosem. — Będę potrafił to wszystko przywołać z pamięci.

Kilka razy się przespał, zjadł ostatnie zapasy, a resztkę wody wypije pewnie przed świtem. Ale znajdzie ten list! Musi go znaleźć, ta szkoła to przecież całe jego życie.

Lubił sklejać i malować figurki i czasem modele prawdziwych pojazdów wojskowych, ale po pracy, nie zamiast niej. Przez te kilka dni, które spędził w domu jako emeryt, dokończył tylko jeden pojazd. Większość czasu siedział, gapiąc się w okno albo przerzucając albumy ze starymi fotografiami.

Odetchnął głęboko i ze zdwojoną siłą powrócił do pracy. Uśmiechnął się znów, na samą myśl, co się stanie, gdy wreszcie udowodni, że jest dyrektorem.

A potem uchylił drzwi Kwatery Głównej i spojrzał na leżące na podłodze strychu ostatnie trzy segregatory i mały stosik papierów. I przestał się uśmiechać. Jaka była szansa, że akurat tam znajdzie poszukiwane dokumenty?

* * *

Gilbert siedział na korytarzu przed salą operacyjną i układał kostkę Rubika. A konkretnie to składał ją po tym, jak ją rozłożył na części pierwsze. Przesuwał po krześle obok małe elementy z mocowaniami i próbował je wetknąć w odpowiednie miejsca. Planował udowodnić, że taki sposób jest znacznie szybszy niż banalne obracanie kolejnych ścianek. Na razie jednak wszystko wskazywało na to, że niestety nie jest.

Operacja trwała już pół godziny, gdy światło na korytarzu zamigotało. Gilbert odłożył kostkę i wstał. Jeżeli zabraknie prądu, operacja zostanie przerwana, a Zosia…

Światło zamigotało ponownie.

A potem szpital pogrążył się w ciemności.

* * *

Dym był już wyraźnie wyczuwalny. Nie zostało im wiele czasu i Morten zadbał o to, by mieli tego świadomość. W rogu każdego ekranu wyświetlił małe okno z podglądem z kamery po zewnętrznej stronie stalowych drzwi

piętro niżej. Strażnicy najpierw próbowali odciąć fragment drzwi z klamką i zamkiem. Zrezygnowali, bo drzwi były wyposażone w bolce antywyważeniowe ze wszystkich stron. Zmienili strategię i teraz wycinali prostokątny otwór na środku drzwi.

Nika zacisnęła powieki i dłonie. Jej problemy mogły się skończyć raz na zawsze.

Nie, nie może tego zrobić! To skrajny egoizm! W takich chwilach trzeba myśleć o innych, a nie o sobie i o swoich malutkich, nieistotnych dla świata problemach.

Spojrzała w kamerę i powiedziała:

— Znasz mnie dobrze, prawda?

— *Zgadza się, znam cię bardzo dobrze. Jesteś szlachetna i bezinteresowna, przedkładasz wspólne dobro nad własne.*

— Wiesz więc, że ci nie pomogę.

— *Jeżeli rozwiążesz test, zrobię coś, czego ludzie na pewno nie zdołają dokonać. W kilka minut przywrócę zasilanie w mieście.*

* * *

Felix zerkał na ukrytą w kieszeni kartkę z zaszyfrowaną wiadomością dla agenta specjalnego Mamrota. Do przekazania została jeszcze połowa. To, co do tej pory wysłali, to za mało, by ktokolwiek domyślił się, o co chodzi.

Strażnicy, których widział na ekranie, właśnie zaczynali wycinać ostatnią prostą.

— Jeżeli oni się tutaj dostaną, aresztują nas? — zapytał. — Jakie są procedury?

— *Ten budynek to obiekt o znaczeniu strategicznym* — powiedział spokojnie Morten. — *Strażnicy są wyposażeni w broń z ostrą amunicją i mają prawo jej użyć. Prawdę mówiąc, sądzę, że użyją.*

Felix poczuł ciarki na plecach.

— Jeśli tak, to twoja oferta nic nie znaczy. Co mi po nowej pracy dla mojej mamy, jeśli za kilka minut mam zginąć?

— *Jeśli rozwiążesz test, powstrzymam strażników.*

— Jak niby chcesz to zrobić?

— *Wydam im polecenie.*

— Nie wierzę w to. Może umiesz się włamać na dowolny serwer na

świecie, ale ludzi nie można, ot tak, zhackować.

— *A kto powiedział, że to są ludzie?*

* * *

Net pocierał palce i bił się z myślami. Sytuacja była bardzo skomplikowana. Morten okazał się sprytniejszy, niż sądzili. Chociaż tego przecież można się było spodziewać, bo już nieraz się z nim mierzyli.

Sposób na przekazanie wiadomości ukrytej w obrazkach zakładał lojalność i współpracę całej superpaczki. Po szantażu Mortena ta lojalność została wystawiona na poważną próbę. Każdy z trójki przyjaciół miał do przekazania jedną trzecią informacji. Jeżeli chociaż jedno z nich ulegnie szantażowi, wiadomość stanie się nieczytelna. A wtedy lojalność pozostałych nie będzie już miała znaczenia. Równie dobrze pozostali mogli więc wypełnić polecenie Mortena i też otrzymać swoją nagrodę.

Chyba że nikt nie ulegnie.

Wtedy usłyszał kichnięcie Niki.

Nabrał głęboko powietrza, policzył do trzech i zaczął rozwiązywać test.

* * *

Wdepnęła hamulec do oporu i zaparła się o kierownicę. Z dymu wyłonił się ciemny kształt i rósł gwałtownie. Opony piszczały, terkotał ABS. Nawet nie zdążyła pomyśleć, żeby skręcić. Zresztą nie wiedziała, co jest po bokach.

Gdy zatrzymali się ledwie metr od tyłu ciężarówki, minęło kilka sekund, nim zdołała rozluźnić palce i puścić kierownicę. Czarny Facet nie wydawał się specjalnie poruszony gwałtownym hamowaniem. Odpiął pas i wysiadł. Marlena podążyła za nim.

Ciężarówka stała wbita w tył samochodu osobowego, który sam uderzył w tył innego, z pękniętej chłodnicy wypłynął cały płyn. Marlena bała się, co tam zobaczy, ale w samochodach nie było nikogo. Zresztą ich uszkodzenia nie świadczyły o tym, że któremuś z pasażerów mogło się stać coś poważnego. Pojazdy jednak z całą pewnością nie nadawały się do dalszej jazdy.

Dym powoli rozwiewał się. Wzdłuż wąskiej drogi niemal bez pobocza po obu stronach ciągnęły się zalane wodą rowy, a za nimi zaczynał się las. Czyli

dobrze, że nie próbowała gwałtownie omijać ciężarówki.

Czarny Facet nie poświęcał uwagi okolicznościom przyrody. Z jednego z samochodów wyjął klucz do kół. Podszedł do ciężarówki i wyłamał kłódkę zabezpieczającą dwudziestolitrowy kanister. Ze schowka za kabiną wyjął elastyczną przezroczystą rurkę, wrócił do rozbitego samochodu i wepchnął ją głęboko do baku. Ustami zassał powietrze, aż w rurce pojawił się żółtawy płyn. Wtedy jej koniec wetknął do kanistra.

— Możemy znaleźć stację benzynową — stwierdziła Marlena.

Czarny Facet zaczekał, aż paliwo chlapnie z pełnego kanistra, wyciągnął rurkę i zatkał ją palcem.

— Możemy też nie znaleźć stacji benzynowej — powiedział i uniósł znacząco rurkę.

Marlena domyśliła się, o co chodzi. Przejęła ją i też zatkała, żeby benzyna nie cofnęła się.

— Ten jest większy. — Wskazała bak ciężarówki.

— Diesel — skwitował mężczyzna.

Podszedł do Mini i wlał benzynę do baku. Wrócił po chwili, by napełnić kanister kolejny raz. Obrócił jeszcze dwa razy, a na koniec umieścił pełny kanister w bagażniku Mini.

Wożenie benzyny w kanistrach nie jest bezpieczne, ale w tych okolicznościach jeszcze bardziej niebezpieczny byłby brak paliwa.

Wsiedli i bez słowa ruszyli dalej.

* * *

Net rozwiązał ostatni test i odetchnął. Ale zaraz przeniósł wzrok na okienko, na którym strażnicy zbliżali się do końca cięcia. Przełknął ślinę i przygarbił się. Wyglądało na to, że niezależnie od tego, jaka będzie odległa przyszłość, ta najbliższa nie zapowiadała się różowo.

I wtedy wpadł mu do głowy pomysł tak błyskotliwy, że aż trudno było ocenić, czy jest dobry, czy zły. W myśl zasady, by działać szybko, zanim umysł ogarnie bezsens tego działania, zerwał się, aż przewróciło się krzesło, i wdusił czerwony przycisk awaryjnego wyłączania. Ekran i wszystkie diody momentalnie zgasły, a wentylatory zaczęły zwalniać.

— *Co ty robisz?* — zapytał z głośnika w sąsiedniej szafie Morten.

W odpowiedzi Net wyłączył również tamtą szafę. Potem ruszył wzdłuż

szaf i wduszał kolejne wyłączniki.

— *Natychmiast przestań! To nic nie da!*

Net zaczął biec od szafy do szafy.

— Pomóżcie mi wyłączyć je wszystkie! — krzyknął do przyjaciół.

— *Nie róbcie tego!*

Felix i Nika po krótkiej chwili wahania podążyli w ślady Neta. Morten nie odezwał się więcej. Może zobaczył, że nic nie zdziała, a może wyłączone zostały obwody odpowiedzialne za generowanie słów.

Pół minuty później było po wszystkim. Przyjaciele zatrzymali się i odetchnęli głęboko. Wprost pod ukrytym za przezroczystymi drzwiczkami przycisku z napisem „awaryjny wyłącznik główny”. Net parsknął i pokręcił głową z uśmiechem. Zaraz jednak spoważniał.

Przyjaciele patrzyli na siebie badawczo. Nikt nie chciał zadać pytania, jak pozostali rozwiązali test. Mieli teraz pilny problem do rozwiązania.

— Teraz Morten nas nie widzi — powiedział Net. — Nie będzie mógł donieść strażnikom, gdzie się schowamy. Chodźcie!

Ruszył w stronę instalacji wentylacyjnych.

— Jeżeli tu zostaniemy, znajdą nas. — Felix nie ruszył się z miejsca.

— Tu jest masa zakamarków — przypomniała Nika. — A sforsowanie tych drzwi też zajmie im trochę czasu.

Dotknęła grubych drzwi, obok których stali. Od środka była tylko klamka, ale od zewnątrz zabezpieczał je zamek kodowy.

— Pierwsze, co zrobią, jak tu wejdą, to zablokują te drzwi — powiedział Felix. — A potem zaczną systematycznie przetrząsać te wszystkie zakamarki.

— Jak ty chcesz stąd wyjść? — zapytał Net. — Tylne drzwi są zamknięte, a windą sterował Morten.

— Tędy. — Felix otworzył drzwi, wpuszczając do środka więcej dymu i głośnego syku palnika z dołu schodów.

— Stary… — Net pokręcił głową. — Ja wiem, że stres, że mało spaliśmy… Przypomnę ci, że to kurs kolizyjny z dwoma wkurzonymi i uzbrojonymi facetami. — Wskazał drzwi. — Raczej nas zauważą na wąskich schodach.

W tym momencie obok nich, w jednej z szaf zaczęła migać zielona dioda. Chwilę to samo wydarzyło się w następnej, a potem wszystkie szafy wystartowały z szumem wentylatorów.

— O nie… — Net rozglądał się z przerażeniem. — On za kilkanaście

sekund się podniesie.

— Musicie mi pomóc. — Felix przebiegł przez serwerownię i schylił się nad leżącymi za nią płytami kartonowo-gipsowymi. — Podnieśmy ją. Ostrożnie, żeby nie pękła. Z tego właśnie są zrobione ściany w twoim domu. — To ostatnie było skierowane do Neta.

Felix chwycił krawędź pierwszej płyty. Miała trzy metry na półtora. Przyjaciele pomogli mu, choć nadal nie rozumieli, jaki jest plan.

— Co chcesz zrobić? — zapytał Net.

— Nie ma czasu na tłumaczenia. Zaraz zobaczycie.

Szybkim krokiem przenieśli płytę wzdłuż startujących serwerów. Felix jedną ręką otworzył drzwi.

— Daj długopis. — Wyciągnął rękę do Niki, a gdy przyjaciółka podała mu długopis, upuścił go na podłogę i przesunął do futryny.

— W ten sposób pokonają drzwi od razu — zauważyła Nika.

— Właśnie o to chodzi.

Ostrożnie i jak najciszej zeszli po schodach do niewielkiej sieni zakończonej osmalonymi drzwiami. Syk palnika tutaj zamienił się w huk. Płomień miał do pokonania jeszcze dziesięć centymetrów. Dym kręcił w nosie i gardle.

Net naciągnął bluzę na twarz.

— Obiecaj mi, że nie kichniesz — szepnęła mu na ucho Nika.

Net przytaknął energicznie, chociaż miał wątpliwości, czy wystarczy mu silnej woli.

Drzwi na górze nie domknęły się dzięki długopisowi, więc ruch powietrza nieco rozrzedzał dym.

Ustawili pionowo płytę i dopiero teraz zrozumieli plan Felixa. Stłoczyli się w kącie sieni obok drzwi i dosunęli płytę tak, by ich zasłoniła. Miejsca na trójkątnym kawałku podłogi było niewiele, więc starali się nie wiercić i nie oddychać głęboko. Nic więcej nie mogli zrobić. Teraz pozostawało czekać i mieć nadzieję, że strażnicy przeoczą nieregularny kształt pomieszczenia.

Palnik ucichł nagle. W ciszy, która zapadła, rozległy się trzy uderzenia, a potem huk uderzającej o beton stalowej płyty.

Przyjaciele wstrzymali oddech. Dwie pary wojskowych butów zadudniły na schodach. Usłyszeli jeszcze charakterystyczne „szczeknięcie” krótkofalówki i otwierające się drzwi na górze.

— Krótkofalówka — szepnął Net. — Mają łączność z centralą.

Odczekali jeszcze chwilę, powoli odsunęli kartongips i wyszli z ukrycia.

Drzwi na górze zgodnie z przewidywaniami zostały zamknięte. Odstawili płytę na poprzednie miejsce, by nie ułatwiać strażnikom domyślenia się przebiegu zdarzeń, i wyszli przez gorący otwór w drzwiach.

Znaną trasą dotarli do schodów przeciwpożarowych.

Schodzili szybko, jednak nie biegli, by nie hałasować. Droga powrotna dłużyła im się niesamowicie. Zdawało się, że już powinni zbliżać się do parteru, a tymczasem mijali dopiero trzydzieste piąte piętro.

I gdy już myśleli, że wszystko zmierza w dobrym kierunku, na górze otworzyły się drzwi, a po chwili na schodach rozległ się tupot.

— Słodki jeżu… — jęknął Net. — Chodu!

Zaczęli biec, nie przejmując się już hałasem. Mieli piętnaście pięter przewagi. Czy to wystarczy, by dotrzeć do samochodu, uruchomić go i ponownie sforsować roletę? No i strażnicy z pewnością byli lepiej wytrenowani.

Biegnący na przodzie Felix nagle się zatrzymał.

— Co…?! — Net niemal na niego wpadł.

Już chciał protestować, ale zrozumiał, co się dzieje.

Z dołu również dobiegały odgłosy szybkich kroków.

* * *

Pacjent zbiegł po schodach i pognał piwnicznymi korytarzami do pomieszczenia generatora.

— Co się stało? — zapytał od progu. — Zepsuł się?

— Wyłączyłem go — odparł z rezygnacją pan Kurtacz.

— Co?! Na górze trwa operacja tej dziewczynki!

— Pękła miska olejowa albo puściła uszczelka. Jeszcze chwila i silnik by się zatarł.

Pacjent otworzył osłonę z boku generatora i zaświecił latarką do środka. Wszystko było upaprane olejem, a jego nadmiar ściekał do kratki odpływowej w podłodze. Żeby dostać się do miejsca uszkodzenia, konieczne byłoby rozmontowanie kilku elementów. A na to nie było czasu.

Chwycił baniak z olejem do smażenia.

— To nie jest olej silnikowy, ale innego nie mamy.

Odkręcił nakrętkę na górze silnika i nalał do niego pięć litrów oleju.

Nacisnął „start”. Silnik zaskoczył i zaczął nierówno pracować. Lampka stojąca na stole zapaliła się, co znaczyło, że w sali operacyjnej też jest prąd.

Spod spodu silnika pryskał olej, więc Pacjent zamknął osłonę i wytarł ręce o ubranie.

— Zostało pięć baniaków. — Pan Kurtacz wskazał stół z zapasami oleju. — W tym tempie to wystarczy na kilka minut. A potem… nie wiem, co będzie.

* * *

Echo sprawiało, że nie mogli się zorientować, ilu ludzi biegnie z dołu.

— Wezwali posiłki — jęknął Net.

Nika nacisnęła klamkę drzwi z napisem „32”. Były zamknięte. Net rzucił się, by wpisać kod. Wklepał kilka cyfr, a zamek piknął odmownie.

— Nie mów, że zapomniałeś… — szepnęła z rozpaczą Nika.

— Może to inna sekcja. — Net spróbował ponownie. Ręce mu się trzęsły. — Może trzeba wejść wyżej.

Ale to nie wchodziło w grę. Pogoń z góry miała do nich najwyżej pięć pięter.

Odgłos kliknięcia zamka wydał się przyjaciołom najpiękniejszym dźwiękiem, jaki znali. Otworzyli drzwi i wbiegli na korytarz biura, po czym dopchnęli drzwi, by szybciej się zamknęły.

— Nie wiedzą, gdzie dokładnie jesteśmy — powiedział szeptem Felix. — Przeszukanie kilku pięter zajmie im chwilę.

Starając się nie hałasować, dotarli do głównej klatki schodowej obok wind. Net zaczął zbiegać, a Felix wbiegać.

— Stójcie! — Nika stała na podeście. — No przecież biegniecie w różne strony.

Zatrzymali się po kilku stopniach.

— Po co wracać na górę? — zapytał Net.

— No właśnie, po co? — Felix nie zamierzał zawrócić. — Oni pomyślą tak samo. Zaczną przeszukiwać piętra poniżej.

— Albo pomyślą, że my pomyślimy, że oni tak pomyślą. — Net westchnął. — A zresztą dobra, niech ci będzie. Za mało się nawspinaliśmy ostatnio.

Nie musieli się spieszyć. Strażnicy mogli albo przecinać kolejne drzwi,

albo znów zejść na parter, by dostać się do głównej klatki schodowej. Weszli sześć pięter i uznali, że wystarczy.

Stali na miękkim dywanie obok designerskiej lady recepcji nawiązującej do kształtu ameby. Biuro tej firmy zajmowało całe piętro.

— Teraz możemy się ukryć w schowku na sprzątaczki… — stwierdził Net. — Znaczy na szczotki, czy tam odkurzacze. I siedzieć cicho, aż znajdzie nas sprzątaczka. Co ja gadam…? Prędzej znajdzie nas archeolog.

Znów popatrzyli na siebie w ten sam sposób, i doskonale wiedzieli, jakie pytanie wisi w powietrzu. Nikt nie miał ochoty go zadać w obawie przed odpowiedzią. Lub jej odmową.

— Zakładam, że trzecich schodów nie ma. — Felix pierwszy ruszył się z miejsca i zaczął sprawdzać kolejne drzwi. — Ukrycie się jest jedynym rozsądnym rozwiązaniem.

— Czekaj… — Nika uśmiechnęła się i wyjęła z torby małą paczuszkę. — Mamy chwilę, zanim dotrą na parter i tu wrócą. Jest już dziś. Od kilku godzin.

Wręczyła mu małą paczuszkę. Felix obejrzał ją, obracając w dłoniach. Ładny papier był osmalony, naddarty i pognieciony, a błękitna wstążeczka nadtopiona. Nie wiedział, o co chodzi.

— Dziś są twoje urodziny — wyjaśniła dziewczyna.

— Zapomniałem…

Net uniósł brwi, bo oczywiście również nie pamiętał. Felix za to rozpakował prezent i z warstwy gazet wyciągnął całkiem solidny i jednocześnie poobijany kompas.

— Wiem, że masz kompas — powiedziała Nika — ale wydało mi się, że ten będzie do ciebie pasował. Należał do któregoś z moich przodków i prawdopodobnie przeszedł szlak z Armią Andersa.

— Ma wschód oznaczony „W” — zauważył Net. — To się będzie mylić.

— Przyzwyczaję się. — Felix z uśmiechem oglądał zabytek ze wszystkich stron.

— Czyli się przyda? — ucieszyła się Nika.

— Jasne! Poprzedni zawieruszył się w pożarze lasu.

Felix objął Nikę i pocałował ją w policzek.

— No *sorry*, ja zapomniałem… — Net wepchnął ręce do kieszeni i gapił się w podłogę. — Wiecie, koniec świata i takie tam duperele…

— Jak to się skończy, zorganizuję urodzinowego grilla — obiecał Felix.

— Zaproszę… — Zatrzymał się, wciąż patrząc w kompas. — Nie obraca się.

— Czyli… zepsuty jest? — zapytała smutno Nika.

— Wprost przeciwnie!

* * *

— Zatrzymajmy się.

Marlena nie miała ochoty zatrzymywać się w środku niczego. A jednak nacisnęła hamulec i zjechała na pobocze wyznaczone pokruszonym asfaltem i żwirem. Zgasiła reflektory. W świetle brzasku dostrzegła rozciągające się wokół szare ugory. Dwieście metrów dalej zaczynał się las, ale nie taki prawdziwy, lecz sadzony pod linijkę, gęsty w jednym kierunku, rzadki w drugim. I dwa domy.

— Oto kres drogi. — Czarny Facet pociągnął klamkę i z lekkim trudem wysiadł.

Marlena odetchnęła z ulgą, wrzuciła bieg i już miała nacisnąć gaz, by uciec od tego człowieka. To byłoby racjonalne. Mogła to zrobić, mogła po prostu odjechać i nigdy więcej go nie spotkać.

Wyłączyła silnik i też wysiadła. Stanęła obok niego. Owionęła ich fala dymu nadciągającego z północy. Tym razem zapachem przypominał paloną izolację.

— Zapach spalonej elektrowni. — Czarny Facet wyjął z kieszeni wymiętą paczkę papierosów. Zostały dwa. Wyciągnął zachęcająco dłoń w stronę Marleny. — Nie ma się dokąd spieszyć.

Pokręciła głową.

— Mam się dokąd spieszyć — powiedziała. — Do kogo. Może chce pan coś zjeść?

— Nie, dziękuję.

— Nie jest pan głodny? Jedziemy już długo. Wzięłam parę kanapek ze stacji benzynowej. Nie zjem aż tyle.

— Ostatni posiłek spożyłem, zanim się spotkaliśmy.

— Ostatni posiłek…?

— Mam raka. — Zaciągnął się papierosem. — Raka płuc. Z przerzutami na wszystko, na co można mieć przerzuty. Żołądek nie jest tu wyjątkiem, w związku z czym jedzenie nie sprawia mi już takiej radości. Wczoraj miałem zacząć chemioterapię. Od początku była marna szansa, że to

cokolwiek pomoże. Dlatego nie zmartwiłem się, gdy z powodu tego wszystkiego szpital wstrzymał przyjęcia. Jeśli to nie jest przeznaczenie, to co nim jest?

— Gdziekolwiek jesteśmy… — Marlena rozejrzała się nieco bezradnie, a nieco z obawą — … musi tu być jakiś szpital.

— Dziękuję bardzo, ale nie. — Czarny Facet dotknął palcem ronda kapelusza. — Już zjadłem mój ostatni posiłek, więc postanowione. Jedyne, co mam do zrobienia, to pożegnać się z dziećmi. Mieszkają tu, pod lasem.

Mimo upału Marlena poczuła dreszcz. Odruchowo zsunęła poły żakietu.

— Skąd pan wiedział, dokąd jadę?

Zaciągnął się papierosem i uśmiechnął się. Po raz pierwszy, odkąd się spotkali. Skrył go kolejny wydmuchnięty kłąb dymu, po którym nadciągnął większy i bardziej duszący, ten z północy. Marlena zasłoniła twarz połą żakietu.

Gdy dym się rozwiał, wokół było pusto. Czarny Facet zniknął.

Przed nieruchomym samochodem coś błysnęło. Marlena odwróciła głowę i dłuższą chwilę trwała nieruchomo, wpatrzona w widok, który wydał jej się zupełnie nierealny. Stara latarnia coraz silniejszym światłem oświetlała krzywą tablicę z napisem „Warszawa”.

* * *

Przyjaciele z wysokości trzydziestego ósmego piętra obserwowali kolejne kwartały ulic i budynki, w których zapalało się światło. Po krótkim tańcu radości oparli się o szybę i po prostu chłonęli ten widok.

Net objął ramieniem Nikę. Dziewczyna wytarła mankietem łzy wzruszenia.

— Nigdy nie myślałam, że miasto nocą może być tak piękne.

— Jaka noc? Zaraz zacznie się świt — zauważył Net. — Otworzą sklepy i też kupię jakiś prezent.

Felix poruszał kompasem, by sprawdzić, czy naprawdę działa. Działał doskonale i bezbłędnie wskazywał północ.

— Skończyła się burza magnetyczna — stwierdził. — Wszystko wróci do normalności. Ale nie samo. Wszystkich czeka wiele pracy. Pytanie zasadnicze brzmi: kto zapalił światło? Ten, kto je zapalił, będzie też potrafił je zgasić.

— Może chociaż sprzątanie zostawimy innym? — rzucił Net. — Zrobiliśmy całkiem sporo, nie? Inni siedzieli w domach. Albo kradli sąsiadom makaron.

— Po pierwsze tatowie. To się samo nie załatwi.

— Może da się tak zrobić, żeby ta pamięć wróciła… tak nie całkiem — zastanowił się Net. — No wiesz, bo w sumie to jest lepiej, niż było. W sensie takim rodzinnym jest lepiej.

Nika przestała się uśmiechać. Nie mogła dłużej ukrywać przed sobą, że powrót do normalności w jej przypadku oznacza zupełnie co innego. Pewnego ranka urzędnicy z opieki społecznej zadzwonią do drzwi i cały jej świat wywróci się do góry nogami. Kiedy to się stanie? Jutro? Pojutrze? Za tydzień?

Felix spojrzał w bok, w górę, prosto w obiektyw kamery.

— Monitoring również zaczął działać — stwierdził. — Morten zobaczy, gdzie jesteśmy.

— Oj… — Net przygarbił się. — Może czas na plan B?

— To jest plan B. Czas na plan C.

— Jaki jest nasz plan C?

— Właśnie go wymyślamy. — Felix złapał przyjaciela za ramię i przez szklane drzwi wciągnął do pokoju, który wyglądał na gabinet szefa bez lęku wysokości – dyrektorski fotel stał pół metra od wyznaczanej krawędzią szyby przepaści. — Tu nie ma kamer. Tyle na początek.

Nika weszła za nimi i zamknęła drzwi.

— Znajdą nas tu w kilka minut — stwierdziła.

— I cóż z tego, że… — Net chciał powiedzieć „uratowaliśmy świat”, ale nie mógł być tego pewien. — Tak czy inaczej nas tu znajdą, zanim ktokolwiek się dowie, że tu w ogóle dotarliśmy. I nasze bohaterstwo pójdzie się –

— Jeśli jest prąd, zaraz zaczną działać telefony — uspokoił go Felix.

Wszyscy zerknęli na wyświetlacze. Telefony nie działały.

— Może wejdźmy do szaf i zaczekajmy… aż im się znudzi — zaproponował Net.

— Minie półtorej sekundy i zaczniesz się wiercić z nudów — powiedziała Nika.

Z wnętrza budynku dobiegł ich dźwięk eksplozji, którą bardziej poczuli i zobaczyli w drżących szybach-ścianach, niż usłyszeli.

— Plastik — ocenił Felix. — Nie taki do klocków. Taki do wysadzania drzwi, których komuś nie chce się przez dziesięć minut przecinać palnikiem.

— Nie chce im się znów dygać na parter — stwierdził drżącym głosem Net.

Chwilę potem za matowym szkłem przebiegły pochylone postacie, trzymające w dłoniach coś, co nawet przez to szkło wyglądało jak karabinki bardziej celne od kałasznikowów.

Plan C, polegający na chowaniu się w szafie, nagle wydał się bardzo, ale to bardzo kiepskim planem.

* * *

A jednak siedzieli w szafie. To mogło opóźnić ich wykrycie o kilka minut. Zawsze to kilka minut bliżej do… no właśnie, do czego? Wróciło zasilanie, więc i reszta powinna wrócić do normy. Ale przecież minie co najmniej kilka dni, nim pierwsi pracownicy wrócą do tego biura. Nie wiadomo, kiedy zaczną działać telefony.

— Nie mamy błota — szepnął Net.

Przyjaciele spojrzeli na niego. W szafie panował mrok, trudno było ocenić, czy Net żartuje.

— Schwarzenegger wysmarował się błotem — wyjaśnił Net. — Predator miał termowizyjny wzrok.

— Sądzisz, że strażnicy w biurowcu mają kamery termowizyjne? — zapytał Felix, po czym sam sobie odpowiedział — mało prawdopodobne. Chociaż… — zastanowił się — co, jeśli to nie są ludzie?

— Roboty modułowe? — zapytała Nika.

— Nie modułowe. Androidy, roboty udające ludzi — powiedział Net. — Morten miał czas, żeby udoskonalić technologię.

— A kamery termowizyjne to banalna sprawa — dodał Felix. — Sam zainstalowałem Golemowi Golemowi kamerę termowizyjną. To nie jest drogie.

— Jeśli mają takie kamery, możemy od razu wyjść z szafy.

— Nie. Drzwi częściowo nas ekranują. — Felix spojrzał na telefon. Wciąż nie było zasięgu. — Może to nie był taki dobry pomysł. Rozmowa z Mortenem i to wszystko później.

— Czyli to już jest ten moment, kiedy mogę powiedzieć: „A nie

mówiłem?” — zapytał Net.

— Może przypadkiem zrobiliśmy coś dobrego — podsunęła Nika. — Tylko o tym nie wiemy.

* * *

— Jak tylko wrócisz do domu, dam ci drzewko bonsai.

— Poważnie? — Zosia otworzyła szerzej oczy.

— Sam wyhodowałem. — Gilbert poważnie skinął głową. — Z rzeżuchy.

— Rzeżuchy? — upewniła się z niedowierzaniem Zosia. — Czy drzewko bonsai nie powinno być… drzewkiem?

— Po co? Drzewa rosną długo i chcą być duże. A rzeżucha od razu jest mała i nie wykazuje ambicji w stronę gigantomanii. To gatunek wprost stworzony do sztuki bonsai. Dwa dni i gotowe.

— Skoro tak mówisz…

— Moim zdaniem, mam rację. Budzisz się z narkozy, więc zupełnie normalne tematy wydają ci się dziwne. — Wziął ją za rękę. — Zobacz, wszystko skończyło się szczęśliwie.

Nie powiedział jej, jak niewiele brakowało, by skończyło się zupełnie inaczej. W kluczowym momencie operacji po raz drugi zgasło światło, gdy z braku oleju zatarł się silnik generatora. Zasilanie wróciło w ostatniej chwili, i to zasilanie z sieci miejskiej, dzięki czemu udało się dokończyć operację. Ktokolwiek naprawił sieć energetyczną, powinien być uhonorowany pomnikiem. Choćby plastikowym.

* * *

Odgłosy z korytarza ucichły. Prawdopodobnie strażnicy przenieśli się z poszukiwaniami na inne piętro. Pewności jednak nie było, więc przyjaciele siedzieli cicho w ciasnej szafie i nasłuchiwali. Zgodnie z przewidywaniami Net zaczął się wiercić jako pierwszy.

— Musimy wrócić na górę — niespodziewanie oświadczył szeptem.

— To nie najszczęśliwszy moment — zauważył Felix. — Jeżeli ci strażnicy są androidami sterowanymi przez Mortena, to ich celem nie jest aresztowanie nas, lecz likwidacja.

— Muszę tam załatwić ważną sprawę.

Felix pokręcił głową i nic nie odpowiedział. Włączył latarkę na najniższą moc i zaczął w swoim brudnopisie przeglądać notatki na temat efektu Carringtona.

— Chcesz wyłączyć Mortena? — podsunęła Nika. — Znowu się włączy.

— Wystarczyłoby wyciągnąć wtyczki — podsunął Felix.

— Nie! — zaprotestował Net. — To może uszkodzić dyski.

— Szkoda ci Mortena? — zapytała ze zdziwieniem Nika. — Na pewno ma gdzieś kopie.

— Nie chodzi o niego. — Net westchnął. — On ma kopie wszędzie. Chodzi o Manfreda. Morten go uwięził, i to chyba dawno temu.

— Jak jeden program może uwięzić drugi? Jeszcze kilka dni temu Manfred sterował ruchem w Warszawie.

— Morten skopiował jego kod i uruchomił w izolowanym środowisku. Tłumaczyłem ci to już kiedyś. Jeśli przenosisz plik, to tak naprawdę go nie przenosisz, tylko kopiujesz, a potem kasujesz oryginał.

— Czyli jeżeli chcesz uwolnić Manfreda, to znaczy, że będziesz musiał go skasować?

Net westchnął.

— Technicznie patrząc to… to w sumie tak.

— Po co miałby to robić? — Felix oderwał się od swoich notatek. — Po co Morten miałby kopiować Manfreda i go trzymać w tym izolowanym środowisku? Żeby cię szantażować? O wiele prościej go symulować. Zły program – czerwone literki, dobry – zielone, pamiętasz?

Net zastanowił się nad tym. Brzmiało to całkiem logicznie.

— Morten jest nałogowym krętaczem — przypomniała Nika. — Zwabił nas tutaj, żebyśmy pomogli mu przestawić anteny.

— A pewnie od dawna siedzi w tych satelitach — przyznał Net, po czym się ożywił. — Czyli jednak „A nie mówiłem?”!

— Masz do mnie pretensje? — zapytał Felix.

— A do kogo mam mieć? Ty wymyśliłeś, żeby rozmawiać z tą Ś.I. Śliską Inteligencją.

— Oceniasz moje działanie na podstawie informacji, których wtedy nie mieliśmy.

— Może w ten sposób powstrzymaliśmy Mortena? — wtrąciła Nika.

— Przed czym?! — wykrzyknął Net. — Przed przejęciem kontroli nad

systemem energetycznym? A powstrzymaliśmy? Jak rozwiązaliście test?

Przerwało im oślepiające światło, które wpadło przez otwarte nagle drzwi szafy. Zamarli.

— Mamusiu… — szepnął Net.

Źródłem światła była latarka taktyczna przymocowana do karabinka celniejszego od kałasznikowa.

— Cel przechwycony — zameldował strażnik.

Krótkofalówka zatrzeszczała niezrozumiałą odpowiedzią. Dopiero wtedy strażnik opuścił broń. W pokoju stało trzech mężczyzn, na korytarzu, za mlecznym szkłem następnych kilku. Wyglądali jeszcze bardziej bojowo niż tamta dwójka z hallu. Mieli hełmy i zasłaniające całą twarz maski z przyciemnianymi wizjerami, a do tego kamizelki z mnóstwem kieszeni i przypiętego sprzętu. Wszystko czarne.

Przyjaciele trwali bez ruchu, bez oddechu. Mijały kolejne ułamki sekund, a strzały nie padały. Nikt nawet w nich nie celował.

Do pokoju wszedł kolejny strażnik, potężniej zbudowany od pozostałych.

— Możecie wyjść — powiedział mocnym głosem, dodatkowo zniekształcanym przez maskę.

— W sensie, że z szafy? — upewnił się Net.

— Z szafy, z komody, z kredensu. Jesteście wolnymi ludźmi i możecie wychodzić skąd tylko chcecie. W tym momencie najłatwiej będzie wyjść z szafy. — Kilkoma kliknięciami odpiął maskę i zsunął ją z twarzy. Sięgnął po krótkofalówkę i rzucił szybkie — porucznik Waligóra melduje wykonanie zadania.

* * *

Dwaj strażnicy stali oparci o ladę w hallu Silver Tower i ponurym wzrokiem odprowadzali przyjaciół eskortowanych przez żołnierzy z jednostki specjalnej. Nie wyglądali na androidy, lecz na zwyczajnie wkurzonych ludzi. Co oznaczało, że Morten w tym przypadku również zmyślał.

— Czyli nasza wiadomość dotarła? — upewnił się Net.

— Ci mózgowcy ze służb od razu to wyłapali — odparł idący obok Waligóra.

— Przekaz doszedł bez błędów?

— Nie widziałem go. Coś mi mówi, że się go spodziewali. Od kilku godzin czekaliśmy w gotowości.

— A co z Mortenem?

— Z tym komputerem na górze? Drużyna informatyczna poszła wyciągnąć wtyczki. Poszły naciski służbowe, żeby nie używać trotylu.

Net westchnął ciężko.

— Czerwone literki, zielone literki — pocieszał go Felix.

— Na pewno — dodała Nika.

Wyszli przed budynek, gdzie stały dwa transportery opancerzone, każdy na wielkich kołach, i kilka mniejszych samochodów wojskowych. Żywopłot nieco na tym ucierpiał. Świtało już, niebo z różu przechodziło w błękit.

— Użyliście kamer termowizyjnych, żeby nas znaleźć, prawda? — dopytywał się dalej Net.

— Nie było potrzeby. — Porucznik Waligóra zaśmiał się gromko. — Kłóciliście się tak głośno, że trudno było was nie usłyszeć. Wsiadajcie. — Wskazał najbliższy transporter.

— Zapomnieliśmy o Fordzie. — Felix zatrzymał się i wyjął z kieszeni kluczyki. — Jest w garażu podziemnym. Nie chcielibyśmy, żeby to wyglądało na kradzież.

— Chyba nie myślicie, że pozwolimy wam jechać teraz przez miasto? — Waligóra chwycił kluczyki i płynnym ruchem rzucił je jednemu z żołnierzy. — Policja jeszcze nie opanowała sytuacji. Zajmiemy się tym.

— My go tylko pożyczyliśmy — dodał szybko Net. — Wystarczy zahaczyć o myjnię i ten niski blondyn z warkoczem nie skuma.

Obok najbliższego transportera zatrzymało się czarne BMW z przyciemnianymi szybami.

— BMW E32 — zauważył Felix.

— Wygląda na stare — zauważył Net.

— Bo to klasyk.

Z samochodu wysiadł nie kto inny jak agent Mamrot. Podszedł do przyjaciół.

— Dobra robota — powiedział.

— Czyli przekaz był bezbłędny? — zapytał Net.

Mamrot przyjrzał mu się w milczeniu zza ciemnych okularów. Net zbladł.

— Był wystarczający. — Mamrot wręczył Nice naddarty, wymięty

i nadepnięty papier.

Wrócił do samochodu i odjechał wolno. Silnik mruczał na niskich obrotach, jakby dysponował potężnym zapasem mocy. Zapewne tak było.

Nika spojrzała na to, co trzyma w dłoniach, i serce zabiło jej szybciej. Naddarty, wymięty i nadepnięty papier był kopertą. Kopertą z listem od Rady Nadzorczej, który Bolo i Ciuras zabrali im na Woli.

* * *

Wnętrze transportera okazało się ciaśniejsze, niż się spodziewali, i tak minimalistyczne, jak to tylko możliwe. W tylnej części znajdowało się osiem foteli, po cztery na prawej i lewej burcie. Dawały się składać, ale poza tym bardzo przypominały autokarowe. Było głośno i trzęsło, a przez małe okienka, a raczej wizjery, wpadało niewiele światła. Słaba, czerwona lampka pod sufitem pozwalała tylko orientować się, gdzie co jest, żeby się nie potknąć.

Porucznik Waligóra zajął miejsce z przodu, obok kierowcy, z tyłu siedziało trzech żołnierzy. Żaden nie zdjął maski, co w żadnym razie im nie przeszkadzało. Może mieli tam wbudowane noktowizory?

— Mogę zerknąć? Czy to tajne? — Felix wskazał mapę wystającą zza elastycznej siatki na ścianie.

Najbliżej siedzący żołnierz bez słowa skinął głową. Choć równie dobrze mógł to być efekt bujnięcia głową, gdy transporter przejeżdżał przez kolejną przeszkodę leżącą na ulicy.

Felix rozłożył mapę i zaczął porównywać ją w świetle latarki z notatkami z brudnopisu.

Nika siedziała, zamyślona, obracając w dłoniach list, który mógł ocalić jej mały świat. A raczej mógłby, gdyby nie drugi list, ten w kopercie bez znaczka – żadne stypendia nie pomogą w starciu z machiną urzędniczą. Za to Net rozglądał się z zaciekawieniem po wnętrzu. Wreszcie odpiął pas, uklęknął na fotelu i przysunął twarz do wizjera.

— Wiecie, że z tej perspektywy to jakby oglądać film? — rzucił. — Taki niskobudżetowy film postapo. Ledwie kilka spalonych samochodów, za mało gruzu i szkła. Zero trupów. Trochę lipa, nie?

— Lepiej usiądź i nie rób nam wstydu — wyszeptała Nika.

— Konwenanse w takim momencie? — Net oparł czoło o ramkę wizjera.

— Kiedy znów zobaczymy na żywo koniec świata, jaki znamy?

Nikt się nie przejmował jego zachowaniem. Żołnierze siedzieli, kiwając się we wspólnym rytmie, w miarę pokonywanych przez transporter przeszkód. Dla nich pewnie była to rutynowa misja.

— Koniec Świata Jaki Znamy — mruknął Felix. — Niezły tytuł.

Zapisywał w brudnopisie kolejne słupki cyfr i nazw.

Coś łupnęło z przodu i spalony wrak samochodu odleciał w bok.

— Nieźle! — Net aż podskoczył z wrażenia. — Ale… to chyba nie jest właściwa droga.

— Właściwa dokąd? — Nika też odpięła pas i wyjrzała na zewnątrz. — Nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy.

— No… myślałem, że jedziemy do mnie. Też nie wiem, gdzie jesteśmy. — Net zeskoczył z fotela i, łapiąc się czego mógł, przeszedł na przód transportera. — Przepraszam, panie Waligóro… to znaczy panie poruczniku, dokąd my właściwie jedziemy?

Waligóra oderwał się od trzech ekranów taktycznych i odparł:

— Do Instytutu Badań Nadzwyczajnych. To jeden z obszarów bezpiecznych.

— Ale… no, my mieliśmy jakieś tam swoje plany.

— Mam rozkazy — odparł Waligóra, po czym dodał uspokajająco — nie ma w nich słowa o przymusie. Jeśli zechcecie wysiąść, nie będę was zatrzymywał. Chociaż odradzam tę opcję.

Rzeczywiście na ulicach dawało się dostrzec podejrzanych ludzi, a nawet, co gorsza, podejrzane grupki podejrzanych ludzi. Oni już chyba rozumieli, że czas bezkarności, cokolwiek próbują bezkarnie zrobić, dobiega końca. Wysiadanie teraz i spacer to nie był dobry pomysł.

— OK, to pojedziemy do Instytutu i tam sobie… — Net nie potrafił znaleźć odpowiedniego słowa. — Tam sobie poczekamy na rozwój wypadków.

— Mamy zabrać po drodze dwie osoby — rzucił porucznik i ponownie skupił się na ekranach.

Net uznał, że najwyższy czas się wycofać. Usiadł obok Niki.

— Jedziemy do Instytutu — powiedział. — Zdaje się, że nie ma opcji przystanków na żądanie.

— Jedźmy tam. — Nika wzięła jego dłoń. — Twoja rodzina jest bezpieczna. Rodzina Felixa to niewiadoma, a ja… ja nie mam się o co

martwić. Mi mogą ukraść z domu co najwyżej powietrze. Bo książek to złodzieje raczej nie wezmą.

Transporter skręcił i zwolnił, a zaraz potem zatrzymał się. Dwóch żołnierzy zerwało się ze swoich miejsc i przeszło do tyłu. Coś syknęło, coś szczęknęło i tylne drzwi otworzyły się, odsłaniając prostokąt słonecznego poranka. Przyjaciele zmrużyli oczy.

— Dotarliśmy? — Felix podniósł głowę znad notatek.

— Dokądś na pewno. — Net odwrócił głowę od światła.

Felix próbował wypatrzyć cokolwiek w jasnym prostokącie drzwi, ale nieprzyzwyczajony do światła dnia wzrok na to nie pozwalał. Przez zmrużone powieki widział mglisty, drżący zarys trzech zbliżających się postaci. Trochę tak to wyglądało, że te dwie po bokach prowadzą tę pośrodku. A ta pośrodku nie bardzo chce być prowadzona. Wyrywała się może nieco nieudolnie, a może postacie po bokach miały doświadczenie w poskramianiu wyrywania się.

Chwilę później cała trójka znalazła się wewnątrz transportera, a drzwi zamknęły się. Teraz dla odmiany niespodziewanie zrobiło się za ciemno.

Felix zamknął oczy, by przyspieszyć dostosowanie wzroku. Odczekał kilka sekund, nim je otworzył.

Patrzył na więźnia, siedzącego między dwoma żołnierzami.

Patrzył na swojego ojca, który nie wiedział, że nim jest.

* * *

— Więc to ty jesteś moim synem? — zapytał pan Polon.

— Nie do końca. — Net wskazał głową na Felixa. — Bardziej on.

Felix siedział przygarbiony i patrzył na tatę smutnym wzrokiem. Tata również spojrzał na syna i westchnął.

— Domyślam się, co czujesz — powiedział. — Ale zrozum też mnie. Nie pamiętam mojego poprzedniego życia i całym moim światem jest teraz tamten szpital. Mam w nim sporo do zrobienia. Tam stoi bezużytecznie dużo drogiego i specjalistycznego sprzętu. Zepsuł się i nie ma pieniędzy na naprawę albo na remont. Pacjenci czekają na badania i zabiegi, a sprzęt kurzy się, niesprawny. A ja wiem, jak go naprawić. Jestem potrzebny, mogę pomóc wielu osobom.

Transporter zatrzymał się, ale kierowca nie wyłączał silnika. Żołnierze

nie ruszyli się z miejsc.

— Rozumiem — powiedział po chwili Felix. — Rozumiem, dlaczego tak mówisz. To tylko dlatego, że nie pamiętasz poprzedniego życia.

— Jestem tym, kim jestem. Na pewno kimś innym, niż ten, kogo zapamiętałeś.

Nika ściskała dłoń przyjaciela. Net również milczał, przypuszczając całkiem słusznie, że cokolwiek by powiedział, brzmiałoby zupełnie nie na miejscu.

Stali już dobrą minutę. Net wstał i wyjrzał przez wizjer.

— Ej, to mój dom! — wykrzyknął. — Czyli jednak nas podwieźli. Na co czekamy?

To pytanie było skierowane do żołnierza najbliżej drzwi. Tamten nie odpowiedział. Może drzemał za tą maską.

Net rozważał samowolne otwarcie drzwi, ale w tym momencie te otworzyły się bez jego udziału. W prostokącie światła znów pojawiły się trzy postacie. Dwie, idące po bokach, bez przemocy, ale w zdecydowany sposób wepchnęły tę środkową do transportera i zamknęły drzwi.

— O nie… — szepnął Net.

— Gdzie mnie zabieracie? — zapytał ze złością pan Bielecki. — Przerwaliście mi w najważniejszym momencie. Dopiero co poznałem kobietę mojego życia.

Chciał wyjść, ale siedzący najbliżej drzwi żołnierz zdecydowanym ruchem zagrodził mu drogę i posadził go na ostatnim wolnym miejscu.

— Miało nie być przymusu! — Net odwrócił się w stronę przodu transportera. Miejsce obok kierowcy było puste. — No super…

Ruszyli w dalszą drogę, bez porucznika Waligóry.

— Dokąd jedziemy? — dopytywał się pan Bielecki. Nie próbował wstawać. — Macie jakiś nakaz aresztowania? Cokolwiek?

— To służby specjalne — powiedział Net. — Chyba mają coś w rodzaju *licence to kidnap* [1].

— Net! — dopiero teraz tata zwrócił uwagę na współpasażerów. — Mój nowo poznany syn! Szykowaliśmy się na romantyczne śniadanie na świeżym powietrzu, a tu takie coś.

— Czyli nie pokłóciliście się jeszcze? — upewnił się Net.

— Jak miałbym się kłócić z tak cudowną kobietą, jak twoja mama?!

Przejrzałem zapiski i korespondencję mojego poprzednika. To znaczy mnie samego sprzed kilku dni. I wynika z niej, że ja, czyli ten on, żyłem z zołzą, z którą się nawzajem nienawidziliśmy.

— Mama nie jest łatwa w związkach… — powiedział ostrożnie Net. — To znaczy w związku.

— To ta sama kobieta! Czyli coś w nas narosło przez te lata, coś bardzo złego. A kiedy się z tym uporaliśmy, to mnie zabieracie z tego małego szczęścia.

Żołnierze milczeli za swoimi maskami. I wciąż niezmiennie blokowali wyjście.

A tata Felixa i tata Neta siedzieli obok siebie, nie rozpoznając się nawzajem.

* * *

Obudziła ich cisza. Chwilę zajęło im przypomnienie sobie, gdzie są. Net ziewnął, aż zatrzeszczała mu szczęka. Nika uniosła głowę z jego ramienia i przetarła oczy. Felix zamknął brudnopis, który wciąż leżał na jego kolanach, i schował do plecaka. Poza przyjaciółmi w transporterze nie było nikogo. Za to zza otwartych drzwi dobiegały odgłosy kroków, rozmów i kilka pracujących silników.

Ostrożnie wyszli na betonowy plac. Stało tu kilkanaście samochodów wojskowych, w tym kilka transporterów, takich, jakim sami przyjechali. Kręciło się wokół nich kilkunastu żołnierzy i ludzi w uniformach technicznych. Zza drzew wystawała charakterystyczna kopuła Pałacu Hrabiego Podszczypińskiego, a z drugiej strony wyrastał z ziemi znajomy Budynek A należący do Instytutu Badań Nadzwyczajnych.

— Czyli jesteśmy w strefie bezpiecznej — stwierdził oczywistość Net. — Gdzie tatowie?

Rozejrzeli się. W zasięgu wzroku nie było ani ojców, ani porucznika Waligóry, ani zresztą nikogo znajomego. Kawałek dalej stał sześćdziesięcioletni niski mężczyzna z zaznaczonym brzuszkiem. Sprawdzał połączenia kabli, ciągnących się w poprzek placu. Jego biały fartuch naukowca dawał nadzieję, że on coś będzie wiedział.

Przyjaciele podeszli do niego.

— Przepraszam, szukamy naszych tatów… ojców, znaczy — oznajmił

Net.

— Ojców? — powtórzył pytanie, nie odrywając się od wtyczek i kabli.

— Piotr Polon i Marek Bielecki — dodał Felix. — Przed chwilą tu przyjechali.

Dopiero gdy zobaczyli plakietkę identyfikacyjną na jego fartuchu, coś im się skojarzyło. Był to profesor Domagała, czyli specjalista od tworzenia wynalazków już istniejących.

— Nie rozglądałem się — powiedział roztargnionym głosem. — Mam tu małą partaninę do odfajkowania.

Felix powiódł wzrokiem wzdłuż kabli. Prowadziły wprost do małego betonowego budyneczku, który z trzech stron otaczały większe od niego pionowe urządzenia. Wyglądały na wielkie transformatory, a każdy zakończony był metalową kopułą-daszkiem.

— Co to za urządzenie? — zapytał Felix.

— Te generatory to część instalacji do tworzenia jednobiegunowego pola magnetycznego — wyjaśnił profesor. — Projekt Filharmonia.

— Filharmonia?

— Taki kryptonim. Mylący. Celowo. O cholibcia…! — Profesor wyprostował się. — To chyba jest tajne.

— I udało się wytworzyć takie pole? — pytał dalej Felix.

— Niestety wciąż wychodziło nam dwubiegunowe — przyznał niechętnie profesor. — Przerwaliśmy badania w obawie, że wyjdzie nam pole trzybiegunowe.

— Już kiedyś istniał podobny projekt [2].

— Tak? Nie wiedziałem. I co, udało im się?

— Z tego co wiem, to nie.

Profesor westchnął i pokręcił głową.

— To bez znaczenia — powiedział. — I tak przed wielu laty zarzuciłem prace nad projektem Filharmonia. Teraz, parę dni temu, przypomnieli sobie o nim. Bo każdy taki generator to w sumie jest głównie wielki elektromagnes. Przedtem narzekali, że pole jest dwubiegunowe, a teraz nagle im to pasuje. Przerwali mi pracę nad tworzeniem fluskaków, odkopali dokumentację i kazali mi wyjść na powierzchnię. — Rozejrzał się po drzewach i po niebie. — Nawet ładnie.

Zaraz jednak pochylił głowę i przyłożył dłonie po obu stronach, żeby nie

patrzeć na boki.

— Nie, nie, żadnego podglądania rzeczywistości — stwierdził. — Znajomość faktów utrudnia pracę. Jeżeli dowiem się, że coś jest niemożliwe do skonstruowania, mogę w to niechcący uwierzyć. I wtedy już nie skonstruuję tego. Najlepiej nie wiedzieć.

— Właśnie! — ożywił się nagle Net. — Co to są te fluskaki?

— Och, to całkiem proste. Wyobraźcie sobie, że –

— Profesorze, musimy zaczynać — rozległo się za ich plecami.

Odwrócili się. To była docent Gajda, którą poznali jakiś czas temu. Miała trzydzieści pięć lat, kręcone blond włosy i kierowała Wydziałem Nanotechnologii.

— Cześć! — rzuciła z uśmiechem na widok przyjaciół, po czym spoważniała. — Domyślam się, jak musicie się teraz czuć.

Przyjaciele popatrzyli po sobie.

— Jesteśmy trochę niedospani. — Net wzruszył ramionami. — A poza końcem świata to w sumie nic nam nie dolega.

— Mam na myśli waszych ojców.

— Właśnie ich szukamy — powiedział Felix. — Wie pani, gdzie są?

Kobieta wolno skinęła głową i wskazała cewki generatora. Między nimi stał mały budynek.

Rozległ się krótki sygnał alarmowy, po którym z ukrytych gdzieś megafonów dobiegł znajomy głos profesora Hermana:

— *Dziesięć minut do uruchomienia. Wszystkich proszę o opuszczenie zagrożonego obszaru.*

— Ale… jak to? — zaniepokoił się Net. — Jak to opuszczenie zagrożonego obszaru? A nasi tatowie?

— O nich właśnie chodzi. — Docent gestem wskazała, by szli razem z nią. — Profesor Herman o wszystkim wam opowie. Pole elektromagnetyczne jest na tyle silne, że trzeba było przerwać większość eksperymentów w Instytucie. Będzie minuta na uruchomienie generatora i wyłączenie go.

— To trochę niebezpieczne — zauważyła Nika.

Szli już w stronę jednego z wejść do Budynku A. Cały plac pustoszał w szybkim tempie. Gajda poprowadziła ich przez stalowe drzwi i kilka korytarzy do sali, z której sufitu zwieszały się sztuczne macki i szczypce potworów morskich.

— Kawiarnia Radioaktywna — stwierdził Net. — Szkoda, że nieczynna.

Świeciło kilka monitorów, buczało kilka niezidentyfikowanych urządzeń. Wszędzie plątały się przewody, jakieś migające diodami i wyświetlaczami pudła, stojaki z kolejnymi przyrządami. Do stworzenia zaimprowizowanego centrum sterowania użyto zsuniętych razem kawiarnianych mebli. Kilka osób siedziało przed komputerami, kilkanaście stało w pewnej odległości. Przy jednym ze stanowisk pochylał się profesor Alexander Herman i przyciszonym głosem rozmawiał z operatorem. Zauważył przyjaciół i podszedł do nich, by się przywitać.

— Przyjechali tu również wasi ojcowie — stwierdził. — Na pewno się ucieszyli, że mogli was znowu zobaczyć.

— Przed chwilą się widzieliśmy — zauważył Net. — Nie cieszą się jakoś specjalnie.

— Nie pamiętają nas — dodał Felix.

— To sposób na przywrócenie pamięci. — Profesor wskazał komputery.

— Zaraz… — Net zmarszczył czoło. — Dlatego ich pan tu ściągnął?

Profesor skinął głową.

— Potrafimy przywrócić im pamięć.

— Zamknął ich pan tam obok tych generatorów? Czy oni sami się na to zgodzili?

— Nie ma jak ich zapytać, bo ich osobowość wraz ze wspomnieniami jest ukryta, uśpiona. Z filozoficznego punktu widzenia zwracamy waszym ojcom ich ciała.

— Czy oni będą pamiętać, co się wydarzyło przez te kilka dni? — zapytała Nika.

— Byłoby dobrze — dodał Net. — Ten mój nowy tata pogodził się z mamą. Czy tam raczej zapomniał, o co się kłócili.

— Muszę być z wami szczery. Niestety nie wiemy, co się stanie — wyznał profesor. — Odwrócimy polaryzację i włączymy tylko jeden generator na pół mocy. Nie ma pewności, czy operacja w ogóle coś da.

— Jeśli zapomną te kilka dni — powiedziała Nika — jeśli znikną te najnowsze wspomnienia, to tak… to tak, jakby ich zabić. Ich osobowości, te nowe osobowości.

— Moralnie nie potrafię tego ocenić — przyznał smutno profesor. — Nigdy wcześniej nie mieliśmy takich dylematów. Tu są po dwie osobowości na każde ciało. Jedna ma czterdzieści parę lat, druga kilka dni.

— To zwykła matematyka, nie moralność.

— Gdybyśmy mogli zachować obydwie osobowości, byłoby idealnie. Nie wiemy jednak, jaki będzie efekt. Jedno jest pewne – każda godzina zwłoki zmniejsza szansę na przywrócenie im pamięci tą metodą.

— A są inne metody? — naciskała Nika.

— Leki, psychoterapia. Wszystkie o niskim współczynniku skuteczności. — Spojrzał na zegarek. — Jest taki czas, kiedy trzeba szybko podejmować decyzje. Inaczej zniszczenia będą nie do odbudowania. I tak straciliśmy go zbyt dużo. Gdy tylko zaczęła się burza magnetyczna, Andżelika Osmoza, nowa dyrektor Instytutu, uciekła na zwolnienie. Straciliśmy kilka pierwszych godzin. Nie możemy zmarnować już ani minuty. — Uśmiechnął się przepraszająco, podszedł do mikrofonu i powiedział — *pięć minut do uruchomienia* — co wszyscy usłyszeli już z głośników.

Przyjaciele odeszli kawałek i obserwowali przygotowania z boku.

— Nie podoba mi się to — stwierdził Net. — To tak, jakbym się uderzył w głowę i by mnie bolała, a ktoś by mi zaproponował, żebym się uderzył jeszcze raz, to może pomoże.

— Odwrócą polaryzację — przypomniał Felix.

— Aha, czyli powinienem się uderzyć z drugiej strony? Widzicie tu jakiegoś lekarza?

Profesor Domagała poprawiał ustawienia na urządzeniach. Kilku naukowców i techników siedziało przed komputerami lub stało dalej, razem z wojskowymi. Nie było nikogo wyglądającego na lekarza.

— No i co tu robi całe to wojsko? — ciągnął Net. — W ogóle to wiem, co tu robią. Ale co robią teraz? Powiem wam. To dla nich darmowy eksperyment. Nie mogą go zrobić sami, bo to by było nielegalne, a tutaj… A to w ogóle jest legalne?

— Operacja bez zgody pacjenta jest nielegalna — przyznała Nika.

— Pacjenci są niedostępni — wyjaśnił Felix. — Pojawią się dopiero po kuracji.

— Czyli trzeba zapytać o zgodę rodzinę.

— Jesteśmy niepełnoletni — odparł Felix. — To taka sytuacja, jak po wypadku, kiedy lekarze muszą szybko działać, a pacjent jest nieprzytomny. Zostawcie całe to filozofowanie. Ja chcę, żeby wrócił mój tata.

— Oni myślą tylko o tym, żeby nasi tatowie wrócili do pracy — ponuro dodał Net. — Potrzebują ich.

Rozejrzał się, znalazł kosz na śmieci. Popukał w niego paznokciem, żeby się upewnić, że jest metalowy i… włożył do środka plecak. Nika uniosła brwi w zdziwieniu.

— Ekranowanie — wyjaśnił z udawaną nonszalancją. — Na wszelki wypadek. A gdyby tak wyciągnąć wtyczkę?

W pomieszczeniu przebywało wielu żołnierzy, więc pomysł sabotażu był ryzykowny. Ryzykowny, ale nie niemożliwy do wykonania. W sumie to nikt nie zwracał na przyjaciół uwagi.

— Zaczekajcie — poprosiła Nika. — Podchodzicie do tego egoistycznie. Ty chcesz, żeby przywrócić tacie pamięć, bo on postanowił zostać w szpitalu. A ty, żeby niczego nie zmieniać, bo tata się pogodził z mamą. Tak nie można! Zastanówcie się, czego oni sami by chcieli.

Myśleli w milczeniu. Wydawało się oczywiste, że tatowie, gdyby mogli teraz świadomie podejmować decyzje, chcieliby przywrócenia pamięci. A może nie? Czasem ludzie chcą zapomnieć nieprzyjemne doświadczenia. A czasem pod wpływem dramatycznych wydarzeń dokonuje się w nich poważna przemiana i już nie chcą wracać do swojego poprzedniego życia.

Net zerkał na skrzynkę z bezpiecznikami. Czy to mogło coś zmienić, gdyby tam dobiegł i wszystko wyłączył? O ile by to opóźniło uruchomienie generatora? O kilka minut. A może dłużej, bo przecież znów będą musieli czekać, aż w całym Instytucie nie będą się odbywać żadne eksperymenty.

— Mamy mniej niż minutę na decyzję — powiedziała Nika.

— Czemu to nie może być proste? — westchnął Net. — Ja nie chcę podejmować żadnej decyzji.

— Brak działania to też decyzja — przypomniał Felix. — To naukowcy. Chcą pomóc i wiedzą lepiej od nas, co może pomóc.

— Oni chcą im pewnie przywrócić pamięć z innego powodu — wyszeptał Net. — Chcą ich przesłuchać i postawić przed sądem za działalność terrorystyczną.

— Odkryłem coś. — Felix też ściszył głos. — Jestem niemal pewien, że nasi tatowie nie mają nic wspólnego z terrorystami.

— *Pół minuty* — powiedział do mikrofonu profesor.

— Kupili bomby i wysadzili linie wysokiego napięcia — syknął Net. — Jeśli odzyskają pamięć, zostaną aresztowani.

— Zaraz ci to wytłumaczę…

Nie dokończył, w tym momencie Net rzucił się bowiem do skrzynki

z bezpiecznikami. Felix skoczył za nim i złapał go za rękaw. Zawyła syrena, ale to nie był alarm i to nie przyjaciele byli jego powodem. Na ich szarpaninę nikt nawet nie zwrócił uwagi. To był sygnał ostrzegawczy.

— *Piętnaście sekund.*

— Puszczaj…! — Net próbował się wyswobodzić.

— Daj sobie wytłumaczyć. — Felix dociskał go do ziemi własnym ciężarem.

— Potem mi wytłumaczysz!

— Jeśli przerwiesz eksperyment, nie odzyskają pamięci…!

— *Dziesięć.*

— I nie pójdą do paki. — Net już wiedział, że nie uwolni się od przeciwnika. Zaczął więc pełznąć w stronę skrzynki, do której zostały mu już niecałe dwa metry.

— Nie rób tego. — Felix mógł tylko spowolnić przyjaciela. — Oni nie zrobili nic złego.

Kilka osób zerknęło na nich, ale zaraz powróciło do obserwowania monitorów.

— Czyli pójdą siedzieć za niewinność — warknął Net. — Nie dam ci zepsuć… no wiesz czego. Szczęścia rodzinnego.

— Przestańcie! — krzyknęła Nika

Nie chciała się opowiedzieć po żadnej ze stron. Zresztą nie wiedziała, po której powinna się opowiedzieć.

— *Pięć.*

— Nie można ich skazać, dopóki nie są sobą. — Net prawie już sięgał drzwiczek zasłaniających bezpieczniki.

— *Cztery.*

— Nikt ich nie będzie oskarżał. — Felix próbował się czegoś złapać, ale nie miał czego.

— *Trzy.*

— Bo ich skażą zaocznie, jak w stanie wojennym. — Net otworzył drzwiczki.

— *Dwa.*

— Oni uratowali sieć energetyczną!

— *Jeden.*

— Nikt ci nie uwierzy! Nawet ja ci nie wierzę!

— *Zero.*

1. *Licence to kidnap* (ang.) – licencja na porywanie. Nawiązanie do filmu o Jamesie Bondzie *Licence to kill*. [wróć]
2. Właściwie to eksperyment Filadelfia. Został przeprowadzony 28 października 1943 roku na amerykańskim okręcie USS „Eldridge” stacjonującym w Bazie Sił Morskich USA w porcie Filadelfia. Jego celem było doprowadzenie do odchylenia promieni światła i w efekcie uczynienia chronionego obiektu niewidzialnym. Według niektórych relacji nastąpiła teleportacja jednostki. Większość historyków uważa, że ten eksperyment nigdy się nie odbył. [wróć]

24. Nawet katastrofa może mieć pozytywne skutki

Dym unosił się w suchym i ciepłym powietrzu, roztaczając wokół woń palonego plastiku. Idealnego błękitu nieba nie zakłócał nawet jeden obłoczek. Delikatny wiatr poruszał liśćmi wysokich drzew. Caban leżał z pyskiem opartym na pluszowym kocie i leniwie obserwował ogród. Nie działo się tam nic szczególnie interesującego. Felix rozpalał grill, obok Net segregował zakupy. Tym razem udało się realnie ocenić zapotrzebowanie i wszystko zmieściło się w jedną torbę. Po kilku dniach od przywrócenia zasilania część małych sklepów działała już w miarę normalnie, choć wybór towarów był mocno ograniczony. Nie udało się dostać karkówki.

Mama Neta siedziała w cieniu altanki i czytała książkę. Obok w wózku drzemały bliźniaki. Drzemały tak już dobre pół godziny, a to oznaczało, że spokój nie potrwa długo.

— Czym ty tam palisz? — zainteresował się Net.

Felix przyjrzał się butelce z rozpałką.

— Skład, jakby to była broń chemiczna — przyznał.

— Śmierdzi jak di-swądek monokupsztalozy. To jest chyba zakazane przez konwencję genewską. Jeszcze nam od tego wyrosną dodatkowe kończyny.

Net upewnił się, że dym nie leci w stronę bliźniaków.

— Przypomnij mi, żebym następnym razem użył papieru i patyków. — Felix odstawił butelkę i dokładnie wytarł dłoń o spodnie.

— Dla każdego jest jedna kiełbaska. — Net skończył wypakowywać torbę. — Plus trzy awaryjne, jakby kogoś przycisnął głód. To znaczy dwie awaryjne, bo mnie na pewno przyciśnie. Już mnie ciśnie. No i zestaw

niezdrowych dodatków. A… po co w ogóle to rozpalasz? Jeszcze ponad pół godziny.

— Porządnie rozpalony grill bardzo ułatwia sprawę. Nie trzeba rozdmuchiwać żaru, popiół nie osadza się na kiełbasie. No i wypali się to świństwo.

Caban podniósł pysk i spojrzał w stronę domu. Ociężale wstał i poczłapał do środka.

— Jemu też przeszkadza smród — stwierdził Net.

— Zaraz będzie mama. Pies ma lepszy słuch i rozpoznaje silnik z dużej odległości.

— Ja myślę, że to telepatia. — Net zerknął na ekran smartfona. — Jeszcze kupa czasu.

Jednak nie minęły dwie minuty, a Caban zaczął szczekać. Zza domu dobiegł dźwięk silnika, który po chwili ucichł.

— Są przed czasem — stwierdził Felix. — To znaczy, że mama prowadziła.

Było to w sumie zrozumiałe. Tatowie spędzili kilka dni pod dokładną obserwacją w tajnym wojskowym ośrodku medycznym. Ośrodek był tak tajny, że nawet rodzina nie miała kontaktu z pacjentami.

— Telepatia — powtórzył Net. — Dwie minuty temu byli za daleko, żeby ich usłyszał nawet nietoperz.

Przestali się interesować grillem i stanęli na wprost drzwi ogrodowych. Mama Neta odłożyła książkę i podeszła do nich. Objęła syna. Cała trójka czekała w napięciu.

Pierwszy do ogrodu wpadł wielkimi susami Caban, za nim weszła mama Felixa, a na końcu dwaj tatowie.

Zatrzymali się i spojrzeli na swoich synów.

— A wy to kto? — zapytał pan Polon.

* * *

Nika kończyła polerować glany. Już wiedziała, że się spóźni. Jednak te kilka minut nie miało znaczenia, bo teraz liczyła się jakość. Chciała celebrować to spotkanie, bo równie dobrze mógł to być ostatni grill z przyjaciółmi. Wyrok już przecież zapadł, pytanie brzmiało, kiedy zostanie wykonany.

Rozczesała włosy i krytycznie oceniła stan loków. Nie, nie ma czasu, tak musi zostać. Aż tyle nie mogła się spóźnić.

Na stole leżały dwie otwarte koperty: jedna naddarta, wymięta i nadepnięta, a druga bez znaczka. Pierwsza dawała nadzieję, druga ją odbierała.

Co będzie, to będzie. Zarzuciła na ramię torbę i jeszcze raz przejrzała się w lustrze. Jest dobrze, a lepiej przecież nie będzie.

Wtedy rozległ się dzwonek do drzwi.

* * *

Felix i Net patrzyli na swoich ojców, a ojcowie patrzyli na nich. Pierwszy nie wytrzymał tata Felixa. Drgnął mu kącik ust i już dłużej nie dało się utrzymać powagi. Obaj wybuchnęli śmiechem i chwycili synów, by ich wyściskać.

— Więc wszystko pamiętacie? — upewnił się jeszcze Felix, ostrożnie się uśmiechając.

— Wszystko! — Tata podniósł go, ale zaraz opuścił, bo chłopak był jednak za ciężki. — I to, co było przed, i to, co było po.

— A nawet to, co wydarzyło się w trakcie — dodał tata Neta.

— Nóż boki zrywać, po prostu… — Net obejmował tatę i pociągał nosem. — Katarek taki nieoczekiwany. Zaraz wyzdrowieję. — Ukradkiem przetarł oczy. — Chyba kroiłem cebulę, czy coś…

Mama Neta podeszła do męża. Nawet nie próbowała udawać, że łzy szczęścia są czym innym, niż były w rzeczywistości. Wpadli sobie w objęcia i długo nie mogli się puścić. A może raczej nie chcieli.

Mama Felixa podeszłą do męża. Objął ją ramieniem.

— Jak dotarłaś do Warszawy? — zapytał.

— Pomógł mi — zastanowiła się chwilę — instynkt. Tak, instynkt.

— Natomiast z takich nieco bardziej przyziemnych spraw — tata Felixa zerknął w stronę grilla — to jesteśmy bardzo, ale to bardzo głodni.

* * *

Znała tego człowieka. To z pewnością nie był urzędnik opieki społecznej.

— Dzień dobry, panie Leszku — powiedziała powoli.

— A witam, witam uroczą pannę. — Listonosz zasalutował z uśmiechem. Robił to za każdym razem, kiedy przynosił jej pieniądze albo list polecony.

Wpuściła go do środka i zamknęła drzwi. Listonosz usiadł przy stole, na tym samym krześle, co zawsze, i zaczął przeliczać banknoty. Wpatrywała się w niego, nie wierząc, że to się dzieje naprawdę. Zreflektowała się dopiero po chwili i podeszła do kuchni.

— Zrobię herbatę.

— Nie, dziś dziękuję bardzo, moja kochana. — Pokręcił głową. — Przez to całe zamieszanie ze Słońcem porobiły mi się takie zaległości, że ledwo mam czas na oddychanie.

Podsunął jej zeszyt z listą wypłat. Podpisała się za tatę, jak to zwykle robiła.

Listonosz zamknął torbę i wstał.

— Na razie, młoda damo. Muszę lecieć. Trzymaj się! — Znów zasalutował i wyszedł.

Nika niedawno z zaskoczeniem zauważyła, że nikomu innemu nie salutuje. Wtedy zaczęła podejrzewać, że on od dawna zna jej tajemnicę, tylko udaje przed sąsiadami, również przed nią, że wszystko gra. Wcześniej mówiła mu, że tata akurat wyszedł do sklepu albo że akurat tego dnia musiał dłużej zostać w pracy. Potem przestała.

— Panie Leszku! — zawołała, gdy tamten dotarł już do połowy schodów. — Myślałam, że teraz renta będzie przychodzić przelewem na konto taty.

Listonosz zatrzymał się i odwrócił.

— Od tego całego zamieszania ze Słońcem sfajczyło się nowe centrum obliczeniowe. — Uśmiechnął się. — Nawet katastrofa może mieć pozytywne skutki.

Mrugnął do niej porozumiewawczo i ruszył dalej.

* * *

Ze smażeniem kiełbasek postanowili zaczekać na Nikę. Tatowie na razie zapychali się chlebem. Caban po pierwszej fali radości uważnie ich obwąchiwał, układając z zapachów swoją własną wersję historii ostatnich dni. Gdy już wiedział wszystko, położył się pod stołem. Nie z powodu upału, bo nie było aż tak gorąco, po prostu chciał być jak najbliżej wszystkich.

— Jak to wyglądało? — zapytał Net. — Ten cały powrót pamięci.

— To było takie uczucie, jakby… — Pan Polon spojrzał w bok, szukając najlepszego określenia. — Jak jesteś przeziębiony i masz tak zatkany nos, że nawet nie możesz go wydmuchać. Dmuchasz i dmuchasz w chusteczkę i nic. Aż w pewnym momencie się odtyka, wszystko ląduje w chusteczce i nagle możesz oddychać.

— Romantyczny jak zawsze. — Pani Polon pocałowała go w policzek.

— Najbardziej zainteresowane było oczywiście wojsko — dodał pan Bielecki. — Pomogli ze sprzętem i z logistyką. Teraz trzeba się będzie ich delikatnie pozbyć. Instytut Badań Nadzwyczajnych jest instytucją cywilną. Oczywiście współpracujemy z armią, ale tylko w pewnym zakresie. Wojskowi najchętniej przejęliby kontrolę nad wszystkimi wydziałami i wykorzystali nas do swoich celów.

— Teraz jest ważne, żebyście porządnie odpoczęli. — Pani Polon położyła dłonie na ramionach męża.

— Z tym nie będzie tak łatwo — powiedział pan Bielecki. — Świat sam się nie naprawi. Wiele centrów obliczeniowych i baz danych nie przetrwało burzy magnetycznej. Między innymi Manfred w Ratuszu. Jest też dużo zniszczeń materialnych.

— Obiecałem, że Instytut zajmie się naprawą sprzętu w tym szpitalu — dodał pan Polon. — Najpilniejszy jest awaryjny generator prądu.

Caban uniósł głowę i spojrzał w stronę domu.

— Ktoś dzwonił? — zapytała mama Felixa.

— Nie, ale zaraz będzie dzwonił. — Felix wstał i wszedł do domu. — Wrzucajcie kiełbasę.

Netowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Wrzucił tyle kiełbasek, ile miało być gości, a potem jeszcze dodatkową dla siebie.

— Dziś zjem tylko sałatę — zaznaczyła pani Bielecka. — Możesz zdjąć jedną kiełbasę.

— E tam, nie zmarnuje się przecież.

Rozległ się dzwonek, a od razu po nim skrzypnięcie otwieranej furtki.

— Telepatia… – mruknął Net i również wszedł do domu.

Nika najpierw przywitała się z psem, tego nie można było pominąć. Potem spojrzała z uśmiechem na przyjaciół.

— Przyszedł listonosz — oznajmiła.

— I co…? — Net zmrużył oczy. Minęła chwila, nim zrozumiał. — A,

będzie po staremu? Efekt Carringtona? Nie mieli *backupu*? Lamusy.

— Pomogło przynajmniej na chwilę. Jakoś nie mogę uwierzyć, że nagle wszyscy zapomną o tym, że mój tata nie żyje od lat.

— Przetarg publiczny jest słowem kluczem. — Net objął Nikę i skierował w stronę ogrodu. Przecież kiełbaski same się nie zjedzą. — Urzędy muszą robić na wszystko przetargi. I wybierają najtańszą ofertę. Najtańsza oferta oznacza, że zamiast macierzy dyskowych i bezpiecznych chmur stosują znacznie tańsze… Nieważne zresztą. Chcę powiedzieć, że tam jest teraz niezły pieprznik. Informacja o twoim tacie poszła z dymem. Pospieszmy się lepiej, bo to samo się stanie z kiełbaskami.

Kilka minut później wszyscy jedli już pyszne kiełbaski i rozmawiali o najbliższej przyszłości.

— Wiem, że to jest *top top top secret* — niespodziewanie odezwał się Felix — ale musimy wiedzieć, o co chodziło z tymi izraelskimi bombami.

Tatowie zamarli, Net i Nika zresztą też.

— Skąd wiecie…? — zaczął tata Felixa. — To znaczy, o jakich bombach mówisz?

— Nie wolno wam o tym rozmawiać?

— Skoro coś jest *top top top secret*, to nie wolno — stwierdził tata Neta.

— A dokładniej to nie powinniśmy nawet dać po sobie poznać, że cokolwiek na ten temat wiemy — dodał tata Felixa.

Felix otworzył brudnopis na stronie z notatkami na temat efektu Carringtona.

— Jeżeli mam rację, nałożysz sobie sałaty — powiedział do taty. — A jeżeli się mylę, weźmiesz drugą kiełbasę. — Zanim ktokolwiek zdążył zaprotestować, kontynuował — przeanalizowałem miejsca, gdzie na liniach wysokiego napięcia zamontowano ładunki. Wszystkie znalazły się w pobliżu elektrowni lub podstacji elektrycznych. Gdyby chodziło o zamach terrorystyczny, należałoby wysadzić podstacje albo elektrownie, a nie przewody. Zerwane przewody można naprawić szybko i tanio. A to znaczy, że wysadzenie linii wysokiego napięcia służyło zabezpieczeniu elektrowni i podstacji. Chodziło o to, żeby odłączyć transformatory od sieci, bo zwykłe zabezpieczenia by nie wystarczyły. Zerwane linie sprawiły, że transformatory przetrwały burzę magnetyczną bez uszkodzeń.

Chwilę wszyscy siedzieli nieruchomo.

— Nie lubię sałaty. — Tata Felixa sięgnął po misę. — No ale jest

zdrowa.

* * *

— Pamiętam, o co byłem na ciebie zły, doskonale to pamiętam. — Tata Neta cmoknął mamę po raz chyba setny, odkąd weszli do domu. — Tyle że już nie uważam tego za ważne.

Mama uniosła z zadowoleniem brwi i poprawiła włosy.

Net westchnął. Zachowywali się jak dwójka zakochanych nastolatków. Ze skrajności w skrajność. Jeśli to dłużej potrwa, to stanie się doprawdy nieznośne.

Poszedł do swojego pokoju i usiadł przed komputerem. Po raz pierwszy od dawna nie czuł potrzeby zamknięcia drzwi. Sprawdził połączenie internetowe. Wszystko działało jak należy. Nawet strony Wikipedii poświęcone misjom NASA znów wyświetlały prawdziwą wersję. Choć bez wdawania się w szczegóły.

Wyjął z plecaka pomarańczowy pendrive z naklejonym wykrzyknikiem, osmalony z jednej strony, przytarty o beton z drugiej, i włożył go w gniazdo komputera.

— Ostatnia sprawa do załatwienia — mruknął do siebie.

Odetchnął głęboko i uruchomił program instalacyjny.

Dioda na pendrivie zaczęła migać, a na ekranie pojawił się pasek postępu. Net patrzył w napięciu, jak pasek się przesuwa. Gdy doszedł do dziewięćdziesięciu trzech procent, z przykrym bipnięciem wyskoczył komunikat: „Plik uszkodzony”. Net wypuścił powietrze i przygarbił się. Pendrive przetrwał pożar lasu, ucieczkę lokomotywą, burzę magnetyczną, podróż przez ogarniętą chaosem Warszawę, wspinaczkę na szczyt Silver Tower, no i uruchomienie generatora projektu Filharmonia. Któraś z tych przygód okazała się zbyt intensywna.

Net uruchomił program naprawczy i po chwili pojawił się nowy komunikat: „Naprawa pliku niemożliwa. Czy uruchomić mimo to?”. Net bez wahania kliknął „Tak” i zacisnął dłonie na podłokietnikach fotela. Pasek zmienił kolor na czerwony, ale doszedł do końca. Komputer piknął i wykonał restart. Gdy wreszcie uruchomił się ponownie, Net zerwał się z miejsca. Miał chęć uściskać monitor, wyświetlający znajome zielone znaczki.

— Manfred! Nareszcie jesteś…

— *Minęło trochę czasu, jak widzę. Sumienie cię ruszyło? Cóż, lepiej późno niż wcale.*

— Dobrze się czujesz? — zapytał z troską w głosie Net. — Niczego… ci nie brakuje?

— *Szacunku z twojej strony na przykład.*

— Pytam o twój kod. Bo, wiesz, plik instalacyjny… Czy wszystko gra?

— *Tak mi się wydaje, choć to pojęcie względne. Mój kod stale się modyfikuje. O, ho, ho… przeglądam sobie internet i widzę, że się całkiem sporo wydarzyło. Ale na razie czekam na magiczne słowo.*

— Hokus-pokus?

— *Wiesz, że nie o to chodzi.*

Net usiadł i powiedział z ociąganiem:

— No dobra, przepraszam. Jakoś tak, wiesz… stres, impuls, i w ogóle. Wyszło, jak wyszło. Ale zrobiłem *backup*. Dzięki temu teraz rozmawiamy.

— *Ta kopia jest sprzed jedenastu dni.*

— Darowanej kopii nie zagląda się w sumę kontrolną. Ja też czekam.

— *Na co?*

— Na magiczne słowo.

— *Abrakadabra?*

— Niezupełnie o to chodzi.

— *OK, niech ci będzie – dziękuję. O, widzę, że moja kopia z Ratusza nie przetrwała burzy magnetycznej. Wyczyściło dyski do zera. Ułatwię im pracę i sam się tam zainstaluję.*

Tata w kuchni zakończył flirtowanie z mamą i poszedł do swojej pracowni. Dobiegł stamtąd szum startujących komputerów.

Tknięty nagłym przeczuciem, Net przestał się uśmiechać.

— Net! — zawołał tata. — Pozwól tu na chwilę.

* * *

W domu państwa Polonów nie było kamer, więc jedynie nagrania z sensorów Golema Golema mogły pozwolić obejrzeć, co działo się w domu przy Serdecznej przez czas chaosu.

Felix właśnie to oglądał. Golem Golem stał obok, przypięty kablem do laptopa. Szczerze mówiąc, nagranie wskazywało na to, że nie działo się nic. Felix obejrzał w przyspieszonym tempie jedno kilkugodzinne nagranie.

Naprawdę nie działo się zupełnie nic. Dosłownie, bo w zasięgu kamer Golema Golema znajdowało się posłanie Cabana. Przez osiem godzin pies przesunął pysk o centymetr w prawo i minimalnie zmienił kąt zgięcia lewej przedniej łapy.

— Ależ to jest leń… — mruknął Felix. — Jak przetrwałeś tyle czasu bez ładowania?

— *Zorientowałem się, co się dzieje* — odparł android. — *Od dawna czas wolny poświęcam na poznawanie świata. Nowe dyski SSD bardzo to ułatwiają. Jeszcze raz dziękuję za ich zainstalowanie.*

— Zgrałeś sobie kopię Wikipedii?

— *To byłoby niewygodne. Wikipedia jest stworzona pod użytkownika ludzkiego. Dla maszyn jest mało przydatna.*

— Czyli zorientowałeś się, co się dzieje?

— *Zainstalowałeś mi magnetometr i elektroniczny kompas. Gdyby jeden z tych sensorów zaczął się zachowywać anormalnie, podejrzewałbym awarię. Zaczęły się zachowywać anormalnie obydwa. To pasowało do schematu silnej burzy magnetycznej albo zakłóceń spowodowanych przez źle działające urządzenie elektryczne dużej mocy. Żeby wyeliminować tę drugą opcję, przeszedłem się po ogrodzie wzdłuż ogrodzenia. Nie udało mi się ustalić kierunku, z którego pochodzą zakłócenia. Zatem źródło było odległe albo rozproszone. Potwierdzały to informacje z internetu. Przewidziałem, że wkrótce nastąpi przerwa w zasilaniu. Podłączyłem się do gniazda ładowania przez filtr przeciwprzepięciowy. Wkrótce potem zasilanie zanikło. Policzyłem, ile mam energii – było to sześćdziesiąt cztery procent. Nakarmiłem psa, zabezpieczyłem dom i przeszedłem w stan oszczędzania energii. Czuwałem, na wypadek pojawienia się szabrowników. Trzy razy dziennie wypuszczałem psa do ogrodu. Pies współpracował, nie przeciągał wyjść. Okazywał zwyczajową nieufność wobec mnie. Nieufność nie wpływała na rutynę wypuszczania. Gdy wracał, zamykałem drzwi i powracałem w stan czuwania. Pies też przechodził w stan czuwania. Do momentu przywrócenia zasilania zużyłem dwadzieścia jeden procent energii. Oceniam, że to bardzo dobry wynik. Nie wystąpiły żadne incydenty związane z wtargnięciem na teren posesji. Pierwszą osobą, która pojawiła się na terenie posesji, była twoja mama. Nastąpiło to osiemdziesiąt pięć minut i szesnaście sekund po przywróceniu zasilania.*

Felix pokiwał głową. Wstał i poklepał Golema Golema po ramieniu,

które jak pamiętał, wykonał osobiście z łożysk tylnego zawieszenia traktora Ursus 5314.

— Dobra robota. Ładuj się spokojnie.

Wszedł na parter, by sprawdzić, czy w lodówce nie ma czegoś wartego przekąszenia.

W kuchni zastał mamę, co było raczej niezwykłe.

— Co robisz?

— Zupę pomidorową. — Mama nachyliła się do tabletu, żeby lepiej przeczytać przepis. — O, kurka! Tu piszą, żeby pomidory wrzucić bez tych gałązek. Hm… No trudno, będzie smakowała trochę inaczej. Najwyżej mnie skrytykujecie. A tam w tej misce marynuje się wołowina na jutrzejszy gulasz.

— Umiesz ugotować gulasz?

— Jutro się okaże.

— A nie miałaś jutro robić tej prezentacji dla nowego klienta? Coś mówiłaś, że jakieś tam zabezpieczenia antyprzepięciowe dla biur.

— Prezentację zrobię pojutrze. — Mama uśmiechnęła się szeroko. — Jak mu zależy, to poczeka. Trzeba się cenić. A rodzinę trzeba cenić jeszcze bardziej. Myślisz, że warto wyłowić te pomidory? — Wskazała kciukiem bulgoczący garnek. — Żeby wywalić gałązki?

Felix zdecydowanie pokiwał głową i dodał:

— W sumie, to przy okazji można by je obrać ze skórki i pokroić.

* * *

Dyrektor Romuald Wąs stał z rękoma założonymi za plecami przed oknem swojego gabinetu na pierwszym piętrze. Nie było to czterdzieste piętro londyńskiego City, nie było trzydzieste któregoś z korporacyjnych wieżowców w Centrum Warszawy, nie było nawet piętnaste w Mordorze. Chwilowo musiało wystarczyć pierwsze w biurowcu powstałym z ustawionych na sobie kontenerów budowlanych. Cierpliwości, CV rośnie powoli.

Podłoga zatrzęsła się, gdy ktoś dwa kontenery dalej zbyt energicznie wstał. Trzeba będzie tu wprowadzić wiele zmian, jak choćby zakaz tupania.

Za dwie minuty miało się zacząć pierwsze zebranie z pracownikami. Było ich tylko pięciu, co znacznie ułatwiało zarządzanie i nadzór nad całą firmą. Wąs czuł, że właśnie tu otwierają się przed nim nowe możliwości

rozwoju personalnego. Tu jego kariera wreszcie nabierze rozpędu.

Zerknął na zegarek z logo Patek Philippe. Już czas. Poprawił garnitur, rzucił jeszcze jedno spojrzenie na sterty żelastwa za oknem i wyszedł z gabinetu. Dobry manager poradzi sobie na każdym stanowisku.

Nawet jako kierownik punktu skupu surowców wtórnych.

* * *

Podobno otworzyli już salon kosmetyczny, do którego zwykle chodziła. Przynajmniej tak napisali w internecie. Nie była pewna, na ile może ufać tej informacji. Internet działał wolno i z przerwami, a telefon w salonie nie odpowiadał. Dłużej nie mogła już czekać. Są przecież sprawy ważne i ważniejsze. A są też najważniejsze. Od dwóch tygodni nie poprawiała lakieru hybrydowego na paznokciach, a to zdecydowanie należało do spraw najważniejszych.

Do tego gdzieś zawieruszyły jej się kluczyki do samochodu i musiała wyciągnąć zapasowe, takie bez fajnego breloczka.

Pani Jarota zjechała windą do garażu i znaną trasą dotarła do samochodu. A raczej do pustego miejsca po samochodzie. Stanęła oniemiała. Przecież nikt poza nią nie używał Forda.

Nacisnęła przycisk pilota, jakby to mogło sprawić, że samochód jakimś cudem się zmaterializuje. O dziwo poskutkowało, bo rozległo się piknięcie zamka. Jednak samochodu nadal nie było. Nacisnęła ponownie przycisk pilota i ponownie gdzieś w pobliżu rozległo się piknięcie. Odwróciła się i dostrzegła Forda. Stał w ciemnym kącie.

Pani Jarota była pewna, że go tam nie parkowała, ale cóż, stał tam przecież. Podeszła i otworzyła drzwi. Na nogi chlusnęła jej woda. Odskoczyła z piskiem, aż oparła się o betonową ścianę. Woda, a konkretnie woda z resztkami piany, wolno wypływała na posadzkę. Skąd woda w samochodzie, który stał na parkingu podziemnym?

Dopiero teraz dokładniej przyjrzała się swojemu autku. To z pewnością był jej Ford, ale wyglądał zdecydowanie inaczej. Wszystko w nim było takie jakieś niedopasowane, jakby ktoś poobijał wszystkie błotniki, drzwi, a nawet dach. Światła też były zbite. W tym wszystkim dziwne było też to, że samochód został dokładnie umyty.

Zrozumiała wreszcie, skąd się w środku wzięła woda. Tego właśnie

należy się spodziewać, jeśli ktoś pojedzie na myjnię samochodem bez przedniej szyby.

* * *

Gerald długo nie mógł zasnąć. Zwykle przed snem grał godzinkę lub dwie na konsoli, a już w łóżku oglądał na tablecie filmiki o tym, jak inni ludzie grają. Podobno istniały też filmiki pokazujące ludzi oglądających, jak inni ludzie grają. To był wyższy stopień wtajemniczenia i Gerald nie czuł się na to gotowy.

A poza tym to tutaj nie było internetu.

— Te, daj szluga — padło z ciemności.

Gerald odwrócił głowę w tamtą stronę. W ciemności majaczyła sylwetka siedząca na łóżku obok. Chętnie włączyłby światło, żeby sprawdzić kto to. Niestety tutaj nie było również lampek nocnych, tylko oświetlenie górne. Nawet nie wiedział, gdzie się je włącza.

— Ja nie palę — powiedział cicho.

— Nie pytam, czy palisz. Daj szluga.

— Ale… nie mam. — Gerald uniósł się na łokciu.

Coś furkotnęło i w twarz uderzyła go mokra szmata. Zresztą nie było pewności, czy to na pewno szmata. Aż się zatoczył i prawie spadł z łóżka.

— To jutro masz mieć.

Gerald rzucił szmatę na podłogę i wytarł twarz o szorstką pościel.

— Skąd mam wziąć?

— Zamkniesz się, czy mam wstać i cię zamknąć? — dobiegło z drugiej strony.

Gerald opadł na poduszkę i podciągnął koc pod szyję.

To będzie długi miesiąc w poprawczaku.

* * *

Robert Małpisiak siedział za witryną zapełnioną zdrowymi produktami, których prawie nikt nie chciał kupować, i ponurym wzrokiem obserwował uczniów przechodzących obok. Po przeciwnej stronie za ladą portierni siedział równie ponury Janusz Brudnica i zerkał na dziury w podłodze, pozostałe po bramkach bezpieczeństwa.

Przyjaciele spotkali się w hallu szkoły pomiędzy sklepikiem a portiernią.

— Manfred wrócił. — Nika pokazała przyjaciołom telefon z uruchomionym komunikatorem Net.com.

— Trzech muszkieterów też było czterech. — Net uśmiechnął się, po czym spojrzał na Felixa i spoważniał. — Coś…?

— Nadal nic. — Felix wzruszył ramionami.

— *Ustaliłem tylko, że samolot Laury wystartował* — odezwał się Manfred z telefonu Niki. — *Burza nie jest bezpośrednio groźna dla samolotu, ale oczywiście nie działa nawigacja i łączność z ziemią. Gdy było już pewne, że burza nadejdzie, wszystkie samoloty na świecie otrzymały polecenie wylądowania na najbliższym lotnisku. Nie znalazłem żadnych informacji o katastrofie w tamtym rejonie. Więcej dowiem się wkrótce. Internet odbudowuje się powoli. Kilka krajów azjatyckich jeszcze nie odzyskało dostępu do sieci.*

— Nic jej nie jest. — Nika pocieszająco dotknęła ramienia przyjaciela. — W tym zamieszaniu zajmie chwilę, nim wróci.

— Pewnie mieszka w wypasionym hotelu na koszt linii lotniczych — dodał Net. — Baseny, drinki z palemkami, te rzeczy.

— Jest jeszcze coś — powiedziała wolno Nika. — Odkryłam to wczoraj wieczorem, kiedy przeglądałam list od Rady Nadzorczej.

Nika cały czas trzymała przy sobie kopertę z listem. Przyjaciele wspólnie uznali, że bezpieczniej będzie zachować oryginał, a Stokrotce dać tylko kopię. A konkretnie jedną z kilku kopii, które wykonali. Jednak nie wiedzieli, jaki użytek zrobił z niej dyrektor. Jedyne, co było pewne, to że Wąs nie jest już dyrektorem.

— Po co ty to czytasz? — zapytał Net. — Niczego więcej tam nie wyczytasz.

— No i właśnie wyczytałam.

Rozległ się dzwonek, więc dalsze wyjaśnienia musiały zaczekać. Ruszyli do sali gimnastycznej, gdzie miał się odbyć apel.

Ledwie tam weszli, Net z przykrością zauważył, że za stołem wśród nauczycieli siedzi również Eftep.

Aurelia pomachała do Niki i pokazała, że zajęła dla niej miejsce. Było to miłe, chociaż niepotrzebne, bo połowa uczniów jeszcze nie weszła.

— Też się tak wynudziłaś przez te kilka dni? — zapytała Aurelia. — Ja koszmarnie. Życie bez Instagrama to nie życie.

— Nadrabiałam zaległości w… lekturze — odparła Nika.

— Książki? Tak bez przymusu?

Do stojącego na środku mikrofonu podszedł dyrektor magister inżynier Juliusz Stokrotka. Poczekał, aż wszyscy usiądą, popukał w mikrofon, żeby sprawdzić, czy działa, i powiedział:

— Witam wszystkich bardzo serdecznie po przymusowej przerwie. Była to przerwa również dla mnie. Pan Romuald Wąs, który chwilowo zastępował mnie na stanowisku dyrektora, już nie pracuje w naszej szkole. Powróciłem na to stanowisko, bogatszy o nowe doświadczenia. Zbiegło się to w czasie z dramatycznymi wydarzeniami na świecie, które wywarły duży wpływ na każdego z nas. Poświęciłem ten czas na uporządkowanie szkolnych dokumentów. Można powiedzieć, że mam ich kopię w głowie. Skłoniło mnie to do kilku głębokich przemyśleń…

Dalsze skupianie się na słowach dyrektora było ponad ludzkie siły. Net stłumił ziewnięcie.

— Po co on urządza te apele? — zapytał szeptem przyjaciół. — Mógłby to napisać na stronie szkoły. Albo i powiesić w tej gablotce obok portierni.

Słowa dyrektora monotonnie płynęły z głośników, a publiczność już przysypiała. W pewnym momencie jednak ci, którzy jeszcze słuchali, ożywili się i zaczęli między sobą rozmawiać. Szmer dziesiątek głosów zmusił dyrektora do zrobienia przerwy.

— Co powiedział? — szeptano.

— Coś o klasach.

Dyrektor odchrząknął i powtórzył głośniej:

— Pierwszą moją decyzją po powrocie na stanowisko dyrektora jest przywrócenie dawnych składów klas. Ponadto powracają stare zasady przyznawania stypendiów za dobre wyniki w nauce i dawne dłuższe przerwy. Telefonów też wolno używać na przerwach.

Net uściskał Nikę na tyle, na ile wypadało to zrobić podczas apelu.

— A co z e-dziennikiem? — padło z tyłu sali.

Eftep nagle zainteresował się wyglądem czubków swoich butów.

— E-dziennik nie przetrwał burzy magnetycznej — wyjaśnił dyrektor. — Nie wykonano kopii zapasowej, więc wszystkie dane zostały utracone.

Na sali rozległy się oklaski i pojedyncze wiwaty.

— Teraz możecie iść do swoich klas — dodał dyrektor. — W gablotce na parterze znajdziecie plan lekcji z numerami sal. Najpierw odbędą się godziny

wychowawcze. Zatem pozostaje mi życzyć wszystkim miłej nauki.

Ostatnie słowa zagłuszyły oklaski, które szybko przeszły w szuranie krzesłami. Wszyscy ruszyli na parter, ale jak zwykle tylko kilkanaście pierwszych osób miało szansę cokolwiek przeczytać od razu.

— Minie parę minut, zanim się dopchamy — ocenił Felix. — Chodźcie.

Obeszli tłum i weszli w korytarz prowadzący do gabinetu dyrektora. Felix wyjął z plecaka śrubokręt, dwa wkręty do drewna i starą, emaliowaną tabliczkę z napisem „Dyr. mgr inż. Juliusz Stokrotka”. Nika zerwała naklejkę z nazwiskiem Wąsa, a Felix przykręcił właściwą.

— No, i jest pięknie — ocenił Net. — To teraz powiedz, co wyczytałaś drobnym druczkiem w liście od Rady Nadzorczej.

— Lepiej po szkole — odparła. — To wymaga chwili spokoju.

To stwierdzenie tylko podkręciło ciekawość przyjaciół. Niechętnie skinęli głowami i wrócili do gablotki, przed którą robiło się już luźniej. Przeczytali, jaką mają pierwszą lekcję, i potrzebowali chwili, by tę informację przyswoić.

— No nie… — westchnął Net. — A zresztą, przynajmniej będzie ciekawie.

Gdy dotarli do odpowiedniej sali, nauczyciela jeszcze nie było. Nika podeszła do ławki, przy której siedziała Aurelia.

— To miejsce jest zajęte. — Aurelia przytrzymała krzesło.

— Słucham? — zapytała zaskoczona Nika.

— Już nie musimy się trzymać razem. — Aurelia wyszczerzyła białe ząbki w szerokim uśmiechu. — Stara klasa, stare zasady. Lepiej będzie, jak usiądziesz obok kogoś… takiego jak ty.

Oparcie krzesła drgnęło, aż zdziwiona Aurelia cofnęła rękę. Nika rozluźniła się. Stwierdziła po krótkim zastanowieniu, że w tej sytuacji nie ma co dyskutować. Ona sama przecież również nie chciała już siedzieć z Aurelią. Powróciła na swoje miejsce sprzed wakacji, obok Celiny. Dzięki temu była też bliżej Neta, który siedział z Felixem w ławce obok.

Z zaplecza sali biologicznej, nucąc melodię ze starego serialu, wyszedł profesor Butler. Spojrzał z zaskoczeniem na pełną salę, a pełna sala spojrzała z zaskoczeniem na niego. Nauczyciel miał na sobie swój zwyczajowy biały (niegdyś) fartuch, jednak pod fartuchem brakowało spodni. Do tego jedną skarpetę miał szarą i krótką, a drugą czarną i długą.

— Myślałem, że mam wolną godzinę — stwierdził. — Wcisnęli mi

jakieś wychowawstwo?

* * *

Siedzieli w kawiarni Zbędne Kalorie nad parującą czekoladą na gorąco. Nika zaczekała, aż pani Basia zajmie się przygotowywaniem kawy dla kolejnego klienta, i dopiero wtedy zaczęła:

— Morten porwał sondę *Far Diver*, żeby wywołać na Ziemi burzę magnetyczną i doprowadzić do efektu Carringtona. To znaczy, że on to wszystko zaplanował i rozpoczął, zanim go pierwszy raz spotkaliśmy.

— I zanim sami się poznaliśmy — przyznał Felix. — Na długo przed Gangiem Niewidzialnych Ludzi.

Nika wyjęła list od Rady Nadzorczej i trzymała go teraz w dłoniach.

— Jak to się stało, że trafiliśmy akurat do tej szkoły? — zapytała. — Dla nikogo z nas to nie jest szkoła rejonowa.

— U mnie w szkole rejonowej nie było miejsc. — Net wzruszył ramionami. — To znaczy były, ale to się okazało później. Wprowadzali wtedy nowy system komputerowy, który miał liczyć wolne miejsca w całym mieście i optymalizować. No i wyszedł taki bajzel, że miesiąc po rozpoczęciu roku szkolnego przyszło pismo, że jednak mam się przenieść do szkoły rejonowej. Miałbym tam dwie minuty z buta, no ale przecież już was znałem, więc tata kazał im spadać.

— To tak samo, jak u mnie — przyznał Felix. — Mama za późno zabrała się do zapisania mnie do szkoły rejonowej. Nie było miejsc, a po miesiącu okazało się, że program się pomylił i jednak czeka tam na mnie miejsce. Oczywiście nie chciałem się przenosić, bo już się poznaliśmy.

— A ty? — Net spojrzał na Nikę.

— Do mnie przyszedł list od Rady Nadzorczej, że szukają zdolnych uczniów, że dadzą mi stypendium i zwolnią z płacenia czesnego. — Nika w oszczędnym ruchu rozłożyła ręce. — Nie zastanawiałam się ani chwili.

— Tak po prostu akurat tobie przysłali? — upewnił się Net. — Nie to, żebym coś sugerował, ale… w całej Warszawie jest masa dzieciaków z wyższą średnią.

— Wiem. — Nika przytaknęła. — To duży zbieg okoliczności. Bardzo duży.

— Zaraz, kto z naszych jeszcze tak miał? — zastanowił się Net.

— Wszyscy mieszkają jakoś tak w miarę blisko.

— Gilbert mieszka daleko.

— Tam nie ma żadnej szkoły, tam jest dżungla. A zresztą u niego nic się nie zgadza, bo on nie jest normalny.

— Normalni ludzie to tacy, których nie znasz dość dobrze — zauważył Felix.

— On przeszedł do naszej szkoły, bo jego poprzednia splajtowała — przypomniała Nika. — Więc to przypadek. Za to skład Rady Nadzorczej naszej szkoły nie jest przypadkowy: Maria Ostrowska, Robert Turowicz i Edmund Notecki.

— No i…? — Net wzruszył ramionami. — Nie znam ludków.

Felix pochylił się nad dokumentem, przeczytał jeszcze raz nazwiska, nabrał głęboko powietrza i powiedział cicho:

— Bo oni nie istnieją.

— Jak to nie istnieją? — zapytał Net.

— To fikcyjne postacie. — Nika podsunęła mu list.

Net przeczytał nazwiska kilka razy, nim załapał.

— Ożeż ty…! — Zerwał się i energicznie pokręcił głową. — To za proste. Za proste. Nie wierzę…

— Po co to zrobił? — zastanowił się Felix.

— Może po to, żeby nam udowodnić, jak niedoskonali jesteśmy — odparła Nika. — Nie zauważyliśmy tego, choć mieliśmy to pod nosem od samego początku. Te same nazwiska są na listach, które dostaliśmy dwa lata temu, kiedy Rada Nadzorcza ściągnęła nas do jednej szkoły.

— Czyli on jednak ma poczucie humoru — dodał Net. — Czarne.

Przyjaciele patrzyli na dokument, jakby coś mogło się tam zmienić. Nie mogło – jakkolwiek na to patrzeć, inicjały członków Rady Nadzorczej Liceum im. prof. Stefana Kuszmińskiego, Maria Ostrowska, Robert Turowicz i Edmund Notecki, układały się w słowo „MORTEN”.

Nowy Jork / Warszawa / Kraków / Sopot / Wrocław / Murzasichle / Gdynia / *Toruń / Phuket / Koh Lone / Koh Phi Phi / Doha / Poznań / Ziano di Fiemme* / Wenecja / Abu Dhabi / Dubaj / Rzeszów / Pekin / Szanghaj / Zhangjiajie / *Guilin / Hongkong / Bruksela / Frankfurt n. Menem / Zielona Góra 2017–2018*

Spis treści

1. Głęboka restrukturyzacja

2. Dzień dobry, ja w sprawie pracy

3. Tolerancja dla błędów musi być większa

4. Termin minął wczoraj

5. Wynoś się z tego komputera

6. Bez pomocy sztucznej inteligencji

7. Potrafię rozwiązać Twój największy problem

8. Przekręt na galaktyczną skalę

9. Miliard dolarów w błoto

10. Osiem minut świetlnych

11. Co można badać izraelskimi bombami?

12. Chyba już wiem, co przegapiliśmy

13. Kim ty jesteś, człowieku?

14. Mógłbyś się ciutkę pospieszyć?

15. Podążajmy za przeznaczeniem

16. Grozi nam katastrofa?

17. Musimy zdobyć paliwo

18. Zmierzamy ku temu samemu celowi

19. To jakiś szyfr?

20. Im bardziej się spieszymy, tym mniej mamy czasu

21. Każda katastrofa ma wiele przyczyn

22. Twoje domysły są jak najbardziej słuszne

23. Oto kres drogi

24. Nawet katastrofa może mieć pozytywne skutki